



FRANK YERBY

FOXOWIE Z HARROW



ROZDZIAŁ 1

„Prairie Belle” dobiła do łachy. Wielkie boczne koła napędowe zwolniły, stanęły, uspokoiła się kipiela. Jednak statek sunął siłą rozpędu wprost na płyciznę. W ostatniej chwili kapitan kazał dać całą wstecz, woda krótko zakipiała, gdy koła obróciły się w przeciwną stronę. Po chwili ruszyło do przodu jedno z kół i „Belle” zatrzymała się bokiem przy ławicy.

Kapitan wyjął z ust cygaro i splunął w żółtą wodę.

— Położyć kładkę — rozkazał.

Dwóch ogromnych Murzynów schyliło się nad pokładem — zagrały węzły mięśni pod czarną, lśniąca skórą. Wyprostowali się z głuchym stęknieniem, dębowa deska zachybotała w powietrzu i runęła drugim krańcem na błotnistą łachę. Nie był to kryty baldachimem trap, zabezpieczony po bokach linami, jaki spuszczano, gdy na ląd schodzili pasażerowie, ale zwyczajna deska, po której Murzyni toczyli na brzeg beczki sorgo i melasy, i którą przemierzali zadziwiająco pewnym krokiem, zgięci pod ciężarem beli bawełny.

— Może pan schodzić — rzucił kapitan krótko. Stephen Fox dotknął żabotu na gorsie koszuli, muskając czule wielką perłę, która jaśniała na tle ciemnego halsztuka* niczym jajo nieznanego ptaka, ukryte w gnieździe.

* halsztuk — chustka na szyję, prototyp krawata

Wyjął z kieszeni złotą tabakierę, lecz natychmiast schował ją z powrotem. Zażycie tabaki w podobnym miejscu i okolicznościach równałoby się ostentacji, a ostentacją Stephen gardził. Z tego też powodu nie uchylił wysokiego kapelusza, chociaż zwyczaj wymagał, by przynajmniej paniom złożył uszanowanie.

— No dobrze, niech pan schodzi — powiedział kapitan. Stephen wszedł na kładkę, nie ugięła się, był zbyt lekki.

Ruszył pewnym, miarowym krokiem jak człowiek kroczący po twardym gruncie, wystrzegając się wszelkich zamasztyzuchowatych ruchów. Zawadiacka postawa mogłaby o czymś świadczyć — na przykład o tym, że rzuca tym ludziom wyzwanie, że ich postępowanie ma jakiegokolwiek znaczenie. Stephenowi chodziło o to, by z jego zachowania nie można było niczego wyczytać. Nie było to łatwe, lecz dopiął swego. Gdy tak szedł kładką na mulistą ławicę, odległą o sto jardów od lewego brzegu Missisipi, nikt nie poznałby po nim, czy jest w ogóle świadom istnienia „Prairie Belle” i jej pasażerów, którzy tłumnie wylegli na wszystkie pokłady statku. Szedł niespiesznie, z igraszką olimpijską obojętnością.

Wśród pasażerów narastał szmer szeptów i przyciszonych uwag. Po chwili jeden i drugi odezwał się głośniejsz, dołączyli doń inni, wreszcie brzmiał jeden gromki chór na wiele głosów.

— Oszust!

— Szuler!

— Naciągacz! — krzyczano w stronę wysokiego, szczupłego mężczyzny o lśniącej miedzianej czuprynie, który stał na podłużnej błotnistej wysepce, zwróconej węższym krańcem w dół rzeki, tam gdzie leżał Nowy Orlean.

Kapitan westchnął lekko i skinął na drugiego oficera.

— Możemy odbijać, panie Anthony.

Oficer pociągnął dwukrotnie za sznur, zajazgotał gong. Dwa wysokie kominy buchnęły białym dymem. Potężne koła obróciły się parę razy aż wpadły w swój zwykły, miarowy rytm, młócąc wodę na białą pianę. Ściągniętą z łachy kładkę wsunięto pod dolny pokład i statek skierował się ku nurtowi, by płynąć dalej na południe, do ujścia rzeki.

Kapitan znów wyjął z ust cygaro i splunął w żółtawą toń.

— To nicpoń, panie Anthony — powiedział. — Skończony łajdak, a jednak...

Oficer skinął potakująco głową.

— ...a jednak kawał chwata. Prawdziwy mężczyzna co, kapitanie?

Kapitan nastroszył czarne, krzaczaste brwi.

— Mamy spore spóźnienie — burknął. — Dodaj pan pary. Czas wracać na kurs.

Słońce zniżyło się tuż nad powierzchnię Missisipi, woda załśniła złociście. Wstąpiwszy w smugę światła, „Prairie Belle” rozbłysła jaskrawym światłem i popłynęła w dół rzeki, malejąc stopniowo do rozmiarów czarnego, błyszczącego żuka, sunącego po świetlistym lustrze wody. Znikła wreszcie, nad rzeką zostały tylko kłęby białego drzewnego dymu.

Stephen Fox odwrócił się plecami do „Belle” i spojrział w górę rzeki. Miał dwie możliwości, z których jedną natychmiast odrzucił: nie będzie płynąć do brzegu, a potem brnąć na południe przez grząskie moczary. Druga bardziej mu odpowiadała: nie ruszając się z miejsca poczeka na pierwszą lepszą łódź zdążającą do Nowego Orleanu i w miarę wygodnie dotrze do miasta.

Czekał więc. Co jakiś czas zdejmował cylinder i ocierał pot z twarzy jedwabną chustką, wypatrując statku spod zmarszczonych brwi.

W tamtych dniach — był rok 1825 — po Missisipi kursowało zaledwie kilka parowców, ale setki płaskodennych łodzi spływało z prądem na

południe, a czasem przemykała milczkiem samotna galera. Stephen przestępował z nogi na nogę. Wszystko wskazywało na to, że długo tu jeszcze postoi. Nie miał gdzie usiąść — grunt był mulisty, a Stephen nie chciał niszczyć swych beżowych spodni o szerokich nogawkach ani dostatniego, ciemnozielonego żakietu. Zresztą jego wysoką postać łatwiej dostrzegą z daleka, jeśli będzie stał.

Wyjął złotą tabakierkę i odsypał szczyptę tytoniu na grzbiet dłoni. Brunatny pył oblepił jasne, lisiorude włoski. Wciągnął tabakę głęboko w nozdrza i wyprostował się. W usianej piegami twarzy płonęły bladoniebieskie oczy, tak jasne że prawie bezbarwne.

Pochylił się nagle do przodu. Na wodnym bezmiarze, od strony północy pojawiła się jakaś czarna plamka. Stephen przypatrywał się jej w całkowitym bezruchu prawie dziesięć minut. Jej kształt i wielkość nie zmieniły się. Odwróciwszy wzrok, policzył do stu i znów spojrzął, plamka wyraźnie urosła. Stephen kontynuował tę zabawę — patrzył w przeciwną stronę, liczył i znów przyglądał się plamce. Za każdym razem rosła, gdy na nią patrzył — trwała w bezruchu.

Wreszcie powiększyła się na tyle, by nabrać kształtów. Był to parowiec, idący ze znaczną szybkością. W Stephenie zamarło serce. Statek szedł pełną parą środkiem rzeki, ostro, miarowo dyszał białym dymem, miażdżąc dziobem wodę na biały pył. Gdy zrównał się z wysepką, zagwizdał dwa razy — głęboko, przeciągle — i pośpieszył dalej. Żółtobiała kipiela przelewała się kaskadą przez koła łopatkowe, sięgała językami fal dalej i dalej, aż dotarła do wysepki i ochlapała buty Stephena.

— Niech to diabli! — powiedział bez emocji i odwróciwszy się od statku, znów spojrzął w górę rzeki. Ale nikt więcej nie przybywał. Nad rzeką unosiła się lekka mgła, powietrze stygło. Słońce nagle zaszło za wysokie sosny, rosnące na zachodnim brzegu rzeki, blade zamigotała gwiazda. Stephen poprawił chustkę i mocno nasadził na głowę swój szary cylinder. Niebo purpurowiało, ciemniało. Gwiazdy przerzuciły przez rzekę długi, migotliwy naszyjnik. Już nikt nie przyplynie. Przyjdzie mu czekać aż do rana.

Stephen począł chodzić tam i z powrotem wzdłuż wąskiej ławicy, rozcierając długie palce, które zaczynały kostnieć z zimna. Woda gwarzyła niewyraźnie w ciemnościach, lecz Stephen jej nie słuchał. Chodził i wspominał Londyn, Paryż, Nowy Jork.

Przebyłem szmat świata — myślał — i oto, gdzie dotarłem. Rozstawił smukłe, zręczne palce i przyglądał się im w ciemnościach.

Tak, dobrze mi służyłyście i nieraz mnie jeszcze wspomóżecie. Ale to niepewny kawałek chleba — lekko przyjdzie, lekko pójdzie. Z tym już koniec. Tu kończy się moja wędrówka — na dobre. Rzeka już nie dla mnie. Schodzę na twardy ład.

Odrzuciwszy w tył głowę zaśmiał się głośno, dźwięczny baryton poniósł się daleko po wodzie.

Zachciało ci się ziemi — mówił sobie. Nędzny ulicznik z Dublina nie wkręci się między bogatych ziemian. To się nie uda nawet w tym dziewiczym, szalonym kraju... Nagle zeszytniał nasłuchując. Znowu usłyszał ten dźwięk, odległy, słaby.

— Hej, bywaj!

Stephen przyłożył do ust złożone w trąbkę dłonie.

— Hej! — zawołał. — Hop, hooop!

— Gdzie jesteś?

— Tu, z prawej strony — na ławicy! Pospiesz się, człowieku, na Boga!

Usłyszał teraz szum wielkiego wiosła sterowego, słabo załśniła latarnia. W ciemnościach zamajaczyła czarna sylweta płaskodennej łodzi, ostry odór uderzył go w twarz.

Święci Pańscy, toż to barka ze świniami! Jednak nie mógł sobie pozwolić na grymasy.

Na potężnym, wygiętym dziobie płaskodenki stał jakiś mężczyzna, trzymając latarnię w wyciągniętej ręce. Dobry Boże, pomyślał Stephen, takiej gęby przeraziłby się sam diabeł.

Barką dobiła do wysepki i stanęła.

— Niech szczenę — odezwał się ów latarnik — w życiu nie widziałem czegoś podobnego. Toż to prawdziwy pan — cylinderek, kamizela, żakiecik — stoi sobie na mieliźnie pośrodku Missisipi i śmieje się, jakby nigdy nic! Coś ty za jeden, paniczyku?

— Nazywam się Stephen Fox. Skostniałem z zimna i zgłodniałem jak wilk. Mogę wejść na łódź?

— To zależy. Lepiej się wpierw wytłumacz, kochaneczku, skądś się tu wziął — nocą, na środku rzeki?

— No dobrze — odparł Stephen. — Porozmawiajmy jak Irlandczyk z Irlandczykiem. Jestem graczem. Na „Prairie Belle” znalazło się paru mięczaków, którzy nie umieli przelknąć przegranej. Polecieli ze skargą do kapitana i oto skutek. No jak, mogę wsiadać?

— A jakże! chwyć się mojej ręki, będzie ci łatwiej. Stephen wgramolił się na pokład. Świński odór wprost zapierał dech w piersiach, lecz nie mniej

przemozna woń biła od ludzi z załogi, którzy stłoczyli się ciekawie wokół Stephena.

Stephen sposepniał na ten widok. Zwrócił się do jednookiego olbrzyma w kapeluszu, ozdobionym czerwonym indyjskim piórem. Pióro świadczyło o tym, że jego właściciel obalił na ziemię i poturbował do nieprzytomności jakieś pół setki zajadłych wilków rzecznej floty. To z nim rozmawiał.

— Mogę prosić na słówko, kapitanie?

— Tak, chłopcze?

— Moglibyśmy przejść na rufę?

Szyper stęknął przyzwalająco, skinął masywną głową. Był to ogromny Irlandczyk — istna góra twardych mięśni. Poszli na tył barki, wymijając obszerną zagrodę z wieprzami i okazałą beczkę dębową z żytnią whiskę z Monongahela, do beczki przytwierdzono łańcuchem blaszany kubek. Przemierzyli prawie sto stóp, aż dotarli do miejsca, gdzie przechowywano potężne wiosła sterowe.

Po krótkiej chwili wahania Stephen sięgnął pod szyję błyskawicznym ruchem. Gdy cofnął rękę, w złotej szpilce zdobiącej halsztuk, brakowało wielkiej perły.

— Niech pan posłucha, kapitanie. Kiedy kazali mi opuścić „Belle”, obrali mnie do czysta.

We wszytej w pas sakiewce mam tylko trzydzieści dolarów w złocie — jedną sztukę dwudziestodolarową i dziesięciodolarówkę. Należą do pana.

Rozpiąwszy kamizelkę barwy wina i białą koszulę, odwiązał sakiewkę i wręczył ją kapitanowi. Ów tylko stęknął.

— Oprócz tego mam jeszcze złotą tabakierkę. Poczytam sobie za zaszczyt, jeśli ją pan przyjmie.

Szyper znów stęknął.

— Teraz ma pan całe moje ziemskie mienie, nie licząc odzieży — powiedział Stephen spokojnie. — Mam nadzieję, że się pan nie obrazi, ale pańska załoga...

Szyper rozdziawił w uśmiechu szerokie usta.

— Racja, chłopcze. Każdy z nich za miedziaka zamordowałby własną matkę.

— Otóż to. Jeśli dowiezie mnie pan bezpiecznie do Nowego Orleanu, to mój żakiet, kamizelka i cylinder przejdą w pańskie ręce. Spodnie i tak by na pana nie pasowały. Umowa stoi?

Kapitan odrzucił w tył wielki łeb i zaśmiał się serdecznie.

— Zatrzymaj sobie swoje dolary. Biorę tabakierkę, ale ty weźmiesz moją, cynową. Mężczyzna nie może się obejść bez tabakierki, zwłaszcza taki elegancik jak ty.

Stephen wyciągnął rękę i szyper uściskał ją, przez chwilę Stephenowi wydawało się, że zmiądzzył mu dłoń na miazgę.

— Gdyby się jeszcze znalazło coś do jedzenia...

— Słusznie. Louie!

Z mroku dobiegło szuranie i w świetle latarni ukazało się jakieś zwaliste chłopisko o łukowato zgiętym grzbiecie.

— Przynies panu Foxowi jakiejs stawy — polecił szyper. Louie nie odpowiedział. Zniknął w mroku, by po chwili zjawić się z kawałkiem spleśniałego ze starości sera, dzbanem whisky i twardym jak krzemień bochenkiem.

— Na — mruknął i odszedł, powłócząc nogami. Kapitan wyciągnął z kieszeni duży składany nóż i cisnął nim o pokład, nóż wbił się głęboko w dębową deskę i stał pionowo, drżąc lekko.

— Bierz się do kolacji — powiedział szyper i przysiadł obok Stephena. W migotliwym świetle latarni Stephen oskrobał, jak mógł, ser z pleśni i odkroił plaster.

— Ależ z ciebie delikacik — zaśmiał się szyper. — Jedz co jest, posil się. Na tym pudle nie ma nic lepszego.

Stephen jadł w ponurym milczeniu. Świński smród nie zaostrza człowiekowi apetytu, myślał.

— Nazywam się Mike Farrel — odezwał się szyper. Stephen czekał. Wyglądało na to, że jego towarzyszowi zebrali się na pogawędkę. Szyper wyciągnął zza pazuchy wielką obtłuczoną fajkę i zapalił, posługując się krzesiwem. Swąd dymu był chyba jeszcze bardziej odstręczający niż odór chlewu.

— Pływam po tej rzece już czterdzieści lat. Czegóż ja się nie napatrzyłem! W głowie się nie mieści! Ale to już się kończy.

— Dlaczego? — spytał Stephen.

— Przyszły parowce. Rzeka umiera. Ale przedtem... ech, chłopcze, to była rzeka dla prawdziwych mężczyzn.

Widziało się odgryzione uszy i wyłupane oczy... — westchnął głęboko. — Pamiętam, jak jednego razu Annie Christmas...

— Nie nabiorę się na tę historyjkę — roześmiał się Stephen, sięgając po dzban z whisky. — Annie Christmas istniała tylko w legendzie.

— Co takiego?! — ryknął szyper. — To niby kto wydlubał mi oko?! Annie żyła tak samo jak ty czy ja. Miała krótkie wąsiki, jak chłop. Nosila

naszyjnik z czerwonych paciorków — miał ze trzydzieści stóp długości. Za każdym razem jak wydlubała komuś oko albo odgryzła ucho, dodawała jeden koralik. Miałyby z pięćdziesiąt stóp, ale nie liczyła czarnuchów. Powiadam ci, że...

— No dobrze — przerwał mu Stephen. — Wierzę panu.

Mike przyjrzał mu się bacznie, po czym spojrział na przestwór rzeki, oświetlony przez młody księżyc prawie tak jasno jak w dzień.

— Użyłem sobie życia — powiedział. — Nie mogę się skarżyć. Ale trochę mnie to już męczy. Może już czas zawinąć do portu, wycofać się. Nikt nie jest wieczny.

— Z pana jeszcze niestary człowiek — odparł Stephen. — I wciąż nosi pan czerwone pióro.

— Wiesz, co ono oznacza?

— Pewnie. Oznacza, że jest pan największym chwatem na tej rzece, że nikt pana nie pokona.

— Zgadza się. Czasem bierze mnie chęć wyrzucić je w diabły. Myślę sobie, że szkoda się wysilać dla tego marnego piórka. A potem znowu — że to jednak honor. Noszę je ósmy rok — westchnął. — To prawdziwie moja rzeka. Ojciec przywiózł mnie z Irlandii, kiedyś jeszcze nie umiał chodzić. Szliśmy łodem aż do tej rzeki. Bo matka, rozumiesz, już nie żyła. We dwóch z ojcem walczyliśmy z tą rzeką. Ale ona wreszcie mówi: dość. Zabrała mojego ojca. Któregoś dnia zabierze i mnie.

Stephen spojrział na tego kolosa, w głosie szypra nie słyszało się smutku, a raczej przyzwolenie na to, co musi przyjść.

— Pierwszy raz wszedłem na płaskodenkę, kiedy miałem szesnaście lat. Już wtedy miałem ten wzrost co dziś. Wiesz coś o pływaniu płaskodenkami?

Stephen wiedział, lecz czuł, że tamtemu trzeba słuchacza. Rozmowa z ludźmi z tej załogi równała się przemawianiu do wieprzy. Mike Farrel to niegłupi człowiek, myślał Stephen. Niegłupi i silny jak bawół — chłop na schwał. Z takim człowiekiem warto się zaprzyjaźnić.

— Nie, nie znam się na tym — powiedział. — Niech mi pan opowie.

— Najpierw trzeba wystarać się o fracht. Potem szuka się płaskodenki i załogi. Przede wszystkim trzeba im dobrze dać w kość — niech wiedzą, kto tu rządzi. Dopiero jak dostaną tęgie baty, poczują respekt — inaczej nie nauczy się ich moresu. Wtedy płynie się z prądem w dół rzeki, uważając na mielizny i inne przeszkody. Po jakimś czasie nabiera się w tym wprawy. Płynie się cały czas bez przerwy, nawet w nocy. Kiedy pogoda się psuje,

cumuje się barcę w jakimś mieście, szuka rozrabiak z innych łodzi, i spuszcza im się porządne lanie — jednemu po drugim.

— I tak za każdym razem? — zapytał Stephen.

— A jakże. Kapitan musi pokazać, że nie warto z nim zadzierać, bo inaczej ani on, ani załoga nie są bezpieczni. Jak już się im pokaże, gdzie raki zimują, stawiają kapitanowi kolejkę, kapitan stawia następną, robi się wesoło. Potem schodzą się kobitki. Każdy dobiera sobie jakąś ładną dziewczuchę i idzie w swoją stronę. Rano wraca człowiek na barcę z łbem jak dynia i modli się, żeby go ominęła francuska choroba. Odczepia się liny cumownicze i dalej jazda z ładunkiem w dół rzeki. Jak się dopłynie, sprzedaje się zlecony ładunek i pije na umór. Kiedy w kieszeniach robi się pusto, najmuje się jakąś szkapę i wyszukuje dwóch chętnych. Sprzedaje się barki — na drewno, bo i tak nie można płynąć nimi pod prąd, w górę rzeki.

Wtedy ruszam królewskim gościńcem, a potem skręcam w szlak Natcheza, w stronę północną. Jak przejadę dwadzieścia — trzydzieści mil, zsiadam z konia, wiążę go do drzewa i dalej zasuwam na piechotę. Nadchodzi jeden z tamtych, wsiada na chabetę i jedzie przez wyznaczony odcinek drogi.

Zsiada i zostawia konia trzeciemu. I tak przez cały szlak. Wszystko jest ładnie — pięknie, o ile po drodze nie dopadnie człowieka któryś z rzemizieszków z bandy Wilsona.

Zamilkł i patrzył w wodę.

— Przynajmniej nigdy się panu nie nudzi — roześmiał się Stephen, sięgając po żytniówkę z Monongahela, którą szyper zwał nongela. Pociągnął spory łyk. Nagle rozdziawił usta, a whisky odbiła mu się przez nos i usta — wydawało mu się nawet, że i przez oczy — sycząc i piniąc się jak ogień piekielny.

Mike Farrel ryknął wielkim śmiechem.

— Poczciwa, stara nongela! — huczał basem. — To nie napitek dla żółtodziobów. Trzeba mieć dobrze wysmołowane gardło, a żołądek jak miedziany kociołek — inaczej biada! Teraz ja!

Stephen podał mu dzban i Mike pociągnął tęgi łyk. Przycichł. Księżyc szedł wysoko górą, rzeka lśniła jak srebro. Mike wskazał na coś ręką.

— Widzisz pan ten dąb? To na nim powiesili pierwszego.

— Pierwszego?

— Razem było dwudziestu trzech Murzynów. Było to w dziewięćdziesiątym piątym jeszcze za życia mojego ojca. Nowy Orlean palił się jak jasny piorun. Było na co popatrzeć!

— Ale co z tymi dwudziestoma trzema?

— Zachciało się buntu czarnym bandytom. Francuzi złapali ich, doprowadzili do Pointę Coupee, wsadzili na barkę i ruszyli w dół rzeki. Kiedy przepływali obok jakiegoś kościoła parafialnego, brali któregoś czarnucha i wieszali, jednego po drugim. Tutaj zadyndał pierwszy z tej trzódki. Chociaż w jednym Francuzi wykazali się odrobiną rozumu

— umieli postępować z czarnymi. Czytałeś pan kiedy Czarny Kodeks?

— Nie.

— Ja też nie. Ale raz przeczytał mi go młody Francuzik

— po angielsku. Ten Kodeks nauczył czarnych moresu, szkoda gadać.

Wstał.

— Pójdę zobaczyć, jak się sprawują moje baranki. Zobaczymy się później, panie Fox.

Stephen wyciągnął się na nie heblowanych deskach i nasunął kapelusz na oczy. Przysięgał sobie, że nie zaśnie, lecz niełatwo dotrzymać podobnego przyrzeczenia po dwóch nie przespanych nocach. Prąd kołysał łagodnie. Drobne fale pluskały o boki łodzi, od przodu niosło się stłumione chrząkanie wieprzy. Stephen Fox sunął gładko w stronę Nowego Orleanu, śniąc mile o rozległych polach i wielkim, białym domu stojącym wśród dębów niedaleko rzeki.

Gdy się obudził, słońce stało wysoko, od dziobu głośno szumiała woda. Flisacy wylegiwali się na pokładzie, karmili wieprze i czerpali po kolei z antańka wypełnionego ognistą whisky. Mieli na sobie tylko spodnie z samodziału i grube trzewiki z niewyprawionej skóry nabijane ćwiekami. Ich imponująco umięśnione korpusy były spalone słońcem na brąz, prawie wszyscy byli owłosieni jak mały. Na widok Stephena zawołali ze śmiechem:

— Napij się nongeli! Nongela to akuratny napitek dla takiego paniczka!

— Patrzajcie tylko, jaką ma czerwoną kamizelkę! Wystroił się, że proszę siadać!

— Może go trochę przybrudzić? Nie będzie wtedy odstawiał jaśnie pana! Mike Farrel uniósł niedźwiedzie ramię.

— Spokój chłopcy! — powiedział. — Pan Fox jest moim gościem, a na dodatek opłacił podróż. Spróbuj no który tknąć jednego rudego włoska na głowie tego młodzieńca, a wyrwę łobuzowi wątrobę i każę mu ją zjeść!

— Ale Mike, nie bądź taki nieużyty — zawarczał Kanadyjczyk półkrwi, wielkie chłopisko. — Tylko bym go trochę poturlał, tyle co nic. Zgoda?

— Nie! — uciał Mike. — Nie ma mowy!

Stephen przyglądał się załodze przez dłuższą chwilę, po czym odwrócił się tyłem.

— Chyba pójdę na dziób, do wieprzy — powiedział głośno i wyraźnie.
— Ich towarzystwo bardziej mi odpowiada.

— Tego mu nie przepuszczę — wycedził mieszaniec.

— Zaraz go załatwię.

Stephen sięgnął za pazuchę jakby po woreczek tytoniu

— powoli, od niechcenia. Kiedy wyjął rękę, na rozłożonej dłoni miał deringera o dwóch lufach — mały pistolet dużego kalibru. Promienie słoneczne zaigrały na srebrnej kolbie. Mieszaniec stanął jak wryty.

Pozostali wybuchnęli hałaśliwym śmiechem.

— Rusz się, Francuziku! — wołali. — Ten pistolecik nie wystrzeli!

— Czegoś stanął jak słup? Strach cię obleciał? Boisz się, że cię pchła ukąsi?

— Jeszcze go dopadnę — warknął mieszaniec. — Zobaczycie.

Stephen schował pistolet i spojrzął w stronę brzegu. Drzewa schodziły nad samą wodę, prąd był wartki i równy. Rzeka rozlewała się szeroko w tej okolicy, drugi brzeg był odległy prawie o milę. Na płyciźnie uwijało się ptactwo wodne, krzycząc, kołując, nurkując. Stephen podszedł do kapitana.

— Daleko jeszcze?

— Jutro będziemy na miejscu — odparł Mike. — Przed południem, jak dobrze pójdzie.

Tego dnia znów posilali się twardym jak kamień chlebem i zbutwiałym serem. By urozmaicić wikt, kapitan kazał podać boczek, który był mocno nieświeży. Gdy nikt nie patrzył, Stephen wyrzucił swoją porcję do wody.

Godziny płynęły niespiesznie jak rzeka, wydawało się, że i słońce tkwi w miejscu. Stephen przemierzał nierówny pokład, patrząc na południe, tam gdzie leżał Nowy Orlean. Gdy ta skrzypliwa, niezdarna nawa zbliżała się coraz bardziej do miasta, przez załogę zaczęły przebiegać jakby gorączkowe dreszcze. Karty poszły w ką, coraz to któryś wstawał, by popatrzeć w dół rzeki. Wreszcie stali tam wszyscy, patrzyli przed siebie w milczeniu, aż jeden ni to westchnął, ni to powiedział cicho, prawie modlitewnie:

— Noworlean.

— Tylko patrzeć, niech skonam!

— Wiecie, chłopcy, co zrobię?

— Urzniez się jak wieprz. Zawsze się upijasz, jak poczujesz trochę grosza.

— Pewnie, że się urznę, ale przedtem znajdę sobie młodą Murzyneczkę, z nogami jak półroczne źrebię, takimi długimi, skocznymi, i...

— I postawisz ją w kącie, żeby sobie popatrzeć. Tylko do tego się nadajesz, stary przyku!

— Kto jest stary?! Uważaj, szcurzy pomioście, bo ci przetrącę grzbiet!

— Szcurzy pomioście? Chowałem się razem z aligatorami, wykarmiła mnie pantera. Popamiętasz mnie do końca życia! Odgryzę ci obydwie uszy!

— A ja wyklulem się z jaja mięsożernego żółwia i jak chwycę za coś zębami, to już nie popuszczę. Niech no tylko...

Mike Farrel dzwignął się bez pośpiechu i przemierzywszy statecznym krokiem szeroki dziób, podszedł do dwóch flisaków, którzy skakali wokół siebie jak czupurne wróble, czekając na dogodny moment do ataku. Stanąwszy obok, zamachnął się ramionami jak cepami. Tamci zwalili się bezwładnie na pokład, leżeli bez ruchu.

— Przepraszam za to zajście — rzekł ceremonialnie do Stephena — ale musiałem, mogli sobie zrobić jakąś krzywdę. Jak skompletuję załogę, to odstawię ją na ląd w takim stanie jak na początku rejsu.

Stephen uśmiechnął się.

— Nie mogą już się doczekać — powiedział. — Ja zresztą też.

— Dobrze to rozumiem — powiedział Mike. — Noworlean to nie byle jakie miasto. To najwredniejsze miasto w całym kraju. Wiem co mówię — widziałem je wszystkie. Ale Noworleanu nie można zapomnieć do końca życia. Jak już się raz stało na Tchoupitoulas Road, to już zawsze będzie się tam wracać. Sam się pan przekona.

— Nie zamierzam stąd wyjeżdżać — odparł Stephen. — Skończyłem z rzeką. Poszukam sobie własnego kąta.

— Kupi pan hotel? Porządną gospodę z wyszynkiem? Doskonały pomysł, młodzieńcze!

— Nie, chodzi mi, o wiejską posiadłość — powiedział Stephen z namysłem, — O plantację — dużą plantację.

— Wysoko pan mierzy! Ale coś mi mówi, że dochrapie się pan tego wszystkiego. A wtedy...

— Tak? — spytał Stephen z uśmiechem.

— Nie odmówi pan staremu Mike'owi kufelka i kąta do spania, kiedy sprzykrzą mu się burdy i wrzaski i będzie chciał krztynę odsapnąć. Co ty na to, chłopcze?

— Może pan na mnie liczyć — rzekł Stephen, wyciągając rękę.

— Dobra. Zaraz się ściemni. Widzi pan, mgła już opada.

— Tak — powiedział Stephen. — A jutro...

— Jutro przybijamy. Dobranoc panu.

Noc zapadła tak nagle jak ciemna kurtyna. Wielkie gwiazdy Południa rozbłysły nisko nad wodą. Rzeka roiała się od wszelakich łodzi: zasapanych parowców, kursujących w górę i w dół rzeki, tratów, płaskodenek, małych

jolek rybackich z zatoki. Wszystkie miały latarnie i mogło się wydawać, że to gwiazdy suną przez wodne przestworza Missisipi.

Tej nocy nikt nie spał. Flisacy rozmawiali coraz głośniejsze, przechwalając się, przekrzykując, przeklinając. Boże, zmiłuj się nad nowoorleankami, dumął Stephen, kiedy te kozły i goryle zejda na ląd. Świt zabarwił wody zatoki szarozółtymi smugami, niebo rozjaśniało się. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, wzeszło słońce. Stephen spojrział na chwilę za siebie, na zamulony kanał, gdzie rzeka rozlewała się tak szeroko, że drugi brzeg był tylko zamgloną smugą — a gdy znów spojrział przed siebie, słońce jaśniało już pełnym blaskiem.

Ostatnie pięć godzin wlokło się jak żółw, niewyraźna, podłużna plama zmieniła się w nadbrzeże, porośnięte miejskimi rudkami. Marynarze siedli do szerokopiórych wiosł, kierując nieruchawą płaskodenkę w stronę przystani na Tchoupitoulas Road.

Stephen wypatrywał brzegu, lecz daremnie. Całymi milami ciągnęły się płaskodenki i łodzie z nadbudówkami. Całe ich rzędy kołysały się na wodzie, szczelnie zasłaniając brzeg, już teraz dochodziły z nich pijackie okrzyki marynarzy. Szczęśliwym trafem otworzył się w tej mnogiej flotyli korytarz, sternicy natychmiast wmanewrowali tam płaskodenkę, podczas gdy marynarze śmiali się i wiwatowali co sił w piersiach.

Marynarze ustawili się w kolejce, Mike, z sakwą z żaglowego płótna, wyładowaną srebrnymi dolarówkami zajął posterunek na dziobie. Sunęli obok wężem, a Mike wypłacał im należność, dodając każdemu niewielki dzbanek whisky. Kwitując wynagrodzenie gromkimi wiwatami, opuszczali pokład na łeb na szyję.

Obok stała jakaś stara, mocno podupała płaskodenka. Właśnie, kiedy zniknął ostatni marynarz z załogi Mike'a, z sąsiedniej łodzi dobiegły wrzaski i przenikliwy śmiech kobiety. O deski pokładu zadudniły boscie stopy, śmiejąc się wrzaskliwie przemknęła jakaś chuda kobieta, goła jak ją Pan Bóg stworzył. Za nią, rycząc jak rozjuszony byk, pędził jakiś czarnowłosy osiłek, niańcząc w mocarnych ramionach dzbanek nongeli.

Pozostali marynarze z wyciem dołączyli do pogoni. Skacząc z pokładu na pokład, zniknęli w stojącej opodal łodzi z przybudówką.

— Noworlean — rzucił Mike Farrel półgłosem — stary, kochany Noworlean.

Stephen uśmiechnął się szeroko.

— Zawsze tak tu jest? — zapytał.

— Owszem, a bywa że gorzej. Schodzi pan na brzeg?

— Tak. Ale co będzie ze świniami, no i łodzią?

— Zawiadomię właścicieli, niech oni się martwią. Czy mógłby mi pan łaskawie towarzyszyć jeszcze przez jakiś czas?

— Oczywiście, chętnie. Mógłby mi pan doradzić, co ze sobą począć. Można się tu gdzieś zatrzymać na parę dni?

— A jakże, za picayune'a dostanie pan łóżko, chociaż niezbyt czyste, whisky ile dusza zapagnie i dziewczuchę na rozgrzewkę.

— Za picayune'a?

— Racja, przecież pan nie zna się na francuskich pieniądzech. To sześć centów amerykańskich.

— To wszystko za sześć centów?!

— Tak, ale nie radzę spać. Za takie szycowne buty i kamizelkę zarznąliby własnego ojca.

Stephen popatrzył na szypra.

— Więc gdzie się, do diabła, podzieję?

— Nie wiem. Za porządny nocleg trzeba wyłożyć sporo grosza. Na pańskim miejscu poszedłbym najpierw do jakiegoś kasyna i zdobył trochę gotówki.

— Nie dzisiaj — odparł Stephen. — Tej nocy chyba zaryzykuję nocleg w którejś z tych portowych morderni. Od jutra zaczynam bój o lepszą przyszłość.

— Więc chodźmy. Najpierw zapytaj pan na Swamp. Tam łatwiej się pan wywinie, gdyby chcieli pana zamordować. Na Tchoupitoulas Road gnałby pan całymi milami, zanimby się pan natknął na jakiegoś gardę de ville*.

* **gardę de ville (frane.) — strażnik miejski**

Poszli płaskodenkami na nabrzeże. Ulicznicy rozdziawiali z podziwu usta na widok elegancko ubranego młodzieńca, prostytutki podchodziły tanecznym krokiem i śmiało chwyciły go za ramię.

— Tędy, tędy, piękny panie — zagadywały. — Takiemu eleganckiemu panu należy się wszystko co najlepsze. Za dzień i noc na dokładkę liczę sobie jednego dolara.

Stephen odprowadzał je obojętnie, nawet nie patrząc. Szli między zapuszczonymi rudarami, aż doszli do cmentarza protestanckiego u zbiegu ulic Cypress i South Liberty.

— Tu się z panem pożegnam — odezwał się Mike.

— Gdyby chciał pan czego ode mnie, niech pan zostawi wiadomość w Schronisku dla Znużonych Flisaków. I niech się pan strzeże, na litość boską!

Stephen wyciągnął rękę.

— Cieszę się, że cię poznałem, Mike — powiedział.

— Nie martw się o mnie, dam sobie radę.

— Tak, chyba tak. Ale trzymaj pistolet na podorędziu. I nie pij niczego! Na pewno dosypią ci coś do szklanki.

Patrząc jak ten wielkolud oddala się kołyszącym krokiem, Stephen poczuł nagle dojmujące uczucie osamotnienia. Odwrócił się i poszedł w stronę Swamp. W głowie kiełkował mu pewien plan.

Najpierw udał się do spelunki zwanej „Sure Enuff siadł przy stoliku, zamówił wino i przyglądał się grze, grano w faraona i ruletkę. Już po dwóch minutach stwierdził, że grający jest bez szans. Koła były odpowiednio podregulowane, a w faraonie najwyraźniej zastosowano jakiś mechanizm, który zmieniał porządek kart podczas rozdawania. Stephen zapłacił kilka centów za chrzczone wino i przeniósł się do następnego lokalu. Wszędzie było tak samo. Na całej Swamp nie uświadczyłybyś jednego uczciwego kasyna.

Stephen mógłby pokusić się o wygraną w pokera i oczko, lecz w Schronisku dla Znużonych Flisaków zdecydował nagle, że nie podejmie nawet tego ryzyka.

Przyglądał się właśnie grze, gdy jakiś nieznajomy rzeczny marynarz, sądząc po stroju — zasiadł do pokera. Wygrywał nieprzerwanie, wciąż rosły przed nim stosy srebrnych dolarówek, których używano tu jako żetonów. Wreszcie postawił wszystko na jedno rozdanie. Siedział bardzo spokojnie przy karcianym stole, z ust sterczało mu duże, czarne cygaro. Trzech innych graczy natychmiast przerwało grę, lecz rozgrywający trwał na posterunku. Wreszcie, uśmiechając się od niechcienia, marynarz odsłonił swoją ostatnią kartę. Podobnie jak trzy poprzednie była to królowa.

— Kwarta! — szepnął z podziwem Stephen.

— Oszukuje — oświadczył jeden z pozostałych graczy. — Wyciągnął ją z rękawa.

— Łżesz jak pies — powiedział nieznajomy zdecydowanym tonem.

Prowadzący grę bez słowa zamachnął się pistoletem i z całych sił zdzielił nim tamtego w głowę. Marynarz osunął się miękko na podłogę jak zepsuta gumowa lalka. Jeszcze nie leżał na deskach, a już dopadli go tamci, tratując ciężkimi buciorami. Jeden ze zbirów stanął mu na twarzy całym ciężarem i obrócił się powoli. Gdy odjął but, z twarzy nieszczęśnika została krwawa miazga, w której nie dopatrzyłbyś się ludzkich rysów.

Nikt nie zwracał uwagi na Stephena. Wyszedł z szulerni nie płacąc rachunku. Nie, na Swamp nie będziesz grał, mówił sobie. Przecież chcesz zacząć, a nie skończyć.

Wreszcie zapadła noc. Stephen wszedł do najschludniejszego hoteliku na Swamp.

— Chcę pokoju — rzucił do brudnej jędzy, siedzącej przy barze. — Ile się należy?

— Jaśnie pan życzy sobie pokoju! — zagdakała. — Pokoju, a jakże! Łóżko proszę bardzo, najlepsze w całym pensjonacie i wcale niedrogo. Ale pokój? Myśli pan, że to Grand Hotel?

— Chcę być sam — odparł Stephen. — Jak nie znajdę tu spokojnego noclegu, to znajdę gdzie indziej.

— Mam dla pana paradne łożo z zasłonami — oświadczyła wiedźma. — Spał w nim sam król francuski Ludwik, to chyba będzie dość dobre dla pana.

— Niech będzie — Stephen ledwie stał na nogach ze zmęczenia — ale najpierw sam zobaczę.

— Nie tak prędko, paniczku. Najpierw buteleczka, takie tu są przepisy.

— Zgoda — ustąpił Stephen. — Ile?

— Co się pan kłopotujesz — taki bogacz?

— Ładne szmatki nie znaczą, że trzos nabity — odparował Stephen.

— Tu wszystko jest tanie.

— Niech podają.

Stara kiwnęła na posługacza. Stephen jeszcze nigdy nie widział kogoś równie brudnego i — jak stwierdził, gdy tamten podszedł bliżej — równie cuchnącego.

— Butelka najlepszego wina dla pana — zarządziła stara.

Posługacz odszedł, powłócząc nogami. Stephenowi wydało się, że minęło nieskończenie wiele czasu, zanim wrócił wreszcie z zamówioną butelką.

— Napije się pani ze mną? — zwrócił się do właścicielki.

— Dziękuję, złociutki, ale wino nie dla mnie. Wątroba, rozumie pan. Ale gdyby mi pan zafundował miarkę piwa...

— Piwo dla pani — rozkazał Stephen.

Powoli sączył z kielicha. Dziwne, jakie to wino gorzkie. Nawet najkwaśniejsze cienkusze francuskie nie były takie gryzące. Nagle znieruchomiał.

— Kelner! — zawołał na smolucha. Tamten podszedł do stolika. — Napij się ze mną. — Pod grubą warstwą brudu twarz posługacza zbladła nagle.

— Nie — zabelkotał — ja nie piję.

— A to dlaczego? — indagował Stephen.

— Takie tu mamy przepisy — wtrąciła wiedźma.

— Nikt pani nie pytał — odciął się Stephen. — No, częstujże się, człowieku!

Kelner cofał się nieznacznie ku drzwiom. Stephen wsunął rękę w zanadrze, niewyraźnie zamajaczyła srebrna kolba deringera.

— Nalegam — powtórzył półgłosem.

Kelner sięgnął po kieliszek drżącą ręką, trochę wina wylało się na podłogę. Zmrużył chytrze oczy. Ręka zadygotała tak silnie, że kieliszek wypadł mu z palców i roztrzaskał się o deski. Posługacz schylił się, by pozbierać szkło. Stephen przyglądał mu się przez chwilę, po czym kopnął go z chłodnym rozmysłem, aż tamten przeleciał przez izbę i padł twarzą na ziemię.

Podźwignął się odgrazając się wrzaskliwie, lecz ręka Stephena tkwiła nieruchomo w zanadrzu. Posługacz zamilkł, rozdziawił bezmyślnie usta. Stephen wolną ręką podał mu butelkę.

— Wypij to! — rozkazał. — Do dna!

Patrząc spode łba na staruchę, posługacz ujął oburącz butelkę, starucha powoli skinęła głową. Przytknął butelkę do ust, na wychudłej szyi zadrgała owłosiona grdyka.

— Dziękuję łaskawemu panu — wyjąkał. — Już pój

— Nie, polubiłem cię — powiedział Stephen z miłym uśmiechem. — Zostań i napij się jeszcze.

— Nie, panie! Błagam łaskawy panie... ja... już... — wytrzeszczył szkliste oczy, otworzył usta szerzej, próbując coś powiedzieć, i osunął się bez czucia na podłogę.

— Dziwne — powiedział Stephen do staruchy. — Z niego zawsze taki śpioch?

Stara klasnęła w dłonie. Niemal natychmiast do izby wtargnęły dwa osiłki o wyglądzie zbirów.

— Jakieś kłopoty, mam? — spytali warkliwie.

— Nie, wyrzucicie tego głupka na dwór. Jak ma coś przy sobie, możecie się podzielić. — Odwróciła się do Stephena z szerokim, bezzębnym uśmiechem.

— Chodźmy, wskażę panu łóżko. I przyślę dziewczynę, najlepszą jaką mam. Szczerze mówiąc, to moja córka!

— Nie, dziękuję — powiedział Stephen, oglądając się na kelnera zwisającego bezwładnie między dwiema bestiami w ludzkiej postaci. — Jestem zbyt zmęczony, by myśleć o kobietach.

Poszedł za starą przez sień do obszernej sali, szczelnie zastawionej rzędami łóżek, było ich dwadzieścia pięć lub trzydzieści. Mniej więcej połowa z nich była już zajęta, goście chrapali aż huczało. Pośrodku sali górowało ogromne łoże z baldachimem i kolumnami z rzeźbionego mahoni. Miało po bokach zasłonki, ściągnięte sznurem. Stephen stwierdził, że po zasunięciu tych draperii będzie mógł odseparować się od sąsiadów.

— Chwileczkę — odezwała się wiedźma. — Dla pana każę powlec świeżą pościel.

Stephen wręczył jej dwie dziesięciocentówki — dwie ostatnie monety, jeśli nie liczyć paru miedziaków, i starucha żwawo podreptała do drzwi. Kiedy odeszła, przysiadł na kraju łóżka, zdjął buty i ściągnął skarpetę z jednej stopy. Największy palec był ogniście czerwony. Stephen schylił się i wyjął spod tego palca ogromną perłę.

— Jesteś moją ostatnią nadzieją — powiedział łagodnym tonem.

Słyszając, że ktoś nadchodzi, ukrył perłę i wyciągnął się na posłaniu. Nad nim z naręczem świeżych powłok stała młoda, może siedemnastoletnia dziewczyna.

Dziewczyna była bardzo ładna, chociaż jej jasne włosy zwisały w nieporządnym kosmykach. Zachichotała na jego widok — przenikliwie, bezmyślnie, dziko. Stephen spojrzał w jej wodniste, szeroko rozstawione niebieskie oczy, były pozbawione wszelkiego wyrazu, jak oczy zwierzęcia.

— To wariatka, biedactwo — szepnął Stephen.

— Pozwól, jasny panie, że pościelę ci łóżko — powiedziała dziewczyna.

Stephen wstał. — Proszę bardzo.

Dziewczyna znów zachichotała. Gdy uniosła ramię, dostrzegł pod jej pachą brunatną plamę zastarzałego potu, szyję dziewczyny znaczyły pręgi brudu.

Woda jest za darmo — pomyślał Stephen — i mydło niezbyt drogie, a jednak...

Dziewczyna uporała się z zadaniem w parę chwil, uporządkowała powłoki z wprawą, którą zyskuje się po latach praktyki. Wyprostowała się, szczerząc do Stephena zęby w głupawym uśmiechu.

— Gotowe, panie.

Stephen ściągnął buty, pozostawiając skarpetki, po czym zdjął zakiet i kamizelkę. Rozmotał ciemny jedwabny halsztuk, rozluźnił kołnierzyk, i z błogim westchnieniem wyciągnął się na łóżku jak długi.

— Możesz zasunąć zasłonki — powiedział. — Jak ci na imię?

— Jenny.

— Jenny to niebrzydkie imię. No, Jenny, bądź grzeczną dziewczynką i zabieraj się stąd.

Słyszał, jak Jenny szarpie za sznur, z szelestem opadły boczne draperie. Stephen przymknął oczy, napawając się ciszą i spokojem. Słyszac jakiś szmer znów je otworzył i odchylił zasłonkę. Wygiąwszy w tył ramiona dziewczyna pośpiesznie rozpięła suknię na plecach. Właśnie ustąpił ostatni guzik i Jenny ujęła kraj spódnicy. Zanim Stephen zdążył wydać zduszony okrzyk protestu, spódnica i halki już frunęły w górę, nad talię, na szczupłym ciele dziewczyny nie było żadnej bielizny.

— Nie — wykrztusił wreszcie.

Dziewczyna znieruchomiała, przytrzymując spódnice nad biodrami. Wybałuszyła na Stephena niebieskie oczy.

— Ale dlaczego? — zapytała żałośnie. — Nie podobam się panu? — Po jej policzkach potoczyły się wielkie łzy, znacząc białe korytarze w pokładach brudu.

— Ależ podobasz mi się, Jenny — powiedział Stephen łagodnie. — Jesteś bardzo ładna, naprawdę. Ale dziś jestem całkiem do niczego, możesz mi wierzyć. Może jutro, jak się trochę prześpię...

— Dziękuję panu, więc do jutra — odeszła drobiąc bosymi stopami po nie heblowanej podłodze.

Stephen obrócił się z westchnieniem na drugi bok. Po chwili spał jak kamień.

Dwukrotnie tej nocy Jenny zakradała się do obwieszzonego ciężkimi zasłonami łoża. Dwukrotnie wyciągała rękę i cofała ją, by umknąć bezgłośnie między rzędami łóżek, gdzie chrapali inni goście.

Nad ranem znów się zjawiała. Sięgnęła do sztywnych, ciężkich od kurzu draperii. Rozsunęła je gwałtownie i stanęła nad śpiącym, drząc jak leśne zwierzątko.

Wyprostowała się nasłuchując, po czym spiesznie naciągnęła zasłony.

Do sali weszła jej matka, a z nią jacyś czterej mężczyźni

— sądząc po odzieży, byli to flisacy z płaskodenek — oraz dwie kobiety. Kobiety chwiałały się na nogach, tuliły do mężczyzn i chichotały bezmyślnie.

— Po dziesiątce od każdego i szóstka za dziewczyny

— powiedziała stara.

— Słuchajcie, co wygaduje nasza burdelmama! — ryknął któryś z przybyłych. — Posłuchaj, paniusiu, weźmiesz dziesiątkę za całą kompanię i jeszcze będziesz dziękowała.

— Co to, to nie! — warknęła. — Płacicie ile się należy albo fora ze dwóra!

— Prędzej dam się wyciągnąć na brzeg i porąbać na kawałki! — zawołał marynarz. — Ty łogawa lisico, pomioście parszywej suki, splodzonej przy nowiu księżycu. Ty...

Stephen z jękiem uniósł głowę i wsparłszy się na łokciu, obserwował to małe zgromadzenie przez szczelinę w uchylonych zasłonach. Jenny odskoczyła od łóżka i pobiegła jak strzała w stronę drzwi. W tej chwili ustały wrzaski i wymachiwanie ramion — marynarz z Kentucky wyciągnął chude ramię i schwycił dziewczynę, która próbowała wymknąć się cichaczem z pokoju.

— Więc to tak — zawołał, przyciągając do siebie uciekinierkę brutalnym gestem. — Chowasz przed nami najlepsze, ty stara wiedźmo!

— Mamo! — zapiszczała Jenny. — Mamusiu!

— Za nią liczę dwa dolary więcej, i to z góry — oświadczyła stara kategorycznym tonem.

— A licz sobie, ile ci się spodoba! Prędzej obalę niedźwiedzia grizzly gołymi rękami i splunę w oczy aligatorowi, niż...

— Spokojnie, Hank — odezwał się jeden z tych, którzy przyszli bez kobiety. — Bierz swoją forszę, mamusiu. — Wyciągnął z przepastnej kieszeni jakiś zmięty banknot. — Masz dixie. — Podał jej drukowaną w Nowym Orleanie dziesięciodolarówkę, która miała wydrukowane w rogach francuskie słowo dix* ...

* dix (franc.) — dziesięć

Za resztę możesz nam przynieść coś do picia. — Zwrócił się do marynarza z Kentucky: — No, Hank, odstęp mi tę małą.

— Niech skisnę, niech będę dwakroć przeklęty, jeśli ci ją oddam! — zaperzył się Hank. — Spróbuj mi ją odebrać, ty rozdeptana glisto!

— A żebyś wiedział, że odbiorę, a ty mi nie przeszkodzisz, szczurzy pokurczu. — Sięgnąwszy po morderczy nóż sprężynowy ruszył na przeciwnika, który miotał straszliwe przekleństwa.

Stephen spuścił nogi z łóżka i wciągnął wysokie buty. Nasadził na głowę szary kapelusz, przez ramię przerzucił żakiet, kamizelkę i jedwabny halsztuk i ruszył w stronę drzwi, przy których Kentuckczyk walił przeciwnika w głowę kolumną, wyrwaną z któregoś łoża, a tamten nie pozostawał mu dłużny — morderczy nóż śmigał w powietrzu jak błyskawica. Stephen wyminął ich i wyszedł z sali, odprowadzany trzaskiem łamanych mebli i przeraźliwymi krzykami kobiet.

Szedł niespiesznie ulicą, zgiełk burdy powoli zamierał w oddali. Stephen uśmiechnął się krzywo.

— Niebezpieczne miasteczko — mruknął i ruszył zważym krokiem w kierunku cmentarza.

Opuściwszy Swamp, zatrzymał się w jakimś zaułku i uporządkował odzież. Do rana miał jeszcze dobrych kilka godzin. Stojąc na rogu ulicy, rozglądał się na wszystkie strony, bębnił niezdecydowanie palcami po kolbie deringera.

Święci Pańscy na wysokościach — mówił sobie. — Jeszcze jedna taka historia i nie będę miał wątpliwości: ja po prostu zwariowałem!

— Na pomoc! — zabrzmiał jakby w odpowiedzi czyjś głos, terkocząc szybko po francusku. — Niech mi pan pomoże, błagam!

Stephen wybuchnął głośnym śmiechem.

— Sam tego chciałem — zaśmiewał się. — Mój Boże, sam się o to prosiłem!

— Proszę mi pomóc! — nalegał głos.

— A gdzie pan jest? — zapytał Stephen, dławiąc chichot.

— Tu, za murkiem! Obrabowano mnie!

Wsparłszy się o murek, Stephen wywindował się na górę. Po tamtej stronie przycupnął jakiś młodzik, w samej tylko koszuli i jedwabnych ineksprymablach.

— Słodka Panienko! — zawołał Stephen. — Teraz już nic mnie w życiu nie zdziwi.

— Nie przywołuj pan nadaremnie imienia boskiego! — ofuknął go tamten. — To przynosi pecha. A więc mówi pan po francusku?

— Tylko wtedy, kiedy muszę — odparł Stephen. — To pokraczny szwargot, niegodny ust poważnego człowieka.

— Panie! Wypraszam sobie! Żądam, by natychmiast...

— Nie gorączkuj się, młodzieniaszku, w twoim położeniu nie bardzo wypada ci żądać czegokolwiek. Nie chciałem cię urazić. Po prostu Irlandczykowi niełatwo posługiwać się francuszczyzną. Mais, si vous désirez...*

* *Mais, si vous désirez (franc.)*

— Ależ pan mówi jak paryżanin!

— Bo też nauczyłem się francuskiego w Paryżu — odparł Stephen. — Ale teraz pomyślmy jednak o pańskich portkach.

— Tak, ale co tu można wymyślić?

— Czy jest w pobliżu jakiś lokal, gdzie ludzie zalewają robaka, aż wpadną pod stół?

— Owszem, jest, ale nie rozumiem...

— Słuchaj, chłopcze, nie jesteś tu po to, by rozumieć. Po prostu zaprowadź mnie tam gdzie proszę. I bez obawy — o tej porze raczej nie spotkasz żadnej damy.

— Dobrze, ale wciąż nie pojmuję...

— Słuchaj no pan, panie taki czy owaki...

— Le Blanc. André Le Blanc.

— No więc panie Le Blanc, nie mam grosza przy duszy. — Ale jeśli pan woli...

Pan chyba też nie. Zamierzam więc dostosować się do okoliczności i ... wypożyczyć dla pana jakieś spodnie.

— Monsieur, pan chyba nie...

— Nazywam się Fox. Wydaje mi się, że wyrównanie straty to żaden grzech. Zresztą chodzi wyłącznie o pożyczkę. No, idziemy!

Znad rzeki płynął tuman mgły i sunął przez Swamp w głąb miasta, jaśniejszy z każdą chwilą. W drzewach poćwierkiwały senne jeszcze wróble. Stephen wciągnął woń mgły w cienkie, ruchliwe nozdrza.

— Musimy brać się do dzieła. Niebawem się rozwidni.

Ruszył, za nim André, pocieszenie skulony, na dziwacznie przykurczonych nogach.

— Idźże prosto, człowieku! — ofuknął go Stephen. — Przed kim tak się pan chowasz? Przed wróblami płci żeńskiej?

Skęcili za róg. Okna stojącego po przeciwnej stronie piętrowego budynku jarzyły się żółtym światłem, drewniane ściany zdobiły wymyślne ozdoby z kutego żelaza.

— To tutaj — powiedział André.

W tejże chwili z domu wyszła grupka jegomościów o podejrzanym wyglądzie. Szli niepewnie, zataczając się lekko.

André spojrzał pytająco na towarzysza.

— Nie teraz. Jest ich zbyt wielu. Poczekamy na jakiś pojedynczy okaz. I musi mieć więcej w czubie.

Czekali. Ciemnoszara mgła wciąż jaśniała, zbliżał się świt. André przestępował z nogi na nogę.

— Teraz! — rzucił znielacka Stephen. — Idziemy. Tamten mężczyzna szedł zygzakiem po drewnianej banquette* podśpiewując pod nosem:

Roxane, mon ange, ma douce, Je t'aime 'vec tout mon coeur!**

* *banquette* (franc.) — trotuar

** *Roxane, mon ange...* (franc.)

— Ale się rozśpiewał! — powiedział André. — Ale to kawał chłopca, nie damy mu rady!

— Roxano, mój słodki aniele, Kocham się w tobie na zabój

— Nie wysłałbym pana po kupno konia, nie umie pan patrzeć. Przyjrzyj się pan lepiej, przecież to brzuchacz cała siła poszła mu w sadło na brzuchu. Założę się, że nogi ma cienkie jak piszczałki. No jazda, pan z tamtej strony. Zatka mu pan usta ręką i nie puści, choćby kąsał.

Przebiegłszy przez obłok popielatej mgły, zaszli grubasa od tyłu. Ramię André wystrzeliło do przodu i piosnka o słodkiej Roksanie zamarała w gardle ofiary. Stephen wparł kolano w krzyż śpiewaka i bezlitośnie wykręcił mu ręce w tył.

— Halsztuk, szybko! — rzucił w stronę André. André ściągnął krawat na szyi birbanta, o mało go przy tym nie dusząc.

— Będziemy go wieszać? — spytał z łobuzerskim uśmiechem.

Stephen wybuchnął śmiechem.

— Wiedziałem, że będzie z pana mężczyzna, chociaż wygląda pan raczej na ładną panienkę. Wystarczy go zakneblować. Przyjemniej będzie poderżnąć mu powoli gardło, co pan na to?

Grubas zbladł jak ściana, przestał się wrywać.

Stephen związał mu nadgarstki jego własnym krawatem, do czym ułożyli go delikatnie na ziemi i zabrali spodnie. Śmiali się przy tym i dogadywali.

— Nie mogę powiedzieć, żebyś miał dobry gust, przyjacielu — stwierdził Stephen.

— Pewnie szył je ten łapserdak Clovis wtórował André.

— Powinieneś pan przenieść się do Lagoastera poradził swej oniemiałej ofierze. — To najlepszy krawiec w Nowym Orleanie, możesz mi pan wierzyć.

Stephen zręcznie przeszukał kieszenie grubasa. Znalazł sakiewkę i garść listów.

— Ten pan nazywa się Metoyer — stwierdził, obejrawszy listy — i mieszka przy ulicy Poydras. Zapamiętaj pan adres — przyda się, jak będziemy uprowadzali jego żonę i córkę.

— Niech mu pan odda te listy — powiedział André.

— No, jak wyglądam?

— Jak książkę krwi. Ale zbierajmy się, musimy jeszcze zatłuc tę wdowę z Podwala.

— Rozwiązać mu ręce? — spytał André szeptem rozdygotanym od tłumionego śmiechu.

— Nie, niech go rozwiążą policjanci. Pewnie opíše nas jako dwóch najplugawszych zbirów, jacy kiedykolwiek zbrukali to miasto swoją

obecnością. Uszanowanie łaskawemu panu! — dodał głośno. — Ufam, że dobrze się będzie spało dobrodziejowi.

Odeszli ramię w ramię: z mgły dobiegał ich dźwięczny, młodzieńczy śmiech.

— Pójdziemy do mnie — zdecydował André. — Zjemy śniadanie, prześpimy się z godziną, a potem oprowadzę pana po mieście. Szkoda mi żegnać się z panem, jeszcze do dzisiejszego ranka umierałem z nudów.

— Zdąży się pan znudzić moim towarzystwem — odparł Stephen z uśmiechem. — Zamierzam tu osiaść na stałe.

Przeszli kilka krętych, marnie brukowanych uliczek. W rynsztokach wciąż stała woda, chociaż deszczu nie było od dwóch tygodni. W twarz Stephena buchnął ostry odór. Spojrzał pod nogi: w rynsztoku leżało wzdęte ścierwo jakiegoś psa, który zdechł co najmniej przed trzema dniami. Szybko odwrócił wzrok.

— Jezus Maria! — zawołał. — Cóż to za plugawe miasto! Czy władze miejskie kiedykolwiek...

— Nie — odparł André, wzruszając ramionami. — A kiedy przychodzą upały, ludzie mrą jak muchy.

— I nikt nie stara się tego zmienić?

— Właśnie.

Szli w milczeniu. Słońce już weszło, opadła poranna mgła. Ulice, ciasne i wąskie, prawie nie miały chodników, niektóre ich odcinki wyłożono kocimi łbami według jakiegoś niejasnego, chaotycznego planu.

Domy stały tuż przy ulicy, ciasno stłoczone, bez werand, ganków czy choćby fasad. Jednak większość z nich miała obszerne balkony, zwane tu galeriami, o ozdobnych balustradach z kutego żelaza. Mieszkańcy mogli cieszyć się zaciszem domowego życia, by za chwilę bez trudu włączyć się w zgiełk ulicy.

Dom André był podobny do okolicznych budowli, choć większy od nich i bardziej elegancki. Metalowa konstrukcja przestronnej galerii była misterna niby kosztowne koronki. Wprost z chodnika — nie było tam nawet pojedynczego stopnia — weszli w masywne drzwi dębowe. Wnętrze było chłodne i mroczne, że było także urządzone z przepychem, Stephen zorientował się gdy jego wzrok przyzwyczaił się do ciemności. Najlepsi stolarze Francji obrabiali ten dąb, drzewo tekowe i mahoń, wytwarzali te piękne sprzęty z oddaniem, nieledwie czułością.

Lokaj André wziął kapelusze i okrycia przybyłych.

— Dzień dobry, monsieur André — powiedział — Ojciec panicza...

— ...jest niekontent. Papa jest prawie zawsze niekontent

— zwrócił się André do Stephena. — Sypiam za dnia a buszuję po nocy, oto dlaczego jest wiecznie niezadowolony. Nienawidzę rolnictwa, upraw, plantacji. Jeżdżę do La Place des Rivieres — to nasza plantacja — tylko wtedy, gdy muszę, i przez cały czas konam z nudów. To też mu się nie podoba. I nie chcę się żenić. Papa już wszystko ułożył, nawet wybrał mi pannę. Aleja lubię odmianę w łóżku. A co do Marie de Pontabla, to wolałbym już spać z miotłą. To już doprowadza papę do szału, po prostu piana toczy mu się z ust. Z czego się śmiesz, Ti Demon?

— Z niczego, panie! — radosny, olśniewający uśmiech znikł z czarnej twarzy, jakby go tam wcale nie było.

— Napijemy się kawy na dziedzińcu. Czarnej, Ti Demon, bez mleka. I brandy, Chateau Elisée, rocznik 69, nie tej urine de cheval*, którą papa trzyma w domu.

* urine de cheval (franc.)

Chodźmy, Stephen chyba mogę tak do ciebie mówić? Wydaje mi się, że znamy się od wieków.

— Ależ naturalnie — uśmiechnął się zagadnięty. Ruszyli przez amfiladę chłodnych pokoi o niezwykle wysokich stropach. Front domu znajdował się w gruncie rzeczy od tyłu, pokoje rozplanowano w ten sposób, że cały dom zdawał się lekceważyć świat zewnętrzny z prawdziwie królewską wyniosłością. Gdy szli, kryształowe wisioriki kandelabrow podzwaniały cichutko.

Dziedziniec był wyłożony szaroniebieskimi płytami kamiennymi. W wielkich donicach kwitły oleandry. Z wychodzących na podwórze okien zwieszały się paprocie, pierzaste liście palm i bananowca. Pośrodku była maleńka sadzawka, urządzona z myślą o ptakach, właśnie kapały się w niej młode wróble. Siadając w fotelu, Stephen omiół wzrokiem rząd ogromnych naczyń, polewanych jaskrawoniebieską emalią, o kształcie zbliżonym do amfor.

— Zbiorniki na wodę — odpowiedział André na jego nieme pytanie. — Poczekaj, zaraz cię poczęstuję. — Przyniósł z domu kryształowy dzbanek i kubki z najprzedniejszego szkła, i wspiawszy się na ławkę zaczerpnął wody ze zbiornika, była przejrzysta jak ów kryształowy dzbanek.

Stephen wziął kubek i pociągnął tęgi łyk. Po chwili twarz mu poczerwieniała, uszy zaczęły go palić jak ogień.

— Wypluj — zaśmiał się André. — Teraz już wiesz, dlaczego wolimy wino.

— Święci niebiescy! — wybełkotał Stephen. — Czegoście tu dosypali? Szczeka mi zupełnie zeszywniała!

— Ałunu i sproszkowanego węgla drzewnego. Gdyby nie te dodatki, już by było po tobie. Tu woda jest trująca, więc kupujemy ów nektar, któregoś właśnie skosztował, od handlarzy — zwożą go beczkami z rzeki. Zabija człowieka tylko trochę wolniej niż woda studzienna. Więc jej nie tykamy. Ale to możesz pić bez obawy — dodał wskazując na kawę i brandy, które Ti Demon niósł przez krużganek.

André dolał hojną ręką brandy do filiżanki z kawą, ale Stephen zaczął od brandy. Gdy ciepło rozeszło się miłą falą od żołądka do głowy, wypił kawę jednym duszkiem.

— Teraz idziemy spać — powiedział André. — Możemy przespać cały dzień, jeśli chcesz. Tak zwykle robię.

— Przepraszam, monsieur André — wtrącił się Ti Demon — ale dziś będą te uroczystości, na cześć markiza La Fayette*.

***La Fayette — francuski generał i polityk, walczył o niepodległość Stanów Zjednoczonych**

— Słusznie. Nie możemy tego przegapić.

— Przyjeżdża La Fayette? — zdziwił się Stephen.

— Tak, przybędzie dziś rano „Natchezem” z Mobile. Burmistrz wyłożył z publicznej kiesy 15000 dolarów — oczywiście za zgodą rady miejskiej — by godnie przyjąć gości. Będą tam wszyscy. Zobaczysz dziś więcej nowoorleańskich wielmożów niż przez cały rok. — Stłumił ziewnięcie grzbietem dłoni.

— Ti Demon, zaprowadź pana Foxa do pokoju gościnnego. Kiedy cię zwolni, przyjdź do mnie — pošlę cię na miasto w pewnej sprawie.

— Odsyłasz te portki?

— Oczywiście. Dorzucę do nich złotą tabakierkę wykładaną lazurytem, którą ta chuda jak szczapa mademoiselle de Pontabla przysłała mi z Meksyku. Prawdziwa ohyda. Zastanawiałem się, co z nią zrobić.

Stephen roześmiał się.

— Coś mi się wydaje — chichotał — że nie pałasz wielkim uczuciem do narzeczonej, którą wyszukał ci ojciec.

— Żebyś wiedział. Byłem zawsze posłusznym synem, ale tym razem papa posunął się za daleko.

Wyciągnął rękę.

— Śpij dobrze, przyjacielu. Ti Demon obudzi nas, zanim się wszystko zacznie.

Stephen poszedł za czarnym służącym przez płataninę pokoi, a następnie obszernymi schodami na górę. Ti Demon otworzył jakieś drzwi i usunął się

na bok. Stephen wszedł do wystawnie urządzonego pokoju. Pośrodku królowało masywne łoże z baldachimem.

Ti Demon spulchnił poduszki i odrzucił narzutę.

— Czy monsieur życzy sobie czegoś?

— Niczego, dziękuję. Jak mnie obudzisz, naszykuj mi gorącą kąpiel i nie zapomnij o brzytwie. To wszystko.

Skłoniwszy się, Ti Demon bezszelestnie opuścił pokój.

O to mi zawsze chodziło, pomyślał Stephen. Życie takim życiem eleganckim, niespiesznym, oddawać się własnym zainteresowaniom, zaspokajać każdy kaprys. Człowiek powinien być wolny od przekleństwa pracy. Zostawmy pracę czarnym. Stwórzmy nowe pokolenie panów.

Nie było wątpliwości — Nowy Orlean bił na głowę Filadelfię, którą przywykł uważać za swoje miasto od czasu przyjazdu do Ameryki. Było to cztery lata temu — właśnie skończył dwadzieścia jeden lat. Miał jeszcze mleko pod wąsem, ale znał już życie od podszewki — przewyższał sprytem i doświadczeniem niejednego dwakroć starszego franta. W ciągu tych czterech lat zmęźniał i okrzepł, stracił wdzięk pierwszej młodości. Mając dwadzieścia pięć lat wyglądał teraz na lat dwadzieścia osiem albo i trzydzieści. Był z tego zadowolony.

To kwestia odżywiania, myślał. Dobrego jedzenia, dostatniego życia, a także powietrza. Powietrze w tej okolicy miało w sobie coś niezwykłego. Może niebo tu jest wyższe i rozleglejsze niż gdzie indziej. I oddycha się tu pełną piersią, powietrze jest takie lekkie i czyste, wolne od posepnych mgieł i szarych ślot. Tutaj słońce nie skąpi złota, rozszalałe burze chłuszczą ziemię wichrami i ulewami, a nazajutrz wszystko lśni i skrzy czystością. Nawet w ludzkim sercu budzi się pogoda. Stephen już wiedział, czego pragnie: wolnego życia dla siebie i swoich synów, władzy nad tą ziemią, dynastii prawdziwych mężczyzn, którzy pójdą bez bojaźni przez Amerykę i nie będą musieli oszukiwać, kłamać ani kraść.

Ułożył głowę na zgiętych ramionach i natychmiast zasnął.

ROZDZIAŁ 2

André i Stephen szli powoli przez tłum. Niejeden oglądał się za nimi ciekawie. W owych czasach niewielu mężczyzn było tak wysokich jak Stephen, jego ognistoruda czupryna płonęła jak latarnia w ciemnym morzu kreolskich głów. Dziwiono się też, że jakiś Mericain coquin — amerykański łapserdak — tak się spoufala z młodym kreolskim arystokratą. Starsi Francuzi potrzęsali z ubolewaniem głowami, widząc w tym jeszcze jeden dowód degeneracji młodszego pokolenia. Amerykańskie dzielnice rozrastały się jak dzikie ziele, wypierając kreolskich panów do ciasnego kwartału nadrzecznego — pierwotnej osady miejskiej. Francuzi pamiętali z tej dawniejszej epoki niejeden przykry zatarg z nieokrzesanymi flisakami, którzy walczyli nożami, butelkami i kułakami, lecz nigdy rapierem. Także kupcy amerykańscy uciekali się do metod, które w oczach Kreola były zwyczajnym złodziejstwem. Amerykanin i honor nigdy nie szli w parze.

— Moglibyśmy gdzie przysiąść — powiedział André. „Natchez” przybije za kilka ładnych godzin.

— Zgoda — odparł Stephen. — Chętnie przepłukałbym sobie gardło. Może wstapilibyśmy do tamtej kawiarni?

— Stój, na litość boską! To jest Cafe des Améliorations!

— Cóż z tego? — rzucił Stephen nie zwalniając kroku.

— Przecież chyba mają tam jakieś wino? A może i whisky? Czy też żądam zbyt wiele?

— Niczego nie pojmujesz, Stephen. Ci ludzie — stali bywalcy są okropnie starzy. I tacy staroświeccy...

— Mów bez ogródek, chłopcze. O co tu naprawdę chodzi?

— No dobrze. Ci ludzie pochodzą z najstarszych miejscowych rodów. Są przekonani, że Luizjana winna pozostać częścią Francji. Być może nienawidzą diabła bardziej niż Amerykanina, lecz osobiście wątpię w to.

— Mógłbym powiedzieć, że nie jestem Amerykaninem

— rzekł Stephen z namysłem. — Ostatecznie jestem tu dopiero cztery lata. Ale kiedy zastanawiam się nad tym głębiej, dochodzę do wniosku, że chyba jednak jestem nim, niestety. Chodźmy zatem gdzie indziej. Nie jestem usposobiony do awantur.

— Co byś powiedział na „Bourse de Maspero”?

— Powiedziałbym: zgoda, idziemy do Maspero. Zaczęli przeciskać się przez tłum, nie szczędząc łokci i kolan, lecz ciżba była tak wielka, że prawie nie ruszyli się z miejsca.

— Szkoda zachodu — oświadczył Stephen. — Przekąśmy coś na powietrzu, jak inni.

— Ależ Stephen...

— Nie bądź takim jaśnie panem. Przez takie fochy wasza arystokracja postradała głowy. Można odłożyć na jakiś czas pańskie nawyki, a jednak pozostać panem.

André wzruszył ramionami i zaczęli przedzierać się przez zwarty gąszcz ludzki w stronę smągłego Greka w ogromnym karmazynowym fezie, handlującego ostrygami, piwem imbirowym i sorbetem. Jakaś niemłoda Murzynka zawołała zachęcająco:

— Estomac muletre. Żołądek Mulata! Estomac muletrel Achetez Kupujcie, panowie! Chodźcie, częstujcie się! Pyszny żołądek Mulata!

— Więc na dodatek jesteście kanibalami? — zdumiał się Stephen. — A co robicie z resztą czarnucha, jeśli pożeracie tylko żołądek?

— Chwileczkę — rzucił André. — Tante* — zwrócił się do handlarki — daj mi osiem żołądków. — Wręczył jej monetę, a stara wyjęła z koszyka osiem okrągłych ciastek z przyprawami, jeszcze gorących.

* Tante (franc.) — ciotko

— Proszę, cztery dla ciebie, cztery dla mnie — powiedział André. — Prawda, jakie nasi Mulaci mają smakowite organy?

— Żeby w ten sposób nazywać ciastka imbirowe... Wy Francuzi jesteście zupełnie zwariowani, to jasne.

— Być może, ale oto inny nasz produkt — popatrz! Stephen wziął banana z ulicznego straganu i obierając go ze skórki, spojrział we wskazanym przez André kierunku. Przez tłum prześlizgiwała się grupka jaskrawo odzianych dziewcząt niby barwne stadko szczebiotliwych ptaków. Nie miały koronkowych parasolek, nie chowały przed słońcem gładkich, młodych twarzy. I rzecz dziwna — na głowach nie miały kapturków, jakie zwykle noszą kreolskie damy, lecz kolorowe zawoje niewolnic.

— Mój Boże — zdziwił się Stephen. — Ubrały się jak Murzynki. Ten sam fason, tyle że materiał w lepszym gatunku.

— To kwarteronki. Ich ojcowie i dziadkowie...

— ...byli biali, a matki takie jak ta przekupka z żołądkami. Nie pojmuję, jak wy, Francuzi, możecie tak postępować. Nic mnie bardziej nie brzydzi niż czarnuch. Spać z jakąś czarną małpą — tfu!

— Jesteś tu od niedawna. Przyjdzie czas, że będziesz myślał inaczej. Zresztą ich matki były prawie równie białe jak one. Zaczęliśmy je wybielać wiele pokoleń wstecz. Tylko patrzeć, jak sam wyszukasz sobie jakąś placée*.* placée (franc.) — utrzymankę

— Nigdy w życiu — oświadczył Stephen kategorycznym tonem.

Tłum poniósł ich w głąb ulicy. Huknęła armata i wszyscy rzucili się do przodu jak wzburzona lawa.

— To on! — zawołał André. — „Natchez” właśnie zawinął do portu!

Ludzie czekali w napięciu. Stephen błędził wzrokiem po tej niezmierzonej ciżbie. Wszyscy ubrali się odświętnie, machali trójkolorowymi chorągiewkami. Spojrzał dalej, tam gdzie czekały karety, lekkie powoziki, faetony, landa i kabriolety. Tamte kobiety miały na sobie suknie z mieniącego się jedwabiu i muślinu. Gdy gwarzyły i uśmiechały się, ciemne loki podskakiwały nad ich drobnymi uszkami, koronkowe parasolki kołysały się rozkosznie.

— Nadchodzą — powiedział André. — Spójrz, już ich widać. Oto Lafayette! Obok niego burmistrz de Roffenac, Joseph Duplantier...

Lecz Stephen nie patrzył w tamtą stronę. Na plac zajechał klusem zgrabny zielonozłoty powozik, zaprzężony w dwa ogniste gniadosze. Stephen, zawołany koniarz, nigdy dotąd nie widział świetniejszego zaprzęgu. Konie miały doskonałą uprząż, a powożący nimi Murzyn — nieskazitelną liberię w barwach powozu.

— A tamci — ciągnął André — to Vincent Nolte, bankier, i generał Villere...

Stephen wbił w ramię towarzysza żelazne palce.

— A co to za jedne? André odwrócił się.

— Widzę, że masz słabość do ładnych buzi. To siostry Arceneaux. Uważam, że to najpiękniejsze panny w całym Orleanie.

— Słuchaj, mnie chodzi tylko o jedną, tę z włosami jak czarna noc bez jednej gwiazdy.

— Nie wiedziałem, że jesteś także poetą! Nigdy bym cię o to nie posądził.

— Na litość boską! Pytam go o imię mojej przyszłej żony, a ten mi tu prawi o poezji!

— Nie gorączkuj się tak, przyjacielu. Ma na imię Odalie.

I łączą ją więzy krwi z tym nieszczęsnym, straconym rodem królewskim. Poza tym, nie znajdziesz w Orleanie wybitnego i zamożnego obywatela, który by nie prosił jej o rękę dla siebie lub dla syna. Proponuję, żebyś uderzył w konkury do jakiejś przystępniejszej panny — na przykład następczyni angielskiego tronu. I nie wpatruj się w nią tak nachalnie — bo to bardzo niegrzecznie!

— Do diabła z twoimi propozycjami! Masz mi ją przedstawić — natychmiast!

— Przykro mi, stary druhu, ale to zupełnie niemożliwe.

— Dlaczego?

— Tu, w miejscu publicznym, byłoby to szczytem obrazy. I wcale bym się nie zdziwił, gdyby Odalie udało, że mnie wcale nie zna, widząc że zadaje się z jakimś Kentuckczykiem.

— Nie pochodzę z Kentucky! — warknął Stephen.

— W pojęciu Kreola — tłumaczył André łagodnym tonem — wszyscy Amerykanie pochodzą z Kentucky, i wszyscy to hołota.

— Rozumiem — odparł Stephen cicho. — Tę opinię sam zapewne podzielasz?

— Wolnego, kochany Stephenie. Nie mam chęci paść trupem w jakimś durnym pojedynku. Pomówmy otwarcie. Jesteś bez grosza, prowadzisz awanturniczy tryb życia. W obecnej chwili twoje szanse u panny Arceneaux są równe zeru. — Zamilkł, nie odrywając oczu od twarzy Stephena.

Pośrodku Place D'Armes* burmistrz Louis Philippe de Roffenac wygłaszał właśnie mowę powitalną na cześć najwybitniejszego gościa tego miasta.

* **Place D'Armes (franc.) — plac Broni**

Żaden z młodzieńców nie słyszał ani słowa z jego wartkiej, świszczącej francuszczyzny.

— Mów dalej — odezwał się Stephen.

— Za jakiś czas twoje szanse mogą wzrosnąć. Przecież sam widzę, jaki z ciebie twardy, nieustępliwy typ. Gdybym mógł ci coś doradzić, to powiedziałbym: Poczekaj, nabij wpierw kiesę. Zdobądź jakąś pozycję w życiu politycznym. Byłoby dobrze, gdybyś popierał interesy Kreolów. Przysporzyłoby ci to wielu przyjaciół, jako żeś Amerykanin. A wtedy przy twoich nagłych przejściach od młodzieńczej porywczosci do zimnego wyrachowania — kto wie, co się może zdarzyć. Prawda, że niejednemu dała już kosza, ale żaden nie był taki jak ty.

— Wątpię, czybyś zdołał mnie zabić, André. Uczylem się szermierki w Paryżu, u samego Raoul Roberta — oświadczył nieoczekiwanie Stephen. A po chwili dodał z uśmiechem, wyciągając rękę na zgodę: — Masz rację, chłopcze. Nie będę się spieszył. — Łobuzersko wygiął złocistą brew. — Założę się o tysiąc dolarów, że panna będzie moja!

— Zakład stoi! — zawołał André. — Więc znów jesteśmy przyjaciółmi? Przed chwilą zdawało mi się, że moje życie wisi na włosku.

— Bo wisiało. Ale nigdy więcej nie musisz się mnie obawiać, cokolwiek byś rzekł.

Uścisnęły sobie dłonie i André odwrócił się w stronę placu, gdzie Bernard de Marigny rozprawiał ze swadą o męznym wsparciu, jakiego ten wielki żołnierz Francji udzielił młodziutkiej republice, w której skład wchodziła obecnie Luizjana.

Odwrócony plecami do tłumu Stephen wpatrywał się w Odalie spod wólpłrzymkniętych powiek. Mogło się wydawać, że dziewczyna słucha krasomówcy z Nowej Francji z niepodzielną uwagą, jednak jej kształtne uszka różowiały coraz mocniej. Po chwili spąsowiała jej twarz, ale Stephen wciąż nie odwracał oczu.

André obejrzał się na towarzysza.

— Proszę cię, Stephen — rzucił półgłosem. Stephen odwrócił się więc w stronę placu. Właśnie stary żołnierz, który ongiś przywiózł z za oceanu dar wolności, wstawał by podziękować za powitanie, jakie mu zgotowano.

— Jeśli o mnie chodzi — szepnął André — to uważam, że mogeś lepiej wybrać. Młodsza, Aurore, jest bardziej urodziwa. Nie spostrzegłbyś tego na pierwszy rzut oka, Aurore zyskuje przy bliższym poznaniu. Jest o wiele bardziej cicha i łagodniejsza. Biedactwo żyje w cieniu władczej Odalie. Ale jest piękna tym pięknem, które wywodzi się z duszy.

Przemówienia dobiegły końca. Komitet powitalny wyniósł Lafayette'a na rękach pośród huku dział i wiwatów tłumu. Młodzieńcy zaczęli przedzierać się przez nieprzebrane, wielobarwne tłumy ludzi: białych, mieszaińców o różnej proporcji białej krwi — Mulatów z trzeciego, drugiego i pierwszego pokolenia, obdartych Murzynów, poważnych kupców, posepnie przyodzianych księży i zakonnic, odcinających się ciemną plamą w tym pstrym, wielobarwnym wzorze.

Mijając powozik, André uchylił kapelusza, Stephen uklonił się. Odalie sztywno skinęła głową, zaś Aurore skłoniła z uśmiechem głowę, miękkie ciemnoblonde loki zakotyły się nad jej uszami.

— Za czym się tak oglądasz, na Boga? — spytała Odalie, kiedy młodsza siostra odwróciła się na poduszkach powozu, patrząc za Stephenem i André.

— Za niczym szczególnym.

— Nie kręć, Aurore!

— Patrzyłam... na tego człowieka, który przyszedł z Andre. Macere tak jasną... jak bóg słońca, do którego modlą się Indianie w Meksyku... i tak ci się przyglądał...

— Ten Kentuckczyk?! Jedziemy do domu! Ruszaj, Roget.

— Chciałbym pokazać ci coś jeszcze — powiedział Andre, gdy opuszczali plac.

— Po co? Już wszystko widziałem.

— Nie zgadzam się. Owszem mademoiselle Arceneaux to nie byle co, ale to nie wszystko. Tu skręcamy.

Weszli na inny plac, równie zatłoczony jak tamten. Jednak ten plac zajmowali wyłącznie Murzyni — zwarty mur czarnej społeczności, roześmianej, rozgadanej, żywiołowej. Na obrzeżu tłumu pokrzykiwali przekupnie, zachwalając napoje i zakąski, które nosili na wielkich tacach, przytroczonych rzemykami do szyi. Pod płóciennymi markizami siedziały przekupki, wystawiając na sprzedaż paszteciki, lemoniadę, piwo imbirowe i żółtą Mulatów, na sprzedaż i na żer much.

Jakiś ogromny Murzyn przykucnął przy beczułce, przekształconej w rodzaj bębna: na górny jej otwór naciągnięto kawałek skóry. Opodal stało kilku białych, trzymali się od Murzynów z daleka, przyglądali się im z pobłażliwym rozbawieniem.

Wtem jakiś policjant uniósł rękę, niewolnicy przesunęli się do przodu, tworząc zwarty czworobok. Wielki Murzyn uderzył w bęben dwiema krowimi piszczelami i tłum buchnął okrzykiem:

— Bamboula! Danse Bamboula! Badoum! Tańczymy bambule!

Piszczele biły o psią skórę tak prędko, że mieniły się w oczach. Brzmiał miarowy, równy, nieustanny werbel w niezmiennej tonacji jak głos idący z głębi Afryki, prastary głos czarnej magii. Stephen czuł, jak ten ciemny rytm wnika w głąb jego ciała, budząc w nim niejasne pragnienia, poczuł się nieswojo. Mężczyźni skakali wysoko w górę, muszelki i cynowe blaszki, zdobiące kostki ich nóg, wtórowały cienkim jazgotem dudnieniu bębna.

Poruszali się w szczególnie sposób, kanciastymi, sztywnymi ruchami: kroczyli sztywno, nie zginając kolan, odrzuciwszy w tył ramiona, wygiąwszy łukowato szyję, patrzyli w niebo. Taka była formuła tego pradawnego tańca pełnego ukrytych znaczeń, które przemawiały do uśpionych zmysłów, nie do świadomej jaźni. Gdy skakali w górę krzycząc: Badoum! Badoum! było jasne, że czynili to już tysiące razy przedtem, w ten sam sposób. Zmieniły się słowa — kreolski żargon zastąpił gardłowe narzecza afrykańskie — lecz wszystko inne pozostało takie jak było kiedyś. Gdy się patrzyło mrużąc oczy, nawet jaskrawe strzępy ubrań, które dostali od swych panów, mieniły się jak strusie pióra i piękne muszle, zebrane w ciemnych, odległych krainach.

Teraz do tańczących dołączyły kobiety. Nie odrywając stóp od ziemi, kołysały się na boki, poruszając biodrami w powolnym, zmysłowym rytmie.

Tańcząc, zawodziły niskimi głosami jakąś pieśń, przejmującą i powolną jak pieśń żałobna. Był ciepły kwietniowy dzień, a Stephen czuł jak jego ciało przenika lodowaty dreszcz.

— To nieczyste sprawy — mruknął. — Tak wyją cmentarne strzygi.

— Oni się doskonale bawią — zaśmiał się André.

— Spójrz na tę staruchę z kulfoniastym nosem...

— Zabierajmy się stąd! — powiedział nagle Stephen.

— Ale dlaczego?

— To jakieś diabelskie moce — odparł Stephen.

— Mały i demony. Idziemy!

Opuścili plac, ulica zwięzała się coraz bardziej, galerie przeciwnych domów niemal stykały się ze sobą, tak że wokół panował półmrok. Młodzieńcy szli w milczeniu, przystając co jakiś czas, by przepuścić na wąskim trotuarze jakiegoś przekupnia, staruszkę, a zdarzało się że i zakonnicę.

W pewnej chwili Stephen zatrzymał się przed wąską oszkloną gablotą, wystającą tak daleko, że sięgała połowy chodnika. Wystawiono w niej pierścionki, spinki do włosów, wisiorki, ozdobne pistolety, używane do pojedynków, rapier ze srebrną rękojeścią i zatrzęsienie tabakierki. Na zielono malowanym szyldzie widniały w pół zatarte złote litery: Montdepiété*.

* **Montdepiété (franc.) — bank miłosierdzia, czyli bank udzielający nieoprocentowanych pożyczek**

— Czemu stoisz? — spytał André.

— Bez specjalnego powodu. Coś mi się przypomniało. Czy mógłbyś mnie zostawić na pół godziny? Dołączę do ciebie później.

— Mógłbym, ale wcale mi to nie w smak — odparł André. — Jesteś tu obcy, nie znasz Nowego Orleanu. A przede wszystkim jesteś moim gościem.

Stephen roześmiał się.

— Sądzisz, że bez ciebie stanie mi się jakaś krzywda?

— Nie w tym rzecz. Ale uważam, że byłoby nieuprzejmością z mojej strony...

— Daj spokój, chłopcze. Muszę tu załatwić kilka spraw

— niektóre nie są przeznaczone dla twoich niewinnych oczu — powiedział Stephen z szelmowskim uśmiechem.

— Nie chciałbym stracić twojego szacunku, rozumiesz. Nie minie godzina a będę z powrotem, zobaczysz.

— Jeśli trzeba ci pieniędzy, to ja...

— Znów chcesz się ze mną kłócić? — przerwał mu Stephen. — Nie wezmę od ciebie złamanego szeląga. Doję tylko moich wrogów. — A teraz bądź grzeczny i zmykaj.

André złożył sztywny ukłon.

— Jeśli monsieur tak sobie życzy...

— Owszem, monsieur sobie życzy — powiedział Stephen zdecydowanym tonem. — Czy i ja muszę odstawić jakiś dworski ukłon, żeby przedstawienie było jak należy?

— Nie musisz się wysilać. Oddaj w zastaw nawet zęby, jeśli wola.

Stephen popatrzył za odchodzącym przyjacielem.

— Pocieszny naród ci Francuzi — mruknął i wszedł do lombardu.

Wewnątrz panował stęchły zaduch. Właścicielem był mały, czarniawy grubas o tłustej cerze, przystrojony w ogromną pudrowaną perukę z minionego stulecia.

— Wyczytałem z szyldu, że udziela pan pożyczek — powiedział Stephen.

— Cóż, trzeba z czegoś żyć. Bank miłosierdzia czy lombard — co za różnica? W każdym razie niewielka. Życzy pan sobie czegoś?

— A jednak jest różnica — upierał się Stephen. — Więc tu jest...

— ...lombard. Ten szyld jest tylko na pokaz, pan rozumie...

— Doskonale. Ile pan da za tę perłę?

Uwolnił zapadkę szpilki od krawata, ogromna, mlecznobiała perła zagrała w świetle wszystkimi barwami. Stephen przypomniał sobie tamtą noc — noc, kiedy wygrał ten niezwykły klejnot, perła jarzyła się cichym blaskiem na zielonym karcianym stoliku.

— Sto dolarów — oświadczył właściciel.

— Jesteś pan złodziej — powiedział Stephen spokojnie. — Jest warta dwadzieścia tysięcy i dobrze o tym wiesz.

— Cinq cent dollar" pięćset dolarów? — spytał tamten z nadzieją w głosie.

— Tysiąc — uciął Stephen. — I nie sprzedaj jej pan przez trzydzieści dni. Zgoda?

— To cała moja krwawica — jęczał grubas. — Może monsieur zgodziłby się na osiemset...

— Tysiąc.

— Nie ma pan Boga w sercu!

— Tysiąc dolarów.

Grubas machnął słabo ręką na znak, że się zgadza. Poczłapał na zaplecze, do masywnej, kutej mosiądzem skrzyni. Wrócił z naręczem banknotów.

— Złoto — powiedział Stephen cichym głosem. — Daje pan złoto albo idę gdzie indziej.

— Na dychawiczną kobyłę! Monsieur żąda zbyt wiele! Stephen podniósł perłę do światła. Raz była matowa jak

mleko, raz roziskrzona jak śnieg, to znów mieniła się zielonkavo jak światło księżycyca w jeziorze.

— Ma pan rację — wybełkotał lichwiarz. — Tysiąc dolarów... w złocie!

Stephen zabrał niewielką sakiewkę, wypchaną ciężkimi złotymi monetami i szedł wielkimi krokami, marszcząc jasne brwi.

— Wrócę po ciebie niedługo! — szepnął. — Już niedługo!

André czekał na niego, na śniadej twarzy nie było cienia uśmiechu. Stephen uśmiechnął się szeroko.

— Obrażasz się jak dziewczyna! — zaśmiał się. Po chwili spoważniał.

— Bez urazy, André. Nie mogłem inaczej, musiałem tak postąpić, choć było to przykre — nawet dla mnie. No jak, wybaczysz staremu gburowi?

— Nie ma o czym mówić — powiedział André ściskając dłoń przyjaciela. Ma foi*, do ciebie trzeba anielskiej cierpliwości!

* **Ma foi (franc.) — na mą duszę**

— A teraz naprawdę mógłbyś mi pomóc — powiedział Stephen. — Potrzebuję mieszkania...

André już brał kapelusz i laseczkę.

— Znam świetną garsonierę na Królewskiej. Idziemy?

— Idziemy. I przyślij mi swojego krawca. I jakiegoś służącego — tylko kup mi dobrego.

— Dieul* Czyżby z bajecznie bogatych Indii przyplłynął twój statek?

— Nie — odparł Stephen powoli — rejs się dopiero zaczyna.

André otworzył drzwi i wyszli w jasne światło dnia.

* **Dieu (franc.) — Boże!**

ROZDZIAŁ 3

Dobiegające przez otwarte okno uliczne hałasy obudziły Stephena. Uchylił leniwie powieki, mrużąc oczy przed jasnym, lekko zamglonym światłem wczesnej jesieni. Żelazna balustrada galerii rzucała na ścianę wymyślny, koronkowy cień. Stephen przeciągnął się błogo, ziewnął. Za chwilę do pokoju wejdzie George, nowy służący, z cichym: „Dzień dobry, maitre”* i filiżanką czarnej kawy.

**maitre (franc.) — panie*

Początkowo Stephen kręcił nosem na kreolskie wymysły, lecz dość szybko polubił ten poranny rytuał. George przynosił kawę z łagodną nieuścępliwością, było nie do pomyślenia, by orleański pan zaczynał dzień bez owego smolistego napoju.

Stephen uśmiechnął się na wspomnienie tamtego dnia, kiedy odkrył, jak bałwochwalczo jest George dumny ze swego młodego pana. George i Ti Demon skakali sobie do oczu, spierając się zaciekle o zalety swoich chlebodawców. Do rękoczynów nie doszło tylko dzięki natychmiastowej interwencji podmiotów tej dyskusji. Od tej pory Stephen, który nigdy nie miał szczególnych wymagań, jeszcze bardziej popuścił cugli służącemu, to George pilnował, by czyniono zadość miejscowej etyki.

Z odległego końca ulicy dobiegały niewyraźne nawoływania ulicznych przekupek: — Belles de figures! Figues clestes!

— Stephen przetłumaczył leniwie tę miękką francuszczyznę luizjańskich Murzynów: — Piękne figi! Figi clessto! Bons petits calas — tout chauds! Pyszne ryżowe ciasteczka

— prosto z pieca! Boules des Tic Tac! Prażona kukurydza! Stephen poczuł lekki głód. Gdzie jest George, do diaska? W tej chwili rozległo się ciche pukanie.

— Wejść — zawołał Stephen i do pokoju wszedł George. Na jego czarnej twarzy malował się szeroki uśmiech.

— Dzień dobry, maitre — rzekł, stawiając kawę na nocnym stoliku. — Była dziś rano kobieta z serem, więc wzięłam od niej kawalek. — Pokazał swą zdobycz: niewielki ser, polany świeżą, gęstą śmietaną, pachnący lekko klaretem.

— Dzięki — powiedział Stephen sięgając po smakołyk

— ale popędź ich tam ze śniadaniem, konam z głodu!

— W tej chwili, panie.

Jedząc ser, Stephen patrzył w okno, słońce świeciło coraz jaśniej. Z ulicy dobiegło gęganie gęsi. Nie patrząc wiedział, że pędzili je na targ mężczyzna

i chłopiec, uzbrojeni w długie kije pilnowali, by stadko się nie rozpierzło. Sącząc wrzącą kawę, próbował określić charakter tego — swojego miasta, ale miał z tym kłopot nawet dziś, dokładnie w sześć miesięcy od dnia, gdy zszedł z pokładu płaskodenki Mike'a Farrela na orleański brzeg. To miasto, francuskie do szpiku kości, przypominało mu Paryż, a jednak bardzo się odeń różniło. Domy z galeriami o balustradach z lanego lub kutego żelaza były bardziej hiszpańskie niż francuskie, mimo to Nowy Orlean nie miał w sobie nic z Sewilli, Madrytu czy Walencji. Był francuski w jakiś nieuchwytny a jednak bardzo konkretny sposób: te gospodynie, targujące się zawzięcie, ta żywa gestykulacja, wartka świszcząca wymowa, odrobinę po kreolsku zmiękczone. A gęsi — toż to Normandia w czystej postaci. Zaś bouillabaisse*, którą podają w kawiarniach — to Marsylia.

George wrócił ze śniadaniem zadziwiająco prędko.

* bouillabaisse (franc.) — zupa rybna

Śniadanie, jak zwykle, składało się z zestawu różnych mięs ? la grillade, co również było tradycją: do głębokiego rondla z przykrywką wrzucano mięso, przyrządzano sos z brązowej zasmażki na słoninie, przyprawiano cebulą, czosnkiem, pieprzem, dorzucano kartofle i duszono do miękkości. Takie danko, myślał Stephen, nasyciłoby całą armię, jednak George przyniósł jeszcze biskwity i gorący, chrupiący stos pain perdu, czyli kromek chleba maczanych w jajkach rozbełtanych w mleku i smażonych w głębokim tłuszczu.

Stephen spojrzął na służącego.

— Bój się Boga, człowieku — warknął — tuczysz mnie jak rzeźnego kapłona!

— Dobry maître powinien dobrze jeść — odparł George sztywno. — Ti Demon powiada, że monsieur André...

— Więc jestem pionkiem w twojej rozgrywce z Małym Diabłem? Na mą duszę, George, przynieś mi jeszcze raz na śniadanie tyle jedzenia, a każę cię obić. Nie jestem Francuzem, nie mam żołądka z gumy!

— Zabiorę to, panie — powiedział George markotnie — ale wstyd mi będzie przed innymi, że takiego dobrego pana kiepsko żywuję. Jak ja teraz spojrzę w oczy innym czarnym służącym?

— Niech to diabli — zajączał Stephen. George szedł do stolika jak na ścieście.

— Zostaw to — warknął jego pan — i wynoś się, zanim cię rozedrę na pół.

George wyskoczył z pokoju jak z procy, uśmiechał się od ucha do ucha.

Podczas gdy Stephen pochłaniał tę górę jedzenia, jego umysł był zaprzątnięty tysiącem projektów. Do tej pory wszystko szło jak po maśle. Zaczynał się dorabiać, powoli, ostrożnie, robiąc użytek z jedynej umiejętności, jaką posiadał w mistrzowskim stopniu. Trzeba przyznać, że dobrze trafił: Nowy Orlean był rajem hazardzistów. Grali tu wszyscy: niewypierzone młokosy, młodzi mężczyźni, mężczyźni w sile wieku, stateczni, siwowłosi obywatele. Grano we wszystkie możliwe gry, Kreole szczególnie upodobali sobie vingtetun oraz écarté, zaś Amerykanie siadali do pokera, faraona i ruletki oraz do nowej gry, której wynalezienie przypisywano, być może mylnie, baronowi de Marigny. Amerykanie zwali ją craps — był to skrót od obraźliwego miana Johnny Crapaud*, którym określano wszystkich Francuzów.

*** Johnny Crapaud (franc.) — Jasio Żaba**

Jednak Stephen rzadko grał z Francuzami, jeżeli już grał, to o niskie stawki i na ogół przegrywał. Stosował tę dziwną taktykę również wobec co znaczniejszych Amerykanów, uzyskując w pewnym stopniu efekt, o który mu chodziło: wrażenie, że pochodzi z wyższych sfer i hazarduje się wyłącznie dla rozrywki.

Byli jednak inni, którzy powinni się przed nim strzec. Z reguły były to przelotne ptaki: kapitanowie parowców, komiwojażerowie, kupcy oraz nieokrzesani emigranci niemieccy z dzielnicy zwanej szwabskim nabrzeżem. Z nimi Stephen bynajmniej się nie patyczkował. Nie było takiej potrzeby — ci ludzie nie mieli w mieście żadnego znaczenia, ich los zainteresowałby niewielu. Rosły więc stopy srebrnych dolarów obok jego smukłych palców, trzymających wachlarz kart. Poprzez stół leciały zielone banknoty, jaśniejące w świetle lamp naftowych, w błękitnej chmurze dymu z fajek i cygar. Stephen chował je do kieszeni, uśmiechał się przepraszająco: — Takie są karty! Następnym razem będzie pan miał więcej szczęścia.

Wykupił z lombardu swą ogromną perłę. Lagoaster, słynny krawiec, mieszaniec ćwierćkrewi, obszył go od stóp do głów. Jego żakiety, kamizelki, spodnie, jedwabne białe koszule z pianistymi żabotami cechowała ta spokojna, dostatnia elegancja, która wzbudza uznanie i szacunek. Tak, Stephenowi wiodło się doskonale. Mógł teraz śmiało sobie poczynać.

Pochłonawszy obfite śniadanie z zadziwiającą łatwością, zadzwonił na Georgea, by pomógł mu przy ubieraniu, po czym wyszedł na dwór. Szedł powoli, zmagając się z myślami. John Davis, jeden z licznej rzeszy uciekinierów z San Domingo, którym udało się uniknąć rzezi z rąk czarnych buntowników, zamierzał budować dwa wystawne kasyna, pierwsze w mieście domy gry tego typu. Stephen, który zdążył zaprzyjaźnić się z tym

byстрыm, sfrancuziałym Anglikiem, miał szanse zainwestowania w to przedsięwzięcie. A może powinien raczej kupić udziały w nowej kolei, do jeziora Pontchartrain, której budowę właśnie rozważano? Kolej była przedsięwzięciem o wiele bardziej nobilitującym ale również bardziej ryzykownym. Jeśli pamiętać o temperamencie Kreolów, kasyna to murowana inwestycja. Z drugiej znów strony, Kreole owszem, śmiali się i dowcipkowali z graczami, przegrywając do nich całe majątki, lecz nigdy nie zapraszali ich do siebie. A panny Arceneaux były Kreolkami w najlepszym znaczeniu tego mocno dyskredytowanego słowa...

Inna sprawa, która go teraz zaprzętała a wymagała pilnej decyzji to pytanie, co począć z tym tak pięknie rozpoczętym dniem. Przedpołudnie zionęło nudą, lecz wieczorem mógłby się wybrać do teatru. Woląby iść do Teatru Amerykańskiego, w którym — po raz pierwszy w mieście — zastosowano doskonale oświetlenie gazowe, lecz Odalie prawie na pewno będzie w Théâtre d'Orléans, o ile w ogóle wyjdzie z domu.

Szedł bez celu, kierując się w stronę rzeki. Skręciwszy na północ, znalazł się na rynku. Dziesiątki Murzynek wyklócały się z przekupniami o cenę żywności, którą nabywały dla swych pań. Jedna z nich, o jasnej karnacji, bardzo ładna, przyciągnęła uwagę Stephena. Była to Zerline, służąca Arceneaux, André wskazał mu ją kiedyś. Uśmiechnąwszy się lekko, Stephen szedł powoli przez krzykliwą gromadę, aż stanął tuż obok Zerline.

— Chybaś oszalał, człowieku — mówiła. — Dwie szóstki za taki ochłap? Twoje niedoczekanie! Najwyżej szóstka i ani grosza więcej!

— Niech będzie — powiedział straganiarz znudzonym tonem, sięgając włochatą łapą po kość rosółową. — Z Murzynkami więcej gadania niż handlu. Ma foi, targują się do upadłego!

Stephen stał obok śmiejąc się w kułak, podczas gdy dziewczyna kontynuowała swoje oszczędne zakupy — kawałek kapusty, odrobinę pietruszki, niewielką marchewkę i jeszcze mniejszą kalarepkę. Cała ta włoszczyzna kosztowała ją jednego picayunea. Po namyśle dokupiła jeszcze wiązkę chrzanu i nieco mięty.

— Mam ładne pasikoniki — powiedział handlarz

— nanizane na nitkę, dobrze wysuszone. W sam raz dla przedrzeźniacza twojej panienki.

Zerline rozcapierzyła smukłe, pełne wyrazu palce.

— Ach, zdechła ptaszyna — powiedziała — jakieś dwa, trzy dni temu. Podskoczyła w górę i wyzionęła ducha. Panna Aurorę bardzo zmarkotniała. Może kupimy innego ptaka — za jakiś czas.

Stephen dotknął jej ramienia. Obróciła się gniewnie. Widząc, że stoi przed nią biały, zdusiła oburzony okrzyk, tylko drgały jej kształtne wargi.

— Przepraszam, Zerline — powiedział grzecznie Stephen. — Gdybyś zechciała pójść ze mną do sklepu Gitano, po drugiej stronie ulicy, wybrałbym dla twojej pani dwa piękne przedrzeźniacze w miejsce tego pechowca.

Zeline wyprostowała się dumnie.

— Pan dobrze wie, monsieur, że nie wypada brać prezentów od nieznanomych panów. Jesteśmy Arceneaux! — zadarłszy wysoko głowę, odeszła szastnąwszy spódnicą.

— Rozpuścili te Murzynki jak dziadowskie bicze! — skomentował handlarz. — A te żółte są jeszcze gorsze! Stephen roześmiał się.

— Ona się naprawdę obraziła — powiedział — do tego stopnia stała się Arceneaux. Daj mi dwie praliny, przyjacielu.

Poszedł dalej, pogryzając czekoladki i rozmyślając nad swoimi sprawami. Spotkanie z Zerline wyjaśniło kilka spraw. Już wiedział, co będzie robił.

Ostrożnie wyminął opasłą Murzynkę, która na czworakach szorowała korzeniem palmy cyprysowy trotuar i schodki przed domem swoich państwa. Schodki były nieskazitelnej czystości, jednak Stephen wiedział, że jej nadgorliwość wypływa nie tyle z umiłowania schludności, co z obawy, że jakaś niecna mamaloi, szamanka uprawiająca praktyki voodoo, rozsypała tam grisgris, by spowodować nieszczęście na mieszkańców domu.

Dziś wieczór znów będzie grał — w pokera lub oczko. Wykluczył ruletkę i faraona, gdyż w tych grach kunszt gracza miał niewielkie znaczenie, ponadto w orleańskich szulerniach tak podstrajano maszynię, by właściciel wychodził na swoje. Zaś palce najwytrawniejszego gracza, choćby najgiętsze są tylko palcami i niewielu nowoorleańskich frantów było dość sprytnych, by przechytryć Stephena. Dzięki nerwom jak postronki i nadzwyczajnej biegłości w grze był prawie niepokonany. Poker, coraz bardziej popularna amerykańska gra, przysparzał mu niezłego grosza. Hazardował się wyłącznie w Faubourg* St. Marie, która wyrosła obok Faubourg Orleans i już teraz zagrażała prymatowi swej siostrzycy. Z każdym też dniem nabierał wprawy w écarté, narodowej grze Kreolów.

* faubourg (franc.) — przedmieście, dzielnica

Tego wieczoru Théâtre d'Orléans wystawiał „Marie Stuart”. Stephen wszedł na widownię pod koniec drugiego aktu i resztę czasu spędził na daremnym wypatrywaniu Odalie w łóżach, balkonach i na parterze. Zerkał podejrzliwie nawet na loges grillées — zamknięte łoże, otaczające półkołem

fotele parteru — choć dobrze wiedział, że są zarezerwowane dla osób w żałobie i brzemiennych kobiet.

Wyszedł, gdy skończył się akt, upewniwszy się, że żadnej z sióstr Arceneaux nie było w teatrze. „Marie Stuart” nie zaszczylił choćby jednym spojrzaniem. Na ulicy wyciągnął z kieszeni zegarek ze szczerego złota nakręcany specjalnym kluczykiem i jęknął głośno. Ledwie zdążył na spotkanie z Hugonem Waguespackiem w kawiarni „Pod Emigrantem”.

Boże, jakim marnym graczem był ten ogromny Niemiec — plantator! Grało się z nim bez żadnej przyjemności — bez krztyny napięcia, bez cienia ryzyka. Westchnąwszy, Stephen pośpieszył w stronę kawiarni.

Niemiec już czekał. Stephen znał go na tyle dobrze, iż nie musiał tracić czasu na uprzejmości. Po prostu siadł do stolika, zadzwonił na kelnera i rozpoczęła się gra. Trwała nieprzerwanie dwie godziny, Stephen wciąż wygrywał. Spoglądał na Niemcaomalże z odrazą. Oto mija pół roku przy takim zajęciu — pół roku wysiadania w ciasnych, zadymionych izdebkach na zapleczu, naprzeciw tych tępych twarzy — opasłych mord o tępym wejrzeniu, głupio sprytnych pyszczków, twarzy o brutalnych, kwadratowych szczękach, kimkolwiek byli ich właściciele, mieli twarze głupie i tępe. Stephen pozwolił sobie na chwilę nieuwagi, lecz zaraz z westchnieniem podjął karty. Ogromnie kusiło go, by spróbować sił w zwarcu z przeciwnikiem inteligentnym i przebiegłym, lecz ryzyko było zbyt wielkie. Musiał wygrywać — stawką była cała jego przyszłość. Ten odstrzał tuczonych, wiązanych za nogę gęsi musi jeszcze potrwać jakiś czas. Znów zerknął na Hugona: twarz Niemca pokrywał ciemny rumieniec, odbijający szkarłatną łuną od jego lnianych włosów.

— Kończymy na dziś? — zapytał Stephen sięgając po swoją cynową tabakierkę, wyciągnął nieco tabaki jednym nozdrzem.

— Nie — warknął Hugo. — Wyciągnął pan już ode mnie siedem tysięcy, a od Ottona dziesięć. Można by pomyśleć, że...

Stephen wparł w niego wejrzenie równie zimne i błękitne jak oczy przeciwnika.

— Pan też ze mną wygrywał. I gramy pańską talią. Już mówiłem, że nigdy nie oszukuję, ale jeśli się pan upiera...

Kaprawe oczka Hugona, prawie niewidoczne w zwałach tłuszczu, zamrugały niespokojnie.

— No dobrze — powiedział — jeszcze jedna runda. Kelner! — Po chwili, kłaniając się w pas, zjawił się gruby Mulat. — Przynies pióro i ćwiartkę papieru, na jednej nodze! — Kelner oddalił się pospiesznie.

— Dam panu list zastawny na moją ziemię — zwrócił się do Stephen. — Stawiam tę ziemię przeciw wszystkiemu, co dotąd przegrałem do pana. Jedno rozdanie i mówimy sobie do widzenia. Kończę grę niezależnie od wyniku.

— Zgoda — powiedział Stephen wzruszając ramionami. — Przyjmę pański list i dodam miesiąc zwłoki, żeby pan zdążył zebrać sumę zastawną. Po tym terminie wkraczam na te tereny.

— Diabło pan pewien swego — warknął Niemiec.

— Pewnie. Z pana marny gracz.

Wrócił Mulat z kałamarzem, gęsim piórem i pudełeczkiem białego piasku.

Hugo naskrobał umowę z wielkim mozołem. Skończywszy pisanie, sypnął szczerze piaskiem na mokre litery, przechyliwszy zręcznie sztywny arkusz zsywał piasek na powrót do pudełeczka i podał dokument Stephenowi. Pod względem prawnym dokument był bez zarzutu, choć roiło się od błędów ortograficznych i stylistycznych — kiepską francuszczyznę uszeregowano w szyk niemiecki.

Stephen położył go na stół, a obok dwadzieścia banknotów. Mulat gwizdnał zaskoczony: były to banknoty tysiąc dolarowe.

— Nigdy nie widziałeś takiej stawki? — zapytał Stephen.

— Tylko raz, maitre, kiedy pułkownik Deveraux postawił w pokera trzydzieści tysięcy na jedno rozdanie. Grał z jakimś Anglikiem. Nazajutrz zabił tego Anglika w pojedynku.

— Zamilcz! — warknął Hugo w swym ojczystym języku.

Stephen podsunął mu swoją cynową tabakierkę, lecz tamten odmówił gestem ręki.

— A co to za paskudztwo? Dziwię się, że jeszcze pan tego nie wyrzucił.

— Przynosi mi szczęście — oświadczył Stephen, pieszcząc giętkimi palcami perłę, ukrytą w fałdach halsztuka. — Dostałem ją w zamian za złotą i nigdy nie żałowałem tej zamiany. Losujemy, kto rozdaje?

— Nie, pan będzie rozdawał. Na tyle mogę panu zaufać. Stephen rozdał karty — sześć dla Hugona, sześć dla siebie — błyskawicznymi, pewnymi ruchami. Następną kartę odkrył. Była to trójka pik.

— Jeszcze — mruknął Hugo.

— Dorzucę jeden punkt, żeby jakoś szło.

— Do ilu punktów gramy w tej kolejce — do siedmiu czy dziesięciu?

— Do dziesięciu. Nie chcę ograć pana zbyt szybko. Gra toczyła się gładko. Najpierw jeden, potem drugi wykladał lewy. Gdy wyczerpali karty, Hugo burknął:

— Dobra, niech pan podlicza.

— Mam asa, czyli cztery punkty, a ponieważ to najwyższa karta, doliczam sobie jeden punkt — razem pięć.

— Mam damę — powiedział Hugo — dwa punkty.

— Król — trzy punkty. Razem osiem — powiedział Stephen z uśmiechem.

— Dwójka — stęknął Hugo — dwa punkty, razem z betką pięć. Teraz moja lewa: jeden za waleta i jeszcze jeden, bo to kolor atutowy — razem siedem. Pański walet kier przebity moją piątką pik daje mi osiem punktów, a razem z tym punktem, który mi pan dał, mam dziewięć.

— Otóż ja — zaśmiał się cicho Stephen — mam dwa z ostatniej lewy, ponieważ pańską damę trefl pobiła moja trójka pik, jako że piki to kolor atutowy. Gra w piki daje wyniki.

Hugo wstał i prasnął kartami o stół.

— Alboś pan jasnowidz albo oszust! Sam nie wiem! — zawołał.

— A jak się pan dowie, to wtedy ja będę musiał zdecydować, czy pana zabić czy puścić wolno — powiedział Stephen cicho. — Adieu, monsieur Waguespack.

— Chyba się nie pokłóciliście?

Odwrócił się gwałtownie. W drzwiach, wiodących z kawiarni do pomieszczenia, w którym siedzieli, stał André.

— Ależ nie — odparł Hugo. — Sprzeczki przystoją małym dzieciom. Żegnam monsieur Le Blanc i monsieur Reynard*. Sługa uniżony!

***Reynard (franc.) — lis, Fox (ang.) — lis**

— Moje nazwisko — powiedział Stephen — brzmi Fox. — Hugo wzruszył zwałistymi barkami i wyszedł ciężkim krokiem.

— Nie podoba mi się ten jegomość — stwierdził André.

— Mnie też nie. Ale to już ostatni raz. Jutro kończę z tym na dobre. Może się wezmę za interesy. Zagram parę razy na giełdzie, a potem...

— Panna Arceneaux? Jeszcze jej sobie nie wybił z głowy?

— Nie. Znów widziałem ją wczoraj na ulicy Chartres, szła z siostrą. Czy dasz wiarę, André, że prawie kiwnęła mi głową. Jeszcze ćwierć cała i byłoby to kiwnięcie całą gębą, że tak się wyrażę. Natomiast jej siostra odkłoniła mi się tak, jakbyśmy byli starymi znajomymi. Szkoda, że nie było na odwrót.

— Jeśli zgodzisz się wyjść z tej mordowni — powiedział André — to być może spotka cię miła niespodzianka.

— Odalio? Dajesz mi ją w upominku?

— Wolnego, Stephenie. To nie to. Obawiam się, że będziesz musiał zadowolić się namiastką. Jest starszy i mniej powabny, ale zawsze to Arceneaux. Czeka na nas w La Bourse de Maspero*.

* *La Bourse de Maspero* (frane.) — *Giełda Maspero*

— On? Więc to mężczyzna?

— Wicehrabia Henri Marie Louis Pierre d'Arceneaux — wydekłamał André z psotną miną. — Spotyka cię wielki zaszczyt, kolego!

— Jej ojciec? — upewnił się Stephen, nagle poważny, wpatrzony gdzieś w dal. — Tak, to właściwa droga. Zaprzyjaźnić się z rodzicem. Potem przedstawiają mnie pannie, przy ojcowskiej aprobacie. Tak... mądrześ to obmyślił, André. I wiesz... dobry z ciebie przyjaciel.

— Więc dlaczego tak rzadko cię widuję? Wczoraj miałem u siebie dwie panienki, czarujące i przystępne... nawet bardzo. Wciąż skakały sobie do oczu — żadna nie chciała wyjść i zostawić drugiej w mojej garsonierze. Przesiedzieliśmy w ten sposób pół nocy. Wreszcie przywołałem dorożkę i odesłałem obie do domu.

Stephen śmiał się.

— A gdybym tam był, czy pozwoliłbyś mi wybierać?

— Rozumie się! Chociaż po prawdzie niewiele się różniły. Obie miłe, gładkie i przyjemne w dotyku. Ale ty wolałeś inne towarzystwo przez ostatnie pół roku: Niemców ze szwabskiego wybrzeża, angielskich obieżyświatów, kupców, kapitanów statków...

— Kazalesz mnie śledzić — stwierdził Stephen.

— Nie, ale stajesz się znaną osobistością w Nowym Orleanie. Lagoaster pieje z zachwytu nad twoim smakiem i pańską postawą. Powiada, że w całym mieście nikt ci nie dorówna w elegancji.

— Jest niezwykle inteligentny jak na kwarterona — powiedział Stephen. — Az pewnością to najlepszy krawiec, jakiego znałem, nawet w Londynie.

— Powtórzę mu twoje słowa. To naprawdę miły człowiek. Ale poważnie, Stephen, zaczynasz zwracać na siebie uwagę. Wiele dam szlachetnego rodu bardzo delikatnie, jakby od niechcienia, wypytywało mnie o ciebie, o twoje pochodzenie, zajęcia a także źródła dochodów, najwyraźniej rozległych.

— Odalio Arceneaux także?

— Nie, Odalio nie zniżyłaby się do okazania ciekawości, cokolwiek by to było. Ale dziś wieczór robimy pierwszy krok.

Szli wąskimi uliczkami w świetle latarni naftowych, zawieszonych na ciężkich łańcuchach biegnących ukosem nad ich głowami — od węgła

jednego domu do następnego. Dochodząc do Maspero, usłyszeli odległy huk działa.

— Dziewiąta — stwierdził André. — Teraz wszyscy żołnierze, marynarze i Murzyni pędzą na złamanie karku, żeby wrócić na czas. Ale że nie należymy do żadnej z wymienionych grup — proszę do środka, przyjacielu.

— Stary, zdaje się, nie przepada za Amerykanami — rzucił Stephen, wchodząc do przedsionka.

— Ale ty, Stephenie, brałeś nauki w Paryżu. Wgłębiałeś się w arkana fechtunku pod przewodem samego Raoula Roberta. Jesteś człowiekiem z naszej sfery. Wszystko to musisz dziś potwierdzić — popiszesz się swoją najelegantszą francuszczyzną, paplając szybko i jakby od niechcenia i wtykając ile wlezie paryskich powiedzonek, których nasz przyjaciel i tak nie zrozumie, jako że nie wytknął z Luizjany nosa przez ostatnie czterdzieści lat. Ale błagam cię: ani słowa po angielsku. Jesteś finansistą, od niedawna zatrudnionym w pewnej starej firmie filadelfijskiej, w bankowości i pośrednictwie handlowym, a teraz pracujesz na własny rachunek.

Stephen skłonił się.

— Sądziłem do tej pory, że w mydleniu oczu nie mam sobie równych, ale teraz możemy podać sobie ręce.

Weszli do kawiarni. Podłoga była wysypana piaskiem. Przy małych stolikach siedzieli w najlepszej komitywie amerykańscy i kreolscy panowie, śmiejąc się i gwarząc przyjaźnie.

— Tak, kruszą się stare bariery — rzekł André, widząc niedowierzanie na twarzy towarzysza. — I my i oni dochodzimy do wniosku, że lepsza zgoda niż waśnie. Tylko najstarsi trzymają się kurczowo starych przesądów. Czy uwierzysz, że w zeszłym tygodniu jedna z panien Prudhommé poślubiła jakiegoś mister Wilsona?

— Świetnie — odparł Stephen — ale gdzie jest mój szanowny przyszły teść?

Starszy pan siedział samotnie przy stoliku, pykając fajkę z białej glinki. Twarz miał brunatną jak Indianin, włosy srebrzyście siwe. Nad dumnym cienkim nosem stroszyły się władczo siwe brwi. Na śnieżnym żabocie koszuli lśnił jedwabiście szeroki krawat. Żakiet z marengo był gęsto przetykany złotą nicią, a perłowszara kamizelka, jak zauważył Stephen, była zapinana na brylanty. Zbliżywszy się, André skłonił się lekko.

— Panie wicehrabio — powiedział po francusku — pozwoli pan, że mu przedstawię mojego przyjaciela, Etienne* Reynard...

* Etienne — Stephen (franc.) — Stefan Monsieur le Vicomte (franc.).

Starszy pan kiwnął nieznacznie głową, przesywając Stephena spojrzeniem bystrych, czarnych oczu.

— Nazywam się Fox, monsieur — rzekł Stephen rozmyślnie powoli — a nie Reynard, zaś na imię mi Stephen. Sługa pana, Monsieur le Vicomte**).

Cienkie wargi wygięły się w zgryźliwym uśmiechu.

— Ma pan słuszość — odparł w staroświeckiej francuszczyźnie. — Nie musi pan przepraszać, że ma takie nazwisko, jakie ma. Jest wystarczająco dobre. André uważa mnie za starego ludojada, dlatego przełożył je na francuski.

— A czy jest pan starym ludojadem? — zapytał Stephen z uśmiechem.

— Bywam nim od czasu do czasu. Dobrze mówisz po francusku, młodzieńcze. André powiada, że poznałeś ten język w Paryżu. Co tam robiłeś?

— A co się zwykle robi w Paryżu, monsieur! Gra się — panie wicehrabio

w karty, ugania za spódniczkami — rozrywek nie brakuje... — Pierre Arceneaux roześmiał się głośnie.

— Za młodu robiłem dokładnie to samo — mówił rozbawiony. — Ojciec wysłał mnie w podróż po Europie. Dla edukacji, rozumie pan. Edukowałem się więc z każdą parą zgrabnych nóżek na kontynencie. Mówią, że jest pan hazardzistą, monsieur Fox?

— Nie bez racji — palnął Stephen. André wybałuszył oczy.

— To nie jest najgorsze zajęcie, ale żegnaj się z nim na dobre.

— A czemu to? — zainteresował się starzec. — Trudno wyobrazić sobie bardziej porywający tryb życia.

— Lata mijają, krew stygnie — powiedział Stephen cicho. — Zaczyna się myśleć o innym życiu — domu, żonie, dzieciach. Pewnie mierzę zbyt wysoko, ale myślę o poślubieniu panny z rodzaju tych, które zwykle nie wychodzą za graczy. Hoduje pan konie, panie wicehrabio? Zapewne dobiera pan źrebice dobrej krwi?

— Rozumiem — odparł starzec z namysłem. — Cóż więc pan zamierza?

— Wchodzę w spółkę z niejakim panem Warrenem — jest to rodzaj pośrednictwa handlowego.

— Rozumiem — powtórzył starszy pan, mierząc Stephena baczny spojrzeniem czarnych oczu. Po chwili pogłębiły się zmarszczki w kącikach tych przenikliwych oczu i na starych ustach ukazał się cień uśmiechu. — Czy mogę udzielić ci pewnej rady, synu?

— Bardzo proszę.

— Zwróć się ku ziemi. Te wszystkie przedsiębiorstwa, obligacje, hipoteki, pakiety akcji są niewiele lepsze od kart. Zapuść korzenie w ziemi i rośnij wraz z nią. A wtedy — przy pańskim wygładzie i polarze — powitają pana z otwartymi ramionami w każdym luizjańskim domu. A teraz, panie hazardzisto, co by pan powiedział na małą partyjkę? Zapewne gra pan w Acarte?

— Z przyjemnością.

André szybko zorientował się, że Stephenowi kiepsko idzie gra. Pan Arceneaux wciąż wygrywał i w konsekwencji

Stephenowi przypadła rola zagrywającego. Stephenowe dźwięczne „gram” brzmiało właśnie wtedy, gdy powinien był powiedzieć „proponuję”. Zaś rozdając karty, godził się na wszelkie propozycje pana Arceneaux, nie zważając na oplakane skutki takiej polityki. Ostatecznie przegrał do starego pana okrągły tysiączek. Rozpromieniony zwycięzca chełpił się swymi umiejętnościami.

— Musimy znów zagrać w niedługim czasie — zwrócił się do Stephena.

— Muszę dać panu możliwość odegrania się.

— Wybornie — odparł Stephen z uśmiechem — Może w środę wieczór? Maspero zarezerwuje dla nas gabinetek.

— Zatem środa. Było mi miło, monsieur Fox.

— Cała przyjemność po mojej stronie, panie wicehrabio. Starzec przytknął laseczkę do ronda kapelusza i poszedł ku wyjściu wielkimi krokami.

— Nie mogłeś się trochę ograniczać z tym przegrywaniem? — Zaatakował Stephena André. — Niebawem nawet stary Arceneaux zwęszy pismo nosem. Ma foi*, pierwszy lepszy dureń grałby lepiej! A stary bynajmniej nie jest głupi.

— Następnym razem trochę go oskubię, ale zawsze będzie miał jakieś trzysta dolarów w zapasie. Prawda, że mój teść to miły staruszek?

— Ale nie trzeba było przyznawać się do hazardu. Po całej mojej koronkowej robocie wyszedłem na skończonego osła! Stary Arceneaux już zawsze będzie cię trzymał na dystans.

— Nie gorączkuj się tak, André. Kto wie jak będzie? Teraz idę do łóżka. Sam — dodał, widząc łobuzerski uśmiech przyjaciela. — Jutro czeka mnie huk zajęć. Chciałbym, byś mi towarzyszył. Mam spotkanie z panem Warrenem przy Chartres o siódmej.

— O siódmej rano?! Mon Dieu*

* Ma foi — na mą duszę * Mon Dieu! — Mój Boże!

— Tak czy owak będę na ciebie czekał. Au'voir, André.

— Au'voir. O siódmej — słyszane to rzeczy! — Odszedł, potrząsając głową.

O wpół do ósmej André szedł, potykając się nieprzytomnie, ulicą Chartres, oświetloną ukośnymi promieniami słońca, białawą od nadrzeczej mgły. Łagodna poświata zmiękczała kontury domów, drzew, ludzkich sylwetek. Pod galerią, gdzie czekał Stephen i Thomas Warren, leżał zimny granatowy cień, tylko na jego obrzeżu, tam gdzie słońce odbiło wymyślny rysunek rzeźbionej balustrady, rozpościerała się czarowna koronka.

— Spóźniłeś się — powiedział Stephen surowo. — Czy nie mówiłem, że masz być o siódmej?

— Ja się spóźniłem? To niemożliwe! Jak można się spóźnić przed godziną jedenastą? Do jedenastej czas nie istnieje. Boże, moja głowa! Czuję się, jakbym miał łeb słońca!

— Gdyby zechciał pan wstąpić do mnie — wtrącił Thomas Warren — i napić się kawy, zaraz poczułby się pan lepiej.

— Tysiączne dzięki! Zapewne mówię z panem Warrenem?

— Wybacz, André — odezwał się Stephen z uśmiechem — zapominam o prezentacji prawie jak ty. To mój przyjaciel i wspólnik Tom Warren — makler, faktor, przedsiębiorca — nie ma sprawy, której by się nie podjął i nie załatwił.

André uściśnął potężną prawicę Warrena. Był to mężczyzna niedźwiedziej postury — dwieście funtów żywej wagi, ponad sześć stóp wzrostu. Miał kruczoczarne włosy i gęste, zrosnięte nad nosem brwi, w których ginęły niewielkie, rozlatane oczka. Głos miał grzmiący — taki głos miewają ludzie otwarci i wylewni, lecz dziwna rzecz — ten jowialny ton wydał się André nieszczerzy. Pewnie ćwiczył się w tych tonach przed lustrem, pomyślał młody Kreol.

Przeszli pod cienistą galerią do środka. Pokój był urządzony jak kantor, było tam biurko, twarde krzesła, przybory do pisania.

— Mieszkanie mam na piętrze — powiedział gospodarz. — Moglibyśmy się napić tam kawy, jeśli to panom odpowiada. Przepraszam — zwrócił się do André — ale kiepsko władam francuskim. Pan Fox usiłuje mnie podciągnąć, lecz obawiam się, że z marnym skutkiem.

— Zatem będzie pan musiał ścierpieć moją angielszczyznę — odparł André. — Ale ta kawa...

— Natychmiast. Proszę za mną — poprowadził ich na górę do skromnie, lecz ze smakiem urządzonego mieszkania.

— Delphine! — zawołał. — Czy kawa gotowa?

Do pokoju weszła ładna, młoda Mulatka, niosąc tacę z zastawą do kawy a także brioche — ciasto kawowe i calas — ryżowe ciastka, przysmak Kreolów.

Na widok dziewczyny André wyprostował się i odjął rękę od czoła.

— Dla mnie czarna kawa, Delphine — powiedział — Ma foi, aleś ty ładna!

— Monsieur raczy żartować — odparła służąca cicho, odwracając się do Stephena.

— Café au lait* — zadysponował Stephen — i kawałek tego ciasta.

* **Café au lait (frane.) — kawa z mlekiem**

— A teraz — zwrócił się Warren do Stephena — zechce pan wyjawić powód tak wczesnej wizyty. Kiedy przyniesiono mi bilecik od pana, musiałem odczytać go kilkakrotnie. Siódma rano w Nowym Orleanie! Co oczywiście nie oznacza, że mam coś przeciw temu...

André przyglądał się wdzięcznym ruchom Delphine nalewającej café au lait. Z dwóch dzbanków płynęły jednocześnie dwie strużki, biała i brunatna, mieszając się w filiżance w dokładnie takiej proporcji jak trzeba. Jak smukłe, jak zręczne były jej palce. A ta domowa sukienka z cieniutkiego materiału jest wprost rozkoszna — zadecydował.

— Skup się, André — skarcił go Stephen. — Nie prosiłem cię tu po to, byś oceniał zalety jakiejś żółtej klaczki. Chodzi o sprawę najwyższej wagi.

— Stokrotnie przepraszam, druhu!

— Chodzi o tereny nad rzeką, obok posiadłości Waguespacka. Chcę je mieć, Tom.

— Już je dla pana kupiłem. Tysiąc pięćset akrów, po dwadzieścia dolarów za akr. To bezcen, nawet za niekarczowaną ziemię.

— Płaciłeś pan gotówką?

— Nie. Nie byłby pan w stanie wyłożyć takiej sumy, więc wystawiłem kwit pod zbiory.

— Rozumiem. Teraz kupisz mi pan czarnych, przyuczonych do roboty. Nie chcę tych afrykańskich nieokrzesańców. Mam zamiar zostać plantatorem, Tom. A pierwsze zbiory chcę zebrać tej jesieni.

— Hmm... proszę nie zapominać, że to jeszcze nieużytki. A czas zasiewów tużtuż. Oczywiście to będzie bawełna?

— Nie, trzcina. Bawełna wyjaławia ziemię. Chcę, żeby coś zostało dla moich synów.

— Zatem potrzeba panu Murzynów od zaraz. Chyba będę mógł ich dla pana zdobyć — niedrogo.

— Jak? — wtrącił się André. — Trudno o dobrego czarnucha, a jak dobry, to wściekle drogi.

— Pański znajomy hen Waguespack zamierza wystawić na sprzedaż większość swoich niewolników, by nie dopuścić do przejęcia plantacji przez obce ręce. Uważam, że kupno tych Murzynów to niezły interes. I chyba będziemy mogli dyktować ceny. A propos, pan ma ten weksel, wystawiony przez herr Waguespacka?

Stephen przeszył go ostrym spojrzeniem błękitnych oczu.

— Szybki pan jesteś — wycodził. — Tę umowę mam dopiero od wczorajszego wieczora.

— Lubię wiedzieć, co w trawie piszczy, taki mój zawód — odparł Tom Warren ociężale. Jego rozbiegane oczy znieruchomiały na chwilę. — Odkupię od pana ten weksel za każdą cenę — w granicach rozsądku.

— Nie! — odparł Stephen z mocą.

— Zatem rugi! Ten Waguespack to świnia, ale plantator dobry. Ziemię ma dobrze obrobioną, więc ze zbiorami nie miałby pan kłopotu.

— Dałem mu trzydzieści dni zwłoki.

— Na piśmie?

— Dałem mu moje słowo — powiedział Stephen cicho lecz stanowczo.

Purpurowe oblicze Warrena pociemniało jeszcze bardziej.

— Rozumiem, idźmy zatem dalej. Będzie pan potrzebował wyposażenia: zgniataczy, kadzi, pługów, kos, wozów, mułów...

— Pan się tym zajmie, Tom. Wystaw pan hipotekę na zbiory, ale koniecznie zdobądź siekiery, łopaty i piły. Będą potrzebne w pierwszej kolejności. — Wstał.

— A nasze interesy?

— Nie wycofuję się. Nigdy nie wystawiam przyjaciół do wiatru, chyba mnie pan na tyle zna, Tom.

— Świetnie. Może za rok będę mógł pana wykupić. Przekona się pan, że plantacja przysporzy panu dość zajęć.

— Jak pan sobie życzysz. A teraz chodźmy, chcę pokazać André nasze przedsiębiorstwo.

Szli w kierunku zachodnim, w stronę rzeki. Gdy weszli w Dumaine, André zawołał:

— Stephen, to wspaniała wiadomość! Postaram się, by trafiła do stosownych uszu.

— Nie. Gdy już wszystko będzie gotowe, słowa nie będą potrzebne. Na razie nie puszczaj pary z ust. Widok Harrow rozgrzeje serce nawet

lodowatej panny Arceneaux. Stary Arceneaux nazwał mnie graczem — nie bez kozery! To wielka gra, o najwyższe stawki!

Zbliżali się właśnie do rzeki, czarnej od statków i łodzi, przycumowanych do masywnych pali wbitych w przybrzeżną płyciznę. Były tam tępodziobe brygi z Europy, flota przybrzeżna ze stanów Nowej Anglii, ciężkie jednostki kursujące do Indii i pomniejsze — z Antyli. Do nabrzeża dobijało kilkanaście parowców, dyszały białym dymem z bliźniaczych kominów. Bliżej brzegu roіło się od płaskodenek, przycumowanych tak blisko siebie, że tarły się nawzajem bokami, a masywne belki stękały pod naporem fali.

— Która to? — zwrócił się Stephen do Warrena.

— Tamta. Widzi pan dzbanek nongeli przywiązany do słupa? Znaczy, że przyjmują interesantów. — Ruszył żwawo w tamtą stronę.

Młodzińcy badali wzrokiem rząd płaskodenek, aż wypatrzyli wysoki niby maszt drag, u którego szczytu kołysał się brązowy dzbanek z whisky. Zewsząd schodzili się dostatnio, jeśli nie wykwinnie, odziani mężczyźni, kierując się w stronę tej niezdarnej łodzi.

— Skupujesz płaskodenki?

— Tak, to znaczy Tom się tym zajmuje. Kapitanowie sprzedają łódź wraz z ładunkiem. Sprzedaliby, szelmy, i załogę, gdyby tylko mogli. Rozbieramy łódź na drewno, które zbywamy cieślom i przedsiębiorcom budowlanym, a ładunek sprzedajemy z zyskiem na publicznej aukcji.

— A gdyby nie było chętnych? — spytał André.

— Jeszcze nie było takiego wypadku. Nie zapominaj, żeśmy Amerykanie nie w ciemię bici. Nie kupujemy wszystkiego, co popadnie. Mam w Natchez swojego człowieka Mike'a Farrela, tego starego pirata. Przysyła mi szybkim statkiem pocztowym wiadomość o tym, co przewożą przepływające tamtędy statki. Więc kiedy zawijają do portu, my już na nie czekamy. Ostatnio skupowaliśmy całą pszenicę, do jakiej zdołaliśmy się dobrać.

— Dlaczego właśnie pszenicę?

— Przecież nikt nie obejdzie się bez chleba. Teraz magazyn pęka w szwach. Ośmielam się twierdzić, mój poczciwy André, że pszenica, którą wiozą teraz statki, jest już nasza.

— A co potem?

— Kiedy młynarze zaczną następny przemiał, kupią zboże od nas — po naszej cenie.

— I ceny chleba pójdą w górę — powiedział André na pół do siebie. — A niedożywione dzieci biedaków zgłodnieją jeszcze bardziej. Wiesz, Stephen, masz zadatki na tęgiego szubrawca.

Stephen wzruszył ramionami.

— Człowiek o delikatnym żołądku nigdy nie obrośnie sadłem. Jest to fakt godny pożałowania, ale fakt. Ale oto wraca Tom.

— Dolicytowałem do trzech tysięcy — powiedział podchodząc. — Na rynku ten towar osiągnie cenę ośmiudziesięciu tysięcy. Czy zająć się teraz wyposażeniem plantacji?

— Tak. Na kiedy wyznaczono aukcję Murzynów Waguespacka?

— Od jutra za tydzień. Teraz, jeśli można, pożegnaj się z panami. Muszę jeszcze załatwić kilka spraw w związku z tą aukcją.

Uniósł kapelusz w grzecznym pożegnaniu i oddalił się wielkimi krokami.

— Dziwny ten twój Tom Warren — stwierdził Andre. — Ale chyba jest ci jednak oddany.

— Tom to nieoceniony człowiek. Co byś powiedział na przejażdżkę?

— Chętnie. Dokąd się wybierzemy?

— Do Harrow, mojego nowego majątku. Wszystkiego piętnaście mil drogi. Leży między włościami D'Estrehana a Waguespacka, nad rzeką — najpiękniejsze miejsce po tej stronie raję. Aha, czy mówiłem ci już, że kupiłem konia?

— Nie, ale przecież ty nigdy niczego mi nie mówisz. Gdzież ten rumak?

— Na razie w stajni. To koń rasy palomino, sprowadziłem go z Teksasu. Omaszczenie ma izabelowate — sierść płowożółta, grzywa i ogon srebrzyście białe. Ale przed jazdą wypada się pokrzepić. Jak się zapatrujesz na śniadanie w kawiarni Uchodźców? To podobno niezły lokal.

— To prawda. Jeszcze tam nie byłeś? Doskonale, mam ci wiele do pokazania.

Skręcili w pobliską przecznicę, kierując się na południe, w stronę Dumaine. Przy rynku weszli w któreś drzwi, ocienione galerią jak prawie wszystkie frontony w tym mieście. Z zewnątrz kawiarnia Uchodźców nie różniła się niczym od tuzina podobnych przybytków.

Jednak wewnątrz był inny świat. Mężczyźni byli niżsi i ciemniejsi nawet od czarnowłosych Kreolów. Wokół dźwięczała francuszczyzna bardziej niż gdzie indziej dosadna i kwiecista. Ludzie byli bardziej skorzy do śmiechu, temperamenty bardziej zapalczyste.

— Stracili wszystko — stwierdził André — oprócz animuszu. Mógłbym się założyć, że w całym mieście nie dochodzi do tyłu pojedynków co w tej traktierni. A ich stosunek do kobiet! Nawet braciszek od dominikanów nie

ma prawa pocałować twojej narzeczonej — chyba że ci na niej nie zależy. A jakie tu mają wina! Kosztowałeś kiedy le petit Guavel

— Nie, a co to takiego?

— To wie tylko dobry Bóg i dominikanie, w każdym razie jest wyborne. Dwa razy petit Guave — zwrócił się do kelnera — i dwa dominikańskie śniadania.

Czekając na jedzenie, popijali łagodny, chłodny napój z wysp, André wysłał któregoś z czarnych posługaczy do domu z wiadomością, by osiodłano mu konia.

Kiedy przyniesiono im śniadanie w stylu świętego Dominika, Stephen zaniemówił ze zdumienia. Były tam ułożone w piramidę pomarańcze i banany, przezrysty likier, parzona w maszynie kawa, ciemna i gęsta jak melasa, dymiące stopy placków tamal* i tortilla**, kielbaski i krwawa kiszka.

* tamal — ulubione danie meksykańskie: podpłomyk z kukurydzy, mięsa, papryki itd.

** tortilla — cienki placek kukurydziany, pieczony bez tłuszczu, spożywany na gorąco

— Czy to się zjada — spytał — czy ładuje na muła i wywozi?

— Je się wszystkiego po trochu. Pominiesz którąś potrawę, a uznają, że nie jesteś smakoszem. No, skosztuj, nie pożałujesz.

Stephen skubnął ostrożnie któregoś dania, a po chwili zajadał, aż mu się uszy trzęsły.

— Będę tu przychodził — oświadczył — i to nieraz. André rozglądał się po kawiarni.

— Szkoda mi ich, biedaków — powiedział ściszym głosem. — Czy myślałeś kiedy, że to samo mogłoby się równie łatwo przytrafić nam? Nas też jest mniej niż Murzynów. Wystarczy kilku wygadanych podżegaczy, kilku czarnych śmiałków i zmiotłaby nas fala tego afrykańskiego motłochu. Mój Boże! Co też mi przychodzi do głowy!

Stephen roześmiał się.

— Nie przejmuj się, staruszkule — powiedział. — Wasze karaibskie czarnuchy i nasze amerykańskie to dwa różne gatunki zwierząt. Są roztropni i bystrzy, potrafią myśleć. Niektórzy uważają nawet, że są inteligentni. A który amerykański Murzyn potrafi myśleć przez pół godziny i nie zasnąć?

— Może masz rację — rzekł André z powątpiewaniem — ale wielu naszych sprowadzono właśnie z wysp...

Stephen wstał.

— Odłóżmy twoje murzyńskie bunty na inny dzień. Dziś chciałbym wypróbować Prince Michaela na dłuższym dystansie. Pojedziesz ze mną?

André ruszył się od stołu, uregulował rachunek i pojechali kabrioletem pod dom, w którym mieszkał Stephen. Tak jak życzył sobie André, jego koń już tam czekał, gotowy do drogi.

— A oto Prince Michael — powiedział Stephen, gdy wysiadali z dwukółki.

André obejrzał wierzchowca od stóp do głów.

— Jesteś wstrętnym kłamczuchem — zwrócił się do Stephena. — Zaklinałeś się na wszystkie świętości, że nie znosisz popisywania się, gardzisz kwiecistą wymową i przesadną gestykulacją. I oto kupujesz najpiękniejszego, najbardziej niezwykłego konia, jakiego w życiu widziałem. Doprawdy, Stephen, to jakieś bajeczne stworzenie. Można go nazwać rumakiem czy Pegazem, ale koniem — nigdy!

— Może przyszedł czas popisów i ostentacji — powiedział Stephen. — Zresztą to dobry koń, szybki i wytrzymały. Podoba ci się?

— Jest przepiękny. Takiej maści jeszcze nie widziano w Luizjanie. Białe owszem, ale nigdy bladoczystych, ze srebrzystą grzywą. — Koń zarżał cicho i wyciągnął do Stephena długą, wdzięcznie wygiętą szyję.

— Widziałeś? Już mnie poznaje. No, chłopcze, wskakuj na konia.

Ruszyli rażnym kłusem wzdłuż nadrzecznej plaży, na północ od miasta. Była późna zima, czy raczej przedwiośnie 1826 roku. W powietrzu czuło się pierwsze cieplejsze podmuchy. Na podmiejskich polach już pracowała garstka Murzynów.

— Trochę się pospieszyli — skostatował André. — Jeden dobry przymrozek i wszystko wygnije.

Stephen uśmiechnął się.

— Nie pogardzę twoimi radami, nieodrodny plantatorski synu.

Czy może: plantatorski synu na wagarach? — Słusznie — zaśmiał się André. — Ale teraz będę bardziej się przykładał.

Jechali w milczeniu. Tereny po obu stronach rzeki zaczynały powoli ożywać. Naliczyli sześć nowych domów w różnych fazach budowy. Na okolicznych polach uwijali się Murzyni, drząc w chłodzie przedwiośnia.

Ziemie były tak rozległe, że całe mile dzieliły jedno domostwo od drugiego, zaś wzdłuż rzeki ciągnęły się tysiące akrów dziewiczej ziemi, nie tkniętej przez topór ani pług.

Wreszcie Stephen ściągnął wodze księcia Michaela.

— To Harrow.

André rozejrzał się po splątanych gąszczu drzew i zarośli. Wokół kołysało się morze dzikiej trzciny i karłowatych palm. Pośrodku tej nisko ścielącej się gęstwiny górował zagajnik wyniosłych dębów, obrośniętych serpentydami hiszpańskiego mchu.

— Mój Boże — powiedział André i zamilkł.

— Pięknie tu, prawda?

— Pięknie? — jęknął André. — Tu jest po prostu niedorzecznie! Posłuchaj, trzeba ci będzie co najmniej trzech lat, żeby wykarczować jakiś niewielki splachetek pod uprawę, a pięć, sześć, żeby oczyścić całość. Ten majątek ciągnie się aż do Waguespacka?

— Tak. A drugim krańcem przylega do włości D'Estrehana.

Człowiekowi trzeba przestrzeni, żeby mógł swobodnie oddychać.

— Ale jak na Boga...?

— Wykarczuję taki szmat ziemi? Całkiem zwyczajnie. Nie zapominaj André, że nie jestem Francuzem. Ciężka harowa bynajmniej mnie nie odstręcza. Chryste, ale się zmachałem! Już od dawna nie siedziałem w siodle.

— Jeść mi się chce — powiedział André. — Takie z nas mądrale, że nie wzięliśmy żadnego prowiantu.

— Tu masz rację — zgodził się Stephen. — Do miasta daleko. Konie też potrzebują wody i odpoczynku. Są w lepszej sytuacji niż my, bo nie zabraknie im ani jednego ani drugiego.

Zeskoczywszy z konia, przyklęknął i zanurzył palce w czarnej, żyznej ziemi.

— Harrow — powiedział dziwnie miękkim tonem — nowe Harrow będzie całkiem niepodobne do tamtego.

— Więc było już jakieś Harrow?

— Tak, w Irlandii, niedaleko Dublina — błękitne oczy Stephena patrzyły gdzieś daleko, za rzekę. — Było tam zupełnie inaczej — dnie mgliste, zachmurzone, słońce przemykało się chyłkiem jak złodziej. W nocy szumiały deszcze. Nigdzie nie spotkałbyś równie zielonej trawy.

— Mieszkałeś tam?

— Tak.

— I kochałeś tamto Harrow. Dlaczego je opuściłeś? Stephen spojrzał uważnie na przyjaciela, uśmiechnął się krzywo.

— Wypytyjesz mnie z polecenia pewnych schnących z ciekawości dam, kochaneczku?

— Niech Bóg broni! Sam jestem ciekaw. Jesteś tak szczególną mieszanką honoru i łotrostwa, że czasem zastanawiam się...

— Kim jestem naprawdę? To długa i chyba nudna historia.

— A może ja bym osądził? Stephen wstał z klęczek i spojrzał André prosto w oczy.

— Po pierwsze — powiedział, szczerząc zęby w złośliwym uśmiechu — jestem bękartem.

— Powiedziałbym nawet, że wstrętnym bachorem — zaśmiał się André. — Ale opowiadaj dalej.

— Nie, mówię poważnie. Pochodzę z nieprawego łoża. Matka nigdy mi nie powiedziała, kto był moim ojcem. Jak ci się podoba przyjaciel, na którego herbie pas bastardi zakrywa całe pole?

— To głupstwo — zaśmiał się André. — Stary Arceneaux zaklina się, że jego i mój ród, jak zresztą prawie wszystkie znaczniejsze rodziny luizjańskie wywodzą się w prostej linii od złodziejek i dziewczek ulicznych, które zsyłano z La Salpetriere, zakładu poprawczego w Paryżu!

— Dziewczyny z poprawczaka? Słyszałem o nich. Ale podobno nie miały dzieci.

André aż zatoczył się ze śmiechu.

— A kto pisał te opowiadki, przyjacielu? Arceneaux ma pamiętnik, pisany podobno przez położną, która opiekowała się tymi panienkami — niejaką madame Dolville, zwaną inaczej Madame Sans Regret*.

* **Madame Sans Regret (franc.) — madame bez litości**

Stary odgraża się, że opublikuje ten pamiętnik, kiedy poczuje się na siłach, by stanąć do dwudziestu pojedynków na dzień, i tak dzień w dzień przez trzy miesiące. Ale przerwałem ci — miałeś mi powiedzieć, dlaczego stamtąd wyjechałeś.

— Musiałem — odparł Stephen. — Wszedłem w posiadanie pewnego cennego przedmiotu. — Jego palce powędrowały do ogromnej perły, jarzącej się cichym blaskiem w fałdach halsztuka.

— Uk... ukradłeś ją?

— Nie, wygrałem. Ale mój przeciwnik był synem pewnej wysoko postawionej osoby. Perła była własnością jego ojca. A ja nie miałem zamiaru jej zwracać.

— Ale dlaczego, Stephenie? Tak byłoby najprościej.

— Zabiłeś mi klina tym pytaniem. Sam nie wiem, dlaczego, ale jakoś nie potrafiłem się na to zdobyć. Może w tej perle tkwi jakaś tajemna moc. Może odziedziczyłem złe skłonności. — Długo milczał, patrząc w rzekę. — Nie chodziło mi o jej wartość. Poniewierałem się w rynsztokach, z głodu żołądek przysychał mi do grzbietu — przecież mogłem ją sprzedać i najeść

się do syta. Nie sprzedałem. Walczyłem o nią do upadłego. Tak naprawdę nigdy nie była moją własnością — to ona mnie posiadała.

— Dziwaczysz, Stephenie.

— Ależ nie. Jej naprawdę nie można sprzedać. Ją trzeba nosić. Chyba zawsze zdawałem sobie z tego sprawę. I nie mógł jej nosić byle oberwaniec, ale prawdziwy pan. Uciekłem do Dublina — tam najłatwiej było się ukryć. Sypiałem na ulicy, żeby wyżyć — zebrałem albo kradłem jedzenie ze straganów. Wiesz, André, od czasu gdy ją mam, wciąż gna mnie jakiś niepokój. Chyba już nigdy się od niego nie uwolnię. Czy mówię jak szaleniec?

— Nic podobnego. Opowiadaj dalej.

— A jednak to szaleństwo. Po kilku miesiącach tułaczki zostałem terminatorem u pewnego drukarza, bo z kilkunastu brudnych, obdartych głodomorów ja jeden potrafiłem czytać i ładnie pisać. Ten drukarz to była stara, złośliwa kanalia, ale jedno musiałem mu przyznać, miał łeb na karku. Spałem na stryszku, nad prasami, stary pozwalał mi tam czytać, kiedy kończył się mój czternastogodzinny dzień pracy. Wydziałał mi ogryzek świecy, i czytałem skapiąc sobie tego ogarka, przeklinając go i błagając by nie zgasł, nim doczytam stronicę do końca.

— Mój Boże! — zawołał André. — A kiedy spałeś?

— Prawie nie spałem. Nie masz pojęcia do czego młody, wygłodzony umysł może nakłonić mdłe ciało. Ten stary dureń bił mnie i głodził, a jednak byłem szczęśliwy. Przygotowując składy, powlekając prasy farbą przeczytałem całą klasykę. Kiedy stamtąd odchodziłem, władałem kilkoma językami nowożytnymi i radziłem sobie jako tako ze starożytnymi. Wypleniłem błędy z języka i robactwo z odzieży. Cerowałem sobie portki, zawsze byłem umyty i uczesany. Co niedziela czerniłem z nabożeństwem moje zdarte trzewiki i wkładałem mocno znoszone ubranie, które już nieraz zmieniało właściciela. Byłem chudy jak szczapa, zgarbiony, od ślęczenia nad książkami nabawiłem się zeza.

— Zmieniłeś się — zauważył André.

— To prawda. Wiesz, drukarz miał córkę, którą wysłał na nauki gdzieś do Anglii. Któregoś dnia wróciła do domu — uśmiechnął się lekko jednym kącikiem ust.

— I to był koniec — roześmiał się André.

— Byłem gotów oddać jej wszystko — prócz perły. Czytywałem jej Horacego, te ody, rozumiesz. Ale któregoś razu stary znalazł w jej izdebce wolny przekład z Safony, pisany moim kaligraficznym pismem. Był to jeden z bardziej namiętych urywków. Z pewnej zawartej w nim aluzji stary

wywnioskował, że być może jego córka znalazła drogę na moje nędzne poddasze.

— A znalazła?

Stephen uniósł kpiarsko brew.

— Cnota niewiasty — wydeklamował — jak i jej wiek, to nie są tematy do dyskusji.

— Oczywiście zwolnił cię z roboty.

— Wykopał mnie na mokry bruk — podkutym buciorem w zadek. Udało mi się ukryć na statku, płynącym do Londynu i w ten sposób znalazłem się w Anglii. Pierwszą i ostatnią osobą, którą tam bliżej poznałem, był pewien kupiec winny z Londynu. Zaniedbywał handel na rzecz kart. Z braku lepszych partnerów uczył mnie grać i wygrywał moje nędzne zarobki. W tej sytuacji musiałem tak wyćwiczyć się w grze, żeby nie dać się ograć. Po zakup wina mój chlebodawca wyprawiał się do Włoch i Francji, a ja wraz z nim. Z czasem nawet mnie polubił. Podczas bytności we Francji mocno doskwierał mi brak eleganckiego ubrania. Tamtejsze dziewczyny były tak słodkie jak miód — wiesz, André, wasze kobiety są wprost stworzone do miłości. Zacząłem więc go ogrywać raz za razem i zwolnił mnie z posady. Wtedy zaczęła się moja wielka włóczęga, za jedyne źródło utrzymania miałem karty i zręczne palce. Dopiero we Francji zacząłem otwarcie nosić tę perłę, chociaż wciąż czułem się jak szalbierz. Ale walczyłem z tym uczuciem. — Urwał, zmarszczywszy lekko brwi. — Wciąż z nim walczę — dodał cicho.

— A czy będziesz mógł ją nosić ze spokojnym sumieniem — spytał André — kiedy już osiądziesz na własnej ziemi?

Stephen nie odpowiedział, nabrał w dłoń miękkiej ziemi i patrzył, jak się przesypuje między palcami.

— W ciągu roku — powiedział po chwili — oczyszczę tę ziemię z długu, a w następnym wybuduję sobie dom, jakiego jeszcze nie było w Starym ani Nowym Świecie. Wierzysz mi, André?

André patrzył mu w twarz w milczeniu.

— Tak — powiedział wreszcie. — Wierzę ci. Nikt i nic cię nie powstrzyma. Musisz przeć do przodu, bo nie potrafisz inaczej. To straszne, Stephen. Czasem żal mi ciebie.

— Zachowaj żal na własny użytek — burknął Stephen wstając. — Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Niedaleko stąd jest dom tego opasłego Hugona. Wprośmy się do niego w gościnę, czy mu się to spodoba czy nie. Pewnie najpierw będzie próbował poderżnąć nam gardła, ale w

końcu posadzi nas za stołem. W tej chwili, za porządne niemieckie jedzenie zniosę nawet jego towarzystwo.

André roześmiał się, zawrócili konie na północ.

Dziki gąszcz urwał się nagle, przed nimi rozciągały się pola uprawne. Uprawę tych gruntów przeprowadzono niezwykle pieczołowicie, przez każdą piędź ziemi, która nadawała się do orki, biegły równiutkie bruzdy.

— Ma foi — zawołał André. — Ten Waguespack to gospodarz całą gębą!

Droga dojazdowa do domu była równie starannie wytyczona i utrzymana jak pole, gdy jednak podjechali bliżej, przysło wrażenie ładu i porządku. Zbudowany z cyprysowych bali na przemian z miękką cegłą — *br?quete entre poteaux* — dom chylił się ku ruinie. Na dziedzińcu wałało się mnóstwo wszelakiego śmiecia, pośród prosiąt bawiła się w błocie czwórka płowowłosych dzieci. Strwożyły się na widok przyjezdnych, wytrzeszczone niebieskie oczy dziwnie odbijały od ich umorusanych twarzy, nadając im wygląd jasełkowych aktorów, ucharakteryzowanych na Murzynów.

— Czy wasz ojciec jest w domu? — zwrócił się do nich André po francusku.

Dzieci stały w milczeniu, wpatrując się w obcych z otwartymi buziami.

— Czy wasz ojciec jest w domu? — zapytał Stephen po angielsku.

Milczenie.

— Niech mnie kule biją! — zirytował się André. — Czy one nie umieją mówić?

— Umieją. Uważaj teraz — powiedział Stephen i powtórzył pytanie w wartkiej, gardłowej niemczyźnie.

— Jak na komendę zamknęły się wszystkie buzie i dzieci zbiły się w gromadkę niczym stadko owiec.

— Nie — odparło jedno z nich w dialekcie dolnoniemieckim — Jest w polu.

— A matka?

— W domu.

— Idź i powiedz jej, że dwaj panowie chcą z nią rozmawiać.

— Brrr, co to za język — wstrząsnął się André.

— Chrząka się, charczy i bulgocze, pryskając śliną na dwadzieścia jardów dookoła. To zapewne pamiątka z pobytu w Wiedniu?

— Jedyna, którą stamtąd wywiozłem — potwierdził Stephen ze śmiechem.

Drzwi domu otworzyły się na oścież, kolebiąc się niebezpiecznie na jednym ocalałym zawiasie, i na progu stanęła młoda, hoża kobieta. André

pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział tak wydatnych piersi. Jeszcze bardziej przykuwały uwagę jej oczy — ogromne, błękitne jak oczy tamtych dzieci, biegały niespokojnie, wciąż popatrując w stronę pól.

— Moje uszanowanie, madame — ukłonił się André.

— Mówię tylko po niemiecku — odparła cichutko.

— Witam szanowną panią — odezwał się Stephen po niemiecku.

— Witam w imię Boże — szepnęła.

— Jesteśmy znajomymi pani męża — mówił Stephen.

— Chcielibyśmy z nim porozmawiać. Przyjechaliśmy z daleka. Jesteśmy zdżożeni i głodni.

Na dźwięk słowa hungrig kobieta gwałtownie skinęła głową.

— Proszę do środka. W domu nie ma wiele jedzenia, ale mogę usmażyć Pfannkuchen, zrobię kawy, jeśli to panom odpowiada.

— Pfannkuchen! — spytał André tępo. — A co to za diabeł?

— Naleśniki. Są niezłe — objaśnił go Stephen. — Uprzejmie dziękujemy szanownej pani.

Sprzęty rozpadały się ze starości, lecz pokoje były dość czyste. Usadziwszy ich przy ogromnym stole, pani Waguespack zakrzętała się przy palenisku.

— W domu! — zawołał André. — Ona gotuje w domu! Ma foi.

— A cóż w tym złego?

— W mieście — nic. Ale na plantacji, gdzie nie ma straży pożarnej...

Pamiętaj na przyszłość — ceglany budynek kuchenny, co najmniej sto jardów od domu.

Pani Waguespack smażyła naleśniki na wielkiej patelni, na obrzeżu kominka cicho bulgotała kawa. Nie minęło wiele minut, a gospodyni postawiła na stole na grubych fajansowych talerzach złociste stopy wonnych naleśników. Następnie przyniosła kawę, masło i dzbanek z syropem.

André czekał, aż Stephen zacznie jeść, wreszcie sam skosztował.

— Nie najgorsze — stwierdził po pierwszym kęsie, a po chwili: — Ależ to naprawdę dobre!

— Jak się pani nazywa? — zwrócił się Stephen do pani domu.

— Minna... Minna Waguespack.

— Wagonsbeck? — dopytywał się André.

— To nazwisko Hugona. Waguespack to forma francuska — wyjaśnił Stephen.

Odwrócił się do Minny.

— Dziękujemy za poczęstunek. Gdyby mogła nam pani powiedzieć, gdzie przebywa jej małżonek...

Błękitne oczy zabiegały niespokojnie.

— Jest tam, na południowym zachodzie, ale...

— Tak?

— Ale nie mówcie mężowi, że byliście w domu! Proszę panów!

André uniósł brwi i już otwierał usta, lecz Stephen wstrzymał go ruchem ręki.

— Niech się pani nie martwi, Minno — powiedział do dziewczyny, bo w istocie była jeszcze bardzo młodziotka. — Nic mu nie powiemy!

— Ale dlaczego? — dziwił się André, gdy dosiadali koni.

— Sam zobaczysz — odparł Stephen posepnie.

Na południowozachodnie pole nie musieli jechać daleko. Objechawszy cyprysowy zagajnik, ujrzeni gromadę niewolników, uwijających się na roli jak w ukropie: sadzili trzcinę cukrową.

— W życiu nie widziałem, żeby czarni pracowali w takim tempie. Ciekawym...

Jakby w odpowiedzi zagrzmiał ryk Hugona:

— Ruszać się, czarne śwynie! — Każde słowo punktował jęklivy świst bata, zakończony trzaskiem jak wystrzał z pistoletu.

— Mój Boże! — zawołał André — co za bestialstwo! Jeszcze jeden łagodny zakręt i stanęli naprzeciw Hugona.

Hugo ściągnął swego wierzchowca tak brutalnie, że ów, choć mocno leciwy, o mało nie stanął dęba, jeździec był jednak zbyt ciężki.

Stary wałach znieruchomiał, zwiesił chudą szyję.

— Witam, witam! — zawołał Hugo szczerząc zęby w uśmiechu. — Nieoczekiwany to zaszczyt!

— Chodzi o pańskich czarnych — powiedział Stephen bez wstępnych ceremonii. — Słyszałem, że ich pan sprzedaje. Kupię ich hurtem, od ręki.

— Nic z tego, panie Fox — odparł Hugo z uśmiechem

— oddam ich tylko w dobre ręce. A pan jest zbyt litościwy, zepsułby ich.

— Mój Boże! — szepnął André — on ich wszystkich skatował!

— Tylko dziesięć razy na łebka — powiedział Hugo.

— Jestem człowiek ludzki, monsieur Le Blanc. A pański przyjaciel może się tylko cieszyć, że tak dbam o ziemię, która niebawem przejdzie w jego ręce.

— Prosił pan o odroczenie terminu? — zapytał Stephen.

— Pana o nic nie będę prosił — wycedził Hugo.

— Spłacę mój dług. Wiem, że brak panu pieniędzy. Trzydzieści tysięcy utopił pan w ziemi, a dwadzieścia tysięcy w magazynie, który pan prowadzi z tym złodziejaskiem Warrenem — więc z gotówką u pana krótko.

— To prawda — odparł Stephen spokojnie. — Ale nie podoba mi się, że jest pan tak dobrze zorientowany w moich sprawach.

— Lubię wiedzieć, co w trawie piszczy — odparował Hugo.

Gdzieś już słyszałem to wyrażenie, pomyślał André, ale gdzie? Z czyich ust?

— Żeby zebrać plon, musi pan mieć tę ziemię — swojej nie zdąży pan wykarczować na czas. I trzeba panu Murzynów. No i musi pan wyprzedzić cały towar ze składu. Coś mi się widzi, że z panem równie kiepsko jak z mną.

— To już moja sprawa — uciął Stephen. — Do pana mam tylko jeden interes — kupić Murzynów.

— Nie ma mowy — odparł Hugo cichym głosem. André, pochylony nad jednym z niewolników, leżącym bezwładnie na ziemi, obmywał mu twarz wodą, którą przyniósł ze źródła inny niewolnik. Hugo zsiadł ciężko z konia.

— Przepraszam pana — zwrócił się grzecznie do André, po czym z rozmysłem kopnął Murzyna w bok, bacząc by mu nie połamać żeber.

— Wstawaj, stary ośle! — krzyknął.

— Jesteś pan świnią! — nie wytrzymał André. — Plugawa niemiecka świnią!

— Wolnego, mój panie — odparł Hugo bez emocji. — Pasowałby panu pojedynek ze mną, prawda? Dobrze pan wie, że nie znam się na białej broni. No i nikt by się nie dowiedział, że zaszlachtował mnie pan po to, żeby monsieur Fox zagarnął moją ziemię i czarnuchów.

André z całej siły uderzył go w twarz.

— André! — krzyknął Stephen.

— Niech się pan nie obawia — powiedział Hugo z całym spokojem. — Nie dam mu tej sposobności — nie położę mnie trupem.

— Możemy się strzelać — zawołał André roztrzęsionym głosem. — Z pistoletów, strzelb, dubeltówek — czegokolwiek! Pan dobrze strzela!

— Aleja wcale nie chcę pana zabić. Miły z pana chłopiec, chociaż trochę lekkomyślny w doborze przyjaciół. Teraz chcę prosić o jedno — czy moglibyście panowie usunąć się i nie przeszkadzać w sadzeniu? Chciałbym być bardziej gościnnie, ale czas nagli.

— Chodź, André, nic tu po nas.

— Świnia — prawie płakał André. — Szwabski wieprz!

— W najlepszym gatunku. Takie świnię uporzędkiem kiedyś cały świat. Adieu, panowie!

— No chodź, André — ponaglał Stephen — jedziemy.

ROZDZIAŁ 4

Od klęczenia w drewnianych stallach w katedrze św. Ludwika Stephenowi zeszywniały kolana. Msza, którą odprawiał père* Antoine, wydawała mu się wyjątkowo długa, z trudem skupiał rozproszoną uwagę.

* **Madame Sans Regret (franc.) — madame bez litości**

Kilkakroć podniósł się zbyt późno, kiedy większość parafian już dawno stała, przy kilku innych okazjach dopiero szelest kobiecych sukien ostrzegł go, że czas przykłęknąć. Stojący obok André, przyoblekłszy przystojną chłopięcą twarz w wyraz powagi — przybierał go wyłącznie w niedzielę na mszy — z trudem tłumiał uśmiech, patrząc na gafy przyjaciela.

André wiedział, że kłopoty po części wynikają z faktu, że Stephen nie był w kościele od sześciu czy ośmiu lat, jednak główna przyczyna jego roztargnienia klęczała po drugiej stronie kościoła, przebierając różaniec smukłymi paluszkami. André musiał przyznać, że Odalie — jak przywykł ją nazywać — jest bardzo piękną kobietą. Zerkając co jakiś czas w jej stronę stwierdził, że panna rumieni się coraz mocniej, mimo to zdawała się nie widzieć coraz natarczywszych spojrzeń Stephena.

Zobaczymy, w którą stronę naprawdę patrzy Odalie, postanowił André.

Nadeszła pora kazania. Widząc, że père Antoine wchodzi na ambonę, wierni z ulgą prostowali obolałe od długiego klęczenia nogi i rozsiadali się w stallach i ławkach. Stary ksiądz, Hiszpan, rozpoczął homilię grzmiącym głosem, André zebrał rozproszone myśli. Zdziwiająco, jak czas potrafi odmienić człowieka. Pomyśleć, że ów przerażający padre* Antonio de Sedella, któremu o mały włos udałoby się zaprowadzić w Luizjanie świętą inkwizycję — łamanie kołem, piętnowanie, chłostę — oraz ten łagodny, sędziwy kapłan to jedna i ta sama osoba...

* **padre (hiszp.) — ojciec, ksiądz**

André zerknął w lewo. Stephen, wyprostowany w stallach jak struna, pięścił Odalie błękitnym spojrzeniem. André wpatrzył się w nią równie nachalnie. Teraz! Wreszcie ją przyłapał. Czarne oczy poruszyły się prawie niedostrzegalnie. Spojrzenia skrzyżowały się jak szpady. I znów sztych i parada. Odalie już się teraz nie wycofa, pomyślał André, ta gra zbyt ją wciągnęła. Musi co chwila sprawdzać, czy Stephen wciąż na nią patrzy, gniewać się gdy go na tym przyłapie, czując jednocześnie jakieś miłe wzburzenie, gniewać się jeszcze bardziej, jeśli Stephen nie będzie patrzył — uspokojona i jednak zawiedziona.

Siedząc za Odalie Aurore także spostrzegła tę szermierkę spojrzeń, jej młoda twarz o urodzie nieomal anielskiej przybrała zagadkowy wyraz.

Usadowiony obok starszej córki Pierre Arceneaux pochrapywał z cicha, wsparłszy wydatny podbródek na piersi. Na ambonie pére Antoine w sprawiedliwym gniewie potępiał szaleństwa i pychę człowieczego rodu. Pierre Arceneaux chrapał dalej. W ciężkim od kadzidlanej woni powietrza niemal słyszało się szcęk ostrych spojrzeń Odalie i Stephena. W orzechowych oczach młodszej siostry tała się niepewność i lęk.

Wreszcie pojedynek się skończył. Pére Antoine zszedł z ambony i przykląkł u stóp ołtarza. Odmówiono ostatnią modlitwę, wierni otrzymali błogosławieństwo, powoli opuszczali świątynię, przyklękając przy kamiennych misach z wodą święconą, zwracając nabożnie twarze w stronę ołtarza. Przeżegnawszy się wychodzili w rześistą światłość słoneczną, bijącą od placu Broni w stronę Chartres, gdzie stała katedra.

— Obawiam się, że nie dla mnie błogosławieństwo Matki Kościoła — stwierdził Stephen. — Moje kolana nie nadają się do klęczenia.

— Założę się, że w tańcu spisują się doskonale — odparł André.

— Masz rację — zgodził się Stephen z uśmiechem. — Rzecz w tym, że wciąż mam diabła za skórą. Modlitwą go nie wygonię. Wykurzę go diabelskimi sztuczkami.

— W takim razie stoi na przegranych pozycjach. Posuwasz się do tego, że prowadzasz go do kościoła i traktujesz jak jednego z dwojga swoich patronów.

— Kto jest patronką?

— Afrodyta. Jesteś zatwardziałym poganinem, Stephenie.

Stephen zaśmiał się wesoło.

— Więc mnie obserwowałaś?

— Rodzinę Arceneaux również. Góra lodowa pomалу taje. Zaczynam tracić mój tysiączek.

— Więc wypłać mi go z góry, bardzo by mi się przydał.

— Przepraszam cię, Stephen, ale nie mam go... Papcio...

— Znów gdera?

— Ostatnio nic innego nie robi. Ale chętnie pomogę ci w każdy inny sposób.

— Dajmy temu spokój. Spójrz, nasze dwie gracje.

Sunąc w zgiełkowej kawalkadzie wielu pojazdów, zielonozłoty powóz mijał niespiesznie mówiących. Zdjąwszy kapelusze, ukłonili się obaj. Pan Arceneaux odpowiedział z powagą na ich pozdrowienie.

— Znasz tego człowieka, ojczu? — spytała Odalie.

— A kto go nie zna? Monsieur Fox to jeden z najbardziej znanych obywateli miasta. W każdą środę gram z nim w écarté.

- Siadasz do stolika z jakimś Amerykaninem?
- Nie bądź taka staroświecka, moje dziecko. To zupełnie porządny człowiek. Zresztą zawsze wygrywam. Roget! Zatrzymaj powóz!
- Chcesz go nam przedstawić, ojcze? — spytała Odalie niezwyczajnie cichym głosem.
- Oczywiście. Dobrze wam zrobi jakaś nowa znajomość. Proszę pana!
- Ojcze! — powiedziała Odalie ostro. — Nie życzę so...
- Bzdura, moje dziecko. Proszę tutaj, panowie.
- Matko przenajświętsza! — rzucił Stephen półgłosem. Podeszli do powozu.
- Chcę przedstawić panów moim córkom — odezwał się Pierre warkliwie. — Monsieur Fox — Odalie, Aurore. André już znacie.
- Aż zbyt dobrze — mruknął André. Stephen skłonił się.
- Nadzieja tego zaszczytu — wydekłamał w doskonałej francuszczyźnie — była jedynym promieniem słońca w moim szarym życiu.
- Pan zawsze tak arogancko przypatruje się damom? — spytała Odalie śmiało.
- Tylko wtedy, gdy są równie piękne jak pani. Nie skłamię zatem twierdząc, że nigdy nie przyglądałem się żadnej kobiecie — odparował.
- Odalie! — wykrztusiła Aurore.
- Moje córki są źle wychowane — zaśmiał się Pierre ubawiony — zupełnie jak ja!
- André też się roześmiał.
- To pański nieodłączny cień? — spytała Odalie, wskazując André ruchem głowy.
- Owszem, i mój dobry przyjaciel.
- Znamy André bardzo dobrze — ciągnęła — chociaż ostatnio dziwi nas kompania, w której się obraca.
- Odalie, teraz jesteś stanowczo niegrzeczna — wtrąciła Aurore gniewnie. — Zechce pan jej wybaczyć. Już od dawna na wszystko jej pozwalają i czasem zapomina, co to znaczy być damą. Wszyscy ją psują, nawet ja.
- Naturalnie — powiedział Stephen półgłosem — któż oparłby się jej urokowi? A czy pani, mademoiselle, nikt nie psuje?
- Nikt — odparła Aurore z nieskrywanym smutkiem.
- To niedopatrznie postaram się nadrobić przy najbliższej sposobności — oświadczył André. — Czy zezwala pan, wicehrabio?
- Czy zezwalam? — zdziwił się Arceneaux. — A niby na co?
- Bym odwiedzał Aurore.

— Sam ją pan zapytaj. Moje panny zawsze decydowały o sobie, tak je wychowano.

— Czy mogę, Aurore?

— Oczywiście, pan był dla mnie zawsze jak brat.

— Tak właśnie myślałem — powiedział André markotnie.

— A czy ja mogę, mademoiselle — zwrócił się Stephen do Odalie.

— Nie. Może kiedyś, później. Wolałabym najpierw lepiej pana poznać. Ciekawe, czy potrafi pan coś więcej, niż przyglądać się niegrzecznie paniom i posługiwać się francuskim ze swadą paryskiego salonowca. — mówiąc to, Odalie oglądała go spokojnie od stóp do głów.

— Zostawiam pani czas na zmianę decyzji — odparł — byle niezbyt długi. — Ukłonił się.

— Obaj będziecie zawsze mile widziani w moim domu — oświadczył Arceneaux dobitnie.

— Dziękuję panu — rzekł Stephen spokojnie — ale zechce pan wybaczyć, jeśli skorzystam z pańskiego uprzejmego zaproszenia dopiero wówczas, gdy moje wizyty będą mile wszystkim zainteresowanym. Żegnam pana. Żegnam panie. Sługa uniżony.

— Dlaczego byłaś dla niego taka przykra? — zaczęła narzekać Aurore, gdy powóz ruszył. — Już się u nas nie pokaże.

— Aurore, zaczynam podejrzewać, że on ci się naprawdę podoba! — odparła starsza siostra.

— Owszem, a może tobie nie?

— Dziewczynki, dajcie spokój — odezwał się Arceneaux znużonym tonem.

— Miałaś rację — powiedział André, gdy powóz potoczył się dalej. — Nie daj się zawojować tej uroczej wiedźmie, bo zmarnuje ci życie. Co teraz?

— Nie mam pojęcia. A ty co proponujesz?

— Obiad u mnie a potem walki zwierząt w Rotundzie.

— Doskonale, trzeba mi odmiany. Ale najpierw muszę się przespać. Te wczesne msze ścinają człowieka z nóg. Więc do trzeciej? Au'voir, André. — Odszedł wyprostowany jak struna, z wysoko podniesioną głową.

Kiedy nazajutrz po południu wszedł razem z André do baraku, w którym odbywał się przetarg, od razu zorientował się, że targ idzie ospale. Wyraźnie zgryziony licytator ustawicznie wycierał czoło wielką bawełnianą chustką, rzucając na garstkę obecnych spojrzenia pełne odrazy.

— Panowie, panowie! Decydujcie się! — pokrzykiwał. — Mam tu doskonałego parobka do prac w polu. Jest zdrowy jak koń, nadaje się do każdej roboty. Pytam was, panowie, jaką wyznaczyć cenę wywoławczą?

— Sto dolarów — powiedział Tom Warren bez pośpiechu.

— Czy słyszę inną propozycję? Panowie, czy rozumiecie, co robicie? Za tego Murzyna można dostać tysiąc dwieście dolarów na najmniejszym targu w tym stanie! Popatrzcie na te mięśnie, na te zęby — mocne i bez jednej plamki. Przecież ten czarny nadaje się do każdej pracy, panowie, do każdej pracy!

— Pewnie — odezwał się ktoś za Stephenem. — Nawet do rozbojów i mordów.

Stephen i André odwrócili się jak na komendę. Nieznajomy nie zadał sobie zbytniego trudu, by ściszyć głos, kilku gapiów zaśmiało się posepnie.

— Panie — zapytał Stephen — o co tu właściwie chodzi?

— Pan musi tu być obcy, że nie wie. Wszyscy inni wiedzą.

— Rzeczywiście nie wiem. Co z tym czarnym? Sądząc z wyglądu nic mu nie brakuje.

— Faktycznie nic mu nie brakuje, ale z głową coś u niego nie tak jak trzeba.

— Więc jest obłąkany?

— No, niezupełnie. Prawda jest taka, że całą tę partię czarnuchów przywieziono z San Domingo. Widzieli, jak inni czarni zabijali białych, a może i sami kilku wykończyli.

— Sądziłem, że zakazano importu czarnych z San Domingo — powiedział André.

— Tak, ale tych przeszmurowano. Ten Waguespack to sprytna jucha. — Kentuckczyk spojrział na André. — Widzę, że parujesz pan po francusku. Zagadaj pan do nich, do tych czarnych.

— Przecież w Luizjanie wszyscy Murzyni znają francuski.

— Ale nie tak jak ci. Ci z Domingo naprawdę znają francuski. Wiem, co mówię, bo sam go trochę liznałem, kiedym tu był za pierwszym razem.

André podszedł do jakiejś starszej kobiety, która stała z boku, czekając aż ją wywołają do licytacji.

— Tante*, jesteś z San Domingo? — zapytał po francusku.

* tante (franc.)

— Owszem, paniczu. Czy chcesz mnie kupić?

Nie odpowiedziałwszy jej na pytanie, André wrócił do Stephena.

— Ten człowiek mówi prawdę! — rzucił. — To czarni z San Domingo. Lepiej powiedz Tomowi, żeby ich nie kupował.

— Nie — powiedział Stephen cicho lecz stanowczo. Tom Warren podszedł do licytatora.

— Sam pan widzisz, że nici ze sprzedaży. Posłuchaj pan — biorę całą partię za pięć tysięcy.

— Pięć tysięcy? Czyś ty oszalał, człowieku?! Tyle dostałbym za trzech czarnuchów.

— Pięć tysięcy i ani grosza więcej — nie ustępował Warren.

Rozgorączkowany licytator rozglądał się błagalnie po obecnych, lecz oni zaciskając wargi, patrzyli nań zimno i posepnie.

— No dobrze — powiedział słabym głosem — zgadzam się, ale to skandal, na rany Chrystusa, to woła o pomstę do nieba!

Tom wyciągnął sakiewkę i odliczał pieniądze. Nagle André chwycił Stephena kurczowo za ramię.

— Spójrz, kto przyjechał — szepnął.

Stephen spojrział na plac — właśnie zajeżdżała zielonozłota karetka rodziny Arceneaux. Podszedł do barierki, do której był przywiązany Prince Michael, odwiązał cugle i wskoczył na siodło. André już stał za nim.

— Chyba nie chcesz uciekać?

— Nie — odparł Stephen mrocznym głosem — ale — ciotko wystarczy, że panna Arceneaux już raz patrzyła na mnie z góry. Teraz niech sobie popatrzy z dołu.

Gdy podjechali do powozu, ściągnął konia tak gwałtownie, że Prince Michael zatańczył pod nim.

— Mons[?]eur Fox, chyba mi pan nie powie, że kupuje czarnych — odezwał się stary pan.

Pozdrowiwszy krótko panny, Stephen natychmiast zwrócił się do Pierre'a Arceneaux.

— Niestety, kupuję. Właśnie nabyłem całą partię.

— Całą partię! — zawołała Odalie odymając usta. — Jaka szkoda...

— Upatrzyłem sobie jedną z tych Mulateczek — powiedział Pierre Arceneaux uśmiechając się paskudnie. — Odalie miałyby pokojówkę.

— Pozwoli zatem pani ofiarować ją sobie w prezencie.

— To wykluczone, panie — odparła Odalie sznurując usta. — Doskonale pan wie, że nie mogłabym przyjąć takiego подарunku od mężczyzny.

— Odkupię ją od pana, Stephenie — powiedział stary pan.

— Nie jest na sprzedaż — zbył go Stephen, a po chwili z błyskiem w oku: — Ale moglibyśmy o nią zagrać przy najbliższej okazji. Stawka — tysiąc dolarów.

— Umowa stoi — zawołał tamten. — W środę wieczór u Maspero.

— A po co hazardzicie Murzyni? — spytała Odalie wyniośle.

— Może po to, by sobie z nimi pograć — odparł „hazardzista”.

Nadjechał Tom Warren.

— Panie raczą wybaczyć. Czy wywieźć czarnych do pańskiej posiadłości? — zwrócił się do Stephen'a.

— Tak, ale dzisiaj niech ich pan nie pędzi do pracy. Niech sobie odpoczywają. Niech ubiją ze dwa wieprzki i najedzą się do syta. Hugo nie patyczkował się z nimi. Trzeba czasu, żeby wrócili do sił.

— Jak pan sobie życzy. Dobranoc paniom. Dobranoc panom.

Po chwili do wozów, czekających po przeciwnej stronie placu, ruszył długi wąż Murzynów. W pewnym momencie z szeregu wybiegła jakaś niemłoda kobieta, zbliżyła się do Stephen'a zdyszana i schwyciła go za strzemień.

— Maitre — zawołała — ty dobry pan, niech ci Bóg wynagrodzi twoją dobroć.

— Dziękuję, tante — odparł — jak ci na imię?

— Caleen. Będę ci wiernie służyć, panie.

— Dobrze, ciotko Caleen, wracaj teraz do tamtych.

— Ma pan podejście do czarnych — stwierdził Pierre Arceneaux. — To dobrze, będą chętnie dla pana pracowali.

Aurore wysunęła przez okno smukłą dłoń i delikatnie gładziła aksamitną sierść Prince Michaela.

— Prześliczny koń — powiedziała z uśmiechem. — Chyba jeszcze nie widziałam podobnego umaszczenia.

— Rzadko się je spotyka. Cieszę się, że przypadł pani do gustu.

— Cóż za widok — rozległ się z tyłu jakiś niski, ociężały głos. — Wspaniały pan Fox na eleganckim koniu zabawia rozmową eleganckie damy.

— Byłbym wdzięczny, gdyby grzeczniej się pan zachowywał, Waguespack — odparł zimno Stephen, ledwie racząc odwrócić głowę.

— Dobrze, będę grzeczny, szalenie grzeczny — uklonił się. — Będę skrupulatnie przestrzegać zasad bon tonu wobec jaśnie wielmożnego szubrawca.

— Jesteś pijany, Waguespack. Nie chcę z panem zwady.

— Jestem pijany, a jakże! Zalany w sztok! Ale nie jestem durniem. Myślisz pan, że nie wiem, że to pański Tom Warren rozpuscita łgarstwa o moich niewolnikach — że niby pochodzą z San Domingo.

— Nic mi o tym nie wiadomo — powiedział Stephen. — I niech pan pamięta, że są tu damy.

— Damy? — zabelkotał Hugo. — Jakie damy? Ach tak, przecież w Luizjanie są też damy. Wszystkie powabne i z temperamencikiem. Zapewne wdały się w swoje słynne prababki — dziewczynki z poprawczaka!

Stary Arceneaux ze świstem wypuścił powietrze. André, który właśnie podjeżdżał, zdjął rękawiczkę i zatrzymał się naprzeciw Hugona. Stephen powstrzymał go ruchem dłoni.

— Chwileczkę — powiedział spokojnie — nasz przyjaciel najwyraźniej się przejęzyczył. Prawda, Hugo?

— Tak? Być może. Sam już nie wiem, co mówię. To manieri i zachowanie pięknych luizjańskich panien są temu winne.

— Dobrze, Hugo — powiedział Stephen ze zniechęceniem. — Wygrałeś pan. Spotkamy się w miejscu i porze, jakie pan wyznaczysz. Oszczędzi mi pan fatygi policzkowania go, prawda? Moi sekundanci złożą panu wizytę, by ustalić szczegóły. Au'voir.

— Voir — burknął Hugo. — Będzie z pana przystojny nieboszczyk.

Stephen odwrócił się na powrót w stronę powozu.

— Monsieur Fox! — zawołał Arceneaux grzmiącym głosem — domagam się honoru sekundowania panu!

— Ja również — wtrącił André cicho.

— Dziękuję panom. Panie wybaczą — powiedział do dziewcząt, które oniemiały, bez tchu, wpatrywały się weń szeroko otwartymi oczyma — to zajście nie powinno się było wydarzyć.

Nieoczekiwanie Aurore położyła dłoń na jego ramieniu.

— Niech pan tego nie robi — poprosiła. — Niech się pan z nim nie pojedynkuje.

— Nie bądź niemądra! — ostro skarciła ją siostra.

— Teraz musi się z nim spotkać.

— Ale może zginąć!

— W takim razie — odparł Stephen, patrząc na Odalie

— na świecie będzie mniej o jednego hazardzistę, nicponia i aroganta.

Zawrócił konia i ruszył truchtem w stronę domu.

— Nie podoba mi się to wszystko — nie wytrzymał André. — Wcale mi się to nie podoba!

— Ale dlaczego, André? Z tego co widzę, monsieur Fox potrafi się bronić.

— Rapierem, szpadą a nawet szablą — owszem. Ale jestem pewien, że ten opasły wieprz wybierze pistolety, a Stephen...

— Nie strzela dobrze? — w głosie Aurore brzmiała obawa i troska.

— No właśnie — sam nie wiem. Nie miałem dotąd okazji, by się dowiedzieć. Może być równie dobrze marnym jak doskonałym strzelcem. Ale teraz nie warto nawet wypytywać, już za późno. Czy przyjechać do pana za godzinę? — spytał starego pana. — Do Waguespacka jest szmat drogi.

— Dobrze — odparł tamten i przysunawszy się do ucha młodzieńca, zapytał szeptem: — A może uda się panu załatwić białą broń? Wie pan, ten rudy zawadiaka przypadł mi do serca.

André zjawił się w garsonierze Stephena już po północy, gospodarz spał jak zabity. Zanim dobudził się Georges'a, jego kamerdynera, by wspólnymi siłami wyrwać Stephena ze snu, miał już humor zwarzony na dobre.

— Śpi sobie jak nigdy nic! Mon Dieu! Wyleguje się, podczas gdy tamten wieprz obmyśla, jak go ukatrupić! Stephen, on uparł się, że chce pistolety, i nie mogliśmy mu tego wyperswadować!

— A po co w ogóle próbowaliście? Uspokój się, nic mi nie będzie. Trochę go tylko przedziurawię — postrzelę mu ramię albo rzepekę w kolanie, żeby sobie zdrowo pokuśtykał — i to wszystko.

— Ale jeśli on ciebie...

— Muszę się z tym liczyć. O co chodzi, Georges?

— Monsieur Warren przysłał umyślnego z wiadomością.

— Wprowadź go.

Do pokoju wszedł potykając się czarny posłaniec. Twarz lśniła mu od potu, oddychał ciężko, ze świstem jak zgonione zwierzę.

— O co chodzi? — spytał Stephen ostrym tonem.

— Czego chcesz?

— Pan Warren mówi, żeby pan szybko jechał. Skład się zapalił!

Stephen wyskoczył z łóżka.

— Osiodłaj Prince Michaela — rozkazał Georgesowi wciągając spodnie.

— A co z twoim koniem, Andre?

— Skonany. Zrobił dziś trzydzieści mil. Jedź, dołączę do ciebie, gdy tylko będę mógł.

Kiedy Stephen wybiegł na dwór, Georges już czekał obok osiodłanego konia. Nad rzeką jaśniała pomarańczowa luna. Mknąc ciemnymi ulicami, Stephen słyszał przez tętent kopyt spżowe tony katedralnego dzwonu, który bił na alarm, budząc uśpione miasto. Cztery niezdarne wozy strażackie z Depôt de Pompes w Cabildo są już pewnie na miejscu — myślał Stephen — i teraz te durnie spierają się, który przyjechał pierwszy i zdobędzie 50 dolarów nagrody!

Z mroku starej dzielnicy wpadł nagle w jaskrawe światło pożogi. Wokół biegały nieskładnie gromadki mężczyzn, przepychając się i potykając, w daremnym zamiarze wykonania sprzecznych rozkazów, które wykrzykiwało dwudziestu oficerów, machając białymi buławami. Wreszcie uformowano łańcuch i podawano z rąk do rąk wiadra z wodą, a nawet jeden z wozów — najstarszy z czwórki — przystąpił do gaszenia: wciął strumień wody, pompowanej ręcznie przez czterech krzepkich mężczyzn, lał się na ziemię kilka kroków od płonącego budynku.

Przed składem stał zwarty tłum gapiów, wśród których górowała wysoka postać Toma Warrena. Stephen podjechał do nich.

— I jak, Tom? — zapytał.

— To było ukartowane — odparł Warren ociężale. — Podpalono z rozmysłem. Ten czarnuch...

Stephen poszedł wzrokiem za jego palcem. U stóp Warrena leżał na wznak jakiś Murzyn. Wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że nie żyje.

— Zastrzelił go pan?

— Tak, wychodził ze składu z pochodnią w ręku.

— Sądziłem, że ma pan więcej oleju w głowie, Tom. Teraz już nigdy nie dowiemy się, kto go nasłał.

— Był jeszcze jeden — wtrącił któryś z gapiów. — Wybiegł tuż przed tym czarnym. Sam widziałem.

Tom Warren odwrócił się do mówiącego, przeszył go zimnym spojrzeniem małych oczek.

— Coś ci się pomyliło — wycedził. — Był tylko jeden.

— Dałbym sobie głowę uciąć — zaczął tamten niepewnie.

— To bez znaczenia — odezwał się Stephen. — Pytanie, kto go tu przysłał?

— Właśnie — zawtórował tamten. — Przecież ten czarny nie puścił składu z dymem dla własnej uciechy.

Stephen miał odpowiedzieć, lecz w tej chwili od ulicy dobiegł stukot kopyt i na dziedziniec, z największą szybkością na jaką pozwalała zajeżdżona szkapa, najęta w publicznej stajni, zajechał André. Zeskoczył z konia w pełnym biegu i straciwszy równowagę upadł na ziemię — na czworakach jak kot — tuż obok zwłok Murzyna. Nie podniósł się od razu, patrzył to na nieboszczyka, to na zgasałą pochodnię, leżącą tuż przy jego martwej dłoni. Wreszcie wstał powoli.

— Chyba jutro nie będziesz zbyt wyrozumiały, Stephen powiedział dźwięcznie i wyraźnie.

— Przecież nie mamy żadnego dowodu — odparł Stephen.

— A któż inny mógłby to zrobić? — zapytał Warren.

— Właśnie, kto — powtórzył Stephen jak echo, zwracając twarz ku huczącej ścianie ognia. Płomienie strzelały coraz wyżej, wypierając noc, barwiąc niebo krwawą purpurą.

Rano pod dębami trwał rzeński, zielony chłód. Słońce spowijała lekka mgiełka. Drzewa, ludzie i konie zatracili ostrość konturów, sceneria była jakby ze snu. Hugo wziął pistolet z rąk Jacquesa Fabre'a, który przyszedł na ten świat jako Jacob Weber*. Wycelował, mrużąc oko.

* Fabre, Weber — pierwsze to nazwisko francuskie, drugie — niemieckie

— Niezła pukawka — mruknął. — Będzie strzelać jak trzeba. Spróbuję oszczędzić odsłoniętych części pańskiej osoby, żeby tamte eleganckie damy nie cofnęły się ze zgrozą, kiedy będą składać na pańskim czole ostatni pocałunek.

— Dzięki — powiedział Stephen i ruszył powolutku na wyznaczone miejsce.

— Warunki są panom znane — odezwał się doktor Lefevre. Kiedy doliczę do trzech, każdy odda jeden strzał. Jeżeli żaden z panów nie zostanie trafiony, można będzie załadować broń i strzelać ponownie, lub wybrać rozsądniejsze rozwiązanie i uznać sprawę za załatwioną. Gotowi?

— Gotów! — zawołał Hugo.

— Ja również — powiedział Stephen spokojnie.

— Jeden! — zaczął Lefevre. Hugo natychmiast podniósł broń do oka i starannie wycelował. Stephen wciąż trzymał pistolet lufą w dół, ramię zwisało swobodnie.

— Mon Dieul — szepnęli jednocześnie André i Arceneaux — dlaczego on nie...

— Dwa! — Pistolet wciąż kołysał się lufą do ziemi. Hugo odciągnął kurek z trzaskiem, który w uszach André zabrzmiał jak wystrzał.

— Trz... — zaczął doktor Lefevre, lecz reszta słowa zginęła w huku wystrzału Hugona.

André poczuł nagły zawrót głowy i mdłości. Gdy przyszedł do siebie, stwierdził, że Stephen stoi tam, gdzie stał, kołysze się leciutko na nogach i powoli, rozmyślnie powoli, przerażająco opieszale podnosi pistolet do oka i celuje w Hugona.

Na polanie pod dębami zapadła martwa cisza. Jakiś liść, który przetrwał zimę czepiając się nagiego konaru, poszybował w dół, musnąwszy policzek André. Młodzieniec wzdrygnął się gwałtownie. Stephen wciąż nie strzelał.

Na czole Hugona zaperliły się drobne kropelki potu i spływały w kąciki jego obwisłych warg. Trwał bez ruchu. Wreszcie idący od ziemi poranny chłód wnikł w jego nogi i kręgosłup i niebotyczna góra tłuszczu — ciało Hugona

— zadrżała tak silnie, że nawet oddalony o trzydzieści jardów Stephen widział te monstrualne drgawki, poprzez zasłonę dymu i czerwonej mgły, która przysłoniła mu oczy, gdy Hugonowa kula zorała mu lewą skroń.

Mam trzy możliwości — myślał Stephen niespiesznie. Mógł skierować pistolet w górę i tym wspaniałomyślnym gestem darować przeciwnikowi życie. Lecz byłby to gest isticie operetkowy, a Stephen nie zniżyłby się do tanich popisów. Mógł też wypalić prosto w ziemię i w geście najwyższej pogardy rzucić Hugonowi jego nędzne życie tak jak rzuca się ochłap psu. Lecz i to byłoby gestem, a Stephena brzydziła wszelka ostentacja. Wreszcie mógłby z rozmysłem chybić, strzelając tak blisko celu, że te roztrzęsione zwały nerwów do końca życia zachowałyby w sobie pamięć kuli, przelatującej ze świstem tuż obok przerażonego mózgu.

Tak dumął Stephen, aż André, nie mogąc dłużej zapanować nad wzburzeniem, krzyknął:

— Na litość boską, strzelajże, człowieku! — I Stephen niedbale, jakby wcale nie celując, mierząc nieco w lewo, dostatecznie daleko, by ominąć stojącego w miejscu Hugona, pociągnął za kurek. Nie dość jednak daleko, by ominąć to ogromne cielsko, gdy rzuciło się w bok, na ziemię, pragnąc zejść z przewidywanej linii strzału. Hugo nie padł od razu, zawahał się jak wielki dąb, który, chociaż przecięty w pół, wciąż opiera się wysiłkom drwali. Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz krew rzuciła mu się gardłem i padł ciężko na ziemię tak właśnie jak pada martwe drzewo.

Doktor Lefevre przykląkł na chwilę przy leżącym.

— Sądzę, panowie — rzekł powstawszy — że im mniej będzie się mówić o tej sprawie tym lepiej — zważywszy na niezwykłość tego pojedynku.

— O co panu chodzi? — zapytał Stephen zimno.

— O czas, który upłynął między obydwojma strzałami

— odparł lekarz. — Mógł pan bez szwanku dla honoru oszczędzić życie tego człowieka — zranić go lekko lub puścić wolno. Przyszedłem na pojedynek, nie na egzekucję!

— Cofnie pan te słowa — krzyknął André — albo żądam satysfakcji!

— Nie gorączkuj się, André — wstrzymał go Stephen.

— Dość przelewu krwi na dziś. Poczciwy doktor ma prawo do własnych sądów. A teraz, doktorze, niech mi pan opatrzy to draśnięcie, jeśli można prosić. Czekają mnie pilne zajęcia.

RS

ROZDZIAŁ 5

Minna siedziała skulona przy kominku i rzewnie płakała. Padał ulewny deszcz, bębniąc donośnie o szyby. Co jakiś czas w sieć deszczu wplątywał się poryw wiatru, rozbijał ją na pył, kołatał we wszystkie okiennice. Lecz poza tym panowała cisza — niezmierna, dzwoniąca w uszach, posępna cisza deszczu, w której ginął szmer wody przenikającej przez dziurawy dach i popłakiwania głodnego dziecka. Minna płakała bezgłośnie, z nieruchomą twarzą, w niezmienionej pozycji. Deszcz szumiał monotennie. Stare drzwi kołysały się z jękiem na jedynym zawiasie, aż wiatr szarpnął je i zatrzasnął.

Młodsza dziewczynka pierwsza usłyszała plaskanie kopyt końskich w błocie podwórka. Wybiegłszy z jakiegoś kąta rzuciła się z krzykiem do matki. Minna przygarnęła dziecko do miękkiego łona, czując jak małe serduszko uderza o cienkie żebra.

— Ciiicho — szepnęła. — Siedź spokojnie.

Tuląc do siebie małą, wpatrywała się z napięciem w drzwi. Pozostała trójka dzieci przywarła do jej kolan, młodsze uderzyły w głośny lament.

Boże spraw, by nie był pijany, prosiła w duchu. Lecz odgłos stóp, które zeskoczyły z konia i powoli, jakby z wysiłkiem szły przez werandę nie przypominał łomotu Hugonowych buciurów. Słyszac stłumione, prawie nieśmiałe pukanie do drzwi, Minna z westchnieniem wypuściła dziecko z objąć.

— Kto tam? — zawołała.

— Herr Fox — odpowiedział dźwięczny baryton. — Proszę mnie wpuścić!

Minna podbiegła do drzwi i otworzyła je gwałtownym ruchem. Na progu chwiejąc się stał Stephen, bardzo blady. Był bez kapelusza, głowę miał obandażowaną. Deszcz ściekał strumieniami ze zmierzwionej, miedzianej czupryny, barwiąc purpurą biały opatrunek.

— Ach, Gotti — zawołała Minna. — Pan jest ranny!

— To nic poważnego — odszukał wzrokiem jej rozbiegane oczy.

— Minno, pani mąż... nie żyje. Zabiłem go. Błękitne oczy stawały się coraz większe i większe. Do kominka wtargnęła wichura, deszcz zasyczał w płonących głowniach.

— Nie żyje — powtórzyła jak echo. — Nie żyje...

— Był pojedynek — mówił Stephen nieskładnie. — Pró... próbowałem go nie trafić, ale się poruszył. Czy mógłbym w jakikolwiek sposób...

Minna nie słuchała.

— Pan jest ranny — stwierdziła, przyglądając mu się uważnie. — Ciężko ranny. Niech pan siądzie, przyrządzę gorącego ponczu. Otto, przynieś dla pana krzesło.

— Minno, pani mnie nie zrozumiała. Hugo nie żyje. To ja go zabiłem!

— Ależ rozumiałam. Pan zastrzelił Hugona.

— A pani... pani to nie obchodzi?

— Owszem, kochałam go. Bardzo go kochałam. Miał ciężką rękę, czasem zachowywał się jak bestia, ale bywał i ludzki. Chodzi o to, że od dawna się tego spodziewałam. Nie pan, to kto inny. Wciąż się z kimś kłócił. Co się stało, to się nie odstanie. Szkoda, że to musiało się stać. Najbardziej mi żal, że to właśnie pan.

— Minno, nie zostało mi wiele pieniędzy, ale wszystkie należą do pani. Może tu pani zostać, albo wystawię pani weksel na tę posiadłość — spłace go z moich pierwszych zbiorów. I będę przysyłał pieniądze dzieciom, dopóki będę żył.

— Dobry z pana człowiek... Ale nie, to zbyt wiele. Wystarczy, jeśli opłaci pan mnie i dzieciom podróż do Filadelfii. Mam tam stryja, u którego będę mogła pracować. Ma piekarnię. Od początku odradzał mi to małżeństwo, ale byłam młoda i głupia.

Stephen sączył ognisty napój, czując w sobie przyjemne ciepło i przypływ nowych sił.

— Kiedy chce pani jechać?

— Jutro. Nie mamy żadnego dobytku, nie ma co pakować — możemy jechać choćby zaraz.

— Przyśle wam powóz — powiedział wstając. W drzwiach przystanął:

— Minno, czy wybaczy mi pani?

— Tak. Niech pan idzie z Bogiem.

Zanim Stephen dotarł do Harrow, z uczucia ciepła nie zostało ani śladu, drżał z osłabienia i chłodu. W Harrow czekał Tom Warren, otoczony zwartą gromadą zziębniętych, przemoczonych do suchej nitki Murzynów.

Warren wskazał na rząd szop o trzech ścianach, z szop wydobywał się niebieski dym — deszcz przygniatał go do ziemi.

— Nic lepszego nie udało mi się zbudować — powiedział — w taką pogodę i w tych warunkach.

— Trzeba będzie się tym zadowolić — powiedział Stephen ze znużeniem. A po chwili, z krzywym uśmiechem: — Która jest moja?

— Boże broń! — zawołał Warren. — Wraca pan ze mną do miasta. Zostać tu w pana stanie to pewna śmierć.

— Zaryzykuję — odparł Stephen. — Jest późno, a roboty huk. Ale mam dla pana zadanie. Niech pan najmie powóz i przyśle do Waguespacków jutro przed jedenastą. I trzeba zamówić bilety na statek dla Minny i jej dzieci. Wyplaci pan im tysiąc dolarów na pierwsze wydatki. Spłacam ich z tej posiadłości.

— Pan naprawdę przesadza z tą dobrocią. Przecież dzieci Waguespacka to nie pańska sprawa. Ostatecznie ma pan jego weksel...

— Niech pan robi, o co proszę! — przerwał mu Stephen ostro. — Niech pan sprowadzi Jacquesa Fabre'a — trzeba sporządzić odpowiednie dokumenty — po niemiecku i francusku, a Fabre zna obydwą języki.

— Zrobię jak pan sobie życzy, ale muszę wyrazić swój sprzeciw. Postępuje pan nierozsądnie. Ma pan ponad pięćdziesiąt tysięcy długu, a majątku właściwie żadnego. Gotówki wystarczy akurat na zakup wyposażenia, dorzuciłem jeszcze trochę własnego grosza...

— Dziękuję, Tom. Może pan liczyć na mnie w potrzebie.

— Będzie pan potrzebował nadzorcy.

— Jeszcze nie teraz. Na razie sam będę pilnował czarnych. Ale niech już pan jedzie, robi się późno.

— Jak pan sobie życzy. Ale powinien się pan jakoś osuszyć i ogrzać. Przywiozę doktora Lefevre'a...

— Wykluczone! Nie potrzeba mi tu żadnych konowałów. No, niech już pan jedzie.

Tom Warren dotknął runda kapelusza, wskoczył na siodło i pokłusował w stronę miasta.

Stephen stał w deszczu i rozglądał się po swoich włościach. Pomyślał, że chyba jeszcze nigdy nie widział równie posepnego widoku. Grafitowoszare niebo wspierało się jak ciężkie wieko na koronach dębów, karłowate palmy, przebierając pierzastymi liśćmi jak palcami, były niczym tysiące rąk, wzniesionych w oskarżycielskim geście, czy może te ręce mu urągały? Otaczający go Murzyni — obraz nędzy i rozpacz — szeptali coś między sobą.

— Wejdźcie do szop — rzucił surowym tonem — ogrzejcie się!

— Jestem głodny! — poskarżył się jęklonie jakiś stary niewolnik.

— I będziesz głodny aż do rana — fuknął Stephen. — No, do środka, w tej chwili!

Schyliwszy głowę wszedł do pierwszej z brzegu chatki. Przy wejściu tliło się i dymiło niewielkie ognisko, dzielnie walcząc z mokrymi polanami. Stephen rozłożył pelerynę na wilgotnej ziemi, tuż przy ogniu, i położył się. W głowie mu huczało, w żołądku czuł mdlące kurcze, był głodny i

osłabiony. Przymknął oczy, ale zaraz zerwał się na równe nogi. Z dworu dobiegało ciche, żalosne skamlenie. Wychyliwszy na zewnątrz głowę, ujrzał młodą Mulatkę, którą Odalie upatrzyła sobie na pokojówkę, i starą tante Caleen. Dygotały na deszczu w przemokłych szmatach.

Ta szopa miała być ich mieszkaniem.

— Wejdźcie — powiedział. — Nie stójcie tam jak zmokłe wrony. Nie będę z was miał żadnego pożytku, jeśli umrzecie na suchoty!

Dziewczyna spojrzała bojaźliwie na Caleen, ta skinęła głową i weszły do szopy. Gdy przechodziły obok ogniska, woda ściekająca z ich łachmanów o mało nie zgasiła wątłego płomienia.

Poszperawszy w kącie szopy, stara znalazła tylko garść mokrych gałązek. Wyszła bez słowa w ulewę, niknąc w posępnym cieniu wielkich dębów. Wróciła dopiero po półgodzinie z naręczem dość suchego chrustu, wyszukała go pod nisko zwisającymi konarami i w zakamarkach lasu, tam gdzie deszcz jeszcze nie zdołał się przedrzeć.

Wkrótce ogień buchnął żywym płomieniem, Stephen poczuł, że do jego skostniałych członków powraca ciepło i życie. Szopę wypełniła woń parującej odzieży. Zaszyszy się w kącik, dziewczyna—Mulatka pochlipywała cichutko. Stephen nie zwracał na nią uwagi, patrzył na starą niewolnicę.

Tante Caleen zaostrzyła jakiś kij nożem, który wydobyła z przepastnej kieszeni i ponownie wyszła na dwór, siąpił teraz drobny, dokuczliwy deszcz.

Stephen położył obolałą głowę na pelerynie i czekał, starej nie było teraz dobrą godzinę. Przyszła zgięta w pół, podtrzymując czarną, sękatą ręką fartuch, w którym coś niosła, w drugiej ręce miała nieduży saganek, przyniesiony z furgonu. Saganek, napełniony w połowie wodą, postawiła na ogniu. Rozpostarła fartuch i do garnka zsunęło się kilka tuzinów langust. Dosypawszy nieco soli i pieprzu, a także garść dzikiego sasafras, Caleen rozsiadła się wygodnie obok paleniska.

Kiedy potrawa była gotowa, Caleen wyłowila z garnka langustę, urwała łebek, wysssała mięso ze skorupy i kiwnęła na Stephena: tak właśnie się to je.

— Jedz, panie, to jest dobre.

Stephen posłuchał. Potrawa była dobrze przyprawiona i nadspodziewanie smaczna. Zajadając ze smakiem, zauważył w pewnej chwili, że dziewczyna wybałusza na niego wielkie oczyska.

— Przepraszam — rzekł z uśmiechem. — Częstuj się. Ty także, ciotko Caleen.

Nasyciwszy głód, prawie natychmiast poczuł się lepiej — znużenie i ziąb jakby ręką odjął, tylko tępe pulsowanie w głowie przypominało mu o zajściach minionego dnia. Rozciągnął się jak długi na pelerynie i zasnął.

Budząc się stwierdził, że Caleen właśnie obmywa mu głowę jakimś ciepłym, kojącym płynem. Oddarłszy pas tkaniny z którejś ze swych licznych halek, zgrabnie obwiązała głowę Stephena, przyłożywszy do rany jakieś nieznanne ziele, które miało uleczyć zapalenie i spędzić gorączkę. Stephen już teraz czuł się lepiej.

— Dziękuję ci, tante, doskonale się sprawiłaś.

Mżawka ustała. Wychyliwszy się z chatki, Stephen stwierdził, że słońce już weszło za rzeką. Wyszedł na dwór i zawołał Murzynów.

— Wszyscy musimy ciężko pracować — powiedział. — Nikt was nie będzie bił. Spełniajcie tylko bezzwłocznie moje polecenia, a wszystko będzie dobrze. Jeśli nie — odeślę was z powrotem do tamtych Niemców.

Wysłał któregoś z niewolników do furgonu po worek kukurydzianej mąki i kazał kobietom piec chleb. Dzieci miały wybierać langusty z wysokich kopców nad rzeką. Kiedy naznosiły ich dość, Caleen i dwie inne kobiety ugotowały zdobycz w wielkim garnku żeliwnym. Niskie bochenki kukurydzianego chleba upiekły się w zadziwiająco szybkim tempie — co prawda były przyprószone sadzą i popiołem, gdyż leżały na płaskich kamieniach, wsuniętych w żar ogniska. Rozdzielono chleb między niewolników, stłoczeni wokół sagana, przierzucali z ręki do ręki gorące podpłomyki i parząc palce wyciągali z wrzątku langusty.

Stephen przysiadł na uboczu na zwalonej kłodzie, na której ciotka Caleen postawiła jego śniadanie. Jadł to samo co reszta — langustę i obsypany popiołem chleb. Gdy wszyscy się najedli, Stephen wstał.

— Mężczyźni pójďte do wozów po topory — powiedział. — Zaczniecie tutaj, od rzeki. Będziecie karczować las kwadratami. Zrozumieliście?

Niektórzy kiwnęli twierdząco głowami, lecz inni patrzyli tępo, więc powtórzył polecenie po francusku. Poszli do wozów i ustawivszy się w szereg, brali piły, siekiery i topory od jakiegoś potężnie zbudowanego Murzyna.

Chodzą jak po sznureczku, wiedzą, co to dyscyplina, myślał Stephen. — A ten wielkolud ma zdolności przywódcze. — Hej ty! — zawołał — pozwól no tutaj.

Dryblas podszedł bez pośpiechu. Był tak wysoki, że patrzył z góry na obandażowaną głowę swego pana.

— Jak cię zwać?

— Achille, panie.

— A więc, Achille, wyznaczam cię na przodownika. Kiedy mnie tu nie będzie, dopilnujesz, żeby robota nie ustawała. Nikt się nie może lenić ani wymawiać od pracy. Weź tamtych ludzi i najpierw zabierzcie się do tych niskich palm, potem przejdziecie do wysokich drzew.

— Dziękuję, panie — powiedział z uśmiechem do Stephena, a do innych, z groźną miną: — Jestem przodownikiem! Żaden nie będzie mi się wykręcał od roboty, zrozumiano?

Tamci słuchali uśmiechając się, ale prawie natychmiast wzięli się do siekier i kos.

— A wy — zwrócił się Stephen do pozostałych — pójdziecie ze mną na starą plantację.

Murzyni zbili się w małe, przerażone stadko i wybuchnęli głośnym lamentem.

— Nie bójcie się — uspokajał ich. — Waguepack już nigdy was nie zbije. No jazda, idziemy.

Poszli gęsiego za koniem, szwargocząc między sobą w wyspiarskim dialekcie. Stephen jechał w milczeniu, zamyśliwszy się nad czymś głęboko.

Wyjeżdżając zza zakrętu drogi stwierdził, że powóz już czeka przed domem, a na ganku stoją Tom Warren i Jacques Fabre.

Fabre zmarszczył swe krągłe oblicze w grymasie potępienia, co człowiekowi o jego jowialnym usposobieniu przychodziło nie bez trudu. Krótkimi, pulchnymi palcami dotykał nerwowo czubka łaski z ukrytym wewnątrz sztyletem, którą przezornie zabrał ze sobą.

Stephen zeskoczył ciężko z konia, który zaniedbany i brudny, przedstawiał dość smętny widok, podobnie jak jego pan: w nieświeżej, pogniecionej odzieży, z dwudniowym zarostem porastającym rudymi kępkami bladą twarz.

— Witam panów — powiedział. — Czy wszystko gotowe?

Jacques odchrząknął.

— Nie orientuję się zbyt dobrze — odparł w sztywnej francuszczyźnie z wyraźnymi naleciałościami niemieckimi — w naturze usług, których oczekuje pan ode mnie.

— Chodzi o sprawy handlowe — powiedział Stephen. — Potrzebuję dokumentu w dwóch językach — francuskim i niemieckim. Pan mi go napisze, Jacques, a pan, Tom, potwierdzi go własnoręcznym podpisem. Ja, Stephen Fox... — zaczął.

Pulchne palce sunęły błyskawicznie po papierze. W miarę pisania pośepny grymas zniknął z pucołowatej twarzy Jacquesa. W pewnym momencie rzucił pióro i wyciągnął do Stephena rękę.

— Panie! — zawołał — byłoby dla mnie zaszczytem, gdybym mógł zwać pana swoim przyjacielem. Podobna hojność... niezwykajna szczodrośliwość... wprost brak mi...

— Spokojnie, Jacob — przerwał mu Stephen. — To po prostu mój obowiązek. Cieszę się, mogąc cię uważać za przyjaciela. Nie mam ich zbyt wielu.

— To wyłącznie dlatego, że nie wiedzą... — zaczął Jacques, lecz przerwało mu pukanie do drzwi. Stephen, który siedział najbliżej wejścia, poszedł otwierać. Cofnął się o krok i uklonił.

Na progu, w zgrabnej zielonej amazonce stała Aurore, na widok Stephena otworzyła szeroko orzechowe oczy.

— Nie spodziewałam się zastać tu pana — rzuciła i poszła w głąb pokoju, tam gdzie Minna, ubrana w strój podróżny, siedziała pośród tobołków i czworga swoich piskląt.

— Więc nie tylko zabił pan im ojca — zawołała — lecz pozbawia majątku żonę i te maleństwa! — Oczy jej zwilgotniały. — Moja ty biedna! — rzuciła w stronę Minny, na długich rzesach zawisły wielkie łzy. — Och, monsieur Fox — powiedziała na wpeł z płaczem — nigdy bym nie pomyślała... nie uwierzyłabym... Proszę mnie nie dotykać! — krzyknęła, gdy wyciągnął rękę, by dotknąć jej ramienia.

Minna siedziała bez ruchu, w jej błękitnych oczach malowało się tępe zdumienie. Tom Warren nie spuszczał ze Stephena chmurnego spojrzenia. Ciszę przerwał dźwięczny głos Jacquesa Fabre'a, który w swej dziwacznej frankoniemczyźnie zaczął odczytywać właśnie spisany dokument. Aurore znieruchomiała, jarzyły się tylko jej pięknie oprowadzone oczy. Gdy przebrzmiała ta napuszona deklamacja, dziewczyna podeszła do Stephena.

— Proszę mi wybaczyć — szepnęła. — W głębi serca wiedziałam, że pan nie mógłby... że ktoś taki jak pan nigdy nie... Omal nie oszalałam, słysząc jak Odalie i inni nazywają pana „katem" i „egzekutorem"...

Stephen patrzył poza nią przez uchylone drzwi.

— Dlaczego Odalie tak mnie nienawidzi — powiedział po chwili.

— Bo pana kocha — odparła Aurore cichutko. — Bo pan nie pozwala się owinąć wokół palca, jest prawdziwym mężczyzną. I jeśli Odalie kiedykolwiek się zapomni to... Proszę przekazać madame Waguespack wyrazy najgłębszego współczucia, o ile wiem, nie zna francuskiego, a ja nie mówię po niemiecku. Żegnaj panów — i proszę mi wybaczyć ten wybuch...

— Nie mamy czego wybaczać — rzekł Stephen. — Jeśli może pani chwilę poczekać — panowie niedługo wracają do miasta...

— Nie, nie, czekają na mnie w domu od kilku godzin! Au revoir.

RS

ROZDZIAŁ 6

Było wczesne lato, jadąc do Harrow, André czuł jak ciężkie powietrze przygwałdza go do ziemi. Spiekota odbijała się od gościńca drgającymi falami, skóra wierzchowca lśniła od potu. Bezchmurne, wysokie niebo stało nad koronami dębów jak wnętrze siwonebieskiej czary, tak przejrzyste, że prawie bezbarwne, powódź słońca wypłukiwała je z błękitu. Hiszpański mech, spadający girlandami z dębowych konarów, wysechł i spłowił od żaru.

— Mon Dieu — mruknął André — ale upał!

Ciekawe, czy Stephen ma do mnie jakąś urazę, myślał leniwie. Nie widzieli się od dnia pojedynku. Wzruszył apatycznie ramionami — trzeba będzie zaryzykować gniew Stephena.

Na pewnym odcinku gałęzie dębów zwieszały się w poprzek drogi, było tam nieco chłodniej. Jakaś pomniejsza odnoga rozlewiska sięgała gościńca. Po czarnej, cuchnącej wodzie płynęła niewielka pirogue*.

* pirogue (franc.) — długa, wąska łódź wyzłobiona z jednego kawałka drewna.

André dostrzegł w niej przewoźnika z Nowej Szkocji, zakrywszy twarz słomkowym kapeluszem, spał sobie w najlepsze.

Ci z Nowej Szkocji to same nieroby — uśmiechnął się André.

Wyjeżdżał zza zakrętu gościńca, rozpoznał okolice, choć długotrwałe upały mocno tu wszystko odmieniły. Tu zaczyna się Harrow, ale do zagajnika, w którym Stephen zamierzał postawić swój dwór, pozostały jeszcze dwie mile. Koń włókł się noga za nogą, André nie chciał go popędzać w taki skwar.

Wreszcie ukazały się pola. Zdumiony André ściągnął wodze. Prawie połowa ziemi, którą mógł objąć wzrokiem, była wykarczowana i obsadzona! Lecz z lasu nie dochodził już szcęk toporów, tylko ułożone w wysokich sagach bale wyznaczały długi szlak aż nad rzekę, po nowo zbudowaną przystań dla parowców. Znikły szopki, o których słyszał od Warrena, niewolnicy zamieszkali w chatach, zbudowanych z cyprysowych bali i desek. Wśród wyniosłych dębów stał dom z grubo ciosanych bali dębowych, większy od chat lecz równie jak one prymitywny.

— A więc — powiedział sobie André — to jest właśnie Harrow!

Wyminawszy dom ruszył w kierunku pól. W oślepiającym blasku słonecznym sunęła wzdłuż zagonów czarna ludzka gromadka. André skierował się w tamtą stronę, ostrożnie wymijając rzędy trzciny. Zbliżywszy

się stwierdził, że jeden z wyrobników był biały, ramiona miał upstrzone piegami.

— Mon Dieul — mruknął. — Więc to prawda!

— André! Myślałem, żeś chory albo że nie żyjesz!

— Nic podobnego! Ale ty, Stephenie, co z tobą, na Boga... Ma foi, coś ty ze sobą zrobił?!

Stephen uśmiechnął się łobuzersko. Szeroka szkarłatna blizna podjechała pod granicę rudych włosów, nadając tej niepokornej twarzy iście diaboliczny wygląd. Nad spłówałymi do białości brwiami skóra złuszczała się czerwonymi płatami. Zsunąwszy z czoła słomkowy kapelusz o szerokim rondzie, roześmiał się na cały głos.

— No, co tam mówią o mnie w Orleanie? — zapytał. André nie spieszył się z odpowiedzią.

— Już nie mają ci za złe pojedynku. Doszli do wniosku, że oszalałeś!

— Oszalałem! — zawołał Stephen i aż zatoczył się ze śmiechu. — Długo trwało, nim na to wpadli, nie sądzisz? Ja zawsze o tym wiedziałem.

— To nie są żarty, Stephenie. Powiadają, że mieszkasz w nędznej chałupie i harujesz w polu razem z Murzynami. I że czasami pracujesz jeszcze w nocy, gdy czarni idą spać.

— I dlatego obwołano mnie szaleńcem? Posłuchaj, Andre. Mam ponad siedemdziesiąt tysięcy długu — za ziemię maszyny i dostawy. Tylko patrzeć, jak z Cincinnati przyplyną moje maszyny i będę musiał zapłacić kapitanowi pięć tysięcy dolarów. Ale — Bogu niech będą dzięki — mam już tę sumę.

— Skąd? Czy w tej okolicy gotówka rośnie na drzewach?

— Nie, ale rzeczywiście dorabiam się na drzewach. Widziałeś moją przystań? I drzewo w sagach?

André skinął głową.

— Niemal co drugi parowiec, kursujący na tej rzece, zaopatruje się u mnie w paliwo. Pod koniec lata sprzedam drewna za siedem tysięcy dolarów. A zapasy są właściwie nie do wyczerpania. Ale powiedz no, gdzie się chował, kochaneczku? A może ty też uważasz mnie za półgłówka?

— Nie, nie o to chodzi. Najpierw papa zabronił mi widywać się z tobą — teraz już burza minęła. Ale i tak nie wstrzymałyby mnie jego zakazy. Rzecz w tym, że przez całe lato smałem cholewki do Aurore. Nawet papa wyraził swoje poparcie. Właściwie wszyscy popierają moje zamiary — oprócz zainteresowanej.

— Mój ty biedaku — uzalił się Stephen. — Chodźmy do domu, napijemy się czegoś. Aha, co słuchać u Odalie?

— Jeszcze żaden nie zaciągnął jej do ołtarza — jeśli jest to dla ciebie jakaś pociecha. Plotkarze swatali ją z sześcioma czy siedmioma zalotnikami, ale jak zwykle sprawa spaliła na panewce. Wiesz, ona chyba czeka na ciebie. Pytała o ciebie już dwa razy. Twierdzi, że żaden jej dotąd tak nie zaintrygował.

— O ile wiem — powiedział Stephen — to właśnie ona ochrzciła mnie „egzekutorem”.

— Wcale mnie to nie dziwi. Doprowadzasz ją do pasji przez to, że nie padasz do jej stóp jak tylu innych. Może byś urwał się na jeden dzień i pojechał ją odwiedzić?

— Nie mam czasu — mruknął Stephen. — Możesz powiedzieć pannie Odalie w moim imieniu, że jeśli ma ochotę zobaczyć się ze mną, to zna drogę do Harrow.

— Powtórzę to jej — słowo w słowo — powiedział André uśmiechając się szeroko. — Choćby po to, by rozkoszować się widokiem rozwścieczonej Odalie. A cóż to za dziwo? — spytał wskazując nowy, prawie ukończony budynek stojący w pewnej odległości za domem, którego ściany, wzniesione ze świeżo palonej cegły, czerwieniły się w południowym słońcu.

— To cukrownia — odparł Stephen. — Brak tylko maszyn, właśnie je zamówiłem. Wiesz, będę miał parowe kruszarki.

— A co z maszynami, które przejąłeś wraz z majątkiem?

— Pięć kamiennych kruszarek, poruszanych przez muły. Kamienne żarna, poruszane przez muła, który dreptał w kółko... Zastanów się, André, co mogłem z nimi zrobić.

— A więc przestawiłeś się na parę. Myślisz po nowemu.

— Monsieur Coiron ma takie urządzenia już od 1822 roku. Mają ją u siebie wszyscy znaczniejsi plantatorzy. No, jesteśmy na miejscu — wchodź, chłopcze. Powiem Georgesowi, żeby przyniósł wina ze źródła.

Siedzieli w pomieszczeniu o ścianach wyłożonych gołymi deskami. Przez szczeliny wciskało się słońce, w oknach — prócz okiennic — nie było zasłon ani szyb. Popijając chłodzone wino, André przyglądał się przyjacielowi. Pod wpływem słońca twarz Stephena była bardziej niż zwykle piegowata, poparzoną skórę znaczyły liczne pęcherze. Zmarszczki wokół oczu pogłębiły się. Twarz Stephena wydawała się teraz starsza, a sam Stephen — dojrzały, spokojniejszy i bardziej pewny swego.

— Zmieniłeś się, Stephenie.

— Czas i harówka robią swoje — odparł Stephen.

— Jeszcze ten rok i następny, André... Dopnę swego albo wszystko pójdzie w diabły. W tej chwili nawet nie wiem, czy o to dbam.

André wstał.

— Wygrasz. Nie wiem, czy to o co walczysz jest warte takiego wysiłku, ale nie przegrasz, to pewne. — Podszedł do drzwi. — Komu w drogę temu czas. Powtórzę jej twoje słowa — dorzucił z szelmowskim uśmiechem.

Dni miały niepostrzeżenie. Stephen stracił rachubę czasu. Przechodziły gwałtowne deszcze tropikalne, po godzinie świeciło słońce i woda uchodziła z ziemi w tumanach kurzu, gleba znów była sucha i spękana. W martwych odnogach rzeki wylegiwały się w słońcu aligatory. W czarnej wodzie stały posępne cyprysy, rechoły basem żaby, nocami komary nie pozwalały zmrużyć oka.

Rosła trzcina i bawełna, pod którą Stephen przeznaczył część wykarczowanego terenu na obrzeżach majątku. Z Cincinnati przyplęnęły maszyny i mechanik zamontował je w cukrowni, wszystkie kotły były już gotowe do pracy. W chłodziarni ustawiono zbiorniki, obrobiono też wielkie drewniane mieszadła, którymi Murzyni będą mieszać syrop, czekając aż się skryształizuje.

Pracując na polu w pocie czoła Stephen zastanawiał się czasem, czy André przekazał jego odpowiedź pannie Arceneaux. Trzcina wybujała wysoko, gięła się zielonymi łanami przy każdym powiewie. Pola bawełny zabieliły się od pękających strąków. Murzyni od rana do nocy zbierali biały puch, znosili bale bawełny na przystań. Tylko ryż nie dopisał — winien był niedostatek wody.

Przyszła jesień, zbiór trzciny był już niedaleko. Upał zelżał, pracy było mniej. Stephen jechał na Prince Michaelu polem wzdłuż drogi, był bez kapelusza, w rozchełstanej koszuli. Ciągący od rzeki powiew chłodził mu twarz, igrał miedzianymi puklami. Stephen zatrzymał konia i rozejrzał się wokół, po polach — swoich polach. Bawełna przyniosła mu piętnaście tysięcy dolarów zysku. A kiedy sprzeda cukier...

Nagle znieruchomiał, nadstawił ucha. Od gościńca dobiegł tętent kopyt końskich. Stephen uniósł się w strzemionach — ktoś nadjeżdżał od strony miasta, jeździec siedział na koniu po damsku. Koń był już blisko — kara klacz o lśniącej, doskonale utrzymanej sierści. Lecz Stephen widział tylko jeźdźca, w jego ogorzalej twarzy jasne oczy wydały się jeszcze jaśniejsze.

— Odaliej!

— Tak, monsieur, góra przyszła do Mahometa. Przekazano mi pańską wiadomość kilka miesięcy temu i wreszcie zdecydowałam się przyjąć zaproszenie. Nie cieszy się pan?

— Ależ ogromnie — odparł Stephen. — To dla mnie zaszczyt i wyróżnienie.

— Niekoniecznie. Może tylko chciałam popatrzeć na szalonego plantatora, posiadacza jednej z największych plantacji w Luizjanie, który mieszka w nędznej chałupie.

Stephen patrzył, jak słońce ślizga się po gładkiej kaskadzie czarnych włosów i zapada w głąb tych ciemnych bezdennych oczu, czasem tylko błysnąwszy iskierką w cieniu gęstych rzęs. Odaliej miała gładką cerę Skandynawki, w zestawieniu z masą czarnych włosów wydawała się jeszcze bielsza. Stephen patrzył na ruch jej warg — nie różowych lecz czerwonych jak wino, miękkich jak płatki róż, stał oszołomiony, nie słysząc jej drwin.

— A więc — powiedziała lekko zmatowiałym głosem

— a więc wciąż się pan tak natarczywie przygląda.

— Pani — zawsze!

— Chodźmy, pokaże mi pan gospodarstwo. André wszystko mi opowiedział. Chcę zobaczyć pańską chałupę obok eleganckiej cukrowni.

— Pani jest zuchwała — powiedział Stephen. — Bez wędzidla i dobrego pejca ani przystap. A co będzie, jeśli ktoś tu panią zobaczy?

— Nikt mnie nie zobaczy, monsieur. Nie musi pan zaprzętać sobie głowy MOJĄ reputacją. Czy ta droga wiedzie do pańskiego dworu?

— Tak. Czy nie obawia się pani szaleńca?

— Nie. Więc pokaże mi pan swoją posiadłość?

— Ależ proszę — proszę tędy.

Ruszyli przez falujące łąny trzciny cukrowej w stronę dębowego gaju, gdzie stał drewniany domek Stephena. Odaliej zatrzymała konia i patrzyła to na chatę z nie heblowanej tarcicy, to na gładkie, różowe ściany stojące opodal cukrowni.

— Mon Dieu — powiedziała wreszcie — pan jest naprawdę szalony.

— Miała pani jakieś wątpliwości?

— Owszem. Aurore powiedziała mi, co pan zrobił dla Minny Waguespack. Nikt jej nie wierzył — oprócz mnie. Aurore nigdy nie kłamie.

— A jednak nikt jej nie wierzył — rzekł Stephen z krzywym uśmiechem.

— Zarzucano jej naiwność, nie kłamstwo. Mówiono, że zamydlił jej pan oczy. Ostatecznie, nie można odmówić panu pewnego wdzięku.

— Dziękuję — powiedział Stephen. — Czy chciałaby pani teraz obejrzeć moją przystań?

Zawrócili końmi w stronę rzeki, do gościńca. W pewnej chwili Odaliej wstrzymała konia.

— Co się stało? — zdziwił się Stephen.

— Słyszę jakiś powóz. Stephen nasłuchiwał chwilę.

— Rzeczywiście. W tamtą stronę! Do gaju cyprysowego! Szybko!

Ruszyli ostrym klusem. Nie zdążyli dopaść lasu, gdy zza zakrętu gościńca wyjechał powóz — jeźdźcy byli widoczni jak na dłoni. Obydwoje schylili się jednocześnie i popędzili konie do galopu. Wpadli między drzewa.

— Jezus Maria! — wydyszała Odalie.

— Jak pani myśli, widzieli nas?

— Nie wiem. Wiem jedno — to był powóz Cloutierów, a w powozie — Aurorę!

— Widziała ją pani?

— Nie. Ale jest u nich w gościnie. Pewnie wyjechali na spacer i teraz wracają do siebie do domu.

— Jest więc pani skompromitowana — uśmiechnął się Stephen szeroko.

— Co pani na to?

— Prawdopodobnie mój ojciec zabije pana — odparła Odalie — albo, co gorsza, będzie nalegał, by się pan ze mną żenił.

— Czy to takie straszne?

— Miałabym mieszkać w tej głuszy — w chałupie — z wariatem? Wolałabym się powiesić.

Stephen ponaglił leciutko Prince Michaela i koń tańcząc najechał na konia Odalie. Dziewczyna była teraz tak blisko, że jeździec czuł woń perfum, idącą od jej włosów. Schylił się i chwyciwszy ją wpół przygarpnął mocno do siebie.

Uniosła ku niemu oczy — ogromne, pociemniałe. Stephen patrzył w nie jak w przedwieczną noc, która nie zna światła dnia. Potem pocałował ją, bezlitośnie miażdżąc jej usta, odginając ją w tył tak mocno, że spadł jej mały kapelusik i leżał, zapomniany, pośród niskich palm. Stephen czuł miękką krągłość jej piersi, uniesionych wysoko przez fiszbiny gorsetu, a za nimi — dziki trzepot spłoszonego serca.

Z całych sił wparła się rękami w jego pierś, próbowała go odepchnąć — na próżno. Nieoczekiwanie wypuścił ją, widząc jak jej oczy roziskrzają się gniewem, a kąciki ust drżą.

— Ty... ty... — wykrztusiła.

— Draniu? — podsunął Stephen. — Kacie?

— Nie, jeszcze nie wiem, jak pana nazwać, ale wiem jedno: muszę stąd odjechać.

— Będzie z ciebie doskonała pani na Harrow — stwierdził z uśmiechem.

— Nie brak ci ognia. Cenię tę cechę w moich koniach... i moich kobietach. Au voir.

Odalie uniosła się w siodle i z całych sił smagnęła go szpicrutą przez twarz, rzemień skrzyżował się ze szkarłatną blizną, którą wyorała kula Hugona.

— Ty mała złośnico — szepnął Stephen, patrząc jak kara klacz mknie gościńcem i znika za drzewami.

Rodzinną karetą Cloutierów dojeżdżała do bram plantacji Rosemont.

— A jednak twierdzą, że z tym dzikim Foxem była jakaś kobieta — obstawała przy swoim Henriette Cloutier.

— Przecież mężczyzna nie dosiadałby konia po damsku!

— Ależ żadna porządna kobieta nie postąpiłaby w ten sposób — sprzeciwiła się Clothilde Cloutier. — A tamte inne nie mają takich koni.

— A co ty o tym sądzisz, Aurorę?

— Okropnie boli mnie głowa — odparła Aurorę.

— Zresztą uważam, że nie powinnyśmy rozmawiać o sprawach, które nas nie dotyczą.

— Moje ty biedactwo! — zawołała Clothilde. — Jakaś ty bledziutka!

— Zaraz dojeżdżamy i ciotka Suzette już temu zaradzi — stwierdziła Henriette. — Ale to była kobieta, prawda, Aurorę? Ty pierwsza ją spostrzegłaś.

— Owszem — przyznała Aurorę cichym głosem.

— Kobieta.

Kiedy Stephen wjeżdżał w obejście, ciotka Caleen już nań czekała, poruszała szerokimi nozdrzami, jakby coś wietrzyła.

— Maitre nie powinien tłuc się po zaroślach — skarciła go — ma pan teraz pręgę przez cały policzek.

— Niech cię diabli, Caleen — powiedział Stephen bez gniewu. — Tak się szarogęsisz, że czasem się zastanawiam, czy ty należysz do mnie, czy ja do ciebie.

— Należymy do siebie wzajemnie — odparła spokojnie Caleen. Odchyliwszy głowę w tył, wciągnęła powietrze w nozdrza. — Czuję wiatr — powiedziała — wielki wiatr. Od wysp idzie wielka zawierucha.

— Chyba coś ci padło na rozum — roześmiał się Stephen. — O tej porze roku nie ma tropikalnych burz!

— Będzie wielka burza — upierała się Caleen — zawierucha, że niech Bóg broni!

Stephen przyjrzał się starej wiedźmie. Ciotka Caleen rzadko się myliła, miała wprost nadprzyrodzone wyczucie pogody.

— Kiedy? — zapytał.

— Dopiero za dwa—trzy dni, ale będzie na mur! Stephen uniósł się w strzemiionach.

— Achille! — krzyknął tubalnym głosem.

Czarny olbrzym przybiegł przez trzciny, spojrział przerażony.

— Tak, maitrel Słucham pana...

— Wydadaj ludziom noże do cięcia trzciny! Wyprowadzaj wozy! Natychmiast zaczynamy żniwa.

— Ależ panie... jeszcze nie czas... trzcina jeszcze nie dość wysoka...

— Rób co każe!

— Słucham pana.

W pół godziny wszyscy Murzyni sunęli rzędami, a zżęta trzcina ścieliła się pod ich stopami. Między polem a cukrownią nieustannie krążyły wozy, z komina cukrowni buchał czarny dym. Wewnątrz budynku Murzyni, lśniący od potu, rozkładali trzcinę na zębatkach, patrząc w trwożnym podziwieniu, jak walce wciągają ją i gniołają na miazgę. Sok spływał rurami do kotłów, najpierw do le grand, gdzie gotował się do zgęstnienia. Wtedy inna grupa specjalnie przeszkolonych niewolników wybierała go stamtąd kubłami, zawieszonymi na długich drągach i przelewała do le prop, następnie do le flambeau i le sirop, a na koniec do niewielkiej, buchającej żarem la batterie.

Stephen patrzył, jak toczą kocioł z la cuile, czyli gęstym krystalizującym już syropem do chłodni, czy też oczyszczalni. Rozcieńczyli go tam octem i sokiem cytrynowym i przelewali do kadzi, mieszając olbrzymimi chochlami do pełnej krystalizacji. Z podwieszonych beczek spływała do kadzi melasa.

Po trzech dniach zwieziono z pola całą trzcinę. I prawie w tej samej chwili, gdy zrzucano z wozów do rzeki resztki rozdrobnionej trzciny czyli bagasse, znad zatoki zaczęły napływać ciemne, skłębione chmury i pierwsze porywy wiatru musnęły nie zżęte pola sąsiadów.

Gdy burza wyszalała się i odeszła, nie zebrane uprawy leżały płasko na ziemi, jakby przyduśiła je dłoń olbrzyma. Wielu plantatorów było doszczętnie zrujnowanych. Ale kiedy Stephen Fox wychodził z kantoru nowojorskich faktorów, jego oczy lśniły triumfem, chociaż twarz miał obojętną i pełną powagi.

Sprzedził swoje zbiory za niemal sto tysięcy dolarów.

ROZDZIAŁ 7

Aurore siedziała przy oknie, w miejskiej rezydencji rodziny Arceneaux przy ulicy Conti. Jej palce przewlekały pracowicie cienkie pasma przędzy przez rządki szpilek, wbitych w korek. Była słota, siąpił drobny, przygłębiający deszcz, tak typowy dla zim orleańskich. W głębi pokoju Odalie układała w armoire* świeże saszetki, nasączone wonnym olejkiem wetiwerowym.

* armoire (franc.) — szafa

Uniósłszy ciemnoblonde włosy, Aurore wyjrzała przez okno, poza galerię. Jednak misterne rzeźby galerii całkowicie przysłaniały jej widok na świat.

— Spodziewasz się André? — spytała Odalie.

— Tak.

— Dlaczego wciąż mu odmawiasz? André to udzielny książę. Byłby wspaniałym mężem.

— Masz rację — odparła Aurore powoli. — André jest przemiły, ma hojną rękę, jest przystojny, ale...

— Ale...?

— Nie kocham go.

Palce Odalie igrały z płótnem, w które kładła pachnidła.

— Rozumiem. A może jest ktoś inny?

— Tak.

— Kto?

— To moja sprawa, siostrzyczko. Nie chcę cię urazić, Odalie, ale po prostu nie potrafię o tym mówić. To kiepska sprawa, bez żadnych widoków na przyszłość... absolutnie żadnych.

Odalie przemierzyła pokój i położyła rękę na ramieniu siostry.

— Moje biedactwo — uzalila się.

— To głupstwo — odparła Aurore wesoło. — A ty siostrzyczko, wrzuciłaś gorset za szafę?

Odrzuciwszy w tył głowę, Odalie zaśmiała się dźwięcznie, zupełnie jakby ktoś sychnął garść drobno tłuczonego lodu. Urwała, i śmiech przebrzmiał tak nagle, jakby się wcale nie śmiała.

— Starzeję się — powiedziała jakby do siebie. — Mam dwadzieścia dwa lata. Wszystkie moje przyjaciółki — i większość twoich, Aurore — już dawno powychodziły za mąż.

— Przecież nie możesz odpędzić się od konkurentów.

— Oni... działają mi na nerwy. Nie znoszę tych pocałunków, nadskakiwania, nie chcę by mnie dotykano. Tam, wewnątrz — dotknęła piersi — jest coś... co należy tylko do mnie, jest nietykalne. A mężczyźni to zwyczajnie zwierzęta!

— Odalie!

— Gorszę cię? Przepraszam, ale to prawda.

— Zastanawiam się — powiedziała Aurore zniżając głos — kiedy odkryłaś to ich zezwierżenie. Czy nie w październiku?

Ciemne ogromne oczy spojrzały ostro.

— O co ci chodzi, Aurore? — w aksamitnym kontralcie zabrzmiał szorstki ton.

— O nic. — Podniosła na siostrę jasne oczy. — Sierść Satine lśni jak heban, kiedy stajenny dobrze ją wyczyści. Widać ją z daleka.

— Te zagadkowe słowa muszą coś oznaczać — powiedziała Odalie.

— Doprawdy?

Odalie nie zdążyła zareplikować, gdyż do pokoju weszła Zerline, jej żółta twarz jaśniała zadowoleniem.

— Monsieur André, panno Aurore — zaanonsowała. Zerline lubiła André, jak zresztą wszyscy czarni, którzy mieli z nim styczność.

— Diabli nadali — rzuciła Odalie, idąc do drzwi.

— Nie odchódź! — zawołała Aurore, zrywając się z miejsca. — Przepraszam cię, byłam złośliwa i podła. Wybaczysz mi, prawda?

Czarne oczy zwięziły się w matowe szparki.

— Nie mam ci czego wybaczać — powiedziała starsza siostra lodowatym tonem. — Nie wiem, o czym mówisz.

Do pokoju wszedł André, jego przystojna, młodzieńcza twarz promieniała.

— Dzień dobry! Dzień dobry! — zawołał. — Jakże się cieszę widząc panie!

— Pan, zdaje się, w doskonałym dziś nastroju, André

— powiedziała Odalie.

— A tak! Właśnie wracam z Harrow, od Stephena i przynoszę nowiny — nie byle jakie nowiny!

— Chce pan powiedzieć, że on tam mieszka — w środku zimy? — zdziwiła się Aurore. — Przecież wszyscy...

— ... zjeżdżają wtedy do miasta — dokończył André.

— Ale nie Stephen. Zawziął się, żeby wszystko robić na opak.

— Może przywiózłby go pan któregoś dnia — rzuciła Aurore od niechcienia.

- On uważa, że w tym domu niechętnie go widzą. Próbowałem...
- Słusznie uważa — przerwała mu ostro Odalie.
- Nie powinien pan tu przyprowadzać jakiegoś wariata. André patrzył na nią długo.
- Niech się pani nie obawia, Odalie — powiedział.
- On się tu wcale nie wybiera.
- Odalie jest rozstrojona, André — powiedziała młodsza siostra. — Obawiam się, że to moja wina.
- Przepraszam, nie wiedziałem.
- Nic nie szkodzi — rzuciła Odalie. A po chwili spytała: — Dlaczego zimuje na plantacji?
- Karczuje ziemię. Do wiosny każda pięćdziesiątka ziemi będzie gotowa pod uprawę. I buduje... ma fol, ależ mam długi język!
- Aurore przechyliła się do przodu.
- Co buduje? — zapytała podekscytowana. — Niech pan powie, André, może pan nam zaufać.
- Tak, lepiej już powiem. Buduje dom — najwspanialszy dwór, jaki można sobie wyobrazić — czegoś takiego jeszcze w Luizjanie nie było. Byłem tam dziś z monsieur Pouilly. Fundamenty już stoją. Widziałem plany. Aurore, to wspaniały dom — dom dla przyszłych pokoleń!
- Przecież nie ma żony — wtrąciła Odalie. — Skąd się wezmą te pokolenia? Czy wyskoczą jak Minerwy z olimpijskiego czoła pana Foxa?
- Nie, moja przemądrzała waćpanno — powiedział André cichym głosem. — Stephen weźmie sobie taką żonę, jaką mu się spodoba, i mogę się założyć, że to będzie nie byle kto.
- Być może — mruknęła Odalie. — Ale co będzie, jeśli się nie spodoba wybrance?
- Wtedy niech ona prosi Boga o zmiłowanie, bo Stephen uderzy do niej w konkury, jakich świat nie widział.
- Coś mi się wydaje, że jest pan niezłe zorientowany w stanie ducha tej tajemniczej narzeczonej pana Foxa — powiedziała Aurore ściszym głosem.
- Diabli nadali — burknęła Odalie i uniósłszy wysoko głowę, wyszła majestatycznie z pokoju.
- Zdaje się, że siostra pani jest w rozterce — zauważył André, patrząc za Odalie.
- Tak. Chyba go kocha, ale jeszcze o tym nie wie. Ale boi się... strasznie się boi...
- Stephena?

— Tak. I w ogóle miłości.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Może dlatego, że jest tak piękna. Uroda w pewien sposób wywyższa ją, dała jej władzę nad ludźmi, a Odalie lubi władzę. Nie chce się poddać cudzej woli, a dla kobiet miłość oznacza poddanie. A może jest zimna — zimna jak lód. Naprawdę nie wiem, André.

— Kiedy byłem w Szwajcarii, podczas mojej wielkiej podróży — powiedział André z namysłem — widziałem lodowce stojące na wulkanach. Ale pani, moja słodka Aurore, nie obawia się miłości?

— Nie, nie obawiam się.

— Zatem, Aurore... och Aurore!

— Nie, André, nic z tego nie będzie. Żałuję, ale nie potrafię pokochać pana. Bóg wie, że powinnam. Pan jest taki miły, cierpliwy, dobry... ale...

— Ale?

— Ja nie mogę. Po prostu nie mogę.

— Rozumiem — powiedział André powoli. — Jest ktoś inny. Gratuluję temu szczęśliwcowi, kimkolwiek jest. Czy data ślubu już ustalona?

— Nie, i nigdy nie będzie — roześmiała się nagle. — Będę trzymać do chrztu wszystkie pana dzieci, a one będą mi mówić „ciociu” i będą się trochę podśmiewać z zaszuszonej starej panny, kiedy zbierze mi się na wspomnienia — jak to kiedyś byłam zakochana...

Urodziwa twarz André pociemniała.

— Pani także! — szepnął na wpół do siebie. — Czasem myślę, że to diabeł wcielony — tak łatwo przychodzi mu podobne rzeczy — nawet palcem nie kiwnie. Nie dba o to, może nawet nic nie wie. Bodaj szczęść!

— André, tak nie można!

Oczy André wróciły z jakichś odległych przestrzeni.

— To prawda, nie mógłbym tego zrobić — powiedział. — To tak, jakbym zabił jakąś część siebie. Aurore, zechciej wybaczyć mi to i dawniejsze najścia. Nie będę już pani niepokoił. Adieu, mademoiselle Arceneaux!

— Ależ, André, pan przecież będzie tu dalej przychodził. Proszę przychodzić choćby co wieczór...

— Żeby siedzieć, patrzeć na panią i cierpieć jak potępieniec? Nie, Aurore, to już koniec. Żegnaj, panno, chrestna matko dzieci, których nigdy nie będę mieć. — Odszedł z wysoko podniesioną głową, wyprostowany jak struna.

RS

ROZDZIAŁ 8

Prace trwały przez całą zimę. Do leżącej w dole miasta przystani jeden po drugim zawijały wysokie statki, wyladowane frachtem po brzegi, prawie wszystkie przywoziły coś dla jaśnie wielmożnego pana Stephena Foxa, plantatora. Z tropików przywożono bale drzewa tekowego, odpornego na wieczną wilgoć tej nadrzecznej krainy — będą z nich balustrady, z innych twardych gatunków drewna powstaną parkiety, a z pięknych, ciemnych odmian — intarsja. Przyływały meble, zrobione w starych warsztatach stolarskich Anglii i Francji, zaprojektowane przez najpierwszych mistrzów kontynentu. Zawarty się w nich całe miesiące trudu i poświęcenia, teraz troskliwie opatulone plandeką stały piękne, wonne, połyskliwe w portowych składach orleańskich, czekając by je zabrano do Harrow, gdy budowa dobiegnie końca. Z Genewy, Antwerpii, Brukseli przyływały ogromne kryształowe żyrandole, rozparcelowane na tysiące części spoczywały na wymoszczonych słomą posłaniach. Przyłyły czerwone płyty chodnikowe z Hiszpanii. Dachówka z Maroko. Wazony, dzbany, amfory. Mosiężne, miedziane kołatki i gałki do drzwi, błyszczące w pudłach niby złoto. Dywany z holenderskich tkalni, kobierce z dalekiej Persji. Srebrne kandelabry, serwisy ze srebra, zdobione złotymi motywami winorośli. Wszystko to czekało w składach, podczas gdy mury Harrow wciąż pięły się w górę.

Stephen był teraz zbyt pochłonięty budową, by osobiście doglądać pracy w polu, przekonał więc plantatora Wilsona, żonatego z Prudhommówną, by porzucił swe podmokłe ziemie i wiejskie gospodarstwo i objął nadzór nad niewolnikami. Wybudowano dla Wilsonów dom, bardziej elegancki niż większość okolicznych dworów, w jednym z jego skrzydeł zamieszkali Stephen i Pouilly. Gospodyni, madame Wilson, była ogromnie ujmującą osobą, a jej podziw dla chlebobawcy męża stanowił dla tego chudego, przygarbionego człeczyny źródło wiecznej zgryzoty.

Dzień za dniem, noc po nocy pracowali wykwalifikowani niewolnicy, sprowadzeni z Indii Zachodnich na podstawie specjalnego zezwolenia. Pouilly zdążył się już przyzwyczaić, że Stephen wyrывa go ze snu nie bacząc na porę, by omówić z nim jakiś nowy pomysł. Większość z nich Pouilly, potomek rodu wybitnych architektów, odrzucał łagodnie choć zdecydowanie jako niewykonalne, jednak niektóre nie bez satysfakcji wprowadzał w życie, gdyż cieszyło go upiększanie domu pełnymi wdzięku detalami, które Stephen proponował.

André właściwie zamieszkał w Harrow na dobre i nieustannie wyklócał się ze Stephenem o szczegóły wystroju.

— Klasyczny styl grecki! — wykrzykiwał. — Ależ oczywiście, czemu nie. Ale przecież nic nie stoi na przeszkodzie, byś umieścił na balustradach odrobinę elementów z kutego żelaza! Choć trochę ducha Luizjany!

— Nie ma mowy — ucinał Stephen. — Buduję dom dla siebie, nie dla Luizjany. Metalowe ozdoby — cóż to byłby za kociokwik! No sam popatrz. Wzdłuż całego frontonu i obydwu skrzydeł biegnie wielka galeria, a nad nią druga. Przechodzą przez nie kolumny, podtrzymujące dach. Korynckie kolumny, André, zwieńczone sztukaterią w kształcie liści i gron winorośli. Od górnej galerii puścimy dwoje wygodnych kręconych schodów z drzewa tekowego, tak by można było — prosto z powozu — wejść na górną werandę i patrzeć na rzekę ze szczytu domu.

— To jest dobre, ani słowa — przyznał André. — Oczywiście wymalujesz go na biało?

— Tak. Dach będzie z zielonych dachówek. Czterdzieści pokoi, wyobrażasz sobie?

— Widzę, że wyciąłeś trochę dębów.

— Żeby przeprowadzić podjazd, prosto jak strzelił do gościńca. Od góry będą go ocieniać konary pozostałych dębów. A tu, przy bramie, rozwidla się i biegnie wielkimi zakolami do patio. Ten projekt staje się rzeczywistością w szybkim tempie.

— Tak, widzę. Czy się mylę, czy gościńcem ktoś teraz przejeżdża?

— Nie mylisz się.

— To dziwne. Przecież tam dalej nic nie ma — z tej drogi nikt prawie nie korzysta. Od lat nie widziałem tu powozu. Chyba że, oczywiście, Cloutierowie jadą do Rosemont. Dlaczego więc...

— Gościńcem prawie nikt nie JEŹDZIŁ — powiedział Stephen obojętnym tonem, podkreślając „ł” tak lekko, że André nie od razu pojął* w czym rzecz.

— Chcesz powiedzieć, że teraz nim jeżdżą? — spytał.

— Tak.

— Wciąż nie rozumiem...

— Chodzi o Harrow — odparł Stephen. — Na całym Południu nie ma takiego dworu. Jeszcze nie ukończony, a już się zjeżdżają ciekawi, żeby popatrzeć choć z daleka. Jeżdżą gościńcem tam i z powrotem. Niektórzy jeźdźcy zapuszczają się w moją aleję dębową i docierają aż na dziedziniec. Potem zsiadają i przyglądają się budowie. A kiedy akurat przechodzę, wszyscy stają się nagle szalenie uprzejmi.

— Chyba nie masz do nich żalu, Stephenie? O tej historii z Waguespackiem już prawie nikt nie pamięta.

— Nie, nie chowam w sercu urazy. Wiesz, André, Aurore przejeżdżała tamtędy co najmniej raz. Ale Odalie chyba zacięła się w niechęci do mnie. Chodź, pokażę ci moje kawalerskie mieszkanie i pawilon dla gości.

André stał z urodziwej twarzy bolesny grymas i poszedł za przyjacielem.

— Doprawdy, Stephenie, tego już za wiele! Widziałem przy dworach jedno albo drugie, ale nigdy obydwu naraz. Przecież to rozrzutność!

— Teraz mogę pozwolić sobie na rozrzutność. A to budynek kuchenny. Jak widzisz, posłuchałem twojej rady.

— Doskonale. Stephen...

— Tak?

— Przysięgam, że nie tknąłem dziś wina, a wciąż słyszę jakąś muzykę...

— Jesteś przy zdrowych zmysłach — jak na razie — uśmiechnął się Stephen. — Chodź, zobaczysz coś.

Wyprzedziwszy André, poszedł wielkimi krokami w stronę prymitywnej budowli, przypominającej chatę niewolnika, tyle że większej i skleconej tak niedbale, iż było jasne, że służy jakiemuś doraźnemu celowi i długo tu nie postoi. Z wewnątrz dobiegały dźwięki muzyki — pełne potknięć, przystanków i fałszywych tonów, była to jednak niewątpliwie muzyka, grana z powagą i nie bez ognia.

Stephen otworzył drzwi. Siedziało tam kilkunastu niewolników z instrumentami muzycznymi, po salce biegał stary, chudy Francuz i rwał włosy z głowy.

— Głaby! — wykrzykiwał wrzaskliwie. — Półgłówki! Żeby was dopadł świński pomór! To tak się gra! — wyrwawszy skrzypce najbliższemu siedzącemu niewolnikowi, odegrał jakiś fragment, fraza była bezbłędna a dźwięk czysty jak dzwon.

Stephen zamknął cicho drzwi i poszli w stronę domu.

— A cóż to do diaska... — zaczął André.

— W te dożynki urządzę tańce w wielkiej sali. Moi grajkowie muszą się przygotować. Niektórzy mają zadziwiający talent. Du Castri, ten muzyk, jest nieco popędliwy, ale uczy dobrze.

— Powiedz mi, Stephenie, czy to prawda, że nocą, kiedy już wszyscy się pokładą, ty jeszcze pracujesz przy budowie?

— Nie — uśmiechnął się gospodarz. — Prawda, że często błąkam się po nocny wokół domu i na rusztowaniach, ale nic nie robię — nie potrafię.

— Zjedz dziś ze mną obiad w mieście — zaproponował André. — Trzeba ci rozrywki. Z Harrow będą nici, jeśli się tak będziesz wykańczał.

— Nie, André — odparł Stephen. — Jest jeszcze tyle do zrobienia a tak niewiele czasu. Musisz mi wybaczyć, ale na razie nie mam głowy do rozrywki.

— Z ciebie nie lada szczęściarz — oświadczył André. — Masz wszystko czego zapragniesz, a nawet więcej niż ci potrzeba — wystarczy, żebyś gwizdnął. Czasem zastanawiam się, czy w tych historiach, które o tobie opowiadają, nie ma żdźbła prawdy...

Stephen wygiął drwiąco lewą brew, szkarłatna blizna poruszyła się diabolicznie.

— Więc jak tłumaczą sobie mój niebywały fart? — spytał.

— Powiadają, że to sprawka ciotki Caleen. Wszyscy wiedzą, że ta stara jest mamaloi...

— Mama... co?!

— Ona jest mamaloi: coś w rodzaju kapłanki kultu voodoo.

Podobno za jej pośrednictwem komunikujesz się z szatanem.

Stephen, wsparty o rusztowanie, śmiał się tak serdecznie, że łzy pociekły mu po twarzy.

— Rozrywka! — wykrztusił. — Nie potrzeba mi lepszej rozrywki niż wy! Zapewne krążę z ciotką Caleen nad dachami, siedząc okrakiem na miotle. Miej się na baczności, André! Mam zamiar zmienić cię w kozła i posłać do burmistrza, żebyś mu zeżał ciepłe gatki!

André także się roześmiał.

— To śmieszne — powiedział — ale ty masz naprawdę szczęście. A gdzie jest teraz ta stara wiedźma?

— Zdaje się w polu, poszła porozmawiać z Achille.

— Ona ma chyba słabość do tego twojego przodownika, czy to nie dziwne?

— Bynajmniej. Achille jest jej synem.

— Nie! nie uwierzę, żeby jakikolwiek chłop, choćby czarny, mógł dotknąć tego starego czupiradła!

— Przecież nie zawsze była stara. Wiesz, André, ona mogła być nawet pociągająca. Nie miała w życiu lekko. Zdaje się, do Nowego Orleanu przybyła jako młoda dziewczyna — wiele lat przed rozruchami, do których, jak twierdzi Tom Warren, przykładała rękę.

— Ten twój Tom Warren to osobliwy jegomość — wtrącił André.

— Sam to zaczynam zauważać. Jest czysty jak łąka, jeśli chodzi o prowadzenie moich interesów, jednak niektóre jego metody... Ale rozmawialiśmy o ciotce Caleen.

— Tak. Mówiłeś, że miała ciężkie życie.

— Właśnie. Ojciec Achille'a pochodził z Kentucky czy Tennessee — sama tego nie wie. Był jednym z przywódców buntu w 1795, zawisł na szubienicy jako ostatni z dwudziestu trzech Murzynów. Spotkał go nie byle jaki zaszczyt — powieszono go przed kościołem parafialnym Nowego Orleanu.

— Więc Tom Warren miał trochę racji?

— Tylko jeśli chodzi o miejsce zdarzeń. A ciotka Caleen to niezwykła osoba. Czasem odnoszę wrażenie, że patrzy z góry na wszystkich białych, którzy wobec jej pradawnej wiedzy są jak głupiutkie dzieci.

— Więc to jednak wiedźma?

— Bzdura. Georges już pewnie czeka z kolacją, a roboty nawał.

Wiosną 1827 roku wielki dwór Harrow był już prawie gotów. Przez lato trwały prace wykończeniowe wewnątrz domu. Nadrzecznym trakt zaroił się od furgonów, zwożących z orleańskich magazynów skarby, które Stephen gromadził z myślą o swej wielkopańskiej siedzibie. Jeden za drugim przybijały do jego przystani parowce, załadowane domowym i gospodarskim sprzętem. Przez następne dni niewolnicy malowali dom, aż rozbrłysł niepokalaną bielą na tle ciemnego starodrzewu. Od swego zarania dom ten miał w sobie królewską wyniosłość o lekkim odcieniu wzgardy. Ani Amerykanie, ani Kreole nie potrafili zdobyć się na obojętność wobec Harrow, a pogardliwe przezwisko „Lisia Nora”, które mu nadali jeszcze w trakcie budowy, zmarło śmiercią naturalną, kiedy ujrzeli dwór już ukończony, piękny w swej surowej antycznej prostocie. Od Prudhomme'ów Stephen odkupił ogrodnika Jupitera za niewiarygodną sumę trzech tysięcy dolarów.

Stary Murzyn miał palce czarodzieja: czegokolwiek dotknął, puszczało pędy i kwitło.

— Bo ja mam ręce rolnika — mawiał. — Co zasadzę, musi rosnąć!

Dziedzieniec kędzierzawił się pastelowymi barwami różowych, bladobłękitnych i białych krzewów mirtu, płonął czerwienią dzikich oleandrów. Nad kryształową, spoczywającą na piedestale kulą pochylała się żółtoróżowa mimoza, przez zielone i złote gałązki tropikalnej akacji przedzierało się południowe słońce. Bujnie krzewił się jaśmin i magnolia o ciężkich, jakby woskowatych kwiatach, jukka przeżyła kolczasty grzbiet, przybrany kremowymi kwiatkami. Pergolami biegly pnące róże, na

klombach pyszniły się róże czerwone jak krew i lilie, białe i chłodne. Do wielorakich woni, subtelnych lub agresywnych, dołączał czarowny zapach kapryfolium, wybujałego wzdłuż ścieżek, wykładanych czerwonymi płytami. Jupiter mówił prawdę.

Gdy wszystkie prace dobiegły końca i rozpoczął się sezon cukrowniczy, poproszono do dworu madame Wilson, znaną z eleganckiego, zdobnego w wymyślne zakrętasy pisma, by przygotowała zaproszenia na wielki bal, który miał uświetnić uroczyste otwarcie Harrow.

André zainstalował się w pokojach, które Stephen zarezerwował dlań raz na zawsze i we dwóch dopracowali ostatnie szczegóły inwazji na twierdzę nowoorleańskich wyższych sfer.

— Ale gdyby odmówili? — martwił się André. — Gdyby nie chcieli przyjść?

— Spokojna głowa — odpowiadał Stephen sucho — przyjadą. Mogę się założyć o tysiąc dolarów.

Wystosowano więc zaproszenia do Marigny'ów, Cloutierów, Lambre'ów, Prudhomme'ów, Metoyerów, Sompaynaców, Robieu'ów, Greneauxów, Lascalów, de Monderville'ów, Dreauxów, de Pontablów, Rouen de Villeraýów, d'Arensbourgów, de la Chaise'ów, Lafrantir'ów, Labeledoy'ów, Beauregardów i — do rodziny Arceneaux.

Nie zapomniano także o Wilsonach, Clairborne'ach, Robertach, Smithach, Thompsonach i Waltersach.

André i Stephen patrzyli na wyjazd posłańców — Georges, Ti Demon i Achille wystrojeni w nowiutkie, doskonale skrojone liberie, wsiadali, wprost pękając z dumy, na zgrabne konie — i zaraz wracali do dworu, gdzie czekał kwarteron Lagoaster, krawiec nad krawce, robił im przymiarki do nowych strojów wieczorowych, które szył ze sprowadzonych ze Szkocji materiałów.

Obydwaj przyjaciele, a zdarzało się że i Tom Warren, wstawali przed świtem i wraz z gromadką Murzynów wyprawiali się w moczary, polować na wodne ptactwo. Wracali nocą z wypchanymi sakwami i oddawali ptaki ciotce Caleen, by je wywiesiła do skruszenia.

Posłańcy wracali z dobrymi wieściami.

— Przyjadą — wołał Georges w uniesieniu. — Prawdziwi panowie, jeden w drugiego!

— I eleganckie panie, wielkie damy! — wtórował Ti Demon.

Przez następny tydzień Harrow było jednym wielkim domem wariatów. Wszzechwładne rządy nad domem objęła ciotka Caleen, kiedy Stephen lub André wchodzili jej w drogę, odprawiała ich prawie tak samo obcesowo jak

Georgesa i Achille'a. Suzette, młodej Mulatce, która wraz ze Stephenem i ciotką Caleen dzieliła szopkę podczas pierwszego noclegu w Harrow, zlecono zakupy. Przede wszystkim miała kupić świeże cielęce nóżki, z których Caleen przyrządzi galaretę. Obdarłszy je z grubej, twardej skóry dzieliła je na części, rozdrabniała w moździerzu, a wreszcie męła na miazgę. Zalewała miazgę słodzonym wrzątkiem i dodawała parę kropel olejku koszenilowego, by zabarwić galaretę na różowo, i zagęszczonego soku cytrynowego, by była żółta, odcedzony sok ze sparzonego szpinaku dawał galaretę zieloną.

Kilka tygodni przed tymi wydarzeniami z północy Missisipi przyplłynął parowiec, wioząc kosztowny rarytas — lód. Obłożony grubo słomą, by opóźnić topnienie, przybył bez większych uszczerbków do Harrow, gdzie złożono go do specjalnie w tym celu sporządzonej chłodziarki — skrzyni z blachy cynkowej. Pozostały lód zakopano w chłodni: wyłożonej słomą z piwnicy w pobliżu strumienia, który płynął przez tereny Stephena. Postawiwszy galaretę na blokach lodu, by stężała, Caleen zajęła się ważniejszymi sprawami.

Suzette przywiozła z miasta oczyszczony cukier, w przeciwieństwie do cukru brunatnego, który warzono prymitywnymi metodami w odkrytych kotłach, ten miejski był zupełnie biały. Sprzedawano go w stożkowatych bryłach, twardych jak kamień. W Harrow całymi dniami pukał drewniany młotek Caleen, rozbiła cukrowe głowy najpierw na kryształ a potem na puder, przydatny w wypieku tortów i lekkich, puszystych ciast.

Jeszcze kilka godzin przed spodziewanym przybyciem gości z kuchennego komina szedł w niebo ślup dymu. Caleen nadzorowała kucharzy, kiedy wsuwali do pieca brytfanny o wklęsłych, wypełnionych rozżarzonymi węglami pokrywkach. W mniejszych naczyniach, na trójnogach, gotowały się przeróżne zupy i buliony, warzyły się sosy i zasmażki. W poprzek wielkiego paleniska szerokości czternastu stóp, umieszczono różna z dziczyzną — sarnie udźce, dzikie świny i ptaki obracały się powoli nad ogniem, a ściekające soki, gęste od tłuszczu zbierały się w podstawionych miednicach.

Pod bacznym okiem starszych niewiast przyrządzano cukierki, do wrzącego syropu wrzucano płatki fiołków i kwiatu pomarańczy i wykładano tę masę na woskowany papier, by stężała. Na dworze najsilniejsi niewolnicy obracali na zmianę ogromne bębny w wannach wypełnionych tłuczonym lodem — kręcili lody. Bębny były wypełnione masą z gęstego, słodzonego mleka, w którym uprzednio gotowano całe laski wanilii. Ponieważ w tej maszynierii brakowało uchwytów, kręcenie lodów było zajęciem iście

katorżniczym. Robotnicy chuchali z nieszczęśliwymi minami na skostniałe palce, lecz wszędobylska Caleen popędzała ich do pracy słowem nie mniej ciętym niż bicz.

Georges ostrzył noże do porcjowania mięs, suwając nimi po desce posypanej sproszkowaną cegłą. Dziewczęta i kobiety znosiły do podziemnej chłodni sorbety, galaretki i torty lodowe, by zachowały swą chłodną tężyznę do przybycia gości. Trwał wypiek ciast i wyrób słodocy. W spiżarni lukrowano i zdobiono wysokie torty, przy czym nie obeszło się bez oblizywania palców. Z pociętej na paski skórki pomarańczowej dziewczęta plotły zgrabne koszyczki i zanurzywszy je na krótko we wrzącym syropie, odstawiały na bok do stwardnienia. Wypełniano je później cukierkami, pralinami i kawałkami nugatu.

Pod okiem samego gospodarza ustawiano na serwantkach wina i likiery. Odświętną dekorację stołu powierzono pani Wilson, ale nawet w tej dziedzinie Caleen wtrącała znieznacka swoje uwagi, którym nie można było odmówić słuszności. Jupiter wstawiał kwiaty do kosztownych dzbanów i wazonów, a piękne, kręcone schody udekorował girlandami z różowych powoi i ogniście czerwonych róż.

Służbę domową poddawano nieustannej musztrze. Wszyscy służący otrzymali nowiutką liberię, przy czym nie zapomniano o równie nowej bieliźnie. Dwoje *négrillons** w turbanach stanęło po przeciwnych krańcach stołu, trzymając w rączkach złote sznury, wprawiające w ruch olbrzymie, zawieszane u sufitu wachlarze. Majordomus, który umiał czytać, ulokował się przy wejściu, by odbierać od napływających gości wizytówki i odczytywać na głos ich nazwiska.

* *négrillons* (franc.) — Murzyniątek

Wreszcie ustała krzątanina, wszyscy czekali...

Nie tylko w Harrow trwały przygotowania do wielkiej fety. W Rosemont, plantacji Cloutierów, zaproszenie na bal wyjął z koszyka George'a sam gospodarz.

— O co chodzi, kochanie? — zainteresowała się madame Cloutier.

— Bezcelność tego jegomościa nie zna granic! — nasrożył się Cloutier, pryskając wokół śliną. — Ten Fox zaprasza nas do siebie na bal. Powiedz swojemu panu... — ...że przyjmujemy zaproszenie — dokończyła jego małżonka.

— Co takiego?! — ryknął Cloutier.

— Nie masz się o co handryczyć, Louis — odparła spokojnie pani Cloutier. — Mamy dwie córki na wydaniu, a sam mówiłeś, że z pana Focha będzie kiedyś największy bogacz w Luizjanie.

— Przyjęłabyś do rodziny tego...

— Uważam, że to przemiliły człowiek. Nie wspominałam ci jeszcze, że kilka tygodni temu wybrałam się z dziewczętami na przejażdżkę w okolice Harrow i powiadam ci, Louis, że w życiu nie widziałam wspanialszego domu! Panienki, zejdźcie na dół! Mam dla was niespodziankę.

Henriette i Clothilde zbiegły z łomotem po schodach. Były to rozrośnięte, toporne pannice, całkowicie wyzute z dziewczęcego wdzięku, czym oboje rodzice mocno się gryźli.

— Monsieur Fox zaprasza nas do Harrow — oznajmiła matka.

Panny Cloutier wydały wrzask tak przenikliwy, że Georges cofnął się pospiesznie w stronę drzwi.

— Nie, nie odchódź! — krzyknęła Henriette. — Musimy zobaczyć pozostałe zaproszenia. Konam z ciekawości, kto jeszcze będzie na balu!

I zaczęły we trójkę przetrząsać zawartość koszyka, rzucając ściszone uwagi przy każdym nazwisku.

— Odalie Arceneaux — rzuciła posępnie madame Cloutier. — Niezbyt mi to w smak. Clothilde, twarz ci ogorzała. Od dziś co wieczór przed snem będziesz smarować twarz maślanką.

Jeszcze tego wieczoru ubiła w mózdzierzu kość wołową, wydobyła z niej szpik i zmieszała z gęstym olejem rycynowym. Henriette krzywiła się z obrzydzeniem, czując mdlący odór bijący od tej śnieżnobiałej masy, lecz Clothilde patrzyła ciekawie, gdy matka perfumowała miksturę olejkami paczulowym i bergamotowym. Pani Cloutier wtarła miksturę w czarne, gęste włosy swoich córek, po czym nawinęła każdy kosmyk na papierowe lokówki tak ciasno, że dziewczęta pokrzykiwały z bólu. Nałożyła im na usta papkę z białego wosku i słodkiego olejku i wyprawiła do łóżek, zaopatrzywszy w słoik gęstej, smrodliwej maślanki, która miała rozjaśnić ich z natury śniadą kreolską cerę.

Aurore bez słowa podała zaproszenie siostrze. Przeczytawszy je, Odalie wbiła czarne źrenice w orzechowe oczy siostry.

— Pojedziesz? — zapytała młodsza cichym głosem. Odalie podeszła do okna i spojrzała w górę rzeki w stronę Harrow, odległego o wiele mil, ukrytego za wieloma zakrętami rzeki. Odwróciła się do siostry.

— Pojadę — powiedziała.

W miarę jak zbliżał się dzień balu, powietrze tej nadrzecznej krainy było coraz bardziej naelektryzowane. Składano sobie wizyty tylko po to, by rozprawiać o tym tajemniczym panu Foksie, który był najoczywiściej Anglikiem, a jednak mówił po francusku lepiej niż Luizjańczycy. Odgrzebano wszystkie zapomniane opowieści, by na nowo puścić je w

obieg, obrastały w coraz bardziej smakowite szczegóły. Otóż Stephen był synem z nieprawego łoża pewnego szlachcica, wygnanego za karę do Nowego Świata. Był osławionym hazardzistą, przeniewiercą i łajdakiem, który uwiódł żonę tego nieszczęsnego, prostodusznego i — jak się okazało po pewnym czasie — niezwykle prawego człowieka, niemieckiego plantatora. Ograbił go z ziemi i posunął się w swej niczemności tak daleko, że zabił w pojedynku tego ciężko poszkodowanego biedaka. Powiadają, że regularnie wysyła pieniądze do madame Waguespack aż do Filadelfii. I co w tym dziwnego, moja pani, przecież dwoje młodszych dzieci ma rude włosy.

Tak rozprawiwały i wydziwiałały matrony w Nowym Orleanie i na wielkich plantacjach, zerkając spod rzęs na rozmówców, ciekawe jakie wrażenie wywołują ich słowa. Ale nawet powtarzając najnowsze rewelacje o praktykach czarnoksięskich, uprawianych przez Caleen, powszechnie znaną mamaloi, wnet zrywały się z krzesel, już przy drzwiach uśmiechały się na pożegnanie i pędziły do domów, by bez litości sznurować swoje córki w fiszbinowe gorsety, wzmocnione z przodu listwami z jabłoniowego drzewa szerokości trzech cali, panny szlachetnego rodu musiały być sztywne jakby kij połknęły, tego wymagał obyczaj.

Popyt na puder ryżowy bił wszelkie rekordy, wiele magazynów perfumeryjnych zostało doszczętnie ogołoconych z towaru. Zaś madame Pluchę i madame Ferret z magazynu przy ul. Chartre zapomniały o rywalizacji handlowej i we trójkę z Olympe, wziętą modystką, urządziły małą fetę, by uczcić ten nieoczekiwany, szalony wzrost sprzedaży paryskich sukien i kapeluszy.

Przez ostatni tydzień przed balem André nie ruszał się z Harrow. W dzień balu przyjaciele ubierali się w północnym skrzydle przy asyście Georgesa i Ti Demona. Obydwaj służący patrzyli na siebie jak na wrogów, uwijali się na wyścigi — każdy z nich gorąco pragnął, by właśnie jego pan prezentował się najlepiej. Krochmalone gorsy białych koszul jedwabnych sterczały sztywno na szerokich młodzieńczych piersiach ich panów. Nowe żakiety — identyczne, począwszy od guzików z macicy perłowej a skończywszy na materiale o brokatowym splocie, tak ciemnym, że tylko mocne światło wydobywało jego bordowy odcień — wciąż na nowo czyszczono i szcztokowano. Kamizelki były kremowe, zdobione wypukłym tłoczonym motywem lilii, krawaty z jedwabiu o śnieżnej, wpadającej w błękit bieli. W pieczołowicie polerowanych butach odbijały się wszystkie światła Harrow.

Na koniec lokaje zajęli się pańskimi fryzurami — wyszczotkowali lśniące pukle na dumnych młodzieńczych głowach, przyglądzieli długie bokobrody okalające jędrne policzki. Tego wieczoru Stephen i André byli dla siebie nawzajem doskonałym tłem, przy ciemnym, niepospolicie urodziwym Kreolu, śmigły, jasnowłosy Irlandczyk wydawał się jeszcze przystojniejszy.

— Ty drżysz — zauważył André, kiedy Stephen brał kieliszek wina z rąk Georgesa.

— Pewnie — przyznał Stephen — trzęsę się jak galareta. Ale to głupstwo, uporam się z tym. Liczy się dla mnie tylko bal.

— Ale dlaczego? Naspraszales jakieś nadęte figury — żaden z tych ludzi nawet do pięt ci nie sięga. Tyle zachodu i pieniędzy...

— ...dla nich? Źle mnie oceniasz, André. Robię to wszystko dla jednej tylko osoby. Po balu mogą wszyscy iść i utopić się w Missisipi, ale ja będę miał Odalie. — Musnął wielką perłę. — Teraz już mogę nosić ją otwarcie.

— Oczywiście. Ale, ale — dlaczego wyznaczyłeś mi miejsce obok jakiejś panny Rogers? Nie znam jej.

— Więc ją poznasz — uśmiechnął się Stephen, unosząc kpiarsko brew i André po raz tysięczny stwierdził, że szrama, przydając twarzy Stephena jakiejś diabolicznej beztroski, uwydatnia zarazem jej wdzięk.

Do pokoju wpadł Ti Demon, wybałuszając wielkie, ciemne oczy.

— Jada, jada! — zawołał. — Widziałem powozy!

— Lepiej zejdźmy na dół — zaproponował André.

— Dobrze — odparł Stephen i wypił wino jednym haustem.

Powoli schodzili pyszną wstęgą kręconych schodów. Na tej wysokości ogromny żyrandol, płonący setkami świec, znajdował się pod ich stopami, przez jego migotliwe kryształowe widzieli służących, którzy brali okrycia pierwszych gości. W głębi sali balowej złożona z niewolników doskonale już wyszkolona orkiestra, zagrała pierwsze takty. Majordomus z ważną miną wykrzykiwał kolejne nazwiska.

Stephen i André zeszli do ogromnego westybulu, by witać przybyłych. Wraz z nimi stała madame Wilson, która jako Prudhommówna z domu miała dostatecznie wysoką pozycję społeczną mimo małżeństwa z jankeskim zarządcą, by sprawować obowiązki pani domu. Na dworze, na półkolistym podjeździe, lokaje otwierali drzwiczki powozów, a niewolnicy Stephena odprowadzali zaprzęgi do stajni, gdzie konie karmiono i pojono.

Gdy goście wkraczali na pokoje, rozjaśniały się ich nikłe, oficjalne uśmiechy. Mężczyźni mocno potrząsali prawicą Stephena, a kobiety krygowały się i wdzięczyły, gdy schylał się nisko nad ich urękawiczonymi

palcami. André, stojąc nieco z boku, przyglądał się z zajęciem temu widowisku.

— Czysty teatr — mrucał. — Ma foi, Stephen to urodzony komediant.

— Państwo Rogers! — huknął majordomus — oraz panna Amelia Rogers!

André pochylał się nagle do przodu, jego ciemne oczy rozbłysły.

— A wyrzucałem mu gruboskórność — szepnął do siebie — i że brak mu serca. On to zrobił z rozmysłem — chce mi wynagrodzić utratę Aurore. Taka nagroda przechodzi wszelkie pojęcie!

W odpowiedzi na skinienie Stephena, ruszył w stronę wysokiej dziewczyny, której smukłość i giętkość przywodziły na myśl młodziutką wierzbę. Jej blad złote włosy jaśniały w świetle kandelabrow jak aureola. Na pięknej twarzy malował się wyraz łagodności i słodczy. Podchodząc, coraz szerzej otwierała szafirowe oczy, wpatrzone w jego smagłą, przystojną twarz.

Po pewnym czasie w wielkiej sali zgromadzili się wszyscy goście, nawet Cloutierowie, którzy umyślnie przybyli później — wszyscy, oprócz rodziny Arceneaux. Stephen popatrywał nerwowo w stronę drzwi. Amerykanie z Faubourg Saint Marie z nie skrywaną ciekawością i podziwem oglądali wspaniałe wnętrza, Kreole patrzyli na Stephena. Wreszcie majordomus nadawszy się, zaanonsował z namaszczeniem:

— Jaśnie pan wicehrabia Henri Marie Louis Pierre d'Arceneaux oraz panna Aurore i panna Odalie Arceneaux!

Stephen przysłonił na chwilę twarz ręką przed ciekawymi spojrzzeniami, lecz wszyscy zebrani w tej ogromnej sali dostrzegli błysk radości w jego oczach. Na twarzy madame Cloutier odmalowały się wszystkie odcienie bezsilnej złości, podobnie jak — choć w mniejszym natężeniu — na licach większości obecnych mamuś.

Gdy służąca wzięła od Odalie okrycie, z męskich piersi wyrwało się wielkie, choć stłumione westchnienie i odbiło się od sufitu jak echo.

Wydawało się, że wszystkie światła Harrow skupiły się na tej pannie, gdy stała w westybulu obok ojca i siostry, a perłową białością jej twarzy, dekoltu i ramion otaczała jakby leciutka mgiełka. Ze śmiałością bliską zuchwalstwa właśnie przez swą prostotę, odrzuciła obowiązujący kanon. W przeciwieństwie do wszystkich innych pań, nie rozdzieliła włosów pośrodku głowy, by poskręcane w drobne loczki przytwierdzić je szpilkami nad uszami, lecz odrzuciła je, do tyłu, niczym nie skrępowane, spływały ciemną, połyskliwą kaskadą na ramiona i głęboko wyciętą suknię ze starożytnej francuskiej koronki. Gdy Stephen pochylał się bez słowa nad jej wąską

dłonią, usta Odalie wygięły się powoli w uśmiechu, w którym triumf mieszał się z tajemną rozkoszą kapitulacji.

Muzyka zagrała do tańca. Lekko ująwszy dłoń Amelii, André zawirował w nie kończącym się walcu, zatracił się jak w marzeniu o szczęściu.

— Przez całe życie czekałem — szepnął — czekałem na panią, nawet o tym nie wiedząc.

Szafirowe oczy pod wysokimi łukami brwi patrzyły w śniadą twarz tego młodego efeba bez cienia kokieterii, była w nich szczerłość i przyzwolenie.

— Cieszę się — powiedziała po prostu — cieszę się, że czekał pan na mnie.

Z zadziwiającą przytomnością umysłu spełniał gospodarz swoje obowiązki wobec zaproszonych panien, dla każdej miał uśmiech, każdej szepnął do uszka jakieś słodkie słówko. Jednak tańcząc z Odalie zachowywał się zupełnie inaczej i każda matka już wiedziała, że na nic zdał się ryżowy puder, na nic perfumy, zawiodły nawet listki dziewanny — energiczne ich wcieranie w kremowobiałe policzki panięńskie gwarantowało lekki rumieniec. Ten wysoki młody mężczyzna o twarzy znaczonej blizną, twarzy, która przywodziła na myśl oblicze szatana tuż po upadku, gdy nie zdążyło jeszcze zatracić pewnej słodczy rysów właściwej aniołom — tańczył kolejne figury kontredansa w półsennym urzeczeniu, ani na chwilę nie odrywając oczu od ogromnych, mrocznych jak ciemny aksamit oczu Odalie.

Nadeszła północ. Goście poszli za Stephenem do wielkiej jadalni, przez całą jej długość biegły masywne stoły z rzeźbionego mahoni, ustawione w podkowę. Gdy siedli, długa procesja służących zaczęła wносить półmiski z pieczonymi indykami, gęsiną, kurczętami i dziczyzną. Goście kosztowali tych dań po odrobinie, patrzyli na zachwycające kompozycje kwiatowe zdobiące stoły, na boczne stoliki zastawione sałatkami, wędlinami, galaretami, podziwiali wysokie lukrowane ciasta, wymyślne torty, złociste biszkopty, pokryte puszystymi czapami bitej śmietany. Na innych stolikach czekała na biesiadników mnogość zimnych mięs, a dalej — śnieżne desery lodowe. W kryształowych karafkach, opatrzonych w złote blaszki, na których wybito nazwę i rocznik, mieniły się rozmaite wina niczym ciemne rubiny i świetlisty jantar. Przy nakryciu każdej pani stał misternie pleciony koszyk z pasków skórki pomarańczowej, wypełniony kandyzowanymi płatkami róży, fiołków i pomarańczy.

Za plecami gości bezszelestnie jak duch snuli się służący, pilnując by ani chwili nie stał pusty któryś z pięknych pucharów, zdobionych złotym motywem winorośli.

Pochylony w stronę Odalie, nie odrywając od niej błękitnego spojrzenia, Stephen zabawiał ją żartobliwą rozmową, właściwą temu miejscu i okazji, lecz te nieważne słowa rozplywały się w powietrzu, nim dotarły do uszu adresatki, liczyło się tylko to, co mówiły jego rozjarzone oczy.

Podniósłszy znad talerza oczy, Odalie natknęła się na napastliwe spojrzenie. Zadrżała, jakby przejął ją nagły chłód, upuściła łyżkę. Natychmiast któryś z Murzynów podsunął jej z ukłonem tackę, na której leżała czysta łyżka.

— Są... świetnie wyszkoleni... pańscy służący — wykrztusiła.

— Tak — odparł Stephen — tego wymagam od służących, koni i w ogóle wszystkiego co żyje, a jest moją własnością. Ale pani drży. Czy zimno pani?

— Nie, ale chyba trochę się boję.

— Czego? Tutaj nic pani nie grozi.

— Nawet z pańskiej strony? Uśmiechnął się szpetnie.

— No tak, to niewykluczone — wycodził. — Jeszcze nie pomściłem tego cięcia pejcem.

— Mściłby się pan na kobiecie?

— A tak! Lecz byłaby to zemsta mojego pomysłu, która może byłaby jej w smak...

— Mocnyś w gębie, mój panie — powiedziała Odalie.

— Gdybym miała wierzyć...

W tej chwili nad Stephenem pochylił się majordomus.

— Jakiś człowiek chce z panem mówić, maitre — szepnął. — Czekaj na tarasie.

Stephen machnął ręką z najwyższym rozdrażnieniem.

— On nalega, panie. Próbowałem go odprawić, ale kazał mi pokazać panu — to.

W leżącej na dłoni lokaja złotej tabakierce niewyraźnie migotały płomyki świec. Stephen natychmiast wstał.

— Stokrotnie panią przepraszam — rzekł z cicha.

— Czy wybaczy mi pani, jeśli ją opuszczę?

— Oczywiście.

Odalie patrzyła, jak szedł wielkimi krokami przez rozległą salę i zniknął za drzwiami.

Wyszedłszy na galerię, Stephen wahał się przez moment. Po chwili dostrzegł w ciemności czerwony punkcik — potężny mężczyzna, stojący u stóp kręconych schodów właśnie pyknął z fajki.

— Mike! — krzyknął Stephen i zbiegł pędem na dół, by powitać szypra—olbrzyma.

— Witaj, rudy koguciku! — ryknął ucieszony Mike. — A już myślałem, że zapomniałeś o starym druhu!

— Nigdy — odparł Stephen i dodał po króciutkim wahaniu: — Chodź, siądź ze mną do stołu. Mamy tyle dobrej irlandzkiej whisky, że nawet ty nie zdołasz wypić jej wszystkiej.

Mike pociągnął ze swojej fajki, wykonanej z kaczana kukurydzy.

— Jesteś właśnie taki, jak myślałem — zahuczał dudniącym basem. — Prawdziwy mężczyzna — i Irlandczyk. Żeby podtrzymać przyjaźń, gotów byłbyś zmarnować wszystko co zdobyłeś... Zaprosiłbyś mnie między tych jaśnie panów, powiedziałbyś, że przestawalesz z rzeczną hołotą i może utraciłbyś swoją piękną damę. Nie, nie pójde. Wrócę tu jutro. — Odwrócił się gwałtownie.

Lecz Stephen przytrzymał go za ramię.

— Jak się tu dostałeś z miasta? — spytał.

— Na własnych nogach — zahuczał Mike — i wrócę tym samym kursem, jak tu stoję!

— Nie, przenocujesz tutaj. Nie musisz iść na przyjęcie, jeśli nie masz ochoty, ale nigdzie się stąd nie ruszysz.

— Dobrze — ustąpił marynarz — bo faktycznie jestem nieludzko zmęczony. Powiedz temu grubemu nadętemu fagasowi, co mnie stąd wyganiał, żeby wpuścił mnie kuchennym wejściem, a ja pójde prosto do łóżka.

— Nie — odparł Stephen zdecydowanie — kuchenne wejście jest dla dostawców i Murzynów. Moi przyjaciele wchodzą głównym wejściem. Chodź.

— Ale te wszystkie wielmoże...

— Muszą się z tym pogodzić. Jesteś więcej wart niż tuzin takich jak oni. No, idziemy.

Ujmując mocarne ramię Mike'a Farela, Stephen poprowadził go schodami do paradnych drzwi. Kiedy szli przez westybul, Stephen skinął na któregoś ze służby, a tamten nadbiegł w te pędy.

— Butelkę whisky do północnego skrzydła dla tego pana — rozkazał Stephen. — I nie odchodź, aż się nie upewnisz, że ma wszystko, co trzeba.

— Miałem czarnucha — powiedział Mike niespodziewanie. — Dziwny to był człeczyna, wciąż się trząsał i bełkotał o jakimś pożarze, strzelaniu i paleniu. Był zbiegiem. Złapali go niedaleko Natchez, ale nikt się po niego nie zgłosił.

— I co się z nim potem stało?

— Kiepsko stałem z gotówką, musiałem go sprzedać

— odparł Mike. — Żał mi go było, bo bał się Nowego Orleanu jak śmierci. Płakał jak dziecko. Aż mi się zrobiło nijako, bo dobry był z niego czarnuch.

— Pojedziemy jutro do miasta i wykupimy go — powiedział Stephen. — Zaraz ci będzie rażniej. A teraz Jean zadba, żeby ci niczego nie brakowało.

— Dobrze, chłopcze. Wracaj teraz do gości, ale nie zapomnij, kochaneczku, o przyobiecanej whisky!

Kiedy Stephen wrócił do salonu, umilkły nagle szepty kilku gości, którzy widzieli, jak prowadził Mike'a do domu głównym wejściem. W oczach Odalie stało pytanie.

— Jakiś pana krewny? — rzuciła kpiąco.

— Nie — odparł Stephen półgłosem — nie jestem takim szczęśliwcem, by mieć w rodzinie podobnego chwata.

— To pewien marynarz z Missisipi, który mi uratował życie, i jeden z najwspanialszych ludzi, jakich znam.

— Spojrzał na nią tkliwie. — Jaka pani piękna, Odalie, o wiele za piękna.

Właśnie w chwili, gdy na policzki Odalie wypełzł rumieniec, André oderwał oczy od Amelii i obrzuciwszy spojrzeniem tych dwoje pięknych ludzi patrzył na Aurore, która siedziała po przeciwnej stronie salonu. Nie zważając na swego towarzysza, jakiegoś młodego Amerykanina, który czynił rozpaczliwe wysiłki, by zwrócić na siebie jej uwagę, Aurore utkwiała wzrok w schyłym nad Odalie Stephenie, śledząc jego gesty i grę fizjonomii. André nawiedziło uczucie bardzo podobne do bólu, chociaż twarz doskonale opanowanej Aurore nie wyrażała żadnych emocji.

— André — szepnęła Amelia, w ciągu tego wieczora ich znajomość osiągnęła taki stopień zażyłości, że zwracali się do siebie po imieniu.

— Tak, Amelio? — rzucił z roztargnieniem.

— Kochałeś kiedyś tę dziewczynę, prawda? André odwrócił się do niej gwałtownie.

— Tak, to prawda.

— Jest bardzo piękna. Czy jesteś zupełnie pewien, że...

— Najzupełniej — wpadł jej w słowo. — Moje życie zaczyna się od dziś.

— To dobrze. Ona jest prześliczna, nawet bardziej urodziwa niż jej siostra, choć w inny sposób.

— Więc ty także to zauważyłaś?

— Chciałabym mieć w niej przyjaciółkę, ale obawiam się jej.

— Nie — rzekł z mocą André. — Jej nigdy nie musisz się obawiać.

Znów zabrzmiała muzyka, tańczono do białego rana. O świcie kelnerzy zaczęli roznosić talerze z gumbo* i gorącą kawę, jeden po drugim goście rozjeżdżali się do domów. Odalie zwlekała z odjazdem, jej zwykle mroczne, aksamitnomatowe oczy świeciły silnym blaskiem.

* **gumbo** — potrawa ze strąków piżmaka

— Czy przyjmie mnie pani, jeśli złożę jej wizytę?

— wciąż dopytywał się Stephen.

— Tak, zawsze będę w domu... dla pana — odparła wreszcie.

Czekając na siostrę w powozie, Aurore skręciła chusteczkę w wilgotną kulę, ale nawet kiedy Stephen całował dłoń Odalie, powściągnęła palące łyzy. Przebędzie jeszcze wiele mil, zanim będzie mogła pofolgować rozpaczy.

RS

ROZDZIAŁ 9

Nazajutrz po balu Stephen kazał osiodłać konie dla Mike'a Farrela, André i dla siebie. Powierzywszy pani Wilson nadzór nad niewolnikami, którzy doprowadzali dom do porządku, jechał dębową aleją, wiodącą do nadrzecznego traktu.

— Pamiętasz handlarza, któremu sprzedajesz swojego czarnucha? — Spytał Mike'a.

— Tak, to porządny kupiec, chyba nie będzie kłopotów z wykupieniem Joshua. Zresztą pewnie i tak nie udałoby mu się go pozbyć, nawet gdyby chciał.

— Czemu?

— Nie byłoby chętnych — zachichotał Mike. — Właśnie dlatego udało mi się kupić Joshua. Taki był mały, płaksiwý, zamorzony. Wepchnęli mi go prawie za darmo. Ale bardzo byłem z niego kontent. Był cichy i łagodny, robił w te pędy wszystko, co mu kazałem. Nigdy nie miałem z nim żadnych kłopotów.

— Będiesz go miał z powrotem — powiedział Stephen. — Możesz być spokojny.

André jechał w milczeniu, patrzył ciemnymi oczyma gdzieś w dal.

— André! — huknął znieacka Stephen.

— Co... co się stało? — spytał nieprzytomnie młodzieniec.

— Nic — zaśmiał się Stephen — chciałem cię tylko obudzić. Jak znajdziesz tę chudą Amerykankę?

André spojrział na przyjaciela pojaśniałym wzrokiem.

— Nigdy ci się nie odwdzięczę, Stephenie.

— Więc jednak przypadła ci do gustu?

— Tak. Do tego stopnia, że będziesz musiał jechać dziś ze mną do jej domu — chcę prosić jej ojca, by pozwolił mi widywać się z nią. A wieczorem porozmawiam z moim własnym ojcem.

— Oczywiście wciąż się na ciebie boczy?

— Mniej niż kiedyś. Od czasu gdy się zaczął serio rozglądać za żoną, patrzy na mnie łaskawszym okiem.

— Doskonale. A jaki będzie cel tej wizyty?

— Biorę się znów do roboty. Chcę zostać plantatorem. W końcu kiedyś La Place des Rivières będzie moja...

— Na mą duszę! — krzyknął Stephen. — Sprawa robi się poważna! Czyżby Amelia Rogers w jedną noc tak zawróciła ci w głowie, że chcesz się wreszcie ustatkować?

- Chcę się z nią żenić.
- Doskonale — rzekł Stephen, ściskając mu rękę.
- Na prezent ślubny daruję ci tamtą przegraną i dorzucę co nieco na okrasę. Ale co będzie z Aurore?
- André ściągnął brwi, w twarzy miał rozterkę.
- Kochałem ją — powiedział stłumionym głosem.
- Może wciąż ją kocham, sam już nie wiem. Wiem tylko jedno: gdyby odwzajemniła moje uczucie choć w maleńkiej części, byłbym w nie lada kłopotcie. Ale jest inaczej... więc chyba drogę mam wolną.
- Aurore to dziwne stworzenie — powiedział Stephen.
- Była mi zawsze ogromnie życzliwa.
- Wiesz, Stephen, czasem mówisz jak skończony dureń
- warknął André.
- Wiem — uśmiechnął się Stephen — ale co durnego powiedziałem tym razem?
- Och, nic — zbył go André gniewnie.
- A jak tam twój bal? — odezwał się Mike. — Udał się?
- Tak, nie mogę narzekać — odparł Stephen.
- Jak się stawia na stół taką whisky, to nie może być inaczej. Pamiętam, jak mi powiedziałeś, że kiedyś będziesz kimś — ja od razu uwierzyłem. Dochrapałeś się niebrzydkiej plantacji, powiadają że największej w Luizjanie.
- No, niezupełnie... Stary Arceneaux ma więcej ziemi, a Cloutierowie tyle samo. Ale faktycznie to kwestia czasu — niezbyt odległego.
- Arceneaux! — zahuczał Mike. — Podobno to za jego dziewczuchę chcesz się wydać?
- Więc już wiesz! Niech cię diabli, Mike, widzę, że nie mało o mnie wiesz.
- Wie się to i owo — uśmiechnął się Mike. — Przecież jesteś dla mnie jak syn. Muszę któregoś dnia przyjrzeć się tej pannie, bo nie wiem, czy wam błogosławić, czy nie. Chciałbym, Stevie, żebyś był szczęśliwy.
- Więc powiedz, że się nie zgadzasz — palnął André pół żartem, pół serio. — Nie pozwól na ten ślub!
- Stephen spojrział nań bystro.
- Dlaczego jej nie lubisz?
- Ależ lubię, lubię. Jak można nie podziwiać takiej królowej? Tylko czasem myślę, że Odalie nie ma serca.
- Ma, tyle że zamarznęte — odparł Stephen. — Już ja je roztopię, niech cię o to głowa nie boli.

— Mam nadzieję. Ale powiedz mi, Mike, skąd tyle o nim wiesz.

— Od jego czarnuchów — zaśmiał się Mike. — Wszystkie mają ozory do pasa. Można się niejednego dowiedzieć, jeśli się rozumie ich szwargot, ale mało który mówi jako tako po angielsku.

Kiedy podążali nadrzecznym gościńcem w stronę Nowego Orleanu, pasażerowie napotkanych karet i kabrioletów pozdrawiali ich jak starych znajomych.

— Dopiąłeś swego, Stephenie — oświadczył André.

— Jesteś teraz najbardziej znanym plantatorem w całym nadrzeczu. Co na to powiesz, słynny plantatorze?

— Sam nie wiem — odparł Stephen z namysłem.

— Kto wie, może kiedyś to wszystko zacznie mi ciążyć.

— Słusznie. Nie jesteś już panem siebie. Będą ci patrzeć na ręce, komentować każde twoje słowo, będą cię naśladować. Idę o zakład, że w ciągu pięciu lat nad rzeką stanie tuzin takich dworów jak Harrow. My, Luizjańczycy, przywykliśmy do zbytku, lecz ten wyniosły przepych to coś nowego. Dziś w Nowym Orleanie wszyscy składają wszystkim wizyty i bez końca komentują wczorajszy bal. Będą sobie ostrzyć dowcip twoim kosztem, ale na wiele mil dokoła wszystkie matki dorosłych panien już planują wieczorek tańczący, na który zaproszą ciebie — nawet jeśli ich nie prosiłeś na bal.

— W takim razie tracą czas — oświadczył Stephen.

— Zapewne. Odaliej wyjdzie za ciebie. Nawet ona nie oprze się pokusie, by zostać pierwszą damą Luizjany. Poza tym, ty draniu, całkiem przystojny z ciebie kawaler. Mam tylko nadzieję, że będziesz z nią szczęśliwy.

— Będę — zapewnił go Stephen. — Nie martw się o to.

Po długiej jeździe osiągnęli Faubourg St. Marie — dzielnicę Nowego Orleanu, zamieszkałą głównie przez Amerykanów. Konie były zdrożone, jechali powoli krętymi uliczkami w stronę targu niewolników. Plac był pusty, stojący w głębi barak — zamknięty na cztery spusty.

— Za późno się wybraliśmy — gderał Mike. Stephen nie słuchał go, zsiadł z konia i energicznie zakolał ręką rękawicą szpicruty w zamknięte drzwi.

Po chwili w drzwiach stanął jakiś chudy, ogorzały Kentuckczyk.

— Witam panów. Czym mogę służyć?

— Wczoraj ten człowiek — rzekł Stephen, wskazując na Mike'a — sprzedał ci pewnego czarnucha. Masz go jeszcze, czy komuś go odsprzedałeś?

— Nie, wątpię, czy mi się to kiedy uda. — odparł Kentuckczyk z powagą. — Pan musi być niezłe wygadany, że udało się panu sprzedać mi takie momro. Dlaczego mi pan nie powiedział, że ten czarnuch szwankuje na umyśle?

— Bo mnie nie pytałeś — odparł Mike szczerząc zęby.

— Tak czy siak, bierzemy go z powrotem.

— Muszę sobie policzyć za jego wyżywienie i zakwaterowanie, więc... — zaczął handlarz.

— Już dobrze — uciął Stephen. — Dorzucę pięćdziesiąt dolarów do jego ceny. No, przyprowadź go.

— Służę wielmożnemu panu. — Kentuckczyk zniknął w głębi baraku, który służył mu jako dom, miejsce pracy a czasem nawet przechowalnia niewolników. Wrócił po chwili, prowadząc niejednego, lecz dwoje Murzynów. Pierwszy z nich był małym, chuderlawym człeczyną, drżał od stóp do głów, wielkie łzy toczyły się po jego wychudłych policzkach.

— Nie pozwólcie, by mnie schwytał — mówił z płaczem.

— Nie oddajcie mu biednego Josha.

— Nie bój się — powiedział Stephen łagodnie. — Teraz jesteś w dobrych rękach.

— Oddadzą mnie — lamentował Josh. — Odeślą do pana Toma. A on mnie wykończy, tak jak wykończył Rada nieboraka. Niech pan im nie pozwoli — zwrócił się do Mike'a — błagam pana!

— On jest chory, biedaczysko — powiedział Stephen. — No dobrze, bierzemy go. Płacę — powiedział do handlarza, odliczając należność w nowiutkich banknotach.

— Przepraszam za śmiałość, wielmożny panie — odezwał się Kentuckczyk — ale skoro kupuje pan takich niewydarzeńców, to pomyślałem sobie, że może...

Stephen popatrzył na drugiego niewolnika.

— Hm, dziewczyna — mruknął. — Co ty na to, Andre?

André przyjrzał się bacznie Murzynce.

— Ma foi, ona jest przepiękna! — zawołał.

Stephen spojrzał uważniej. Dziewczyna była wysoka. Krótko ścięte włosy przylegały jak wełnista czapeczka do małej, krągłej głowy osadzonej na długiej, smukłej szyi. Smukłe i długie było całe jej giętkie, powabne ciało. Skórę miała jak czarny aksamit. Stephen wiódł wzrokiem po długich hebanowych udach, ledwie okrytych kusą sukienczyną, po wąskich łukach bioder, talię miała wąską jak osa, a piersi niewielkie, sterczące stożkowato w górę. Zajrzał jej w twarz o subtelnym rysach kaukaskiej rzeźby — o

małym nosku i długich, skośnych oczach, płonących brunatnym ogniem pod półprzymkniętymi powiekami.

— Masz rację — powiedział do André — jest rzeczywiście piękna. Nigdy bym nie pomyślał, że czarna kobieta może być tak urodziwa, ale faktycznie nie widziałem piękniejszej od niej. Zgoda — zwrócił się do handlarza. — Kupuję ją. Ile za nią chcesz?

— Chwileczkę, wielmożny panie — wstrzymał go Kentuckczyk. — Handluję w Orleanie Negrami już od piętnastu lat. Znają mnie jako uczciwego kupca. Nie chcę pana oszwabić — ta dziewczyna jest chora na umyśle.

— Bardzo z nią źle? — zapytał Stephen.

— To istna diablina. Gotowa zabić każdego, kto się zbliży. Jeszcze nieoswojona. Kupiłem ją z portugalskiego transportu, prosto z Afryki.

— Daj ją mnie, Stevie — powiedział Mike szczerząc zęby w szerokim uśmiechu — adorana będzie mi jadła z ręki.

— Nie wątpię — odparł Stephen — ale nie chcę mieć na plantacji hodowli żółtych Murzyniątek. Zresztą chciałem ją kupić dla Achille'a — jako żonę. Nie ma jakichś wad fizycznych?

W odpowiedzi rosły Kentuckczyk schwyił niewolnicę za szczękę usiłując otworzyć jej usta. Rzuciła się w tył, zza jej zaciśniętych warg, niczym z paszczy dzikiego zwierzęcia, wydobywały się ostrzegawcze gardłowe dźwięki. Rozzłoszczony Kentuckczyk wymierzył jej lekki policzek. Cofnęła wargi, obnażając lśniące opiłowane zęby, ostre jak bagnety, długa szyja nabrzmiała jak u żmii, gotującej się do ataku. Coś mignęło w powietrzu, handlarz wrzasnął z bólu. Głowa dziewczyny przywarła do ręki handlarza, ostro spiłowane zęby przebiły dłoń na wylot.

Mężczyźni rzucili się na pomoc. Trzeba było siły trzech mężczyzn, w tym mocarnego Farrela, by uwolnić rękę handlarza z kleszczy jej zębów.

— Ty suko! — wrzasnął. Kopnął ją na oślep, trafił w udo i zwałił na ziemię. Zerwała się natychmiast, obnażając zęby, wystawiając szponiaste paznokcie, oczy płonęły jej żółto jak u rozjuszzonej pantery. Lecz Mike, z szybkością zadziwiającą u człowieka jego postury, uprzedził jej atak, wykręcając jej ramiona do tyłu.

Handlarz dygotał z wściekłości, piastując dłoń, znaczoną półkolem głębokich otworów, z których sączyła się gęsta krew.

— Zabiję ją — powiedział. — Wykończę tę czarną sukę!

— Nie — oświadczył Stephen spokojnie. — Dam za nią trzysta dolarów, tak jak stoi. Jutro przyślę po nich parobka z wozem i nie chcę znaleźć na niej śladu chłosty, mój panie!

— Niech będzie — mruknął Kentuckczyk niechętnie — przynajmniej sam się pan przekonał, co to za towar. Czy mogę prosić tego tęgiego pana o pomoc? Chcę ją zapędzić z powrotem do środka.

Stephen skinął na Mike'a, a ten przepchnął przez drzwi dziewczynę, która wierzyła, wyrwała się i opierała ze wszystkich sił.

— Chyba oszalałeś — powiedział André.

— Niekoniecznie. Można ją ujarzmić, ale nie w ten sposób. Chodźmy teraz na obiad do Maspero, zastanowimy się, co robić wieczorem.

Siedząc w restauracji Maspero nad talerzami parującej bouillabaisse, prawie się do siebie nie odzywali. André mocno trapiło następujące pytanie: Co powie ojciec na jego projekt małżeństwa z amerykańską panną? Może gdyby zobaczył Amelię... ale staruszek jest zawzięty jak kozioł. Z kolei pułkownik Rogers — niektórzy Amerykanie mają o Francuzach jak najgorsze mniemanie. Jednak przy wsparciu Stephena...

— Odwiedzisz dziś Odalie, Stephenie? — zapytał.

— Nie.

— Myślałem, że...

— To pomyśl jeszcze raz. Czy mam do niej lecieć natychmiast, gdy tylko okaże mi odrobinę przychylności, jakby ten wielki honor zupełnie ściał mnie z nóg? Powinieneś znać mnie lepiej. Niech sobie panna trochę poczeka...

1 połamie trochę głowę.

— Oczywiście masz rację. Nigdy nie ustępuj kobiecie, zwłaszcza takiej jak Odalie, bo natychmiast wejdzie ci na głowę. Ale powiedz mi, Stephenie, gdzie poznałeś pułkownika Rogersa?

— Na parowcu — odparł tamten ze śmiechem. — Grywaliśmy w pokera. Posłuchaj mnie, André — nigdy z nim nie graj. To najlepszy pokerzysta w całej Dolinie Missisipi. Ogrywał mnie za każdym razem, może dlatego tak mnie polubił.

— Więc lubi cię?

— A kto go nie lubi? — zahuczał Mike. — Wszyscy lubią Steviego.

— Ogromnie mi to pochwlebia — pajacował Stephen. — Ale jest faktem, André, że pułkownik ma do mnie słabość. Powiedział mi kiedyś, że odda mi rękę Amelii, jeśli wyrobię sobie w życiu odpowiednią pozycję.

— Czy stąd wzięło się Harrow i cała reszta?

— Nie, Amelia nigdy zbyt nie we mnie nie gustowała. Ale jaki jest cel tych indagacji?

— Wizyta, którą dziś po południu złożysz ze mną pułkownikowi.

— Chętnie. O której godzinie?

— Natychmiast, jak tylko skończymy obiad.

— Ależ cię wzięło! Posłuchaj, André, może byś to wszystko spokojnie przemyślał?

— I co by z tego przyszło, gdybym myślał choćby dziesięć lat? Stephen, ja po prostu muszę ją mieć. Kto jak kto, ale ty powinienesz mnie rozumieć.

— Rozumiem cię — odparł Stephen z powagą i wstał od stołu.

— Jedźmy więc.

Wyjechawszy z Vieux Carré skierowali się na północ, do Faubourg Sainte Marie. Na ulicy Phillipsa Stephen zatrzymał Prince Michaela przed zbudowanym w stylu amerykańskiego gotyku domem o wielkich werandach, dach o wymyślnie przyciętych szczytach jeżył się od wieżyczek i iglic.

Stephen wszedł na werandę i śmiało zapukał do drzwi, dwaj pozostali mężczyźni trzymali się w pewnej odległości. Nagle drzwi otworzyły się na oścież.

— Stephen! — zawołał tubalny głos. — Wejdzże! No wchodź, chłopcze! Powiedz mi, co to za jeden ten hultaj — Francuz, którego przedstawiłeś mojej pannie? Amelia o niczym innym nie mówi tylko o nim, a wiesz, że nie znoszę cudzoziemców.

Stephen roześmiał się.

— Pozwoli pan, pułkowniku, że go przedstawię — powiedział. — Oto André Le Blanc, trochę zbity z tropu, jak widać.

— Witam pana — skłonił się André.

— Hmm, niebrzydki chłopaczek, cygański w typie — powiedział pułkownik ściszym tonem. — Z jakich okolic pan pochodzi?

— Ze Stanów Zjednoczonych Ameryki — powiedział André nadrabiając miną — z Luizjany.

— Ale jest pan Francuzem?

— Tak, panie. Przynależę do rasy, słynącej w świecie z grzeczności.

— Zasłużyłem na tę reprimendę — uśmiechnął się pułkownik. — Nie chciałem być nieuprzejmy, ale chyba byłem. A to kto?

— Mike Farrel, mój najlepszy przyjaciel — odparł Stephen.

— A więc, panowie, co będziemy pili? — zapytał gospodarz. — Żytniówkę, szkocką, bourbona, porto, sherry?

— Bourbona — powiedział Stephen.

— Niech będzie. Josias! — huknął pułkownik basem. Sącząc trunek, popatrywał spod krzaczasych brwi na André.

— Pan jest człowiekiem zamożnym, czy tak? — spytał znieca.

— Plantacja mojego ojca należy do największych w stanie — odparł młodzieniec sztywno.

— I nie myślę się sądząc, że stara się pan o względy mojej córki i przybył tu po to, by uzyskać moją zgodę na widywanie jej?

— Tak, panie.

— Jest pan przyjacielem Stephena — powiedział starzec bardziej do siebie niż do André. — To dla mnie wiele znaczy. Trzeba panu wiedzieć, że Stephen był pierwszym uczciwym graczem, jakiego spotkałem na rzece. Sądziłem, że wygrałem z nim przez* czysty przypadek, bo te rzeczne wydrwigrosze rozdają karty od spodu talii i zawsze skądś wytrzasną dodatkową parę asów. Ale nie Stephen — grał ze mną uczciwie i przegrał. Ze mną nigdy by nie wygrał, ale z każdym innym dałby sobie chyba radę.

Odwrócił się raptownie do Stephena.

— No, chłopcze, co ty na to powiesz? Pozwolimy mu odwiedzać Melię? Prawdę rzekłszy, to ciebie widziałem jako przyszłego zięcia.

— Może niech Amelia sama zdecyduje? — powiedział Stephen gładko. — W końcu to ona będzie miała męża na karku.

— Racja — zgodził się pułkownik. — Oho, o wilku mowa.

Amelia właśnie schodziła na dół. André zerwał się z miejsca i stał jak skamieniały, patrząc na nią z natężeniem.

— André! — szepnęła panna i Stephen pomyślał, że jego nikt nie witał z taką radością. — Ojczy... André... widzę, żeście się poznali — mówiła nieskładnie.

— Zdaje się, że sprawa toczy się już bez naszego udziału — powiedział Stephen do pułkownika teatralnym szeptem. — Co by pan powiedział na partyjkę oczka? W bawialni, rozumie się, bo tu zatonełibyśmy w westchnieniach.

— Niech będzie — zagrzmiał pułkownik. — Melia...

— Tak, ojczy?

— Czy mam się zgodzić, by ten młody człowiek składał ci wizyty? Dobrze się zastanów, nim odpo...

— Tak, ojczy! Zgódź się, proszę cię!

— Dobrze więc. Panie Le Blanc, niech pan powie swojemu ojcu, że złożę mu wizytę w następny piątek po południu. Chodź, Stephenie, i pan też, panie Farrel. Proponowałeś pokera, chłopcze?

— Nic podobnego! — zawołał Stephen ze śmiechem. — Nie zagram z panem w pokera, dopóki jestem przy zdrowych zmysłach. — Złożył komiczny ukłon przed Andre i Amelią. — Błogosławię was, moje dziatki — powiedział cicho i poszedł za pułkownikiem i Mike'em.

— Wiesz, Mike — zwrócił się do szypra, kiedy we trzech kłusowali w stronę Harrow — chyba zatrzymam tego twojego Josha. Ledwo się w nim dusza kołaczy. Dam ci w zamian innego, a Caleen zajmie się tym mizerakiem.

— Dobra — uśmiechnął się Mike, mrugając porozumiewawczo do André — a pozwolisz mi wybrać?

— Oczywiście.

— W takim razie biorę tę dziewczuchę!

— Co to to nie — zaśmiał się Stephen. — Muszę stanowczo odmówić. W twoich włościach byłaby ci tylko kulą u nogi. Dam ci służącego — wybór należy do ciebie, wyłączając tylko Achille'a i Georgesa.

— Nie chcę twoich Murzynów — odparł Mike. — Więcej z nimi kłopotu niż pożytku. Wystarczy, jeśli będę miał u ciebie łóżko i wikt, tak jak obiecałeś staremu Mike'owi.

— Nie zapomniałem obietnicy — odparł Stephen. André uniósł się lekko w strzemiączkach i ściągnął wodze.

— Skręcam tutaj — oznajmił.

— A dokąd to?

— Na naszą plantację — na drugą z trzech katuszy.

— Trzech? Dwie to rozumiem. Wizytę u pułkownika Rogersa masz już z głowy. Druga to rozmowa z ojcem. Ale trzecia?

— W niedzielę pojedę do Aurore — odparł André z bladym uśmiechem. — Przysięgałem trwać do śmierci w bezzennym stanie, ponieważ odmówiła mi ręki. Teraz muszę odwołać moje słowa.

Stephen zaśmiał się na cały głos.

— No tak, trochę się pospieszyłeś. Ale poczekaj na mnie, zabiorę się z tobą — we dwóch zawsze raźniej.

— Świetnie. Au revoir, panowie.

— Wspaniały chłopak — stwierdził Mike, gdy André odjechał. — Czasem nawet zapominam, że to Francuz.

Stephen zastał we dworze idealny porządek. Na stoliku w hallu już czekało kilka wizytówek, bilecik od Cloutierów zapraszał go na obiad do Rosemont, a w trzech innych domach oczekiwano go na soirée.

Nie ma rady, muszę przyjąć któreś z tych zaproszeń, myślał markotnie. Zanim sprowadzi Odalie do Harrow, nie może zerwać kontaktów z eleganckim światem. A pewnie i wtedy trzeba będzie od czasu do czasu bywać i zapraszać do siebie. Trudno oczekiwać, by Odalie, wielka dama, zgodziła się wieść żywot pustelnicy.

Poszedł na górę do swoich apartamentów, gdzie rozebrał się i wykąpał z pomocą Georgesa. Następnie w wielkiej jadalni spożył samotnie posiłek — czarną kawę i parę kromek ciemnego chleba z pikantnym serem. Czuł się niewypowiedzianie samotny, jedząc w tej ogromnej sali, w której jedynym dźwiękiem były kroki lokaja. Za żadne skarby nie siądzie tu więcej do posiłku. Georges będzie przynosił mu jedzenie do północnego skrzydła. A teraz czas do cukrowni, na inspekcję.

Przywoławszy któregoś ze służących, kazał osiodłać świeżego konia — Prince Michael dość się dziś najeździł. Po drodze rozważał nowe projekty. Trzeba będzie usypać niebawem wały przeciwpowodziowe — woda zagraża nisko położonym polom nadrzecznym. No i swatanie Achille'a — być może La Belle Sauvage* nada się na jego żonę. Achille, ten czarny, niegłupi olbrzym, który potrafił bez nadzoru uporać się z najtrudniejszymi zadaniami, wprost kipiał siłą i młodością. Dobrze byłoby podtrzymać ten ród, jednak Achille nie okazywał zbytniego zainteresowania żadną z kobiet folwarcznych. Ciekawe, jakim człowiekiem był jego ojciec, dumał Stephen leniwie. Miał jakieś cudaczne imię. Jak zwała go ciotka Caleen? A tak — Big Inch**. Zawisł przed kościołem parafialnym w Nowym Orleanie. Jednak w Achille nie znalazłbyś cienia buntu. Caleen dobrze go wychowała.

* La Belle Sauvage (franc.) — piękna dzikuska

** Big Inch (ang.) — Duży Cal

Z wysokiego komina cukrowni bił dym. Niewolnicy uwijali się jak w ukropie, przelewając syrop z kadzi do kadzi osadzonymi na żerdziach wiadrami. Czarne puculowate twarze lśniły od potu. Niewolnicy z cukrowni są zawsze otyli, pomyślał Stephen. Musi to mieć związek z rodzajem wykonywanej pracy. Nie jedzą bynajmniej więcej niż inni. Może wchłaniają opary cukru przez skórę.

Podszedł Achille'a, jego białozębny uśmiech był szczególnie olśniewający w błyszczącej od potu czarnej twarzy.

— Jak dziś idzie robota, Achille?

— Bardzo dobrze — odparł niewolnik po angielsku, zmagając się z tą trudną mową od czasu gdy zorientował się, że jego pan woli posługiwać się właśnie angielskim. — Zrobiliśmy dużo cukru!

— Mam dla ciebie zadanie na jutro. Pojedziesz do dzielnicy St. Marie na targ niewolników — wiesz, gdzie to jest?

— Tak, panie.

— Jedź wozem — przywieziesz dwoje czarnych, których tam kupiłem. Weź ze sobą Rogeta, Henri i Gros Toma — jestem pewien, że bez

pomocników nie dasz rady tej dziewczynie. Aha, przyjrzyj się jej dobrze. Jeśli ci się spodoba, zostanie twoją żoną.

— Dobrze, panie — odparł Achille z powątpiewaniem.

— Zdaje się, że nie przepadasz za kobietami? Osobiście nie mam ci tego za złe.

— Baby za dużo gadają — uśmiechnął się niewolnik. — Nic tylko by trajkotały.

— To prawda — roześmiał się Stephen. — No, pilnuj ludzi. Muszę jechać na południowy folwark. Popatrzę jak idzie końcówka zbiorów.

Mike drzemał we dworze, na wielkim łożu z baldachimem. Suzette chodziła na paluszkach po pokoju, skrzętnie odkurzając meble. Mike uniósł się na łokciu.

— Podejdz no tu, dziewczyno — powiedział półgłosem. Z żółtawej twarzy spojrzały bojaźliwie ciemne oczy.

— Powiedziałem, żebyś tu przyszła — powtórzył Mike tym samym tonem.

Suzette postąpiła nieśmiało jeden krok, potem drugi i zatrzymała się w bezpiecznej odległości od łożka.

— Monsieur życzy sobie czegoś?

— Życzę — potwierdził Mike. — Bystra jesteś. Jeszcze bliżej, powiem ci to na uszko.

Koralowe usta Suzette stuliły się w zaciekawiony dziobek. Podeszła tuż—tuż do leżącego olbrzyma, który uśmiechał się mile. Nagle jego potężne ramię wystrzeliło w stronę dziewczyny z siłą i szybkością rozjuszonego niedźwiedzia grizzly.

Zanim Mike zakrył jej usta włochatą prawicą, Suzette zdążyła wydać przeraźliwy krzyk. Broniła się instynktownie, kopiąc obunóż, rozorała czoło Mike'a długimi ostrymi paznokciami, zahaczając o jego jedyne zdrowe oko. Rycząc z bólu, Mike natychmiast uwolnił dziewczynę, która wypadła na oślep z pokoju i biegła po schodach jak łania, którą ściga jelen. Dopadłszy do spiżarni, rzuciła się do Caleen jak do zbawczy ni, dusząc się od szlochu i szybkiego biegu.

— Ciotko Caleen! — zawołała z płaczem. — Ten Wielgus... on... och, ciotko Caleen!

— Cicho, dziecko — szeptała stara niewolnica. — Taki już nasz los. Nic nie poradzisz. Najpierw twoja matka, teraz ty... a potem może twoje dziecko.

Suzette wyprostowała się sztywno, łkania urwały się jak ręką odjął.

— Nie — powiedziała — tak nie będzie.

Caleen, nie odrywając od Suzette zadumanych oczu, mówiła bardziej do siebie niż do niej.

— Już od dawna nikt tak nie mówił. Od czasu, gdy żył Inch, mój mąż. Czekałam, że może przyjdzie ktoś taki jak on. Może Achille. Ale on urósł potulny jak baranek. Wreszcie się doczekałam i patrzcie, co to za buntownik: mała, żółta dziewczynina! — prychnęła lekceważąco. Po chwili wzrok jej złagodniał. — Dobrze, Suzette — powiedziała spokojnie — on już cię nie tknie. Moja w tym głowa.

W niedzielę Stephen ubrał się z większą niż zwykle starannością. Georges wyjmował z szafy: ciemnozielony żakiet, którego jeszcze Stephen nie miał na sobie, kamizelkę i halsztuk w stonowanych odcieniach czerwieni, nankinowe spodnie, brązowe, wyczyszczone do połysku pantofle, wydając przy każdej sztuce odzieży pełne podziwu okrzyki.

Zgolił ognisty zarost ze szczupłych policzków pana, nie naruszając bujnych bokobrodów i przygotował kąpiel. Do wielkiej dębowej wanny z gorącą wodą dolał jakiegoś naparzu, sporządzonego przez Caleen, który pachniał lasem sosnowym i jesiennym ogniskiem z suchych liści i stanawszy z boku z wielkim puchatym ręcznikiem czekał aż Stephen się wykąpie. Po kąpieli pomógł mu się ubrać.

— Jak ta pani dziś pana zobaczy — mówił z zachwytem — zaraz siądzie z tyłu na Prince Michaela i przyjedzie z panem do Harrow!

— Optymista z ciebie — odparł Stephen sucho, biorąc z jego rąk cylinder, kapelusz i szpicrutę.

Na dole czekał Achille z Prince Michaelem. Starannie wyczyszczona sierść wielkiego ogiera lśniła jak atlas, na widok swego pana zarżał cicho.

— Nie gorączkuj się, malutki — powiedział Stephen wskakując na nowiutkie angielskie siodło.

— Dobrze się sprawiłeś, Achille — rzekł z uśmiechem.

— A jak ci się spodobała ta nowa dziewczyna?

— Dzika jak diablica! Ale ja ją utemperuję, bo warta tego.

— Więc przypadła ci do gustu? Doskonale, bo już myślałem, że tobie równie trudno dogodzić jak Caleen. Miej tu na wszystko oko pod moją nieobecność. W razie jakichkolwiek nieporządków zawiadom pana Wilsona.

Przytknąwszy szpicrutę do ronda kapelusza, odjechał miarowym kłusem, Prince Michael mógł iść tym chodem przez wiele mil, wcale się nie męcząc.

André czekał "na rozwidleniu dróg, z których jedna prowadziła na plantację jego ojca. Twarz młodzieńca była posępna, oczy miał podkrążone.

Stephen gwizdnał.

— A to ci dopiero! — zawołał ze śmiechem. — Widzę, że pracowałeś!

— Tak, i dobrze na tym wyszedłem — odparł André. — Kochany papa bardzo jest ze mnie kontent. Ale gdy pomyślę, co mnie dziś czeka...

— Nie matrw się — pocieszał Stephen. — Przekonasz się, że Aurore okaże ci dużo zrozumienia. Taka już jest. Ale powiedz, jak udała się wizyta pułkownika Rogersa.

— To było coś niesłychanego! Papa oprowadzał go po całym majątku, ustawicznie biadając nad nieprzyjaźnią, dzielącą Kreolów i Amerykanów. I po raz pierwszy, jak sięgnę pamięcią, nie używał słowa „świnie" mówiąc o Amerykanach. Następnie kazał Sarze przygotować wystawny obiad, a wiesz jaki z ojczulka liczykrupa. Potem grali w oczko i papa wygrał. Mocno podejrzewam, że pułkownik umyślnie przegrał, bo z papy żaden gracz. Rozstali się jak starzy przyjaciele.

— Więc Amelia przypadła twemu ojcu do serca?

— Do tego stopnia, że rywalizuje ze mną o jej względy! Wczoraj wieczorem wpadłem do niej na minutkę. Papa uparł się, by mi towarzyszyć. Mówił, że chce zobaczyć, jak wygląda jego przyszła synowa. No i kiedy ją zobaczył...

— Padł przed nią na kolana?

— Właśnie? A skąd wiesz?

— Wszyscy mężczyźni tak się zachowują na jej widok. Nie zapominaj, że znałem ją przed tobą.

Chłopięca, wyrazista twarz André sposepniała.

— Byliśmy zwykłymi znajomymi, dzieciaku. Zresztą blondynki nie są w moim typie.

— To chyba dlatego. Złociste włosy to u nas rzadkość — no i Amelia jest prześliczna. Papa ją pocałował — stary szelma! — a ja nie dostałem jeszcze tego zaszczytu.

Stephen aż się zakiwał w siodle ze śmiechu. André wreszcie się rozchmurzył.

— Tu skręcamy — powiedział. — Jeszcze nie byłeś w Bellefont, prawda?

— Nie, Arceneaux widywałem tylko w ich miejskim domu, w Orleanie.

— Bellefont to piękna posiadłość. Obszarem dorównuje Harrow, ale dwór nie jest w połowie tak świetny. Odaliej z pewnością gryzie się po cichu, że wciąż zwlekas z odwiedzinami.

— Nadrobię tę zwłokę zapałem. Daleko jeszcze?

— Nie więcej niż dwie mile, cierpliwości.

Ostatni odcinek drogi przebyli w milczeniu. Dwie mile na doskonałych wierzchowcach minęły jak z bicza strzelił i oto wjeżdżali w wielkie żelazne wrota.

Na ich widok Murzyniątka podniosły wielki rwetes.

— Monsieur André! Przyjechał monsieur André! — wołały biegnąc w stronę dworu. — Monsieur André i jakiś obcy pan! Na żółtobiałym koniu, a włosy ma jak ogień! Ja pierwszy go zobaczyłem!

U podnóża schodów czekał stary koniuszy, skłonił się zamaszycie wystrzępionym kapeluszem.

— Witam wielmożnych panów — mówił uradowany.

— Zaraz odprowadzę koniki do stajni.

We dworze inny stary służący wziął od przyjezdnych kapelusze, peleryny i rękawiczki.

— Panienki zaraz zejść — oświadczył.

Dwaj młodzi mężczyźni czekali w całkowitym niemal milczeniu. Po chwili w kręconych schodów dobiegł szelest jedwabi i do hallu zeszła Aurore.

— André! — zawołała. — I monsieur Fox — jak to miło! — Opalona twarz André pokryła się szkarłatnym rumieńcem, Stephen schylił się nad rączką panny z niewymuszonym wdziękiem nauczyciela tańca.

— A myślałam, że pan się na mnie pogniewał, André — droczyła się Aurore, prowadząc obydwu na górę.

— Zdawało mi się, że odgrażał się pan, że jego noga nie postanie więcej w tym domu.

— Ja... mam swoje powody, Aurore.

— Och, jaki tajemniczy! Konam z ciekawości!

André zaczerpnął powietrza pełną pierśią i spojrzał jej prosto w oczy.

— Chciałbym, by zwolniła mnie pani z kawalerskich ślubów! — wypalił.

Przyjrawszy mu się, Aurore aż się zatrzęsła ze śmiechu.

— Ależ naturalnie, mój ty biedaku! Mademoiselle Rogers jest prześliczna. Będziecie z pewnością bardzo szczęśliwi.

— Więc pani wiedziała?

— Owszem. I nie tylko ja — zauważyli to wszyscy, którzy byli wtedy w Harrow. Jeszcze nigdy nie widziałam, by mężczyzna do tego stopnia stracił głowę!

— Czy tylko dlatego, że... Aurore, czy na pewno nie chce pani zmienić swojego postanowienia?

— Nigdy, André — powiedziała ze spokojnym zdecydowaniem. — Ale założmy, że się rozmyślę — ciągnęła z figlarną nutką w głosie. — Cóż by

pan wtedy począł, panie Romeo? — André był tak zmieszany, że Aurore i Stephen musieli się roześmiać.

— Bez obawy — powiedziała przyjaźnie, uśmiechając się ze współczuciem. — Na pewno się nie rozmyślę. Gratuluję panu, przyjacielu, i życzę wam obojgu szczęścia.

Stephen poruszył się niecierpliwie.

— Odalie przyjdzie niebawem — szepnęła Aurore.

— Przez cały tydzień chodziła skwaszona, bo pan się nie pokazywał. Tylko proszę jej tego nie powtarzać! Chodźmy, André, zostawmy ich. Zresztą chcę się nacieszyć pańskim towarzystwem, bo to pewnie już ostatni raz.

Stephen wyjął z kieszeni złoty zegarek nakręcany kluczykiem, nie zdążył jednak otworzyć koperty, gdy do pokoju weszła Odalie. Stephen wstał i poszedł jej naprzeciw. Gdy na nią patrzył, w głębi jej oczu zatańczyły płomyki.

— Witam pana — odezwała się Odalie. — Już zaczynało mi się wydawać, że zapomniał pan o obiecanej wizycie.

Stephen uśmiechnął się, lewa brew przysunęła się kpiącym łukiem w stronę szramy.

— Czy to by panią obeszło?

Ciemnie źrenice rozszerzyły się, liliwobiałe policzki poróżowiły.

— Tak — powiedziała niespodziewanie stanowczym tonem. — Czy zechce pan usiąść? Niewygodnie jest rozmawiać na stojąco.

Stephen rozsiadł się w głębokim fotelu naprzeciw Odalie.

— Zmieniła się pani — stwierdził.

— Nie, to pan się zmienił. Ja jestem taka jak zawsze.

— Taka jak wtedy, kiedy nienawidziła mnie pani jako szubrawca i nieledwie gwałciciela?

— Nigdy pana nie nienawidziłam.

— Czy możemy przejść na ty? To już nie ten etap, jak pani sądzi?

Odalie przyglądała mu się przez długą chwilę. Potem cichutko, prawie szeptem powiedziała:

— Nigdy nie czułam do ciebie nienawiści, Stephenie.

— Cieszę się. Nigdy nie przejmowałam się zbyt zbytnio zdaniem innych, ale twoje to co innego. Nieraz nie zmrużyłem przez ciebie oka!

Odalie uśmiechnęła się jakby z ociąganiem. Patrząc na jej pełne, soczyste czerwone wargi Stephen pojął nagle, że wszystkie dni harówki w skwarnym słońcu, wszystkie nieprzespane noce, gdy snuł projekty na

przyszłość, że wszystkie nieznośne rozterki, nawet ustokrotnione, są niczym, jeśli zdobędzie tę kobietę.

— Wiesz, Stephenie, to mi sprawia przyjemność — odparła wciąż się uśmiechając. — Przyjemnie jest wiedzieć, że stanowią dla ciebie większą wartość... niż powiedzmy koń.

— Mój Boże! — wybuchnął — więc tak o mnie myślałaś?

— Tak. Wyglądałaś mi na zawadiakę, który z niczym i nikim się nie liczy. Nie byłam przyzwyczajona, by taksowano mnie wzrokiem jak niewolnicę. Wciąż ze wszystkiego podrwiwałaś. A ja łamałam sobie głowę: za kogo on się ma, że waży się traktować mnie w ten sposób?

— Przecież wielu, bardzo wielu mężczyzn odnosiło się do ciebie z bałwochwalczym uwielbieniem, jednak nie chciałaś poślubić żadnego z nich.

— Jeszcze cię nie poślubiłam, Stephenie!

— Fakt, jeszcze nie. Ale wyjdiesz za mnie, oboje o tym wiemy, prawda?

— Co za bezczelność! Jeśli sobie wyobrażasz, że w razie, gdybyś mi się oświadczył, ja...

— Chwileczkę, Odalie, nie psuj wszystkiego tylko dlatego, że rozgniewała cię moja śmiałość. Taki już jestem i nic na to nie poradzę. Zbyt wiele nas łączy, by...

— A cóż nas łączy, mój panie?

— Stephenie.

— Zgoda — Stephenie. — W moim odczuciu między nami nic nie było, i nie ma.

Stephen milczał, twarz miał nieruchomą, tylko oczy poruszały się szybkimi, ostrymi ruchami jak rylec rytownika, na zawsze utrwalając w jego mózgu obraz Odalie takiej, jaką była w tej chwili.

— Jest Harrow — powiedział wreszcie niskim, głębokim głosem.

— Słucham?

— Zawsze marzyłem o Harrow — wielkim, białym dworze, który będzie moim domem. Ale to marzenie urzeczywistniło się tylko dzięki tobie. Kiedy po raz pierwszy ujrzałem cię na placu Broni — tego dnia, gdy przyjechał Lafayette — to marzenie stało się czymś więcej, przerodziło się w nagłą potrzebę... w opętanie. I po raz pierwszy było ono krokiem do jakiegoś celu, a nie celem samym w sobie. Celem byłaś ty, Odalie. Harrow utraciło swą ważność... ważna stała się pani Harrow.

— Więc... wybudowałaś Harrow... dla mnie?

— Tak. Nie brałbym się za to, gdyby nie ty. Dom owszem, nawet pałac. Ale nie Harrow takie jakie jest dziś — czeka pod dębami, czeka na ciebie, bo każdy jego kamień kładziono z myślą o tobie. Ożyje dopiero wtedy, gdy ty w nim zamieszkaż. Bez ciebie to pusta skorupa.

— Nie wiem... wprost nie wiem, co powiedzieć...

— Na razie nic. Będę cierpliwy. Zniosę wszystkie uciążliwości przewlekłych konkurów. A potem musi być tak, jak powiedziałem. Nie ma innego wyjścia, Odalie.

— Wstał, wstała i ona, nie odrywając od twarzy Stephena pociemniałych oczu. Położyła rękę na jego ramieniu — drżała tak silnie, że wyczuł to drżenie przez sukno żakietu.

— Chyba jeszcze żadnej kobiecie nie okazano tylu względów — powiedziała.

W oczach Stephena znów zatańczył drwiący diablík.

— Czemu więc drżysz?

— Bo się boję. Nigdy dotąd nie czułam lęku. Lekko odprawiałam innych mężczyzn, ale z tobą tak nie potrafię. Jesteś taki bezpośredni, taki przerażająco prostoliniorny, a przy tym niesłychanie skomplikowany...

— Jednak nie musisz się mnie obawiać.

— Stephenie, ja tak przywykłam żyć po swojemu, na własny rachunek, że stało się to czymś w rodzaju obsesji

— ciągnęła, unikając jego wzroku, patrzyła jakby w głąb własnej duszy.

— Byłam taka chłodna, oschła, pełna rezerwy. To mi odpowiadało — to mnie wyróżniało spośród innych. Wydaje mi się teraz, że ten chłód skłaniał mężczyzn do jeszcze bardziej gorączkowych zabiegów. Nigdy nie lubiłam, by mnie dotykano, całowano, nawet ojcu i siostrze nie wolno się do mnie zbliżyć — bliski kontakt jest dla mnie odstręczający. A przecież w pożyciu małżeńskim... z mężczyzną takim jak ty... — nagle w jej oczach błysnął przestach. — Mafoi Co ja wygaduję!

Wyraz twarzy Stephena nie zmienił się.

— Będę cierpliwy, zobaczysz — powiedział ściszym głosem. — I bardzo delikatny.

Ucałował jej dłoń i wyszedł wielkimi krokami. Odalie wciąż stała w miejscu, oblana ciemnym rumieńcem, gdy do salonu weszła Aurorę.

— Co ci jest? — zdziwiła się młodsza siostra.

— Mówiłam takie straszne rzeczy... Żadna dama nie zdobyłaby się na coś podobnego! Och, Aurorę!

Aurorę objęła delikatnie kibić siostry.

— Nie gryź się tym, kochana. On najwyraźniej wcale się tym nie przejął. Będziesz panią na Harrow, a to się liczy.

— Pani na Harrow — powtórzyła Odalie i w jej głosie zadźwięczał jakby ton triumfu.

RS

ROZDZIAŁ 10

Stephen zamknął księgę rachunkową znużonym gestem. Było już dobrze po północy, nowy rok rozpoczął się wichrem i deszczem. Jutro wyprawi się do Nowego Orleanu i objedzie co znaczniejsze domy, zostawiając upominki dla bliższych znajomych. Dlaczego, dumął leniwie, tutaj daje się prezenty na Nowy Rok, a nie w Boże Narodzenie, jak we wszystkich innych stanach Ameryki? To kwestia religii, rozstrzygnął. Żarliwie katolicka, południowa część Luizjany, zamieszkała głównie przez Francuzów uznała, że podobne rozrywki nie licują z powagą świętego dnia Bożego Narodzenia i przeniosła ten zwyczaj na pierwszy dzień roku.

Odwiedzi André, by uczcić jego tygodniowe szczęście małżeńskie czarką pienistego eggnoga. Jakie to dziwne — André, ten szalawiła, pędziwiatr, ożenił się i ciężko pracuje, by zapewnić sobie i żonie godziwe miejsce w życiu. Stary Le Blanc wprost pęka z dumy i już teraz rozprawia o przyszłym wnuku, wprawiając Amelię w niemałe zakłopotanie. Stephen przypomniał sobie twarze obojga młodych podczas ceremonii ślubnej. Nie zdarzyło mu się dotąd widzieć takiej niezmierniej tkliwości — niemalże czci — na twarzy mężczyzny, Amelia, przyjmując pocałunek świeżo poślubionego małżonka była cudownie piękna. Po tym wydarzeniu samotnicze życie w Harrow wydało się Stephenowi prawie nieznośne, służący, bezszelestnie jak duchy przemierzający ogromne pokoje, starali się zachowywać jeszcze ciszej, by nie wywoływać coraz gwałtowniejszych wybuchów pańskiego rozdrażnienia.

Odale musi wreszcie dać odpowiedź. Jeszcze dziś wyznaczy dzień ślubu. Dość już mitręgi! Odalie kocha go — otwarcie się do tego przyznawała, lecz zaraz dodawała: „Muszę mieć więcej czasu, Stephenie, muszę się żyć z tą myślą”. Pozwalała się całować — a raczej musnąć przelotnie wargami — za każdym razem odgradzając się od Stephena ramionami. Stephen był bliski szaleństwa, nawet zamknięta w jego objęciach umykała mu niczym piskorz, jak zawsze chłodna, piękna i nieosiągalna.

— Na wszystkie owoce Tantala — zawołał wstając. — Dziś się to skończy!

Wyjrzał przez okno na rozległą okolicę. Z lewej strony, hen daleko płonęło ognisko na przekór nieustającej słońce. Pewnie Caleen warzy swoje napary z ziół i korzeni.

Schodząc na dół z mansardy, gdzie urządził sobie gabinet, rozmyślał o ludziach z bliższego i dalszego otoczenia. Jak radzi sobie Achille z La Belle

Sauvage? Zaloty czarnego olbrzyma były dotąd równie bezowocne jak jego własne. Złagodniała odrobinę w rękach starej, mądrej Caleen, ale to wciąż dzika bestia, piękna i niebezpieczna jak czarna pantera. A gdzie, do czarta, podziewa się Tom Warren? Nie pokazał się w Harrow od półtora roku. Podobno dorobił się w Orleanie ogromnego majątku, zaangażował się w kilka przedsięwzięć, z których parę było mocno podejrzanym. Josh, słabowity, na wpół obłąkany Murzyn, którego nabył dla Mike'a, okazał się bardzo korzystnym zakupem. Jest doskonałym rybakim, a talentem ogrodniczym ustępuje tylko Jupiterowi, a jednak wciąż bełkocze o „wielkim pożarze w dole rzeki i Radzie — nieboraku, którego wykończyli”. Trudno połapać się w tej paplaninie, ale przecież istnieje jakaś przyczyna niewygasłej trwogi tego nieszczęśnika.

A Mike? Potężny szyper miesiąc po miesiącu przedłuża pobyt w Harrow, coraz bardziej rozdrażniony i kłótlivy. Okresy, kiedy nie pije na umór, są coraz rzadsze i krótsze. Stephen miał powody niepokoić się o jego poczytalność. Przynajmniej parę razy na tydzień Mike zaczynał ryczeć jak dziki zwierz, ścigany przez pijackie zwidy, miotał się przerażony po mieszkaniu. Przynajmniej, że to Caleen zsyła nań te posępne omamy, które trudno odróżnić od rzeczywistości.

Schodząc teraz ze schodów, Stephen natknął się na Mike'a, który wychodził od siebie, z małym tobołkiem na plecach. Wybałuszywszy swe jedyne widzące oko, dyszał spazmatycznie jak chore zwierzę.

— Gdzie się, do diaska, wybierasz? — zawołał Stephen.

— Wynoszę się stąd! — ryknął Mike. — Jak najdalej od tego przeklętego domu, jaskini czarownic! Nie zostanę już nawet na jedną noc! Nigdy!

— Uspokój się, Mike. „Nigdy” to kawał czasu. Co cię znowu ugryzło?

— Ta stara wiedźma! Widziałeś ognisko w zagajniku?

— Tak, ale co to ma...

— To Caleen je rozpałała! Poszedłem za nią po cichu. Wiesz, co robiła? Ulepiła figurkę z gliny — wypisz wymaluj jak ja! Moja matka od razu by mnie poznała — wtykała szpilki w tą figurkę i mamrotała przekleństwa!

Stephen roześmiał się.

— I dlatego zmykasz stąd, chociaż pada i ciemno, choć oko wykol? Nie róbże z siebie idioty, Mike!

— Idioty, powiadasz? Mam zostać zaślinionym czubkiem z głową jak makówka? Żeby mi odcięła głowę i wrzuciła w ogień? Przecież ci mówiłem, że ona napędma na mnie te sny!

— Ależ jaki cel ma ciotka Caleen, by ci szkodzić?

— Bo nienawidzi wszystkich białych, nawet ciebie... i chodzi jeszcze o tę twoją żółtą dziewczuchę...

— Suzette?

— Tak. Parę razy namawiałem ją, żeby ze mną zleżała — człowiekowi należy się trochę rozrywki, no nie?, a i jej wyszłoby to na zdrowie. Ale zaraz poleciała z ozorem do Caleen, i ta stara jęcza, żeby ją niby obronić przede mną, zaczęła te swoje czary—mary i gliniane kukły!

— I uciekasz... od tych czarów—marów?

— Tak, niech mnie piorun trzaśnie! Już mnie tu nie ma! Nie pozwolę, żeby mi pomieszała w głowie, kiedy śpię!

— Położę temu kres, Mike — powiedział. — Porozmawiam z Caleen i skończą się te historie z voodoo. Obiecałem, że Harrow będzie ci drugim domem i dotrzymam słowa. Zresztą za jakiś czas będę potrzebował twojej pomocy. Mam pewne plany.

— Niby jakie? — zahuczał Mike ponuro.

— Zostanę armatorem, uruchomię własną żeglugę parowcową, a ty zostaniesz kapitanem najszybszego statku. Oczywiście trzeba będzie na to kilku ładnych lat. Tonę w długach, spłacam należności za dom i wyposażenie, ale jak się wyplacę, chcę cię mieć pod ręką.

— I będziesz mnie miał, synku! Znam tę rzekę jak własne pięć palców! Na razie wyniosę się do Natchez, poczekam, aż stara o mnie zapomni. Ale będę tu co rusz zaglądał, możesz być pewien!

— Jak chcesz — odparł Stephen. — Ale nie zwlekaj z odwiedzinami. Przytrę Caleen rogow jeszcze tej nocy!

W parku dębowym, mimo osłony rozłożystych gałęzi deszcz zaczął prosto w twarz lodowatymi igłami. Owinąwszy się ściślej paltotem, chyląc głowę przed uderzeniami wiatru, Stephen zmierzał szybkim krokiem w stronę ogniska. Po dziesięciu minutach marszu przez gęste zarośla dotarł na niewielką polanę.

Pośrodku polany, przed ogniskiem, które zdawało się płonąć tym jaśniej, im deszcz był bardziej ulewny, siedziała Caleen. Powoli, z namaszczeniem odrywała cząstki glinianej kukielki i wrzucała je w ogień, z kukielki niewiele już pozostało. Caleen śpiewała jękliwie jakąś mroczną, jakby pogrzebową pieśń.

Stephen podszedł bezgłośnie bliżej i dostrzegł jeszcze jedną kukłę. Była ulepiona dość nieporadnie, lecz bez trudu rozpoznał w niej rysy La Belle Sauvage, pięknej czarnej dziewczyny, którą kupił dla Achille'a. Nie ulegało wątpliwości, że skończywszy „zamawiania”, skierowane przeciw Mike'owi Farrelowi, stara zajmie się z kolei dziewczyną.

— Caleen! — rzucił Stephen ostro.

— Mattre

— Co ty tu wyprawiasz? Chciałaś skrzywdzić Mike'a rzucając na niego uroki? A co chcesz zrobić dziewczynie?

Caleen podniosła nabiegłe krwią oczy, czaiło się w nich pradawne zło, lecz ani cienia lęku.

— Maître, biali nie mogą wiedzieć pewnych rzeczy — nie wyszłoby im to na zdrowie. Troszczę się o ciebie i o Harrow. Pilnuję, żeby nie stało ci się nic złego.

— Łżesz! — przerwał jej ostro. — Słuchaj no, co ty knujesz przeciw tej małej?

— Nic złego, panie. Chcę tylko, żeby pokochała mojego Achille'a. Zupełnie stracił dla niej głowę, nie mogę stać z opuszczonymi rękami.

Stephen podszedł do ogniska i zaczął je tratować, rozdeptując żarzące się głównie, które wciąż od nowa buchały płomieniem. Zdeptawszy resztkę żaru, zwrócił się znów do wiedzy:

— Nie kazałem dotąd wychłostać żadnego z moich ludzi — powiedział cedząc słowa — ale jeśli dalej będziesz się zajmować tymi gusłami, to klnę się na Boga, że dopilnuję, żeby ci odliczyli trzydzieści bizunów! Słyszysz, co do ciebie mówię?

W drodze powrotnej Stephen zdał sobie sprawę, że w tych nielicznych razach, kiedy — jak teraz — Caleen ukorzyła się przed nim, jej pokora miała pewien odcień służalczości, który mało co różnił się od drwiny. Wzruszywszy ramieniem, Stephen zajął się innymi myślami. Ze starą nikt sobie nie poradzi, nie warto zaprzętać sobie nią głowy.

W domu zrzucił z siebie przemokłą odzież i wskoczył do lodowatej pościeli. Mógłby oczywiście wezwać służącego, by mu ogrzał posłanie szkandela*, ale straciłby pół godziny snu, a pora i tak była późna.

* **szkandela** — płaskie naczynie mosiężne, wypełniane żarzącymi się węglami

Po pewnym czasie rozgrzał się, lecz sen długo nie nadchodził. Gdy wreszcie zasnął, zaczęły go dręczyć jakieś niespokojne, niedorzeczne urojenia. Rzucił się i jęczał. Senne widziadła snuły się w jego mózgu korowodem bez końca i zaraz zapadały w niepamięć. Pozostawało tylko uczucie zimna, zimna i jakiegoś niejasnego lęku. Jakby lodowate palce coraz mocniej zaciskały się na sercu Stephena, przejmując je mogilnym chłodem. Śpiący wydał krótki, zduszony krzyk, który go obudził. Przez otwarte okno wdzierła się do sypialni zimowa zawierucha, a Stephen skopał przez sen okrycie. Całe ciało pokrywała mu gęsia skórka.

Okrył się szczelnie kołdrą i zadzwonił na Georgesesa. Szczękając zębami, kazał sobie przynieść czarnej kawy i gorącego rumu z masłem. Georges wybiegł strwożony.

— Maitre zachorzał! — bełkotał do Caleen — W twarzy śmierć!

Starucha oderwała się od swoich zajęć i zdjęła z ognia garnuszki z czarną kawą, którą właśnie warzyła. Przyrządziła zaraz poncz rumowy z korzeniami i poszła na górę do sypialni pana.

— Nikt cię nie wołał, do czarta! — krzyknął Stephen szczękając zębami. — Czy w tym domu wszyscy poszaleli?

Nie mówiąc słowa, Caleen dołała do kawy hojną miarkę rumu i podała filiżankę Stephenowi.

— Niech pan to wypije — powiedziała spokojnie. Stephen wypił, patrząc na nią spode łba. Po chwili, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ustąpiło przenikliwe uczucie zimna, Stephen przestał dygotać. Caleen postawiła przy łóżku wagę z parującym ponczem.

— Wypij do dna, maitre, całkiem wydobrzejesz — powiedziała i wyszła z sypialni.

— Niesamowita baba — mruknął do siebie Stephen, do Georgesesa zaś krzyknął: — Ruszaj się, człowieku, przynoś ubranie!

Ubierając się, wypił cały poncz, napój rozgrzał go i przywrócił mu dobry nastrój. Senmara! Przepracował się i tyle. Plantacja trzciny cukrowej to nie zabawa. Rady Andre, starego Le Blanca a nawet słynnego de Boresa były wprost nieocenione, jednakże pewnych rzeczy można się nauczyć jedynie metodą prób i błędów. Że nie ustrzegł się tych ostatnich było jasne, kiedy się zajrzało do księgi rachunkowej. Oczywiście radził sobie jakoś a nawet osiągał pewne zyski, lecz niewielkie były to zyski, i chociaż ziemia była już wolna od długów, dom będzie obciążony jeszcze przez wiele lat. A sprawa Odalie przysparzała mu wiele strapień.

Po lekkim śniadaniu ruszył w drogę z Georgesem u boku. Murzyn objuczył swojego podjezdka torbami pełnymi prezentów. Najpierw zajrzą do Cloutierów. Madame Cloutier była Stephenowi wielce życzliwa, a przy tym miała znaczne wpływy w nowoorleańskim towarzystwie. Stephen doszedł do wniosku, że zanim dobieje z Odalie do małżeńskiej przystani, musi starać się o względy miejscowych matron, choć wcale mu się to nie uśmiechało.

Panny Arceneaux, osierocone przez matkę, która zapewniłaby im opiekę i nadzór przyzwoitki, były wydane na żer plotek, tym bardziej że stary Arceneaux wyznawał niezmiernie postępowe poglądy w sprawie osobistej swobody swoich córek. Nie od rzeczy więc będzie ugłaskać największe

plotkary, a nikt nie miał dłuższego i bardziej jadowitego języka niż madame Cloutier.

Stephen pierwszą noworoczną wizytę składał w starodawnym miejskim domu Cloutierów, by mógł tłumaczyć swój krótki tu pobyt mnogością czekających go jeszcze odwiedzin i jak najszybciej uciec od uciążliwego towarzystwa panien Cloutier, które — prowadzone ciężką ręką matki, wciąż próbowały rywalizować z Odalie o jego względy. Ostatecznie Stephen, o wiele później niż zamierzał, opuszczał salon, w którym na serwantkach w karafkach z rżniętego szkła wystawiono whisky i brandy, a kolorowe torebki z cukierkami wały się wszędzie dookoła. Miały to być upominki od wielbicieli, lecz Stephen bez trudu rozpoznał w nich toporną rękę samych Cloutierówien.

Jednak nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło. Mógł teraz wymówić się od wizyt w domach, do których iść nie miał najmniejszej ochoty, wysyłając tam Georgesa z podarkami opatrzonymi w wizytówkę. Odwiedzi tylko André a potem Odalie. Wyprawiwszy służącego, zawrócił w stronę domu Le Blanców. Drzwi otworzył Ti Demon, czarna twarz lśniła mu od uciech stołu, na które — jak ocenił Stephen — składały się znaczne ilości napojów wyskokowych.

— Monsieur Fuchs! — zameldował rozgłośnie Ti Demon. Właściwa wymowa nazwiska Stephena z trudem przychodziła Francuzom, a najwięcej kłopotu sprawiała kreolskim Murzynom. Większość z nich dla własnej wygody przełożyła to nazwisko na „Etienne Reynard” i trwała przy tej formie.

André już nadchodził z rozpostartymi ramionami, ogromnie uradowany.

— Widzę, że małżeństwo ci służy — zagadnął Stephen.

— To istny raj! — oświadczył André — a całe moje szczęście zawdzięczam tobie. Gdyby nie ty, nigdy bym jej nie spotkał — a to najśodsza, najpiękniejsza, najlepsza...

— André, kto przyszedł, najdroższy?

— Stephen — odrzyknął André. — Zejdź do nas, kochanie, przywitaj się. Ciekawiło go, czy już zaczęłaś ciskać we mnie garnkami.

— Oczywiście, że tak — mówiła Amelia schodząc na dół — chociaż nie zawsze trafiam. Ale z czasem nabiorę wprawy. — Podała Stephenowi smukłą białą dłoń. — Dziękuję ci, Stephen — powiedziała półgłosem.

— Za co? — spytał niby opryskliwym tonem.

— Za mojego André. Za szczęście mojego życia.

— Dziś nie przyjmuję podziękowań — powiedział ze śmiechem. — Poczekam, czy za pół roku, za rok wciąż będziesz mi wdzięczna. Wtedy mi dziękuj.

— Odczekaj lepiej dziesięć albo piętnaście lat — wtrącił André — a ja wciąż będę najszczęśliwszym ze śmiertelnych. Ale jak ci idzie z Odalie?

Stephen wzruszył wymownie ramionami.

— Mój ty biedaku — powiedziała Amelia. — Mam ochotę wybrać się do tej twojej Odalie i wygarnąć jej, co o niej myślę.

— Czy znajdzie się łyk eggnoga dla starca, utrudzonego daleką podróżą? — gładko wtrącił Stephen. — Kiedyś piekłaś wyborne puddingi ze śliwkami — smakowały mi jak Londyn.

— Ojciec przywiózł raz Stephena do naszego domu w Kentucky — wyjaśniła Amelia. — Zawsze miał słabość do dziwaków. Co nie znaczy, że ty też byłeś dziwakiem, Stephenie. Szczerze mówiąc uważałam, że jesteś cudowny. Pamiętam, że beznadziejnie się w tobie zadurzyłam, ale ty traktowałeś mnie jak dziecko.

— Bogu niech będą dzięki — powiedział André. — Wybacz naszą bezmyślność, stary druhu, proszę na pokoje.

Sącząc pienisty eggnog, zjadając gorący pudding Stephen doświadczał uczucia bardzo bliskiego bólowi. Widok takiego szczęścia sprawiał ból. Nie była to zazdrość, w każdym razie nie głucha zawiść, która najchętniej zniszczyłaby cudzą radość, była to raczej gorycz kontrastu. Stephen nacierpiał się, napracował, naszarpał i nie osiągnął niczego, zaś szczęściarzowi André przyniesiono radość i szczęście na srebrnej tacy. Odsunął talerz, odstawił kieliszek, wstał.

— Czas na mnie.

— Tak szybko? — spytali tamci chórem.

— Wstąpię jeszcze do Odalie. Liczę, że dziś...

— Życzę ci szczęścia — powiedział André, wyciągając doń rękę. — Zasłużyłeś na nie.

— Dziękuję — odparł Stephen bez wylewności. — Szczęśliwego Nowego Roku dla was obojga — obrócił się raptownie i poszedł do wyjścia.

Wszystkie okna miejskiej rezydencji Arceneaux jarzyły się blaskiem świec. Powierzywszy konia pieczy stajennego, wyjął z kieszeni małą paczuszkę. Ledwie zapukał, drzwi otworzyły się na oścież. Sędziwy majordomus, kłaniając się w pas, wziął od Stephena okrycie i poprowadził go do salonu, gdzie siedziała Odalie, otoczona wianuszkami młodych Kreolów, oraz Aurore, w podobnej asyście. Szeroka blizna na skroni Stephena poczerwieniała gniewnie. Co za pech! Nie przyszło mu do głowy,

że nie będzie miał Odalie wyłącznie dla siebie. Niech lichy porwie tych wypomadowanych fircyków! Lecz oto Odalie oderwała się od grupki wielbieli i zmierzała ku niemu, wyraźnie uradowana jego widokiem.

— Stephen! Myślałam, że już nie przyjdiesz!

— Widzę, że czułaś się bardzo osamotniona — rzucił zgryźliwie.

— Chodzi ci o tych chłopców? To tylko starzy znajomi, Stephenie. Nie masz się o co boczyć.

— Ani mi to w głowie — odparł. — Po prostu bardzo chciałem pomówić z tobą na osobności. No cóż... może innym razem.

— Och nie, pójdziemy do małego saloniku. Odbyłeś tak daleką drogę a ja... lubię rozmawiać z tobą sam na sam.

— To brzmi zachęcająco, a już myślałem, że mój widok jest ci przykry.

Odalie, wykrzywiwszy się pocieszenie, wzięła go za rękę i zaprowadziła do reszty towarzystwa. Wszyscy młodzieńcy wstali. Stephen znał ich wszystkich — prócz jednego: młodego zucha o niepospolicie urodziwej twarzy, od którego bił animusz i buta.

— Panowie pozwolą, że opuszczę ich na chwilę — powiedziała Odalie.

— Mam do pomówienia z monsieur Foxem.

— I tak zbieraliśmy się do wyjścia — odpowiedział jej uprzejmy chór.

— Zresztą, czy mamy choć cień szansy przy groźnym i wspaniałym monsieur Foksie?

— Panowie mi pochlebiają — błaznował Stephen, składając przesadnie głęboki ukłon. Tamci odpowiedzieli z rzadko spotykanym humorem i ruszyli ławą do przedpokoju po okrycia.

Tylko ów nieznamomy zwlekał przez chwilę z odejściem. Podeszedł śmiało do Stephena.

— Zechce mi pan wybaczyć śmiałość — powiedział grzecznie — ale od czasu powrotu tyle się o panu nasłuchałem, że zapragnąłem go poznać. Nazywam się Cloutier, Philippe Cloutier.

— Brat Henriette i Clothilde? Na mą duszę, nigdy bym was nie wziął za rodzeństwo!

— Czy to komplement? Stephen roześmiał się.

— Zdaje się, że popełnię gafę, cokolwiek odpowiem. Proszę mi wybaczyć, monsieur Cloutier, nie chciałem pana urazić. Po prostu pańska rodzina to jakby wzór wszelkich cnót obywatelskich, a pan sprawia wrażenie zawadiaki i przekory. To mi się zresztą podoba — taka postawa przystoi mężczyźnie.

Philippe Cloutier uśmiechnął się.

— Jestem czarną owcą, fakt — powiedział. — Dlatego tak przedłużyły się moje europejskie wojaże. Ufam, że jeszcze się spotkamy.

— Zapraszam pana na obiad do Harrow — odparł Stephen. — Dobrze znam Paryż. Chętnie wypytałbym pana o to i owo.

Philippe uklonił się nisko, pochylił krótko nad ręką Odalie i dołączył do wychodzących.

— Dobraliście się jak w korcu maku — powiedziała Odalie półgłosem — jeden nie lepszy od drugiego.

Poprowadziła Stephena do małego salonu, do kanapy w stylu Ludwika XIV, lecz nie chciał usiąść.

— Odalie, czy wiesz, o czym chcę mówić?

— Wiem, Stephenie.

— I co mi odpowiesz?

— Stephenie, ja... nie wiem... wszystko jest takie dziwne... Stał nieruchomo jak posąg, zaciskając szczęki, tylko w oczach tańczyły mu płomienie świec, a blizna nabiegła purpurą.

— Podejdź tu, Odalie.

— Ależ, Stephenie...

— Powiedziałem, żebyś podeszła. — Mówił bardzo cicho. Odalie podniosła się z sofy i stanęła przed Stephenem, a on lekko, niemal nie dotykając, objął ją w pół i zjrzał w twarz.

— Jesteś piękna — powiedział. — Taka piękność potrafi doprowadzić mężczyzn do rozpacz. Aleja pracowałem zbyt ciężko, czekałem zbyt długo. Więcej nie będę czekał. — Schylił się i zgrabnie, ze znanstwem, złożył usta na ustach Odalie. Natychmiast odgrodziła się ramionami, by jak zawsze, odpychać go lekko od siebie. Lecz Stephen obejmował ją coraz ściślej, gdyby mogła, krzyczałyby z bólu. Nie mogła jednak, gdyż nie odrywał ust od jej warg, tłumiąc jej protest, dławiąc oddech. Biła oburącz w jego pierś, lecz nie zważał na to, coraz mocniej wpierał żelazną dłoń w jej kibić, aż przez wszystkie warstwy odzieży wyczuł żar i miękkość jej ciała. Znienacka szamotanina ustała. Zaciśnięte wargi dziewczęce rozchyliły się miękko i słodki, młody oddech wyrwał się z jej piersi jak westchnienie. Stephen poczuł, że Odalie nie odchyła się już do tyłu, jej ramiona powędrowały do góry, by objąć miękko jego szyję. Miały w sobie gładkość i miękkość aksamitu, lecz ich dotyk parzył jak rożarzone głownie. Stephen wypuścił ją gwałtownie z objęć.

Zachwiała się lekko, zatoczyła do tyłu, w przepastnych oczach zabłyśły łzy.

— Stephenie — szepnęła — och, Stephenie...

— Kiedy? — zapytał surowo.

— Na wiosnę.

— Dwudziestego czwartego kwietnia — powiedział łagodnie. — W rocznicę dnia, kiedy po raz pierwszy cię ujrzałem.

— Dobrze... och, Stephenie...

Natychmiast podszedł do niej, wziął na powrót w ramiona. Jest zadziwiająco silny choć tak szczupły, myślała, jakby mnie opasały żelazne obręcze. Podała mu usta do pocałunku i nie myślała już o niczym.

RS

ROZDZIAŁ 11

Wieczorem 25 kwietnia 1829 roku sunął rzeką wiatr figlarz. Droczył się z rzeką, marszcząc jej spokojne lustro w drobne fale, obrzeżone księżycową obwódka. Wczepił się w gęstą wełnę obłoków baranków, rozczesywał ją cienko, by stojący na grobli ludzie mogli dojrzeć gwiazdy. Księżyc wciąż zawadzał o szczyty dębów, prosząc szczerym srebrem na wiodącą do Harrow aleję. Okna dworu jarzyły się tysiącem świec.

Na grobli, na galeriach i na belwederze stali na czatach Murzyni, wypatrując nowej karety z klonowego drewna, miała nadszednąć dębową aleją od strony nadrzecznej traktu i przywieźć do Harrow Stephena Foxa i jego świeżo zaślubioną małżonkę. Achille i Georges zajęli postereunek na grobli, skąd mogli obserwować prawie milowy odcinek traktu. Achille trzymał w pogotowiu staroświecką rusznicę. Gdy zza zakrętu wypadła ostrym kłusem para zgrabnych dereszy, uwolnił ramię z gorączkowego uchwytu Georgesa i gromko wypalił w powietrze.

Na dźwięk wystrzału wszyscy Murzyni buchnęli radosnym gwarem. Czeladź domowa, o głowach omotanych żółtymi chustami, tłumnie wyległa na galerię, śmiejąc się i paplając z ożywieniem acz niezbyt głośno. Wokół domu zaroilo się od parobków, którzy biegli co tchu, wymachując czerwonymi chustami, odróżniającymi ich od służby domowej, śmiali się i krzyczeli co sił w płucach.

Gdy tylko powóz stanął, wnet otoczył go zwarty tłum. Kamerdyner, zszedłszy z wysokiego kozła, zaczął się krzątać z ważną miną — rozdzielał na prawo i lewo tęgie razy laską, by utorować panu przejście w tej ciżbie i wreszcie otworzył drzwiczki karety.

Stephen wysiadł i wyciągnął rękę w głąb mrocznego wnętrza. Niewolnicy wstrzymali oddech patrząc, jak z ciemności wyłania się drobna biała dłoń i lekko ujmuje dłoń ich pana. Po chwili na stopniu karety stanęła Odalie. Tłum znów podpłynął bliżej, w ciemności błyskały białka oczu.

Odalie zawahała się bojaźliwie.

— Przemów do nich, kochanie — szepnął Stephen. — Przyszli, by zobaczyć swoją panią.

Odalie wykrztusiła: „Witam was, moi ludzie” i ciszę rozdarł wielki, radosny wrzask. Stephen wziął żonę na ręce, by jej delikatne, jedwabne pantofelki nie tknęły ziemi i szedł, tuląc ją w ramionach, do paradnych schodów Harrow, przeniósł ją przez próg i niósł dalej, do hallu, w ślad za nim podążała cała czeladź domowa.

Robotnicy polowi tłoczyli się u drzwi, lecz nie szli dalej, wszyscy stali szerokim półkolem wokół Harrow. Wszyscy prócz jednej.

W cieniu dębów kryła się La Belle Sauvage, wielkie brunatnożółte oczyska płonęły w aksamitnoczarnej twarzy. Choć ubrana w strój niewolnicy, zachowała królewską postawę, jej piękność burzyła spokój wszystkich młodych niewolników na plantacji.

Odchodząc od drzwi, Achille wypatrzył ją, przyczajoną w listowiu i ruszył chyłkiem w jej stronę. Tej nocy jego dobry młody pan odbędzie gody, może poszczęści się i jemu. La Belle Sauvage nie stawiała już gwałtownego oporu, nie atakowała go szponiastymi paznokciami. Wzięła się za inny sposób, który jeszcze skuteczniej doprowadzał Achille'a do najwyższej pasji: patrzyła nań jak na powietrze i szła dalej, jakby go wcale nie było. Lecz teraz, gdy stał przed nią drżący, raczyła nań wreszcie spojrzeć.

— Nędzny niewolnik! — prychnęła pogardliwie i odeszła, kołysząc królewskimi biodrami. Achille'em targnęła ślepa, zwierzęca furia. Dogonił ją i chwycił za ramię, obrócił szarpnięciem w swoją stronę.

— Ty moja kobieta — powiedział — a ja twój mężczyzna! La Belle Sauvage wygięła szyderczo wargi.

— Ty nie mężczyzna — rzuciła mu w twarz chropawą francuszczyzną murzyńską, której zdołała się wyuczyć.

— Mężczyźni z mojego plemienia nie dali się zniewolić. Woleli ginąć, ale nie poszli w niewolę. Nawet kobiety nie godziły się na niewolę — wołały się zabić. Nikt z mojego plemienia nie został niewolnikiem.

— Ty też jesteś niewolnicą, ty! — wrzasnął Achille.

— Co ty sobie wyobrażasz, dziewczyno? Jesteś tak samo w niewoli jak ja.

— Ja w niewoli? — szydziła. — Nic nie robię, nikomu się nie kłaniam. Sauvage była i jest księżniczką! Jak mnie zniewolą, zaraz się zabiję, sam zobaczysz! — Odwróciła się i poszła w stronę chat. Achille szedł obok niej, na jego czole pojawiły się zmarszczki głębokiego namysłu. Ta dziewczyna nie ma prawa tak się do niego odzywać. Z jakiej racji traktuje go jak psa czy konia, jak cudze mienie? Ale zdobędzie ją, już mu się nie wymknie ta butna piękność.

Właśnie mijali jego chatę. Wąskie oczy Achille'a zwały się jeszcze bardziej. Spojrzał na towarzyszkę z ukosa i nagle schwycił ją w ramiona i przytrzymał, choć ostro wierzgała nogami i darła mu pazurami twarz. Nie puszczając branki, otworzył drzwi uderzeniem barku i zatrzasnął je za sobą jednym kopnięciem.

Stephen obracał kielich z winem na wysokiej nóżce. Ubrany był w szlafrok, wino było nietknięte. Ustawicznie spoglądał na drzwi, zza których dobiegały odgłosy krzątania, nasłuchiwał kroków Odalie krążącej po sypialni, słyszał szelest sukni ślubnej, którą zdejmowała. Czekanie stawało się nieznośne. Kiedy wreszcie zza drzwi dobiegł jej głos, czy raczej głosik — cienki, pełen napięcia i przestrochu — wstał tak gwałtownie, że kielich spadł z trzaskiem na parkiet, znacząc podłogę krwawoczerwonymi bryzgami.

Powoli otworzył drzwi i stanął, oparłszy się o nie plecami. Patrzył na Odalie. Miała na sobie powiewny, obszyty koronką negliż z przejrzystego jedwabiu, rozpuszczone włosy opływały ją czarną, połyskliwą falą. Drżała tak silnie, że dostrzegł to drżenie przez całą długość ogromnej sypialni, a gdy odwróciła nieco głowę, widział jak wielkie łzy potoczyły się po niewiarygodnie długich rzęsach.

— Mój Boże — szepnął — mój Boże, jakaś ty piękna! Podszedł do niej wielkimi krokami, wciąż dygotała, jakby smagana lodowatym wichrem.

— Boję się — zajęczała, gdy przyciągnął ją do siebie łagodnie. — Stephenie, tak strasznie się boję!

— Nie lękaj się. Nie ma czego — szepnął i schyliwszy się pocałował lekko jej usta, tak chłodne, że niemal parzyły. Znowu pocałował, tym razem mocniej, lecz natychmiast wparła się ramionami w jego pierś.

— Stephenie, przecież mówiłeś, że będziesz cierpliwy! Obiecałeś mi, obiecałeś! — krzyczała bijąc go na oślep piąstkami w pierś, ramiona, szyję.

Stephen zmarszczył brwi, szrama zapłonęła szkarłatem. Ogarnęła go wściekłość bliska szaleństwa. Oto nagroda za lata czekania, mozołu, rozterki i zgryzoty! Obnażył zęby w bolesnym grymasie. Przyciągnął ją do siebie tak brutalnie, że okrzyk Steph... rozpadł się na jej ustach we dwoje. Gniew i pragnienie odeszły tak nagle jak się zjawily, poczuł w sobie zimną, głuchą pustkę. Puścił Odalie i poszedł bez słowa do drzwi. W drzwiach odwrócił się:

— Dobranoc... żono — powiedział i już go nie było. Odalie padła na łóżko zanosząc się od płaczu. Miała zamiar się poddać, chciała być dobrą żoną — dać Stephenowi wysokich, krzepkich synów o płomiennych czuprynach, którzy pójda przez życie zawiadackim krokiem. Lecz trwoga przed cudzym dotykiem, przed naruszeniem świętości jej wewnętrznej jestestwa była zbyt przemożna. Odalie nie potrafiła się przełamać, to było ponad jej siły. Po pewnym czasie przestała płakać. Podeszła do drzwi i po krótkim wahaniu otworzyła je.

Hall był przepastny i mroczny, przemierzając go drżała jak małe, leśne zwierzątko. W głębi hallu blask świec obwiodł srebrem nie domknięte drzwi, kładąc jasną pionową smugę na twarzy Odalie, oświetlone tym blaskiem piękne oko i perlące się w nim łzy wyglądało jak ciemny klejnot otoczony jasnymi perłami. Po chwili ujęła gałkę zdecydowanym ruchem i z impetem otworzyła drzwi.

— Stephen... — szepnęła.

Spojrzał znad długiej fajki z białej irlandzkiej glinki i wzrok mu złagodniał.

— Tak, kochanie? — spytał miękko.

— Przybyłam tu, by być ci żoną — powiedziała — i jeśli po tym wszystkim... jeszcze mnie chcesz...

Odłożył ostrożnie fajkę, wstał.

— Jeśli cię chcę? — powtórzył i znów: — Jeśli cię chcę? Święci pańscy na wysokościach!

Nie zdążyła postąpić kroku, a już była w jego ramionach.

W Harrow zapadła głęboka cisza. Nie słychać było najłżejszego dźwięku prócz oddechu Stephena, który spał, objawszy swą świeżo poślubioną żonę. Jednak Odalie czuwała, leżąc w zgięciu męzowskiego ramienia, na przemokłej od łez jedwabnej poduszce. Więc to... to jest małżeństwo! Więc w ten sposób mężczyzna uzewnętrznia swą tkliwość i oddanie! Jeśli tak, to ludzie są w istocie nie lepsi od zwierząt, mimo tych wszystkich koronek, perfum i poematów... a koronki, perfumy i poematy zmierzają właśnie do tego... Przed nią jeszcze wiele lat takiego życia — będzie zaciskać zęby, dławić krzyk, zadawać sobie gwałt, aby stać się posłuszną żoną. Jednak nie ma innego wyjścia...

Uniółszy się nieco, zajrzała w uśpioną twarz Stephena, doskonale widoczną w jasnym blasku księżyca. Ponieważ bliźnię przysłonił róg poduszki a sen wygładził wszystkie ostre rysy cynika i prześmiewcy, ta twarz wydała się wcieleniem męskiej urody w całym rozkwicie młodości i potęgi. Bujne miedziane loki przyłgnęły do wilgotnego czoła, porcelanowo białą cerę znaczyły jasne piegi.

— Kocham cię, mój mężu — szepnęła. — Dla ciebie postaram się być cierpliwa, łagodna i wyrozumiała. — Po chwili zaczęła się cicho modlić.

Stephen czekał u podnóża schodów, podczas gdy Amelia i André wysiadali z karety. Było wczesne lato, skwar tej nadrzecznej krainy nie dawał się jeszcze we znaki. Ubrana w letnią sukienkę z indyjskiego muślinu Amelia wyglądała świeżo i rześko mimo wielkich bufiastych rękawów i mnogości krochmalonych halek. Spod szerokiego ronda słomkowego

kapelusza ukazała się jej radosna twarz. Amelia pomachała z uśmiechem koronkową parasolką w stronę Stephena, który odwzajemnił uśmiech i schylił się nad jej ręką, obleczoną w białą rękawiczkę. André puszył się i nadymał jak indyk, tak bardzo przypominał w tej chwili starego Le Bianca, że Stephen nie mógł opanować wesołości.

— Widzę, że niezadługo zostanę chrzestnym tatusiem! — zawołał ze śmiechem.

— Stephen! — zawołała Amelia pobladłszy. — Kto ci powiedział?

— Wybacz, Amelio, nie chciałem być niedelikatny, ale popatrz tylko na niego — puszy się jak paw! Czy mógłby istnieć inny powód? A ty sama, kochana Amelio, wyglądasz jak anioł.

— Nie wypaplesz swojej żonie?

— Oczywiście, że nie! Ale chodźmy do domu. Odalie wygląda was od rana.

Wstępując po kręconych schodach, André obrzucił przyjaciela uważnym spojrzeniem, w nieruchomej jak maska twarzy Stephena nie było śladu radości czy ożywienia.

— Stephenie...

— Tak?

— Jak ci leci? Jesteś szczęśliwy, staruszkuz?

— Niezmiernie.

Ma foi\ pomyślał André. Nikt dotąd nie wymawiał tego słowa z mniejszym entuzjazmem. Ale Stephena trudno było rozgryźć, jest tak zmienny. Zamyka się w sobie ni z tego ni z owego, by po chwili tryskać humorem i radością.

Odalie wyszła na galerię powitać gości. Ubrała się w ładną przewiewną sukienkę z kwiecistego perkalu, wiatr igrał z jej smolistymi lokami, które na przekór modzie zawsze nosiła rozpuszczone, gdyż tak lubił Stephen. Wyciągnawszy do Amelii obie ręce, uśmiechnęła się z nie udawaną radością.

— Tak się cieszę — powiedziała po angielsku, z leciutkim obcym akcentem. — Tak bardzo pragnęłam zobaczyć panią. Oczywiście już raz się spotkałyśmy, ale panował taki tłok, że nie było sposobności do rozmowy. Proszę do środka, droga pani. Już się zaczęłam obawiać, że nigdy nie przyjdziecie.

— Byliśmy zajęci — tłumaczyła się Amelia skrępowana. Stephen uniósł brew tak wysoko, że prawie dotknęła szramy.

— O, z pewnością! — roześmiał się. — Co do tego nie można już mieć najmniejszej wątpliwości.

— Stephen! — zawołała Odalie ostro. — Proszę wybaczyć mojemu mężowi. Ma czasem okropne maniery! — ujęła Amelię pod ramię i poszły obie przodem.

— Pani jest tak piękna — mówiła z przejęciem — Stephen wciąż się panią zachwyca i teraz już wiem dlaczego. Widziałam oczywiście jasnowłose Niemki z Laws Coast — ale nigdy takich włosów i oczu jak pani! Jakże pani zazdrościć!

— Włosy mam jak spłowiła słoma — oświadczyła Amelia. — André nieraz mi powtarza, co pani małżonek mówił podczas waszego pierwszego spotkania — że ma pani włosy jak rajski potok, spływający kaskadą w ciemną noc. Nic dodać nic ująć.

— Stephen tak powiedział? Dziwne, mnie nigdy tego nie mówił. Ale rzeczywiście ładnie to powiedział. Bardzo pani dziękuję. Będę pamiętać te słowa.

— Proszę mi mówić po imieniu. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółkami.

— Ależ oczywiście, przejdźmy na ty! To tutaj. Siadź naprzeciwko, żebyśmy mogły rozmawiać bez przeszkód. Już nie pamiętam, kiedy ostatnio rozmawiałam z inną kobietą, jeśli nie liczyć niewolnic — zresztą chyba trudno nazwać to rozmową.

— A twoja siostra? Przecież chyba często cię odwiedza? Śliczna twarz Odalie sposepniała.

— Nie, niezbyt często — odparła. — Właściwie od czasu, gdy tu zamieszkałam, przyjechała tylko raz. Oczywiście mamy do siebie dosyć daleko...

Siedli do stołu i niewolnicy zaczęły roznosić wykwintne potrawy. Podczas obiadu Odalie podtrzymywała towarzyską pogawędkę, lecz Stephen prawie się nie odzywał. Zostawiwszy żonie ciężar rozmowy, wpatrywał się w nią mrocznymi oczyma.

Zanadto się stara, myślała Amelia. Zbyt usilnie zabiega o względy innych, za bardzo chce się przypodobać. W rzeczywistości jest zupełnie inna. Wydawało mi się przedtem, że jest pełna rezerwy, że trzyma ludzi na dystans. Ale nie powinnam sądzić jej zbyt pochopnie.

André chrząknął.

— Wszystko układa się pomyślnie, Stephenie? — zagadnął.

— Najpomyślniej.

W ciszy, która zapadła po tym krótkim dialogu, szcęk sztućców aż dzwonił w uszach.

— Słyszałeś o Tomie Warrenie? — spróbował André z innej beczki.

— Nie. A co u niego?

— Bogaci się na potęgę. Ciekawe, jak udało mu się rozkręcić te interesy, skąd wziął kapitał. Wieść niesie, że odkuł się na zbożu, ale to przecież niemożliwe, bo całe jego zboże poszło z dymem w twoim składzie, czy tak?

— To prawda — potwierdził Stephen.

— Dziwna sprawa. Słyszałem to od ludzi, którzy znają się na rzeczy. Zdaje się, że nie widzisz go zbyt często?

— Nie zagląda do Harrow prawie od dwóch lat. Pewnie jest zajęty. Któregoś dnia wybiorę się do niego do miasta — jak znajdę wolną chwilę.

— Ale macie tu wielu gości? — dopytywała się Amelia.

— Owszem, sporo. Najczęstszym gościem jest młody Cloutier. Zdaje się, że ma chrapkę na moją żonę — dodał z przekąsem — więc nie spuszczam go z oka.

— Jak można mówić coś podobnego! — warknęła Odalie. — Amelia gotowa pomyśleć, że...

— Że jesteś śliczna jak malowanie i żaden mężczyzna ci się nie oprze? Przecież to prawda, moja droga.

— Stephen, zachowujesz się poniżej wszelkiej...

— Nie kochałabyś go, gdyby był grzeczny i uładzony

— łagodziła Amelia. — Ja też zanudziłabym się na śmierć, gdyby nie diabeł, który siedzi w André.

— No proszę! — roześmiał się André. — Niczego nie da się ukryć!

— To prawda — powiedział Stephen z uśmiechem.

— Małżeństwo ujawnia wiele ukrytych cech. A propos, pożeniłem wreszcie Achille'a i tę afrykańską panterę.

— Widziałem go, gdyśmy zajechali. Czy to przez żeniaczkę ma taką skwaszoną minę?

— Tak — zaśmiał się Stephen. — Żonka nie da mu odetchnąć ani chwili. Łasi się do niego jak kotka, a potem z hukiem wyrzuca go za drzwi — wszystko to w ciągu paru godzin. Biedaczysko! No, ale przynajmniej nigdy mu się nie nudzi.

— A ty, kochany Stephenie — spytała Odalie półgłosem — czy ty się nudzisz?

— W żadnym wypadku — odparł jej mąż stanowczym tonem. — Skąd to pytanie?

— Tak sobie tylko pomyślałam, kochanie. Ale chodźmy do mnie na górę — zwróciła się do Amelii — dajmy odetchnąć panom. Będziemy też mogły swobodniej porozmawiać.

Gdy wstały od stołu, podnieśli się i panowie. Po ich odejściu Stephen obrócił się do serwantki.

— Whisky? — zapytał.

— Nie, porto. Powiedz mi, Stephen, jak się czuje ktoś, kto osiągnął wszystko, co zamierzał. Zapewne już nic ci nie brakuje do szczęścia?

— Sam nie wiem, André — odparł Stephen bez uśmiechu. — Człowiek potrzebuje czasu, by przywyknąć do... małżeństwa.

André podniósł kieliszek, mieniący się rubinowo.

— Za twoje zdrowie, druhu, i za twoje szczęście. Stephen przyjrzał mu się uważnie, zanim podniósł do ust szklaneczkę.

— Za przysłego dziedzica Le Blanców — powiedział z uśmiechem. — Oby był taki, jakiego sobie wymarzyliście.

— Dziękuję ci, Stephen. Za zdrowie mojego syna — bo to musi być syn. To nie przelewki. Czuję się dziwnie stary i... pełen pokory. Co mu powiem? Czego nauczę? A jednak syn to syn. To wspaniałe uczucie, Stephenie.

— Nie przeczę — powiedział Stephen stłumionym, jakby ochrypłym głosem, aż André odwrócił się i wpatrywał w jego twarz bez żenady. Lecz Stephen jakby tego nie zauważył, patrzył przez wysokie okno w dal, na bezmiar pól, ginących za horyzontem. Dziwne, jakie te pola były puste — puste, wyludnione, jałowe. Po jakimś czasie odczuł ciężar przedłużającego się milczenia i zwrócił się do gościa.

— Masz rację, André — powiedział bardzo cicho — to cudowne uczucie.

Przedłużanie tej wizyty nie miało sensu. André i Amelia pożegnali się najwcześniej jak mogli bez uchybiania gospodarzom. Gdy lando ruszyło, André popatrzył na swoją młodą żonę, na jej ślicznej twarzy malowała się troska. Powóz przebywał milę za milą, a oni milczeli oboje. Gdy skręcali do La Palace des Rivieres, Amelia obróciła się gwałtownie do męża.

— Pocałuj mnie — szepnęła.

Pocałował ją tklawie i delikatnie, gdy z pewnym ociąganiem oderwał usta od jej warg, oparła głowę na jego ramieniu.

— André...

— Tak, mój skarbie?

— Tak mi ich szkoda... żał mi ich oboje...

— Mnie też, kochanie — w jego głosie brzmiało przygnębienie. Amelia po raz pierwszy usłyszała u męża ten ton.

Po odjeździe gości Stephen poszedł na górę do swoich apartamentów. Uporządkował garderobę, sięgnął po kapelusz i rękawiczki, gdy mosiężna gałka obróciła się bezgłośnie i do pokoju weszła Odalie.

— Czyżbyś znowu się gdzieś wybierał?

— A dlaczego nie, moja droga?

— Ach, nic... tak tylko pytam. Po prostu przykrzy mi się tu samej.

— Nie zauważyłem, byś mi była szczególnie rada. Odaliej wzruszyła ramionami.

— I tak byś nie uwierzył, gdybym ci powiedziała. Ale czy mogę cię zapytać, dokąd jedziesz?

— Możesz — odparł cierpko — chociaż niezbyt przystoi żonie wypytywać męża o jego zajęcia. Jadę do miasta, dokładniej — na róg ulicy Orleańskiej i Burbońskiej, do kasyna niejakiego Johna Davisa, o którym niezawodnie słyszałaś.

— Czy naprawdę musisz jechać?

— Nie przejmuj się, nie przepuszczę pieniędzy, jeśli o to ci chodzi.

— Nie... nie o to. Ale tak mało z sobą przebywamy, a przecież od ślubu minęło niewiele ponad dwa miesiące.

— I to cię trapi?

— Tak. — Podeszła tak blisko, że poczuł woń jej perfum. Milczała, a gdy się odezwała jej głos drżał prawie niedostrzegalnie.

— Chcę mieć dziecko.

Oczy Stephena zapłonęły błękitnym płomieniem. Odłożywszy powoli kapelusz i rękawiczki, ujął ją łagodnie za ramiona.

— Przecież nie znosisz, gdy cię dotykam — powiedział.

— Kiedy cię obejmuję, dygoczesz jak przerażone zwierzątko, gotowaś umrzeć ze strachu.

— Wiem... i ogromnie się tego wstydzę, mężu. Może się z czasem zmienię... nie wiem. Ale chcę dać ci syna, syna jakiego pragniesz, małego, hardego, uroczego chłopca z ognistą czupryną. Czy to takie dziwne, mężu, że mimo całej mej dzikości i lęku kocham cię całą duszą?

— Dobry Boże — szepnął Stephen do siebie.

— Wszystko w porządku — powiedziała Odaliej cicho.

— Jedź, pograj sobie.

Lecz Stephen już opasał ją ramionami i tulił do serca, słyszała jak biło niczym stłumiony głos werbla.

— Nigdzie nie jadę — oświadczył i wzięwszy Odaliej na rękę, poniosł bez wysiłku przez amfiladę pokoi. A później było tak jak zwykle — jej chłód i drzenie, łzy na pół trwogi, na pół obrazy. Stephen wstał bez słowa i zaczął się szybko ubierać.

— Stephen! — zawołała głosem zduszonym przez szloch.

— Owszem, jadę! — rzucił ze złością i wyszedł z sypialni. Stukot jego wysokich butów dźwięczał na schodach coraz ciszej aż zamilkł.

Upał wzmagał się z każdym dniem. Nad polami Harrow, w zbiegającym od wielotygodniowego żaru niebie gorzało bezlitosne słońce. Nadrzeczne moczary zaczęły wysychać, przez wody Missisipi przeświecały rosnące łąchy piasku. W wysokich pokojach upał był mniej dokuczliwy, lecz nawet tam ciążył głowom jak ołów. Patrząc przez okno swojego buduaru, Odalie widziała zbrązowiałe kikuty obumierającej trzciny na jałowym polu.

Stephen pracował w polu, jakby wcale nie odczuwał spiekoty. Odalie nawet z tej odległości potrafiła wypatrzeć jego płonąca czuprynę. Pracował jak oszalały, wyciskał z siebie i z niewolników ostatnie poty — próbował uratować zbiory. Od rzeki sunął długi szereg Murzynów z koromysłami, każdy niósł dwa wiadra z dębowych klepek, wypełnione po brzegi wodą. Odalie nie widziała podobnego widoku na żadnej z wielkich plantacji. Do tych środków — desperackich, żalonych — uciekł się Stephen, by podtrzymać życie choć cząstki upraw do czasu, gdy spadnie deszcz.

Już od tygodni nie był w domu, pożywiał się naprędce suchym chlebem, czarną kawą. Błede piegi na jego jasnej twarzy zbrązowiały, lecz Stephen nie opalił się — tylko z każdym dniem mizerniał coraz bardziej, rysy wyostrzały się, oczy zapadały coraz głębiej. Odzywał się tylko wtedy gdy musiał, mówił monosylabami, uśmiechając się krzywo, lewa brew tworzyła diaboliczny łuk z głęboką szramą.

Wieczorem, gdy po całodziennej harówce nawet potężny Achille walił się na łóżko jak kłoda, jego pan kąpał się, przebierał i jechał wierzchem do Orleanu. Do Odalie odnosił się z powagą i niezwykłą uprzejmością, lecz nie próbował już zbliżyć się do niej. Zdarzało się, że czuła na sobie jego jastrzębi wzrok, lecz gdy zwracała się w jego stronę, kiwał tylko grzecznie głową i szedł dalej.

Obserwując Stephena dzień po dniu, Odalie czuła coraz boleśniejszy ucisk w sercu. Poślubiła tego niezwykłego człowieka, a jednak dzielił ich gruby mur, nieprzebyta przeszkoda, której ona nie zdoła pokonać. Mogła tylko klęczeć w wykuszu okna, wypatrywać za Stephenem oczy i modlić się do Najświętszej Pani, by zesłała deszcz, zanim uprawy całkiem zmarnieją.

Wstała raptownie, poczuła słabość i mdłości, które już kilkakrotnie nachodziły ją rankami, lecz nigdy tak silnie jak teraz. Postąpiła niepewnie do przodu, lecz musiała stanąć — zachwiała się, oczy przestłoniła jej ciemność.

— Zerline — zawołała słabym głosem, lecz żółtoskóra pokojówka, którą przywiozła z Bellefont była zbyt daleko, by ją słyszeć. Kolana Odalie słabły coraz bardziej, podłoga zaczęła unosić się w górę. — Zerline! — krzyknęła przeraźliwie.

Lecz nie Zerline przybiegła na jej wołanie i schwyciwszy ją w ramiona, ułożyła delikatnie na podłodze, była to Caleen. Odalie bała się tej staruchy, której mimo łagodnego obejścia, źle z oczu patrzyło. Wzdragająca się na samą myśl o jej dotyku, lecz teraz z wdzięcznością przyjęła pomoc.

— Spokojnie — przygadywała starucha — zaprowadzę panią do łóżka, ułoży się pani wygodnie.

I opasawszy kibić swej pani czarnym, wyschlým ramieniem bez wysiłku zaprowadziła ją do wielkiego małżeńskiego łoża.

— Zaraz coś pani przyniosę — powiedziała.

— Dziękuję — szepnęła Odalie, po chwili: — Och, Caleen, tak mi niedobrze.

— Tak to już jest u jaśnie państwa. Wielka dama to nie jakaś niewolnica z plantacji. Pan pewnie bardzo rad?

— Ja... jeszcze mu nie mówiłam. Nie byłam pewna.

— No, teraz już jest pani pewna, może mu pani powiedzieć.

— Caleen, proszę cię... to lekarstwo... przynieś, cokolwiek to jest. Mdłości... są coraz silniejsze.

Caleen wybiegła żwawo z pokoju. Odalie osunęła się na poduszki, zacisnęła palce na oczach. Leżała nieruchomo, strzegąc kruchej równowagi, wątlej tamy, której naruszenie wywoła rwącą falę... Po chwili na schodach zabrzmiały jakieś kroki, ktoś zawahał się pod drzwiami i podszedł do łóżka.

— Caleen? — szepnęła Odalie ochryple.

— Nie, to ja — odpowiedział Stephen. — Co ci dolega, kochanie?

— Jest mi niedobrze... zbiera mi się na wymioty. Chyba... och, Stephenie, nie wiem, co się ze mną dzieje...

— Może wezwać lekarza? To wszystko przez ten upał i duchotę. Podobno doktor Torrebone jest doskonałym medykiem.

— Nie, nie trzeba... Caleen się mną zaopiekuje. Zresztą już mi lepiej. Usiądź i porozmawiaj ze mną trochę, dobrze? Czułam się taka... osamotniona.

Zaszurało krzesło, które przysunął do łóżka. Odalie nie odrywała od oczu kurczowo przyciśniętych dłoni. Po chwili do pokoju wkroczyła Caleen, niosąc dzbanek świeżo zaparzonej herbaty, pachnącej miętą i cytryną.

— Ach ci mężczyźni — powiedziała z udaną srogością — same przez nich kłopoty. Idź stąd, maitre, dość już nabroileś.

— Nabroilem? Co ty pleciesz, stara wiedźmo? — warknął Stephen.

— Mówię o pani — wskazała na Odalie jedną ręką, drugą zręcznie podtrzymując tacę.

Stephen odwrócił się do Odalie.

— O czym ona mówi, do stu piorunów? Odalie mieniła się na twarzy.

— Nie domyślasz się, Stephenie? — spytała miękko.

— Nie domyślam się?... Odalie, chyba mi nie powiesz, że...

— Tak, mój mężu, to prawda. I jestem tak szczęśliwa, że mogłabym umrzeć bez żalu.

Krzesełko runęło z hukiem na podłogę, a Stephen przykląkł u wezgłowia Odalie i przygarnął ją do siebie. Umościwszy się wygodnie w męzowskich ramionach, Odalie pofolgowała łzom.

— Czemu płaczesz? — dziwił się. — Trzeba się śmiać i radować, nie płakać.

— To dlatego, że nie wiem, co począć z tym bezmiarem szczęścia. Dlatego, że tulisz mnie do siebie, a nie odwracasz ode mnie twarzy jakbyś mnie nienawidził. I jeszcze dlatego, że Harrow doczeka się syna i dziedzica.

— Syn Harrow — powtórzył Stephen. Jak udatnie dobrała to określenie, syn nie jego, nie jej, lecz Harrow. Syn, który przyjdzie na świat w tym wspaniałym domu, musi wyrosnąć na prawdziwego dżentelmena, wielkiego pana, który z biegiem lat przejmie Harrow w swoje posiadanie. Potem syn tego chłopca dojdzie do męskich lat i ród ten będzie trwał przez nieskończenie wiele pokoleń, aż dom okryje patyna wieków, w wielkich salach będą szeptać duchy zmarłych przodków. Harrow — spokojna przystań, spełnienie.

Spojrzał z troską przez okno na trawione gorączką pola, fale rozedrganego upału wysysały z ziemi resztkę wilgoci. Odalie poruszyła się niespokojnie w objęciach Stephena.

— Co ci jest? — spytała szeptem. — Zmarkotniałeś. Czyżbyś tego żałował?

— Nie, tylko pomyślałem sobie, że jeśli ten upał szybko nie zelżeje, to nasz synek przejmie marną schedę.

— Więc jest aż tak źle?

— Tak, ale nie trap się tym, moje kochanie. Teraz poradzę sobie choćby z samym diabłem. Caleen, co się gapisz jak ciele na malowane wrota! Podawaj pani herbatę!

— Już się robi, maitre — odparła starucha szczerząc zęby w uśmiechu.

— I zakarbuju sobie — masz się nie ruszać od pani na krok — przykazał surowo. — Ani na chwilę! Pilnuj, żeby nie chodziła po słońcu i niczym się

nie przemęczała. Masz spełniać każde jej życzenie i to natychmiast. Nie dopuszczaj do posługi przy pani żadnej z tych lekkomyślnych żółtych dziewczuch. Ty jesteś za nią odpowiedzialna, pamiętaj!

Odwrócił się do żony.

— Ten stan ci sprzyja — powiedział z uśmiechem.

— Nigdy nie widziałem u ciebie takich ładnych kolorów.

— Musnął jej usta w delikatnym czułym pocałunku. Z ogromną ulgą Odalie zdała sobie nagle sprawę, że w jego pieścizotach nie będzie już żądz — przynajmniej przez długi czas. To musi być chłopiec, postanowiła sobie, w tym jednym nie zawiedzie jego nadziei.

Ucałowawszy ją ponownie, Stephen wstał.

— Muszę jechać do miasta, starać się o pożyczkę. Zbiory przepadły, nawet gdyby zaraz zaczęło padać. Pojadę do Warrena, wystarczy mi niewielka suma. Dom ma czystą hipotekę, ja mam opinię wypłacalnego kredytobiorcy. Uważaj na siebie, kochanie. Musisz być teraz bardzo ostrożna. Stosuj się do zaleceń Caleen — to mądra kobieta chociaż stara diablica.

Na odchodnym znów ją pocałował.

— Słyszała pani, co mówił maitret — spytała Caleen biorąc się pod boki.

— Będzie mnie pani słuchać — bez żadnych fanaberii. A my postaramy się, żeby maitre miał krzepkiego chłopaka! Małego zucha z rudym łebkiem! Ale pani musi robić, co każe.

Odalie uśmiechnęła się wyrozumiale.

— Dobrze, Caleen, będę grzeczna.

Kłusując w stronę nadrzecznego traktu, Stephen napotkał starego Joshua, który szedł od rzeki z nanizanymi na sznurek rybami. Rybki były drobne, połów niewart zachodu, lecz wobec przewlekających się upałów i niskiego poziomu wody Josh nie mógł liczyć na nic lepszego.

— Dzień dobry, panie Stevie! — zawołał na widok dziedzica. — Mam tu trochę rybek, sam drobiazg, ale nie trafiło mi się nic większego. Wszystko przez tę posuchę, jaśnie panie.

— Zanieś je Caleen do dworu — powiedział Stephen. — Widzę, że masz się o wiele lepiej. Już się tak nie trzęsiesz jak kiedyś. Wciąż się boisz pożaru?

— Boję się, panie, jeszcze jak się boję! Ale już nie tak jak pierwej, zmocniałem w sobie.

— Widzę — odparł Stephen z powagą. — Jakeś taki mocny, to chyba poślę cię do pracy w polu.

— Jaśnie panie Stevie! Tego pan nie zrobi biednemu Joshowi! Stary jestem! Niedługo bym pociągnął w taką spiekotę!

— Nie martw się — zawołał Stephen ze śmiechem.

— Jako rybak przynosisz mi o wiele więcej pożytku. Widziałeś Achille'a?

— Jest przy grobli. Pilnuje kreolskich Murzynów, co noszą wodę na pola. To wszystko na nic, panie. Zbiorów już się nie uratuje.

— Obawiam się, że masz rację — odparł Stephen.

— No dobrze, zanieś ryby do dworu.

Gdy Stephen podjechał Prince Michaelem do podnóża grobli, czarny wielkolud zsunął się pospiesznie na dół, twarz lśniła mu od potu.

— Na długo pan wyjeżdża, panie?

— Nie, wrócę przed nocą. Jak idzie robota, Achille?

— Niesporo, lenią się czarnuchy, ale pędzę ich do roboty.

— Oczywiście pan Wilson wie o wszystkim?

— On choruje, panie. Caleen mówi, że niedługo zemrze.

— Co?! I nikt słówka nie pisnął? Nawet madame Wilson nie przysłała choćby paru słów.

— Ona już sama nie wie, co robi, panie. Martwi się o dzieciaki. Może zapomniała.

— Wstąpię do niej po drodze — powiedział Stephen.

— A co u ciebie w domu?

— Panie, już tracę rozum przez tę dziką dziewczynę! Teraz jest brzemienna. Brzuch ma nieduży, ale niedługo zlegnie. Raz skacze mi do oczu, raz całuje, że ciarki chodzą po plecach. To ci dopiero kobieta!

Stephen zjechał z drogi, kierując się w stronę okazałego domu, w którym mieszkał zarządca. Z Wilsona nigdy nie miałem wielkiej pocięchy, pomyślał Stephen. Większość pracy wykonywał Achille. Jednak Murzyni musieli mieć nad sobą białego, bo inaczej opuściliby się w robocie. Szkoda Wilsona, poczciwy z niego człek, chociaż trochę dziwak.

Stephen zeskoczył z konia i wszedł na galerię, która jak zauważył, wymagała pilnych napraw. Nie zdążył zastukać, gdy do jego uszu nabiegła żalсна skarga. Zdjął kapelusz i cicho otworzył drzwi. Na jego widok madame Wilson zerwała się z miejsca i przypadła do jego piersi z rozzierającym szlochem, a troje czy czworo małych Wilsoniątek wczepiło się w jego kolana, podnosząc głośny lament.

— Już dobrze, dobrze — nie płaczcie — powtarzał. Zanim odszedł, zobowiązał się opłacić koszty pogrzebu i pozostawił dom do dyspozycji madame Wilson — może w nim mieszkać jak długo zechce. Cóż to za

nieszczęsne miejsce, myślał. Wygląda na to, że troska i zgryzota upodobały sobie Harrow.

Snując te niewesołe myśli, podążał traktem, spuściwszy głowę na piersi. Harrow będzie miało syna — to wszystko zmienia. Stephen nie szczędził dotąd swych sił, ale teraz musi pracować jeszcze ciężiej. Trzeba zabezpieczyć byt Harrow po wsze czasy: oczyścić posiadłość z długów, obniżyć koszty produkcji, aby synowi na niczym nie zbywało. Zapewni mu wszystko, co najlepsze — najlepsze niańki, bony, guwernerów... miejsce na najlepszym uniwersytecie. Dokąd go pośle — do Oxford czy Cambridge? Jest jeszcze Edynburg — propozycja warta rozważenia. Ale przede wszystkim trzeba go wychować na człowieka czynu, na przywódcę. Foxowie przybyli do Nowego Świata, by osiąść tu na stałe, lecz nie będą w tym kraju po prostu mieszkać — będą także przewodzić, pozostawią po sobie niezatarty ślad. Z braku przodków, myślał, sam sobie będę przodkiem. Ta myśl spodobała mu się. Wyprostował się w siodle i spojrzął na drogę.

Ktoś nadjeżdżał z przeciwnej strony, siedział na koniu jak sam centaur. Mógł to być tylko młody Cloutier — w całym stanie nie znalazłbyś wytrawniejszego jeźdźca. Gdy podjechał bliżej, na jego twarzy ukazał się niewesoły uśmiech.

— Jechałem właśnie do Harrow — powiedział. — Spodziewałem się zastać tam pana. Ale skoro pan wyjeżdża... — ściągnął mocno wodze. Piękny wierzchowiec zatańczył w miejscu.

Stephen spojrzął uważnie na Philippe'a Cloutier. Chłopak jest rzeczywiście jak malowanie. Lecz to jego wieczne asystowanie Odalie kłóci się z obyczajami Luizjany, zaś Odalie najwyraźniej odpowiada jego towarzystwo. Może byłaby szczęśliwsza w małżeństwie z kimś takim jak on — w każdym jego geście, w całej postawie znać było świetny ród i wychowanie... i oboje pochodzili z jednej sfery.

Stephen uśmiechnął się zniecka.

— Moja nieobecność nie musi być panu przeszkodą — powiedział. — Madame Fox będzie rada pana widzieć. A nic, co sprawia jej zadowolenie nie może sprawić przykrości mnie. Ruszaj, młodzieńcze. W Harrow jesteś zawsze miłym gościem.

Młody Cloutier spojrzął uważnie na wynędzniałą twarz mówiącego. Czy kpią z niego? W głosie Stephena nie było śladu ironii, lecz to wygięcie ust, ta uniesiona brew podają w wątpliwość wszystko, co mówi. Z tym człowiekiem nie ma żartów. Ale Odalie... Odalie! Gdybyż wrócił do Luizjany dwa lata temu! Ale nie wrócił. Jest jak jest, spóźnił się o te dwa czy więcej lat. A jednak nic nie zdołałoby go powstrzymać — prawa

ludzkie ani boskie, ani nawet obawa przed gniewem Stephena. Trudno, stało się, dopnie swego, choćby miał rozwalić cały świat.

Sklonił się lekko.

— Dziękuję, monsieur. Cieszę się, że moje wizyty nie są panu ciężarem.

— Jeśli zaczną mi ciążyć — skończą się — powiedział Stephen spokojnie. — Żegnam, monsieur Cloutier.

Philippe uchylił kapelusza i podkowy zastukały ostro o spieczony słońcem trakt.

Stephen zapomniał o nim prawie natychmiast. Z jakimikolwiek zamiarami nosił się ten młodzieniec, nie miał żadnych szans na ich spełnienie. Mąż Odalie mógł być pewien jednego — nigdy nie zostanie rogowcem. Zwolnił i jechał dalej stępą. Nie będzie zajeżdżał konia na śmierć w taki upał. Chryste Panie, jak to jeszcze daleko!

Wjeżdżając w ciasne uliczki Faubourg St. Marie, Stephen patrzył z przykrością na powszechny tu brud i opuszczenie. Większość swych bogactw zawdzięczał Nowy Orlean Amerykanom. Był to naród przedsiębiorczy, zaradny i pracowity. Jednak rada miejska, którą w dalszym ciągu trzęśli Kreole, uparcie odrzucała wszelkie projekty modernizacji tego okręgu. Chociaż dochody St. Marie dwakroć lub więcej przewyższały dochody innych dzielnic, nie pomyślano jakoś o wybrukowaniu ulic, a gnijące nabrzeże groziło zawaleniem. Nic więc dziwnego, że Amerykanie zwalczali wszystko, co francuskie, a już teraz przewyższali Francuzów liczebnie. Przez te podziały rasowe jeszcze poleje się krew, dumął Stephen, najbardziej ucierpi on sam, André i setki innych, którzy pożenili się na przekór tym podziałom.

Mimo wszystko, jak można tak zapuścić kanalizację! Ostry odór przyprawiał o mdłości. Co rok setki ludzi ginęło od żółtej febry. Gdy wytykano to Kreolom, tylko wzruszali ramionami. Żółta zaraza była „chorobą obcych”, nie miała się Kreolów. Przywykłszy do miejscowego klimatu, gasząc pragnienie winem nie wodą, żyli sobie spokojnie pośród kolejnych epidemii, podczas gdy na ulicy Rousseau nowo przybyli imigranci irlandzcy padali jak muchy, masowo marli Niemcy, Anglicy i Amerykanie. At, do diabła z Kreolami. Oczywiście wyjąwszy Odalie, Aurore, André, starego Le Bianca i Pierre'a Arceneaux.

Kopyta Prince Michaela wzbijały niewielkie obłoki kurzu. Stephen jechał dalej, przyciskając do nosa jedwabną chusteczkę. Na ulicach gniło nie uprzątnięte ścierwo, cuchnące sterty śmieci stały całymi miesiącami. Będzie jeszcze gorzej, kiedy wreszcie spadnie deszcz. Ulicami popłyną gęste cuchnące potoki, kto wie, czy nie zaleją domów. Nic dziwnego, że

Kreolowie zwali grupy posesji Uets*, doskonale dobrana nazwa, ani słowa.

* Uets (franc.) — wysepki

W Vieux Carré sytuacja przedstawiała się odrobinę lepiej. Ale tylko odrobinę. Pomijając dbałość o czystość osobistą, Francuzi nie byli schludnym narodem. Owszem, ulice wybrukowano kocimi łbami, kostką cyprysową lub cegłami, lecz były wąskie i ciemne, upał był tu szczególnie dokuczliwy. Nawet główne ulice były tak ciasne, że dwa powozy nie mogłyby się wyminąć. Tyle że wystające na ulice galerie dawały nieco ochrony przed słońcem.

Stephen zatrzymał się przed wyniosłym gmachem na ulicy Chartres. Zbudowany w identycznym stylu jak wszystkie sąsiednie, był prawdziwym drapaczem chmur — miał aż trzy piętra. W porównaniu z tą błyszczącą nowością budowlą, tamte domy wydawały się stare i obskurne. Nie było wątpliwości — Tom Warren doszedł do wielkiego majątku. Ceny parcel na Chartres były oszałamiająco wysokie. W większości należały do Kreolów, którzy pozostawiając za sobą luizjańską przeszłość, powrócili do Francji, gdzie żyli z dochodów, które przynosiła im dzierżawa parcel w Nowym Świecie. Kazali sobie słono płacić za ziemię, ich pośrednicy byli przeważnie wyzutymi z sumienia łajdakami, a jednak Tom Warren kupił parcelę i pobudował się na terenach, gdzie sto stóp działki mogło przynieść nawet pięćdziesiąt tysięcy dolarów zysku od ręki. W przeszłości Stephen wyświadczył Tomowi niejedną przysługę, może teraz z czystym sumieniem prosić o drobny rewanż.

Gdy wszedł do środka, jeden z kilku urzędników, pilnie coś piszących przy wysokich biurkach, popędził na zaplecze, by przywołać szefa.

Warren wszedł do kantoru marszcząc się nieco, lecz widząc Stephena, zaraz się rozpozgodził.

— Stephen! — zawołał, wyciągając prawicę — jak miło znów cię widzieć. Chodźmy do mnie. Twoje odwiedziny to dla mnie prawdziwa przyjemność.

Odwzajemniając uścisk dłoni, Stephen przyjrzał się Tomowi ciekawie. Przytył, ubiera się starannie, stwierdził.

1 mówi mi „per ty”. Przedtem nie było o tym mowy. Cóż, obrósł w piórka, jest kimś ważnym. Trudno oczekiwać, by mi po staremu czapkował.

— Dorobiłeś się — powiedział idąc za Warrenem do eleganckiego gabinetu na zapleczu. — Ciesz się.

— Dziękuję — odparł Warren. Podsunął gościowi drewnianą szkatułkę. — Cygaro? — zapytał, biegając małymi oczkami od kosztownych cygar kubańskich do wynędzniałej twarzy Stephena.

— Nie, dziękuję. Doprawdy nieładnie, Tom, że dotąd nie odwiedziłeś nas w Harrow.

— Wiem, ale byłem piekielnie zajęty. Wybacz staremu druhowi. Ale ja też nie przypominam sobie, byś mnie odwiedził — a to już prawie trzy lata.

— Nie zapraszałeś mnie, Tom.

— Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że czekasz na zaproszenie. Mój dom był zawsze twoim domem. Ale czemu zawdzięczam zaszczyt twoich odwiedzin?

— Potrzebuję twojej pomocy — powiedział Stephen bez ogródek. — Mam kłopoty. Trzcina wymaga wody, mnóstwa wody, a sam wiesz, jakie mamy lato.

— Wiem, poniosłem znaczne straty. Ale jeśli tylko mogę coś dla ciebie zrobić... Ile ci trzeba?

— Piętnaście tysięcy. Będę mógł spłacić tę sumę z następnych zbiorów. Możesz żądać dowolnego procentu.

Tom sięgnął bez słowa po pióro i książeczkę czekową i szybko wypisał czek. Obszyszywszy atrament piaskiem, podał czek Stephenowi.

Stephen spojrział zdumiony: czek opiewał na trzydzieści tysięcy.

— Prosiłem tylko o piętnaście — powiedział.

— Powinieneś liczyć się z nieprzewidzianymi wydatkami — oświadczył Tom Warren. — Miałem ostatnio kontakty z wieloma plantatorami i wiem, ile kosztuje utrzymanie takiego interesu.

— A jaki będzie procent?

— Od ciebie nie chcę żadnego. A datę spłaty zostawiam do twojego uznania. Nie potrzebuję tych pieniędzy. Oddasz je kiedy zechcesz, nie ma pośpiechu.

Stephen wstał.

— Dobry z ciebie przyjaciel — powiedział. — Ale spłacę dług już z następnych zbiorów, i to z procentem. No, czas na mnie. Muszę jak najspieszniej wracać do Harrow. Stokrotnie ci dziękuję.

Tom przytknął siarczaną zapalną do cygara. Wonny obłok błękitnego dymu popłynął przez pokój.

— Zostań jeszcze trochę — nalegał. — Zjedz ze mną kolację. Nie można jechać w tak daleką drogę o pustym żołądku.

— Nie, naprawdę muszę już jechać — powiedział Stephen. — Pamiętaj, że w Harrow jesteś zawsze oczekiwanym gościem. Co prawda tej jesieni polowania będą raczej marne, ale będą. Rozerwałbyś się trochę.

— Postaram się, ale nie miej mi za złe, jeśli nie przyjadę

— będzie to oznaczało, że po prostu nie mogę się stąd wyrwać. Moje uszanowanie dla madame Fox. Słyszałem, że piękniejszej od niej nie ma w całej Luizjanie. Szczęściarz z ciebie.

Stephen pożegnał się. Różnie można mówić o uczciwości transakcji handlowych Toma Warrena, ale jedno trzeba mu przyznać: to człowiek z sercem.

Właściwie nie ma potrzeby pędzić do Harrow na złamanie karku — myślał Stephen wychodząc z banku, w którym złożył czek Warrena. Odalie zapewne dobrze się bawi w towarzystwie Philippe'a Cloutier, nie będzie mu więc wyrzucać późnego powrotu. Wpadłby na chwilę do André i Amelii, lecz nie mógł patrzeć na ich szczęście nie myśląc zaraz o własnym małżeństwie, a porównanie było bolesne. Zresztą Amelia ma już zapewne mocno zmienioną figurę i niezbyt chętnie widzi gości. A może by tak wpaść na obiad do Bellefont, do starego Arceneaux i Aurore? To był doskonały pomysł, Stephen szczerze lubił tych dwoje. Aurore to urocze stworzenie, dumiał. Dziwne, że dotąd nie wyszła za mąż. Pewnie już przekroczyła dwudziestkę, jest młodszą od Odalie dokładnie o trzy lata. Konkurentów jej nie brak, ale mówi o nich chyba jeszcze mniej niż Odalie. Dziwna to cecha córek starego Pierre'a. Staruszek umie korzystać z życia, komu jak komu, ale starem u nie ma ognia. Zapewne jego małżonka była górą lodową.

Kiedy Stephen wjeżdżał do Bellefont, na szerokiej galerii stała Aurore, patrząc w dół na podjazd. Zeszła na dół, by powitać gościa, uśmiechała się lekko. Dziwne, że uśmiech może wyrażać smutek, myślał Stephen. Ale co taka śliczna panna może wiedzieć o smutkach? Podała mu dłoń do ucałowania.

— Moja mała kochana siostrzyczka — powiedział, cmoknąwszy ją w rączkę. — Przyjechałem specjalnie, by cię zobaczyć.

— To byłoby miłe — odparła — gdyby było prawdziwe. Ale muszę cię zmartwić, Stephenie — ojca nie ma w domu.

— Ach tak? Więc odmawiasz chwili rozmowy zgrzybiałemu szwagrowi?

— Ależ przeciwnie! Ogromnie cieszę się z twoich odwiedzin. I z tego, że jesteśmy teraz rodziną.

— Czemu?

— Bo nie mogłabym wdawać się z tobą w pogawędki, gdyby papy nie było w domu. Przecież wiesz.

— Wiem. Nigdzie tak nie hołdują konwenansom jak tu — istny koszmar! Aurore, jesteś coraz piękniejsza. Gdy cię widzę, bierze mnie ochota, by przejść na islam i zostać Turkiem.

— A to dlaczego?

— Bo wtedy mógłbym mieć cztery żony. Ale gdybyś ty mnie zechciała, zadowolilibym się dwiema.

— Stephenie, cóż za szalony pomysł!

— Zgodziłabyś się?

— Jasne, że nie! To pomysł skandaliczny. Zresztą Odalie nie przystałoby na to.

— Co mogłaby zrobić, jeśliby prawo na to zezwalało? Wiesz, Aurorę, trochę zgłodniałem. Czy poczęstujesz mnie kawą i ciastem?

— Naturalnie! Ale czy to ci wystarczy?

— Tak, nie jadam wiele.

Idąc za Aurorę do domu, Stephen przyglądał się jej wdzięcznym ruchom. Coraz bardziej przypomina Odalie, myślał. Karnację i barwę włosów ma inne, ale poza tym bardzo są do siebie podobne. Jednak w drzwiach jadalni, gdy przyćmione światło obrysowało na chwilę jej profil, Stephen musiał zmienić zdanie. Odalie i Aurorę były całkowicie różne, łączyło je tylko pewne rodzinne podobieństwo.

Sącząc wrzącą kawę, Stephen przyglądał się szwagierce badawczo. Jej uprzejmy półuśmiech zawahał się i przepadł. Łyżeczka, którą niosła do ust, znieruchomiała w powietrzu.

Spojrzała na Stephena nagimi, bezbronnymi oczyma.

Stephen ściągnął jasne brwi, potrząsnął lekko głową, jakby był to sposób na uporządkowanie myśli. Ten ruch jakby złamał czar. Aurorę zerwała się z krzesła, ciemnoblonde loki przysłoniły jej twarz.

— Ja... źle się czuję — powiedziała. — Pozwolisz, że cię opuszczę.

— Nie — burknął. — W twoim spojrzeniu było coś niejasnego. O co chodzi, Aurorę? Co cię niepokoi?

— Ależ nic... naprawdę... To ten upał i w ogóle... proszę cię, pozwól mi odejść!

— Ale najpierw musisz obiecać, że będziesz nas częściej odwiedzać. Bardzo za tobą tęsknimy.

— Och, oczywiście przyjadę! Przekonasz się! Wybacz, Stephenie, ale naprawdę muszę się położyć.

— Dobrze, idź. — Nagle w oczach Stephena ukazał się szelmowski błysk. — Ale przedtem — siostrzany pocałunek. Jeśli nie, nie ruszysz się z miejsca.

Wstał szybko od stołu i przytrzymał ją za przeguby rąk. Miała ciepłe, miękkie ramiona, czuł pod dłońmi jej przyspieszone tętno.

— Nie, Stephenie, tak nie można — powiedziała cicho.

— Przecież mówiłaś, że należę do rodziny — kpił Stephen.

Pochylił się zniechęca, lecz Aurorę była szybsza, odwróciła głowę i jego wargi musnęły przelotnie kącik jej ust.

— Marny to był pocałunek — zaśmiał się Stephen — ale musi mi na razie wystarczyć. Żegnam, siostrzyczko — złożył przesadnie głęboki ukłon i odszedł, śmiał się jeszcze idąc po schodach.

Aurorę siedziała przy stole, trąc kącik ust grzbietem dłoni. Tarła tak długo i silnie, aż nabrzmiał i zaognił się, mimo to wciąż czuła lekki ucisk Stephenowych warg.

Dosiadając konia Stephen jednocześnie marszczył brwi i uśmiechał się.

— Obydwie są oziębłe — dumął — lecz Aurorę mniej niż Odalie. Ciekawym, czy...

RS

ROZDZIAŁ 12

Odalie siedziała w chambreadrin — był to rodzaj altanki, posadowionej w rogu galerii, gawędząc z Philippe'em Cloutier. Potrzebowała świeżego powietrza, lecz natrętne maringouins — olbrzymie moskity Deltę Missisipi — pożarłyby ją żywcem, gdyby nie siatka.

Dziwne, że Stephen wciąż nie wraca, już dawno powinien być w domu. Philippe nasepił grube, czarne brwi.

— Kochasz tego swojego mężusia — powiedział z przekąsem.

— Rozumie się. Przecież inaczej nie wyszłabym za niego.

— Ale po co w ogóle szłaś za niego? Za tego cudzoziemca. Nie, jest lepsze słowo — poznałem je w Europie. Auslander. Jest dostatecznie szorstkie.

— A musisz być szorstki?

— Tak! Amerykanie to gbury, w głowie im tylko pieniądze i interesy, pchają się przez życie łokciami. Że też musiałaś wyjść za Amerykanina! Przyznaję, oczywiście, że ma nieco lepsze maniery niż większość z nich, ale ty, skarbie, jesteś Kreolką, a Kreole nie wiążą się z barbarzyńcami!

— Ale skoro klamka już zapadła, to nie bardzo rozumiem, kochany Philippe...

— Nie mogłabyś pokochać innego?

— Na przykład ciebie? Nie, Philippe, nie mogłabym. Na całym świecie nie ma drugiego takiego jak on.

— Mylisz się i zaraz ci to udowodnię! — pochylił się nagle i objął ją wpół, po czym powoli, mocno, z rozmysłem pocałował ją prosto w usta.

Odalie nie opierała się. Stojąc nieruchomo pozwalała się całować, lecz w żaden sposób nie odwzajemniła pieszczoty.

Kiedy wypuścił ją z objęć, spojrzała nań ogromnymi oczami spłoszonej sarny, lecz powiedziała zupełnie spokojnie:

— Szkoda, że tak się zachowałeś.

— Dlaczego?

— Ponieważ bardzo mi było dobrze w twoim towarzystwie. Lecz teraz, Philippe, muszę cię prosić byś odszedł i nigdy nie wracał.

— Źle mnie sądzisz — rzucił Philippe.

— Być może. Nie wiem. Nie znam się na podobnych sprawach. Ciężko mi cię odsyłać, Philippe. Będzie mi ciebie brak. Wybacz mi, jeśli kiedykolwiek — słowem czy gestem — podsunęłam ci myśl, że czekam na podobne zaloty. Ja nie miałam takiego zamiaru. Bądź zdrow, Philippe.

Skłonił się lekko. Gdy uśmiechnął się, czarna brew podjechała w górę w sardonicznym grymasie.

— Już wiem, dlaczego tak cię lubiłam — powiedziała Odalie. — Pomijając barwę oczu i włosów, macie w sobie jednaką butę, brawurę i skłonność do drwiny...

— Mogła mi pani oszczędzić tej uwagi, madame. ...— rzucił Philippe idąc do wyjścia.

Odalie westchnęła. Biedny Philippe! Nie chciała go urazić. To piękny chłopiec — strzelisty jak trzcina, pełen animuszu, o świetnych manierach — prawdziwy złoty młodzieniec z paryskiej szkoły. Odalie zastanawiała się przez chwilę, co by było, gdyby wrócił dwa lata temu, lecz zaraz odepchnęła tę myśl, zgorszona. Spojrzała w dół na dębową aleję

— Philippe właśnie odjeżdżał.

Porzuciwszy altankę ruszyła długą galerią. Przy schodach natknęła się na Achille, który szedł na górę z kapeluszem w rękę.

— Jaśnie pani...

— Tak, Achille?

— Chodzi o pana Wilsona... On umarł. Pan kazał mi od razu powiedzieć jaśnie pani jakby co, ale zapomniałem. Strasznie tam rozpaczają. Pojedzie pani do nich?

— Tak. Zaprzęż do małego kabrioletu i podjedź pod dom. Żywo!

Przywołała Zerline, kazała jej zapakować wszystkie wiktuały, jakie znajdzie w spiżarni i nałożywszy kapotkę pojechała do domu Wilsonów, Achille powoził.

Dom Wilsonów przedstawiał obraz nędzy i rozpoczy

— wszędzie panował brud i nieporządek. Odalie bezzwłocznie przystąpiła do dzieła, wspomagana przez trzy niewolnice. Wykapały dzieci, przebrały w czyste ubranka i nakarmiły. Uprzątnęły śmieci, wyszorowały podłogi, odkurzyły sprzęty. Biedną panią Wilson, złamaną przez los, nadzwyczajnie podniosło na duchu wino i domowe ciasteczka, wypląkiwała swoją wdzięczność na ramieniu chlebobawczyni. Wciąż szlochając, podyktowała jej spis krewnych, których należało zaprosić na pogrzeb. Ponieważ było zbyt późno by — zgodnie z przyjętym zwyczajem — drukować zaproszenia, Odalie własnoręcznie, drobnymi, eleganckimi literkami wypisała te melancholijne bileciki i wysłała Georgesa, by je rozwiózł. Pogrzeb miał się odbyć nazajutrz, wczesnym rankiem, zanim bezlitosne słońce wszędzie wysoko. Nieboszczyk i tak zbyt długo leżał nie pogrzebany w taki upał.

Gdy Stephen wrócił z miasta, Odalie wciąż była u Wilsonów, krzątała się po domu, mocno zaaferowana. Stephen stanął w drzwiach zakurzony, zmęczony długą jazdą, twarz miał zaczerwienioną od słońca.

— Odalie! — zawołał gniewnie — czyś ty zupełnie postradła rozum?

— Cieszę się, że już wróciłeś — powiedziała wesoło.

— Jest jeszcze tyle do zrobienia...

— Ale to już nie twoje zmartwienie, moja panno! Natychmiast siadaj do powozu i wracaj do domu! Więc wzięłaś się do pracy? Krzątasz się po tym domu i patrzysz w twarz nieboszczyka, chociaż jesteś brzemienna! Gdzie Caleen? Już ja ją nauczę rozumu. Każę ją oćwiczyć! Jak mogła spuścić cię z oka!

— Ależ Stephenie! Ktoś przecież musiał im pomóc. Czułam się w obowiązku...

— Twoim obowiązkiem, moja droga, jest troszczyć się o siebie i dziecko, które nosisz. Idziemy!

— Wiesz, Stephenie, czasem trudno z tobą wytrzymać

— odparła cierpko Odalie.

Następnego dnia z wielką pompą odprowadzono niepozornego pana Wilsona na miejsce ostatniego spoczynku. Madame Wilson wraz ze swymi pisklętami wyjechała do rozległych włości Prudhomme'owskich, podziękowawszy dziedzicowi za propozycję stałej siedziby w Harrow. Stephen zaprosił do ogromnego stołu liczne zastępy Prudhomme'ów — zdaje się, że ród Wilsonów całkiem już wyginął. Strapienie losem krewniaczki wcale nie umniejszyło ich nadzwyczajnego apetytu.

— Jest tylko jeden kłopot — szepnęła Stephen do Odalie

— i oni dobrze o tym wiedzą: nie znajdują dla niej drugiego męża. Tyle gąb do żywienia! Wcale im się nie dziwię.

Nastała jesień, lecz upał nie ustępował. Komin cukrowni jak dawniej górował dumnie nad okolicą, lecz z jego czeluści nie wydobywał się najmniejszy obłok dymu, zabrakło trzciny do produkcji cukru. Gdyby nie pożyczka Toma Warrena, Stephen musiałby sprzedać trochę ziemi, by opędzić długi, jednak w tej sytuacji mógł bez trwogi patrzeć w nadchodzącą zimę.

Przedłużające się upały były dla Odalie prawdziwym dopustem. Wątła z natury, ciężko znosiła uporczywe mdłości i omdlenia. Przestała wychodzić z domu, gdyż nogi spuchły jej w kostkach i kolanach. Przeważnie leżała w łóżku, zamartwiając się swoją zniekształconą figurą. Wciąż popłakiwała, pełna obaw, że już nigdy nie odzyska dawnej smukłości. Napadała na

Stephena krzycząc, że go nienawidzi, wyrzucała mu okrucieństwo i Bóg wie co jeszcze, odgrażała się, że go porzuci.

Wszystko to znosił Stephen z nadzwyczajną cierpliwością, zwłaszcza gdy przyszło ochłodzenie i rozpadały się zimowe deszcze: wiedział, że w przyszłym roku doczeka się obfitych zbiorów. Odalając się dzieckiem i nie znajdując czasu, by uprzykrzać mu życie.

Mijały niespieszne zimowe dni. Wydawało się, że lodowate deszcze już nigdy nie przestaną padać. Parokrotnie, ubrany w ciepły paltot, Stephen wyjeżdżał sprawdzać stan grobli. Kto wie, jak wysoko podniosą się wody, kiedy zaczną topnieć śniegi w Północnych Terytoriach i rozpadają się wiosenne deszcze. Podczas tych wypraw zaglądał do murzyńskich chat, ciekaw jak się powodzi jego ludziom. Brak nadzorca komplikował mu życie, lecz postanowił sobie, że jakoś się bez niego obejdzie, dopóki nie znajdzie na to stanowisko osoby o właściwych kwalifikacjach.

Nie pominął żadnej chaty, sprawdzał, czy są dość suche, ciepłe a także schludne. Niejeden lokator musiał się brać w środku nocy za miotłę i mokrą szmatę, gdyż przychodzący z nie zapowiedzianą wizytą chlebobdawca kręcił nosem na zaduch i nieporządku.

Jedną z ostatnich wizyt złożył w chacie Achille'a. Lśniła od czystości, stały w niej prymitywne sprzęty, wykonane ręką Achille'a, który jak zauważył Stephen, wzorował się na meblach Harrow. Na łóżku, pojękując z cicha, leżała La Belle Sauvage.

— Co z nią? — zapytał Stephen.

— Kiepsko, panie. Uroiła sobie, że jest damą i cierpi jak dama. A przecież robotnice polowe lekko to znoszą.

— Ja dzika księżniczka — usłyszeli wśród pojękiwań — nie żadna niewolnica polowa!

— Cicho bądź! — zgromił ją Achille. — Nie odzywaj się tak do pana!

— Nic nie szkodzi, Achille — uspokoił go Stephen.

— W tym stanie wszystkie chcą, żeby im trochę podogadzać.

Na kominku z niegładzonego kamienia stały dwie zapalone świece, a między nimi posązek z jakiegoś ciemnego, nieznanego drewna. Stephen patrzył zaintrygowany — posązek wyszedł spod dłuta wytrawnego artysty. To jakiś afrykański wyrób, pomyślał, rodzaj fetysza czy bożka plemiennego. Wziął posązek do ręki — jakże był paskudny, nieomal sprośny!

— Co to jest? — spytał Achille'a.

— Wanga — wymamrotał Achille cicho i jakby z trudem. — Potężny Wanga. Maître nie powinien go dotykać!

— Modlisz się do tego paskudztwa, Achille?

— Ja katolik, tak jak wielmożny pan...

— A ona?

— Ona jeszcze dzika, maître. Nic nie rozumie...

— Ach tak. Belle...

Wielkie brązowożółte oczyska błysnęły w stronę Stephena.

— Nie powinnaś tego czcić — powiedział spokojnie.

— To tylko kawałek drewna, nie ma nad tobą żadnej władzy. Spójrz, pali się jak każde inne bierwiono.

Rzucił posążek w ogień. La Belle Sauvage siadła gwałtownie na posłaniu i chata aż się zatrzęsała od jej przeraźliwego krzyku. Achi!k przytrzymał ją na łóżku ruchem zdecydowanym lecz delikatnym.

— Niech maître lepiej odejdzie — powiedział. — Znów ją ponosi.

— Masz rację. Przykro mi, że doprowadziłem ją do tego stanu. — Otuliwszy się w płaszcz, wyszedł na dwór, w ulewę. Pograżony w myślach, zmierzał niespiesznie w stronę Harrow, nie zważając na strugi deszczu. Trzeba by posłać do nich ojca DuGois z katechizmem, dumiał. Ale co by powiedział na moje własne zaniedbanie spraw wiary? Dość mam zgryzot bez grzebania się we własnej duszy. Westchnąwszy pobrnął dalej po rozmięklej od deszczu drodze.

Przy schodach dworu stał jakiś koń. Zwierzę było zupełnie wyczerpane, rozstawiwszy szeroko przednie nogi, mocno robiło bokami, buchały od niego kłęby pary.

— Biedaku — mruknął Stephen — ktoś ci dał dobrze do wiwatu. Ciekawym...

Gdy osiągnął szczyt schodów, otworzyły się drzwi i ciepłe, żółte światło zalało podest.

— Maitrel — zawołał Georges podniecony — nigdy by pan nie zgadł! Nigdy przynigdy!

W tej chwili odepchnął go Ti Demon, uśmiechnięty od ucha do ucha.

— Monsieur André kazał mi to przywieźć — powiedział chichocząc — to bardzo ważna wiadomość.

Stephen rozerwał pieczęć na miękkiej od deszczu ćwiartce papieru i przeczytał:

Kochany Stephenie,

Mam syna i dziedzica! Jest przepiękny — ma oczy Amelii i mocną szczękę Le Blanców. Papa zupełnie oszalał z radości.

Pozwoliłem sobie nazwać go Stephenem — Twoim imieniem, staruszku! Niecierpliwie wyglądamy Waszych odwiedzin.

André

Błękitne oczy Stephena zaiskrzyły się łobuzersko, uśmiechnął się lekko. Tak szybko? Przecież dopiero luty. André ojcem — wprost nie mieści się w głowie. Odwrócił się do Georgesas:

— Weź Ti Demona do siebie i daj mu suchą odzież, żeby się przebrał. Możesz także otworzyć butelkę tafii, ale niech tylko któremu zachce się awantur, to każę obydwu przetrzepać skórę. I dopilnuj, żeby jego konia odprowadzono do stajni i nakarmiono.

Poszedł prosto do buduaru Odalie.

— Jak się czujesz, kochanie? — spytał podchodząc do szezlonga, na którym spoczywała.

— A co cię to obchodzi?! — krzyknęła z wściekłością.

— Przez ciebie to wszystko! A teraz wiecznie gdzieś przepadasz i wcale byś się nie przejął, gdybym umarła!

— Uspokój się, kochanie, przecież to ci szkodzi — powiedział siadając obok żony. — Ziściło się życzenie André i Amelii. La Place doczekało się dziedzica. Nazwali go Stephenem na moją cześć.

— To niemożliwe, Stephenie! Nie możesz na to pozwolić!

— Ale dlaczego? Moje imię nie zaszkodzi małemu.

— Na litość boską, Stephenie — a jakie imię damy NASZEMU dziecku?!

— Święci Pańscy! Nie pomyślałem o tym! To rzeczywiście zmienia sprawę.

— Stephenie...

— Tak, kochanie?

— Czy... bardzo byś się sprzeciwiał, gdybym ochrzciła go Etienne? Wiem że nie lubisz francuskich imion, ale to imię znaczy przecież to samo. Zresztą i tak mówiłabym do niego mój mały Tienne, nawet gdybyś nazwał go Stephenem.

— A jeśli to będzie dziewczynka — spytał z uśmiechem

— co wtedy?

— Och nie, wykluczone! Umarłabym, gdyby to była dziewczynka!

— Pokochasz je tkliwie, cokolwiek to będzie — powiedział łagodnie i pocałował ją w czoło. — Nazwij je jak chcesz — powiedział cicho już w drzwiach.

Lodowate deszcze zimowe odeszły, wonne deszcze wiosenne spulchniały czarną ziemię ciepłymi palcami. Gdzie jej dotknęły, zieleniła się i kwitła. Trzcina wybujała wyżej niż to bywa w czerwcu, na niezmiierzonych polach kędzierzawiły się bawełniane szypułki. Rzeka, nabrzmiała wielomiesięcznym deszczem i stopniałymi śniegami Północy, toczyła

huczące wody ledwie kilka stóp poniżej szczytu grobli, dzień i noc patrolowali je Murzyni, na wypadek gdyby wysoka fala przedarła się nagle przez umocnienia.

Teraz gdy zbliżał się czas rozwiązania, Odalie czuła się zadziwiająco dobrze. Prócz pewnej ociążałości i znużenia nic jej szczególnie nie dolegało. Nudności i zawroty głowy znikły jak ręką odjął, zaczęła jej ciężyć beczynność.

Często jeździła teraz na wieczorne przedstawienia do Thé'tre d'Orleans. Osłonięta gęstą woalką wysiadła przy bocznym wejściu teatru, gdzie czekał na nią ktoś z personelu, by poprowadzić ją osobnymi schodami do loge grillé, którą Stephen wynajął specjalnie dla niej. Ukryta za ozdobną kratką łoży, mogła cieszyć się lekkimi operami autorstwa Johna Davisa. Często, właściwie za każdym razem, towarzyszył jej Stephen, a gdy nie mógł z nią jechać, nie odstępował jej Caleen, Georges i czasem Zerline — jak zawsze, gdy wyjeżdżała z Harrow.

Siedząc obok żony pod koniec owej wiosny, Stephen zerkał przez ażurową kratkę na scenę. „La Dame Blanche” to nie jest opera najwyższego lotu, myślał, a wykonanie poniżej wszelkiej krytyki. Ale skoro Odalie znajduje w tym przyjemność... Spojrzał na nią kącikiem oka. Była sinoblada, powstrzymywała grymas bólu. Wyciągnął do niej rękę — schwyciła ją kurczowo, wbiła się w nią paznokciami.

— Stephenie... — szepnęła — chyba... chyba nie będę czekać na balet.

Wstał, podał jej ramię.

— Więc się zaczęło? — zapytał ogromnie przejęty.

— Tak... Stephen... Lepiej się pospieszmy!

— Doktor Terrebonne ma gabinet parę kroków stąd. Zawiozłbym cię do niego...

— Nie, nawet nie próbuj!

— Ale dlaczego? Tak byłoby najbezpieczniej.

— Jedźmy do Harrow, Stephenie! On musi urodzić się w Harrow. To jego święte prawo!

Stephen porwał ją na ręce i zaniósł do powozu.

— Harrow! — rzucił w stronę stangreta. — Ruszaj z kopyta. — Georges!

— Tak, maitre!

— Pędź na ulicę Dumaine do doktora Terrebonne. Powiedz mu, że czekamy go w Harrow najpóźniej za godzinę. Powiedz mu, że sprawa jest pilna, bardzo pilna! Ruszaj!

Przez całą długą drogę do Harrow, Odalie trzymała rękę męża w kleszczowym uścisku. Nie pozwoliła sobie na najmniejszy jęk, tylko czasem

mocniej zwieraała palce, aż białeły kostki, a na czoło występowały drobne kropelki potu.

Stephen podtrzymywał jej głowę na swojej piersi i starał się w miarę możliwości chronić przed wstrząsami i kołysaniem rozpedzonego pojazdu. Do diabła z taką drogą, mruzczał wściekle za każdym razem, gdy koła wpadały w wyboje.

Nareszcie potoczyli się gładką nawierzchnią dębowej alei Harrow. Stangret pociągnął biczem po spienionych grzbietach i konie przeszły z kłusu w oszalały galop: nigdy ich dotąd nie bito. Zajechawszy przed dwór, tak gwałtownie wstrzymał konie, że pokaleczył im pyski wędzidłem, stanęły dęba, mocno zarzucając kareta.

— Czyś ty oszalał, przeklęty! — ryknął Stephen.

— Chcesz nas wszystkich pozabijać?

Przerażone konie uspokoiły się powoli. Stephen zeskoczył na ziemię i wyciągnął ramiona do Odalie, osunęła się w nie bezwładnie. Stephen szybko, lecz bez wstrząsów, zaniósł ją na górę, Caleen już na nich czekała.

— Wielka sypialnia już oporzędzona — oświadczyła.

— Postawiłam wodę na ogień. Wnet się zagotuje. Niech pan ostrożnie zanieś panią. Teraz ja się nią zajmę.

— Skąd wiedziałś, do czarta? — zdziwił się.

— Caleen ma swoje sposoby — odparła z tajemniczą miną. W rzeczywistości wyglądała na drogę z wysokości belwederu i dostrzegła powóz pędzący nadrzecznym traktem jak burza. Wiedziała, że pan, jadąc w powozie z panią, tylko z jednego powodu mógł tak popędzać konie. Jednak nie przyznałaby się do tego za żadne skarby. Lepiej niech wierzą w jej czarnoksiężską moc.

Stephen zaniósł Odalie do paradnej sypialni i złożył delikatnie na wielkim łożu z baldachimem, zaś Caleen i Zerline rozebrały ją powolutku. Stephen bez ustanku krążył po sypialni, szarpała nim dzika furia. Dlaczego ten nędzny łapiduch wciąż nie nadjeżdża? Twarz Odalie wykrzywił ból, lecz nie pozwoliła sobie na najcichszą skargę. Wyciągnęła drobną rękę do męża, gdy przykląkł u jej wezgłowia. Twarz miał spiętą i pobladłą, blizna przecinała skroń siną pręgą.

— To nic, mężu — szeptała Odalie. — Nic mi nie jest. Nie przejmuj się tak...

Po chwili po jej pięknej twarzy przebiegł grymas tak bolesny, że Stephen zerwał się na równe nogi.

— Georges! — ryknął — Zerline, odzyskaj Georges! Ma w tej chwili jechać do miasta po tego przeklętego medyka! Niech weźmie Arrow — nie

dbam, czy mu połamię nogi albo zajeżdź na śmierć, byle dojechał na Dumaine w ciągu godziny. No, już cię tu nie ma! Żywo!

Zerline wybiegła z pokoju z furkotem spódnic.

— Niech nie siada na Arrow — szepnęła Odalie.

— Każ mu wziąć innego konia. — Dobrze wiedziała, że Stephen przepada za tym pięknym karym ogierem, którego przygotował do jesiennych zawodów na torach wyścigowych Metairie.

— Żaden inny nie jest tak szybki — powiedział Stephen.

— Odpoczywaj, kochanie, musisz oszczędzać siły. Półtorej godziny później przybył doktor Terrebonne.

Stephen z trudem hamował gniew wobec podobnej opieszałości, lecz ten mały, pulchny Kreol tryskał takim humorem, taka była od niego wiara w siebie i innych, że Stephen nie mógł długo się bocyć.

— Ach, monsieur — zagadywał medyk wesoło — ręczę, że urodzi się chłopak na schwał, ale jeśli dalej będzie pan tak latał po pokoju, gryzł paznokcie i mienił się na twarzy, to kto wie, czy madame nie zostanie wdową jeszcze tej nocy. Ma pan whisky?

Stephen kiwnął głową, że ma.

— Doskonale. Niech więc pan stąd idzie i upije się do nieprzytomności — tylko niech mi się pan nie płacze pod nogami. Nie pozwolę, by mi przeszkadzano. Potrzebuję niewiasty do pomocy — z mocnymi nerwami — żadnej z tych podfruwajek!

Stephen milczkiem wskazał na Caleen.

— Podejdz tu, kobieto — powiedział lekarz i dodał z szerokim uśmiechem: — Kto wie, pomoc więdźmy może mi się przydać!

Oględziny przeciągały się w nieskończoność. Stephen czekał za drzwiami, nieruchomy jak posąg. Gdy wreszcie mały doktor otworzył drzwi, rzucił się nieprzytomnie w jego stronę.

Okrągła, sowa twarz medyka była poważna. Stephen patrzył nań w milczeniu, niezdolny wymówić słowo.

— Niech pan pośle kogoś do domu mojego kolegi, doktora Lefevre. Chcę, żeby tej nocy przejął opiekę nad moimi pacjentami. Ja tu zostaję.

— Czy... czy jest aż tak źle, doktorze?

— Tak, jest niedobrze — odparł lekarz.

— Matko Boża... — szepnął Stephen.

— Budowa pańskiej małżonki utrudnia poród. Ma zbyt wąskie biodra, a dziecko jest nieprzeciętnie duże. Poza tym, jak wiele dam wysokiego rodu, jest zbyt wydelikacona. Jeśli wyżyje, to niech pan sobie dobrze zapamięta: to dziecko musi być ostatnie.

— Jeśli wyżyje... Boże, człowieku, czy wiesz, co mówisz?

— Wiem — odparł lekarz — wiem doskonale. Niech się pan weźmie w garść, monsieur. Chce pan, żeby w jedną noc wymarli wszyscy Foxowie? Czy ma pan jakiś pokoik, gdzie mógłbym odpocząć?

— Zerline — powiedział Stephen nie patrząc na niego — zaprowadź doktora do północnego skrzydła.

Doktor Terrebonne przespał tę noc aż do rana, Stephen spał niewiele. Odalie straszliwie cierpiała, nie mógł znieść widoku takiej męki. Po tysiącokroć biegł do jej pokoju i zaraz się wycofywał, widząc jak ból zwięża jej piękne oczy, wykrzywia usta. Za drzwiami obrzucał się najplugawszymi wyzwiskami, które poznał podczas wieloletniej tułaczki. Gdy klęczał u jej wezgłowia, modlił się cicho do Najświętszej Pani, by zachowała przy życiu Odalie i jej nie narodzone dziecko.

Niezdolne męczarnie, z rzadka przerywane chwilą wytchnienia, ciągnęły się przez cały następny dzień. Odalie, wciąż milcząca, modliła się w duszy o szybkie skonanie. Więc w ten sposób rodzi się nowe życie, mówiła sobie, w przerażającej, ohydnej męce, której nic i nikt nie może ulżyć.

Drugiej nocy, nad ranem wyczerpanego lekarza zmorzył sen, drzemał niespokojnie w swoim pokoju, podczas gdy nad położnicą czuwała Caleen. Za drzwiami Stephen, bez chwili wytchnienia, przemierzał odcinek długości dziesięciu stóp — kilka kroków w jedną stronę i tyle samo z powrotem, jak dzikie zwierzę w klatce. Nagle Odalie jęknęła cicho, tak cicho, że nie usłyszałby jej ktoś stojący dwa kroki od łóżka. Caleen pochyliła się nad panią, wijącą się w bólach na wielkim łożu. Za późno, by wołać lekarza, a wezwać pana byłoby niewybaczalną głupotą, Caleen zrobi wszystko co trzeba — sama.

Kwadrans później Stephen znieruchomiał w dziwacznej pozycji — z przechyloną głową, zjedną stopą uniesioną do góry. Zza drzwi dobiegł odgłos energicznych klapsów a potem zakwilił cienko jakiś słaby głosik, męźniał i wznosił się z każdą chwilą, aż rozkrzyczał się na cały hall. Stephen oparł się o drzwi, nie miał siły przekręcić gałki.

W tej samej chwili odepchnął go od drzwi Achille, oczy miał szkliste i jakby ośleple, a ruchy człowieka niepo czytelnego.

— Caleen! — ryknął wpadając do sypialni. — Chodź natychmiast! Dziecko się rodzi! Na miłość boską, Caleen, chodź ze mną!

Caleen spojrzała na syna zimnym wzrokiem.

— Wynoś się stąd, ty głupcze — powiedziała cichym, opanowanym głosem. — Zanim zabijesz młodą panią. Murzynki nie umierają, a jeśli ta umrze, to i dobrze. Przyjdę, jak będę mogła. Jazda stąd!

Achille patrzył w milczeniu na rozszrozoną matkę, po jego czarnej twarzy spływały wielkie łzy. Po chwili odwrócił się i wyszedł. Stephen, blady jak chusta, rozdygotany, pochylił się nad znieruchomiałą Odalie.

— Czy ona... — zaczął rwącym się głosem — czy ona...

— Maitresse nic nie jest — odparła Caleen surowo.

— Ty też się stąd zabieraj, panie. Przeprowadź tego swojego doktora.

Kiedy doktor Terrebonne wyszedł od położnicy, na jego puciołowatej twarzy malowało się szczere zdumienie.

— Może pan żądać każdej ceny za tę starą Murzynkę — oświadczył. — W całej mojej praktyce lekarskiej nigdy...

— Tyle pieniędzy nikt nie ma — zawołał Stephen uszczęśliwiony — nikt na całym świecie!

— Ma pan wspaniałego syna — powiedział lekarz.

— Może go pan teraz zobaczyć, jeśli pan chce.

— Jeśli chcę? — huknął Stephen. — Niech mnie pan spróbuje powstrzymać, to się pan przekona.

Gdy weszli do pokoju, Caleen wzięła z łóżka małe zawiniątko i wyszła im naprzeciw. Stephen pochylił się nad synkiem, śpiącym smacznie w ramionach staruchy. Cofnął się strapiony.

— Święci Pańscy — szepnął — jakież on brzydki!

— One wszystkie tak wyglądają na początku — oświadczył Terrebonne.

— Jeśli chce pan wiedzieć, to ten malec jest nieprzeciętnie urodziwy — jak na noworodka!

— W takim razie zadowolę się tym jednym — powiedział Stephen. — Popatrzcie, jest czerwony jak pomidor! I jaka bujna czupryna!

— Brunet, po matce — stwierdziła Caleen. — Ale oczy ma niebieściutkie jak ty, maitre.

— Dobrze i to! — zaśmiał się Stephen — bo już miałem się go wyprzeć!

— Pani się obudziła — powiedziała Caleen. Stephen odwrócił się od dziecka i przykląkł przy matce.

— Dziwne — powiedział lekarz. — Spała tak spokojnie, jakby wszystko z nią było w najlepszym porządku.

— Dałam jej coś.

— Co to było? — zainteresował się. — Gdybym miał ten lek, uratowałbym połowę kobiet, które umierają w połogu. Co to było, Caleen? Jakich użyłaś składników?

— To tajemnica! — ucięła Caleen. — Białemu nie można tego mówić!

— Więc jednak nie umarłam — szepnęła ledwie dosłyszalnie Odalie. — Chociaż błagałam Maryję o śmierć... Co z dzieckiem, Stephenie?

— Ma się doskonale — odparł z uśmiechem. — To syn, tak jak chciałaś. A ty wrócisz do zdrowia.

— Czy mogę go zobaczyć? Chcę go przytulić, mojego małego Tienne. Gdzie on jest?

Caleen podała jej śpiące niemowlę.

— Jest śliczny — szepnęła Odalie. — Rad jesteś, mężu?

— Nie jestem w stanie wyrazić mojej radości — odparł Stephen. — Teraz musisz odpoczywać. Strasznie się namęczyłaś — musnął ją leciutkim pocałunkiem, wargi miała pokąsane do krwi.

— Nie ruszaj się od pani — przykazał Caleen.

— Maître pozwoli, że zawołam Zerline? Pani już ma się dobrze. Chcę zająć się dzieckiem Achille'a — moim wnukiem. Może zemrzeć — nikogo tam nie ma do pomocy.

— Mój Boże, zupełnie zapomniałem! Chodź, pójdziemy razem. Doktorze, czy mogę ją teraz bezpiecznie zostawić?

— Oczywiście, tak będzie nawet lepiej. Tylko by ją pan niepokoił. Niedługo sam tam pójde, rzucę okiem na Murzyniátko. Jak widzę, w Harrow wszyscy się rozmnażają na potęgę. Muszę, uważać, żeby mi się to nie udzieliło. Mam pięciu synów — to wystarczy!

Idąc w stronę murzyńskiej kolonii, Stephen słyszał huk rzeki. Wody sięgały już szczytu grobli, pokrzykiwały głucho ciemnymi głosami. Stephen zadął głowę, wypatrując Murzynów, którzy pilnowali nasypu. Niedobrze, gdyby teraz nastąpił przeciek, Odalie nie można przewozić w inne miejsce, potrzebny jej spokój. Na tle nieba zarysowała się jakaś nieduża, przygarbiona postać. To stary Josh. Jest z niego pociecha, chociaż ledwie się w nim dusza kołacza.

Chociaż Stephen szedł bardzo szybko, Caleen jednak go wyprzedziła. Weszła pierwsza a Stephen za nią, przysłaniając chusteczką twarz przed ciężkim odorem połogu. La Belle Sauvage leżała na wyrku, tuląc do siebie duże, zdrowe, smolście czarne niemowlę. Przyjrząwszy mu się z bliska, Stephen zauważył, że odziedziczyło część niezwyklej urody swej matki.

— Syn? — zapytał.

— Mały mężczyzna — szepnęła Sauvage — wojownik swojego plemienia! — Zanuciła niemowlęciu jakąś dziką nieznaną pieśń, dźwięk ten był Stephenowi przykry.

Achille był jednym wielkim uśmiechem.

— Sama go rodziła, samiuteńka! Przegryzła pępowinę tymi kocimi zębami! Powiadam panu, maître, nie ma takiej drugiej!

Stephen pochylił się nad dzieckiem.

— Wspaniały chłopak, Belle — powiedział. — Dobrze się spisałaś. Caleen, to dziecko ma się chować osobno. Chcę, by go szkolono na lokaja dla mojego Etienne'a. Dobrze mu się będzie żyło, nauczy się wielu rzeczy. I nie będzie musiał harować w polu.

Caleen uśmiechnęła się po chwili, lecz Sauvage zeszywniała nagle, przycisnęła dziecko do nagiej piersi.

— Mój syn nie będzie niewolnikiem! — zawołała.

— To księżę! Księżę — wojownik! Będzie zabijał słonie, przewodził ludziom! On niczyj niewolnik, niczyj sługa!

— Cicho, dziewczyno — ofuknął ją Achille. — Będzie tak jak mówi maître.

— Nie będzie mu źle, Belle — wtrącił Stephen z uśmiechem. — Daj mi go na chwilę.

— Nie! — krzyknęła przeraźliwie. — Nie dotykać! — zerwała się z posłania niczym wielka kocica i jednym susem dopadła drzwi. Achille rzucił się za nią w pogoń, z tyłu biegli Stephen i Caleen.

Lecz potężny, ocieężały Murzyn nie mógł się mierzyć ze śmigłą jak pantera Belle. Patrząc, jak biegnie, zupełnie naga, Stephen myślał: Oto prawdziwie piękna kobieta, nie ma piękniejszej niż ta. Nagle krzyknął i przyspieszył biegu, La Belle Sauvage biegła prosto do rzeki.

Wbiegła na groble z wdziękiem czarnej pantery — bez wysiłku, długim, lekkim krokiem. Nie wypuszczając dziecka, zamarła na chwilę w bezruchu — długonoga, o wklęsłym brzuchu, wysokich połyskliwych piersiach sterczących jak dwa ostre stożki. Z boku nadbiegł Josh, wyciągając do dziewczyny wyschłe ramiona.

— Zatrzymaj ją! — ryknął Stephen.

Stary dopadł dziewczyny. Po krótkiej szamotaninie, wyrwała mu się. Stała na nasypie jak lśniący czarny posąg — jej sylwetka zarysowała się wyraźnie na tle wody i nieba — i uniosła niemowlę wysoko nad głową.

— To mężczyzna — skandowała — mężczyzna i wojownik! Zginie, ale nigdy nie będzie niewolnikiem!

W tej chwili Achille dopadł Belle, sięgnął po niemowlę, w następnej chwili dobiegł Stephen i wspólnymi siłami wydarli krzyczące dziecko z jej rąk. Dziewczyna upadła na wznak, żółte oczy płonęły dziko w czarnej twarzy. Po chwili zerwała się z okrzykiem i rzuciła się w mętny, spieniony nurt, woda wystrzeliła w górę jak dwa żółte skrzydła i opadła. Rozszalała rzeka wyła jak żywa istota.

Achille wcisnął dziecko w objęcia Caleen, lecz Stephen rzucił się za nim. Schwycił czarnego olbrzyma w pól, Josh uczył się jego ramienia a Caleen,

czule położywszy wnuka na błotnistej ziemi, zacisnęła żylaste ramiona wokół szyi Achille'a.

— Puście mnie — płakał Achille. — Ona się utopi, utopi!

— Pewnie, że się utopi, ty głupcze — odparł Stephen.

— Nic jej nie uratuje. — Pięćdziesiąt jardów w dół rzeki głowa Sauvage mignęła nad wodą, lecz zaraz przepadła w żółtym spienionym nurcie. Huk rzeki wprost ogłuszał. Caleen podniosła dziecko, poszli w stronę domu. Wielkie ręce zwisały bezwładnie u boków Achille'a, twarz miał zalaną łzami. Stephen położył rękę na jego ramieniu.

— Nie zamartwiaj się nią — powiedział. — Ona do ciebie nie pasowała. Znajdę ci inną — miłą, łagodną, taką z którą lepiej będzie tobie i małemu.

Achille nie odpowiadał, szedł w stronę murzyńskiej kolonii, łkając jak małe dziecko.

Starucha niosła niemowlę pograżona w zadumie, w jej pradawnych oczach jarzył się spryt. — Inch — mruzczała.

— Nazwę go Little Inch, po dziadku. Nie będzie taki jak Achille, ale wyrośnie na prawdziwego mężczyznę. Zniewolą mu ciało, ale rozumu i serca — nigdy. Ja go wyuczę. Ma w sobie krew dziadka i tej dziewczyny. Mężczyzna, wojownik! — uśmiechnęła się do siebie.

— Z czego się śmiejesz, stara wiedźmo? — warknął Stephen. — Wiem, że jej nienawidziłaś, ale śmiech tu nie na miejscu.

— Wcale się nie uśmiecham, jaśnie panie — zaszemrała pokornie.

ROZDZIAŁ 13

Rok 1831 był bardzo pomyślny dla Nadrzecza. Wielkie plantacje rozrastały się i kwitły, lecz Harrow wciąż wiodło prym. Tego roku aż dwukrotnie musiał Stephen dokupywać niewolników. Wydany jeszcze w 1808 roku zakaz sprowadzania siły niewolniczej z Afryki nie był zbyt ściśle przestrzegany. Na rozległych polach Harrow pracowało teraz prawie półtora tysiąca Murzynów.

Zwróciwszy dług Tomowi Warrenowi, pospłacawszy przeróżnych dostawców, Stephen inwestował w coraz nowsze i doskonalsze maszyny. Otworzył konta w dwóch największych bankach nowoorleańskich, jednak większość kapitału ulokował w odległej Filadelfii.

— Ci wasi luizjańscy bankierzy — mówił André — są dokładnie tacy, jak każdy przeciętny Luizjańczyk: kierują się bardziej emocjami niż rozsądkiem i przewidywaniem. Tam gdzie w grę wchodzi pieniądze, zawsze wybiorę oschłego Jankesa.

Mały Etienne Fox właśnie skończył rok i już stawiał pierwsze kroki. Jego narodziny całkowicie odmieniły życie Harrow, wszyscy i wszystko skupiło się wokół tej małej osoby. Caleen nie spuszczała go z oka za dnia, a nocą biegała do jego łóżeczka, gdy tylko zapłakał. Pochłonięta dzieckiem Odalie zapomniała o istnieniu Stephena. Aurore częściej bawiła w Harrow, a stary Pierre właściwie zamieszkał tu na stałe.

Etienne był bezsprzecznie niezwykle dzieckiem, choć tylko matka uważała, że jest piękny. Typ urody wziął po odległych przodkach znad Morza Śródziemnego: cerę miał smagłą jak Mulat i jak Mulat granatowoczarne puszyste kędziory. Dopiero kiedy podnosił na gościa skupione spojrzenie, rozlegały się ciche okrzyki zdumienia i zachwyty, gdyż Etienne miał błękitne oczy swego ojca, ich świetlistość wzmacniał kontrast z ciemną skórą i włosami. Już w niemowlęctwie był cichym dzieckiem, rzadko śmiał się i gaworzył. Rzadko też płakał i wydawało się, że przebywa we własnym, niedostępnym dla innych świecie.

André i Stephen zorganizowali spotkanie spadkobierców swoich nazwisk i fortun, gdy tylko obydwaj maluchy zaczęły raczkować. Szczególnym trafem mały Stephen Le Blanc był równie jasnym blondynem, jak Etienne — smagłym brunetem. Podobnie jak niegdyś ich ojcowie, obydwaj chłopcy tworzyli przyjemny dla oka kontrast. Jednak młodzi ojcowie mieli się przekonać, że niemowlęta to naród indywidualistów. Każda zabawka w rączkach jednego malucha natychmiast stawała się celem pragnień

drugiego, wrywał ją „właścicielowi” przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Także Odalie i Amelię zbliżyło to jednoczesne macierzyństwo. Ze strony Odalie była to przyjaźń pełna szczerego uczucia. Coraz bardziej polegała na opiniach tej trzeźwo myślącej młodej Amerykanki, przejmując jej upodobania i styl życia. Jednak Amelia zdawała sobie sprawę, że ma dla Odalie więcej współczucia niż sympatii i przywiązania. W jej osądzie ta śliczna Kreolka była tak samo ubezwłasnowolniona jak najlichsza niewolnica z plantacji, niewidzialne pęta tradycji, obyczaju i wielowiekowych nawyków myślowych ograniczały ją równie skutecznie jak stalowe okowy. Stephen — myślała Amelia ze szczególnym poczuciem winy, które nawiedzało ją za każdym razem, gdy pozwalała sobie na jakąkolwiek myśl o nim — był mężczyzną, za którego każda poszłaby za mąż z zamkniętymi oczyma, wydawało się jednak, że Odalie jest wobec niego bardziej obowiązkową niż rozkochaną żoną. Obowiązkowość i uczucie przymusu wobec kogoś takiego jak Stephen — to po prostu nie mieści się w głowie!

Mimo iż rzadziej widywała się z Aurore, to właśnie ona o wiele bardziej przypadła Amelii do serca niż jej oschła, władcza siostra. Jeden rzut oka wystarczył, by odgadła strapienie tej uroczej dziewczyny o ślicznej, melancholijnej twarzyczce. Nie szczędziła zabiegów, by nawiązać z nią bliższe stosunki. Jej starania wydały owoce, wkrótce Odalie zaczęła narzekać, że jej siostra więcej czasu spędza w La Place des Rivieres niż w Harrow.

Tak miały się sprawy, gdy Mike Farrel znów zawitał na wielką plantację.

— Kłopot w tym — powiedział Stephenowi — że taki stary flisak jak ja nie jest już nikomu potrzebny. Małe parowce robią tę samą robotę dwakroć szybciej i za niewiele większe pieniądze. I mogą kursować i w dół i w górę rzeki. Mój czas się skończył, chłopcze. Szczegę gdzieś w kącie jak szczur ładowy.

— Bzdura — odpowiedział Stephen — będzie z ciebie doskonały kapitan żeglugi śródlądowej. Rzeczywiście już czas ruszyć to przedsięwzięcie.

Mike Farrel zakwaterował się więc w Harrow, po czym udał się razem do Nowego Orleanu, by omówić sprawę z Tomem Warrenem. Wczesną wiosną 1832 roku spłynął na rzekę nowy parowiec. Odalie, która była obecna przy wodowaniu, nazwała tę jednostkę „Creole Belle”*

* **Creole Belle (franc.) — piękna Kreolka**

Był to szybki statek pocztowy z dwoma jednakowymi kominami na przedzie i z przepychem urządzonymi kajutami.

Mike pilnie zgłębiał arkana nawigacji parowej. Znał rzekę lepiej niż większość pływających po niej kapitanów, lecz nieznamość maszyn stanowiła przeszkodę, z którą musiał się uporać. Sarkał, gdy przychodziło mu wykonywać polecenia jakichś żółtodziobów, lecz je wykonywał i uczył się tak zawzięcie, aż wreszcie parowcowe bractwo przyznało, acz niechętnie, iż pod jego boki wyrósł nowy, groźny rywal. Podczas pierwszego kursu pod pełnym dowództwem Mike'a „Creole Belle” tylko minuty dzieliły od pobicia rekordu szybkości w górę rzeki na odcinku do Cincinnati.

Między rejsami Mike pomieszkiwał w Harrow bez dawnego uczucia skrupowania wobec hojności gospodarza. Był teraz ważną osobistością — kapitanem żeglugi śródlądowej. Ubierał się jak przystało osobie jego stanu i używał życia co się zowie, jeszcze nigdy tak nie folgował swej słabości do mocnych trunków i młodych Mulatek. Stephen czuł się zmuszony ukrócić ten proceder, gdyż było jasne, że Mike zdemoralizuje całą plantację. Spokojnie, z humorem zaproponował temu ogromnemu Irlandczykowi, by gdzie indziej dogadzał swej grzesznej oskomie i na tym sprawa zakończyłaby się, gdyby nie Odalie, która postanowiła wtrącić swoje trzy grosze.

— Nie chcę go tu więcej widzieć! — szalała. — Ten twój przyjaciel to zwyczajne zwierzę. Jakim prawem naprzykrza się dziewczętom?

— Opamiętaj się, Odalie — mitygował ją Stephen.

— Ja sam zajmę się tą sprawą. Nie wypada, byś ty się do tego mieszała.

— Nie wypada! W szpitaliku są już dwa prawie białe noworodki. Harrow dostało się na języki wszystkich szlacheckich rodzin w okolicy! Niektórzy zaczynają gadać, że może któreś z tych dzieci jest twoje...

Stephen wstał, marszcząc jasne brwi.

— Dość tego, Odalie — powiedział spokojnie. — Jeśli chcę, by Mike został w Harrow, to jest to wyłącznie moja sprawa, i Mike zostanie, do kroćset!

— Jesteś podły! — wybuchnęła Odalie i opuściła pokój. W buduarze podjęła rozpoczętą robotkę. Czuliła nieznośny ból głowy. Szklaneczka porto z lodem mogłaby przynieść jej ulgę. Ma foi, jak gorąco! Choć był dopiero czerwiec, upał mocno dawał się we znaki. Pociągnęła za sznur dzwonka. Zerline długo nie nadchodziła. Gdy wreszcie się zjawiała, Odalie zawołała z rozdrażnieniem:

— Dlaczego jesteś taka opieszala? Dzwoniłam kwadrans temu.

— Przepraszam, madame — szepnęła dziewczyna.

— Czym mogę służyć?

— Musisz tak szeptać? — fuknęła Odalie z irytacją.

— Co z tobą, dziewczyno? Ostatnio jakoś ci humor nie dopisuje. Jesteś chora?

— Nie, maitresse, nic mi nie jest. Ja... czym mogę pani służyć?

— Przynies mi szklankę porto — schłodzonego. I na miłość boską pospiesz się. Głowa mi pęka.

Zerline poszła do drzwi powoli i jakby ociężale, dawna lekkość ruchów znikła bez śladu. Odalie patrzyła za nią ciekawie.

— Zerline! — zawołała, gdy pokojówka zamykała za sobą drzwi.

— Tak, madame!

— Podejdź do mnie.

Dziewczyna wróciła ociągając się, w oczach miała łzy.

— Przytyłaś — powiedziała Odalie, mrużąc czarne oczy. — Głównie w talii.

— O madame. ... — zapłakała Zerline — madame. ...

— Kto to był? No, weź się w garść, dziewczyno. Mów zaraz, kto to.

— No on, przecież pani wie. Suzette mu się nie daje, zawsze mu się jakoś wymknie, aleja nie jestem taka chybka jak Suzette. Nieraz mu uciekłam, ale raz nie zdążyłam — jest silny jak niedźwiedź.

Odalie wstała, ból głowy ustał, jakby go wcale nie było.

— Idź na dół do Caleen — powiedziała miękko — powiedz jej, że teraz należy ci się lepsze jedzenie i ulgi w pracy. Caleen nie powie ci złego słowa.

Zerline patrzyła na swą panią przez łzy uwielbienia.

— Madame jest taka dobra — szepnęła. — Najpierw przyniosę madame porto, potem pójde na dół.

— Nie chcę już porto, Zerline. Już mi niepotrzebne — dodała idąc do schodów.

Stephen jeszcze nie wyjechał w pole. Siedział nad wielką księgą rachunkową, wpisując narodziny sześciu niewolników płci męskiej, sprzedaż tysiąca bel bawełny, przechowywanej w jego składzie od zeszłorocznych zbiorów, a także wydajność purpurowej i pasiastej odmiany trzciny w zestawieniu ze starą odmianą malabarską. Podniósł oczy słysząc kroki żony.

— Stephen...

— Tak, moja droga?

— Muszę cię prosić, byś odesłał stąd tego człowieka. Stephen zamknął księgę znużonym ruchem.

— Czy nie omawialiśmy tej kwestii jeszcze dziś rano? — zapytał cicho.

— Tak, ale...

— Nie zmieniłem decyzji, moja droga, i nie widzę powodu, by ją zmieniać.

— Ale ja — tak! Być może nic cię nie obchodzi, że za jego przyczyną mnożą się tu małe mieszańce! Może to sprawa niewarta uwagi! Ale jeśli posuwa się tak daleko, że niewoli moją osobistą pokojówkę, to sędzę, że najwyższy czas z tym skończyć!

— Mike naprawdę to zrobił?

— Tak.

— Powiem mu, że podobne sprawy ma załatwiać na ulicy Girod. Tego już za wiele.

— Otóż to. Dlatego musisz mu pokazać drzwi. Stephen spojrział na żonę.

— Co to, to nie — odparł spokojnie. — Mike ma prawo mieszkać w tym domu do końca życia. Przynależność mu to.

— Albo on odejdzie — oświadczyła Odalie — albo ja! Stephen wrzucił ramionami.

— Wybór należy wyłącznie do ciebie. — Wstał i sięgnął po kapelusz i szpicrutę.

— Adieu, moja droga, spieszy mi się do pracy. Odalie patrzyła, jak kroczył zamasyście w stronę stajen.

Twarz miała spokojną, tylko kąciaki jej ust drżały lekko, postronny obserwator nie wiedziałby, czy Odalie za chwilę roześmieje się czy rozplacze. Po chwili odwróciła się w głąb domu.

— Georges! — zawołała.

Kamerdyner Stephena wyszedł ze spiżarni z miną winowajcy. Przez ostatnią godzinę jego głównym zajęciem były próby pocałowania Suzette, która zbywała go śmiechem i żartami. Ale on nie da się odprawić z kwitkiem, o nie! Suzette będzie jego żoną, zanim się obejrzy.

— Słucham panią — powiedział.

— Georges, każ zaprzęgać do karety. Zawołaj Caleen... i Zerline. Mają przyjść w tej chwili!

— Tak, maitresse — bąknął Georges nie na żarty przestraszony. Jeszcze nigdy młoda pani nie mówiła do niego takim tonem — nigdy! Wybiegł z pokoju jak wiatr.

Dwie godziny później nowoorleańskim traktem sunęła żółta kareta. W karecie byli: Odalie z małym Etiennem, Caleen, Zerline i służący Jean. Zerline popłakiwała cichutko, lecz Odalie, choć blejsza niż zwykle, była zupełnie opanowana. Stara Caleen patrzyła przez okno pustym wzrokiem.

Co będzie z wnukiem, którego musiała porzucić? Co się stanie z Little Inchem — krwią z krwi, kością z kości jego dziadka? To nic, Caleen do

niego wróci. Tylu rzeczy musi go nauczyć — czarów, podstępów, uników. Little Inch będzie musiał przechytrzyć wrogów, tak jak od wielu lat czyniła to Caleen. Pozorując uległość — zwycięży.

Powóz toczył się w gęstniejącym obłoku sierpniowej mgielki. W wielkim hallu, na stoliku przykrytym żółtym adamaszkiem bielił się list. Noc zapadła, we dworze panowało głębokie milczenie.

Stephen wrócił do domu w towarzystwie André. Młody Kreol przyjechał ze swojej plantacji i spotkał się ze Stephenem na polu. Jadąc przez rzędy trzciny rozprawiali o przerażającej korupcji, która rozpanoszyła się w radzie miejskiej, a której burmistrz Denis Prieur nie był w stanie wyplenić, o gwałtownie pogarszających się stosunkach między Kreolami i Amerykanami w związku z zażartymi sporami o podatki i zakres władzy państwowej, o słabnących wpływach kościoła katolickiego wobec ofensywy protestanckich sekt, zwłaszcza prezbiterian pod wodzą złotoustego kaznodziei o nazwisku Clapp, szczególnie po śmierci ojca Antoine'a, który zmarł w 1829 roku.

— A jaki miał pogrzeb! — unosił się André. — Nawet wolnomularze wystawili wartość honorową, chociaż wiesz, jak się zapatrują na wszystko, co ma związek z katolicyzmem.

— Tak, ale z o wiele większą pompą chowali rok później tego pirata, Dominique You — wtrącił Stephen ze złośliwym uśmieszkiem. — O ile sobie przypominasz, burmistrz ogłosił nawet publiczną żałobę. A który z tych dwóch był wybitniejszym człowiekiem? Ale ludzie zawsze woła Barabasha.

— Masz niestety wiele racji — odparł André z markotną miną. Po chwili jego przystojna twarz rozjaśniła się.

— Gwarzymy tu sobie jak para staruchów, a przecież tak niedawno ukradliśmy portki temu tłustemu opojowi...

— To było siedem lat temu, André.

— Siedem lat? Ma foi, aż tyle? A mam wrażenie, jakby to było wczoraj.

— Mnie ten czas wydaje się piekielnie długi.

— Nie jesteś szczęśliwy, staruszkule?

— Nie. Mam wszystko, czego pragnąłem — ogromne włości, dwór, żonę, którą sobie wymarzyłem, no i syna. Z tym wszystkim czuję w sercu wielką pustkę. Czasem myślę, że powinienem był wsiąść na pierwszy lepszy statek tego dnia, kiedy przyjechał Lafayette i popłynąć w górę rzeki.

— Stephen!

— Przepraszam cię, André. Przeżyliśmy razem niejedną dobrą chwilę, prawda?

— Oczywiście! Pamiętasz, jak w dwudziestym ósmym objeżdżaliśmy okolicę, kiedy zanosiło się na murzyński bunt?

— Tak, czarnuchy miały wtedy niezłą zabawę.

— W tym samym roku pojechaliśmy na plac Broni, żeby zobaczyć Andrew Jacksona*.

* **Andrew Jackson — prezydent Stanów Zjednoczonych (1829—1837)**

A pamiętasz te dwie Mulateczki — Odette i Jeanne? Obydwie chciały tylko ciebie. Odette siedziała naburmuszona prawie godzinę, zanim ją do siebie przekonałem.

— Ciszej, André — uśmiechnął się pod wąsem Stephen — w Harrow lepiej nie poruszać tych tematów, tu nawet drzewa mają uszy. No, jesteśmy na miejscu.

— André zsiadł z konia.

— Amelia zapragnęła domu w mieście — powiedział.

— Ale ja na razie nie spieszę się z budową, w mieście znów zaraza. Wiesz, Stephenie, w tym roku nawet Kreole zaczęły umierać, chociaż do tej pory żółta febra jakoś się nas nie imiała.

— To może zdecydujecie się wreszcie oczyścić miasto, bo ten brud i smród wołają o pomstę do nieba. Nic dziwnego, że lęgną się tam wszelakie choroby. Kiedy wieje wiatr, odór wyczuwa się na trzy mile od miasta. Cuchnąca padlina, robactwo, plugawe rynsztoki. Na miłość boską, czy oni muszą wszyscy powymierać, żeby wreszcie przejrzeć na oczy?

— Na to wygląda. Zmarło już ponad trzy tysiące osób, a to dopiero połowa lata.

Przechodząc przez hall, Stephen zauważył leżący na stoliku list. Rozerwał kopertę i szybko przebiegł wzrokiem jego treść.

— Co to za list? — spytał André zaintrygowany.

— Dlaczego masz taką minę?

— Odalio... odeszła ode mnie — powiedział Stephen spokojnie. — Wróciła do ojca, do Nowego Orleanu.

— Oczywiście pojedziesz zaraz po nią?

Stephen spojrział na przyjaciela, uśmiechnął się leciutko.

— Nie, nigdzie nie jadę.

— Ależ Stephenie...

— Moje psy, moje konie, Murzyni — i moje kobiety

— są mi posłuszne. Ona wróci. Nie kiwnę palcem, a ona znów będzie w Harrow.

Kiedy karetka zajechała pod miejską rezydencję Arceneaux, stary Pierre wyszedł ociężałym krokiem, by powitać córkę. Przez ostatnie trzy lata

bardzo się posunął — do tego stopnia, że zarządzanie Bellefont zaczęło przerastać jego siły. Obecnie całymi miesiącami przebywał w swoim dwupiętrowym miejskim domu, który stanowił jedną z osobliwości Nowego Orleanu, pozostawiając zarządcom pieczę nad plantacją. Witał swą pierwotną z posępną twarzą.

— Nie wątpię, że wiesz, co czynisz — powiedział.

— Jednak rozpad tego małżeństwa martwi mnie niepomieranie. Ale, wejdź, dziecko, w tym domu jesteś zawsze mile widziana.

Odalie wysiadła z karety, a za nią jej świta.

— Zajedź południową bramą — rzekł stary Arceneaux do stangreta. — Końmi zajmie się mój koniuszy. — Poszedł zgarbiony za córką.

Odalie natychmiast udała się do swojego apartamentu na drugim piętrze. Stary pan powoli, z mozołem wspinał się po krętych schodach. Kryształki kandelabru nawet nie zdrząły w zastygłym powietrzu, ciężki upał przygniatał czaszkę Pierre'a ołowianym brzemieniem. Pod drzwiami córki postać dłuższą chwilę, czekając aż mu wróci oddech.

— Zejdź na dół — przykazał Jeanowi — i powiedz Julesowi, żeby nam przyniósł wina. — Po wyjściu Murzyna opadł na najbliższe krzesło.

— Kiepsko ze mną — poskarżył się — robię się niedołączny.

— Mówisz głupstwa, ojcze — odparła Odalie. — Wyglądasz po prostu wspaniale.

— Dziękuję ci, ale jest inaczej. Odalie...

— Tak, ojcze?

— A gdybym tak posłał po Stephena, poprosił go tutaj — omówiłoby się tę sprawę? Wydaje mi się, że dobrze sobie radzi w Harrow. Może po ponownym rozważeniu to nieporozumienie wyda ci się mniej poważne.

— Nie, ojcze, ja już tam nie wrócę. Co się stało to się nie odstanie.

— Postępujesz nierozsądnie, córeczko. Stephen doszedł w Luizjanie do wielkich rzeczy. Niektórzy twierdzą, że stać go na jeszcze więcej.

— Nie wątpię. To uzdolniony człowiek, lecz brak mu wycucia — nie potrafi odróżnić co jest właściwe, a co naganne. Jeśli woli tego brutala, tego chamskiego szypra niż mnie, to niech sobie mieszkają razem w Harrow — lecz beze mnie. — Podeszła do okna, by ukryć wzburzenie.

Opustoszałą uliczką nadjeżdżał ze skrzypem drewniany wóz zaprzężony w woły. Na wozie piętrzył się wysoko jakiś ładunek. Co to było, Odalie nie widziała, gdyż był zakryty brezentem. Gdy przejeżdżał tuż pod galerią, w twarz Odalie buchnął ciężki odór. Przyłożywszy do nosa chusteczkę, wychyliła się z okna i zaraz cofnęła gwałtownie w głąb pokoju.

— O co chodzi? — spytał starzec.

— Na tym wozie, ojczec... albo ja oszalałam, albo spod brezentu sterczała jakaś noga.

— Jesteś przy zdrowych zmysłach — zapewnił ją posepnie stary Pierre.

— Przejeżdżają tędy dzień w dzień.

— Mon Dieu!

— Tak... i co dzień ich więcej. Wywożą bezimienne trupy. Ładują nieboszczyków jeden na drugiego jak kawałki drewna. Znosi się na to, że wszyscy wymrą, Odalie.

— Ależ ojczec... dlaczego? O co tu chodzi?

— Znów ten pomór... większy niż kiedykolwiek przedtem. Tym razem nie szczędzi nikogo. Nawet czarni umierają, chociaż zawsze byli odporni. Wciąż chcesz zostać w mieście, córko?

Młoda kobieta stanęła przed ojcem jak wyniosły posąg.

— Zaryzykuję — odpowiedziała i zaczęła rozpakowywać następny kufer.

Przez resztę lata liczba zgonów rosła z każdym dniem. Odalie nie pozwalała wyprowadzać małego Etienne nawet na krótkie spacerki. W parnym, nagrzanym wnętrzu chłopczyk ustawicznie marudził. W nocy nikt nie spał. Etienne wciąż budził się z płaczem. Brzemienna Zerline kręciła się bezsennie na pościeli, usta jej obrzmiały i pokryły się pęcherzykami. Ludzie na gwałt opuszczali miasto. Pod koniec października z ponad osiemdziesięciu tysięcy mieszkańców zostało zaledwie trzydzieści pięć tysięcy. Odalie trwała w posepnym uporze.

Nocą 28 października Odalie wyrwała ze snu szponiasta ręka starej Caleen.

— Niech maîtresse idzie — nagliła. — Zerline umiera. Odalie pobiegła przez ciemny dom w samej koszuli.

Młoda Mulatka rzucała się na łóżku w przerażających konwulsjach.

— Zawołaj Jeana — rozkazała Odalie. — Niech jedzie po doktora Terrebonne. Nuże, Caleen, nie stój jak słup!

Caleen potrząsnęła głową.

— Za późno — odparła. — Ona już z tego nie wyjdzie.

— Więc już nic nie można dla niej zrobić? Caleen ponownie potrząsnęła głową.

— Nic a nic. Już po niej.

Doktor Terrebonne przyjechał dopiero o szóstej rano, Zerline nie żyła już od ośmiu godzin. Nikomu z czeladzi nie udało się znaleźć księdza, który by przyszedł do konającej z ostatnim namaszczeniem. Wreszcie Odalie przykłękała u wezglowia nieprzytomnej dziewczyny, szepcząc formułę

ostatniego sakramentu na ile zdołała ją sobie przypomnieć, brakujące fragmenty uzupełniła własną żarliwą modlitwą.

Kiedy mały doktor wszedł do izdebki, gdzie leżała nieboszczka, Odalie z trudem go poznała. Ubranie zwisało luźno z jego kragłej niegdyś figurki. Z nieporządných wiehczki wielodniowego zarostu wyzierały nabiegłe krwią oczy, obwiedzione sinymi kręgami.

— Spóźnił się pan — powiedziała Odalie.

— Wiem, teraz wciąż przychodzę za późno. Boże miłościwy! Jakby nie dość było febry...

— Co pan mówi?! Więc jest coś jeszcze?

— Cholera. Jeśli choć jeden orleańczyk dożyje chłodów, to może dziękować wstawiennictwu wszystkich świętych!

— Teraz pan po prostu przesadza, doktorze — rzuciła Odalie.

Doktor Terrebonne zapisywał w specjalnym rejestrze: Nazwisko i imię: Zerline, Rasa: kolorowa, Niewolnica madame Stephenowej Fox, Wiek: dwadzieścia lat. Słyszając ostatnią uwagę Odalie, podniósł na nią oczy.

— Madame, mogę jedynie radzić, by kazała pani zaprzęgać — teraz, zaraz — i galopem odjechała z Nowego Orleanu. Żegnam panią. Przyślę po ciało wóz grzebalny.

— Mówi pan o tym strasznym wozie? — szepnęła Odalie. — O mój Boże...

— Właśnie. Jeden z nich przejeżdża tą trasą przed południem. Polecę furmanowi, żeby się tu zatrzymał.

— Nie! — zawołała Odalie. — Będzie miała prawdziwy, chrześcijański pochówek... i mszę za odpoczynek duszy.

— O ile madame zdoła znaleźć jakiegoś księdza. Prawie wszyscy pomarli, nie oszczędzali się, spiesząc z ostatnią posługą, a cholera nie czuje respektu nawet przed kapłańską suknią... No i jeśli madame podejmie się wykopać grób tymi wydelikacyonnymi rączkami... — skłonił się z roztargnieniem i już go nie było. Spieszył do następnego pacjenta.

Oszalał, pomyślała Odalie i wróciła do izdebki Zerline. Z pomocą Caleen otuliła w całun obrzmiałe ciało zmarłej dziewczyny. Gdy służący nieśli Zerline do karety, Odalie podtrzymywała jej głowę. Wsiedli do karety, do której wrzucono także łopaty i ruszali w stronę cmentarza, gdy pojawił się ów przerażający wóz zaprzężony w woły. Powoził Murzyn o twarzy straszliwie zeszpeconej dziobami po czarnej ospie.

— Są tu jakieś ciała? — zaskrzeczał. — Nuże, wynosić umarlaków!

Wóz był nie przykryty, widać było, że ciała rzucono na stertę jak popadło. Leżały jak duże kukły o ludzaco ludzkich twarzach. Głowa którejś

z tych kukieł wysunęła się poza obręb wozu i kiwała się jednostajnie. Po chwili wóz ruszył, smrodliwa chmura wpłynęła do wnętrza karety. Przyciskając chusteczkę do twarzy, Odalie spojrzała za siebie. Z wozu spadł jakiś gruby jegomość, lecz stopa uwięzła mu między prętami, podskakiwał na kocich łbach niczym duża gumowa zabawka, łysa kulista głowa wałała się w kurzu ulicznym.

— Ciała! Ciała! — pokrzykiwał wozak. — Wynosić nieboszczyków!

Niebo zawisło nad miastem jak szare ołowiane wieko. W powietrzu nie wyczułbyś najłżejszego powiewu. Przemierzając opuszczone miasto, widzieli domy o oknach zabitych deskami. Odalie zdała sobie sprawę, że mieszkańcy tych domów opuścili miasto pierwsi. Jadąc dalej widzieli domy, których okna i drzwi stały otworem, a mebli nie zabezpieczono płóciennymi płachtami. Odalie nieraz odwracała głowę, by nie patrzeć na kupkę rozmiękłych łachmanów, gnijących w rynsztoku, te łachmany były kiedyś ludźmi.

Dojechali bez przeszkód na teren cmentarza, woźnica stanął tuż za bramą. Wychylona z okna Odalie patrzyła na szerokie rowy, w które wozacy wrzucali swe straszliwe ładunki, było także kilkadziesiąt świeżych mogił. Zdaje się, że i grabarze opuścili zapowietrzone miasto, Odalie widziała, jak z nie zasypanych grobów poderwało się ciężko stado kruków. Opodal wznosiły się stosy trupów, zabrakło nowych rowów i wozacy zwałali ładunek wprost na ziemię.

Odalie wskazała wolne miejsce i dwóch niewolników wzięło się za łopaty. Wykopawszy głęboki grób, złożyli doń delikatnie ciało zmarłej dziewczyny i stali z obnażonymi głowami, czekając aż ich pani odmówi modlitwę. Potem przysypali Zerline czarną, żyzną ziemią i kareta zawróciła w stronę miasta.

Noc zapadła, a oni byli wciąż daleko od domu. Woźnica jechał stępą przez ciemne, opustoszałe uliczki, przyspieszył dopiero w śródmieściu, gdzie mrok rozświetlały tu i ówdzie beczułki z płonąca smołą, w ten sposób medycy usiłowali oczyścić powietrze od zarazy.

Odalie wysunęła głowę przez okno karety. Na rogu ulicy płonęła beczka smoły, noc była bezwietrzna, słup ognia szedł pionowo w górę. Nad domami gęsta sadza zbierała się w czarne chmury. Z przeciwległego krańca ulicy huknęło działo. Spłoszone konie stanęły dęba, woźnica siekł je biczem bez litości, próbując wymusić posłuch. Powóz, szarpiąc się i kołysząc, pędził z łomotem przez mroczne ulice, przy każdym wystrzale konie przyspieszały biegu. Jadąc tym oszalałym zaprzęgiem, Odalie modliła się, by owa kanonada rzeczywiście odmieniła ruch powietrza, wypierając z

miasta trujące wyziewy, które z dnia na dzień zmieniały Nowy Orlean w miasto umarłych.

Kiedy Odalie, cała posiniaczona, obolała, z trudem trzymając na wodzy roztrzęsione nerwy dotarła do domu ojca, wyszła jej naprzeciw jakaś niewolnica.

— Maitresse — powiedziała — dziecko zachorzało, i starszy pan też. Może umrą.

Odalie odtrąciła ją w milczeniu i pobiegła na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Etienne rzucił się w konwulsjach. Nie płakał, tylko jego z natury ciemna twarzyczka pociemniała jeszcze bardziej i spurpurowiała. Odalie przyłożyła dłoń do jego czoła. Było tak rozpalone, że cofnęła się z mimowolnym okrzykiem. Pobiegła do sypialni ojca, przywołując po drodze Julesa i Jeana.

Starzec leżał na łóżku skurczony, wybałuszywszy nieprzytomnie oczy. Oddech miał słaby, chrapliwy, nierówny. Wystarczyło jedno spojrzenie i Odalie wiedziała: nie ma dla niego ratunku. Oddech mu słabł, śmierć miał w twarzy.

Nagle uniósł dumną, starą głowę.

— Sprowadź ojca Antoine'a — szepnął. — Muszę się wyświadczyć... z wielu grzechów. — Opadł bezsilnie na poduszki. Nie było sensu przypominać mu, że ów sędziwy kapłan hiszpański nie żył już od trzech lat. Nic mu nie trzeba mówić, nic nie trzeba robić — tylko uklęknąć przy jego łóżu i modlić się o spokój jego duszy.

Odalie wyszła z pokoju z suchymi oczami, w korytarzu czekała Caleen.

— Wysłałam Jeana po lekarza — powiedziała. — Kazałam mu pędzić co tchu. Z małym jest bardzo źle.

— Ojciec... — zaczęła Odalie — mój ojciec... — i ukrywszy twarz na ramieniu staruchy zaszlochała głośno, rozdzierająco, bez jednej łzy. Caleen gładziła delikatnie jej plecy i bujne, czarne loki.

— Nie trzeba płakać, maitresse — mówiła. — To był dobry człowiek. — Jasna Panienska i wszyscy święci wstawią się za nim. Nawet godziny nie posiedzi w czyścucu, może być pani pewna.

Po godzinie wrócił Jean i wraz z Julesem zaczęli zrywać kamienne płyty, którymi wyłożony był wewnętrzny dziedziniec, szykując miejsce na grób dziedzica. Odalie nie chciała ryzykować następnej wyprawy na cmentarz. Siedziała w oknie swojego pokoju i piastując rozpalone gorączką dziecko wyglądała na dziedziniec, gdzie przy migotliwym blasku pochodni pracowali dwaj Murzyni, stukając głucho kilofami. Z drugiej strony domu,

na ulicy płonęły beczki ze smołą, huczące kolumny ognia sięgały wysoko w niebo, ponad dachy domów.

Co pewien czas z odległych dzielnic miasta dobiegał huk armatniego wystrzału, dołączały doń następne, aż całe mroczne miasto pobrzmiwało głuchą kanonadą. Właśnie policjanci ustawiali takie potężne działo o lufie mogącej pomieścić ładunek dwudziestoczerofuntowy na rogu ulicy, tuż przy domu Arceneaux, pod zawieszonymi na łańcuchach latarniami. Gdy pół godziny później odpalili ładunek, dom zatrzęsł się w posadach, zabrzączały wszystkie szyby. Mały Etienne dostał napadu drgawek. Nie wypuszczając go z objęć, Odalie pobiegła do okna i otworzyła je jednym szarpnięciem.

— Przestańcie! — krzyknęła przeraźliwie. — Przestańcie, jeśli macie Boga w sercu!

Lecz jej wołanie utonęło w huku wielkiego działa polowego.

Odalie stała ogłuszona w oknie, tuląc kurczowo dziecko, w chmurze gryzącego dymu armatniego. Już otwierała usta, by znów błagać tych ludzi o zmiłowanie, gdy spostrzegła wozy cmentarne skręcające w jej uliczkę — nie dwa lub trzy, lecz długi, nie kończący się sznur. Zamknąwszy okno, wróciła na fotel, tuląc chore dziecko do piersi. Znów gruchnęło działo. Na dziedzińcu kilofy były o kamień. Trzeszczały beczki z płonąca smołą, wysokie płomienie huczały za oknem, gęsty dym dusił miasto czarnym całunem. W chwilach ciszy słyhać było nie milknące poskrzypywanie cmentarnych wozów.

— Święta Panno, Matko Boża — modliła się Odalie — zmiłuj się nad nami...

Do pokoju weszła Caleen z jakimś obcym lekarzem.

— Jestem doktor Lefevre — powiedział nieco pompatycznie. — Mój kolega, doktor Terrebonne, zmarł dziś po południu na cholere. Chciałbym zbadać dziecko, jeśli można.

Odalie bez słowa podała mu Etienne'a. Zaniósłszy go na łóżko, lekarz rozpoczął oględziny. Wyprostował się.

— To nie jest cholera, lecz żółta febra — stwierdził.

— Można powiedzieć, że ma pani szczęście. Być może uda nam się go uratować.

Usiadł i począł wyjmować z torby mnóstwo buteleczek, fiolek i zasypek.

— Kleiki, kataplazmy i środki przeczyszczające pójdą na pierwszy ogień — oświadczył. — Dziś w nocy proszę mu podać siedem gramów ulepka i cztery gramy kalomelu. Jeśli do rana nie nastąpi poprawa, podamy mu łyżkę oleju krotonowego z trzema kroplami rtęci.

— Boże miłościwy — szepnęła Odalie.

— To powinno spędzić gorączkę. Następnie zaordynujemy magnezję z wapnem, oliwę z oliwki, sok cytrynowy na przemian z kleikiem z tamaryndy, kasję i winian potasu...

— Przecież to jeszcze małe dziecko...

— A chce pani, by żył? — zapytał surowo lekarz.

— Tak, mój Boże... tak...

— Więc niech się pani stosuje do moich poleceń. Na szczęście to nie cholera. Na jej temat wiedza medyczna jest nikła. Ale znamy przyczyny powstawania żółtej febry, możemy ją zatem leczyć. Otóż, łaskawa pani, stojące wody, które otaczają miasto, nagrzewają się na słońcu i parują. Wodne wapory nasycają powietrze. Gdy temperatura spada, wapory opadają na ziemię, a wraz z nimi trujące wyziewy, które powstają w procesie rozkładu pewnych ciał stałych w sprzyjających warunkach atmosferycznych. Gdy poprzez drogi oddechowe wnikną w głąb organizmu, wywołuje się żółta febra.

— Tak, doktorze — wtrąciła Odalie słabym głosem, oszołomiona tym popisem wiedzy medycznej — ale czy on wyżyje?

— Tego nikt nie zaręczy. Wiele zależy od chorego. — Urwał, uśmiechnął się krzywo. — Widziałem kiedyś monsieur Foxa podczas pojedynku. Stał bez ruchu, nawet nie podniósł pistoletu — monsieur Waguespack mógł strzelać do niego jak do tarczy. Potem, już ciężko ranny, wycelował dokładnie, bez pośpiechu i położył przeciwnika trupem. Syn tak męznego człowieka powinien wywinać się śmierci. Dobranoc, madame Fox. Jutro znów przyjdę.

Dotrzymał słowa. Odwiedzał dom Arceneaux codziennie, często kosztem innych pacjentów. Niepospolita uroda madame Fox, choć przybladła nieco przez bezsenność i łzy, potrafiłaby poruszyć serce z kamienia, a cóż dopiero serce młodego i dość kochliwego medyka. Jednak stan małego pacjenta nie poprawiał się. Pierre Arceneaux spał wiecznym snem pod płytami dziedzica, Jeana i Julesa złożono do ziemi opodal stajennych wrót. Nie było dnia, by nie umarł ktoś z domowników.

Któregoś dnia lekarz popatrzy! na trawione gorączką dziecko, oddychało już resztką sił.

— Pozostała ostatnia nadzieja — powiedział, patrząc na Odalie. — Trzeba mu puścić krew!

— Nie! — krzyknęła Odalie. — Nie pozwolę!

— To ostatnia deska ratunku, madame — tłumaczył cierpliwie. Odalie spojrzała nań ogromnymi, pociemniałymi oczyma i odwróciwszy twarz do

ściany, skinęła w milczeniu głową. Doktor Lefevre sięgnął po swą torbę. Twarz miał wynędzniałą z braku snu, palce mu drżały, gdy wykładał instrumenty na czyste płótno. Stara Caleen nie odrywała od lekarza płonących oczu. Pochylił się nad Etienne, w rękę miał skalpel.

— Nie! — zaskrzeczała nagle przeraźliwym głosem. — Nie dam go! Nie pozwolę go porznać! — odtrąciwszy lekarza, porwała dziecko na ręce. — Maitresse postradała rozum! — krzyczała. — W tej chwili wracamy do Harrow. Żaden doktor nie będzie mordował mojego dzieciątka. No, jaśnie pani, idziemy!

Lekarz patrzył z wściekłością na starą służącą, lecz Odalie poszła za nią bezwolnie. Godzinę później jechały wierzchem do Harrow, nie było już ani jednego stangreta, który mógłby zaprząć karetę i siaść na kozioł. Jechały we dwie na jakimś starym podjezdku, Caleen siedziała z tyłu, z dzieckiem.

Na plantację dotarły po czterech godzinach. Joshrybak wypatrzył je ze szczytu grobli i rzucił się w te pędy po dziedzica. Kiedy wjechały w dębową aleję, Stephen już na nie czekał.

— Więc wróciłaś — powiedział.

— Przywożę syna — odparła Odalie wyniośle — by mógł skończyć w domu swego ojca.

Stephen patrzył na nieduże zawiniątko, okrywające obciągnięty skórą szkielecik, który niedawno był pełnym życia, zabawnie szczebioczącym trzyletnim brzdącem.

— Jeśli umrze — powiedział pośepnie — to prosz Boga o wybaczenie, bo ja ci nigdy nie wybaczę.

Wziął od Caleen dziecko i poszedł do domu, nie czekając na żonę.

ROZDZIAŁ 14

Harrow stanęło na głowie i trwało w tej pozycji przez cztery dni. Prace w polu zamarły, robotnicy polowi nie odchodzili spod dworskich okien, w których dzień i noc płonęły światła. Nawet Josh, zaprzysięgły rybak, porzucił groblę i zajął stanowisko u stóp głównych schodów, czekając wieści o małym paniczu. Czeladź domowa snuła się po kątach jak czereda wylęknionych duchów o żółtych lub czarnych dobrze odżywionych obliczach. W piersi pana płonął morderczy choć starannie tłumiony gniew i słudzy dobrze o tym wiedzieli, trzęśli się ze strachu, słysząc jego cichy, doskonale opanowany głos.

Stara Caleen objęła nad domem rządy absolutne. — Lekarze od siedmiu boleści! Nędzne konowały, krwiożercze łapiduchy! — cedził Stephen. — Caleen wie to samo, co dziesięciu takich mądrali! A wy macie się jej słuchać we wszystkim i żebym nie musiał wam dwa razy powtarzać.

Największe osiłki Harrow pociągały teraz za sznury, wprawiające w ruch ogromny wachlarz zawieszony u sufitu nad łóżkiem Etienne'a. Nieustannie zwilżano chłodną wodą źródlaną prześcieradła spowijające małe rozpalone ciało. Niemordowana Caleen wlewała po kropelce w spieczone usta dziecka sok pomarańczowy, cytrynowy, limonowy. Z przepastnych lodowni znoszono kawałki lodu i owinawszy je w cienkie płótno, przykładano do płonącego gorączką czoła.

Krok po kroku, nieustępliwie zwalczała Caleen zabójczą gorączkę, bacząc by nie zgasł nikły płomyk dziecięcego życia.

Na czwarty dzień, rankiem, Little Inch stał przy łóżku panicza. Jego pulchną, smoliście czarną figurkę okrywała donaszana po kimś koszula, sięgająca zdobnych dołeczkami kolan. Utkwił w swym małym panu czarne oczy, okrągłe i błyszczące jak guziki.

— ‘Tienne umrze? — zapytał z przestrawieniem.

Caleen schyliła się nad łóżeczkiem, drżącą ręką z obawą dotknęła chorego dziecka. Etienne był mokry od stóp do głów — lecz tym razem był to jego własny pot. Czoło miał zupełnie chłodne, bez śladu gorączki.

— Nie, ‘Tienne nie umrze — powiedziała stara kobieta. — Wraca do zdrowia.

Stephen, który to drzemał to czuwał w ustawionym przy łóżeczku fotelu, natychmiast otrzeźwiał na dźwięk jej słów.

— Co mówiłaś, Caleen? — zapytał.

— Popatrz, panie — odparła. — Gorączka zeszała, mały się poci — już mu lepiej. Niedługo całkiem wydobrzeje.

— Święta Matko Chrystusowa — szepnął Stephen, wpatrując się w syna i odwróciwszy głowę w stronę drzwi, zawołał: — Odalie!

Natychmiast przybiegła — tak blada, że nawet usta jej zbieleły. Wodziła czarnymi oczami od twarzy męża do drobnego ciała, leżącego nieruchomo na posłaniu.

— Czy on... czy Tienne... — zaczęła rwącym się głosem. W tejże chwili mały otworzył błękitne oczy.

— Mo ganye faim — szepnął.

Odalie rzuciła się w objęcia Stephena. Pozwolił jej się wypłakać na swej piersi, zupełnie przemoczyła mu żabot. Trzymając ją w ramionach, spojrział na Caleen.

— Co on mówi, do licha?

— Powiada, że zgłodniał. To murzyńska francuszczyzna. Słyszał nieraz, jak rozmawiam z Little Inchem. Pójdę przyniosę mu trochę bulionu.

— Och Stephen... Stephen... — powtarzała Odalie.

— Odalie, Etienne żyje i tylko to się liczy. Nie pamiętaj mi tamtych twardych słów. Chłopiec rośnie, będzie potrzebował obojga rodziców. Nasze nieporozumienia nie powinny odbić się na jego życiu. Chyba potrafisz zdobyć się na odrobinę cierpliwości wobec starego nieokrzesanica?

— Cierpliwości? — powtórzyła Odalie. — Och, Stephenie, dlaczego nie chcesz mnie zrozumieć?

— Chyba cię jednak rozumiem — odparł. — Chodź, niech sobie teraz pośpi. — Pochylili się nad słodko śpiącym dzieckiem i wyszli na palcach z pokoju.

— Kto by pomyślał, że w osobie tej starej wiedźmy kupiłem taki skarb? — powiedział Stephen, kiedy schodzili do jadalni.

Następnego ranka z Nowego Orleanu, gdzie najmował pokoje, przybył Mike Farrel, by złożyć uszanowanie pani na Harrow. Stał przed Odalie, mnąc nerwowo chusteczkę w wielkich jak bochenki pięściach.

— Przyszedłem prosić wielmożną panią o wybaczenie — powiedział. — Wiem, że tacy jak ja stają pani kością w gardle i całkiem słusznie, ja pierwszy to rozumiem. Ale gdyby mały Steviego umarł, to czułbym się tak, jakbym go zamordował własnymi rękami.

Odalie przyglądała mu się z leciutkim uśmiechem, czuła się najzupełniej swobodnie.

— Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że wielmożna pani tak się zdenerwuje tymi dziewczuchami — ciągnął Mike.

— Ja już nigdy nie wejść pani w drogę, słowo.

— Jest pan w Harrow mile widziany — odparła Odalie cichym głosem — proszę tylko, by się pan nie naprzykrzał dziewczętom służebnym. Stephen jest do pana ogromnie przywiązany. Proszę nas odwiedzać, kiedy tylko przyjdzie panu ochota.

— Dziękuję łaskawej pani — odparł Mike i oddalił się, złożony pełen godności ukłon.

W związku z piastowanym stanowiskiem, Mike był na najlepszej drodze, by zostać prawdziwym dżentelmenem. Nawet próżność miewa swoje dobre strony, pomyślała Odalie.

Zanim zima osiągnęła półmetek, Etienne biegał po domu z dawnym animuszem. Jedno tylko mogło niepokoić

— chłopczyk zamknął się na dobre w swoim własnym, dziecinnym świecie, z rzadka tylko dopuszczając doń innych. Little Inch nie odstępował go na krok, lecz André coraz rzadziej przywoził swojego małego Stephena.

— Dochowali się małego zwyrodnialca — mówił Amelii w zaufaniu. — Poprzednim razem chciał, by się bawili w świętą inkwizycję, przy czym nasz Stephen byłby, rozumie się, ofiarą tortur. Tym razem odgrywał Jeana LaFitte, tego korsarza, i gotów był wyłupić oczy naszemu Steviemu, żeby wymusić okup! Powiadam ci, ten chłopiec ma nie po kolei w głowie!

— To następstwa tamtej febry — łagodziła Amelia, tuląc do piersi najmłodszą, trzecią latorośl. — Wyrośnie z tego.

— On jest umysłowo chory — upierał się André — jak La Laurie, ta, która pastwiła się nad swoimi niewolnikami.

— Nie ma potrzeby, byś woził do nich naszego synka — stwierdziła Amelia. — Ostatecznie Stephen nigdy nie przywozi tu swojego syna.

— To prawda — odparł André z zadumą. — Ciekawe dlaczego.

Pod koniec marca 1836 roku Stephen spotkał się z André na rozwidleniu nadrzecznego traktu i razem wybrali się do Nowego Orleanu. André wprost kipiał entuzjazmem.

— Nie rozumiesz, Stephenie? — unosił się. — Przecież dla nas nie ma ważniejszej sprawy. Gdy tylko Teksas zdobędzie niepodległość — a zdobędzie, spokojna głowa — musimy go natychmiast zaanektować!

— Wolnego, André — powiedział Stephen z uśmiechem. — Może najpierw należałoby zapytać Teksaszczyków o zdanie.

— Jak to, przecież Teksaszczyki tylko na to czekają! Nie rozumiesz, że z Teksasu można by wykroić pięć proniewolniczych stanów — to aż nadto, by stworzyć przeciwwagę dla Terytorium Północnego!

— Tak, i to właśnie mnie niepokoi — odparł Stephen chmurnie — ten pęd do pozyskiwania nowych ziem, nowych ludzi, nowych głosów. Mam

dobrych przyjaciół w Filadelfii i Nowym Jorku. Jak wiesz, jeżdżę co roku do Filadelfii, by uregulować należności i rozpocząć nowe transakcje. Tamtejsi ludzie są w związku z tą sprawą bardzo rozgoryczeni.

— Plugawi dorobkiewiczze! — wybuchnął André. — Mają czelność wyrzucać nam niewolnictwo! Przecież każdy wie, że niewolnictwo jest w porządku rzeczy, który ustanowił sam Bóg. Przecież czarni tylko na tym zyskują. Podnieśliśmy ich z ciemnoty, dziczy i zabobonu, daliśmy im pożyteczne zajęcia, otoczyli opieką i staraniem. Przecież to najśluszniesze, najdoskonalsze z możliwych rozwiązanie — wystarczy chwilę pomyśleć!

Stephen zaśmiał się głośno.

— Jakże ci zazdrosczę tej luizjańskiej zdolności oszukiwania samego siebie! Niewolnictwo to system nader przyjemny i pożyteczny — ale dla nas. A ja zawsze miałem wątpliwości co do systemu, który pozwala mi sprzedać człowieka jakby był mułem. A jednak wiodę życie pełne zbytku, na który nie musiałem zbyt ciężko pracować, mam majątek, którego nie musiałem zdobywać własnymi rękami — więc w zasadzie nie mogę narzekać.

— Stephen! Przecież ty mówisz jak abolicjonista — zawołał André zgorszony.

— Daruj, ale nie mogłem się powstrzymać, żeby się z tobą trochę nie podroczyć — odparł Stephen z uśmiechem.

— Lepiej zmieńmy temat.

— Właśnie, że nie zmienimy — zacietrzewił się André.

— I możesz powiedzieć swoim przyjaciołom Jankesom, że jak się będą do nas wtrącać, to odetniemy się od nich i pójdziemy własną drogą.

Stephen już się nie uśmiechał.

— No właśnie, o tym już się zaczyna mówić. Na razie są to pojedyncze głosy, ale wkrótce będzie ich więcej. Secesja to straszna rzecz. Czy ręka może oświadczyć, że uniezależnia się od reszty ciała? Albo stopa, ucho, czy nawet głowa? Odetnij je, a poleje się krew. Posłuchaj, André — obecny ustrój amerykański to nowość w skali światowej. To nie jest luźna zbieranina niepodległych państweczek, związanych jakimś mało ważnym traktatem, który każde z nich może zerwać, jeśli przyjdzie mu taka ochota. Tu rządzi naród — mamy najprawdziwszą republikę.

— Tak, ale jeśli ktoś narusza prawa danego stanu...

— Stany nie mają żadnych praw! Tylko ludziom należą się prawa. Musimy się jakoś dogadać. Nie możemy zniszczyć najpiękniejszego snu o wolności, jaki kiedykolwiek wyśnił człowiek. My nie możemy gwałtem namawiać tamtych do niewolnictwa, a oni z kolei nie powinni zmuszać nas,

byśmy z niego zrezygnowali. Musimy dojść do porozumienia. Trzeba zachować Unię*.

***Unia — skrócona nazwa Stanów Zjednoczonych, używana w 18 i 19 w.**

Stephen urwał i spojrzał na rzekę.

— Wiesz, André — powiedział cichym głosem — przemierzyłem szmat tej ziemi i widzę, że różni się od innych. Trudno mi określić, na czym polega ta różnica. Może chodzi o ogrom tego kraju, góry są tu wyższe, równiny rozleglejsze, rzeki potężniejsze. To wielki kraj, André. W tym kraju ludzie wielkiego ducha mogą stawiać zręby innego, lepszego życia...

André słuchał zdumiony, poruszony.

— Ma foi, jeszcze nigdy nie rozprawiałeś z takim przejęciem! — zawołał.

Stephen uśmiechnął się krzywo.

— Bo po prostu bywałem w najplugawszych zakątkach świata, wciąż uciekałem przed ludźmi nie lepszymi od szczurów. Jednak tu — i tylko tu, mogę oddychać pełną piersią. Ale nie mówmy o tym więcej.

Jechali w milczeniu pustą, białą od kurzu drogą, głęboką ciszę przerywał tylko stukot kopyt końskich.

W mieście skręcili z ulicy Gravier w stronę Magazine, gdzie zatrzymali się przed nowym dwupiętrowym budynkiem. Rzuciwszy wodze czarnemu posługaczowi, wstąpili do baru na małą szklaneczkę whisky, a następnie przeszli na oszklony dziedziniec.

— Ta budowla ma dopiero trzy lata — powiedział Andre półgłosem, ale dam głowę, że zorganizowano tu więcej wypraw niż gdziekolwiek indziej w całym mieście. Spójrz, Stephenie, oto gubernator Quitman i senator Henderson z Missisipi — obydwaj od początku popierali tę teksańską sprawę...**

**** teksańska sprawa — chodzi tu o wywalczenie niepodległości Teksasu, pozostającego we władzy Meksyku, a następnie przyłączenie go do Stanów Zjednoczonych**

Stephen uciszył go ruchem dłoni, pośrodku dziedzinca ktoś odczytywał fragmenty jakiegoś dokumentu.

„Nigdy się nie poddam ani nie wycofam” — deklamował mówca. Jego słowa zagłuszyły wiwaty zebranych.

„Jeśli to wezwanie nie znajdzie oddźwięku, wytrwam na posterunku do końca i umrę jak żołnierz, który nigdy nie zapomina, co jest winien czci własnej i swojego kraju — ZWYCIĘSTWO ALBO ŚMIERĆ. Podpisano: Podpułkownik William Barret Travi, dowódca.”

Wszyscy obecni mężczyźni stali z odkrytymi głowami. Ogłuszająca wrzawa napierała na szklany dach. Mówca uniósł rękę prosząc o ciszę.

— Panowie, to była ostatnia wiadomość z Alamo*.

* Alamo — pod Alamo toczyły się krwawe walki między kolonistami teksańskimi a wojskami meksykańskimi, zakończyły się 6 marca 1836 r. zwycięstwem Meksyku

Zginął i pułkownik Reavis, i Davy Crockett i nasz Jim Bowie! — zamachał obydwoma rękami, próbując wstrzymać nową burzę wiwatów. — Panowie — skandował uroczyście — Termopile wysłały gońca z wieścią o klęsce, z Alamo nikt nie uszedł z życiem!

Ryk tłumu dawał się odczuć wręcz fizycznie. Powietrze drżało i pulsowało przez bite dziesięć minut. Zanim rejwach całkiem ucichł, na mównicę wskoczył Philippe Cloutier.

— Panie, ofiaruję swoje usługi! — oświadczył. — Zobowiązuję się wystawić kompanię wojska na mój koszt!

Natychmiast rozległy się okrzyki: i — Jestem z tobą, Philippe!

— Weź i mnie!

— Mnie też!

W ślad za Phillippe'em inni znaczni obywatele wstępowali na mównicę. W ciągu pół godziny poczyniono pierwsze kroki w celu uformowania dwunastu kompanii. Zebrano w sumie 150 tysięcy dolarów na rzecz nowej republiki. Stephen i André wypisali czeki, z których każdy opiewał na 10 tysięcy dolarów.

ROZDZIAŁ 15

Powstanie Tekszańczyków przeciw Meksykowi zakończyło się pod koniec maja 1836 roku. W Jacinto wzięto do niewoli Santa Annę* i Teksas był wolny.

* **Generał Antonio Lopez de Santa Anna — prezydent Meksyku**

We wrześniu podpisano traktat w Valazco i Republika Samotnej Gwiazdy zajęła miejsce wśród innych narodów. Spośród setek Luizjańczyków, którzy wzięli udział w rewolcie, część zginęła, lecz ogromna ich większość wróciła do Nowego Orleanu, chętnie się niezmiernie swymi wyczynami.

Jednak niektórzy woleli pozostać w Teksasie na dobre. Należał do nich Philippe Cloutier, który w nowej republice doszedł do wysokich godności państwowych. Ranny w bitwie, wrócił w chwale z pola walki i obecnie, w wieku trzydziestu lat, cieszył się ogromnym poważaniem członków rady — chudych, małomównych ludzi, tak bardzo odeń różnych umysłem i temperamentem. Nikt jednak nie wiedział, dlaczego Philippe tak często spogląda w stronę Sabiny, na wschód. Między nim a Odalie płyną rzeki, leżą szerokie równiny i tak jest dobrze. Trzeba rozpocząć nowe życie, na nowej ziemi.

W Nowym Orleanie przyjęto propozycję członka rady miejskiej, Petersa, i miasto rozpadło się na trzy prawie niezależne od siebie organizmy, poddane władzy jednego burmistrza jedynie na papierze. Uzyskawszy niezależność finansową, Faubourg St. Marie ruszyło pełną parą do przodu, bez trudu wyprzedzając swe siostrzyce. Pojawiły się nowe nabrzeża i magazyny portowe, przedsiębiorstwa mnożyły się jak grzyby po deszczu i osiągały doskonale wyniki. Na ulicach częściej słyszało się nosową wymowę ludzi z Zachodu i miękką angielszczyznę południowców niż język francuski. Kreolom udało się jeszcze wybrać czterech burmistrzów, lecz potem burmistrzami Nowego Orleanu byli wyłącznie Amerykanie. Potomkowie Hiszpanów i Francuzów ustępowali pola Anglosasom.

W styczniu 1837 roku Stephen ukończył 37 lat. Minione lata niewiele go zmieniły, tylko wokół oczu, które zdawały się patrzeć gdzieś w dal, nawet kiedy spoglądał na rozmówcę, pojawiły się siateczki drobnych zmarszczek. Jego sposób mówienia — bardziej teraz stateczny i powolny, upodobił się do rozwlekłej mowy ludzi Południa. Jednak jego ciało zachowało młodzieńczą gibkość i krzepę i cały swój niebezpieczny wdzięk. Wyprawiał się na polowania, skakał konno przez najwyższe przeszkody, strzelał, fechtował się i grał w karty z najlepszymi. Nie pozwolił się jednak

sprowokować do żadnego z niezliczonych pojedynków, które w pojęciu ówczesnych młodych elegantów były niezbędne do obrony czci każdego dżentelmena.

Coraz bardziej interesowała go polityka. Kandydował do rady miejskiej z obwodu Orleans — starej Dzielnicy Francuskiej, gdzie posiadał mienie i wybrano go, chociaż nie był Kreolem. W 1837 r. wysunięto jego kandydaturę i do legislatury stanowej, i na fotel burmistrza. W mieście, gdzie korupcja rady miejskiej była faktem tak zastarzałym, że nie wywoływała żadnych komentarzy, polityczne ciągoty Stephena budziły niemalże zdziwienie. Był teraz największym posiadaczem ziemskim w Luizjanie, gdyż wciąż dokupywał ziemię a także zarządzał Bellefont w imieniu żony i szwagierki po śmierci Pierre'a Arceneaux. Nie musiał nabijać sobie kabzy kosztem publicznej kiesy — więc po co zawraca sobie głowę polityką?

— Zaczyna się nowy rozdział historii — mówił André podczas pogawędki przy café noir w Harrow. — A ja chciałbym mieć w tym swój udział. Dojdzie Teksas, a potem obydwie Kalifornie. Miałeś rację: ten kraj będzie sięgał od morza do morza i nie zagrozi mu żadna ziemska potęga.

Pucołowate oblicze André rozjaśniło się szerokim uśmiechem.

— Wiesz, Stephenie, ta mowa o potędze, o władzy jakoś do ciebie nie pasuje. Zawsze tak pomstowałeś na despotyczne systemy władzy w Starym Świecie.

— Chodzi mi o władzę, która czyni tylko dobro, o potęgę dobrych ludzi, walczących o słuszną sprawę. Zobaczysz, André, ziemia zatrząśnie się w posiadach.

— Tu się z tobą zgodzę. Byle nam tylko nie przeszkadzano. Gdybyż ci dorobkiewicz z Nowej Anglii przestali wreszcie pleść bzdury! Choćby dlatego trzeba nam Teksasu — musimy uzyskać nad nim przewagę w Kongresie.

Stephen zapalił swą glinianą fajkę o długim cybuchu.

— W tym właśnie kryje się niebezpieczeństwo — powiedział chmurnie. — To rafa, na której może rozbić się Unia.

— Więc niech się rozbija! Mając tylu niewolników, tyle ziemi możemy być najbogatszym krajem na świecie, a także najpotężniejszym — bez nich!

Stephen spojrział w zacierzewaną twarz przyjaciela.

— Mylisz się, André. Jeśli do tego dojdzie, to my będziemy przegrani, nie oni. Na całym Południu nie zdołamy odlać tylu armat co oni tylko w jednym mieście. Nie zebralibyśmy tylu żołnierzy. A za plecami mielibyśmy

milczące masy Murzynów, którzy tylko czekają, żeby nam skoczyć do gardła.

— Potrafimy lepiej walczyć niż oni! — gorączkował się André. — Jeden pan wart jest dziesięciu kupczyków! Będziemy mieli sojuszników — po naszej stronie stanie Anglia a może i Francja. A czarnym ani w głowie bunt — nie mają dość rozumu ani odwagi. Zresztą właściciele dobrze ich traktują i czarni kochają swoich panów.

— Nie wiem... — zaczął Stephen, gdy przerwał mu drżący z gniewu głos Odalie.

— Stephen!

— Idę, moja droga — odparł odkładając fajkę znużonym ruchem.

Wstał, a gość wraz z nim.

— Czas na mnie — powiedział André. — Amelia nie daje sobie rady z dzieciarnią. Muszę też zająć się paroma sprawami pieniężnymi.

Stephen kiwnął głową ze zrozumieniem i wyszli do ogromnego hallu, gdzie czekała Odalie, schwyciła męża za ramię.

— Poczekaj — zwróciła się do André. — Chcę, żebyś zobaczył, jak mój małżonek wychowuje swojego syna!

Poprowadziła ich do otwartych drzwi jednego z pokoi. Przy stole, naprzeciw Little Incha, siedział siedmioletni Etienne, w małej, brudnej łapce trzymał wachlarz kart. Na czarnej buzi Incha malowało się głębokie skupienie.

— Dodaj mi jeszcze jedną — powiedział.

Odalie chciała wejść do pokoju, lecz Stephen powstrzymał ją zdecydowanym ruchem, nie odrywał od syna rozradowanych oczu.

— Dwa piątki? — spytał Etienne.

— Niech będzie — zgodził się Inch.

Gra trwała, na stole było teraz pięć monet pięciocentowych. Przed każdym z chłopców leżały cztery odkryte karty i jedna zakryta. Odalie drżała od powściąganego gniewu, w oczach Stephena płonęła szatańska uciecha. Wspiąwszy się na palce stwierdził, że Etienne ma doskonałe karty — trzy walety i damę, zaś Little Inch — trzy dziesiątki i asa. Etienne odkrył odwróconą kartę i zaśmiał się triumfująco.

— Forsa na stół! — powiedział po francusku. — Mam fulla!

Inch błysnął w uśmiechu białymi zębami.

— Leżysz 'Tienne — odparł, sięgając po monety — mam karekę! — Odkrył ostatnią kartę, była to dziesiątka. Etienne popatrzył spode łba na karty: cztery dziesiątki Incha i swoje trzy walety i dwie damy, i nagle z całych sił walnął pięścią w dłoń Incha, przygważdżając mu palce do stołu.

Tamten zawył z bólu, miedziaki potoczyły się pod stół. Zanim trójka obserwatorów zdążyła przemierzyć pokój, Etienne przewrócił Murzynka na podłogę i bił go pięściami po twarzy.

Stephen odciągnął syna od oszołomionego lokaika. Little Inch wstał, ale celny kopniak powalił go z powrotem na podłogę.

— Tienne! — ryknął Stephen. — Czyś ty oszalał? W tej chwili pobieraj żetony!

Etienne spełnił polecenie w ponurym milczeniu.

— Daj je Inchowi i zmiataj do swojego pokoju! Nie cierpię histeryków, którzy nie potrafią przegrywać.

— Widzisz? Nawet jednym słówkiem nie skarcił ich za hazard — powiedziała Odalie do André, polykając łyżę.

— A 'Tienne musi poniżyć się przed niewolnikiem tylko dlatego, że jego ojciec ma szczególny pogląd na honor. Chodź no tu — zwróciła się do Incha. — Oddaj mi te pieniądze. A teraz idź do Caleen i opowiedz jej, jaki z ciebie niegodziwiec. Już cię tu nie ma!

Little Inch patrzył na dziedziczkę rozdziawiwszy buzię, łyżę toczyły się jak groch po czarnych, lśniących policzkach. Nagle skulił się i wybiegł z pokoju jak zaszczute zwierzątko.

— Przepraszam cię za to żałosne przedstawienie, André — powiedział Stephen. — Zostawimy cię na chwilę samą, o ile nie masz nic przeciwko temu, moja droga.

Odalie skinęła w milczeniu głową i mężczyźni poszli do drzwi.

— To trudne dziecko — rzekł Stephen. — Robi co może, aby zatruć życie matce i mnie. Nie chce mówić po angielsku, a kiedy go przymuszam, straszliwie kaleczy mowę.

— Cierpliwości, Stephenie. Wyrośnie z tego. Niedobrze, że to jedynek. Gromadka rodzeństwa wybiłaby mu z głowy te fanaberie.

— Z pewnością wiesz, co mówisz — zaśmiał się Stephen.

— Ilu się dochowałeś?

— Pięciorga — odparł André uśmiechając się szeroko,

— I na tym koniec, przysięgam.

— Wątpię — roześmiał się Stephen. — Ale, ale — w przyszłym miesiącu wyprawiamy Tienne'owi urodziny. Musisz przywieźć Amelię i wszystkie wasze pociechy.

— Przywiozę. Teraz muszę jechać do miasta i uregulować należności w czterdziestu bezwartościowych walutach.

— Tak, to prawdziwe zawracanie głowy — zgodził się Stephen. — Jakby nie było dość, że każdy bank w mieście drukuje własne pieniądze, to

przedsiębiorstwa a nawet osoby prywatne zaczynają iść ich śladem. To się musi źle skończyć.

— Właśnie — prychnął André — równie dobrze można puścić w obieg naklejki z butelek po oliwie, są tłuste, cuchną i mają nadruk. 'Voir, Stephen]

— Adieu. Pójdę teraz do północnego skrzydła i prześpię się z godzinę. Już trzecią noc nie zmrzyłem oka.

André zrobił zdziwioną minę — w skrzydle północnym mieściły się pokoje kawalerskie. Apartament małżeński znajdował się w skrzydle południowym.

— To oczywiście nie moja sprawa, ale od kiedy tam sypiasz?

— Od narodzin 'Tienne'a — odparł Stephen z powagą.

— Od tamtej pory żona podupadła na zdrowiu.

— Rozumiem — odparł André. — Siedem lat, ma foi — mruknął do siebie już na schodach.

Dzień urodzin Etienne'a wstał jasny i pogodny. Zewsząd napływali goście — nie tylko mieszkańcy wytwornych rezydencji w mieście i na wsi, lecz także kupcy, przedsiębiorcy i ludzie zarabiający na chleb własnymi rękami, gdyż Stephen zaczął stosować w praktyce teorię demokracji i postanowił nie zwracać uwagi na półjawne szyderstwa wielkich plantatorów.

Większość młodych mężczyzn przyjechała konno, lecz dziedziniec był gęsto zastawiony powozami, pokoje rozbrzmiewały dziecięcym gwarem. Na trawniku przed domem ustawiono długi stół, u szczytu stołu, na honorowym miejscu siedział Etienne, zaś Little Inch, ubrany w turban i jedwabne pantalony jak Turek, stał za krzesłem panicza czekając na rozkazy. Mimo ogólnej wesołości, Inchowi nie było do śmiechu. Dobrze zapamiętał tamte nauki. Pobiegł wtedy do babki, by opowiedzieć, jak to panicz znów go pobił, a ona objęła go i mówiła cicho:

— Nic nam nie da, jeśli będziemy ich bić, kiedy nas pobiją. W ten sposób niczego nie zwojujemy. Są za mocni. Musimy być przebiegli jak lisy. Kiedy 'Tienne każe ci coś zrobić, to zrób to od razu. Bądź uprzejmy, nawet bardziej niż trzeba. Masz swój rozum — użyj go. Jeszcze ich kiedyś przechrzemy. Nie zawsze pan jest górą — czasem wygrywa niewolnik, jeśli ma dość oleju w głowie. Musisz się uczyć. Ucz się czytać, pisać i rachować. Ale nikomu ani mrumru. Ucz się wszystkiego, co umie biały. Ćwicz się, żebyś był mocny w rękę jak twój dziadek i mocny w głowie jak ja. Któregoś dnia przyjdzie wolność. Ty będziesz panem, a 'Tienne będzie ci mył nogi — jeszcze doczekasz takiego dnia!

Przed biesiadnym stołem wytyczono podłużny pas terenu. Synowie plantatorów, przebrani za średniowiecznych rycerzy, galopowali wzdłuż tego toru, próbując zdjąć czubkiem lancy zawieszony na sznurkach pierścienie. Chłopca, który nabrał na lancę najwięcej pierścieni, koronowano na króla turnieju, dostawał także upominek i całusa od „królowej”, którą dziś była najmłodsza Pontablówna, wybrana niemal jednogłośnie.

Solenizant, grzebiąc łyżeczką w topniejących lodach, patrzył osowiale na te zabawy. Nikt i nic nie potrafiło go rozbawić. Lecz w głębi duszy radował się zgryzotą, malującą się na twarzy matki i wyraźnym niezadowoleniem ojca.

Zdjęto pierścienie i zawieszono za nogi starą, tęgą gęś, przysłała kolej na uciechy gminu. Kupcy, handlarze, wyrobnicy pędzili na swych konikach wzdłuż toru, próbując jednym szarpnięciem urwać skórzasty ptasi łeb. Jeden po drugim zawodnicy odpadali z konkurencji. Wreszcie jakiś spasiony Stolarczyk, Kreol, szarpnął potężnie za oporny łeb, lecz gruba szyja nie ustąpiła. Stolarczyk spadł z konia i poturlał się po ziemi, w kurzu i niesławie.

Etienne aż się popłakał ze śmiechu. Kiedy grubas podniósł się i pokuśtykał torem, przeklinając na czym świat stoi w dosadnym dialekcie tych okolic, chłopiec aż osłabł ze śmiechu.

Widząc syna tak uszczęśliwionego, Odalie poczuła, że kamień spadł jej z serca. Odtąd przyjęcie toczyło się gładko. Etienne'a obrzucono prezentami, przyjmował je ze znużoną miną udzielnego księcia, któremu z natury rzeczy należą się podobne hołdy. Jednak na widok ojcowskiego podarku, rozjaśniły się błękitne oczy w jego ciemnej twarzy.

Był to kucyk — pulchne, kudłate zwierzątko z najprawdziwszym siodłem i uprzężą. Etienne zerwał się od stołu, lecz Stephen wstrzymał go ruchem dłoni.

— Chwileczkę, synku, najpierw podziękuj w paru słowach swoim gościom.

Etienne wstał z miną cierpiętnika.

— Stokrotnie wszystkim dziękuję — zaterkotał szybko po francusku i znów usiadł. Amerykańscy kupcy patrzyli nań pytająco.

— Teraz po angielsku — napomniał go Stephen. Etienne potrząsnął głową, zaciął usta.

— Prosiłem cię o coś — powiedział Stephen spokojnie. Mały znów wstał.

— Bardzo wszystkim dziękuję — wycedził powoli i dodał: — Mericain cochonsl*

***Mericain cochons (franc.) — amerykańskie świnie**

Stephen pochylił się nad synem.

— To ty jesteś prosię, bratku — powiedział ściszym tonem. — Teraz marsz na górę i czekaj na mnie. Ale przedtem przeprosisz jak należy.

Etienne wymamrotał jakąś anglofrancuską zbitkę językową, której nikt nie zrozumiał i odszedł od stołu. Gdy szedł przez trawnik, dogonił go mały Stephen Le Blanc.

— Czy mógłbym przejechać się na twoim kucyku, Tienne? — spytał przejętym głosem.

— Spróbuj go dotknąć, a zabiję cię! — warknął Etienne i pobiegł do domu.

Stephen kazał podawać wino i dorośli przeszli do głównego hallu. Złożona z niewolników orkiestra zaczęła przygrywać do tańca, lecz na próżno: prawie nikt nie tańczył. Nawet doskonale wino nie poprawiło zwarzonych humorów. Jeden po drugim goście żegnali się i odjeżdżali. Została ich tylko garstka.

Stephen tańczył z Aurorę, prowadząc ją leciutko jak wiatr. Od jej ciemnoblonde włosów szła subtelna woń drogocennych perfum, w okolonych długimi rzęsami orzechowych oczach płonął skryty ogień.

— Jesteś piękna, mała siostrzyczko — szeptał Stephen — co dzień piękniejsza. Dziwię się głupocie tych wszystkich kawalerów...

— To nie ich wina. Jestem urodzoną starą panną — mam zbyt duże wymagania, a mężczyznom nie podobają się takie kobiety. Ale lubię tańczyć z tobą.

— Bzdura, w tym się coś kryje. Któregoś dnia dowiem się, skąd ten półzakonny tryb życia. A może sama mi powiesz? Dlaczego do tej pory nie oddałaś nikomu tej pięknej ręki?

— Ode mnie nigdy się nie dowiesz. Żałuję, ale nie mogę ci powiedzieć. Lepiej, żebyś nic nie wiedział — ty ani nikt inny. Proszę cię, Stephenie, nie bądź zbyt ciekawy.

Stephen odprowadził ją na miejsce.

— Jak sobie życzysz, siostrzyczko — rzekł, całując jej dłoń.

Gdy ostatni gość opuścił dom, Stephen poszedł do pokoju Etienne'a. Wszedł bez pukania, pokój był pusty. Postał chwilę, marszcząc brwi. Zszedł na dziedziniec — ani chłopca ani kuczka. Pochylił się nad śladami małych, świeżo podbitych kopyt, odcisniętych w miękkiej ziemi, prowadziły do parku dębowego.

Stephen poszedł tropem, miotając ciche przekleństwa.

Dochodząc do parku, usłyszał wysoki, przenikliwy krzyk małego konika — krzyk bólu i przerażenia, przeplatany świstem szpicruty. Stephen rzucił się biegiem w tę stronę. Przywiązany do drzewa kucyk stawał dęba i rzucał się na boki jak oszalały. Opoдал, dzierzając długi czarny bicz stał Etienne — właśnie się zamachnął: bykowiec przeciął śpiewnie powietrze i wgrzył się w kosmaty bok oszalałego ze strachu zwierzątka.

Stephen dopadł syna, wyrwał mu szpicrutę z ręki. Roztrzęsiony, cofnął się o krok i przyjrzał chłopcu. Etienne był utyłany w kurzu i błocie, z kącika ust sączyła się strużka krwi.

Spojrzał na kuczka, skóra zwierzątka była pocięta pęgami, niektóre krwawiły.

— Ty mały zwyrodnialcze! — ryknął Stephen i podniósł bat. Etienne zamarł w bezruchu, nie odrywając bladoniebieskich oczu od twarzy ojca. Stephen powoli opuścił bat, nie uderzył syna. Po chwili połamał szpicrutę o kolano i odrzucił kawałki w zarośla.

Odwrócił się i bez słowa poszedł w stronę domu. Etienne, patrzył za nim nieruchomymi, jakby wypranymi z uczucia błękitnymi oczyma.

— Tato... — szepnął — tatuśiu...

Lecz Stephen nie obejrzał się — nie słyszał. Po chwili chłopiec ruszył w ślad za nim.

Stephen poszedł prosto do swojego gabinetu. Rozejrzał się za świecą, gdyż mrok już zapadał i popatrzył na długie rzędy oprawnych w skórę książek. Byli tam wybitni pisarze greccy i łacińscy. Stał niezdecydowany, przebiegając wzrokiem tytuły: Arystofanes, Sofokles, Homer, Eurypides, Horacy, Platon, Seneka... Gdy wyciągnął rękę, usłyszał za sobą pospieszny tupot drobnych stóp. Odwrócił się gwałtownie i stanął oko w oko ze skamieniałym ze strachu Little Inchem, białka błyskały groteskowo w czarnej jak sadza buzi.

— Inch! — zdumiał się Stephen. — A co ty tu robisz, do diaska?

— Ja... czytałem, maître — wyjąkał mały niewolnik.

— Już pójdę, jaśnie panie. Proszę, niech mnie pan nie bije!

— Czytałeś? To się nie mieści w głowie! Kto cię nauczył czytać?

— Babka... i JeanJacques, majordomus, i Tienne — odrobinę. Proszę, jaśnie panie...

Stephen podniósł książkę, którą mały upuścił. Był to pięknie wydany wybór sztuk Moliera. Stephen tknął palcem w książkę.

— Czytaj — rozkazał.

Inch czytał wskazany fragment wyraźnie i czysto.

— A teraz powiedz, co to znaczy — po angielsku. Mały Inch przetłumaczył dolegliwości hipochondryka ze sztuki *Le médecin malgré lui**.

* *Le médecin malgré lui* (franc.) — Lekarz mimo woli

— Czarny — mówił Stephen na w pół do siebie — a jednak ma rozum. Inch, posłuchaj, co ci powiem.

— Tak, maître?

— Podoba mi się, że się uczysz. Ale kiedy przyjdzie ci ochota na lekturę, przyjdź do mnie, a ja wybiorę ci odpowiednią książkę. Jest wiele książek, których nie powinienes ruszać — tylko by ci zamąciły w głowie. Od dziś będziesz czytał to, co ja ci wskażę. Nie zabraknie ci książek, rękę, ale będą to książki odpowiednie dla ciebie. Jak skończysz, opowiesz mi dokładnie treść. Możesz odejść.

Inch błysnął olśniewającymi zębami i wybiegł z gabinetu, unosząc katechizm, który dał mu dziedzic.

Stephen wrócił do półek z książkami, gdy do gabinetu wszedł Georges i stanął w milczeniu przed panem, czekając aż zwróci nań uwagę.

— O co chodzi, Georges?

— Na tarasie czeka monsieur André. Chce mówić z jaśnie panem.

Stephen z lekkim rozdrażnieniem odstawił książkę na półkę. Na tarasie przechadzał się André Le Blanc.

— Co ci gryzie, człowieku? — spytał Stephen.

— Mam kłopoty, Stephen, poważne kłopoty. Potrzebuję twojej pomocy.

— Więc będziesz ją miał. Przestań krążyć dookoła jak błędna owca i wyłóż sprawę.

— Otóż dziś rano II Bank Stanów Zjednoczonych wycofał ze swych agencji wszystkie wkłady. Niewiele później

— także dziś rano — Bank Angielski obciął kredyty. Stephen, oni chcą złota!

— Mój Boże!

— Przed trzecią po południu, gdyśmy pili za zdrowie twojego syna, upadło czternaście banków. Wszyscy moi wierzyciele żądają natychmiastowych spłat. Stephenie, przed tobą siedzi bankrut!

— Weksle wystawiono pod La Place?

— Tak — odparł nieszczęsny André. — Dziś w nocy Melia i dzieci zostaną bez dachu nad głową!

— Przestańże się mazgaić! Nie mam wolnej gotówki

— sam miałem konto w II Banku — ale dam pod zastaw taką część Harrow, żebyś mógł zatkać gęby wierzycielom.

— Nie, Stephen, honor nigdy nie pozwoliłby mi...

— Zamilcz! Ta ziemia nie przepadnie. Dobrze wiesz, że większość kapitału ulokowałem u Hammerschläga w Filadelfii. Wystarczy dla nas dwóch i jeszcze zostanie.

— O ile nie zbankrutują banki w Filadelfii. Z tego co wiem, jest to zjawisko ogólnokrajowe.

— O to będziemy się martwić w swoim czasie. Chodźmy teraz do domu, André. Musimy porozmawiać z Odalie, gdyż ta sprawa dotyczy także jej własności.

Stephen kazał podać wino i posłał po Odalie. Gdy się zjawiła, natychmiast przystąpił do rzeczy.

— Moja droga, przyszedł krach, którego się obawiałem. Waluta jest bez wartości — nie ma zabezpieczenia w złocie. André grozi ruina. Cała jego posiadłość jest obciążona długami. Czy zgadzasz się, bym podżyrował jego weksle, oddając w hipotekę boczne folwarki? Odalie nie wahała się ani chwili.

— Ależ oczywiście — powiedziała — ziemi mamy aż nadto. Zastaw Bellefont — jestem pewna, że Aurore nie będzie się sprzeciwiać. Ogromnie lubi André.

— Ale czy zdajesz sobie sprawę, że sami jesteśmy w kiepskim położeniu? II Bank ogłosił upadłość dziś rano. Nie mamy żadnej gotówki.

Odalie wstała.

— Mówisz jak Jankes. Przecież w życiu liczą się nie tylko pieniądze.

— Dziękuję ci, kochanie. — Zadzwoił na Georgesa.

— Przynieś pióro, papier i piasecznicę.

Gdy lokaj wrócił z żądanymi przedmiotami, Stephen napisał co następuje:

Zobowiązanie!

Ja Stephen Fox zobowiązuję się niniejszym oddać część moich włości jako to: cały folwark południowy, leżący pod Nowym Orleanem, oraz plantację Bellefont pod zastaw długów mojego przyjaciela André Le Bianca, zamieszkałego w miejscowej parafii. Dokument ten spisałem własną ręką 13 maja 1937 roku w Harrow.

Podpisano: Stephen Fox

— Nie wiem, na ile ważny jest ten dokument. Trzeba będzie świadków. Ponieważ Odalie jest moją żoną, i oboje jesteście stroną w tej umowie, więc nie możecie wystąpić w roli świadków. Najlepiej będzie, André, jeśli pojedziemy do miasta. Pozwolisz, że cię opuścimy, kochanie?

Obaj mężczyźni wstali, gotowi do drogi, Stephen czekał, aż lokaj przyniesie mu kapelusz i szpicrutę, gdy dębową aleją nadjechał ciężkim cwałem jakiś jeździec. Rzuciwszy lejce zdumionemu Georgesowi, wbiegł na główne schody, biorąc po kilka stopni naraz.

— Tom Warren! — zawołał Stephen. — Więc trzeba było paniki na giełdzie, żebyś zawitał do Harrow!

Tom był błądy i zmizerowany.

— Potrzebuję pieniędzy, Stephenie, i to dużo. Jestem w ciężkich opałach.

— Powoli, Tom — odparł gospodarz. — Nie ty jeden.

— Ale jestem w szczególnie trudnej sytuacji. Ja... trochę spekulowałem pieniędzmi, które nie należały do mnie. Jeśli nie odzyskam ich do jutra, do południa, pójde do więzienia.

Stephen bez słowa podał mu dopiero co zapisaną ćwiartkę papieru.

— Właśnie wybierałem się do ciebie, do Nowego Orleanu, licząc, że mi to poświadczysz.

Warren przebiegł dokument wzrokiem.

— Więc zamroziłeś wszystkie zbywalne aktywa na rzecz tego człowieka — i mnie nie będziesz mógł pomóc! Ładny z ciebie przyjaciel!

— Przykro mi, Tom, ale faktycznie nie mam pieniędzy na zbyciu. Ale do więzienia nie pójdziesz — to bzdura! Wystarczy moje poręczenie, że zwrócisz wspomniane sumy i nic ci nie grozi. Jak już będzie po wszystkim, mógłbyś zarządzać Harrow. Od czasu, gdy zmarł Wilson, rozglądam się za kimś takim jak ty. Przyznaję, że ta posada to żaden cymes, ale...

Tom Warren patrzył to na jednego, to na drugiego.

— Gdzie pióro — powiedział wreszcie. — Podpiszę ten dokument.

Wychyliwszy po lampce wina, wyszli we trzech na dwór. Pogawędzili jeszcze chwilę, po czym André — mocno się roztył w ostatnich latach — siadł ciężko na konia i ruszył podjazdem. Po paru krokach natknął się na Josha, który wychynął z przedwieczornego mroku z wianuszkami ryb, przeciągniętych przez sznurek.

— Jakie ładne ryby — zachwycił się André. — Pozwolisz, że uszczknę ci kilka? — zawołał za siebie.

— Weź wszystkie — odparł Stephen, nadchodząc wraz z Tomem Warrenem.

Nagle stary niewolnik rozdziawił usta i zatrząsł się jak w gorączce.

— Nie oddawaj mnie jemu, jasnie panie Stevie! — zajęczał. — Nie oddawaj, miej Boga w sercu!

— Ale komu? Co cię napadło, Josh? Czyś oszalał? Przejęty najgłębszą zgrozą Josh wybełkotał z trudem:

— To pan Tom! On zabił Rada nieboraka! Mnie też chciał wykończyć, ale spudłował. Ratuj mnie, ratuj, jaśnie panie!

Zdumiony Stephen zwrócił się do Warrena:

— O co mu chodzi? Wygląda na to, że ciebie zna. Małe oczka Toma biegały jak oszalałe pod ciężkimi brwiami.

— Nie wiem. Pierwszy raz go widzę. Ten czarnuch zwariował.

— Co to wszystko znaczy, Josh? Mówże, człowieku, nikt nie robi ci krzywdy.

— Wy... wywieźliśmy pszenicę jak nam kazał. Ja i Rad wywieźliśmy wszystką pszenicę ze składu nad rzeką na drugi koniec miasta. Obracaliśmy wozem ze sto razy, żeby wszystko zabrać. Potem kazał nam podpalić skład, tośmy podpalili. A kiedy Rad—nieborak wyszedł na dwór... jaśnie panie!

Stephen obrócił się raptownie, lecz było już za późno. Huknął strzał. Stary niewolnik zachwiał się, złapał za gardło w miejscu, gdzie przeszła kula. Po chwili runął twarzą na ziemię, słyszeli charkot oddechu w przedziurawionej krtani.

Stephen bardzo powoli szedł w stronę Toma, André siedział w siodle jak sparaliżowany. Tom znów podniósł pistolet — ciężki czterostrzałowiec, o dwóch dubeltowych lufach, umieszczonych jedna nad drugą.

— Strzeż się, Stephen — powiedział. — Pamiętaj, że mam jeszcze trzy kule.

— Możesz mieć choćby i sto — odparł Stephen i nagle skoczył na Warrena.

Buchając ogniem i dymem, pistolet wypalił prosto w pierś Stephena.

Stephen schwycił Warrena za kamizelkę, lecz palce ześliznęły się bezsilnie i upadł. Warren wycelował w leżącego, lecz André ocknął się wreszcie, wyciągnąwszy sztylet ukryty w lasce, ruszył koniem wprost na Warrena.

Warren natychmiast wycelował w napastnika i wypalił, lecz André skrył się za szyją konia i przeszył sztyлетem napięstek Warrena z wprawą wytrawnego fehmistrza. Warren upuścił broń, podtrzymując zraniony nadgarstek, pobiegł ciężko w stronę swego konia. Jednym szarpnięciem odwiązał lejce od słupka i włął nieporadnie na siodło.

Lecz André nie ścigał go. Schyliwszy się nad rannym, rozciął mu odzież zakrwawionym sztyлетem i jak mógł tamował ranę, którą kula wyszarpała w lewym boku Stephena. Kula przeszła na wylot — trafiła zbyt nisko, by zgruchotać żebra i dość daleko od kręgosłupa, by ominąć organy wewnętrzne, jednak rana krwawiła obficie. Zatkawszy ranę własną chusteczką, André nie bez trudu podźwignął przyjaciela i wszedł na schody.

Słyszając strzały, Odalie wybiegła na galerię, lecz niewiele widziała w szybko gęstniejącym mroku. Dostrzegła Stephena dopiero, gdy André był już w połowie schodów, zmagając się ze swym bezwładnym brzemieniem jak krągły żuk, taszczyący zbyt wielki patyk. Odalie otworzyła usta do krzyku, lecz mogła tylko szepnąć: — Stephen... Stephen...

Podtrzymując głowę męża, pomogła André zanieść go do sypialni. Dopiero gdy nadbiegła Caleen i wzięła sprawę w swoje ręce, Odalie osunęła się na podłogę w głębokim omdleniu. Caleen przeszła obok niej bez jednego spojrzenia, całkowicie pochłonięta ratowaniem Stephena. Trzeba było zagotować wodę, zatroszczyć się o szarpie i bandaże, przyrządzić napar z ziół przeciw zakażeniu. Uwijała się jak w ukropie, aż strumień krwi bluzgający z rany zmniejszył się i ustał. Stephen leżał nieruchomo na poduszkach, jego zwykle blada twarz była teraz woskowo przezroczysta. Lecz na czoło wystąpiły mu drobne kropelki potu i słychać było jego oddech, powolny i nierówny.

— Wyjdzie z tego, monsieur André — powiedziała Caleen. — Za jakiś czas przyniosę mu bulionu, żeby zmocniał. Ale trzeba z tym poczekać, teraz by go to zabiło.

André podniósł z podłogi Odalie i zaniósł ją do buduaru, po czym przywołał Suzette. Cucili ją tak długo, aż zadrgały długie rzęsy i spojrzała na André ogromnymi oczami:

— Czy on... czy Stephen... — nie dokończyła.

— Nie, nie umarł — uspokoił ją André. — Nawet już mu lepiej.

Wstał, jego zaokrąglona twarz była posepna.

— Teraz zechciej mi wybaczyć — mam coś do załatwienia.

Opuściwszy Harrow, André wstąpił na chwilę do La Place des Rivieres. Poszedł prosto na górę, do swojego gabinetu, który niegdyś należał do jego ojca i wyjął z biurka podłużny futerał. Nacisnął zamek: wewnątrz leżała para pistoletów o smukłych lufach, srebrne okucia majaczyły niewyraźnie w blasku świec. Ten typ broni stosowano powszechnie w pojedynkach. André wyczyścił pieczołowicie oba pistolety i załadował, starannie dobijając naboje do przybitki i ustawiając spłonki w ten sposób, by iglice niechybnie w nie trafiły. Wziął do kieszeni zapas nabojów i woreczek ze śrutem, spłonki wrzucił do małej, wodoszczelnej szkatułki. Odwróciwszy się ujrzał Amelię, musiała tak stać, przyglądając mu się od dłuższego czasu.

— Po... pokłóciłeś się z kimś — powiedziała bez tchu, cienkim, rwącym się głosem.

— Nie, Melio, to sprawa Stephena — powiedział miękko. — Ale teraz leży bliski śmierci, postrzelił go człowiek, któremu zaufał. Stephen nie był

uzbrojony. Czy mogłabyś wysłać Ti Demona i innych czarnych na okoliczne plantacje? Powiedz, żeby czekali na mnie u rozwidlenia rzeki za cztery—pięć godzin. Teraz jadę do miasta, żeby zgłosić tę sprawę, a także odszukać Mike'a Farrela i innych przyjaciół Stephena.

— Może przed wyjazdem napijesz się wina albo kawy?

— Nie, dziękuję ci, kochanie. Dobranoc.

Cmoknął ją w policzek i poszedł do drzwi, lecz schwyciła go za ramię i mocno objęła. Puściła go zaraz, w oczach miała łzy.

— Celuj dobrze, André — powiedziała i André zbiegł na dół, składając ciche dzięki niebiosom za taką żonę.

Jazda z La Place do Nowego Orleanu na świeżym koniu nie zabrała wiele czasu. Swe pierwsze kroki skierował André do sędziego Joachima Bermudeza, któremu złożył oficjalne doniesienie o zaistniałym przestępstwie. Stary jurysta natychmiast sięgnął po płaszcz i do szuflady — po pistolety.

— Ależ panie sędzio — mitygował go André — nie uchodzi, by w pańskim wieku i na tym urzędzie...

— Cicho bądź, chłopcze — zamknął mu usta sędzia.

— Jeśli ujmiemy tego łajdaka, dopilnuję, by sprawiedliwie go osądzono — tam, na miejscu. Nie istnieje żaden przepis, określający odstęp czasu między wydaniem wyroku a wykonaniem tegoż. A teraz jak najciszej, bo obudzi się sędzina.

W barze Maspero André stanął pośrodku sali i opowiedział, co zaszło. Gdy wyszedł, bar opustoszał, prawie wszyscy obecni tam mężczyźni byli mniej lub bardziej zaprzyjaźnieni ze Stephenem. Rozeszli się do domów, by zaopatrzyć się w szable, rapiery, śrutówki i najprzeróżniejsze pistolety, dołączyć później do gromady. André pojechał do Swamp.

Śmiało wstępował do obskurnych spelunek tej dzielnicy. Półdzicy flisacy przyglądali mu się ciekawie. Widzieli jego kosztowną odzież, ale nie przeoczyli również rękojeści pistoletów, które z całą ostentacją nosił zatknięte za pas, te pistolety skutecznie hamowały zakusy na jego osobę. Wymalowane nierządnicę uśmiechały się kusząco do tego młodego, pulchnego mężczyzny o ponurym wejrzeniu, lecz on nie zwracał na nie uwagi. Wchodził milczkiem do tych przybytków pijaństwa, gry i rozpusty i omiótłszy salę uważnym spojrzeniem, wychodził równie cicho jak wszedł.

Wreszcie w hoteliku „Jak u mamy”, prowadzonym przez niewiaстę o nazwisku Colby, jego wytrwałość została nagrodzona.

Znad stolika spojrzało nań bystre oko Mike'a.

— Wyszedłeś wieczorkiem trochę się rozerwać, chłopcze? — spytał z szerokim uśmiechem. — Chodź, siądź ze mną. Gram trochę, ale karta mi nie idzie. Kelner, dwie whisky!

— Nie teraz, Mike — odparł André. — Jesteś potrzebny w Harrow.

— Żartujesz sobie ze starego człowieka, ładnie to tak? Niby na co mógłbym się przydać takiemu tęgiemu zuchowi jak Stevie?

— Przydasz się i to bardzo. Dziś przed wieczorem Tom Warren strzelał do Stephena bez sprawiedliwej przyczyny. Nie jestem pewien, czy Stephen wyżyje.

Mike zerwał się od stołu, chwycił żelazną prawicą żabot, zdobiący koszulę André.

— Nie łzyj, chłopcze! — ryknął. André odsunął jego rękę bez gniewu.

— Po cóż bym cię oszukiwał? To szczerą prawdą, widziałem wszystko na własne oczy.

— Mamo Colby! — huknął Mike.

— Tak, synku — odezwała się zza baru matka Colby.

— Masz coś, co potrafi strzelać, rąbać albo wyrwać człowiekowi bebechy?

Stara wiedźma uśmiechnęła się paskudnie i schyliwszy za bufet, wyłożyła na ladę staroświecką flintę, nie ustępującą rozmiarami muszkietowi, różne odmiany śrutu, pałki, maczugi oraz ogromny, zakrzywiony nóż, ostry jak brzytwa.

Mike wybrał pistolet i zaraz zatknął go za pas. Przeciągnął twardym jak krzemień kciukiem po ostrzu noża.

— Dobrze, chłopcze — mruknął. — Prowadź mnie do niego.

Gdy przybyli na miejsce zbiórki, okazało się, że na drodze było tłoczno od jeźdźców. Siedzieli w milczeniu na koniach i czekali. Ten i ów koń zarżał z cicha, grzebnął niecierpliwie kopytem, szcęknęła broń, lecz poza tym ciszę naruszał jedynie ciężki oddech zdrożonych koni.

Księżyc stał wysoko nad cyprysami, droga była srebrzystoszara. André i Mike podjechali do czekających, ich cienie splotły się z czarnymi cieniami drzew. Jeźdźcy ożywili się nagle, otoczyli przybyłych wielkim półkolem.

— Lepiej zsiądźmy — powiedział André. — To nie jest teren odpowiedni dla koni. Kiedym go widział ostatnim razem, uciekał w tamtą stronę. Przydałoby się jakieś światło.

Od gromady oderwało się dwóch jeźdźców i ruszyło pełnym galopem wzdłuż drogi. Wrócili po kilku minutach z naręczem sosnowych gałązek. Zapaliwszy te łuczycywa, rozdali je pozostałym jeźdźcom i wszyscy ruszyli

bezglównie w moczary, płonące pochodnie tańczyły w ciemności żółtymi płomykami.

Mike, mrużąc do siebie jak wielki, rozeźlony niedźwiedź, natychmiast wysforował się do przodu. Reszta ludzi rozeszła się na wszystkie strony, tak że pochodnie migotały z daleka jak robaczki świętojańskie. Po jakimś czasie Mike pochylił się niżej nad ziemią, wydobywający się z jego gardzieli pomruk zabrzmiał jak warczenie dzikiej bestii, która wpadła na trop zwierzyny.

Doszli do tego miejsca, gdzie zarośla rozdzielały się jakby odgarnęła je niecierpliwa dłoń, trawa była stratowana. Niskorosłe palmy były odgięte na bok, cienkie pnącza dzikiej winorośli najwyraźniej zdeptała ludzka stopa. Mężczyźni milczeli, w leśnej głuszy rozbrzmiewał tylko ich głośny oddech.

Teren stawał się coraz bardziej grząski, przechodząc w zielonkawą maź, w którą stopy zapadały się głośnym plaśnięciem. Okoliczne cyprysy były w dolnych partiach tak obrzmiałe, że przypominały gigantyczne kręgle. Woda była czarna i cuchnąca. Szli jednak dalej, a luźne pnącza hiszpańskiego mchu muskały ich twarze jak wilgotne skrzydła.

— Do diabła — mruknął któryś z Amerykanów — że też nie bał się zapuszczać na takie uroczysko!

Doszli do rozlewiska rzeki. Stanawszy na rozmiękłym, mazistym brzegu patrzyli na szeroki przestwór czarnej wody. Mike podniósł rękę, nakazując milczenie. Przechylili głowy nasłuchując. Z rozlewiska szedł jakiś pogłos, odległy i słaby, lecz wyraźnie słyszalny: ktoś brnął przez płyciznę. Ludzie rzucili się wzdłuż brzegu, walcząc z ciągliwym błotem, w którym grzęzły ich długie buty. Wreszcie go dostrzegli, szedł z pochyloną głową, podtrzymując nadgarstek, owinięty białym gałganem.

Mike ryknął jak rozwścieczony niedźwiedź i skoczył z brzegu, bijąc o czarną wodę potężnymi udami, a po chwili puścił się biegiem, młócąc wodę rękami i nogami, wzbijając szarawe pióropusze szlamistej wody.

Tom Warren odwrócił się i strzelił, pomarańczowy płomień rozdarł mrok nocy. W tym zakątku, gdzie gałęzie drzew splotły się w niski baldachim tuż nad głową tropiciela, huk wystrzału był ogłuszający. Mike nie odpowiedział strzałem, parł zawzięcie do przodu. Warren strzelał jeszcze trzy razy, lecz Mike tylko potrząsał niedźwiedzią głową, pomrukując głucho. Wreszcie dopadł Warrena. Schwycił go włochatymi łapskami za ramiona i obaj, szamocząc się, runęli w czarny szlam, wzburzona woda zamknęła się nad ich głowami.

Stojący na brzegu mężczyźni czekali w napięciu. Po chwili kipiel uspokoiła się i z wody wynurzyła się głowa Mike'a, na jego twarzy malował

się ogromny wysiłek. Woda znów zakipiała, lecz Mike nie puszczał, w świetle pochodni widać było nabrzmiąle żyły na jego czole. Na koniec woda wygładziła się. Mike wstał i ruszył powoli przez płytką wodę. Wyszedł ociężale na brzeg.

Mężczyźni otoczyli go ciasnym kołem. André zobaczył smugi krwi na ociekającej wodą koszuli.

— Jesteś ranny! — zawołał.

— Pchły mnie pokąsały — mruknął Mike, patrząc na spokojne wody. — Niech bagno zrobi z nim porządek — powiedział ruszając w stronę drogi. Mężczyźni milcząc, poszli jego śladem.

Dotarli do drogi, siedli na koń i odjechali. Mike ruszył w stronę Harrow.

— Przecież jesteś ranny — powiedział André. — Trzeba ci lekarza.

— Zamilcz, chłopcze — przerwał mu Mike niecierpliwie. — Muszę zobaczyć, co ze Steviem. Te małe dziurki mogą poczekać. Jedziesz ze mną?

— Tak, oczywiście.

We wszystkich oknach Harrow płonęły światła. Pod domem zebrali się robotnicy polowi, nie zabrakło ani jednego. Niektórzy płakali.

Gdy André i Mike człapali na zmęczonych koniach dębową aleją, śmignęła obok nich piękna kara klacz. Wychyliwszy się, André dostrzegł, że jeździec dosiadał konia po damsku, że była to kobieta, jej długie włosy powiewały w takt galopu. Spiał konia ostrogami, lecz biedne zwierzę zupełnie opadło z sił. Tymczasem amazonka dotarła do paradnych schodów. Ściągnawszy wodze zbyt gwałtownie, pokaleczyła wędzidłem pysk klaczy, która zaczęła wierzgać i stawać dęba, amazonka, z trudnością utrzymując się w siodle, w zaciętym milczeniu próbowała zapanować nad spłoszonym zwierzęciem.

André dojechał w samą porę. Z całych sił przytrzymał wodze, klacz uspokoiła się powoli.

— Aurore! — szepnął André.

Dziewczyna lekko zeskoczyła z siodła, odrzuciła z twarzy ciemnoblonde loki.

— Jak on się czuje, André? — zapytała bez tchu. — Tylko mi nie mów, że on... Nie, tego bym nie zniosła!

— Uspokój się, Aurore — powiedział André. — Małżonek twojej siostry nie umarł i wcale nie wybiera się na tamten świat. Chodź, wejdziemy razem.

Aurore uśmiechnęła się przez łzy.

— Małżonek mojej siostry — powtórzyła cichym głosem. — Dziękuję ci za to napomnienie. Należało mi się, prawda?

André podał jej w milczeniu ramię i ruszyli w górę schodów. Słyszając z tyłu jakiś szelest, obejrzelisi się jednocześnie.

Mike, wsparty niepewnie o balustradę, stał chwiejąc się w tył i w przód. Porzuciwszy Aurore, André natychmiast zbiegł na dół.

— Zmachałem się odrobinę — powiedział Mike. — Ale to głupstwo, wracam do panienki.

Nie zważając na te zapewnienia, André ujął olbrzyma wpół i poprowadził do schodów. Aurore wsparła Mike'a z drugiej strony na ile jej starczyło sił. Gdy dotarli na górę, André zawołał niewolników i kazał odnieść Mike'a do jego dawnego mieszkania, mieli też natychmiast opatrzyć mu rany.

André i Aurore poszli teraz do głównej sypialni. Pod drzwiami stał na straży Little Inch, oczy miał zaczerwienione od płaczu. Obok, w fotelu, siedział Tienne, utkwivszy w drzwiach zimne spojrzenie błękitnych oczu. André cicho przekręcił gałkę, weszli. W pokoju panował półmrok. Przy łożu klęczała Odalie, ukrywszy twarz w fałdach pościeli, całym jej ciałem wstrząsał gwałtowny szloch. Aurore wbiła palce w ramię André.

Po przeciwnej stronie pokoju stała Caleen, jej twarz była niczym groteskowa maska afrykańska — czarna maska śmierci. André spojrział na nią pytająco.

— Maitre się pogorszyło — odparła. — Lekarz mówi, że już mu niewiele zostało życia.

Aurore przyłgnęła twarzą do ramienia André, który milcząc gładził jej piękne, jedwabiste włosy. Uniosła głowę, jej usta prawie dotykały jego szyi.

— Jeśli umrze... — szepnęła — jeśli Stephen umrze...

— ukryła twarz w zgięciu szyi André. Jej łzy parzyły mu skórę. Caleen znów się odezwała.

— Ten lekarz jest głupi jak but — oświadczyła. — Caleen może go uratować. W godzinę będzie mu lepiej.

— Więc ratuj go, na miłość boską! — zawołała Aurore głosem nabrzmiałym łzami.

— Zgoda — odparła stara — ale musicie stąd wszyscy wyjść. Zostanie tylko maitre i ja. Nikt nie może mi przeszkadzać.

— Co to za diabelskie sztuczki? — nasrożył się André.

— Och, André, dajmy jej spróbować! — zawołała Aurore — proszę cię!

— Dobrze — ustąpił niechętnie. — Ale bez żadnych guseł, Caleen!

Uśmiechając się uprzejmie, Caleen schyliła się, by podnieść półprzymotną Odalie. André i Aurore wyprowadzili ją z sypialni.

Caleen zamknęła za nimi drzwi i podeszła do wielkiego łoża z baldachimem. Przeżegnała się i pochyliła nad nieruchomą postacią.

— Nie jesteś ty szczęśliwy, maitre — zanuciła, zamruczała śpiewnie. — Caleen dobrze o tym wie. Ale przyjdzie dzień, że odzyskasz swoje szczęście. Nie umieraj, maitre — doczekasz radosnych dni. Umierać łatwo, ale trudno żyć. Bez radości życie nic nie warte. Ale przecież masz syna, maitre, chłopaka jak malowanie. Żyj dla syna. Wychowaj go na silnego mężczyznę, odważnego jak ty sam. Wychowaj go na człowieka. Śmierć dobra dla tchórzy. Poddają się, uciekają, umierają. Dzielni ludzie trzymają życie w garści. Żyj!

Powtarzała mu te słowa wciąż na nowo, to szepcząc cichutko, to mrużąc grubym głosem, zmieniając melodię i tempo, przy czym ani na chwilę nie odrywała oczu od jego twarzy. Po jakimś czasie sina szarość zaczęła odpływać z jego policzków, twarz lekko poróżowiała. Caleen wciąż nuciła. Oddech Stephena wyrównał się i wzmocił, lecz Caleen nie przerywała śpiewnej deklamacji.

— Nie umieraj, maitre! Jeszcze nie czas, nie pora! Zbyt wiele ludzkich żywotów zależy od tego, czy będziesz żył, czy umrzesz. A ty nie umrzesz, będziesz żył!

Mijał czas, Stephen oddychał równo i spokojnie. W kącikach jego ust błąkał się cień uśmiechu. Caleen podeszła na palcach do drzwi i otworzyła je szeroko. Odalie, Aurore i André wpadli do środka i pospieszyli do łoża chorego. Przyjrząwszy się Stephenowi, jak na komendę obrócili się do Caleen.

— Jesteś starą diablicą — zawołał André — lecz niech ci Bóg błogosławi!

Od tej pory Stephen zaczął wracać do zdrowia, lecz był przykuty do łóżka jeszcze przez wiele tygodni. Gdy leżał, męcząc się własną bezczynnością, André doglądał dwóch plantacji: La Place i Harrow. Aurore wprowadziła się do Harrow, by pomagać siostrze w pielęgnacji jej męża i Mike'a Farrela — z jego potężnej piersi trzeba było wyjąć trzy kule. Olbrzym był przykładowym pacjentem, nie marudził i śledził każdy ruch Aurore spojrzeniem pełnym uwielbienia. Natomiast w głosie Odalie, gdy rozmawiała z siostrą, nieraz zabrzmiał oschły ton, a w oczach przemykało zdziwienie i wrogość.

Tegoroczne zbiory były dobre, mimo iż sytuacja w kraju była mocno niepewna, Harrow przyniosło właścicielowi znaczny dochód. Korzystając ze Stephenowego poręczenia, André uzyskał prolongatę długów u swych wierzycieli, a jesienią mógł te długi pospłacać. Jednak finansowe serce kraju

nie wróciło jeszcze do równowagi po doznanym wstrząsie, większość banków wciąż była zamknięta na cztery spusty, a powzięte na początku roku ambitne projekty trzeba było okroić lub zarzucić.

Gdy z wysokiego komina cukrowni buchnął gęsty dym, Stephen zwłókł się z łóżka i snuł po plantacji blady jak własny duch. Wychudł straszliwie, oczy zapadły mu się w głąb sinych orbit, poruszał się powoli i niepewnie.

Przypatrując mu się dzień po dniu, André wykrył coś jeszcze, w każdym słowie Stephena, w każdym geście przebijała ledwie wyczuwalna gorycz.

Zresztą prawie się nie odzywał, zamykał się na długie godziny w gabinecie z Little Inchem, który czytywał mu na głos. Najmniejszy wysiłek, nawet samodzielna lektura, zupełnie go wyczerpywała, mały niewolnik w szybkim tempie zdobywał zdumiewające zasoby wiedzy. Wspólnie przebrnęli przez Republikę Platona. Stephen często przerywał chłopcu, by dogłębnie roztrząsać jakąś zasadę filozoficzną w zestawieniu z drobnymi wydarzeniami, które niósł dzień.

W Kongresie z rosnącą gwałtownością przeciwstawiano się przyłączeniu Teksasu. Właśnie w Kongresie pewien właściciel niewolników i przeciwnik ekspansji niewolnictwa dobyli wreszcie szabel, zażartość debat rzucała mroczny cień na dopiero budzącą się przyszłość.

— Ktoś będzie musiał ustąpić — mówił Stephen do André — albo my, albo oni. Tamci nie pozwolą, by niewolnictwo rozszerzało się na resztę kraju, my nie pozwolimy, by zniesiono ten system.

— W takim razie na tej półkuli wyodrębnią się dwa państwa — odparł André. — My pójdziemy swoją drogą, a oni swoją.

— Przecież to jakaś bzdura. Dwa słabe, wzajemnie się zwalczające państewka, zamiast jednego silnego państwa pokoju. Nie rozumiesz, André, że gdyby oni stanowili odrębne państwo, to nic nie zmusiłoby ich do zwrotu naszych zbiegłych niewolników? Nie moglibyśmy też prowadzić z nimi handlu, choć są tak blisko. Jedna rzecz byłaby z góry wiadoma: ich wieczna wrogość, wieczne ponawiane próby zniszczenia nas.

— Wszystko widzisz w krzywym zwierciadle — roześmiał się André. — Trzeba ci jakiejś odmiany.

— W tym się z tobą zgodzę — odparł Stephen. Potrzebował całej zimy, by wrócić do zdrowia. Wiosną po dawnemu objeżdżał swoje dobra, skacząc przez przeszkody z zawziętą brawurą. Praktycznie biorąc zamieszkał w wielkich kasynach na ulicy Królewskiej. Trwonił zawrotne sumy grając w faraona i ruletkę, jednak przy zielonym stoliku był niepokonany. Wydawało się, że jego wygrana jest z góry przesądzona, niezależnie od tego, jak

przykładał się do gry. André coraz bardziej niepokoił się o przyjaciela. Trzeba z tym skończyć, zdecydował, i to szybko.

— Stephen, co byś powiedział na bal? — rzucił pewnego razu, gdy jechali w stronę La Place.

Stephen obrzucił go spojrzeniem pełnym nieskrywanego obrzydzenia.

— Że też tobie przyszło coś takiego do głowy! — prychnął.

— Nie chodzi mi o zwyczajny bal — odparł André z chytrym uśmiechem.

Stephen uniósł jasną brew.

— Nigdy nie słyszałeś o Bals du Cordon Bleu*

* **Bals du Cordon Bleu (franc.) — bale z błękitną wstążeczką**

— Więc to ci chodzi po głowie — zaśmiał się Stephen. — Chcesz mi przygruchać jakąś Mulateczkę? A fe, nieładnie!

— Chcę tylko, byś rzucił na nie okiem. Masz coś przeciw?

— Ależ nic — odparł Stephen, uśmiechając się pod wąsem.

RS

ROZDZIAŁ 16

Obok Théâtre D'Orleans mieszczącego się przy ulicy Orleans między Burbońską a Królewską, przycupnął niski budynek reduty o tej samej nazwie. Gdy André i Stephen podjechali tam pewnego wiosennego wieczora 1838 roku, od okien reduty były jaskrawe światła, a dźwięki muzyki i radosnego gwaru niosły się daleko w głąb ulicy. Nie zsiadając z konia, Stephen patrzył krytycznym okiem na tę brzydka, jednopiętrową budowlę.

— Piękne to, to nie jest — zauważył.

— Poczekaj aż wejdiesz do środka — odparł André. — No, rusz się, człowieku, szkoda czasu.

— Niby dlaczego? André roześmiał się.

— W środku zastaniesz trzy czwarte całej arystokracji orleańskiej — odparł. — W zeszłym roku cordon bleu wypadł w tym samym dniu co jeden z naszych bali. — Musiałem przez całą noc — na prośbę Melii — obtańcowywać paniusie, dla których zabrakło partnerów. Wszyscy panowie zbiegli się tutaj.

Stephen zeskoczył z konia.

— Te twoje różnobarwne panienki to dla mnie żadna atrakcja — powiedział z uśmiechem.

— Poczekamy — zobaczymy. No wejdźże — ponaglił André.

Weszli w niskie drzwi. W westybulu oddali okrycia, André wykupił karty wstępu — po dwa dolary od osoby — i weszli na piętro. Stephen zatrzymał się w drzwiach sali balowej i rozejrzał ciekawie. Z sufitów zwisały ogromne kryształowe żyrandole, niemal równie kosztowne jak te w Harrow. Wzdłuż ścian w niszach stały posągi, których nie powstydzilyby się komnaty Wersalu, w obrazach wprawne oko Stephena rozpoznało natychmiast oryginały. Ściany wyłożono boazerią z cennych odmian drewna i inkrustowano odmianami jeszcze cenniejszymi.

Na wspaniałym parkiecie, złożonym, jak mówił wszystkowiedzący André, z trzech warstw klepki cyprysowej, pokrytej grubą warstwą dębiny, tańczyli młodzi i mniej młodzi panowie orleańscy. Stephen natychmiast zorientował się, że byli tu prawie wszyscy jego znajomi, jak również wielu, których nie znał. Spojrzał na ich partnerki i zmarszczył brwi.

— Śliczne, prawda? — spytał André.

— Pewnie, że śliczne, jakżeby inaczej? Doskonalicie tę rasę od wielu pokoleń — odparł Stephen, tłumiąc ziewnięcie grzbietem dłoni. — Dziwne, że wy Francuzi, znajdujecie czas, by cokolwiek uprawiać — macie tyle

roboty w chatkach niewolnic! Dziwię się, że tak zasmakowałeś w tym mieszanym towarze!

— Nie wyprowadzisz mnie z równowagi — uśmiechnął się André.

— Zresztą jeszcze niczego nie widziałeś.

— Wprost płonę z niecierpliwości — warknął Stephen.

— I co to za atrakcja? Ten bal jest równie mieszczański, nudny i nadęty jak bale w wyższych sferach, na które mnie ciągałeś. Owszem, panny tu są ładniejsze, ale te ich tłuste, żółte mamusie pilnują ich jak jastrzębiec

— Nic nie rozumiesz. W ich pojęciu związki, które zawierają, są równie godne szacunku jak związki małżeńskie. Nigdy nie porzucają ani nie zdradzają swoich opiekunów. A jeśli chodzi o miłość — Dieu — te dziewczyny zapomniały więcej, niż nasze kobiety kiedykolwiek wiedziały. Oczywiście nad wszystkim czuwają mamusie. Sprzeciwiłyby się nierozsądnemu związkowi równie zdecydowanie jak białe matki sprzeciwiłyby się nierozsądnemu małżeństwu.

— Przejdźmy się trochę, bo padnę z nudów — wtrącił Stephen.

Zaczęli krążyć po sali. Dziewczęta zerkają zza wachlarzy na tych dwóch doskonale ubranych panów, wymieniając szeptem uwagi. Gdy dwaj przyjaciele dotarli do klatki schodowej, Stephen zatrzymał się nagle, zacisnął smukłe palce na ramieniu André.

— Chyba już wiem, co miałeś na myśli — wycedził. Schodami szła grupa młodych Mulatek, o czwartej lub ósmej części krwi murzyńskiej. André nie musiał pytać, o którą dziewczynę szło Stephenowi. Jej towarzyszki mogły równie dobrze wcale nie istnieć.

Przewyższała je o pół głowy i miała ciemniejszą karnację — złotawą, podczas gdy tamte były jasne jak kość słoniowa. Lecz najbardziej wyróżniały ją włosy. Nie były to smoliste kędziory, zwinięte nad uszami, lecz kaskada bursztynowych loków, mieniących się to złotem, to miedzią przy żywszych ruchach jej głowy.

Stephen wyszedł na podest schodów, gdy przechodziła obok, dotknął jej ramienia.

— Dziś wieczór tańczysz tylko ze mną — powiedział — z nikim innym. Zrozumiałaś?

Uniosła ciężkie powieki, ukazując oczy zielone i chłodne.

— Proszę najpierw porozmawiać z moją matką, monsieur — odparła niskim, melodyjnym głosem, w uszach Stephena zabrzmiał jak stłumiony dźwięk złotego gongu.

Stephen spojrzął jej prosto w oczy.

— Do diabła z twoją matką — powiedział głośno i wyraźnie. — Tańczysz dziś ze mną i kwita.

— A jutro? — zapytała.

Stephen smagnał ją spojrzeniem jak biczem. Głęboko wycięta suknia odsłaniała piękny dekolt i ramiona. Cenna stara koronka ledwie zakrywała jej piersi. Stanik ciasno opinał niewiarygodnie smukłą kibić.

Stephen objął dziewczynę władczym gestem i porwał do tańca. Nie odrywał oczu od jej twarzy, uniesionej pod takim kątem, że jej usta niemal muskały szyję Stephena. Z jej włosów o zmiennym kolorze bursztynu, miedzi, przyćmionego złota unosiła się woń o ledwie wyczuwalnej lecz silnie drażniącej nucie. Stephen poruszył cienkimi nozdrzami. Pragnął zajrzeć jej w oczy, lecz przysłaniały je wielkie, czarne rzęsy. Zdziwił się tej czerni, zestawionej z jasną karnacją i włosami. Dopiero gdy wirowali tuż pod żyrandolem, stwierdził, że to tylko gra światła i cieni — jedwabiste rzęsy mieniły się to złotym bursztynem to czarnym agatem.

Stephen ujął partnerkę za ramię i sprowadził z parkietu na galerię, z której rozciągał się widok na ogrody, okalające tyły katedry św. Ludwika. Wieczór był pogodny, purpurowe niebo skrzyło się miriadem gwiazd. O jedną z cienkich wieżyczek katedry zaczął się wąski sierp księżyca, otoczony białą aureolą.

Aureola oznacza deszcz — myślał Stephen niejasno — a ten bal znaczy, że zwariowałem...

Ujawszy jej krągłe, miękkie ramiona odsunął nieco od siebie. Księżyc lśnił w jej włosach, rzęsach. Stephen wciągnął powietrze głęboko w płuca.

— Jesteś prześliczna — powiedział z zachwytem.

— Dziękuję, monsieur — odparła głębokim, stłumionym głosem, którego pogłos brzmiał jeszcze wtedy, gdy umilkła — jak echo gongu. Stephen łowił uchem tę milknącą muzykę, po czym przyciągnął dziewczynę do siebie.

Odchyliła w tył głowę, koralowe wargi rozchyliły się miękko. Całując je, Stephen wchłaniał jej młody, czysty oddech. Całował lekko, łagodnie, prawie czule. Dziewczyna zakołysała lekko głową — jej miękkie, rozchylone wargi ocierały się o usta Stephena w delikatnej pieśczoście.

Nagle Stephenem owładnęło szaleństwo. Przygarnął ją do siebie tak gwałtownie, że krzyknęłaby z bólu, lecz krzyk uwiązał jej w gardle. Przyciskając ją do siebie brutalnie jedną ręką, drugą jak szponami przeciągnął po jej plecach i karku.

Potem puścił ją nagle. Lecz zamiast uciekać, uniosła się lekko na palcach i opuściwszy ramiona, chwiewając się jak powiew wiatru, przylgnęła ustami do

jego ust tak lekko, że prawie nie czuł ich dotyku. Objął dziewczynę w pól, a ona, wygięta w tył, przymknąwszy oczy, kołysała się jak piękny nieznany kwiat.

Znów przyciągnął ją do siebie blisko, lecz nie uniosła ku niemu twarzy, a skryła w zagłębieniu szyi Stephena, czuł jej ciepły, łaskotliwy oddech.

— Kochanie... — zaczął.

— Tak, monsieur

— Jak ci na imię?

— Desiree*. Podoba się panu?

* **Desiree (franc.) — upragniona**

— Czy mi się podoba? Jest piękne, doskonałe. A teraz czas, bym porozmawiał z twoją matką. Czy mogłabyś zaprowadzić mnie do niej?

Podał jej ramię i poszli razem przez salę balową, tam, gdzie w fotelu, w pozie prawdziwie królewskiej siedziała Mulatka ćwierćkrwi. Było jasne, że to po niej Desiree odziedziczyła swą urodę. Choć zaczynała się już starzeć i tyć, wciąż była uderzająco piękną kobietą. Uniósłszy ciemne brwi, patrzyła to na córkę, to na Stephena.

— Ten pan chciałby zamienić z tobą słówko, mamon — powiedziała Desiree.

Matka zwróciła królewską głowę w stronę nieznanego, czekając w wyniosłym milczeniu, co ów powie. Zmieszał się pod tym spojrzeniem. Przygląda mu się, taksuje jakaś Murzynka — bo to jest Murzynka, choć zupełnie biała, cóż za dziwaczne uczucie. Zawahał się. Widząc jego rozterkę, André pospieszył przyjacielowi z pomocą z odległego końca sali.

— Pozwoli pani — rzekł uprzejmie — że zaprezentuję mojego przyjaciela Stephena Foxa. Czy można wiedzieć, z kim mamy przyjemność?

— Hippolyte, madame Hippolyte. Czy pan Fox z plantacji Harrow?

— Tak — warknął Stephen. — Skąd pani wie o Harrow?

— Wszyscy je znają — odparła z uśmiechem, pochylona ku niemu, pełna zachęty.

Stephen odchrząknął, wciąż nie mógł oswoić się z tą sytuacją, z tym bezwstydem — matka gotowa jest sprzedać własną córkę do konkubinatu. Ta dziewczyna bez trudu znalazłaby męża. Wyszłaby za któregoś z Logoasterów, Dumasów, Lascalów, czy któregoś z kilkudziesięciu kwarteronów

— właścicieli plantacji i niewolników — żyło im się nie gorzej niż białym. Taka dziewczyna, taka cudna dziewczyna jak Désirée, byłaby łakomym kąskiem dla każdego...

— Przypuszczam, że monsieur chciałby wejść w związek z moją córką — powiedziała madame Hippolyte.

— Rzeczywiście, taki mam zamiar — odparł sztywno Stephen.

— Monsieur jest człowiekiem zamożnym — ciągnęła.

— Na tyle, by wynagrodzić pani utratę córki — odciął się.

Madame Hippolyte spurpurowiała.

— Nie rozumiemy się — oświadczyła. — By ją kupić, nie starczyłoby złota całego świata. Désirée nie jest na sprzedaż jak czarna niewolnica. A ja po prostu chciałam się upewnić, że nie będzie jej na niczym zbywało.

— Nie musi się pani o to martwić — wtrącił André.

— Monsieur Fox jest największym bogaczem w Luizjanie. Désirée nie zabraknie ptasiego mleka. Oczywiście przyjmie pani jakiś dowód jego szacunku...

— Ani centa — przerwała mu stanowczym tonem.

— Ale jeśli Désirée czuje ku niemu skłonność... — spojrzała w pogodne, zielone oczy córki, dziewczyna skinęła głową. Madame westchnęła.

— Czy możemy omówić warunki, panowie?

— Jak pani sobie życzy — odparł Stephen.

— Moja córka musi mieć dom na Podwalu. Musi to być najładniejszy, najdostatniej urządzony dom na całej ulicy. Wystara się pan dla niej o pokojówkę i kucharza. Zadba, by nigdy niczego jej nie brakowało, by miała dość strojów. Będzie ją pan odwiedzał dyskretnie, unikając jakiegokolwiek skandalu, który zaszkodziłby pana lub jej opinii. W pełni zabezpieczy pan przyszłość dzieci, które mogą się narodzić z tego związku i zapewni im taką samą edukację, jaką otrzymują biali. Ponadto monsieur nie będzie widywał się z Désirée, ani utrzymywał z nią jakiegokolwiek kontaktu do czasu, aż dom będzie gotów do zamieszkania. Wtedy ją panu przyślę.

Stephen ściągnął jasne brwi, krew uderzyła mu do głowy.

— To jakaś bzdura! — rzucił. Madame Hippolyte wzruszyła ramionami.

— Ostrożnie, Stephen — szepnął André — bo nic nie wskórasz.

— Niech będzie — powiedział Stephen. — Widzę, że pani tu rządzi. Doskonale więc, przyjmuję warunki. Jutro zacznie się budowa!

Dotknął dłoni Désirée i zaprowadził dziewczynę na parkiet. Była świetną tancerką. Tańcząc, wpatrywał się w zielone oczy, upstrzone złotymi drobinami.

— Dlaczego tak mi się przyglądasz, Désirée?

— Ma pan takie błękitne oczy — odpowiedziała po prostu. — I brwi prawie białe. A na czole szramę po pojedynku.

— I co jeszcze? — zaśmiał się beztrąsko.

— Włosy jak ogień. Pańskie usta lubią się śmiać — śmiać z innych. Monsieur jest miły i przystojny, ale trzeba mieć się przed nim na bacności. Widzi pan, ja po prostu chcę go dobrze zapamiętać.

— Czemu?

— Jeszcze długo nie będziemy się widywać. Serce mi się ściska na tę myśl. Ale przecież nie mogłabym przenieść się do pana, prawda? Będę więc czekać — choćby całe życie.

— Ten dom powstanie w błyskawicznym tempie — powiedział Stephen.
— Wyjdźmy na galerię.

— Nie mogę.

— Ale dlaczego, moja mała Désirée?

— Nie chcę złamać słowa, które dałam matce. Przy panu jestem całkiem bezwolna.

Stephen uśmiechnął się zwycięsko.

— Będę cierpliwy — powiedział. — Mieć ciebie to wielkie szczęście. — A gdy uśmiechnęła się, kryjąc oczy za długimi, wygiętymi rzęsami, szepnął: — Więcej niż szczęście — rozkosz!

Gdy bal się skończył, Stephen odprowadził Désirée do matki i wyszedł na dwór z André. Noc była jasna, końskie kopyta głośno dźwięczały w cichej ulicy. Odjeżdżający goście żegnali się w przelocie z dwoma przyjaciółmi, uśmiechali się porozumiewawczo do Stephena, jakby zadowoleni, że i on nie jest wolny od słabostek, którym oni już dawno się poddali. Ale Stephen nie zwracał na nich uwagi, zadumany, puściwszy wodze luzem, patrzył w pustkę nie widzącym wzrokiem.

André przechylił do tyłu swą korpulentną postać, roześmiał się na cały głos.

— Więc jednak wzięłeś sobie placée* — rechotał. — A zarzekałeś się, jak żaba błota!

* **placée (franc.) — utrzymana**

— Ona jest piękna, André — powiedział Stephen cicho.

— Całkowicie się z toba zgadzam! Ta twoja Désirée po prostu zapiera człowiekowi dech w piersiach. Przy takiej można całkiem zgłupieć. Ale pamiętaj o jednym — Odalie nie może się o niczym dowiedzieć.

— Odalie?... powtórzył Stephen nieprzytomnie. — Czy wiesz, że dziś wieczór zupełnie o niej zapomniałem?

— Wcale ci się nie dziwię. Ale Odalie nie ma powodu do narzekań. Zawsze traktowałeś ją jak najlepiej.

— Tak — powiedział Stephen. — Nasze małżeństwo to błąd. Ale stało się. Teraz użyję sobie życia, zaznam odrobinę radości. No jedźmy, chłopcze, przed nami daleka droga.

Nazajutrz od samego rana zaczęły zjeżdżać na Podwale wozy zaprzężone w woły: zwoziły deski i bale cyprysowe. Siedząc w zamkniętym powozie po przeciwnej stronie ulicy, Stephen patrzył jak Murzyni wznoszą zręby niewielkiej willi. Monsieur Pouilly nadzorował ich pracę stojąc na banquette. Ten mały, fertyczny architekt był Francuzem do szpiku kości. Obecne zlecenie bardzo go wciągnęło. Monsieur Fox wie, co to smak i dyskrecja, myślał.

Stephen, zadowolony z postępu robót, kazał stangretowi jechać dalej. Znalazszy się na ulicy Canal, zdumiał się na widok zmian, które tu zaszły.

Wzdłuż całej ulicy powstały nowe przedsiębiorstwa, sklepy i magazyny. Właśnie nadjeżdżał piętrowy omnibus, ciągnące go konie klekotały kopytami po świeżo położonych szynach. Przed rokiem nieobecni właściciele parcel na Chartres znów podnieśli bardzo już wyśrubowane ceny, skutecznie wypłaszając wszystkich chętnych. Canal zaczęła błyskawicznie nabierać znaczenia. Z racji swego położenia — biegła między dwiema dzielnicami — była równie łatwo dostępna dla Amerykanów i Kreolów. Stephen rozsunął zasłonki w oknie powozu, by wpuścić trochę słońca i znów spojrzął na omnibus. Drgnął zaskoczony — z górnego piętra omnibusu pomachała doń jakaś kobieta. Kiedy zrównał się z omnibusem, stwierdził, że pasażerką jest Aurore. Dała znak woźnicy, by stanął i zaczęła schodzić niepewnie po schodkach, umieszczonych ukośnie na zewnątrz omnibusu. Wskoczywszy z kabrioletu, Stephen pomógł jej zejść na chodnik, a następnie podсадził do swojego powozu.

— Czyżbyś poczuł się tak staro, że przesiadłeś się z konia w kabriolet? — zażartowała Aurore. — Ty i kabriolet dziwnie do siebie nie pasujecie.

— Rzeczywiście, ostatnio zaczęło mnie łupać w kościach — starość nie radość — odparł z uśmiechem. — A ty dokąd się wybierasz, siostrzyczko?

— Och, właśnie skończyłam zakupy. Weź mnie ze sobą do Harrow, jeśli tam jedziesz. Całe wieki nie widziałam Odalie.

— Z przyjemnością, Aurore. Jak widzę, jesteś dziś w wyborzym humorze. A z tymi rumieńcami jesteś jeszcze ładniejsza, o ile to w ogóle możliwe.

Aurore stuknęła go swawolnie koronkową parasolką.

— Jesteś bałamut, ale bardzo miły bałamut. To ładnie, że prawisz komplementy starej pannie.

— Jeszcze wyjdiesz za mąż, zobaczysz.

— Ależ Stephenie, kto by mnie chciał? Mam już dwadzieścia dziewięć lat. Komu potrzebna stara żona?

— Kuś dalej, a obudzi się we mnie Turek — powiedział Stephen niskim głosem. — Byłabyś ozdobą mojego haremu.

— Więc masz harem? — od dawna cię o to podejrzewałam. Ale nie popędzaj mnie. Myślę że odpowiadałby mi numer dziesiąty. Tak, byłabym dziesiąta... i ostatnia.

Aurore zachowała powierzchnowość młodziutkiej dziewczyny. Ciemnoblond włosy wiły się miękko nad uszami, świetliste, orzechowe oczy, zwrócone na Stephena, miały wyraz dziwnie tkliwy. Patrząc na nią, Stephen przypomniał sobie nagle słowa André z tamtego odległego dnia kwietniowego: „Uważam że dokonałeś fałszywego wyboru. Aurore jest o wiele bardziej urodziwa”.

— I miał rację! — powiedział Stephen na głos. — Jesteś taka, jak mówił!

— Kto mówił? Jaka jestem? — zdziwiła się Aurore.

— Jesteś ładniejsza niż Odalie. Sprzeczaaliśmy się o to kiedyś z André. Dziś widzę, że się nie mylił.

— Nie, nie, to nie tak — powiedziała Aurore cicho. — Po prostu w tamtych czasach czułam do mnie słabość. Odalie jest najpiękniejszą kobietą, jaką znam.

Zamilkli. Przez resztę drogi prawie się nie odzywali. Gdy kabriolet sunął dębową aleją, Aurore spostrzegła Achille'a, spuściwszy głowę, przemykał się chyłkiem pod drzewami.

— Co mu dolega, Stephenie? Czy jest chory?

— Nie może do siebie dojść od czasu, gdy utopiła się ta jego czarna tygrysyca. Wyszukałem mu niejedną ładną dziewczuszkę, ale na żadną nawet nie spojrział. Coś mi się zdaje, że już niedługo pociągnie.

— Tak, nieszczęśliwa miłość może zabić — odparła Aurore w zadumie — zwłaszcza kiedy nie ma się żadnej nadziei.

Wyskoczyła lekko z kabrioletu i pobiegła do schodów, jakby przed czymś uciekała.

Budowę białego domku na Podwalu zakończono w ciągu miesiąca. Ubierając się do wyjścia, Stephen zauważył, że drżą mu dłonie. Wykapany i odświeżony wkładał nowe ubranie, strojne i kosztowne jak nigdy dotąd. Laogaster, krawiec kwarteron, po prostu przeszedł samego siebie. Za oknem gały przedwieczorne zorze, na niebie i w rzece zamigotały pierwsze gwiazdy.

Stephen przeszedł cicho obok sypialni Etienne'a, snu panicza strzegł Little Inch, leżąc na rozciągniętym na podłodze sienniku. Kiedy przemykał się pod drzwiami Odalie, otworzyły się nagle — w drzwiach stała jego żona.

— Jakiś ty dziś przystojny — powiedziała. — Dokąd się wybierasz?

— Do miasta — odparł krótko.

— Do miasta! Wciąż do miasta! Czy mogłabym cię jakoś zatrzymać w domu?... Zresztą jedź, jeśli chcesz...

Stephen uśmiechnął się.

— Owszem, mogłabyś. I dobrze wiesz, w jaki sposób. W oczach Odalie błysnęły łzy.

— Przypląciłabym życiem następne dziecko — szepnęła

— przecież wiesz. Ale, jeśli chcesz...

— Nie, masz rację, tak nie można — odparł łagodnie.

— Nie czekaj na mnie. Wrócę bardzo późno. — Odalie patrzyła za nim, gdy szedł w dół po schodach, po czym wycofała się do swojego pokoju.

Z okna białej willi na Podwalu sączyło się stłumione światło. Stephen zeskoczył z konia i sięgnął drżącą ręką po kołatkę. Nie zdążył zapukać, gdy drzwi otworzyły się i cudowny, głęboki głos zaszemrał:

— Proszę wejść, monsieur. Czekam już od wielu godzin. Na mahoniowym stole płonęły dwie świece, kremowy

obrus z adamaszku potęgował ich łagodny blask. Srebrna zastawa skrzyła się i lśniła. W kubelku z lodem chłodziło się wino.

Désirée wyciągnęła do gościa rękę. Ujął je łagodnie, lecz nie próbował objąć dziewczyny. Trzymając ją na długość ramienia, patrzył poważnie w jej twarz.

— Tak — powiedział po chwili — jesteś taka, jaką cię pamiętałem.

— To znaczy jaka?

— Niewiarygodna.

Rozejrzał się po pokoju. Désirée urządziła wewnątrz z subtelną, wyważoną elegancją. Niczego tu nie było w nadmiarze, nic nie raziło, niczego nie brakowało. Ten dom tchnął spokojem, wytchnieniem. Nigdzie ani śladu rozmachu i wystawności Harrow. Prostota podniesiona do poziomu sztuki.

— Doskonale się spisalaś.

— Cieszę się, że kontent pan ze mnie. Czy podać wino?

— Tak — rzekł siadając w przepastnym fotelu. Désirée podała mu kulistą czarę pełną przejrzyście rubinowego trunku i wsparta o fotel, patrzyła jak Stephen sączy wino, przyglądała się jego płomiennej czuprynie. W bujnych lokach na skroniach wiły się białe nitki. Położyła ciepłe, miękkie dłonie na czole i gładziła je powolnymi ruchami. Pod kojącą pieczęcią

złagodniało bolesne napięcie mięśni i nerwów Stephena. Wygładziła się nawet zmarszczka pośrodku czoła, która gościła tam od dłuższego czasu. Schwyciwszy Désirée za rękę, zajrzał jej w oczy.

— Masz zaczarowane dłonie — powiedział. — Już od lat nie...

— Monsieur jest nieszczęśliwy — szepnęła. — Lecz do tego domu troska nie ma wstępu. Zbudowano go dla radości.

— Jesteś bardzo mądra, Désirée. Ile ty masz właściwie lat?

— Szesnaście.

— Chryste Panie!

— Czy to pana niepokoi?

— Oczywiście!

— Niepotrzebnie. My nie wiemy, co to młodość. Nie możemy sobie na nią pozwolić. To co pan nazywa mądrością, to wiedza o życiu, którą matki przekazują córkom z pokolenia na pokolenie. Urodziłam się dla takiego życia, monsieur.

Stephen siedział nieruchomo w głębokim, miękkim fotelu, patrząc jak dziewczyna krząta się przy stole. Jej ruchy były pełne niewysłowionego wdzięku. Stephen czuł się cudownie spokojny i odprężony. Nie trzeba się spieszyć, tak jest dobrze. Smakować każdą mijającą chwilę, spijać błogość małymi łydkami. Nie płoszyć tej cichej radości brutalnym pośpiechem. Niech trwa.

Desiree nałożyła jedzenie na talerz Stephena, przysunęła kielich z winem i stanęła za jego krzesłem jak służąca.

— Usiądź — rozkazał.

— Nie, to nie wypada.

— Kazałem ci usiąść!

Siadła w milczeniu za stołem naprzeciw Stephena. Miękkie światło lichtarza złociło długie rzęsy, rozświetlało zielone oczy wpatrzone w Stephena, tylko w Stephena.

— Nawet nie tknęłaś jedzenia — zauważył. — Zjedz coś.

— Nie jestem głodna.

Nagle odsunął krzesło, wstał od stołu.

— Podejdź do mnie. Podeszła od razu.

Kiedy Stephen kłusował do Harrow w szarawej mgiełce brzasku, powietrze było jak najprzedniejsze wino. Mimo wielkiego znużenia i wczesnej godziny, czuł się lekki i radosny jak ptak gotujący się do lotu. Serce miał spokojne, myśli jasne i uporządkowane. Przyszłość rysowała się wyraźnie jak linie na dłoni.

Etienne musi kształcić się za granicą — w Anglii, tylko w Anglii. Aurorę trzeba znaleźć męża. Stephen zatrzymał na chwilę konia — marszczył z niezadowolaniem czoło i zastanawiał się, czemu właściwie jest niezadowolony. Szkoda, że młody Cloutier wyjechał do Teksasu, byłby idealnym mężem dla Aurorę. Zresztą jak nie on, to znajdzie się inny.

A sprawę aneksji, wywołującą tyle gniewu i goryczy, jakoś się przecież załagodzi. Jak on sam czy ktokolwiek inny może wstrzymać nieunikniony rozwój wydarzeń — tego nie wiedział i nie chciał zaprzętać sobie tym głowy.

Desiree. Była zupełnie inna niż oczekiwał. Przyszła do Stephena tak po prostu, bez obawy, wstydu, czy udawania. Jakże się zdumiał, stwierdziwszy, że jest dziewczicą. A jednak, za sprawą instynktu, była wytrawną kochanką, „urodziłam się do takiego życia, monsieur”... A przede wszystkim po to, by wyrwać Stephena z jałowej egzystencji. Miałem wszystko oprócz szczęścia, myślał. Wciąż mi umykało.

Na szerokich polach Harrow młode pędy trzciny gięły się w najmniejszym powiewie. Zieleniła się wschodząca bawełna. Dalej, na linii horyzontu zarysowała się sylwetka Achille'a — siedział zgarbiony na mule, słomiany kapeluszek zakrywał mu twarz. Ale grobla była pusta, Josh już nigdy nie siądzie nad prastarą rzeką, by pilnować wędek, pół drzemiac pół czuwając. Tyłu już odeszło: Zerline, pokojówka Odalie, Pierre Arceneaux, stary Le Blanc... Śmierć czała się w samym środku życia. Lecz Harrow ostatecznie się śmierci, gdyż w jego murach śpi pewien mały chłopiec — dziwna, niepokojąca istota, kojarząca galijski ogień z celtyckim mistycyzmem. Ale to przyszły mężczyzna, dziedzic nazwiska, nadzieja. Ród Foxów przetrwa, wydając wciąż nowe pokolenia aż po krańce czasu.

Skąd te wizje odległej przyszłości? Czy za sprawą tamtej ślicznej zielonookiej dziewczyny, którą trzymał w ramionach przez całą noc? Która obudziła go nad ranem tkliwą pieśczęcią? Czyżby te miękkie dziewczęce dłonie miały podtrzymać całą tę ogromną budowlę? Stephen wbił ostrogi w boki konia i popędził z grzmiotem kopyt przez uśpioną aleję.

Przez następne tygodnie Stephen jeździł na Podwale prawie co wieczór. Oczy Odalie, wyczekującej co noc jego powrotu, otaczały coraz głębsze cienie. Musiała jednak przyznać, iż życie Harrow nigdy nie toczyło się tak gładko jak teraz. Stephen był w wybornym humorze. Cieszył się z każdej drobnostki, nie dał się wyprowadzić z równowagi najgorszym fumom i histeriom żony. Nawet Etienne nie zdołał zakłócić jego słonecznej pogody ducha. Między tymi dwoma zaczęła się nawet tworzyć pierwsza nieporozumienia. Etienne snuł się za ojcem po całej plantacji — choć zawsze

w pewnej odległości, milczkiem. Zaczął się też uczyć angielskiego, powolna i oporna była to nauka, lecz powziął ją z własnej, nieprzymuszonej woli.

Odalie siedziała przy stole, czekając z kolacją na męża. Szedł właśnie przez hall, radośnie, bez wysiłku gwizdząc jakieś skomplikowane melodie. Zacisnęła ręce na krawędzi stołu. Stephen nie ma prawa być tak szczęśliwy, tak radośnie, tak zupełnie szczęśliwy. Wkroczywszy do jadalni żwawym krokiem, pochylił się i cmoknął żonę w policzek.

— Stephen...

— Tak, moja droga?

— Nigdzie nie wychodzimy, nigdy mnie ze sobą nie zabierasz. W piątek wieczór będzie bal w gmachu giełdy. Obiecałam Amelii, że przyjdziemy.

— Piątek? — Stephen myślał błyskawicznie. Tego samego dnia miał się odbyć ostatni w sezonie bal w Cordon Bleu. Miał oczywiście towarzyszyć Desiree.

— Nie, to nie wchodzi w rachubę — odparł.

— Ale dlaczego? — spytała, wychylając się do Stephena poprzez stół. — Kto ci w tym przeszkodzi? — dodała ciszej.

Jasne brwi utworzyły gniewną linię, oczy zapłonęły.

— Na twoim miejscu nie pytałbym o to — rzucił ostro. Wstał, nie tykając kolacji. — Zresztą zgoda, pójdziemy na ten bal — dodał z ociąganiem.

Zastygła w niemym bólu Odalie patrzyła za odchodzącym mężem, szedł wyprostowany jak struna, świadom jej spojrzenia.

Zszedłszy na tylny dziedziniec, kazał natychmiast osiodłać Prince Michaela, bębnił nerwowo palcami w balustradę. Gdy koń był gotów, natychmiast pogalopował w stronę Nowego Orleanu.

— Ta Murzyneczka musi być niezła — mruknął Georges.

On już wiedział. Czarna służba pierwsza dowiadywała się o takich sprawach.

Stephen wjeżdżał na Podwale z twarzą jak gradowa chmura. Będzie musiał złamać słowo, a tego nie znosił. Co gorsza, Désirée wcale nie będzie płakać, nie uczyni mu najmniejszego wyrzutu, skinie tylko głową na znak, że rozumie, że się zgadza, dokładnie przy tym skrywając swoje uczucia. Zeskoczył z konia i wszedł do domu nie pukając.

Jakiś młodzieniec, bardzo podobny do André, gdy ów był w kwiecie młodości i urody, zerwał się na równe nogi. Stephen mierzył go zimnym spojrzeniem. Młodzieniec miał mlecznobiałą skórę, na pięknie sklepienie czoła spadały bujne kasztanowate loki. Stephen wodził wzrokiem od nieznanego do Désirée, która uśmiechała się z niezmacaną słodyczą.

— Monsieur — powiedziała — to mój brat Aupre. Właśnie zawitał z Francji.

— Twój brat? — spytał Stephen zgrzytliwie. — Przecież to biały!

Twarz chłopca pokryła się ciemnym rumieńcem. Désirée roześmiała się dźwięcznie.

— Ja jedna odziedziczyłam krew murzyńską. Aupre miał więcej szczęścia.

Stephen, który już nieco ochłonął, przyjrzał się uważniej. Rzeczywiście tych dwoje łączyło wyraźne podobieństwo — rysów twarzy, wdzięku postawy. Odetchnął głęboko, uspokoił się. Po chwili wyciągnął rękę:

— Miło cię poznać, Aupre — powiedział. Chłopiec ani drgnął. Stephen pociemniał na twarzy.

— Nie widzisz, że podaję ci rękę?! — huknął. Powoli, z ociąganiem chłopiec wyciągnął dłoń, której Stephen o mało nie zmiażdżył w uścisku. Po chwili Aupre, tłumiąc jęk czy szloch, wypadł na dwór.

— A cóż to ma... — zaczął Stephen.

— Czy to było konieczne? — przerwała mu Désirée.

— Czy musiał go pan tak upokorzyć?

— Upokorzyć? — zdumiał się Stephen. — Ależ wprost przeciwnie... ja...

Oczy Désirée lśniły od łez.

— Właśnie zastanawiał się, czy wracać do Francji — szepnęła. — Żył tam jak wolny człowiek. Ale po tym wszystkim wyjedzie, już go nigdy nie zobaczę.

— Nic nie rozumiem. Co go tak zdenerwowało?

— Proszę się postawić na jego miejscu. Przypuśćmy, że wraca pan do kraju i stwierdza, że niezamężna siostra jest utrzymanką, a przy tym jej kochanek jest innej rasy. Co by pan uczynił?

— No tak, rozumiem. Ten kochanek nie przeżyłby nawet godziny. Ale jeśli tak patrzysz na tę sprawę, to dlaczego nie wyszłaś za kogoś z twojej krwi, np. któregoś z Logoasterów czy Dumasów?

Desiree skrzywiła się z odrazą.

— Więc są ci aż tak wstrętnei? Ale dlaczego? Uważam, że np. Logoaster to kapitalny gość.

— Przecież to nie są mężczyźni, to nie ludzie. Wy im na to nie pozwalacie. Kiedy budzi się w nich męska duma, kiedy mówią wam nie — strzelacie do nich jak do psów, wystawiacie ich ciała na pośmiewisko gawiedzi na placu Jacksona. Żeby przeżyć, muszą kłaniać się wam w pas, poniżać, dawać wam wolny wstęp do swoich domów, ich córki nie mogą

odmówić wam swych względów. Jestem kobietą, monsieur. Mogę kochać mężczyznę, ale nie przedmiot!

— Matko Najświętsza... — szepnęła Stephen. — Co za los! Życ z takim ciężarem w duszy — a życie dopiero przed tobą!

— Proszę mi wybaczyć, monsieur. Zapomniałam się na chwilę, ale to się więcej nie powtórzy.

— Nie masz za co przepraszać, nie będę cię karał — ściągnął brwi. — Obawiam się, że jednak muszę sprawić ci przykrość. Desiree, nie mogę iść z tobą w piątek na bal.

Jej twarz wykrzywiła się boleśnie, lecz już za chwilę była zupełnie opanowana.

— Będzie, jak pan zechce — odparła cichutko.

— Nie, taki pokorny ton zupełnie do ciebie nie pasuje

— powiedział Stephen łagodnie. — Mów śmiało, co ci leży na sercu.

— Jeśli nie pójdę na bal, zaczną się plotki i domysły. A jeśli pójdę sama, będę pośmiewiskiem całej okolicy. Ale...

— Tak, Désirée?

— Gdyby monsieur zechciał przyjść na bal choć na chwilę, na jeden jedyny taniec...

— Rozumiem — odparł Stephen poważnie, choć w jego oczach pokazały się małe diabliki — moja ty śliczna czarowniczo!

— Chciałabym być czarownicą. Spętałabym pana takimi czarami, że nigdy by mnie pan nie rzucił.

— Już teraz się tego obawiasz, maleńka?

— Tak — ogromnie. Ta obawa nieustannie mnie prześladowuje: że któregoś wieczora pan do mnie nie przyjdzie. Próbuje wyobrazić sobie moje życie, gdy już nie będę pana widzieć, słyszeć... i nie potrafię! Ta myśl jest straszna jak sama śmierć.

Stephen objął cudną dziewczynę.

— Więc po co się tym zadręczasz? Może taki wieczór nigdy nie nadejdzie.

— Niestety, tak musi być. Dzieli nas krew — dzieli nas wszystko! Pan nie może porzucić swoich. Muszę więc o tym myśleć, przygotować się do rozstania. Bo ono już się po trosze zaczyna.

— Nie podoba mi się to: nosek na kwintę, chandry... Przecież urodziłaś się dla radości, nie smutków.

— Będę więc wesoła. Czy zaśpiewać panu?

— O, to lubię.

Désirée pobiegła do alkierza po mandolinę, uśmiechając się szelmowsko zanuciła zabawną piosenkę w gwarze murzyńskiej o sędzim Prévalu:

Monsieur Preval wydał wielki bal
 Cóż to była za feta!
 Zrobił marszałkiem stangreta
 Sam odstawił generała
 Śmiała się plantacja cała
 Każdy Murzyn płacił za wstęp miedziaka
 Feta była nie byle jaka
 Murzynki wystroiły się jak lale
 Podkradły paniom klejnoty i szale
 Bawiono się w stajni wspaniale
 Było tyle radości i krzyku
 Ze konie uciekły wśród kwików
 I mówiły sobie: O rety
 Nie potrzeba nam takiej fety.

Stephen uśmieł się do łez — sędzia Preval słyszał w Nowym Orleanie ze skapstwa i innych dziwactw. Desirée odłożyła mandolinę, siadła Stephenowi na kolana.

— Monsieur jest kontent? — spytała obejmując go za szyję.

— Tak, nikt inny nie potrafi mnie rozerwać tak jak ty!

— Cieszę się. Chcę, by był pan szczęśliwy. A teraz musi pan poprawić mój nastrój.

— Jakim sposobem?

— Niech mnie pan całuje. Sto — tysiąc — milion razy. Niech mnie pan całuje bez końca.

— Ale pocałunki prowadzą do czegoś więcej...

— Cóż z tego?

— Moja mała czarowniczko! — zawołał Stephen ze śmiechem.

Gmach miejskiej giełdy był jednym z bardziej błyskotliwych dzieł architekta De Pouilly, chociaż śmiałą wizję artysty mocno okrojono w trakcie realizacji. W pierwotnej wersji gmach miał zajmować cały plac, ujęty w czworobok ulic: Królewskiej, Toulouse, Chartres i św. Ludwika — lecz krach z 1837 roku zrobił swoje. Obecnie w roku 1838 gmach dotykał jedynie do ulicy św. Ludwika. Jednak dzięki wspaniałym salom balowym na piętrze i wyniosłej rotundzie, budowla wciąż budziła powszechną admirację.

Na piątkową fetę stawiała się większość najznakomitszych rodzin orleańskich. Orkiestra, złożona z czarnych niewolników, dawała popis muzycznego kunsztu. Przynajmniej na pierwszy rzut oka, towarzystwo

bawiło się hucznie i beztrosko. Jednak w miarę jak mijał wieczór, liczba obecnych tu panów nieustannie malała.

— Ach ci mężczyźni! — powiedziała Odalie do Amelii.

— Znikają jeden po drugim. Jeszcze nigdy nie widziałam tylu panien bez partnerów — a niektóre są tak ładne!

— Wszystko przez te Murzynki — prychnęła Amelia pogardliwie. — Zrobiły się nieznośnie bezczelne. Chyba robią to z rozmysłem!

— Murzynki? O czym ty właściwie mówisz?

— Chyba mi nie powiesz, że nie słyszałeś o kwaterońskich balach?

— Owszem, coś mi się obilo o uszy. Ale to było wieki temu, jeszcze za Francuzów...

— Te bale wciąż się odbywają — odparła sucho Amelia.

— Dziś także...

— Ma fofl. Chcesz powiedzieć, że nasi panowie wystawiają te panny do wiatru, by pohulać z czarnymi dziewczuchami?

— W każdym razie one wcale nie są czarne. Są takie jak twoja Suzette i ta druga, która zmarła w czasie zarazy

— jakże się zwała — Zerline?

— Tak.

— Bywają nawet jaśniejsze — ciągnęła Amelia. — I jestem przekonana, że umyślnie organizują te swoje plugawe potańcówki w dni, kiedy my wydajemy bale, żeby triumfować nad nami, żeby pysznić się władzą, którą zdobyły nad naszymi mężczyznami.

— Stephen nigdy by mi tego nie zrobił — oświadczyła Odalie.

— Być może, ale zastanawiam się, gdzie się podziewa już od pół godziny — on, i André.

— Amelio!

— Przepraszam, może robię z igły widły. Zapomnijmy o tym, dobrze?

Odalie wstała.

— Muszę wiedzieć, o co tu naprawdę chodzi — powiedziała.

— Ja też — zawtórowała Amelia.

Wyszły dyskretnie na schody, pod drzwiami baru zatrzymały się niepewnie.

— Nie możemy tam wejść — rzuciła nerwowo Amelia.

— Co by sobie o nas ludzie...

— Pójdę na dół po Georgesa — przerwała jej Odalie — i każę mu wywołać Stephena.

Zeszły na dół, na ulicę Królewską i wyszły na tyły budynku, pod stajnie. Odszukały żółtą karete, Georges spał na koźle jak zabity.

— Idź na górę do baru — rozkazała Odalie — i powiedz panu, że chcę z nim zamienić słówko.

Georges wybałuszył ciemne oczy.

— Ale pana nie ma w... — urwał.

— Chciałeś powiedzieć, że pana nie ma w barze? Więc gdzie jest?

— Jest w barze, jaśnie pani. Już do niego idę — i popędził na górę, jakby go kto gonił.

— Łże jak pies — oświadczyła Odalie z pasją. — Ci czarni zawsze trzymają stronę Stephena. Patrzą w niego jak w obraz!

Amelia milczała. Po kilku minutach Georges wrócił.

— Pana nie ma — oznajmił. — Może zaraz przyjdzie.

— Georges, idź przywołać jakiś kabriolet — rozkazała Odalie. — Na jednej nodze!

Georges pospieszył spełnić jej polecenie, twarz mu poszarzała ze strachu. Jakkolwiek się ta sprawa skończy, to dla niego, Georgesza, skończy się źle...

W sali balowej przy ulicy Orléans Stephen wirował w tańcu z Désirée, jej złotawa twarz jaśniała radością.

— Wiedziałam, że pan przyjdzie — szeptała. — Wiedziałam, wiedziałam!

— Tylko jeden taniec, pamiętaj — burknął. — Potem do widzenia!

Désirée przysłoniła oczy wygiętymi rzesami niby czarnozłotą frędzlą, uśmiechnęła się. Po chwili wspięła się na palce, przechyliła głowę w tył — jej nabrzmiałe koralowe usta były tuż przy ustach Stephena. Gdy wirowała z lekkością zawodowej tancerki, bursztynowe włosy falowały w powietrzu wydzielając dyskretną woń perfum, która zdawała się samoistnym zapachem jej ciała.

Stephen patrzył na jej smukłe miękkie ramiona — kremowe, o złocistym odcieniu. Otworzyła zielone oczy, w ich toni kryła się prastara, nieodgadniona tajemnica.

— Kocham pana — szepnęła — kocham, kocham! Zbliżył się André, tańcząc z jakąś smukłą oktorońską pięknnością.

— Musimy się zbierać, Stephen — rzucił ostrzegawczo. Désirée wspięła się na koniuszki palców i musnęła ustami usta partnera.

— Do czarta, zostaje! — zdecydował Stephen.

Na dworze, na ulicy Orleans, Odalie i Amelia czekały w najętym powozie, spoglądając w okna sali balowej. Czekały prawie trzy godziny. Wreszcie mężczyźni zaczęli wychodzić na dwór.

Nagle Amelia zeszytniała, położyła rękę na ramieniu towarzyszki: Stephen i André zeszli po schodach i skierowali się prosto do kabrioletu o

zasłoniętych oknach, w którym siedziały obie kobiety, wyraźnie słyszały ich śmiech.

— Ruszaj! — syknęła Odalie do woźnicy. Woźnica zaciął konia i kabriolet zaturkotał po kocich łbach.

— Dziwne — powiedział Stephen — dałbym głowę, że nikt nie wsiadał do tego kabrioletu.

Kiedy panowie dotarli do budynku giełdy, stwierdzili, że ich powozy odjechały, a oni chcąc nie chcąc, muszą się rozejrzeć za jakimś środkiem transportu, jeśli pragną wrócić na swe plantacje.

Stephen uśmiechnął się nieco smętnie.

— Lepiej chodźmy do twojego miejskiego domu, prześpimy się kilka godzin — zaproponował. — O tej porze wszystkie stajnie są zamknięte na cztery spusty.

— Chcesz teraz spać? — jęknął André. — Mój Boże...

— Co ci jest?

— Stephen, ty niczego nie rozumiesz! A jeśli one już wiedzą? Poszedłem na te zatracone tańce tylko ze względu na ciebie! Amelia pewnie teraz myśli, że mam jakąś żółtą placée...

— Więc nie masz?

— Pewnie, że nie! Melia to chodzący anioł. Od czasu ślubu nawet nie spojrziałem na inną!

— Biednyś ty — mruknął Stephen.

Mimo wielkiego strapienia, André uśmiechnął się.

— Niby dlaczego jestem taki biedny? — zainteresował się. — Dlatego, że wpadłem w tarapaty, czy dlatego, że nie mam kochanki?

— Z obydwu powodów. Ale nie gryź się tak. Trochę nam zmyją głowy za spóźnienie i po awanturze. Zresztą chyba dobrze się bawiłeś.

— Tak, ale to nie było tego warte. Stephen, rusz się, pochodzimy po mieście, może coś znajdziemy...

— No dobrze, już dobrze. Jak widać, niewolnictwo niejedno ma imię.

Z niemalym zdumieniem stwierdzili, że pierwsza stajnia, do której zapukali, była gotowa na ich usługi.

— Pewnie, że nie śpię — odparł właściciel, uprzejmy Kreol, z niejakim rozbawieniem. — Nigdy się nie kładę w te noce, kiedy tańczą i na giełdzie i w „Cordon Bleu”. Niejeden potrzebuje wtedy moich koników.

Uiściwszy za „koniki” paskarską opłatę, Stephen i André powlekli się do swych domów na łogawych szkapinach, których nic nie zmusiłoby do szybszego biegu.

ROZDZIAŁ 17

Rosnące na brzegach rozlewisk palmy kiwały się jak wielkie rozwarte dłonie. Wiatr poruszał żółtawymi kwiatami na groźnie zjeżonych grzbietach juki. Rozlewisko sięgało korzeni drzew. Pnie cyprysów rzucały na wodę czarny cień. Z potężnych dębów zwieszały się girlandy hiszpańskiego mchu, kołysały się przy najłżejszym powiewie. Wierzby, wzdychając, moczyły w topieli wiotkie gałązki.

Był wczesny ranek, nad traktem nadrzecznym jeszcze wisiały nocne mgły, gdy Aurorę jechała na kasztance w stronę Harrow.

Popełniłam ciężki grzech — myślała z goryczą — za który nie mogę prosić rozgrzeszenia. Przecież nie powiem księdzu, że wciąż będę grzeszyć w ten sposób... że nie jestem w stanie się powstrzymać. Ojciec DuGois powiada, że myślą grzeszy się równie ciężko jak uczynkiem. Chyba jestem skazana na wieczne potępienie. W tym i przyszłym życiu. Ale nie mogę przestać go kochać. A najgorszy jest bezwstyd, z jakim uganiem się za nim, zrywam się z łóżka o świcie, żeby go zastać, zanim wyjedzie na pola. Święta Panienko, przebacz mi i daj siłę, żebym mogła się z tego wyzwolić. Niech raz skończy się ta udreka...

Gdy wjeżdżała w dębową aleję, wybiegł Georges, by wziąć od niej konia, w twarzy miał napięcie i przestrah.

— Dzień dobry, panienko Aurorę — przywitał ją drżącym głosem.

— Pani już wstała?

— O tak, jest na nogach od wielu godzin.

Dziwne, pomyślała Aurorę, zeskakując z konia. Odalie nie lubi zrywać się wcześniej z łóżka — zwłaszcza nazajutrz po balu...

Potrząsnęła głową tak gwałtownie, że brązowe loki okalające uszy podskoczyły jak sprężynki i poszła przez hall do jadalni. Pochłonięta tysiącem sprzecznych myśli, przekroczyła próg jadalni, nie słysząc podniesionych głosów.

— Wracasz do domu — do mnie — jeszcze ciepły od pocałunków tej Murzynki! — wołała z płaczem Odalie.

— Ohydne, plugawe zwierzę! Najchętniej sparzyłabym wrzątkiem wszystkie miejsca na sobie, których dotykałeś!

— Zrób to, moja droga — szydził Stephen. — Będzie z ciebie urocze łaciate stworzonko!

— Nie doprowadzaj mnie do ostateczności! Nie masz już odrobiny wstydu? Co w ciebie wstąpiło? Jak można tłuc się piętnaście mil koniem,

żeby się spotkać z jakąś Mulatką! Powiedz mi — ja naprawdę próbuję cię zrozumieć!

— Nigdy byś nie zrozumiała — odparł Stephen oschle.

— Równie dobrze mógłbym opisywać ślepcowi barwy nieba o zachodzie. A teraz, jeśli skończyłaś tę niedorzeczną mowę...

— Nie skończyłam i nigdy nie skończę! Ja muszę, muszę zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi!

— Nie zrozumiesz — nawet gdybym upadł na głowę

1 próbował mówić z tobą na ten temat. Ale dość tego — muszę brać się do roboty.

Odwracał się, by odejść, gdy Odalie położyła rękę na jego ramieniu.

— Nigdy więcej nie jedź do niej — powiedziała. — Obiecay mi to!

Oczy Stephena były jak dwa kawałki błękitnego lodu. Bardzo delikatnie zdjął jej dłoń i poszedł do drzwi.

— Każę ją wychłostać! — krzyknęła Odalie. — Wiesz, że mogę to zrobić! Tak stanowi prawo!

— Zgoda — powiedział cicho, obróciwszy się do żony. — Tak stanowi prawo, ale jeśli spróbujesz z niego skorzystać, to dobrze wiesz, kto najwięcej na tym ucierpi.

— Przecież... nie opuściłbyś mnie... dla Murzynki!

— Dlaczego by nie? Jest mi lepszą towarzyszką niż ty byłaś kiedykolwiek! Ma dwakroć więcej niewieściego powabu — to prawdziwa kobieta! A jako żona — nawet się do niej nie umywasz! Zapamiętaj jedno, moja droga: żaden mężczyzna nie rzuca DOBREJ żony. Pomyśl o tym, o ile myślenie nie przekracza twoich możliwości!

Obrócił się gwałtownie i stanął twarzą w twarz z Aurorę, która mocno pobiadła, stała w drzwiach niezdolna do żadnego ruchu.

— Nie, Stephenie — szepnęła — nigdy w to nie uwierzę... to niemożliwe, byś ty...

— Dziękuję za pochlebną opinię o mojej osobie, ale to prawda. Mam kochankę—kwarteronkę — odparł, jakby cytował jakiś frywolny kuplet — i wcale nie próbuję się usprawiedliwiać. Tak po prostu jest i tyle. Żegnam panie.

— Poczekaj, Stephenie — powiedziała Aurorę — pozwól, że pojedę z tobą na pola.

— Nie mam zamiaru więcej o tym mówić!

Aurorę popatrzyła w jego błękitne, nieruchome oczy drapieżnego ptaka — jakże były teraz obce! — i odwróciła się do siostry.

— Zostań ze mną Aurorę — zapłakała Odalie — jesteś mi potrzebna...

Aurorę oderwała się wreszcie od framugi drzwi, podeszła do siostry i położyła rękę na jej ramieniu, śledząc wzrokiem Stephena, który poszedł do drzwi. Gdy zostały same, przytuliła siostrę, wokół panowała cisza wczesnego ranka, a one płakały, objawszy się mocno.

Noc w noc jeździł Stephen do małej willi na Podwalu, gdzie czekała muzyka, śmiech i przymilne słowa, sącząc w jego żyły miłą sercu trucizną, podtrzymując ogień w żyłach, by nie zgasł. Rozum, wszystkie lepsze instynkty Stephena burzyły się przeciw takiemu życiu, lecz po raz pierwszy w życiu nie potrafił zapanować nad swym szaleństwem.

Co ja robię, przecież tak nie można! mówił sobie, lecz zaraz w oczach stawała mu Desiree — tańczyła jakiś dziki taniec cygański, szkarłatne spódnice furkotały wokół smukłych ud, albo podawała mu usta do pocałunku — ciepłe, wilgotne, pełne przyzwolenia, lub też leżała naga w jego objęciach, kołysząc leciutko długim, złocistym ciałem, jakby jej ramiona, biodra, uda tańczyły w takt jakiejś powolnej, zachwycającej muzyki — i Stephen jęknąwszy głucho, zgadzał się na wieczne potępienie.

Odalie, blada i zmizerowana, gdyż prawie nie jadła i niewiele spała, wyczekując powrotu Stephena, snuła się po domu jak cień. Jednego razu, gdy ułożywszy Etienne'a do snu, jak zwykle zasiadła w oknie, wychodzącym na nadrzeczny trakt, do buduaru weszła Caleen — nie pytając o pozwolenie, nawet nie zapukawszy. Musiała stać u drzwi przez dłuższą chwilę, zanim Odalie zdała sobie sprawę, że ktoś jest w pokoju. Rzuciła się w tył, zakryła usta gestem przerażenia.

— Niech się pani nie boi, maitresse — powiedziała Caleen — to tylko ja.

— No, czego chcesz? — rzuciła Odalie ostrym tonem.

— Niczego, chcę tylko pomóc, jeśli zdołam.

— Ty — mnie? Jak to? W jaki sposób?

— Znam pani kłopot. Maitre lata za jedną czarną. To nic nowego, niejednemu się to przytrafiło. Ale pani jest dobra dla Caleen, a pana omamili murzyńskimi czarami. To ja chcę pomóc. Ktoś w Harrow musi mieć trochę oleju w głowie i zrobić z tym porządek. Wszyscy pogłupieli, no to ja przyszedłam.

— Dobrze, Caleen, mów, z czym przychodzisz.

— Jest jedna szamanka — zna się na murzyńskich czarach. Ona może panią nauczyć, co i jak.

— Chyba... chyba to nie jest jakaś kapłanka voodoo"! Caleen przytaknęła.

— Właśnie, ona jest mamaloi, i to nie byle jaka.

— Nie bądź śmieszna, Caleen!

Stara służąca wyprostowała się jak struna, dumnie uniosła głowę. Była wysoką kobietą, wiedziała jak przydać wagi swym słowom.

— Niech maîtresse powie, czy Caleen kiedy zawiodła? Czy maîtresse nie powiła dzieciątka, chociaż ten doktorek mówił, że już po pani? A kto potem odratował Tienne'a? No a maître, kiedy go postrzelił ten zły człowiek i był jedną nogą na tamtym świecie — kto go z tego wyciągnął?

— No tak... nie przeczę... ale mamaloi...

— Ona jest mądrzejsza niż Caleen. Ona nauczyła mnie wszystkiego, co wiem. Maîtresse, biały człowiek jest mądry, ale tylko w jeden sposób. Murzyn ma też swoją mądrość, ale inną, biały tego nie zrozumie — to stara, prastara wiedza. Czasem siedzę w kuchni i śpiewam jedną pieśń, a pani wcale nie zwraca uwagi. Dziś też będę ją śpiewać, ale nie tak jak zawsze, może przeinaczę któreś słowo, albo zmienię melodię. Kucharka to usłyszy, pójdzie na rozlewisko i zaśpiewa tak samo jak ja. Będzie tamtędy przechodził jakiś Murzyn — pochwyci tę melodię. Usłyszą go robotnicy w polu i tak to będzie szło od plantacji do plantacji, na pięćdziesiąt mil stąd. I jeszcze tej nocy spotkam się z Murzynomami z najdalszej plantacji na moczarach, przy nowie księżycu. Żaden biały nie ma o tym pojęcia. I żaden biały doktor ani ksiądz nie powie pani, co robić. Czary trzeba odpędzać czarami. Maître wróci, zobaczy pani.

Odalie wstała, oczy jej rozbłysły.

— Kiedy będę mogła zobaczyć się z tą kobietą?

— Dziś w nocy.

— Dziś w nocy! Przecież leje jak z cebra, ciemna noc i...

— Maîtresse chce, żeby pan wrócił?

— Dobrze, Caleen, przygotuj moje rzeczy.

Pół godziny później nieduży czarny powóz odjeżdżał spod Harrow w strugach ulewnego deszczu. Caleen siedziała obok swej pani, która ubrała się na czarno, twarz zakryła gęstą woalką. Od końskich grzbietów buchała para, deszcz dudnił o dach powozu, pędzącego w zawrotnym tempie przez wyboistą, rozmiękłą od ulewy drogę. Odaliej, nie odzywając się jednym słowem, gniotła w dłoni zwilgotniałą chusteczkę.

Okryte pianą konie ciężko robiły bokami, kiedy wjeżdżały w ulice Nowego Orleanu, lecz stangret nie zwalniał biegu. Wjechali na przedmieście zamieszkałe przez wyzwolonych Murzynomów — było to zbiorowisko obskurnych, cuchnących ruder. Odaliej uchyliła okno i cofnęła się zaraz z dreszczem obrzydzenia.

Caleen zawołała na stangreta, by stanął.

— Wysiadamy — oznajmiła. Odalie obrzuciła ją zdumionym spojrzeniem. — Niech pani wychodzi — ponagliła starucha i Odalie prosto z powozu weszła w uliczne błoto.

— Poczekaj tu na nas — nakazała Caleen stangretowi. — Idziemy — znów przynagliła panią. — Ja pójdę pierwsza. Musimy się spieszyć.

Odalie uniosła rąbek gęstego welonu. Wokół nie było najmniejszego światełka. Na tle ciemnego nieba rysowały się czarne, pokracczne sylwety murzyńskich domostw. Ciemność szumiała od deszczu, strugi deszczu były wściekle o kałuże. Odalie opuściła welon, położyła smukłą dłoń na ramieniu staruchy i ruszyły labiryntem wąskich uliczek i zaułków, brnąc po kostki w czarnej, lodowatej mazi. W pewnej chwili Caleen zatrzymała się.

— To tutaj — powiedziała cicho.

Odalie przejął nagły, bezrozumny strach. W tej chwili pragnęła jednego: rzucić się na oślep w płataninę tych ciemnych, błotnistych ulic, uciec jak najdalej. Cóż, gdy nie znała drogi. Idąc tu, skręcały po wielokroć w tę i w tamtą stronę, kluczyły, cofały się, kręciły w kółko. Stała więc nieruchomo, czując w sobie chłód i pustkę, jakby wypaliły się w niej wszystkie uczucia, a krew zastygła w żyłach.

Caleen zastukała do drzwi umówionym szyfrem. Drzwi uchyliły się bezgłośnie i głęboki bas zapytał w murzyńsko-francuskim narzeczu:

— Kto tam?

— To ja — odparła Caleen pewnym głosem — ciotka Caleen. Voodoo Magnian

— Voodoo Magnian\ — zawtórował bas. — Wejdźcie. Weszły obie do sionki i drzwi zatrzasnęły się. Wewnątrz panowała gęsta, wprost wyczuwalna ciemność. Odalie wydało się, że ta ciemność składa się z dymu, ciężkiego zaduchu, woni piżma, oliwy i czarnych ciał. Odalie zadrżała tak gwałtownie, że zadygotała ręka, którą czepiała się staruchy.

— Niech się pani nie boi — mruknęła Caleen — nie ma czego.

Mężczyzna, który wpuścił je do chaty, szedł w ciemności przed nimi. Odalie była tego pewna, choć nie widziała go ani nie słyszała. Skrzypnęły jakieś drzwi i błysk żółtego światła przeciął ciemność. Odalie mogła wreszcie zobaczyć swego przewodnika. Na tle wpółotwartych drzwi rysowała się strzelista postać Murzyna o doskonałych proporcjach nubijskiego łucznika.

Stał nieruchomo jak skała, biła od niego siła i spokój.

Odalie patrzyła urzeczona, drzenie ustąpiło jak ręką odjął. — Wejdźcie — powiedział.

Znalazły się w mrocznej izbie, na jednej ze ścian zatknięto pochodnie, mocno kopące. Gdy oczy Odalie przywykły do gryzącego dymu, ujrzała przed sobą postawną Mulatkę, siedzącą na czymś w rodzaju prymitywnego tronu. W młodości musiała być niezwykle urodziwa, a i teraz, mimo nadmiernej tuszy, była bardzo pojętną kobietą.

— Podejdz, dziecko — odezwała się w doskonałej francuszczyźnie. — Nic ci tu nie grozi. Czego sobie życzysz od Selady?

Odalie postąpiła krok w jej stronę, lecz zaraz stanęła jak wryta. Z wiklinowego kosza, który stał przy tronie, wysunął się łeb okazałego węża, potem drugi i trzeci. Zmartwiła ze zgrozy Odalie, wczepiwszy się w Caleen, zdołała naliczyć ich dwanaście.

— Moje pieszczoszki nie zrobią ci krzywdy — odezwała się Selada. — Ale zabierz je, ciotko Caleen, bo widzę, że przeraziły naszego gościa.

Caleen spokojnie uwolniła się od kurczowych objęć swej pani i zaniósła kosz w odległy kąt, gady wiły się i gięły wokół jej ramion.

— Mów, dziecko, z czym do mnie przychodzisz? Odalie podeszła bliżej i poruszała ustami, jakby mówiła, lecz z jej krtani nie wydobył się żaden dźwięk.

— Nic nie szkodzi — odparła Selada, obrzucając uważnym spojrzeniem jej zakwefioną, młodą postać, przyjrzała się dłużej ciężkiej obrączce ślubnej. — Voodoo Magnian wszystko mi powie. Chodzi o twójego męża, czy tak? Widzę go, a przy nim jakąś kobietę. W jej żyłach płynie murzyńska krew. Nie myślę się, prawda?

Odalie skinęła w milczeniu głową.

— Pomogę ci. Hercule!

Do pokoju wszedł ów wyniosły atleta i zgiął się przed Seladą w niskim pokłonie.

— Do usług, królowo.

— Przywołaj tamtych. Zatańczymy kalindę. Madame potrzebuje mocnego gris—gris.

Hercule znikł tak cicho jak się pojawił. Selada wskazała gestem, by przybyłe usiadły. Po chwili wrócił Hercule w towarzystwie około trzydziściorga Murzynów w różnym wieku i o różnych odcieniach skóry. Była wśród nich młodziutka, szesnastoletnia może kwarteronka, tak piękna że Odalie zaparło dech w piersiach. Murzyni otoczyli tron zwartym kręgiem. Dwóch mężczyzn o kształtach niemal równie doskonałych jak ciało Hercule'a siadło do bębnow, te poczerniałe ze starości instrumenty wyglądały jakby je sprowadzono przed wiekami z głębi Afryki.

Zaczęli bić w nie dłońmi — w powolnym, niezmiennym, nieustającym rytmie. Odalie czuła, że oddycha coraz szybciej. Jednostajny, niespieszny, półsenny werbel nie milkł ani na chwilę.

Selada skinęła nieznacznie ręką i dźwięk odmienił się, werbel przyspieszał, nabierał mocy. Z obciągniętych psią skórą bębnów wydobywał się stłumiony warkot. Piękna kwarteronka zaczęła roznosić wśród obecnych gliniane czarki z tafią — rumem z trzciny cukrowej. Widząc, że wszyscy podnoszą czarki do ust, Odalie, która nie chciała się wyróżniać, napiła się odrobinę, po chwili jeszcze trochę. Warkot bębnów narastał. Odalie wysączyła czarkę do dna. Po chwili krew zakrążyła szybciej w jej żyłach, przeganiając lodowatą pustkę z głowy i serca. Oczy Odalie nabrały blasku, a jej młode, pańskie ciało gięło się i falowało wraz z innymi. Selada znów dała znak.

Hercule zerwał się na równe nogi, jednym szarpnięciem zdarł z siebie odzież, zostawiając tylko przepaskę na biodrach. Odalie patrzyła zadziwiona — nigdy dotąd nie widziała tak wspaniale umięśnionego, tak pięknego w rysunku męskiego ciała. Hercule pobiegł do kąta i wrócił z węzem. Podniósł go w górę, a gad owinął się wokół mocarnych ramion. Ułożywszy gada u stóp tronu, przykucnął nad nim i szeptał coś, przemawiał doń półgłosem. Przy każdym słowie wąż kołysał się w przód i w tył, drgał jego rozwidlony język.

Niespodziewanie Hercule złapał węża i stanął, wyprostowany jak wysoki, doskonale piękny posąg. Bębny były jak oszalałe. Jakby na umówiony znak zjawili się jacyś dwaj mężczyźni niosąc żeliwne naczynie, z którego buchał ogień.

— Voodoo — krzyknął Hercule. — Voodoo Magnian!

— Voodoo — Odpowiedzieli obecni przerażliwymi głosami — Voodoo Magnian!

Ryknąwszy jak gniewny lew, Hercule cisnął węża w ogień. Gad wił się i rzucał w bezgłośnych boleściach.

Czyciele węża krzyczeli ogłuszająco.

Kwarteronka porwała się z ziemi. Rozległ się trzask rozrywanego sukna i dziewczyna stanęła przed Hercule'em w samej koszuli. Rozstawiwszy szeroko stopy, ugiąłszy w kolanach długie, smukłe, idealnie piękne nogi, zaczęła giąć się i kołysać od bioder w górę. Jej młode piersi poruszały się pod cienką tkaniną w tańcu tak zmysłowym, że Odalie czuła, jak nagły skurcz chwyta ją za gardło, a krew głośno łomoce w skroniach.

Hercule podszedł powoli do dziewczyny. Stanął tak blisko, że dzieliły ich tylko cale i zaczął powtarzać jej ruchy jakby w lustrzanym odbiciu.

Nagłym szarpnięciem zdarł z tańczącej koszulę. Nagie ciało dziewczyny kołysało się w żółtawym blasku ognia. Mięśnie jej brzucha poruszały się jak żywe istoty. Młode, sterczące w górę piersi kolebały się w powietrzu, małe, różowe jak czereśnie brodawki zaostrzyły się. Odrzuciła w tył głowę, dysząc przez otwarte zęby. Hercule przysunął się jeszcze bliżej. Oddech Odalie rwał się.

Wielkie dłonie Hercule'a sunęły w lekkiej pieszczocie po kremowobiałym ciele tancerki jak dwa olbrzymie czarne pająki, muskały pięknie sklezione biodra, kibić, rozchybotane piersi. Gdy Hercule przygarwał dziewczynę do siebie, Selada skinęła dłonią i bębny, wydawszy ostatni, ogłuszający grzmot, zamilkły, jak uciął nożem. Dziewczyna zwiśla bezwolnie w objęciach Hercule'a. Wziął ją lekko na ręce i wyszedł w ciemność.

— Dość — powiedziała Selada.

Wstała z wyniosłego fotela i zbliżywszy się do Odalie, wręczyła jej maleńką szklaną buteleczkę.

— Dolej mu tego do wina lub kawy — powiedziała — ale tylko odrobinę. To gris—gris jest bardzo mocne. Nadmiar mógłby mu zaszkodzić.

Odalie sięgnęła po sakiewkę, lecz Selada wstrzymała ją gestem.

— Później. Za jakiś czas możesz to przysłać przez ciotkę Caleen, pani. Jeszcze słówko. Miłość to sztuka. Dla kobiety miłość to oddanie siebie całej, wszystkim. Nie można siebie skąpić. Pamiętaj o tym, pani. Twój mąż zwrócił się ku innej. Dlaczego? Czy nie dlatego, że słała pani do niego nie z radością, lecz obawą, drżeniem i ściśniętym sercem?

— Tak — szepnęła Odalie. — Tak właśnie było.

— Ale dlaczego, madame, dlaczego?

— To wszystko... wydawało mi się... jakies odrażające. Nigdy przedtem nie pomyślałam... nie spodziewałam się...

— Ach — powiedziała Selada — więc zawiniły pani myśli. Przecież sam dobry Bóg obmyślił ten sposób na tworzenie nowego życia. Gdyby madame choć raz zapomniała o sobie, choć raz ZAPRAGNĘŁA mężczyzny, a nie oddawała mu się bezwolnie — zrozumiałaby, że miłość to najwspanialszy dar boży, w którym czułość i gwałtowność splatają się tak ściśle, że nikt by ich nie rozdzielił, że poniżenie jest równe uniesieniu, a ból nie różni się od ekstazy. Dobranoc, madame.

Caleen dotknęła ramienia Odalie i wyszły z izby w atramentową czerń sieni, a potem na dwór, w strugi deszczu.

Czy kobieta jest jakąś wyższą istotą, którą bruka dotknięcie mężczyzny? Czy chłód i wyniosła rezerwa kobiety, która zamyka się przed mężem, czyni

takich mężczyzn jak Stephen podatnymi na ciemne, duszne namiętności, ukryte za wysokimi parkanami białych willi na Podwalu? Jaka więź łączy Stephena i jego ciemnoskórą kochankę? Dlaczego kochanka jest mu bliższa niż żona?

A właściwie co to za jedna? Kwarteronka, kobieta z domieszką czarnej krwi. Odrobina czarnej krwi może dać aż nadto dzikości. Czy tego pragnie Stephen — dzikiej, bezwstydnej namiętności, kobiety, równie zacieklej w miłości jak zwierzę — jak kremowoskóra tancerka, która dotrzymywała Hercule'owi kroku w rozpasanym tańcu?

Spojrzała na Caleen.

— Czy kobieta może w ogóle CHCIEĆ czegoś podobnego?

Żrenice Caleen rozszerzyły się.

— Jeśli nie chce, dopóki nie chce — nie jest kobietą. Oto nasz powóz. Niech pani wsiada, maitresse.

RS

RS

ROZDZIAŁ 18

Odalie siedziała przed lustrem, oświetlonym dwiema świecami. Boję się, mówiła sobie, lecz z lustra patrzyła na nią pogodna, beztroska twarz. Z tyłu, ledwie widoczna w nikłym blasku świec, majaczyła wysoka postać Caleen. Szczotkowała bujne loki swojej pani, szczesując je długimi, posuwistymi ruchami na plecy i ramiona. Twarz, dekolt i nagie ramiona bieleły się perłowo przy kruczych splotach.

— Maitresse jest bardzo piękna — odezwała się stara znienacka.

— Naprawdę? Nie oszukujesz mnie, Caleen?

— Żadna nie może się z panią równać. Gdzie im tam do pani! Może jedna panienka Aurore, ale ona się nie liczy.

— Ale, Caleen...

Caleen pokazała w uśmiechu ostre, pożółkłe zębiska. Nieczęsto widywało się uśmiechniętą Calleen.

— Niech panią o nic głowa nie boli! — szepnęła. — Już my się z tym uporamy.

— Dobrze — powiedziała Odalie z powątpiewaniem. — Ale jak?

— Maitresse posłucha Caleen? — spytała starucha, nie przerywając szczotkowania.

Odalie odwróciła się, by zająrzeć jej w oczy.

— Dobrze, Caleen — odparła z wahaniem.

Służąca uniosła ciężką masę czarnych loków i zwinąwszy je w węzeł, umocowała na czubku głowy spinkami z kości słoniowej, dekolt i ramiona Odalie były teraz zupełnie nagie. Znikła na chwilę w mroku, by powrócić z przezroczystym neglizem, przerzuconym przez ramię.

— Maitresse pójdzie ze mną?

Odalie uniosła ze zdziwieniem brwi, lecz poszła za starą służącą do alkierzyka, gdzie stała niewielka wanna w kształcie pantofla, którą Stephen, nie szczędząc kosztów sprowadził z Francji. Dorosły człowiek mógł brać w niej kąpiel jedynie w pozycji siedzącej.

— Maitresse się rozbierze — odezwała się Caleen. — Ja zaraz wracam.

Odalie rozebrała się z ociąganiem i stała, drząc lekko, chociaż alkierzyk był dobrze nagrany. Po chwili Caleen, odgiąwszy się w tył, postępując, przydźwigała z dołu wielki ceber dębowy z gorącą wodą. Przelawszy wrzątek do wanny, obróciła jeszcze raz, aż uznała, że już dość. Zanurzyła w wodzie sękaty paluch, i upewniwszy się, że jest wystarczająco ciepła, wstała i z zakamarków fałdzistego fartucha wydobyla małą tytkę. Odkorkowała ją

i nagłym ruchem wysypała jej zawartość do wanny — jakiś liliowy proszek. Buchnęły kłęby pary, woń pachnidła wypełniła cały alkierz.

Odalie patrzyła zdziwiona. Żyła w kraju, gdzie wyrób pachnidła osiągnął rangę sztuki, a jednak nigdy dotąd nie zetknęła się z podobną wonią. To pachnidło, w przeciwieństwie do powszechnie stosowanych perfum o ciężkiej, słodkawej nucie zapachowej, było tak nieokreślone i ulotne, że wyczuwało się prawie bezwiednie, i nie było wiadomo, czy to naprawdę perfumy, czy może tylko złudzenie. A jednak nieuchwytna woń trwała, nasilała się, mamiąc zmysły, czarując wyobraźnię.

Schyliwszy się nad wanną, Odalie wdychała tę nieodgadniona woń, jakby piła lekkie chłodne wino, które odurza powoli i podstępnie, by nagle uderzyć spragnionemu do głowy i odebrać mu rozum.

Odalie domyślała się niejasno, jak ta woń podziałałaby na mężczyznę — przywołując go, pobudzając, drażniąc leciutko lecz nieustępliwie, aż tysiącletnia powłoka cywilizacji opadnie z niego jak peleryna, ujawniając jego niczym niemiarkowaną zwierzęcość.

Wyprostowała się nagle i odsunęła od wanny.

— Caleen, przecież to pachnidło pasuje do dziewczki ulicznej! Skądżeśje, na Boga...

— Maitresse chce walczyć z rozbójnikiem gołymi rękami, czy...

— Dokończy wreszcie!

— ...czy użyć grisgriss, które niechybnie pomoże?

— Jak tamten środek? Ten, który mi dała Selada? Tylko miał po nim mdłości!

Stara kobieta potrząsnęła głową.

— Niech maitresse zaufa Caleen — powiedziała. — Ja nigdy nie zawiodę.

Odalie pochyliła łabędzią szyję na znak, że się zgadza. Uniósłszy drobną stopę, zanurzyła ją nieco w wodzie.

— Przecież to ukrop! — zaprotestowała płacziwie.

— Niechże maitresse już wchodzi, nie pieści się! — ofuknęła ją starucha.

Odalie zebrała się w sobie, weszła do wody i natychmiast usiadła, chociaż z wanny buchała para. Przykląwszy obok, Caleen poczęła myć swoją panią od stóp do głów, trąc ją energicznie sukienną myjką. Wyszorowawszy ją całą, pozwoliła jej odprężyć się przez chwilę. Wsparta plecami o wysoki kraniec wanny, Odalie wpółleżała z przymkniętymi oczyma, wdychając pachnące powietrze.

— Maitresse wstanie.

Odalie posłusznie wstała, zawinawszy ją w wielki ręcznik kąpielowy, Calleen wytarła ją do sucha, jednak woń perfum trwała. Przebrawszy się w negliż i domowe pantofle, Odalie poszła do sypialni.

— Niech się pani rozbierze i położy na łóżku — poleciła Calleen.

Odalie wyciągnęła się z błogim westchnieniem na miękkich piernatach i przymknęła oczy. Słyszała, jak Calleen wychodzi z pokoju, a po jakimś czasie zbliża się do łóżka.

— Maitresse to wypije.

Odalie uniosła się na pościeli, a Calleen podała jej kieliszek z bursztynowo-żółtym winem. Bez słowa, bez chwili namysłu Odalie wychyliła kieliszek do dna i opadła na poduszki. Wtem poczuła na sobie dłonie staruchy, chłodne, suche i szorstkie jak stary pergamin, lecz wino, zostawiwszy na języku posmak dymu z leśnego ogniska, już pełgało ciepłym płomieniem po jej żyłach, całe jej ciało rozluźniło się, uspokoiło. Odwróciła z westchnieniem głowę.

Pokpiłam sprawę, myślała Calleen. Trzeba ją było skropić krwią zarżniętego kurczęcia. Ale nie mogłam, bo pani zaraz by zauważyła. Ale oliwy użyję.

Zanurzyła palce w glinianym dzbanie z rzadką oliwą, wydzielającą tę samą woń co pachnidło. Wcierała ją delikatnie w piękne ciało swojej pani, od stóp do głów, aż mazidło wnikło bez śladu w pory skóry. Teraz wzięła się do masażu. Po energicznym ugniataniu i oklepywaniu całe ciało Odalie płonęło różowo. Szczególną uwagę poświęciła masażystka piersiom, muskała je i gładziła opuszkami swych węzlastych palców, aż wyprężyły się zuchwałę, jak piersi młodziutkiej dziewczyny.

— Lepsze byłoby kogucie pióro — mruzczała Calleen. — Byłyby jeszcze twardsze i bardziej sterczące. Takie pióro dostaje w posagu każda panna młoda u nas, na San Domingo. Wtedy nie jest to już zastrachana dziewczucha, głupie cielątko, ale prawdziwa kobieta, która wie, co jest warta, a w żyłach ma istny ogień!

Selada ma swoją rację, dumiała, ale co ona wie o mojej pani? Pani sama z siebie nigdy by się na to nie zdobyła. Ale ja ją zmienię, jak tu stoję! klnę się na Dambalę, Maryję Dziewicę i wszystkich świętych! Przysunęła się do ucha leżącej.

— Maitre jest dobry — szepnęła. — Ale to przecież mężczyzna, diabeł burzy mu krew. Krew nie woda, musi się wyszumieć. Nie trzeba go hamować, niech szaleje. Niech pani szaleje wraz z nim. Nie bać się ognia. Ogień miłosny nie parzy. Niech pani śmiało idzie w płomienie, a wtedy on wróci do pani!

Odeszła bezszelestnie jak chudy, wysoki duch, zdmuchując po drodze świece.

Odalie poleżała jeszcze jakiś czas. Potem wstała i jak lunaticzka podeszła do gotowalni i zapaliła świece. Z wysokiego lustra spojrzęły na nią wielkie, czarne oczy, głębokie i łagodne jak oczy sarny. Siedząc tak przed lustrem, zupełnie naga, rozpuściła włosy na ramiona. On tak lubi, myślała, taka mu się podobam...

Na fotelu leżało jej nowe ubranie, żadnej z tych rzeczy nie miała jeszcze na sobie. Biała suknia ze stanikiem jak srebrzysty futerał, o sutych, atlasowych spódnicach mieniących się połyskliwie w blasku lichtarzy. I suknia i koszulka, jak również każda z licznych halek wydzielały ów subtelny zapach nieznanych perfum.

Odalie ubrała się niespiesznie. Uporawszy się z halkami i suknią, naciągnęła jedwabne pończochy, włożyła białe pantofelki, przybrała włosy gałązką białego bzu. Na koniec omotała wokół szyi potrójny sznur ciężkich pereł i stanęła przed zwierciadłem.

Nisko wycięta suknia odsłaniała krągłe ramiona i dekolt, których biel uwydatniały bujne loki, spływające na plecy czarną kaskadą. Uśmiechnęła się, czując jak niewidoczne płomyki ognia czają się pod jej skórą, odwróciła się od lustra i wyszła z pokoju.

Boże spraw, bym zdążyła — szeptała, idąc przez hall — nie pozwól mu jeszcze odjechać...

Stała dłuższą chwilę pod drzwiami jego apartamentu. Raz już próbowałam — mówiła sobie — i wszystko na nic, zawiodłam go. Ale już go nie zawiodę — nigdy więcej, póki żyję. Pewną ręką przekreśliła gałkę.

Stephen, ubrany w piękny zielony szlafrok, stał przy oknie, patrząc na zapadający zmierzch. Stał tak jeszcze jakiś czas, marszcząc z niezadowolaniem brwi, nieświadom bliskości żony, aż dopłynęła doń fala nieznanego woni. Odwrócił się powoli od okna, spojrzął zdumiony.

— Jesteś bardzo piękna, kochanie — powiedział.

— Czy wiesz, że prawie już o tym zapomniałem?

Nie odpowiedziała, stała wsparta o drzwi, założywszy ręce w tył.

— I rozpuściłaś włosy. Dawno już tego zaniechałaś. Dlaczego? I ta pyszna toaleta... czy odbędzie się jakiś bal?

— Nie, Stephen, balu nie będzie.

Stephen, marszcząc się nieco, podszedł do Odalie i ujął ją pod brodę, by zajrzeć jej w oczy.

— O co chodzi, Odalie? — spytał miękko. — Powiedz mi... — urwał nagle. Od jej włosów, ramion, głębokiego śródpiersia szła ta nieznaną,

piękna woń. Schylił się niżej, zaintrygowany. Pewnie jakieś perfumy, lecz czy to naprawdę perfumy? Boże, jakaż ona piękna!

Znienacka poczuł jej ramiona wokół szyi. Odaliej przywarła doń całym ciałem i przymknawszy oczy, szukała na oślep jego ust. Stał przez chwilę osłupiały, ale już smużka perfum omotała mu głowę mgiełką. Pocałował Odaliej czule, miękko, drżąc od powściąganej żądz. Nieoczekiwanie zanurzyła palce w jego płomienną czuprynę — palce spragnione i chciwe. Gorącymi, miękko ustępliwymi wargami paliła jego wargi. Jeszcze chwilę stał biernie, niedowierzając, aż przygarnął ją do siebie gwałtownie, a Odaliej naparła nań całym swym długim, smukłym ciałem.

Nagle wypuścił ją z objęć i cofnął się, by lepiej jej się przyjrzeć. Odaliej chwiała się leciutko, pod opuszczonymi rzęsami lśniły dwie wielkie łzy uniesienia. Znów przygarnął ją do siebie — miękkiem, czułym gestem. Odaliej złożyła ciemną głowę na jego piersi.

— Kocham cię, mój mężu, mój panie — szepnęła.

— Tak bardzo, bardzo...

Stephen schylił się, wziął ją na ręce i położył delikatnie na swym wąskim kawalerskim łóżku. Przykleknawszy, całował jej oczy, usta, szyję. Odaliej przyciągnęła go do siebie niecierpliwie. Stephen odsunął się, pocierając skórę na piersi, tam gdzie rozchyliły się poły szlafroka.

— Te perły — mruknął. Odaliej sięgnęła po omacku do zapięcia kolii. Zamek nie ustępował. Niewiele myśląc, chwyciła oburącz potrójny sznur pereł i, nie odrywając oczu od oczu Stephena, szarpnęła z całych sił. Perły posypały się na łóżko, potoczyły po dywanie, migocząc błękitnym światłem w blasku świec...

Słońce wstającego dnia rozświetliło rzekę i przebywszy trakt, wciąż okryty nocnymi mgłami, pobiegło wyżej, czubkami niskich, pierzastych palm do dębowej alei, by zalać rześnistym blaskiem wielki biały dwór.

Wtargnęło do pokoju przez uchylone okno i padłszy na twarz Stephena, obudziło go. Leżał bez ruchu, mrużąc oczy przed rosnącym blaskiem. Na podłodze swym własnym światłem płonęły małe, krągłe błyskotki. Stephen wyteżył wzrok. To z pewnością perły. Ale skąd, do diaska...

Ramię mu zdrętwiało, lecz na próżno próbował nim poruszyć, jakiś ciężar przygwoździł je do poduszki. Odwróciwszy powoli głowę, patrzył z niedowierzaniem, wtuliwszy twarz w zgięcie jego szyi, Odaliej, pogrążona w głębokim śnie, przygniotła mu rękę całym swoim ciężarem. Stephen uśmiechnął się lekko na wspomnienie minionej nocy. Nie próbował uwolnić ramienia, chociaż nieznośnie mu doskwierało.

— Więc przyszłaś wreszcie do mnie... — szepnął. — Przyszłaś, by się kochać jak młoda, gorącokrwista dzikuska — bez chwili wahania, bez cienia rezerwy. Cóż za odmiana, wprost nie mieści się w głowie! Ciekawym, skąd to wszystko. Chciałaś się z tamtą zmierzyć? Odzyskać moje względy? To z pewnością główna przyczyna. Ale jak do tego doszło? Kto stopił te lody, rozniecił ten ogień?

Rozejrzał się po pokoju, wokół leżały suknie Odalie, rozrzucone w bezładzie.

Ta sprawa była zaplanowana — stwierdził. — Łącznie z tymi szatańskimi perfumami. Omamiono mnie, zbałamucono. Ale, do czarta, lubię, by mamiono mnie w ten sposób.

Wysunął delikatnie ramię spod uspiętej Odalie. Obudziła się natychmiast i siadła na pościeli. Stephen był pewien, że zaraz okryje się narzutą, ale nie: siedziała naga, bezwstydna i czarująca jak młoda nimfa.

— Dzień dobry, Stephenie — powiedziała, w jej głosie nie było cienia skrepowania.

— Dzień dobry, kochanie. Ufam, że dobrze ci się spało — odparł z udaną powagą.

Spojrzała mu badawczo w twarz, aż znalazła to, czego szukała — szelmowską iskierkę, tańczącą w głębi jego jasnych oczu. Schyliła się czekając na pocałunek. Stephen uniósł głowę, złożył usta do pocałunku, lecz nie pocałował. Nagle, jak na komendę, wybuchnęli śmiechem.

Teraz życie w Harrow potoczyło się jak po maśle. Wieczny mars znikł z czoła Stephena, twarz wygładziła się, w oczach zagościł spokój. Zaniechał odwiedzin w domku na Podwalu, prawie nie ruszał się z Harrow. Ogromnie zdumiał monsieur Pully, zlecając mu budowę dwóch następnych domów: rezydencji w Orleanie, specjalnie dla Odalie, kiedy zapragnie pomieszkać w mieście, oraz letniej willi nad jeziorem Pontchartrain, dokąd mogliby uciekać przed letnimi upałami.

Mimo swych trzydziestu kilku lat, Odalie piękniała z każdym dniem. W jej spojrzeniu, głosie, postawie wyczuwało się dojrzałość i spełnienie. Z tego właśnie okresu pochodzi jej portret, który wisiał w wielkiej sali Harrow. Jego autor, Paul Dumaine, pere, do końca swych dni uważał go za swe najwybitniejsze dzieło.

— Malując madame, dałem z siebie wszystko — zwykł mawiać. Nieczęsto trafia się sposobność malowania takiej urody, wdzięku i... radości życia.

Stephen przyglądał się artyście podczas pracy, zadziwiony jego kunsztem, a jeszcze bardziej — miękkim, tajemnym światłem, które tak odmieniło twarz jego żony.

— Dosyć — oświadczył malarz któregoś dnia. — Ani jednej plamki więcej... obraz jest skończony...

— Dziękuję panu — rzekł Stephen. — Wybornie się pan spisał. Ufam, że znajdzie pan honorarium równie zadowolającym jak ja — pańskie dzieło.

— O to się nie kłopotczę — odparł artysta z uśmiechem.

— Praca nad tak pięknym modelem jest wystarczającą nagrodą. Adieu! — wyszedł, skłoniwszy się uroczyście.

Stephen podszedł do siedzącej na podium Odalie i podał jej rękę. Zeszła na dół, uśmiechając się do męża.

— Wciąż nie mogę pojąć, o co tu chodzi — powiedział — gdy widzę cię tak odmienioną. Musiały minąć całe lata, byś stała się taką, jaką sobie ciebie wymarzyłem. Jak do tego doszło, Odalie?

— Nie wiem, Stephen, naprawdę nie wiem. Myślę czasem, że stałam się kobietą, kiedy spostrzegłam, że cię tracę. Stało się to jakby bezwiednie. Strwoiłam tyle lat, których nikt nie wróci...

— Nadrobimy je, zobaczysz.

— Zdaje się, że nie oszczędzimy wysiłków — zaśmiała się cicho. — Obawiam się, czy cię nie zamęczam tą gorliwością...

— Przepadam za takim zamęczaniem. Aniołowie niebiescy, jakaś ty śliczna!

Dygnęła żartobliwie i wyszli razem do hallu.

— Stephen...

— Kocham cię — powiedział. — Właśnie to spojrzenie widziałem u ciebie na placu Broni owego dnia, gdy przyплыł Lafayette. Zachodziłem w głowę, gdzie przepadło, a teraz wróciło. Oczy masz jak... jak...

— Stephen...

— Tak, moja jedyna?

— Co byś powiedział na drugiego syna? A może to byłaby córka?

Stephen sposepniał.

— Nie, to wykluczone. Doktor Terrebonne mówił, że byłoby to niezmiernie niebezpieczne...

W oczach Odalie trwał ten cichy, łagodny, jakby zamglony uśmiech.

Musimy podjąć to ryzyko... tę szansę — powiedziała cicho.

Stephen ściągnął płowe brwi, twarz mu pociemniała.

— Nie — powiedział jakby do siebie. — Musisz się mylić. To nie może być prawda.

— Za pierwszym razem nie od razu wiadomo. Potem... kobieta wie z całą pewnością.

— Matko Przenajświętsza!

— Żałujesz, Stephen?

— To nie to... Boję się. Gdyby żył jeszcze doktor Terrebonne! Nie dowierzam temu Lefevre. Jest zbyt młody, wyznaje zbyt nowoczesne poglądy... no, ale mamy Caleen. Jedno jest pewne, moja jedyna — pójdzies zaraz do łóżka i nie wstaniesz, aż będzie po wszystkim. Poprzednim razem zbyt się nadwerężyłaś.

— Stephen, ja... nie byłam zbyt dobrą żoną...

— Bzdura. To ja byłam nie dość cierpliwy i wyrozumiały. A teraz nie masz szczęśliwszego człowieka ode mnie.

Ująwszy ręce Odalie, długo patrzył jej w oczy, nim ją pocałował.

Stojąca w drzwiach Aurorę widziała to spojrzenie, kiedy jednak Stephen schylił się nad jej siostrą, odwróciła wzrok. Potem zeszła w milczeniu po schodach, dosiadła konia i odjechała, nic prawie nie widząc przez palące łązy.

Skręcając z alei w nadrzeczny trakt, dostrzegła jednak jakiegoś konia, stojącego nieruchomo w cieniu cyprysów. Ściągnęła wodze, zerkając ciekawie na jeźdźca, na wpół przysłoniętego gałęziami. Była to dziewczyna, bardzo jeszcze młodziutka, jak natychmiast stwierdziła Aurorę, siedziała jednak na koniu w pozie wytrawnej amazonki. Miała na sobie kosztowny strój do konnej jazdy, lecz była bez kapelusza, obfite, jasnobrązowe włosy rozsypały się jej na plecach.

Mon Dieu. Jakaż ona ładna, pomyślała Aurorę. Ciekawe, kim jest ta osóbką. Nagle coś ją zastanowiło w wyglądzie nieznajomej. Nawet te lekkomyślne panny, które ucinają sobie zbyt długą drzemkę nad jeziorem Pontchartrain nie mają takiego odcienia skóry. Podjechała bliżej.

— Kim pani jest? Co pani tu robi?

Tamta odwróciła się powoli. Spod zadziwiająco długich rzęs spojrzwały chłodne, zielone oczy. Gdy się uśmiechnęła, zatańczyły w nich złote iskierki.

— To nie powinno interesować tak wielkiej damy jak mademoiselle — odparła spokojnie.

— Jesteś bezczelna! — zawołała Aurorę, jej podejrzenie przechodziło w pewność. — Pokaż mi ręce!

Nieznajoma posłuchała.

— Te gadki o sinym zabarwieniu paznokci to jedno wielkie głupstwo — powiedziała. — Jak widać, nic takiego nie mam. Ale uspokoję panią —

rzeczywiście nie jestem biała. Ściśle mówiąc jestem wolną kwarteronką. A chodzi mi o to samo, o co zapewne chodzi i pani: chcę zobaczyć coś, co nie należy do mnie.

— Ka... każe cię wychłostać! Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— I co to pani da? Dowiedzie pani, że jest białą, zamożną kobietą, która może robić wszystko, co zechce? Przecież wszyscy o tym wiedzą. Uważam, że mogłaby się pani zdobyć na większą łaskawość wobec maluczkich.

— Ty... to ty byłaś kochanicą Stephena! — zawołała Aurore.

Dziewczyna zaśmiała się niskim, melodyjnym głosem.

— Owszem, a pani?

— Ty... ty latawico! — krzyknęła Aurore, tracąc resztki zimnej krwi. — Zaciąwszy konia szpicrutą, popędziła drogą jak burza.

Dziewczyna patrzyła za nią, aż znikła jej z oczu, po czym znów obróciła się w stronę Harrow. Wiedziała, że długo przyjdzie jej czekać. Westchnęła lekko, poprawiła się w siodle i przymknęła oczy.

Nareszcie doczekała się, spod dworu wyjechał wielki srebrzysty palomino i skierował się w stronę pól. Dziewczyna ponagliła końcem szpicruty swojego wierzchowca — był to rosły, kościsty ogier. Potoczył przekrwionymi oczami, prychnął i ruszył nierównym klusem.

Stephen, pogwizdując jakąś melodyjkę, wystawiał twarz do słońca. Nagle Prince Michael stanął i zarżał. Uniósłszy się w strzemionach, Stephen rozejrzał się po okolicy — krótkim i nerwowym klusem nadjeżdżał jakiś deresz. Stephen rozpoznał amazonkę.

— Désirée... mój Boże!

Désirée, podjechawszy bliżej, ustawiła konia bokiem do palomino. Twarz Stephena była jak gradowa chmura, zacisnął usta w wąską linię.

— Proszę mi wybaczyć — odezwała się Désirée, która nie mogła nie widzieć jego miny — ale musiałam przyjechać.

— Ale dlaczego? Dobrze wiedziałaś, że mogą z tego wyniknąć tylko kłopoty. Jedziesz sobie z miasta do Harrow w biały dzień, mijasz po drodze plantacje moich znajomych — to co najmniej nierozwaga, a właściwie bezczelność!

— Nie mogłam inaczej — szepnęła. — Miałabym mieszkać samotnie w tym białym domku, w którym wszystko przypomina mi pana? Kiedy dziś rano rozgarniałam zasłony, poczułam zapach dymu pańskiej fajki. Wczoraj wieczorem siadłam do kolacji naprzeciw pana krzesła — pustego. Na tym krześle siadywał tylko pan. Tłukę się po domu jak ćma. Wciąż mi się zdaje, że gdybym odwróciła się dość szybko, to ujrzałabym pana. Śmiałyby się pan i droczył ze mną jak tylko pan potrafi.

Stephen milczał, lecz posepniał coraz bardziej.

— Rozmawiam wciąż z panem, jakby był pan wciąż przy mnie. Czasem zwiduje mi się, że pan naprawdę przyszedł — i sama nie wiem, czy to sen czy jawa. Tak strasznie tęsknię za pana twarzą, głosem...

Jej zielone oczy, w których teraz płonęła gorączka i błaganie, biegały niespokojnie po jego twarzy.

— Czego właściwie chcesz? — spytał brutalnie.

— Pana. Pragnę, by pan wrócił, by wszystko było jak dawniej. Wtedy znów będę żyć.

— Przecież teraz też żyjesz.

— Nie, jestem jak odrętwiała. Nie odczuwam nic prócz jakiejś ssącej pustki. Nawet nie wiem, kiedy ostatnio wzięłam coś do ust. Nie wiem, jaka to pora dnia — jaki dzień — a nawet, czy to dzień czy noc. Wiem tylko jedno: pragnę pana. Poza tym pragnieniem nic się dla mnie nie liczy.

— Dzieciak z ciebie — powiedział Stephen spokojnie.

— Sama nie wiesz, czego chcesz, choć przemawiasz jak dorosła kobieta.

— Nigdy nie byłam dzieckiem. Matka wprowadzała mnie w sprawy miłości, kiedy miałam osiem lat. Zabraniano mi zabawy lalkami i podobnych rozrywek — nawet zwyczajnej dziecinnej paplaniny. Wychowywano mnie od małości z jedną myślą: by urobić mnie na doskonałą kochankę mężczyzny takiego jak pan.

— Mój Boże!

— Chowano mnie w jeszcze większej surowości niż wasze panienki w klasztorach. Oczywiście kształcono mnie w tańcu i śpiewie, lecz nie miałam prawa spojrzeć na żadnego chłopca. Monsieur wie, że byłam nietknięta, kiedyśmy się poznali.

— Wiem.

— Chciałby pan położyć kres mojemu życiu, zanim się naprawdę zaczęło?

— Nie ma na to rady, malutka — powiedział Stephen łagodnie. — Inni mają do mnie większe prawa.

Désirée zacisnęła mimowolnie rękę na wodzach: ogier rzucił się w bok.

— Ostrożnie z tym koniem — ostrzegł Stephen. — Jest płochliwy.

Popatrzyła na Stephena, zielone oczy zognomniały. Z rozmysłem odrzuciła precz wodze i uniosła szpicrutę.

— Désirée! — krzyknął Stephen.

Nie posłuchała, z całych sił zacięła konia. Ostro plasnęła szpicruta. Deresz wydał cienkie, przeraźliwe rzenie i rzucił się na osłep w pola. Pochyliwszy się nisko w siodle, Stephen ruszył w pościg. Lecz palomino

najlepsze lata miał już za sobą, nie mógł się równać z oszalałym z bólu ogierem. Désirée siekła deresza raz za razem. Biegł coraz prędzej, puszczono luźno wodze były go po szyi.

Pędzili w stronę kruszarni, za którą — jak wiedział Stephen — teren urywał się nagle, piętnaście stóp niżej płynął młyński strumień. Jeżeli deresza nie uczono brać podobnych przeszkód... Stephen bezlitośnie smagał wypielęgnowane boki swego konia.

Deresz skoczył lekko, poszybował w powietrzu jak wielki ptak. Stephen zatrzymał Prince Michaela — palomino był za ciężki na taki skok. Siedząc na koniu, tańczącym na brzegu urwiska, Stephen widział, jak deresz uderzył przednimi kopytami w drugi brzeg. Przez chwilę trwał w tej pozycji, lecz nie zdołał podciągnąć się w górę. Potoczył się, pokoziołkował do tyłu, zrzucając amazonkę w bok.

Stephen zeskoczył z konia, ześliznął się po stromym zboczu na łeb na szyję wprost do strumienia. Deresz rzucał się w wodzie, krzyczał bolesnym, kobiecym głosem. Smukła postać w zielonej amazonce leżała cicho, bez ruchu.

Stephen brnął przez strumień, woda sięgała mu ud. Podeszedł najpierw do konia, wyciągając po drodze mały pistolet, który zawsze nosił przy sobie od czasu, gdy Warren próbował go zabić. Strzelił tylko raz, prawie nie celując. Ustała dzika szamotanina, ucichł krzyk.

Podeszedł do dziewczyny — leżała cichutko w dole zbocza, tuż nad wodą. Stephen przykucnął, uniósł delikatnie, czule jej bursztynową głowę.

Uśmiechnęła się, z kącika ust sączyła się szkarłatna strużka.

— A czy ma pan kulę dla mnie? — zapytała. — To dwustrzałowiec, prawda?

— Boże miłosierny...

— Proszę, monsieur, niech mnie pan dobije. W środku... jestem zupełnie pogruchotana. To strasznie boli. Czy dla konia ma pan więcej względów niż dla mnie?

Stephen wsunął ręce pod smukłe, wiotkie ciało, poszedł prosto do dworu. Tuląc głowę do jego piersi, Desiree gryzła wargi, by nie krzyczeć, nie jęczeć przy każdym jego kroku.

Na koniec Stephen dotarł do paradnych schodów, dziewczyna już jakiś czas temu straciła przytomność. Na galerię wyszła Odalie, za nią ukazała się Caleen, stały obie jak skamieniałe.

Kiedy Stephen wszedł na szczyt schodów, Odalie pochyliła się zaintrygowana nad nieruchomym kształtem, który niósł w ramionach.

— Kto to jest? Co jej się stało?

Wyminął ją nie odpowiadając i wszedł do hallu, twarz miał zaciętą i chmurną.

— Stephen! Pytałam cię o coś! Co to za dziewczyna? Szedł dalej przez hall, Odalie nie odstępowała go na krok. Nagle pochyliła się nad nieprzytomną i zaraz wyprostowała.

— Przecież to... ta dziewczyna — szepnęła. — Jak mogłeś... przynieść tę Mulatkę tutaj, do mojego domu! Matko Przenajświętsza!

— Zamilcz — powiedział Stephen surowo. — Ona umiera. Zaniósł ją do niewielkiego pokoju w zachodnim skrzydle i przywołał Caleen — krzątała się właśnie przy swej rozhisteryzowanej pani — by pomogła dziewczynie, o ile może w czymkolwiek pomóc. Caleen obejrzała dziewczynę pobieżnie, w jej oczach gorzała pradawna nienawiść, jaką Murzyni czystej krwi żywią wobec mieszaińców.

— Ona nie umrze — warknęła. — Złamała trzy żebra i tyle. Jest o co robić krzyk...

— Więc zajmij się nią — rozkazał pan. Caleen błysnęła starymi oczami.

— Nie tknę jej — oświadczyła zdecydowanym tonem. — Maître może mnie karać, może mnie skazać na chłostę, ale ja palcem nie tknę tej żółtej ladacznicy.

Stephen zmierzył ją wzrokiem. Po chwili odwrócił się.

— Zawołaj Suzette. Niech dopilnuje, żeby chorej niczego nie brakowało.

Désirée przeleżała w bandażach trzy tygodnie. Przez cały ten czas między Stephenem i Odalie nie padło ani jedno słowo. Młoda dziedziczka zaryglowała się w swoim apartamencie. Nie chciała słuchać żadnych tłumaczeń. W Harrow wszystko poszło na opak. Etienne i Little Inch nie mogli się w tym wszystkim połapać. Do kogokolwiek zwrócili się o wyjaśnienie, spotykali się ze łzami lub szorstką odprawą. W końcu byli tak wyprowadzeni z równowagi, że słysząc czyjeś kroki, zrywali się na równe nogi.

Kiedy Désirée wróciła do zdrowia na tyle, by znieść krótką podróż, zanieiono ją na dobrze naoliwiony wóz, wymoszczony stosem miękkich piernatów i wywieziono z Harrow. Odalie porzuciła swe dobrowolne więzienie, by popatrzeć na ten odjazd.

— Kochanie — zaczął Stephen.

— Nie, nie! — rzuciła się wściekle. — Nie mamy sobie nic do powiedzenia! Wracaj do tej swojej Murzynki, a mnie zostaw w spokoju!

Twarz Stephena stężała.

— Dziękuję — odparł spokojnie. — Może wrócę, skoro mnie odsyłasz.

ROZDZIAŁ 19

W ciągu ostatnich miesięcy swojej drugiej ciąży Odalie prawie nie rozmawiała z mężem. Sypiała niewiele, żywiła się odrobiną suchego chleba, wypijała morze czarnej kawy. Nie był to sposób odżywiania zalecany przysłyszonym matkom i Stephen dobrze o tym wiedział. Kilkakrotnie zebrał się w sobie, przełknął dumę i poszedł wyjaśniać i przeproszać, lecz odpawiła go, nim zdążył otworzyć usta.

Wreszcie zaniechał prób. Stephen był dumnym człowiekiem, być może niewolnym od pychy, te próby wiele go kosztowały. Niepewien co czynić, pełen rozterek, urazy i goryczy, zwrócił się raz jeszcze do Désirée. Wczesnym latem, gdy wciąż przykuta do łóżka wracała powoli do zdrowia, odwiedzał ją prawie co wieczór, okazując jej troskliwość niemal kobiecą.

Jednak gdy wstała z łóżka, blada jeszcze i osłabiona, lecz jak zawsze pełna wdzięku i żywości niczym elf, odwiedziny Stephena stawały się coraz rzadsze. Kiedy przychodził, rozmawiał z nią poważnie, całował po ojcowsku w czoło gdy się żegnał.

Doprowadzało to Désirée do istnej pasji.

— Czy jestem dzieckiem? — gniewała się. — Czy zbrzydłam? O co chodzi, monsieur! Dlaczego przestał mnie pan kochać?

Stephen uśmiechnął się blade.

— Stary już jestem, Désirée, a kłopotów co niemiara. Ludzie w okolicy powiadają, że szczęściarz ze mnie, że czegokolwiek się dotknę — kwitnie. Może i tak — lecz to trujące kwiecie. Mam piękny dom, największy na Nadzreczu — lecz żona mnie nienawidzi. Mam syna, ale to dziwne dziecko, unika mnie, boczy się. Dorobiłem się ogromnej fortuny — a radości ani za grosz...

— Ma pan coś jeszcze.

— Co takiego?

— Mnie.

— A ty przeze mnie o mało się nie zabiłaś, a moje życie wywróciłaś do góry nogami.

Desirée porzuciła swe zwykłe stanowisko z tyłu jego fotela i przycupnęła u stóp Stephena jak dziecko. Na długich wygiętych rzęsach lśniły wielkie łązy.

— Wolalabym umrzeć, niż sprawić panu najmniejszy ból. Trzeba mnie było wychłostać — jak niewolnicę.

Stephen roześmiał się.

— Dość tych głupstw. Przed tobą całe życie. Zaśpiewaj mi coś. Nie chcę się więcej smuć.

Desiree wybiegła w podskokach i zaraz wróciła z mandoliną. Biorąc śmiało akordy, zaczęła śpiewać skoczną piosenkę, w której amerykański Murzyn naśmiewa się z nadzwyczajnego upodobania, z jakim Murzyni kreolscy zjadają skorupiaki.

Rozparłszy się w fotelu, Stephen przysłuchiwał się z uśmiechem czupurnej murzyńskiej śpiewce. Smukłe palce pieśniarki sprawnie przebierały struny, oczy rzucały zielonozłote skry. Gdy zaśmiał się rozbawiony, przysiadła na poręczy jego fotela, by odśpiewać ostatnią zadzierzysłą zwrotkę. Stephen zaśmiewał się, wyobraziwszy sobie, jak to amerykański Murzyn potyka się o stopy languścich odwłoków, piętrzących się wokół wyrka Murzyna—Kreda.

Desiree odłożyła mandolinę i siadłszy Stephenowi na kolanach, zwichrzyła mu ze śmiechem włosy. Pocałowała go leciutko w usta, oczy, musnęła wargami policzki, szyję.

Schwycił ją za rękę, lecz wymknęła mu się i biegła, śmiejąc się i piszcząc po całym domu. Stephen usiłował ją złapać, lecz była chyża i niedościgła jak nimfa. Wreszcie, osłabła od śmiechu, pozwoliła się schwytać, lecz uparcie odwracała twarz od jego pocałunków. Udając gniew, ujął ją pod brodę zdecydowanym ruchem i cmoknął w usta. Lecz Desiree przyłgnęła wargami do jego warg, najpierw lekko, potem mocniej, podczas gdy jej dłonie skradały się w górę po jego plecach. Objęła go śmieiej, zanurzyła palce w płomiennych lokach na jego karku, wpiła się w jego usta.

Trwali przez chwilę w pocałunku, gdy nagle dziewczyna wparła się gwałtownie w Stephena. Jej długie, smukłe ciało było jak jedna pieszczota, kolana, uda, piersi parzyły go żywym ogniem. Oderwała na chwilę usta od ust Stephena, lecz była tak blisko, że mówiąc muskała wargami jego wargi.

— Nigdy więcej mnie nie opuszczaj — szeptała — i nigdy nie pozwól mi odejść!

Odalie spodziewała się rozwiązania późną zimą 1838 roku. Do Harrow przyjechała Aurorę, by dotrzymać siostrze towarzystwa. Caleen czuwała nad panią dzień i noc. Wezwano doktora Lefevre, on także zamieszkał we dworze. Stephen zaniechał wypraw do miasta. Przesiadywał do późna w swoim gabinecie, troska i niepokój nie pozwalały mu zasnąć.

A miał się czym trapić, Odalie, wyniszczona długą głodówką, przedstawiała żałosny widok. Ta wielka dama o przerasowanym, wydelikacjonym ciele nawet w najlepszym zdrowiu ciężko zniosłaby poród.

Teraz wycieńczona, umęczona cierpiała niezdolnie, bez chwili wytchnienia. Doktor Lefevre potrząsał głową w milczeniu.

— Prawdę powiedziawszy mocno wątpię, czy wyjdzie z tego żywa — mówił do Aurorę. Nie dość, że jest tak osłabiona, stan jej ducha budzi jeszcze większy niepokój. Ona nie próbuje walczyć ze słabością, zabrakło jej woli życia. Gdybym wiedział w czym rzecz...

— Ja wiem — powiedziała Aurorę mrocznym głosem — i klnę się na niebiosa, że dłużej tak tego nie zostawię!

— Poszła zdecydowanym krokiem przez hall do gabinetu szwagra, zastukała. Cisza. Gniewnym ruchem przekreśliła klamkę i wpadła do pokoju. Zatrzymała się nagle. Na biurku Stephena w kałużach rozmiękłego wosku dogorywały świece, a on sam siedział w niewygodnej pozycji przy biurku, położywszy głowę na rękach. Karafka była pusta, lecz odór whisky dało się wyczuć bez trudu.

Aurorę zachnęła się z odrazą. Stephen uniósł głowę i spojrzał na szwagierkę, mrużąc oczy przed blaskiem, bijącym z otwartych drzwi. Twarz miał upiornie bladą, oczy zapadały się w głąb sinych oczodołów. Siedział skulony, zgarbiony, a na jego wymiętej twarzy malował się wyraz takiej krzywdy, zagubienia i niepokoju, że Aurorę natychmiast odeszła złość.

Zawsze mu wszystko wybaczam — mignęło jej przez myśl. — Nawet teraz...

— Stephenie... — powiedziała miękko.

— Tak, Aurorę?

— Odaliej pogorszyło się. Są... są komplikacje. Mógłbyś jej pomóc. Teraz nikt już jej nie pomoże, tylko ty.

Uśmiechnął się krzywo, szrama na skroni wygięła się szyderczo.

— Wątpię — odparł. — Boże, jak ona mnie nienawidzi!

— Zasłużyłeś sobie na to — powiedziała Aurorę surowo. — Ale tak naprawdę ona cię wcale nie nienawidzi. Kocha cię tak bardzo, że umiera przede wszystkim z nieszczęśliwej miłości — do ciebie.

Stephen zerwał się od biurka, nozdrza mu latały.

— Umiera! — krzyknął — powiedziałaś, że umiera?

— Tak. Idź do niej, Stephenie — powiedziała po prostu.

— Aha, pójdę — rzucił zgryźliwie. — Bo to raz próbowałem z nią rozmawiać? Chodziłem nieraz, a ona zawsze odsyłała mnie do wszystkich diabłów. Ale cóż szkodzi spróbować jeszcze raz, albo i milion razy.

Szarpnął za pognieciony żabot i wypadł z pokoju, Aurorę patrzyła za nim w milczeniu.

Stephen pochylił się nad skrzywionym w boleściach ciałem żony. Aurorę stała, niezauważona, w drzwiach.

— Nie chcę, odejść — szepnęła Odalie. — Chcę na ostatek odrobinę spokoju.

— Odalie — powiedział Stephen powoli — muszę ci to powiedzieć: Kiedy tamta zjawiała się w Harrow, uczyniła to bez mojej wiedzy i zgody. Zerwałem z nią na długo przed tamtym wypadkiem — musisz mi uwierzyć, Odalie.

Odalie znieruchomiała na posłaniu. Spojrzała w twarz męża.

— Czy... czy to prawda? — szepnęła.

— Nigdy nie kłamię — odparł — przecież wiesz.

Na umęczonej twarzy Odalie ukazał się cień uśmiechu, znikł po chwili.

— A teraz, Stephenie? — szepnęła.

— Już nigdy się do niej nie zbliżę — powiedział.

— Masz na to moje słowo.

Spróbowała się uśmiechnąć, żalosna to była próba.

— Dziękuję ci, mężu — szepnęła tak cicho, że z trudem łowił jej słowa.

— Już się teraz nie boję tej całej sprawy... tego umierania.

— Nie umrzesz — powiedział Stephen żarliwie. — To wykluczone. Nie zrobisz mi tego, nie możesz!

— Obawiam się, mężu, że to już przesądzone — powiedziała zupełnie wyraźnie.

Stephen chciał zaprzeczyć, lecz nie śmiał, widząc jej gasnące spojrzenie. Z piersi wyrwał mu się zduszony krzyk, padł na kolana i ukrył twarz w fałdach narzuty. Odalie dźwignęła słabiutką rękę i pogładziła jego płomienną głowę.

W drzwiach Aurorę płakała bezgłośnie.

Cztery noce później Odalie powiła martwe dziecko — dziewczynkę. Nie odzyskała już przytomności, zmarła cicho podczas snu, ojciec DuGois przybył na czas, by odmówić modlitwę za konających. Patrząc na Stephena, Aurorę zapomniała o własnej rozpaczce. Wyszła po cichu z sypialni i wezwała Georgesa i Caleen.

— Czy wiesz, gdzie pan trzyma broń? — zwróciła się do kamerdynera, była zupełnie opanowana.

— Wiem, panienko.

— Przynieś ją do mnie — rozkazała. — Caleen...

— Tak, wiem, panienko, nie spuszczam go z oka. Maitre to dziwny człowiek. Czasem zrobi coś na opak, ale serce ma ze szczerego złota. Ta Mulatka coś mu zadała, wszystko przez to...

— Proszę cię, Caleen, ani słowa na ten temat — powiedziała Aurore. Poszła do gabinetu i siadła ociężale w fotelu. Głowa pękała jej z bólu. Tyle jest do zrobienia... Trzeba wydrukować i rozesłać imienne zawiadomienia o pogrzebie. Wybudować mauzoleum, a przede wszystkim wyznaczyć miejsce na pochówek. Z pewnością Odalie życzyłaby sobie spocząć na wieki właśnie tu, w Harrow. Aurore sama wszystkiemu nie podoła. Ktoś musi jej pomóc. Wstała. W tej chwili do gabinetu wszedł doktor Lefevre.

— Zaordynowałem mu napój nasenny — oświadczył.

— Uznałem, że tak będzie najlepiej. Spi sobie teraz jak dziecko.

Aurore skinęła w milczeniu głową i wyszła do hallu. Pod wpływem nieoczekiwanego impulsu poszła na piętro, do pokoju Stephena. Leżał na łóżku całkowicie ubrany, nie zdjął nawet butów. Pochyliła się nad śpiącym. Sen wygładził mu zmarszczki, smugi siwizny na skroniach wcale nie kłóciły się z dziwnie młodzieńczymi rysami twarzy.

Odwrocił przez sen głowę, ukazując przerażającą bliznę, skrzywił się boleśnie, przysło złudzenie spokoju. Aurore poczęła cofać się do drzwi, słyszała jak zajęczał cicho, przejmująco. Krzyknął, zadrżał na całym ciele. Aurore zbiegła pędem w dół. Biegając, szeptała do siebie:

— Boże, wybac mi moje myśli. Zmiłuj się nade mną, nieszczęsną.

Amelia i André przyjechali jeszcze zanim się na dobre rozwidniło i przejęli sprawy w swoje ręce.

Etienne'a i Little Incha odesłano do La Place, gdzie mieli zapewnioną opiekę do czasu pogrzebu. Zjawił się Mike Farrel, chodził za Stephenem krok w krok jak ogromny cień.

— Nie podoba mi się to — wygląda jak z krzyża zdjęty — szepnęła do André — serce mi krwawi, kiedy widzę Steviego w takim stanie. Ona, bracie, miała zimne, dumne serce, ale Stevie świata poza nią nie widział! Mój Boże, jak on ją kochał! Muszę mieć go na oku.

W cyprysowym gaju, niedaleko dworu, murarze wznosili mauzoleum. Ponieważ ziemia Nadrzecza była grząska, od czasu zarazy w 1832 roku stało się zwyczajem, by chować zmarłych nad ziemią. Stephen zaprojektował dla Odalie wspaniałe mauzoleum. Przy wejściu, którego strzegły dwa kamienne anioły, miała stanąć ławka z kutego żelaza, siedząc na niej, będzie mógł patrzeć na miejsce ostatniego spoczynku ukochanej żony. Wewnątrz kazał wybudować dodatkową niszę, a na kamieniu nagrobnym wyryć swoje imię, nazwisko i datę narodzin. To ostatnie zlecenie mocno niepokoiło przyjaciół Stephena.

Któregoś razu późnym wieczorem André wyszedł z Harrow szukać Stephena. Znalazł go przy mauzoleum, Stephen przyglądał się w zadumie prawie już skończonej budowlu.

— Stephen, stary druhu, tak nie można — powiedział André. — Kiedyś wszystkich nas to spotka.

Stephen spojrział na przyjaciela jasnymi oczyma.

— Nie podniosę na siebie ręki — powiedział cicho. — Ona by tego nie chciała, no i muszę myśleć o małym. Bóg wie, że to byłoby łatwiejsze... niż żyć z tymi myślami.

— Mówisz glu... — zaczął André, czując ogromną ulgę. Stephen nie pozwolił mu dokończyć.

— Ja jestem winien jej śmierci — oświadczył. — Wiesz, czasem nachodzi mnie jakieś mroczne szaleństwo... — zamilkł, potrząsnął głową. André nie odezwał się więcej, wiedział, kiedy należy trzymać język za zębami.

Po pogrzebie w Harrow zapadła wielka, zaiste grobowa cisza. Służący chodzili na palcach, a Stephen Fox siedział w gabinecie i całymi dniami wpatrywał się w pustkę. Nawet objeżdżając plantację, patrzył na wszystko niewidzącym wzrokiem. Jednak żywot plantacji toczył się dawnym trybem, przysparzając właścicielowi ogromnych dochodów, gdyż Harrow osiągnęło ten etap rozwoju, kiedy gospodarstwo działa siłą własnego napędu. Po całym Nadrzeczu szeptano sobie o wielkiej boleści owdowiałego bogacza.

— Jakby postradał rozum — dziwowano się. — Siedzi, patrzy przed siebie i nie słyszy, co do niego mówią.

— I już nie jeździ do tej małej na Podwale. Ma foi! Trzeba mieć prawdziwą żalobę w sercu, żeby się wyrzec takiej piękności!

Jednak przyszedł wieczór, kiedy Stephen przywdział wizytowy strój, siadł na konia i pokłusował w stronę miasta. Postął przez chwilę przy grobowcu i ruszył dalej, mijając po drodze ubogi cmentarzyk niewolników. Leżał tam Achille, Stephen wcale mu się nie dziwił.

— Lżej ci było iść za nią, czy tak, mój stary? — szepnął obok mogiły czarnego siłacza. — Ubóstwiałeś Sauvage, podobnie jak ja ubóstwiałem Odalie. W życiu jest zbyt wiele smutku i rozpaczki, prawda? O wiele więcej niż to wszystko jest warte.

Jechał powoli traktem wzdłuż rzeki.

Na Podwale w małej białej willi, ukrytej za wysokim ogrodzeniem, czekała Désirée. Gdy zza zakrętu wyłonił się wielki biały koń, zachwiała się i wsparła ciężko o parapet.

Muszę mu powiedzieć, myślała. Teraz mnie nie opuści — nie będzie mógł!

Stephen zastukał energicznie do drzwi wejściowych. Zmagając się z mdłościami, Désirée przywołała na twarz zalotny uśmiech i pobiegła otworzyć. Lecz gdy ujrzała Stephena, uśmiech zgasł. Stała chwilę w drzwiach chwiejąc się, jakby ją uderzył.

— Proszę wejść, monsieur — powiedziała, odzyskując panowanie nad sobą.

— Désirée...

— Tak?

— Muszę ci powiedzieć coś, co cię zaboli... chyba jeszcze nikomu nie musiałem mówić coś równie bolesnego...

— Więc niech pan nic nie mówi! Jeszcze możemy być szczęśliwi...

— Nie, Désirée.

Dziewczyna podniosła dumnie głowę. Przez okno wpadła wiązka promieni słonecznych, rozświetlając jej bursztynowe włosy.

— Wiem, z czym przychodzisz mój panie, mój kochanku

— powiedziała cichym, śpiewnym głosem. — Umarła twoja żona. Przed śmiercią gryzła się bardzo tym, co było między nami, więc honor zabrania panu bywać u mnie więcej. To chciał mi pan powiedzieć, prawda?

— To prawda — w głosie Stephena brzmiało posępne, nieodwołalne postanowienie.

— Rozumiem. Stało się i nic tu nie zmienię. Być może nikt nie mógłby tego zmienić. Ale jedno muszę panu powiedzieć. — urwała, podniosła na Stephena wielkie oczy, nabrzmiałe łzami.

— Mów śmiało.

— Kiedy zniknie pan za tymi drzwiami, jakaś częśćka mnie umrze. Codziennie będę po trochu umierać. Będę szczęśliwa, kiedy wreszcie umrę naprawdę.

— Ten dom należy do ciebie — powiedział Stephen — i wszystko, co w nim jest. Wyzaczyłem ci miesięczną rentę — będziesz ją otrzymywać do końca swoich dni... Czy chcesz czegoś jeszcze?

Uśmiechnęła się krzywo.

— Czegoś, czego nie mogę mieć — szepnęła. — Będzie lepiej, jeśli pan zaraz odejdzie... póki jeszcze jakoś się trzymam. Adieu, i niech Bóg ześle panu wszelką pomyślność.

Stephen postąpił ku niej, lecz nagle odwrócił się i wyszedł, drzwi były otwarte. Désirée stała w miejscu, wstrzymując oddech. Nasłuchiwała jego kroków na ścieżce, skrzypnięcia rzemieni, gdy wsiadał na konia.

— Nie pocałował mnie — szepnęła. Z cichej uliczki dochodził stukot kopyt, coraz cichszy. Stała tak długo, aż dopadła ja nowa fala mdłości. Osunęła się na podłogę, pół siadła, pół przykłękała.

Nie mogłam mu powiedzieć, myślała. W oczach miał tyle cierpienia. Teraz odszedł, a ja nie czuję bólu. Nie rozumiem. Przecież powinnam szaleć z rozpaczy. Może jestem tak otumaniona tym ciosem, że nic nie czuję. Może za chwilę ocknę się i zacznę krzyczeć i rozpaczać. Nie wiem. Mój Boże, już sama nie wiem, co się ze mną dzieje.

Kłęcząca tak jakiś czas, wpatrując się w podłogę. Wreszcie dźwignęła się i podeszła do okna.

— Będzie miał rude włosy — szepnęła. — Mój syn będzie miał błękitne oczy i uśmiech jakby niecałkowity — zawsze z odrobiną drwiny. Będę go strzec i kochać, będę patrzeć, jak staje się co dzień bardziej podobny do tego, który mnie porzucił. Będzie całym moim życiem. — Odwróciła się od okna i poszła w głąb mrocznego domu.

RS

ROZDZIAŁ 20

Nad Harrow wisiała cisza jak ołowiana pieczęć. Liście dębów trwały bez ruchu w sennym powietrzu, nie szeleściły nawet wiotkie listki wierzb. Pola ciągnęły się aż pod nieboskłon, pracujący na nich Murzyni wyglądali jak postacie ze snu. Robota nigdy nie ustawała. Sadzone w czarnej ziemi patyki trzciny pasiastej i purpurowej puszczały kielki, rosły coraz wyżej, dogłądane przez zastępy niewolników. Przychodziły żniwa, trzcina padała pod ciosami ostrych noży, lecz Murzyni nie śpiewali.

Stephen przyglądał się żniwom z wysokości Prince Michaela. Drewniane wozy skrzypiąc ciągnęły przez pola, zwożąc trzcinę do cukrowni, której komin znów buchał czarnym dymem. Na nowo ruszyły kruszarki, gęsty, słodki sok spływał strumieniami do kadzi. Etienne i Little Inch biegali od jednej kadzi do drugiej, nurzali we wrzącym syropie nawleczone na nitkę orzeszki pekanowe, by raczyć się tym niewyszukanym przysmakiem aż do bólu brzucha.

Stephen poruszał się po rafinerii i całej plantacji jak we śnie, śledząc postęp robót jakąś cząstką umysłu, chociaż myślą błędził po krainach, z których nigdy się nie wraca. Mówił coraz rzadziej i mniej.

W jednym z takich dni do Harrow przyjechała Aurorę Arceneaux, w kufrach, umocowanych na dachu powozu miała całe swoje mienie. Stephen podjechał do powozu i przywitał się poważnie ze szwagierką.

— Przyjechałam na dłużej — powiedziała ze zwykłą sobie prostotą. — Harrow potrzebuje kobiecej ręki, a chłopiec matczynej opieki. Czy nie masz nic przeciwko temu, bym została? Przykrzy mi się samej w Bellefont, a tu mogłabym się na coś przydać.

— Ja nic przeciw temu nie mam — odparł — ale ty jesteś wciąż młodą i powabną niewiastą. Ludzie wezmą cię na języki.

— Niech biorą! Jeżeli w starej pannie, która ma trzydzieści jeden lat wciąż pokutują zdrożne ciążoty, to chyba czas je ujawnić, jak uważasz?

— Słusznie — powiedział Stephen i w jego martwo patrzących oczach jakby błysnęła iskierka. — Być może wpiszę cię na długą listę moich rzekomych utrzymanek. Ale chodźmy na górę. Powiem Caleen, by przygotowała dla ciebie pokoje.

Idąc przez ogromny hall, Aurorę widziała drobne oznaki rozprężenia: kurz na dolnych partiach mebli, pociemniałe dywany, których od dawna nie trzepano, przybrudzoną liberię służących. Czas z tym skończyć, myślała. Harrow musi być znów pierwszym domem Luizjany.

Kiedy Caleen zaprowadziła ją do apartamentu, w którym miała zamieszkać, Aurore powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu:

— Zawołaj Suzette i inne kobiety, ciotko. Weźmiemy się za porządki. Po kilku godzinach wszystko jaśniało czystością, kryształowy mienili się tęczowo, srebro lśniło. Na fotelach pojawiły się nowe, bogato haftowane pokrowce, obrusy jaśniały niepokalaną bielą w przyćmionym blasku świec.

Aurore poszła szukać Etienne'a. Znalazła go w stajni, umorusanego, w przykrótkim ubranku — grał w karty z Little Inchem.

— Chodź ze mną, 'Tienne — powiedziała uśmiechając się łagodnie — ty też, Inch.

Chłopcy poszli za nią do domu, niepewni, co to wszystko znaczy. Aurore zaprowadziła ich na górę, do alkierzyka, w którym stała wanna. Inch naznosił wody i pod kierunkiem Aurore wyszorował panicza do czysta. Następnie, odesławszy Murzynka z przykazaniem, by sam się teraz wykapał, przyszytyła czarną, rozwichrzoną czuprynę siostrzeńca. Uczesany, przebrany w nowe, schludne ubranie stawiał się przed ciotką, czekając na werdykt.

— Tak, nareszcie wyglądasz jak prawdziwy dżentelmen — osądziła. — A teraz chciałabym obejrzeć twoje książki i kajety.

Chłopiec pobiegł spełnić jej polecenie, w jego bladobłękitnych oczach płonęło uwielbienie. Kiedy wrócił, Aurorę poprosiła, by jej poczytał. Edukacja chłopca, jak stwierdziła, była mocno zaniedbana. Zaczęła więc go uczyć — bez nacisku, jakby mimochodem. Czytała mu — drogie sercu każdego chłopca — opowieści o wyczynach rycerzy dawnej Francji a także o bohaterach współczesnych. Wiele z tych opowiadań podkreślało wartość pojęcia noblesse oblige*, tak cenionego przez arystokrację Południa.

*** noblesse oblige (franc.) — szlachectwo zobowiązuje**

Arystokratę — dowiadywał się Etienne — obciążają obowiązki o wiele cięższe i liczniejsze niż zwyczajnego śmiertelnika. Może jednak bardziej opłaca się gra w karty na eleganckich liniowcach, tak jak to kiedyś robił ojciec, niż przejmowanie niełatwej roli plantatora — dżentelmena, dumal chłopczyk, wodząc błękitnymi oczyma za śliczną, młodą ciotką. Mimo wszystko, jako syn Stephena Foxa już teraz odczuwał szacunek i podziw otoczenia, nawet Stephen Le Blanc czuje przed nim respekt, a przecież sam należy do nie byle jakiej rodziny. 'Tienne zdążył już w tym zasmakować. Pomiatanie Inchem bywa przyjemne, ale nie może się równać z rozkosznym uczuciem, jakie dają hołdy białych. Nie, nie ucieknie się od własnego losu, zadecydował Etienne z powagą.

Zycie Harrow toczyło się bez większych zgrzytów. Aurore prowadziła dom z nieprzymuszonym wdziękiem i pogodą. Niewolnicy szybko wykryli, że przy całej swej stanowczości, panią jest osobą o gołębim sercu i o wiele troskliwiej dba o ich drobne potrzeby niż Odalie, którą powodowało poczucie obowiązku. Wszyscy Murzyni Harrow podziwiali i szanowali dawną dziedziczkę, nową pokochali.

Ale w Nowym Orleanie — mieście, w którym szczególnie rozwinięta dbałość o moralność bliźniego była przyjemną namiastką troski o własną moralność — języki już poszły w ruch. Lecz, prawdę rzekłszy, najbardziej zatroskani byli przyjaciele Aurore.

— Nie podoba mi się to — powiedział André bez ogródek, rozmawiając z żoną. — Wiem aż nazbyt dobrze, co ona do niego czuje.

Amelia uśmiechnęła się.

— A temu uczuciu zawdzięczam najlepszego, najczulszego męża na świecie.

— Melia!

— Nie przejmuj się André. Już dawno pogodziłam się z myślą, że przede mną była inna. Miłość nie zna dumy.

— Ale to przecież było inaczej! — gorączkował się Andre. — Wcale cię wtedy nie znałem!

— I nie chciałeś poznać, zapierałeś się rękami i nogami! — droczyła się Amelia. — Nie znosiłeś tych chudych Amerykanek.

— Widzę, że Stephen wszystko ci wypaplał. Powinienem wyzwać go na pojedynek.

— To byłoby ryzykowne, kochany mężu. Zresztą to było tak dawno, a ja już nie jestem chuda.

André pocałował pulchne policzki żony.

— Jesteś aniołem.

— Bynajmniej. Ale wracając do tematu — muszę przyznać ci słuszość. Może powinnam porozmawiać z Aurore...

André zmarszczył brwi.

— Aurore ma łagodne usposobienie, ale jak nabije sobie czymś głowę, to nie ma na nią rady.

Westchnęli i zamilkli.

Aurore leżała bezsennie w swoim pokoju, z przyległego hallu dobiegały kroki Stephena. Chodził tam i z powrotem, tam i z powrotem, niespiesznym miarowym krokiem. Co jakiś czas zatrzymywał się na chwilę. Aurore wiedziała, gdzie: przystawał przed portretem, tchnącym niewysłowionym

urokiem. Ile to już nocy słyszała te kroki w ciemności, nie milknące aż po świt. Wciąż powracały Szekspirowskie słowa:

„Nie zaśniesz więcej! Makbet zamordował sen!”*

* Nie zaśniesz więcej! Makbet zamordował sen! — Aurore niezbyt dokładnie pamięta ten werset, który brzmi: Nigdy już odtąd nie zaśniesz! Makbet morduje sen! — w tłum. Stanisława Barańczaka, „W drodze” Poznań 1992

Jakże te słowa pasują do położenia ich obojga! Stephen zamordował sen własny i szwagierki. Stąd wiodła prosta droga do szaleństwa. W hallu zaległa cisza — niepokojąco długa. Aurorę narzuciła szlafrok, z trudem wiążąc w talii pasek roztrzęsionymi palcami i wsunawszy kaptcie na bosc stopy wyszła chyłkiem z pokoju. Wokół było cicho jak makiem zasiał, jeśli nie liczyć ogłuszającego łomotu jej serca. Skradając się wielkim, mrocznym hallem, który nocą wydawał się jeszcze większy, doszła do portretu. U jego stóp, zwinięty w kłębek spał Stephen. Białe noce wreszcie go zmogły.

Aurorę pochyliła się nad śpiącym, przyglądała mu się w miękkim świetle lichtarzy. W nieruchomej twarzy Stephena było tyle niemej udręki, że serce Aurorę ścisnęło się boleśnie. Pochyliła się niżej. Te usta surowe i władcze za dnia, były we śnie słabe i bezbronne jak u dziecka. Znikł drwiący grymas, pozostał wyraz zagubienia i dojmującego żalu.

Aurorę zapragnęła utulić tę głowę, ukołysać, nucąc jakąś cichą pieśń. Serce załomotało tak mocno w jej piersiach, że wyprostowała się spłoszona, była pewna, że Stephen zaraz się obudzi. Spał jednak. Aurorę znów pochyliła się nad śpiącym.

— Nie dręcz się tak, Stephenie — szepnęła. — Nie zasłużyła sobie na tyle rozpaczy. Ani ona, ani żadna inna. Boże miłosierny, jakież on wynędzniały!

Stephen poruszył się przez sen, odchylił głowę w tył. Aurorę przysunęła się tak blisko, że nieomal dotykała ustami ust Stephena.

— Pocałowałaś mnie kiedyś, w żartach, z przekory — mówiła cicho. — Teraz oddam ci ten pocałunek, ale Bóg mi świadkiem, bynajmniej nie w żartach. — Lekko, leciuteńko przyłożyła wargi do warg Stephena, lecz nie cofnęła się od razu, jakby wbrew sobie przeciągała pieszczotę, muskała tkliwie jego usta. Nie otwierając oczu, Stephen przyciągnął ją do siebie szczipłymi, lecz nadspodziewanie mocnymi ramionami. Aurorę szamotała się jak uwięziony ptak, błękitne oczy otworzyły się szeroko.

— Aurorę!

— Mój Boże, Boże! — zaskakała Aurore.

Nie puszczając jej od siebie, zajrzał badawczo w jej twarz.

— Pocałowałaś mnie — powiedział. — Dlaczego?

— Proszę cię, Stephenie, puść mnie — szeptała. — Błagam cię...

— Najpierw musisz mi odpowiedzieć.

— Nie odpowiem. Nie mogę. Zapomnij o tym zajściu. Wybacz mi — i pozwól odejść... Wyjadę stąd... byle dalej.

— Nie, muszę wiedzieć, o co tu chodzi — odparł z powagą. Zastygła w jego objęciach. Po chwili przywarła twarzą do jego piersi i powiedziała stłumionym, nabrzmałym od łez głosem.

— Kocham cię. Kocham cię od zawsze, od chwili gdy ujrzałam cię na placu Broni — tego dnia, kiedy przyplłynął Lafayette. Stałeś w tłumie i patrzyłeś na Odalie, patrzyłeś bez końca, myślałam, że serce pęknie mi z bólu. Wydałeś mi się tak piękny, Stephenie — piękny jak młody heros. Potem było jeszcze gorzej. Wybaczalam ci wszystko: obojętność, zarciki, żółtą kochankę, miłość do Odalie. Wybaczyłabym ci wszystko — wszystko. Żyłam dla tych bezcennych chwil, kiedy mogłam cię zobaczyć, a poza tym nadzieją, że kiedyś zobaczę cię znów. A teraz, kiedy tak nisko upadłam, chyba pozwolisz mi odejść stąd na zawsze?

Stephen nie poruszył się, nie zwolnił uścisku.

— Aurore, miłość wypaliła się we mnie do cna — powiedział łagodnie — ale wiem również, że nie mogę wiecznie żyć w samotności. Sam już nie wiem, co jest jawą a co snem. Być może z czasem odzyskam zwykłe, ludzkie uczucia.

Urwał i spojrzął na portret.

— Pobierzemy się bezzwłocznie — oświadczył. — Mój Boże, mało kto dostępuje takiego zaszczytu jak ja. Chcę byś wiedziała, jak ogromnie jestem wdzięczny — wdzięczny i pełen pokory wobec tej niezasłużonej łaski losu.

Aurore podniosła głowę, policzki miała chłodne od wystygłych łez.

Następnego dnia przed południem wielka żółta karetka sunęła długim podjazdem, przekroczywszy żelazne wrota La Place des Rivieres. Wokół karety i niemalże pod jej kołami, biegła — jak zwykle w takich razach — rozhlukana wataha Murzyniątek. U stóp schodów czekał Ti Demon, przewracając wyłupiastymi oczami.

— Monsieur Stephen i panienska Aurore! — zawołał gromko i kłaniając się w pas otworzył drzwiczki karety.

Pierwszy wysiadł Stephen. Był ubrany według najnowszej mody. Zamiast ciemnego halsztuka nosił szeroki jedwabny krawat, zakrywający przód brokatowej kamizelki o wykładanym kołnierzu, na bordowym kołnierzu kamizelki leżał spiczasty kołnierzyk białej koszuli. W wypukłym węźle krawata jarzyła się łagodnym blaskiem ogromna perła. Nowy,

rozcinany z tyłu brązowy żakiet kontrastował ze sztuczkowymi spodniami, w przeciwieństwie do mody z minionej dekady, ten fason ściśle opinał kształtne nogi Stephena. U dołu spodnie były zaopatrzone w rzemyki, które przechodziły pod podeszwą butów. Włożony na bakier cylinder dopełniał stroju — jednak twarz Stephena była poważna, nieomal posepna.

Podał ramię Aurorę, pobladłej ze zdenerwowania. Miała na sobie piękną suknię z mieniącego się jedwabiu, o dopasowanych rękawach. Gdy wysiadała, zadrgały spiralnie skręcone loczki nad uszami. Jednak reszta jej fryzury była ukłonem w stronę awangardy: moda na koki noszone nisko na karku miała się rozpowszechnić dopiero w przyszłym roku.

Amelia wyszła witać gości z jasną twarzą, otwartymi ramionami.

— Nareszcie! — śmiała się radośnie. — Już myślałam, że La Place to zbyt niskie progi na wasze wysokie nogi!

— Jest właśnie na odwrót — odparł Stephen. — Doceniam fakt, że wciąż nas przyjmujecie. Powiem bez ogródek: potrzebujemy twojej pomocy.

— Pewnie szykuje się jakieś przyjęcie? Z największą przyjemno...

— Nie, chodzi o ślub — przerwał jej Stephen. Korалowe usta Amelii ułożyły się w wyraz zdumienia, lecz nic nie powiedziała, tylko uniosła wysoko brwi. Aurorę objęła ją za szyję.

— Wybacz nam, proszę cię, kochana Amelio — powiedziała po prostu. — Wiem, że to okropnie brzmi...

Amelia uśmiechnęła się do przyjaciółki.

— Cieszę się. To małżeństwo kłóci się z konwenansami i wywoła skandal, ale postępujecie słusznie... zwłaszcza że Aurore mieszka w Harrow od wielu miesięcy...

— Amelio! — zawołała Aurore zdławionym głosem — chyba nie sądzisz, że ja... że my...

— Rozumie się, że nie. Zbyt dobrze was znam. Ale nie wszyscy znają was tak jak ja. To o nich mi chodziło. Wejdzmy do domu. Już posłałam po André, zaraz będzie.

— Aurore ujęła przyjaciółkę pod ramię i poszły razem po schodach. Stephen szedł obok pań, patrząc to na jedną, to na drugą.

— Z jednego jestem zadowolony — oświadczył.

— Przynajmniej ty nie uważasz mnie za łajdaka.

— Jesteś za głupi jak na łajdaka — kpiła Amelia.

— Głupi? — Stephen był zupełnie zbity z tropu. — Nigdy bym się nie spodziewał takich słów od ciebie!

— Trzeba być skończonym tępakiem, żeby przestawać z Aurore od tyłu lat i nie zauważyć, że szaleje za tobą. Nawet André zwąchał pismo nosem, a nie jest zbyt bystry, nieboże.

— Oto jak Amerykanki wyrażają się o swoich mężach! — zaśmiał się Stephen. — Może dobrze się stało, że żadna z nich nie zaciągnęła mnie do ołtarza.

— Może i tak — uśmiechnęła się Amelia. — Ale kto wie — może byłbyś przyjemnie rozczarowany.

— Jak André. Zazdroszczę wam waszego szczęścia.

— Wkrótce nie będziesz miał powodu. Na udane małżeństwo składa się wiele rzeczy: głębokie, trwałe uczucie, wzajemne zaufanie i szacunek a także czułość, chęć dzielenia trosk. Miłość to wspaniała rzecz, bez niej życie jest nic nie warte.

— Wiem coś o tym — odparł Stephen posepniejąc.

— Ale czasem trzeba się śmiać — z samego siebie, Stephenie...

— Pouczasz mnie, moscia pani? — spytał Stephen z udanym gniewem.

— A tak, bo ci tego trzeba i to bardzo. Aurore — nie, bo to istny anioł. Ale czasem trzeba się pośmiać. Nigdy nie zapomnę miny biednego André nazajutrz po tym plugawym kwarterońskim balu, na który go zaciągnęłaś — chodził jak struty, biedaczek. Obawiał się, że go porzucę, a ja dwóch minut bym nie przeżyła bez tego urwipolcia. Miał taką żalosalną minę, że musiałam się roześmiać i na tym zakończyła się cała sprawa.

Stephen śmiał się rozbawiony, lecz twarz Aurore stężała i zbladła.

Amelia ścisnęła jej ramię.

— Wybacz mi, kochana Aurore — szepnęła. — Chyba się zagalopowałam.

— To głupstwo — odparła jej przyjaciółka. — Po prostu ja nie chcę pamiętać, że kiedyś należał do innej. To niełatwe, ale jakoś się z tym uporam.

Na wieść o ślubie André o mało nie zatańczył z radości.

— Nareszcie! Nareszcie! — wykrzykiwał, bijąc się po tłustych udach. — Nareszcie zaczęłaś nabierać rozumu! Już myślałam, że nic z ciebie nie będzie. Kiedy ślub?

— Jutro — jeśli nam pomożecie.

— Tak szybko? Zresztą, może to i dobrze. Ale musimy się spieszyć. Kto udzieli wam ślubu?

— Ojciec DuGois — o ile się zgodzi.

— Więc jedźmy do miasta i ułóżmy sprawę. Aurore mogłaby tu zostać z Amelią. Pozwolisz, że ci urządzę kawalerski wieczór? Chciałbym postawić

ci kolację. Daj mi pół godzinki — przebiorę się i każę osiodłać świeże konie.

Najpierw pojechali na plebanię, by rozmówić się z księdzem. Stephen obawiał się, że ojciec DuGois będzie robił trudności, lecz sędziwy kapłan czerpał mądrość z serca, nie z dogmatu, zgodził się od razu. Kiedy obaj przyjaciele opuszczali katedrę pod wezwaniem św. Ludwika, Stephen miał obojętną twarz, lecz oczy jasne i spokojne.

— A teraz, jeśli chodzi o kolację...

— Wybór lokalu pozostawiam tobie — odparł Stephen — ale obawiam się, że wcale nie mam apetytu.

Następnego dnia pod katedrę zajechała żółta karetka, z której wysiedli państwo Le Blanc a potem Stephen i Aurore. Zdziwili się niezmiernie widząc, że stalle pękały od ciekawych.

— A skąd oni się dowiedzieli? — Aurore nie wierzyła własnym oczom.

— Poczta pantoflowa niewolników — stwierdził André ponuro. Już ja pokażę Ti Demonowi, gdzie raki zimują.

— A może to wina Georges'a — rzucił Stephen. — W każdym razie nic na to nie poradzimy. Chodź, kochanie.

Ojciec DuGois, człowiek o litościwym sercu, skrócił obrządek zaślubin, w niczym nie naruszając jego piękna. Aurore zapomniała o nerwach, jej twarz zajaśniała niekłamany szczęściem. Gdy uniosła piękną twarz, czekając na mężowski pocałunek — w blasku świec, woni kwiatów i kadzideł — zamilkli nawet ci, którzy przyszli tu poużywać sobie na nowożeńcach.

Wyszli we czworo na ulicę, a za nimi tłumy gapiów.

— Pojedziemy do naszego domu w mieście — oświadczył Stephen. — Kazałem dokończyć budowę, ale nigdy z niego nie korzystałem. Jeśli chodzi o przyjęcie weselne, to musimy, niestety, zadowolić się tym, co przyniosą dostawcy. Potem pomyślimy, co z miodowym miesiącem...

— Nie czas na miodowe miesiące — powiedziała Aurore. — Wystarczy mi, że będę z tobą. Po przyjęciu wrócimy do Harrow i jakoś to będzie.

Kolacja, hojnie podlewana winem, była wcale smaczna. Humory dopisywały. Stephen nalegał, by Le Blancowie zostali na noc. Dom jest dostatecznie obszerny, by pomieścić dwie zakochane pary. Lecz André odmówił.

— Żaden dom nie jest dość duży, by w noc poślubną zmieścić kogokolwiek poza parą głównych bohaterów — wymawiał się ze śmiechem. Zatem w doskonałym nastroju, na lekkim rauszu, wyruszyli Le Blancowie w drogę powrotną do domu.

Po ich wyjeździe w „Bonheure” — tak nazwała Odalie tę willę, której progu nigdy nie przekroczyła — zaległa głęboka cisza. Stephen stał niezdecydowany, patrząc na swą świeżo poślubioną małżonkę. Jej twarz jaśniała taką miłością, w orzechowych oczach tyle było oddania, że Stephen uczuł coś na kształt pokory. Wodziła rozkochanym spojrzeniem za każdym jego gestem. Wreszcie milczenie zaczęło ciążyć obojgu. Stephen wstał i podszedł do Aurore. Niech się to nasze wspólne życie już zacznie, myślał. Może wykreśli pamięć tego, co było.

Lecz gdy pochylił się nad żoną, przez okno dobiegł chór wrzaskliwych głosów:

Monsieur Fox porzucił żonę
I wziął sobie czarną kochankę
Wrzucił ją potem do rzeki
Powiedział: Nie chcę kaleki
Znajdę se lepszą bogdankę.

Stephen, obejmując Aurore, stał jak skamieniały. Puścił ją po chwili i podszedł do okna, Aurore poszła za nim. Na ulicy kłębił się rozbawiony tłum. Ulicznicy nieśli na ramionach trumnę, leżała w niej jakaś kukła. Wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że przedstawia Odalie. Inni machali dwiema jeszcze kukłami. Ubrali je w weselne stroje — to był on sam i Aurore.

— Och, Stephen, Stephen — zapłakała Aurore.

I śmiał się z własnej żony
Nawet kiedy ją całował
A ledwie ją pochował
Rozpoczął nową gierkę
I wziął za żonę szwagierkę

Stephen sięgnął do kieszeni po deringera.

— Nie, Stephenie, tak nie można — powstrzymała go Aurore.

Odrzucił się od okna i patrząc na żonę, schował pistolet.

— Już wiem, jak uciszyć te bestie. Zatkam im pyski tym, co im najbardziej smakuje.

Wyszedł na chwilę z pokoju, by wrócić z dwiema ciężkimi sakiewkami.

— To były pieniądze na nasz miesiąc miodowy — powiedział. — Ale nie ma obawy, nie zbiedniejemy.

Otworzył po cichu okno, i zanurzywszy ręce w sakiewkach, rozsypał srebrne dolary po ulicy. Gawiedź natychmiast przerwała śpiewy i zaczął się bój o srebro. Kiedy każdy zebrał kilka sztuk, nastroje złagodniały.

— Dobrze to pan obmyślił, monsieur Fox — pokrzykiwano bez uprzedniej żółci. — Oby tak dalej! Polecam się na przyszłość! Za tyli grosz może się pan żenić nawet z moją siostrą!

Ulicznicy rozeszli się powoli, ulica opustoszała. Skulona w kącie Aurore płakała żałośnie. Stephen znów ją objął.

— Przykro mi, najdroższa — powiedział — ale mogłaś się była tego spodziewać. Przecież wzięłaś sobie łajdaka za męża.

— Jednak się nie spodziewałam — szepnęła, uśmiechając się przez łzy. — Za męża wzięłam sobie księcia. I jeśli mój książę natychmiast mnie nie pocałuje, to zaraz zmienię się w żabę.

Stephen pocałował ją delikatnie, ten pocałunek był słony od łez.

— Nie, nie tak! — powiedziała niskim, matowym głosem. — Pamiętaj, że nie jestem już twoją małą siostrzyczką!

Stephen zdziwił się.

— Więc jak mam cię całować?

— Tak... — szepnęła. — W ten sposób...

Kilka dni później Stephen najął młodego Kreola z doskonałej rodziny, by zarządzał Harrow podczas jego nieobecności. Nowożeńcy wstąpili do La Place, by pożegnać się z Le Blancami i ruszyli statkiem w górę rzeki w luksusowej kabinie. Mogli odbyć w pełnym komforcie podróż przez nowo wybudowany kanał Erie aż do Nowego Jorku. Na czas tego wyjazdu wyprawiono Etienne'a do Le Blanców, chłopiec robił wszystko, by uprzykrzyć gospodarzom życie, a ci z trudem powstrzymywali się, by nie napisać do Stephena, błagając go o szybki powrót.

Na resztę lata Foxowie zatrzymali się w którymś z wytwornych hoteli Saratoga Springs, robiąc oczywiście wypadki do Filadelfii i Nowego Jorku. Matrony, przebywające na wywczasach w tym słynnym zdrojowisku, szeptały za wachlarzami jak najęte. Wszystkie dawno zapomniane historie wyciągnięto na światło dzienne, odkurzono i uzupełniono o całkiem nowe szczegóły, gdyż wśród letników znalazła się garstka krajan z Luizjany, a kilkoro znało Stephena przelotnie z Nowego Orleanu.

Czas mijał, Stephen nie bez zdziwienia i jakby niechętnie musiał przyznać, że w gruncie rzeczy jest szczęśliwy. Aurore okazała się czarującą żoną. Cicha radość przejawiała się w każdym jej geście, spojrzeniu, uśmiechu, przydając urzekającego wdzięku jej z natury pięknej twarzy. Mężczyźni patrzyli na nią w ten sam sposób, co niegdyś na Odalie.

— Madame Fox jest najpiękniejsza z wszystkich obecnych tu dam, na honor, żadna jej nie dorówna — unosili się młodzi światowcy.

W Stephenie dokonała się jeszcze wyraźniejsza odmiana. Znikł mars z czoła, oczy złagodniały, uśmiechał się często i bez przymusu. Ludzie, którzy na początku sezonu unikali znajomości z nim, obawiając się gniewnych spojrzeń i cierpkich odzywek, teraz, gdy sezon się kończył, wyłazili ze skóry, by nawiązać z nim kontakt.

Aurore droczyła się z nim, igrała, podśmiewała a przy tym kochała się w nim na zabój.

— Stephenie — powiedziała któregoś razu — udawajmy, że jesteśmy kochankami, a nie ślubnymi małżonkami.

— Ale dlaczego? Co ci przychodzi do głowy? — niemal się obruszył.

— Mężczyźni bardziej kochają swe kochanki niżli żony.

— Ale nie wtedy, gdy mają taką żonę jak ja mam — roześmiał się Stephen. — Ty jesteś mi żoną, kochanką, nieznośnym diablikiem i słodką landrynką w jednym, bardzo apetycznym opakowaniu.

— Czy powiedziałaś landrynką czy lafiryndą? — prowokowała.

— Aurore! Co za słownictwo!

— Ale ja jestem lafiryndą — twoją lafiryndą. I bardzo w tym zasmakowałam!

— Jeśli tak, to dopóki wystarczy ci moja skromna osoba, bądź sobie kim chcesz!

Jesienią odплыnęli do domu, Harrow wróciło do życia. Balom, wieczorkom tańczącym, rautom i polowaniom nie było końca. Szlachta orleańska nie kazała czekać na siebie nadaremnie, ostatecznie jak długo można unikać dwojga tak uroczych ludzi, wytykając im lekceważenie konwenansów. Był jednak pewien konwenans, który Aurore uszanowała. Czekala prawie dwa lata, by jesienią 1841 roku obdarzyć Stephena córką. Dziecko ważyło osiem funtów, Aurore wydała je na świat bez komplikacji, bez wywracania domu do góry nogami. Na imię dano małej Julie.

ROZDZIAŁ 21

W maju 1853 roku Stephen Fox wybrał się na objazd swych rozległych włości. Wyprawy te odbywały się wcale często, bo chociaż wspomagało go aż pięciu zarządców, to nigdy nie miał dość widoku, woni i dźwięków ukochanego Harrow. Etienne przebywał we Francji już trzeci rok, studiował na paryskim uniwersytecie. Za Stephenem, na kosmatym przysadzistym kucyku szetlandzkim niewiele większym od sporego psa, jechała jego córka — Julie. Co jakiś czas Stephen odwracał się by na nią popatrzeć, wtedy miękło twarde spojrzenie jego stalowo-błękitnych oczu.

Jedenastoletnia Julie już teraz była prawdziwą pięknoscią. Miedziany kolor włosów wzięła od ojca, lecz jakieś odleglejsze dziedzictwo wzbogaciło go o cenniejszy kruszec — złoto. Oczy miała czarne jak Odalie. Jednak subtelność rysów i łagodny owal twarzy miała po matce. Czasem w jej oczach zatańczyły psotne diabliki, może była to scheda po ojcu?

Plantacja, chociaż powiększyła się bardzo nieznacznie i w tym względzie miała już w Luizjanie kilka rywalek, dawała zbiory trzyczterokrotnie wyższe niż przed dziesięciu laty. Stephen wymienił wszystkie urządzenia na nowe i wprowadził udoskonalony system produkcji, opracowany przez Roberta Rilleux, tego samego, który pracował u niego przez jakiś czas. Jeszcze bardziej rewolucyjnym pociągnięciem było zastosowanie wirówki, maszyna ta w kilka minut oddzielała od melasy więcej cukru niż dawna metoda odsączania w ciągu kilku dni. Wytwarzany w Harrow cukier był śnieżnobiały i niezwykle miękki dzięki dwusiarczanowi wapna, którego Stephen dosypywał hojną ręką w procesie bielenia. Za ten biały cukier uzyskiwał o wiele wyższe ceny niż większość jego konserwatywnych sąsiadów — Kreoli za swój brunatny, zbrylony produkt.

Stephenowi serce rosło, gdy patrzył na ziemię Harrow.

Trzcina zieleńiła się po czysty, bezchmurny horyzont.

— Aż radość bierze patrzeć na tę ziemię — powiedział Stephen, uśmiechając się do swej małej córki.

— Wiesz, papo — zaszczębiotała — uważam, że Harrow to najpiękniejsze miejsce na świecie.

— To prawda, ale chodzi mi nie tylko o Harrow. Myślę o naszej ziemi ojczystej — o naszym kraju.

— Zwiedziłeś już cały kraj, papo?

— Nie, gdzieżbym tam. Nigdy nie byłem na zachód od Teksasu. Podobno Nowy Meksyk i Utah to piękne krainy, a Karolina jeszcze

piękniejsza. Z kolei na północy kraju są nieprzebyte bory, potężne rzeki i miasta większe od Nowego Orleanu.

Julie wybałuszyła czarne ślepka.

— Ale tamtejsi ludzie są... jacyś dziwni — powiedziała.

— I tak nas nienawidzą. Stephen spojrzął na nią z uwagą.

— Widzę, że rozmawiałaś z Le Blancami. Ale krzywdzisz ich taką opinią. Niektórzy z moich najlepszych przyjaciół mieszkają w Filadelfii i Nowym Jorku. Nie nas nienawidzą — lecz niewolnictwa.

— Ale dlaczego? — dopytywała się dziewczynka.

— Stephen Le Blanc powiada, że ten porządek ustanowił sam Bóg. Więc dlaczego tamci ludzie go nienawidzą?

— Mój młody imiennik i chrześniak przejął poglądy swego ojca. Uważam to twierdzenie za przesadne. Ale gdybym teraz wdał się w wyjaśnienia, dlaczego to Północ potępia niewolnictwo, tylko bym ci zamieszał w główce. Ta sprawa sięga daleko w przeszłość, wiąże się nawet z odmienną mentalnością ludzi z tych dwu regionów.

— Ale ja chciałabym wiedzieć.

Stephen zmarszczył z namysłem brwi.

— Szczerze mówiąc, sam nie wiem tego zbyt dobrze — powiedział — ale można przyjąć, że różnica leży w ludzkim umyśle. Klimat Północy jest chłodny, a to wiele tłumaczy.

— Klimat?

— W kraju, gdzie panują niższe temperatury, krew płynie żywiej w ciele i praca sprawia człowiekowi przyjemność, a bezczynność jest niemiła. Dlatego nikt nie powie złego słowa, widząc arystokratę przy pracy fizycznej.

— A Stephen mówił, że na Północy nie ma arystokracji ani dżentelmenów.

Stephen roześmiał się.

— Mój chrześniak nie jest wyrocznią. Nie powinnaś brać serio wszystkiego, co mówi. Prawdę rzekłszy to wolałbym, żebyś mniej z nim przestawała. Minie jeszcze wiele lat, zanim będziecie mogli się pobrać.

— Wiele lat? Pan Le Blanc już teraz odnosi się do mnie jak do synowej.

— André nabił sobie głowę tym mariażem. Aleja chcę się najpierw upewnić, że stanowicie dobraną parę. Małżeństwo to poważna sprawa.

— Ale ty i mama jesteście tacy szczęśliwi.

— To prawda, ale twoja mama to prawdziwy anioł, czego nie można powiedzieć o tobie!

— Znów sobie ze mnie żartujesz — oświadczyła dziewczynka — aleja się nie gniewam. No, opowiedz mi jeszcze o Północy.

— Znowu? Myślałem, że już o tym zapomniałaś. Otóż ludzie z wyższych sfer nie mają nic przeciwko temu, by zakasać rękawy i pracować, z czego wynika, że praca zasługuje na szacunek. Ponadto, z racji klimatu, Północ to nie miejsce dla czarnych. Giną tam z zimna. Rozwinął się tam przemysł, wybudowano wiele fabryk...

— Stephen mówi... — zaczęła Julie i urwała widząc, że ojciec patrzy na nią.

— No, mów, Julie — ponaglił ją łagodnie. — Co znowu mówi ten chłopiec?

— Że robotnikom fabrycznym wiedzie się o wiele gorzej niż Murzynom.

— Tu muszę mu przyznać wiele racji. Ale chodzi głównie o to, że na Północy niewolnictwo jest nieopłacalne, więc tamtejszym ludziom łatwo je potępiać. Wychodzą z moralnych przesłanek — że mianowicie nie powinno się handlować ludźmi jak byłem. Ale gdyby ten handel przynosił im zyski, to zaraz zaśpiewaliby inaczej. Ich robotnicy przymierają głodem, a kiedy się zestarzeją i tracą siły, wyrzucają ich na bruk: niech konają gdzieś pod płotem.

— My jesteśmy dobrzy dla Murzynów — oświadczyła Julie. — Ja przepadam za ciotką Caleen!

— Tak, Caleen to niezwykła kobieta. Trzeba ci ją było widzieć, kiedy była młodsza. Nam, ludziom z Południa, niewolnictwo przynosi korzyści materialne, więc twierdzimy, że pochodzi od Boga. To także nie jest słuszne.

— Dlaczego?

— Niewolnictwo ma wiele złych stron. Ty ich nie znasz, bo w Harrow nie występują. Nie wymierzamy niewolnikom chłosty, nie sprzedajemy ich, nie rozdzielamy rodzin. Ale podobne zjawiska — choć niezbyt często — jednak mają miejsce.

— Więc nie powinno się mieć niewolników, papo?

— Tego nie wiem. Gdyby Murzyn miał umysłowość białego człowieka, powiedziałbym, że tak. Ale wydaje się, że Murzyni są całkiem zadowoleni ze swojego położenia. Buntów było niewiele, właściwie nie ma o czym mówić. Z kolei taki Anglosas czy Francuz wołałby wolność za cenę głodu niż pełny żołądek w niewoli. Jednak wyzwolenie Murzynów mogłoby się okazać niedźwiedzią przysługą — byłiby całkiem bezradni i zagubieni. Ale dość już tego tematu, szkoda czasu.

Jechali przez pola, na których Murzyni śpiewali podczas pracy, wiosenny wiatr szumiał w trzcinnie. Julie patrzyła z podziwem na ojca — wyglądał wspaniale na jednym z potomków Prince Michaela, których się dochował.

— Ojczulku, powiedz mi, co robiłeś na wojnie*. Stephen zmarszczył brwi.

*** chodzi o wojnę z Meksykiem (1846 — 1848)**

— Tłukłem się na koniu całymi miesiącami, jadłem byle co, piłem brudną wodę, a potem wróciłem do twojej biednej, cierpliwej, kochanej mamy.

— Oj papo! — zajęczała dziewczynka. — Zawsze to samo! Nigdy nie chcesz powiedzieć mi więcej. Przecież musiałeś być dzielny — mianowali cię majorem. Opowiedz mi o bitwach!

— Pamiętam ranek, kiedyśmy lądowali w Vera Cruz* — zaczął Stephen, poruszając szelmowsko lewą brwią.

***Vera Cruz — 9 marca 1847 roku**

— Zeszliśmy na brzeg pod osłoną ognia z dział. Okręty ostrzeliwały miasto od wielu dni. Kiedy czołno dobiło do brzegu, ruszyliśmy do ataku w górę, piaszczystym urwiskiem, kurczowo zaciskając palce na spustach muszkietów. Niektóre wypaliły przed czasem i nieszczęśni żołnierze mieli bagnety za całą broń — a przecież szliśmy do ataku.

Urwał i wyjął zza pazuchy swą krótką fajeczkę z białej glinki. Długo szukał po kieszeniach tytoniu, Julie czekała drżąc z niecierpliwości. Znalazł tytoń, nabił fajkę i przypalił siarczaną zapalną, poszybował w górę błękitny obłoczek dymu.

— Papo, proszę cię!

— O co chodzi? A tak, jak myślisz, co się stało kiedyśmy dotarli na górę?

— Walczyliście z Meksykanami i pobiliście ich z kretešem, czy tak?

— No... niezupełnie. Kiedy wbiegliśmy na górę, okazało się, że nie ma tam psa ze złamaną nogą. Oparliśmy się na karabinach, dyszeliśmy ciężko i przeklinali na czym świat stoi. Bo przed nami jak na dłoni rozciągał się Meksyk, a w Meksyku nie było ani jednego Meksykanina!

— Jesteś okropny!

— Nieraz mi to mówiono.

— Przecież dokonałeś niezwykłych czynów — dobrze wiem! Stephen Le Blanc mówił, że ojciec powiedział mu, że walczyłeś pod Monterey, Contreras, Churubusio, Chapultepec i Mexico City!

— A jakże, i oczywiście dyktowałem warunki w Guadelupe Hidalgo1*?
 * Guadelupe Hidalgo — wojnę amerykańskomeksykańską zakończył traktat w Guadelupe Hidalgo 2 lutego 1848 roku

Ale rzeczywiście walczyłem we wszystkich tych miejscach, i nie tylko tam — chociaż w twojej wymowie brzmią jak zupełnie inne miejscowości. Ale o wojnie wystarczy wiedzieć jedno — że to krwawa, odstręczająca rzeźnia, że ludzie szlachtują się nawzajem nie pamiętając o rycerskich gestach, że w wojnie nie ma nic pięknego. A tamta wojna była niesprawiedliwa i okrutna.

— Papo!

— Kiedy to prawda, córeczko. Meksykański rząd wpuścił amerykańskich osadników do prowincji Teksas pod warunkiem, że będą to katolicy, albo że zgodzą się przejść na katolicyzm. Tymczasem przez cały czas mojego pobytu w Teksasie — ponad dwa lata — nie spotkałem ani jednej osoby mojego wyznania. Przepędzili hiszpańskich księży, naigrawali się z meksykańskiej policji. Przybyli do Teksasu z jedną myślą: ukraść tę ziemię Meksykowi i wprowadzić tam niewolnictwo. Po raz pierwszy ostrzelano nas, kiedy zabrnęliśmy już daleko w głąb Meksyku. Mam też wątpliwości co do tego, kto strzelił pierwszy.

— Ale monsieur Le Blanc mówi, że te traktaty — no wiesz, nie potrafie spamiętać tego wszystkiego — on mówi, że Teksas był częścią Luizjany, a Meksyk go nam zabrał!

— Oto jeszcze jeden dowód na to, jak my Południowcy potrafimy wykrócić kota ogonem. Tym z Północy trzeba przyznać jedno: okłamują innych, lecz nigdy siebie. A nasz krajan najpierw wmówi sobie różne niedorzeczności, a potem próbuje tej sztuczki na innych.

— Ale my cenimy honor ponad wszystko, nie mów że nie, papo!

— O tak, mówimy w kółko o honorze, aż zaczyna to brzmieć jak refren jakiejś piosenki. Ale jakie miasto na Północy pogodziłoby się z korupcją, która opanowała Nowy Orlean — nie mieliśmy uczciwych wyborów od czasu odejścia Francuzów. Kto zniósłby nasz system kanalizacyjny?

Kto starałby się jak najdłużej ukrywać wybuch epidemii, bo epidemie są niekorzystne dla obrotów handlowych?

— Więc dlaczego w ogóle poszedłeś na tę wojnę? Stephen zaśmiał się niewesoło.

— Nie znałem wtedy jeszcze wszystkich faktów, a poza tym, mając 45 lat byłem dość młody, by dać się porwać bogoojczyźnianym hasłom. Zresztą wszyscy szli wtedy na wojnę. Dzisiaj wołami by mnie nie wywlekli z domu.

Uniósłszy się w strzemionach, rozejrzał się po okolicy.

— No, czas wracać. Mama pewnie czeka już z obiadem. Zawrócili w stronę Harrow. Julie milczała przez kilka minut, lecz nie mogła powstrzymać się długo od rozmowy z uwielbianym ojcem.

— Jak myślisz, ojczulku, czy będę kiedyś piękna jak mama?

— O tak. Już teraz ją doganiasz. Dobrze by było, gdybyś odziedziczyła po niej także charakter.

— Mama jest taka niezwykła — powiedziała dziewczynka z westchnieniem. — Pamiętam, że kiedy groziła nam powódź — ty byłeś wtedy w Filadelfii — mama nie schodziła z konia przez całą dobę. Kierowała Murzynami, którzy zabezpieczali nasyp. Oczywiście nie na wiele się to zdało — i tak nas zalało. Ale mama była taka dzielna!

— Tak, prawdziwy ze mnie szczęściarz — powiedział Stephen cicho. — Nie każdy ma taką żonę jak ja.

Dojechali żwawym klusem do dębowej alei. Kucyk Julie ledwie nadązał na swych krótkich nóżkach. Gdy na tle starodrzewu zabieliły się mury domu, Julie jak zwykle nie mogła powściągnąć zachwytu.

— Zobacz, papo, jaki mamy piękny dom! Na galerii czekała Aurorę.

— Stephen! — zawołała, gdy zsiadł z konia. — Właśnie nadszedł list od Etienne'a! Wraca do kraju. Będzie w domu za kilka dni.

Julie zatańczyła wokół kuczka jak pulchna lalka o różowych policzkach.

— "Tienne wraca! — piszczała. — "Tienne wraca do domu! Tak się cieszę, mamo!

Stephen pocałował żonę, w oczach miał radość.

— Rad jestem, że chłopiec znów będzie z nami.

W hallu czekała na nich Caleen, tak już sędziwa, że zapomniała, ile właściwie ma lat, a jednak prawie niezmieniona, schudła tylko jeszcze bardziej i przygarbiła się. Rodzina Foxów liczyła po cichu, że Caleen będzie żyć wiecznie. Uśmiechała się szerokim, bezzębnym uśmiechem.

— A więc, Caleen — powiedział Stephen — znów zobaczymy naszych chłopców. Oczywiście Inch pisał do ciebie?

— Napisał, maitre, a jakże. Pani mi czytała. Piszę pięknie, jak biały!

— To prawda — potwierdziła Aurora. — Wiesz, Stephenie, że w liście Incha było mniej błędów niż w Etienne'owym? Swobodnie posługuje się francuszczyzną i ma doskonały styl.

— Chłopak ma tęgą głowę. Podobno to u czarnych nierzadki przypadek. Nie popełniliśmy błędów, których dopuścili się Francuzi na Haiti i San Domingo — nie próbowaliśmy niewolić inteligentnych osobników. W doborze Murzynów kierowaliśmy się rozsądkiem.

Obiad, doprawiony lekko cynicznymi odzywkami Stephena, mijał wśród rozmów i śmiechów. Gospodarz używał sobie zwłaszcza na Aurore, Julie i Le Blancach.

— André niemożebnie się nam rozpolitykował — mówił ze śmiechem. — Zanudziłby człowieka na śmierć. Toż to panie, skandal, powiada, że Kalifornię przyłączono jako wolny stan*.

* **Wolny stan — 9 września 1850 roku**

I dlaczego tak ospale dzieli się Teksas, żeby stworzyć przeciwwagę dla wyborców Północy? Na Oregon machnął ręką, bo leży daleko na północy, lecz na hasło Dystrykt Kolumbii piana występuje mu na usta. Twierdzi, że zniesienie niewolnictwa w stolicy kraju to policzek dla Południa.

— A czy tak nie jest? — spytała Aurore.

— Ty także? Kochanie, przecież zyskaliśmy tyle innych rzeczy. Niewolnictwo może być wprowadzane legalnie na obszarze całego kraju.

— O ile ludzie się na to zgodzą.

— Bystra jesteś! Faktycznie, w tym leży słabość tego prawa. Bo ludzie się nie zgodzą. Sama widzisz, jak ludzie reagują na dekret o zbiegłych niewolnikach* — przemocą, zwyczajną ordynarną przemocą.

* **dekret o zbiegłych niewolnikach — wydany 18 września 1850 roku, osoby, udzielające pomocy niewolnikom, którzy uciekali z Południa na Północ, miały być karane**

Ten ich system pomocy dla zbiegłych Murzynów — ta ich „kolej podziemna” — to tylko jeden z przejawów tej reakcji.

— Więc jaka powinna być odpowiedź? Secesja? Stephen ściągnął brwi — białe, nie płowe jak w czasach młodości.

— Nie. Unia nie może się rozpaść.

— To dziś mocno niepopularny pogląd, mężu. Przecież my nie potrzebujemy Północy, ale Północ potrzebuje nas.

— To typowo południowe rozumowanie, czyli fakty postawione na głowie. Otóż wiedz, że gdyby nas wytłukła zaraza, oni by żyli i kwitnęli jakby nigdy nic. Gdyby natomiast...

— Nie mają bawełny.

— Tak, ale na południe od nas — w Meksyku, Ameryce Środkowej i Argentynie — panuje klimat równie dobry na uprawy bawełny jak nasz. Anglicy już to robią w Egipcie i Indiach. Natomiast my nie moglibyśmy się obejść bez produktów, wytwarzanych na Północy, bo prawie nie mamy przemysłu. Liczymy na pomoc Anglików, a przecież w Anglii już dawno zniesiono niewolnictwo, zaś abolicjoniści nie kryją swoich poglądów, a

nawet cieszą się szacunkiem. Gdyby doszło do rozłamu, Północ przerzuci się na wełnę.

— Ale przecież Anglia kupuje bawełnę prawie wyłącznie u nas.

— Anglia nie ujmie się za nami, zapamiętaj sobie słowa. Będzie zacierać ręce patrząc, jak się wyniszczamy w bratobójczej wojnie. Potem będzie mogła realizować tu swoje wielkomocarstwowe ambicje.

— Więc co robić, Stephenie?

— Trzeba uwalniać Murzynów drogą stopniowej emancypacji — i zatrzymać ich na tych terenach za niewielkie wynagrodzenie i opiekę. Moglibyśmy ograniczyć im swobodę i trzymać w ryzach równie dobrze jak teraz, a jednocześnie wyrugowalibyśmy pewne drażliwe kwestie moralne, które trapią Północ.

— To byłaby obłuda — stwierdziła Aurorę bez ogródek.

— Nie przeczę. My, Południowcy, doprowadziliśmy obłudę do stopnia znacznej sublimacji. Ale nie ma innego wyjścia — w przeciwnym razie Północ nas zdepta.

— Nigdy! — oświadczyła buńczucznie Aurorę. — Dostaną od nas zdrowe cięgi, a my nawet nie dostaniemy zadyszki.

— Niestety mylisz się, kochanie. Zapominasz, że spędziłem na Północy szmat czasu. Przeciw naszemu jednemu żołnierzowi mogą wystawić czterech, zaś artylerii dwadzieścia razy więcej niż my. I na odwadze też im nie zbywa. My mamy odwagę, ale to już nie wystarczy, by wygrać wojnę.

Wstał.

— Wybacz, że odchodzę — powiedział — ale muszę dokończyć objazdu. Jedno ci tylko powiem: kocham naród, a nie którąś jego część. Nie chcę patrzeć, jak rozrywają go na części. Ten kraj będzie się rozciągać od morza do morza, od Kanady po Meksyk. Już dziś jest to ostatnia nadzieja dla świata. Nigdy, nigdzie zwykły, prosty człowiek nie miał takiej swobody. Nigdy dotąd nie okazywano tyle szacunku człowiekowi jako takiemu. Królowie i kacykowie obrzucają nasz kraj błotem, bo dopóki istnieje, ich królestwa oparte na wyzysku, nędzy i upodleniu drżą w posadach, a w ludzkich sercach budzi się nadzieja.

Aurorę nadstawiła policzek do pocałunku, lecz nie mogła się powstrzymać, by na ostatek nie dociąć mężowi.

— Czy w Murzynach też? — zapytała.

Stephen spojrzął spod srebrzystych brwi, ruda czupryna była już gęsto przetykana siwizną.

— Owszem — odparł po chwili — nawet w Murzynach. Powinniśmy wyszukiwać wśród nich ludzi równie bystrych jak Inch. Kiedyś zajmą w narodzie należne sobie miejsce. — Wyszedł z jadalni wielkimi krokami.

Siadając na konia marszczył się z niezadowolenia. Rzucić jakąś myśl to jedno, ale doprowadzić wywód do logicznego wniosku to już zupełnie inna sprawa. Twórcy amerykańskiej konstytucji nie musieli zaprzętać sobie głowy tym zagadnieniem. Nie było wtedy abolicjonistów, którzy z nieubłaganą logiką wytknęliby Jeffersonowi, iż jego nieśmiertelne słowa „Wszyscy ludzie są wolnymi, zaś Stwórca obdarza ich pewnymi niezbywalnymi prawami, do których należą: życie, wolność i dążenie do szczęścia...” z natury rzeczy odnoszą się także do niewolników, pracujących w jego rozległych włościach wirginijskich. Oczywiście Murzynom lepiej się żyje w niewolnictwie niż gdyby ich uwolniono, ale już zupełnie czym innym jest twierdzenie, że są szczęśliwsi teraz niż wtedy, gdy żyli na rodzimej ziemi afrykańskiej. Bogiem a prawdą nikt ich nie pytał, czy chcą stamtąd odejść. Czy trzeba zatem uzasadniać to zjawisko względami etyki? To kwestia ekonomiczna, nie etyczna. Jego znajomym z Filadelfii ani w głowie przepraszać za nieuczciwe metody handlowe. A jednak mieszkańcy Południa czują się zmuszeni do wyjaśnień i obrony swojego stanowiska, konflikt zaognia się z dnia na dzień. Do czego to wszystko doprowadzi? Ta myśl przejmowała Stephena bólem wprost fizycznym.

Pograżony w tych myślach wyjechał z za zakrętu, skąd rozciągał się widok na prywatny cmentarz Harrow. Ściągnął nagle wodze: pośrodku drogi stał niewysoki, dziwnie jakoś brzydki koń. Stephen podjechał bliżej. Podłużny łeb, kudłata sierść, krótkie mocne nogi — to bez wątpienia mustang, koń prerii, nieznanym w Luizjanie.

Stephen rozejrzał się za jeźdźcem — spostrzegł go zaraz, przed grobowcem Odalie stał wysoki mężczyzna o atramentowo czarnych włosach. Stephen zeskoczył z konia i poszedł w jego stronę. Gdy był o krok, nieznanemu obejrzał się, upływ lat i trudy bezlitosnego klimatu zostawiły na tej twarzy niezatarte ślady, lecz Stephen rozpoznał ją bez trudu.

— Phillippe — powiedział. — Phillippe Cloutier! Więc wrócił pan.

— Tak, lecz spóźniłem się o całe lata — odparł tamten.

— Gdybym wrócił wcześniej, oszczędziłbym jej może zgryzot, których pan jej przysporzył, a może uchroniłbym od śmierci.

W błękitnych oczach Stephena błysnął ogień.

— Nie czuję do pana urazy za te słowa — odparł.

— Przyczyna naszej waśni spoczywa w pokoju, a co mógłby

pan uczynić a nie uczynił, nie ma znaczenia. Miał pan równie dobrą szansę jak ja — albo i lepszą. Odalie przyszła do mnie z własnej nieprzymuszonej woli. Zanim umarła, wyjaśniliśmy sobie lub przebaczyli wszystkie nasze nieporozumienia. Pański osąd nie interesuje mnie. Ta sprawa nigdy pana nie dotyczyła. Jednak nie chcę kłócić się z panem.

— Ja też nie — odparł Phillippe. — Stało się i nie ma o czym mówić. Proszę mi wybaczyć te szorstkie słowa. Siedemnaście lat w Teksasie nie wygładza manier. — Wyciągnął niezgrabnie rękę do zgody. Stephen ujął ją mocno.

— Dlaczego właściwie pan wrócił? — spytał. — Słyszałem, że miał pan objąć urząd po Houstonie. Jest pan tam znaną osobistością.

— Wróciłem ze względu na Rosemont. Miesiąc temu zmarła Clothilde, a Henriette mieszka z mężem w Baton Rouge. Pozostawało mi sprzedać tę posiadłość, ale jakoś nie mogłem się na to zdobyć. Zresztą muszę myśleć o córce.

— Ma pan córkę? Pierwsze słyszę. Nie mógł się pan zbytnio przejmować Odalie, jeżeli się pan ożenił.

— Z nikim się nie żeniłem — odburknął Phillippe. — Ceclie jest dzieckiem z nieprawego łoża. Jej matka była córką jakiegoś nielegalnego osadnika — pół Nawaho, pół Irlandczyka. Obydwa te narody to istna dzicz — dodał ze złośliwym uśmiechem.

Stephen zaśmiał się bez urazy.

— No to pan teraz w kłopotcie — powiedział. — Nie zazdrozczę.

— Rzeczywiście nie dają sobie z nią rady — przyznał Phillippe. — Między innymi dlatego postanowiłem wrócić do cywilizacji. Choć nie powiedziałbym, że Luizjana jest w pełni ucywilizowana — ciągle tu jakieś burdy i awantury.

— Chodzi o sprawę Lopeza?* To rzeczywiście były nie przelewki. O mało nie doszło do wojny z Hiszpanią. To długa historia. Ale jeśli ma pan czas...

* Lopez — Kubańczyk Narciso Lopez organizował w Nowym Orleanie (nieudane) inwazje na hiszpańską Kubę, ostatnią w sierpniu 1851 roku

— Pojadę z panem, Stephenie. Chętnie usłyszę, jak się mają sprawy w Orleanie. Teksas to jakby inny świat.

Dosiadł mustanga i ruszyli w stronę traktu.

— Rzecz w tym — zaczął Stephen — że wielu chciało uwolnić Kubę od Hiszpanów, mając na względzie handel jak również ewentualną aneksję Kuby jako nowego terenu pod niewolnictwo. Ale jeszcze więcej chcieli

sobie po prostu powalczyć. Kiedy przybył Lopez, ochotników miał tu co niemiara. Znał pan Wheata i Crittendena, prawda?

Phillippe skinął głową.

— Wheata pojmano a następnie uwolniono, lecz Crittenden zapłacił głową za tę awanturę. Sekretarz konsula Hiszpanii przywiózł listy skazańca do Nowego Orleanu, ale nie chciał ich oddać. Potem jakiś skończony dureń wysmażył artykuł w „La Union”, gazecie hiszpańskiej, opisując ze szczegółami, jak Crittenden szedł na śmierć i piejąc hymny na cześć rządu hiszpańskiego. Wtedy nasz poczciwy ludek orleański zdemolował redakcję „La Union” i nie zapomniał o konsulu hiszpańskim — motłoch spalił hiszpańską flagę i usiłował zlinczować konsula. Zapewne dopiąłby swego, gdyby nie Pepe Lulla. Dzielny ten człowiek uratował nas od wojny, paradując u boku konsula z szablą w każdej ręce, aż wyprowadził go bezpiecznie z miasta. Potem utłukł w pojedynkach czterech mężczyzn, broniąc honoru spostonowanej flagi swojego kraju. Ten fakt ochłodził rozgorączkowane głowy naszych krajan.

— Opera komiczna w nowoorleańskim stylu — podsumował Phillippe.

— To miasto jest wciąż takie samo, prawda?

— Tak, ale rośnie. Widział pan hotel Saint Louis?

— Tak, i Saint Charles. Muszę przyznać, że w obydwu lokalach jedzenie jest wysmienite.

— Wina także. Kiedy tu pana nie było, nie zasypialiśmy gruszek w popiele. Przenieśliśmy handel z Chartres do Canal. Wyrośliśmy na czwarte pod względem wielkości miasto w kraju. Ponownie odwiedził nas Old Hickory* i Sam Houston**. Stoczyliśmy wojnę...

* Old Hickory — przydomek prezydenta Andrew Jacksona (1829 — 1837

** Sam Houston — pierwszy prezydent niepodległego Teksasu (po wyparciu Meksykanów)

— Słyszałem, że doskonale się pan spisał na tej wojnie. Szkoda, żeśmy się nie spotkali, kiedy wojował pan w Teksasie.

— Tak, może wtedy lepiej zrozumiałbym tę wspaniałą krainę.

— Teksas to pół świata. Ale chętnie usłyszałbym więcej o tych stronach.

— Właściwie nie zdarzyło się nic więcej, o czym warto wspominać. Słyszał pan o naszym krachu finansowym?

— Czy słyszałem? Wszystkie pożyczki, które próbowaliśmy emitować, diabli wzięli.

— Mógłbym jeszcze wspomnieć, że miasto o mało nie poszło z dymem w 48 roku, a w 49 załała je powódź...

— Ale co z postępowaniem cywilizacji? Nowy Orlean puszy się swoją kulturą, ale jakoś nie widać, byśmy zakasywali Paryż.

— Żąda pan zbyt wiele, Phillippe! — roześmiał się Stephen. — Założyliśmy galerię narodową, mamy nową sławę wokalistyki — Jenny Lind — całkiem niezły głos, sprowadził ją ten stary przechera P. T. Barnum. Można by jeszcze dorzucić nowomodny zwyczaj noszenia masek podczas ulicznych zabaw karnawałowych — wprowadzili go w 37 roku nasi młodzi eleganci. Poza tym jesteśmy tacy jak przedtem. W zeszłym miesiącu spotkał nas niemały honor — prezydent Pierce* mianował Pierre'a Soule — zna pan tę rodzinę — posłem amerykańskim na Hiszpanię. No i w ten sposób dotarliśmy do czasów nam współczesnych.

* **Franklin Pierce — prezydent amerykański (1853 — 57)**

— Ale co z ludźmi? Jak im się żyje, co u nich słyhać?

— Mam dorosłego syna, w tym tygodniu wraca z Europy. Chciałem go edukować w Anglii, ale jego matka uparła się na Francję. Uszanowałem jej wolę, gdy umarła. Mam także córkę, prawie dwunastoletnią.

— Moja ma szesnaście lat — oznajmił Phillippe.

— Widzę, że nie tracił pan czasu w Teksasie. Le Blancowie mają pięcioro, w tym dwie dziewczynki. Prudhomme'owie nieustannie przysparzają stanowi nowych obywateli, ale ród Pontabla to ginąca rasa.

— Podobnie jak Cloutierowie — powiedział Phillippe melancholijnie. — Ja ostatni noszę to nazwisko.

— Ale masz pan przynajmniej córkę, dziedziczkę krwi, a nazwiska tak naprawdę niewiele znaczą.

— Tak, chyba tak... jednak był czas, że nazwisko Cloutier brzmiało dumnie.

Jechali w milczeniu przez rozległe pola Harrow.

— Będę potrzebował pańskiej pomocy, Stephenie — odezwał się Phillippe. — Zdążyłem już zapomnieć, jak się prowadzi plantację trzciny cukrowej. Wyposażenie Rosemont jest już mocno przestarzałe.

— Z przyjemnością panu pomogę. Ale niech pan do nas zajrzy. Aurorę bardzo się ucieszy.

Phillippe uniósł czarne brwi.

— Aurorę? A co ona tu robi?

— Moja żona ma wszelkie prawa, by przebywać w Harrow, czyż nie?

— Chyba nie ożenił się pan z Aurorą?!

— Ależ tak — cóż w tym nadzwyczajnego?

— Ach, właściwie nic... tyle że odczuwa pan jakiś zgubny pociąg do rodziny Arceneaux. Dziwne, że nic nie wiem o tym małżeństwie. Ale ostatecznie przyjechałem do Nowego Orleanu za ledwie wczoraj.

— Tuszę, że nie wchodzę panu w paradę tym drugim mariażem — żażartował Stephen.

— Jeśli nawet, to i tak już się stało — odparł Phillippe. — Ale chwilowo muszę wymówić się od zaproszenia. Proszę mnie wytłumaczyć przed małżonką, ale na razie po prostu nie mam czasu. Będę czekał na waszą wizytę, gdy tylko doprowadzę Rosemont do jakiegoś takiego stanu. Właśnie dlatego chciałbym, żeby pan przyjechał najpierw, Stephenie. Potrzeba mi rady najlepszego plantatora Luizjany.

Pożegnali się uściskiem dłoni. Stephen patrzył za Phillippe'em marszcząc z namysłem brwi. Teksas odmienił Phillippe'a Cloutier. Spod otoczki staroświeckiego wdzięku wysłowienia i zachowania wyzierała teraz na wskroś amerykańska bezpośredniość i jakaś wielka, ledwie maskowana siła i gwałtowność. Stephen wzruszył ramionami i powiódł spojrzeniem po polach. Co go właściwie obchodzi charakter Phillippe'a?

Kilka dni później parowiec „Le Cygne”, który właśnie przybył z Francji, po przeholowaniu przez piaszczystą łachę na Missisipi, stanął na kotwicy w nowoorleańskim porcie. Gdy podpływał do nabrzeża, stało tam już pięć innych statków. Były tak blisko siebie, że czwórka młodzieńców, stojących na górnym pokładzie „Le Cygne” mogła bez trudu odczytać ich nazwy.

— „Northampton” — czytał wesoło Paul Dumaine

— „Siri”, „Camboden Castle” i „Saxon”. Że też musicie nadawać łajbom takie dziwaczne imiona. Czy dobrze je wymawiam, Tienne?

Etienne Fox uśmiechnął się do przyjaciela.

— Wymowę angielską masz straszną — oświadczył — jak zresztą zawsze. Powinieneś mówić wyłącznie po francusku. Większość orleańczyków wciąż rozumie tę mowę.

— Nowy Orlean! Ojciec wciąż mi o nim opowiadał — nigdy nie miał dość. Zastanawiałem się nieraz, po co w ogóle wracał do Francji. Tylko jeden temat bardziej go zajmował.

— Co to było? — spytał Etienne.

— Twoja matka. Kiedy o niej mówił, brakowało mu superlatywów. Miał w domu dwa tuziny jej portretów, malował je z pamięci, już po powrocie. Dla mnie była to kwintesencja piękna, ale ojciec płakał — całkiem dosłownie płakał, ‘Tienne — nad ich niedoskonałością.

— Jeden namalował z modelu — powiedział Etienne.

— Wisi w Harrow, zobaczysz go jeszcze dziś.

— Tak, wiem, ojciec mówił mi o nim. Uważa ten obraz za szczyt swoich artystycznych dokonań. I powiada, że dopóki nie stworzę dzieła równie wybitnego, nie mam prawa mienić się artystą.

— Więc uważaj sprawę za zamkniętą — nigdy nie będziesz artystą, bo nigdy nie zdołasz namalować podobnego arcydzieła — nigdy!

Pozostali dwaj mężczyźni stali nieco na uboczu, nie brali udziału w rozmowie. Jeden z nich, starszy od pozostałej trójki o dziesięć może lat, był poważny, prawie posepnny. Miał na sobie kosztowne ubranie, które nosił z niewymuszonym wdziękiem. Rozchylony frak z czarnego, połyskliwego sukna odsłaniał kremowo-białą dwurzędową kamizelkę, błyszcząca na niej masywna złota dewizka. Gładził z roztargnieniem szerokie wyłogi wyciętej od dołu kamizelki. Perłowszare spodnie miały szerokie nogawki, a duża muszka, którą nosił pod szyją podobnie jak towarzysze, była wiązana z tą szczyptą niedbałej nonszalancji, która budziła podziw elegantów z lat pięćdziesiątych. Mimo tej wielkopańskiej elegancji, której dopełniał czarny cylinder, na jego twarzy malowała się niepewność i obawa.

— Aupre, coś tak spuścił nos na kwintę? — zawołał ze śmiechem Paul Dumaine. — Zdaje się, że powrót w domowe pielesze niezbyt cię raduje. Milczysz od rana jak zakłęty.

Aupre zsunął cylinder do tyłu, odsłaniając kasztanowate loki.

— Kocham Nowy Orlean — odparł zgaszonym głosem — ale nie mogę tu mieszkać. Któregoś dnia powiem wam dlaczego — tobie i Etienne'owi.

Etienne dotknął mimochodem lewego policzka, na którym widniała nieduża blizna w kształcie litery s.

— Może Aupre wywiózł stąd niemiłe wspomnienia — powiedział. — Może ma za sobą taką przeszłość, jaką wytyka mojemu ojcu.

— Nie miej mi tego za złe, 'Tienne, ale twój ojciec był wymarzonym tematem na sztukę...

— Jeśli monsieur Fox dokonał choć połowy rzeczy, które wyprawiał bohater twojej sztuki „Le plantateur de Louisiane”*, to musiał być z niego nadzwyczaj interesujący szubrawiec. A że znam 'Tienne'a, to jestem skłonny dać temu wiarę.

* *Le plantateur de Louisiane (franc.) — plantator z Luizjany*

— Och, ojciec ma na sumieniu jeszcze lepsze wyczyny — rzekł Etienne, uśmiechając się szeroko. — Nie podobało mi się tylko, że jego życie wystawiasz na pokaz w Comédie Française.

— A do zmiany zdania przekonał cię dopiero ostry dowcip Aupre — zachichotał Paul.

Etienne znów dotknął blizny.

— Zawsze był ze mnie szermierz od siedmiu boleści

— powiedział. — Az Aupre nikt nie mógł się mierzyć od czasu, gdy zmarł nasz stary Robert. Żyję tylko dlatego, że Aupre nie chciał mnie zabić.

Aupre uśmiechnął się.

— Ręka mnie swędziała, ale muszę wyznać, że zawsze czułem wobec Foxów jakiś czołobitny podziw. Ale zapomnijmy o całej sprawie, zgoda, 'Tienne?

— Wszystko zostało dawno zapomniane i wybaczone. Zjesz dziś z nami kolację w Harrow?

— Ach skądże! — zachnął się Aupre. — Nie spodziewam się spotkać żadnego z was podczas tego pobytu. Będę wściekle zajęty — muszę uporządkować sprawy spadku po matce i różne takie... i po dwóch tygodniach wracam do Francji.

— Tak szybko?

— Nie cierpię Luizjany — rzucił Aupre szorstko.

— Patrząc na nią nie mogę!

— Co to za jedna? — spytał Paul z hultajskim uśmieszkiem. — Dasz mi jej adres? To musi być niezła sztuka, jeśli ci obrzydziła cały piękny stan!

— Tu nie chodzi o kobietę, przysięgam! — zarzekał się Aupre.

Etienne odwrócił się do czwartego mężczyzny, który stał tyłem do towarzyszy, i patrzył w wodę. Był to Murzyn o twarzy jak polerowany heban, lecz strojem i postawą nie różnił się od trójki białych.

— Inch! — rzucił Etienne ostrym tonem.

— Tak, maître — odparł tamten cicho.

— Bagaż gotów?

— Tak, panie.

— To ruszaj na dół, przynieś go. Nadpływa nasza łódź. Żywiej, nicponiu!

Inch odszedł, puszczając ostatnią uwagę mimo uszu.

— Dlaczego jesteś dla niego taki niemły? — zdziwił się Paul. — Uważam, że Inch to świetny chłop.

— Francja mi go zepsuła — warknął Etienne. — Wymykał się wieczorami z domu na wykłady do Ecole de la Jurisprudence de Paris. On i wykłady prawa! Czarna małpa!

— Ale jeśli jest w tym kierunku uzdolniony...

— Och, wy Francuzi! Jak wy nic nie rozumiecie! Ale pobędziesz trochę w Luizjanie i przejrzyś na oczy. Przyznaję, że Inch to świetny facet i łeb ma nie od parady, ale musi znać swoje miejsce. Nigdy nie słyszałeś, co się działo na San Domingo i Haiti?

— Wiem. Działy się straszne rzeczy — bunty, rzezie... Ale mimo wszystko...

— Czarnuch taki jak Inch może podburzać innych. Żałuję, że wziąłem go do Francji. Francuzi nie mają za grosz wyczucia co jest właściwe, a co nie. Patrzyli na niego z podziwem, wyobrażasz sobie? A niektóre Francuzki — doszło do tego, że musiałem zabronić mu zbliżyć się do nich.

Paul wzruszył ramionami.

— Kierujemy się racjonalizmem — odparł. — Taka nieistotna sprawa jak odmienna pigmentacja...

— Odmienna pigmentacja! — obruszył się Etienne.

— Co ty wygadujesz, człowieku! Przecież my to jedno, a czarni to coś zupełnie innego. Posłuchaj, Paul...

Aupre uniósł dłoń.

— Jest łódka — powiedział spokojnie. — Masz całe lato, by gardłować na ten temat. Teraz schodzimy na ląd.

Inch przydzwigał walizy i wszyscy zaczęli schodzić po drabince do łódki.

— Płatnik prześle bagaże prosto na brzeg, maitre — odezwał się Inch.

— Dopilnuj, żeby na brzegu ktoś zajął się nimi bez zwłoki — warknął Etienne.

Lokaj skinął głową w milczeniu.

Gdy zeszli na brzeg, Aupre pożegnał się pospiesznie i znikł w najbliższej uliczce.

— Dziwne — powiedział Paul. — On zawsze taki obcesowy?

Etienne wzruszył ramionami.

— Skąd mam wiedzieć? Znam go równie dobrze jak ty.

— Nikt po nas nie wyjedzie? — zapytał Paul.

— Nie, nie podałem dokładnej daty naszego przyjazdu. Zresztą o wiele zabawniej będzie ich zaskoczyć. Inch! Ruszaj się!

Inch odszedł bez słowa. Paul patrzył za nim przez chwilę, potem odwrócił się w stronę rzeki, gdzie stało sześć statków. Nabrzeże, na którym stali młodzieńcy, było tak wysokie, że dokładnie widzieli owe statki, podczas gdy z miasta, położonego na ogół poniżej poziomu wody, widać było tylko omasztowanie. W pewnym momencie na „Northampton” zaczął się nagły ruch, spod pokładu wybiegła grupa mężczyzn, wskoczyli do szalupy i wiosłując zaciekle, zmierzali w stronę nabrzeża, na którym stali dwaj przyjaciele.

— Ki diabeł? — zdziwił się Paul.

— Nie mam pojęcia — odparł Tienne. — W życiu nie widziałem, by jakiś Luizjańczyk wykazał tyle werwy. Ale niebawem się dowiemy.

Przypatrywali się szalupie, prującej przez poranną falę przyplywu. Gdy przybiła do brzegu, mężczyźni zaczęli wspinać się na górę po oszalowaniu nabrzeża z żywością i zręcznością małp. Przebiegając obok młodzieńców spoglądali na nich spode łba, szwargocząc z cicha między sobą. Etienne schwycił ostatniego z nich za ramię.

— Słuchaj no, człowieku — zapytał. — O co tu chodzi? Pędzicie, jakby was gonił sam diabeł.

— Chciałbym, żeby to był diabeł, panie, ale to coś gorszego. Żółta kostucha!

— Żółta kostucha? — powtórzył bezmyślnie Paul Dumaine.

— Żółta febra — powiedział Etienne. — Jesteś pewien? — zapytał marynarza.

— A jakże! Izba chorych zarzygana na czarno, cały statek cuchnie, że niech Bóg broni! My jesteśmy z obsługi nabrzeżnej, panie. Nasza robota to sprzątanie na statkach. Posłuchaj pan: na wszystkich tych statkach jest zaraza. Na przykład „Siri” — kapitan i kilku marynarzy zmarło i pochowano ich w morzu. A z „Camboden Castle” siedem osób załogi zmarło w Kingston na Jamajce. To się stało, kiedy obydwie płynęły już do Nowego Orleanu. Nie wiemy jeszcze, co z „Northampton”, ale zaraz się dowiemy. A tamte inne wchodziły do portu razem z tymi zarażonymi i dam sobie uciąć głowę, że też są zarażone!

— Może powinniście zaraz powiadomić władze miejskie? — podsunął Paul.

— Władze miejskie! — prychnął marynarz z lekceważeniem. — Szkoda psuć sobie gęby gadaniem!

Paul spojrzął na Etienne'a.

— Ma rację — powiedział Etienne. — Ci ludzie palcem nie kiwną. Ojciec od dwudziestu lat próbuje ich nakłonić, by zajęli się kanalizacją, a jak jest — sam zobacz...

Paul spojrzął w głąb portowych uliczek. Walwały się w nich sterty wszelakiego śmiecia: padlina, ludzkie odchody, resztki jedzenia, przeróżne odpadki. Odór był nieznośny.

— Powiedz no mi, Tienne, co się dzieje, kiedy Orleańczykowi umiera babcia — staruszka. Czy wrzuca starowinę do rynsztoka, wraz z innymi odpadkami?

— Niewykłuczone. Ale oto mój uczony czarnolud z powozem. Może wpadniemy po drodze do hotelu Saint Louis na małą przekąskę? Do Harrow kawał drogi.

— Nie, Nowy Orlean odebrał mi apetyt. — To szalenie zajmujące miasto.

Jadąc do Harrow, Paul Dumaine wprost nie posiadał się z zachwytu. Choć słyszał od ojca o pięknie luizjańskiego krajobrazu, to rzeczywistość przerosła jego oczekiwania. Patrzył na majestatyczne dęby, porośnięte kędzierzawym mchem, cyprysy o dzwonowato rozszerzonych pniach wynurzające się z zielonych moczarów, pierzaste niskorosłe palmy podobne do rozcapierzonych dłoni, skórzaste juki, ciemnozieloną toń rozlewiska i niezmierzone pola, zielone od krzewinek bawełny, niziny szumiące trzcinać cukrową, wspaniałe rezydencje plantatorów — patrzył i nie mógł się napatrzeć.

— Wymarzone miejsce dla malarza! — wykrzykiwał raz po raz. — Ojciec nie powinien był stąd wyjeżdżać.

Nareszcie wjechali w dębową aleję Harrow. Wyniosła bryła dworu lśniła perłowym blaskiem w słońcu wczesnego popołudnia.

— Ma foil — powiedział Paul zniżonym tonem.

— Tienne, czemuś mi nie powiedział, że jesteś udziałnym księciem?

Etienne poszedł za jego wzrokiem.

— ToHarrow — powiedział również cicho. A po chwili, jakby smakując to słowo, powtórzył: — Harrow...

Stojąc na górnej galerii, Julie wypatrzyła powóz, kiedy wyjeżdżał z nadrzecznego traktu. Biegła na dół z takim pośpiechem, że spódniczki szybowały nad pulchnymi nóżkami, odsłaniając koronkowe pantalonki.

— Goście, papo! — piszczała. — Goście jadą!

— Julie! — ofuknęła ją matka z nieskrywanym rozdrażnieniem. — Ile razy mam ci powtarzać, że damie nie przystoi krzyczeć na cały głos!

— Ale mammo!... Jadą goście! Widziałam miejski powóz!

— No dobrze, ale mów ciszej, córeczko. Miejski powóz, powiadasz? Któż to mógłby być?... — wzięła Julie za rękę i poszły na dół. Po drodze dołączył do nich Stephen — objął córkę w pól i zeszli we troje na główną galerię.

Pierwszy wyskoczył z powozu Paul Dumaine i Stephen obrzucił go życzliwym, pełnym ciekawości spojrzeniem. Gdy ukazał się Etienne, Julie, wydawszy pisk najwyższego szczęścia, pobiegła na dół na złamanie karku, Aurorę i Stephen nie pozostawiali daleko w tyle. Postronny obserwator mógłby pomyśleć, że Etienne wyzionie ducha w żywiołowych damskich

uściskach, Stephen stał z boku i bacznie przyglądał się synowi. Gdy Julie i Aurorę wyściskały Etienne'a i wycalowały do woli, Stephen wyciągnął rękę na powitanie.

— Widzę, że się zmieniłeś — oświadczył. — Może to i lepiej. A twój przyjaciel...

— Ojcie, to Paul Dumaine, syn tego Paula Dumaine, który malował moją matkę. On też jest malarzem i ręczę, że nie byle jakim. Paul — to mój ojciec, siostra i macocha.

Paul szastnąwszy nogą, ucałował okrągłą rączkę Julie, która zmieszała się i oblała rumieńcem. Aurorę uśmiechnęła się serdecznie do Paula.

— Witamy w Harrow — powiedziała. — Będzie pan naszym drugim synem tak długo, jak długo będzie pan pod tym dachem.

— Pani jest zbyt dobra — wymamrotał Paul.

— Wejdźmy do domu — zapraszał Stephen. — Jedliście już, chłopcy?

— Nie. Paul tak się ekscytował naszymi krajobrazami, że całkiem stracił apetyt — odparł Etienne. — Ale ja zgłodniałem do tego stopnia, że zjadłbym nawet couchcoush caille.

— Sądząc po nazwie to jakieś paskudztwo — zaśmiał się Paul. — A co to właściwie jest?

— Kukurydziany placek z kwaśnym mlekiem — takie indiańskie jedzenie. No idziemy na górę. Nie jesteś ciekaw ojcowskiego arcydzieła?

Po chwili Paul stał przed malowidłem, zawieszonym w wielkim hallu. Długo tak stał bez słowa.

— Ma foi — szepnął. — Czy ktokolwiek mógł być aż tak piękny?

— Tak, moja siostra była właśnie taka, jak ją przedstawiono — odparła Aurorę cichym głosem.

Stephen potrząsnął bujną czupryną — wciąż lisiorudą, choć skronie całkiem mu zbieleły.

— Nie, Odalie nie była aż tak piękna, lecz pański ojciec taką ją widział. Nigdy nie dorównywała urodą swej siostrze, Aurorę, a jednak wszystkim, łącznie ze mną, wydawała się najpiękniejszą kobietą. Może dlatego, że sama w to wierzyła. Wiara czyni cuda.

— Gdybym choć w połowie mógł być tak dobrym malarzem jak ojciec — powiedział Paul do siebie. — Choć w połowie, nie więcej...

— Będiesz, spokojna głowa — oznajmił Etienne.

— Ale teraz patrzysz w ten obraz jak cieleń na malowane wrota, a mnie kiszki marsza grają.

Zasiedli więc w jadalni do masywnego stołu dębowego, zdobionego wymyślnymi rzeźbami. Murzyni natychmiast wnieśli gorące potrawy dla dwóch zgłodniałych młodzieńców, którzy wzięli się rażno do jedzenia.

— Masz bliźnę, synku — odezwał się Stephen.

— Wciąż bierzesz ze mnie zły przykład? Z kim się biłeś? Etienne uśmiechnął się półgębkiem.

— Pojedykowałem się z twojego powodu, ojcze. Aupre D'Hippolyte napisał sztukę na twój temat — rodzaj satyry.

Miała szalone powodzenie. Aupre pochodzi z Nowego Orleanu, dziwne, że nie znałem go przedtem. W każdym razie we Francji jest jednym z najwybitniejszych dramatopisarzy. Wszystkie jego utwory mają ogromne wzięcie.

— I przez tę sztukę wyzwałeś go na pojedynek?

— Tak, ojcze.

— Hmm, Hippolyte... Więc teraz dodał sobie do nazwiska „de”, uszlachcił się. Jasna karnacja, dziewczęca buzia, włosy kasztanowate?

— Tak... znałeś go?

— Oczywiście. Ale widzę, że demokratyzujesz się na gwałt, Tienne. Pojedykujesz się z Mulatem.

— Z Mulatem!

— Tak, ma w sobie czwartą albo ósmą część murzyńskiej krwi — szczerze mówiąc nie wyznaję się na tych subtelnościach rasowych tak dobrze jak rodowity Luizjanin. Wiem tylko, że ma jakąś domieszkę czarnej krwi. Powinieneś był przyjrzeć się jego paznokciom.

Lecz Etienne już zerwał się od stołu z krzykiem:

— Inch! Inch! Gdzie się podział do diabła ten czarny łajdak!

Inch siedział właśnie w kuchni, pochłonięty poufną rozmową z Caleen.

— Było mi tam cudownie, matko — mówił. — Nikt tam nie dba, czy kto jest biały czy czarny. Ludzie mnie lubili, mogłem studiować, chociaż Etienne próbował mi przeszkadzać. Wiele się nauczyłem.

— To dobrze, synku — mówiła stara Caleen z pojaśniałą od radości twarzą. — Mądry z ciebie chłopiec. Mówisz zupełnie comme un blanc*. Teraz, jak przyjdzie czas, będziesz gotów. Potrafisz walczyć!

* **Comme un blanc (franc.) — jak biały**

— Ale z ciebie obłudnica, matko — przekomarzał się Inch. — Nie zdążyłem odrosnąć od ziemi, a już prawiłaś mi o wolności i walce, a mimo to zawsze wspierałaś Foxów, naszych ciemiężycieli.

— Bo ja nie mogę walczyć. Nie mam czym. Ty zdobyłeś broń — masz ją w głowie, tam nikt jej nie wypatrzy. Jak przyjdzie czas, ty będziesz gotów,

synku. Ja nie czuję nienawiści do naszych państwa, to dobrzy ludzie. Ale to wszystko jest źle urządzone, a maître i maîtresse nie wiedzą o tym. Musimy ich nauczyć.

— Rozumiem — odparł Inch. — Dobrze to powiedziałaś, matko. Człowiek nie żyje samym chlebem. Ma w sobie dumę, godność — nie można mu ich odbierać. Jeśli się go ograbi z godności, przestaje być człowiekiem, zamienia się w rzecz. Nie mogę należeć do Tienne'a jak jego koń! Stworzył mnie Bóg na swój obraz i podobieństwo — mam w sobie cząstkę Jego boskości! Nie pozwolę, by traktowano mnie jak zwierzę: odziewano, karmiono i pędzono batem do roboty! Raczej umrę, matko! Być może za wolność Murzyn płaci głodem, jak powiada dziedzic. Ale, Bóg mi świadkiem, głodowałbym chętnie, bez słowa skargi, gdybym był panem siebie. Ta pobłażliwa, pańska łaskawość, którą okazują mi maître i maîtresse boli mnie bardziej niż najsroźsza chłosta. Uważają mnie za dziecko — tak oceniają mój poziom umysłowy — i zawsze pozostanę dzieckiem w ich oczach, nawet wtedy, kiedy umrę jako zgrzybiały starzec! Trzeba mnie prowadzić, pouczać na każdym kroku... nawet wybierać mi lekturę, żebym przypadkiem nie przeczytał czegoś niestosownego — żebym sobie broń Boże nie nabił głowy jakimiś wywrotowymi ideami! Aleja nie czuję się niższy w stosunku do nikogo, z żadnej rasy! I przyjdzie dzień, matko, że te białe wymoczki zatańczą tak, jak my zagramy...

— Inch! — dobiegł z głębi korytarza krzyk Etienne'a. — Gdzie się włóczysz, do kroćset!

Inch stał przygożdżony do ziemi, z uniesionymi w górę kulakami. Po chwili opuścił je bezwładnie.

— Idę, panie — powiedział zdławionym głosem. Etienne gniewnie przemierzał hall, jego ciemna twarz była ciemniejsza niż zwykle.

— Inch, pojedziesz do miasta, dowiesz się, gdzie przebywa Aupre. Najlepiej zacznij od Podwala i przeszukaj całą dzielnicę kwarterońską. Jak go odnajdziesz, masz mnie natychmiast zawiadomić.

— Co mam mu powiedzieć, maître?

— Nic! Nawet mu się nie pokazuj. Po prostu odszukaj jego kryjówkę i powiedz o tym mnie. — Odszedł, mrużąc pod nosem: — Nadęte, załgane, żółte ścierwo.

A więc już wiesz, jaśnie paniczu — powiedział sobie Inch. Mógłbym ci o tym powiedzieć dawno temu — gdybym miał na to ochotę. Te rzeczy — wspólnotę krwi — wyczuwa się na odległość.

Włożył kurtkę i rękawiczki i poszedł do stajen. Nie było sensu mówić paniczowi, że jego służący nie zdążył niczego zjeść. Zresztą w Nowym

Orleanie były knajpki, w których nawet czarny mógł się posilić. No i przyjemnie będzie popisać się europejską elegancją przed młodymi Mulatkami z rynku. Kazał sobie osiodłać konia tonem prawie zblazowanym. Osłupiałe spojrzenie koniuszego, wlepione w tego Murzyna, który ubierał się, zachowywał i wysławiał jak syn plantatora, było rozkoszną osłodą długiej jazdy do Nowego Orleanu.

Aurore spojrzała z wyrzutem na męża.

— Nie powinienesz być mówić o tym 'Tienne'owi — powiedziała. — Jest zupełnie roztrzęsiony.

— Nic mu nie będzie — roześmiał się. — Musiałem mu trochę utrzcę nosa.

Dwie noce później w jednym z zaułków Podwała czekało pięciu jeźdźców, trwali bez ruchu, w zupełnym milczeniu. Byli to Inch i Etienne Fox, a także trzech atletycznie zbudowanych robotników rolnych, uzbrojonych w tęgie kije.

— Wraca tą drogą z biura prawniczego, maître — odezwał się Inch. — Tylko go patrzeć.

Etienne nic nie odpowiedział.

Dzięki, 'Tienne, za to przedstawienie, myślał Inch patrząc na swego pana. Jeśli jest coś bardziej obrzydliwego niż biały, to jest to jeden z tych żółtych. Ten wredny Aupre wyparł się własnej rasy, ożenił się z Francuzką i spłodził prawie białe bachory. A pomiatał mną, jak pomiatali jego własnym dziadkiem. Z przyjemnością popatrzę na jego poniewierkę.

Dokładnie o tej porze co wczoraj i onegdaj, zza zakrętu wyłonił się Aupre. Szedł powoli, spuściwszy w zadumie głowę na piersi. Etienne wyprostował się w siodle i skinął na parobków. Trzech czarnych osiłków zeskoczyło z koni i otoczyło zaskoczonoego Aupre.

— Co to ma wszystko zna... — zaczął, ale w tej chwili największy Murzyn silnie uderzył go kosturem w usta. Smukły kwarteron padł bezsilnie w błoto.

— Pomocy! — krzyknął. — Ratunku! — Widząc Etienne'a, który podjechał bliżej, by nic nie uronić z tego widoku, zawołał rozpaczliwie: — Tienne, ratuj mnie, ratuj w imię Boże!

Etienne znów dał znak i Murzyni rzucili się na leżącego. W przyćmionym świetle ulicznych latarni kije migają jak cepy na klepisku. Wątle ciało wiło się w niemej męce.

Etienne uniósł dłoń.

— Dość — powiedział cicho. Murzyni wskoczyli na konie i niewielka kawalkada znikła za zakrętem.

Aupre podniósł skatowaną twarz z cuchnącego błota ulicy. Potem powoli, nieskończenie powoli wstał, jęcząc cicho.

— Jestem dramatopisarzem — płakał. — Należę do Académie. Moje sztuki wystawia Comédie Française*. Jestem literatem, artystą, genialnym artystą — słyszycie? — Stał chwiejąc się w przymglonym świetle latarni. Tętent kopyt końskich zamierał w oddali. Na ulicy zapadła głucha cisza, Aupre słyszał tylko swój zdławiony oddech, bicie serca i samotny płacz.

RS

ROZDZIAŁ 22

Późnym latem 1853 roku Stephen Fox, Etienne i Paul Dumaine wjeżdżali do Nowego Orleanu. Padał ulewny deszcz, strugi wody zacinały ostro w twarz, a jednak ten nieustający od miesiąca potop nie przyniósł Nadrzeczcu ochłodzenia. Powietrze dławiło płuca rozgrzaną wilgocią.

— Ma foi — mrucał Paul — co za klimat!

Etienne popatrzył z ukosa na ojca. Stephen miał na sobie jakieś stare, znoszone ubranie, niewiele lepsze od przyodziewku niewolnika. Młodzi byli podobnie odziani.

— Ojczy, powinieś okazać więcej stanowczości — powiedział. — Czas skończyć z tym głupstwem! To nie tylko głupie, ale wręcz niebezpieczne. Czy nie masz nic do powiedzenia we własnym domu? Matka może przypłacić własnym życiem całą tę dobroczynność.

— To prawda — odparł Stephen posępnie. — Mówiłem jej dokładnie to samo, ale ona dalej koło nich chodzi. Ludzie mnie potrzebują, powiada. Obawiam się, że na stare lata stałem się bardzo ustępliwy.

Od strony miasta dobiegł niski dźwięk grzmotu, kłęby czarnego dymu szły w pociemniałe od deszczu niebo.

— A to co znowu... — zdumiał się Paul.

— Działo, a te chmury idą z beczek z płonąca smoła — powiedział Stephen. — Próbowali tych samych środków 21 lat temu — kiedyś ty o mało nie zmarł na zarazę, Tienne. Przez ten szmat czasu niczego się nie nauczyli. Kanalizacja jest równie podła, a medycy tak samo niedouczeni! Aurorę i Caleen ratują więcej ludzi niż cała gromada tych łapserdaków. Mam nadzieję, że żołądek masz mocny, Paul.

— Dlaczego?

— Bo nawet kozłu zrobiłoby się niedobrze na widok scen, które niebawem ujrzysz. Ludzie umierają szybciej niż w 32 roku. Już ich nie grzebią. Po prostu zrzuca się ich z wozu na cmentarzu — niech gniją. W każdym domu ktoś umarł albo umiera. Przez ten przeklęty deszcz nawet nie można palić zwłok.

— Ile zmarło do tej pory, ojczy?

— Dwanaście tysięcy. Aurorę mówi, że co dzień umiera dwa tysiące. Każdy, kto został w mieście choruje bardziej lub mniej. Aurorę zetknęła się z febrą w dzieciństwie i sądzi, że jest bezpieczna. Dajcie mi swoje chusteczki, chłopcy. Zakryjcie twarz i usta — polecił, nasączywwszy chustki perfumami, które stale nosił przy sobie w dużej butelce. — Już teraz cuchnie, że niech Bóg broni.

Wjechali w kręte, opuszczone ulice konającego miasta.

Paul ściągnął wodze i pochylił się, by sprawdzić co spłoszyło wierzchowca. W ulicznym błocie nurzała się naga kobieta — martwa, lecz wciąż piękna. Leżała w dziwacznej, poskręcanej pozie, było jasne, że ktoś wyrzucił ją z piętra na bruk.

— Zabierze ją wóz cmentarny — powiedział Stephen — może za dwa albo i trzy dni.

Paul zsiadł z konia i począł szarpać taśmy peleryny.

— Daj spokój, Paul — ofuknął go szorstko Etienne.

— Jej już nic nie trzeba, a ty potrzebowałbyś tysiąca peleryn na te miłosierne uczynki.

Paul westchnął i wsiadł na konia.

— Była tak piękna — powiedział. — Jaka szkoda, jaka wielka szkoda...

Stojący wzdłuż nasypu ogromny magazyn zamieniono w szpital, tu właśnie działała Aurorę wraz z kilkunastoma zakonnicami i dwiema czy trzema paniami, obdarzonymi obywatelskim duchem. Większość szpitali miejskich już nie przyjmowała pacjentów. Gdy tydzień temu dr MacFarlane wszedł rankiem do największej z publicznych lecznic, stwierdził, że poza zmarłymi nie ma tam nikogo — w nocy śmierć zabrała pacjentów, lekarzy i pielęgniarki.

Obecnie zamieniono w lecznicę wszystkie kościoły, składy i większe budynki publiczne. Księża odchodzili na chwilę od chorych, których pielęgowali, by udzielić konającym ostatniego namaszczenia a także odprawić krótką mszę za zmarłych, leżących na słomie między ławkami kościelnymi tuż obok innych, w których życie jeszcze się tliło.

Stephen, Etienne i Paul zatrzymali się przed magazynem portowym. Stephen odwiązał sakwy, w których przywiózł wino i trochę łąkoci — chciał rozbudzić apetyt żony, która prawie nie jadła — jednak dobrze wiedział, że wszystko co przywiózł i tak trafi do chorych i konających. Przywiózł jej także zmianę bielizny, a dla starej Caleen woreczek tytoniu.

Piękna, choć już nie pierwszej młodości twarz Aurorę zbladła i zmizerniała, pod orzechowymi oczami leżały sinofioletowe cienie, lecz na widok przyjezdnych uśmiechnęła się dzielnie.

— Tak się cieszę, że przyjechaliście — powiedziała wesoło. — Stephen, pomóż mi obrócić tego człowieka na drugi bok. Leży w jednej pozycji już czwartą dobę, boję się, że dostał odleżyn.

Stephen popatrzył na żonę bez słowa, mocno chwycił pod pachy tęgiego Irlandczyka i zaczął go powoli obracać w drugą stronę. Paul natychmiast rzucił się pomagać, lecz Etienne stał z boku, bladobłękitne oczy patrzyły

zimno. Aurorę nie myliła się — chory rzeczywiście miał odleżyny. I nawet perfumowane chustki nie chroniły przed strasznym fetorem gnijącego ciała. Paul poszedł chwiejnie do drzwi i zaraz zwymiotował. Aurorę patrzyła za nim z troską.

— Nic mu nie będzie — uspokajał ją Stephen. — Ale ty... ty wrócisz dziś ze mną do domu!

— Nie, Stephenie, nie mogę — odpowiedziała łagodnie. Moje miejsce jest tutaj. Ale chcę, żebyś zabrał Caleen. To już nie na jej lata i siły.

— Dobrze — ustąpił pośpiesznie. — Ale chciałbym, żebyś zmieniła zdanie. Nie nadaję się na wdowca!

Aurorę zaśmiała się.

— Nie martw się, mój jedyny, nie umrę. Zbyt dobrze mi z tobą, by rwać się na tamten świat. Ale są sprawy, którymi ktoś się musi zająć — takie jak ta.

— Gdzie Caleen? — zapytał Etienne.

— Zapewne w którejś szopie — tam, gdzie leżą Murzyni. Co dzień dokonuje cudów, ale boję się, że przypłaci życiem swoją ofiarność. Dogląda zarówno białych jak i czarnych. Chorzy nie mają dość słów wdzięczności, jednakże...

— Porozmawiam z nią — oświadczył Stephen — ale dobrze wiesz, Aurorę, że ani ja ani nikt inny nie potrafi do niczego nakłonić tej starej diablicy, jeśli sama tego nie zechce. Zrobię co mogę, ale jestem pewien, że nie zgodzi się zostawić cię tu samej.

Nie mylił się. Caleen kategorycznie odmówiła i ostatecznie mężczyźni wracali do Harrow z niczym. Podróż powrotna była długa, na jakimś skrzyżowaniu czekali przez bite pół godziny, aż przejedzie nie kończący się sznur furgonów, na których piętrzyły się sterty martwych ciał.

— Wszystko przez te statki, które stały w porcie, gdyśmy przyплыли — powiedział nieoczekiwanie Paul. — To one są wszystkiemu winne. Tienne, pamiętasz, co mówił tamten człowiek?

— Tak. Ustalono ponad wszelką wątpliwość, że to owe statki przywlokły do miasta zarazę, ale — jak twierdzi ojciec — winę za rozwój epidemii ponoszą władze miejskie. Co za osioł z tego Mac-Farlane'a! Ba, wydał nawet oświadczenie, że nasze żałośne prymitywne urządzenia sanitarne nie dopuszczają zarazy do miasta! Powinno się drania powiesić!

— Owszem — przytaknął Stephen — i jego kompanów.

Dotarwszy do Harrow przede wszystkim zrzucili z siebie przesiąkłe wilgocią ubrania. Stephen zadzwonił na Georgesa.

— Zabierz te łachy i spal. Gdyby nie chciały się palić — zakop, ale pamiętaj: pod żadnym pozorem nie mogą się dostać w ręce naszych ludzi. Zrozumiałeś, Georges?

— Tak, maitre — odparł sługa z powątpiewaniem. — Ale to dobry przyrodziewek. Czemu mam go palić?

— Są zakazane — tłumaczył cierpliwie Stephen — chyba nie chcesz, żeby zaraza wytlukła całe Harrow?

— Nie, maitre, niech Bóg uchowa! — zawołał Georges drżącym głosem i ująwszy mokre szmaty koniuszkami palców, podreptał pospiesznie hallem.

— A wyszoruj potem ręce! — zawołał za nim Stephen. To lato nie przyniosło radości mieszkańcom Harrow.

Etienne nie wiedział, czym zabawić gościa. Towarzyskie wizyty — jedna z głównych rozrywek plantatorskiego żywota na głębokim Południu — stały się zbyt niebezpieczne. Nikt nie mógł być pewien, w którym dworze natknie się na szczególnie zjadliwą odmianę żółtej febry. Zamknięto tory wyścigowe, zakazano wszelkich zgromadzeń. Oznaczało to, że trzeba się pożegnać z walkami kogutów, szczuciem borsuka, teatrem, operą a nawet stolikiem karcianym. Latem 1853 roku ci dwaj młodzi, krzepcy mężczyźni niewiele mieli do roboty.

A jednak Paul był całkiem kontent. Włączył się w życie Harrow tak gładko, jakby się tu narodził. Portretował wszystkich dookoła — Julie, Etienne'a, Stephena a nawet niektórych Murzynów. Przemierzał Harrow wzdłuż i wszerz i wracał z niewielkimi, ociekającymi wilgocią szkicami, które potem rozrastały się w ogromne pejzaże.

Mała Julie nie odstępowała go od rana do nocy. Młodzieniec pogodnie przejął wiele obowiązków panny Hartly — starej panny z Bostonu o kwaśnym jak ocet usposobieniu, która do niedawna była opiekunką i guwernantką dziewczynki.

— Co się z nią właściwie stało? — zainteresował się któregoś razu.

Etienne położył ostrzegawczo dłoń na ramieniu przyjaciela, spojrzał znacząco w stronę Julie, która bez większego skrępowania przysłuchiwała się rozmowie dorosłych i skinąwszy głową w kierunku drzwi. Paul wyszedł za nim, mocno zdziwiony tymi tajemniczymi minami.

— O co tu chodzi, Tienne?

— Nie chcę, żeby Julie słyszała. Otóż ta stara wariatka doszła nagle do wniosku, że nie może pracować dłużej dla rodziny, która posiada niewolników, czy — jak się wyraziła — wysługuje się niewolnikami.

— Ale... dlaczego właściwie Julie nie powinna tego słyszeć?

— Paul, ty po prostu nie chcesz zrozumieć! To dziś sprawa bardzo drażliwa, spory stają się coraz gwałtowniejsze. Julie jest jeszcze mała, nie chcemy mącić w jej dziecinnej głowie. Wiesz, doszło do tego, że Le Blancowie niemal od roku nie rozmawiają z ojcem, bo wystąpił z propozycją stopniowej emancypacji czarnych.

— A ty, 'Tienne, co ty o tym myślisz?

— Zgadzam się z Le Blankiem. Ojciec to sentymentalny stary dureń.

— 'Tienne!

— Przepraszam cię, Paul, możesz go sobie podziwiać ile wlezie, ale taka jest prawda. Ale nie mówmy o tym więcej.

Lato zbierało w mieście swe straszliwe żniwo, lecz w Harrow życie toczyło się starym trybem. Julie wstawiała o siódmej i posiliwszy się *café au lait** z rogalikiem, siadała do pianina, by przez godzinę ćwiczyć palcówki.

* *café au lait* (franc.) — **kawą z mlekiem**

Przez następną godzinę czytała, spoglądając markotnie na zegar, którego wskazówki tak nieznośnie powoli sunęły w stronę dziewiątej, kiedy to zwykle wstawał Paul.

Po śniadaniu aż do południa Paul zajmował się głównie Julie, uczył ją francuskiego i rysunku z cierpliwością, która wprawiała Etienne'a w szczerze zdumienie. W południe przynoszono im do gabinetu lunch — pieczywo z masłem i marmoladą lub galaretką z guawy z dodatkiem pasty z jujuby, popijali te kanapki lemoniadą, rozcieńczonym syropem z kwiatu pomarańczy lub sokiem tamaryndowym.

Od lunchu do obiadu Paul malował, a Julie, ledwie śmiać oddychać, śledziła zręczne ruchy jego pędzla. Dziewczynka musiała się wyrzec wielu zajęć, które zwykle urozmaicały jej długie miesiące kanikuły. Co prawda po obiedzie będzie mogła uczyć się ulubionych przedmiotów pod kierunkiem ojca lub Paula, jednak nieustające deszcze wykluczały przejażdżki na szetlandzkim kucyku i zabawy na dziedzińcu — nie mogła się huścić, bawić skakanką ani szaleć na przyrządzie gimnastycznym, ryzykując skręcenie karku. Nauczyciel muzyki nie przyjeżdżał jak dawniej do Harrow, by dwa razy w tygodniu uczyć ją gry na fortepianie, bardzo też tęskniła za cotygodniowymi lekcjami tańca.

Lecz najbardziej tęskniła za matką. Stephen jeździł codziennie do dotkniętego zarazą miasta, lecz dopóki Aurore była tam potrzebna, żadne względy nie skłoniłyby jej do powrotu. Jej nieobecność mocno dawała się Harrow we znaki, ale przecież wokół byli chorzy, których musiała pielęgnować, pocieszać, ratować od śmierci, jeśli było to w jej mocy, a jeśli nie — zamknąć im oczy miłosierną dłonią. Caleen niczym wychudły czarny

cień trwała niezmiennie u jej boku, opiekowała się chorymi z nie zrównaną wprawą, nie czyniąc żadnych różnic między białymi i czarnymi. Niejeden młody lekarz o otwartej głowie pilnie przysłuchiwał się jej wskazówkom, by następnie zastosować w praktyce prastarą mądrość murzyńską (którą Caleen uważała za czarną magię), przykroiwszy ją uprzednio do wiedzy białego człowieka. W składach portowych wciąż przybywało ozdrowieńców.

Wreszcie późną jesienią deszcze ustąpiły i febra wycofała się z Nowego Orleanu. Trzeba jednak było tygodni, by służby sanitarne przywróciły miastu jego pierwotną, mocno wątpliwą czystość, więc zamożne rodziny kreolskie i amerykańskie pozostawały jeszcze czas jakiś w letnich willach nad jeziorem Pontchartrain. Nareszcie — hucznie i jakby w gorączkowym pośpiechu — rozpoczął się sezon.

Balom i zabawom nie było końca. Etienne mógł w końcu wywiązać się ze swych powinności gospodarza. Goszczono więc Paula, zabawiano i fetowano ze wszystkich sił. Niejeden uroczy wachlarz trzepotał zachęcająco w jego stronę, niejeden ojciec musiał głębiej sięgnąć do sakiewki, by zamówić podobiznę swej mniej lub bardziej uroczej córki u słynnego artysty Paula Dumaine, fils* z Paryża.

* fils (franc.) — syna

Jedno tylko zdarzenie zmąciło radosną atmosferę Harrow. W dwa tygodnie od dnia, gdy oficjalnie ogłoszono wygaśnięcie epidemii, dębowa aleja Harrow powoli nadjechała jakaś furmanka. Przywiozła Aurore, lokaja i doczesne szczątki starej Caleen.

Stephen spoglądał na nieruchomą, wychudłą postać nakrytą płachtą.

— Kiedy to się stało? — zapytał.

— Dziś rano — szepnęła Aurore. — To nie zaraza ją zabrała, lecz starość, wyczerpanie i praca nad siły.

Twarz Stephena była poważna, prawie surowa.

— Zawołaj Incha — zwrócił się do Georgesesa — a Jean-Jacques i Raoul niech ci pomogą wnieść nieboszczkę do głównego hallu. Do pogrzebu będzie leżała we dworze, nie w chacie niewolnika. Mój Boże, przecież Harrow było jej domem tak samo jak moim. Harrow jest tym czym jest, także dzięki niej.

Po kilku godzinach ciało Caleen — umyte i przebrane w schludną odzież — wystawiono wśród kwiatów w paradnej sali Harrow. Stephen kazał rozwieźć po okolicy zawiadomienia o pogrzebie — tak jak postąpiłby w razie śmierci kogoś ze swych bliskich. Jednak, okazało się, nie było to konieczne. Za sprawą murzyńskiej poczty pantoflowej żałobna wieść niosła

się od plantacji do plantacji i dalej, do miasta. Stephen musiał odłożyć pochówek aż na czwarty dzień — ponad trzy tysiące osób, białych i czarnych, przybyło złożyć ostatni hołd tej czarnej matronie o niezłomnym sercu.

Byli to przeważnie ci, których wyleczyła z żółtej febry oraz ich krewni i przyjaciele. Zdarzali się i tacy, którzy przyszli ze zwykłej ciekawości, lecz było ich niewiele, natomiast niejedna kreolska dama lub Amerykanka wysokiego rodu nie mogła powstrzymać łez wzruszenia wobec tych skromnych zwłok, wystawionych na kosztownym katafalku. Księża zgodzili się pochować ją w poświęconej ziemi, utrzymując że jej dobre uczynki wymazały grzech praktyk voodoo, które jej zarzucano.

Inch stał niezmordowanie przy katafalku, jego czarna twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Dopiero przy końcowym obrzędku, gdy przejęta żalem Aurorę oparła głowę na ramieniu Stephena i głośno zapłakała, po gładkich policzkach Incha popłynęły ciche łzy.

Oddała za was własne życie, mówił sobie, ona... ta rzecz, która należała do was tak samo jak muły z zaprzęgu. To się wreszcie musi skończyć! — Poczul na ramieniu dotyk miękkiej dłoni. Odwróciwszy się, ujrzał zapłakaną buzię Julie.

— Nie płacz, Inch — powiedziała. — Caleen jest już w niebie. Pan Bóg wie, jaka była dobra.

Inch popatrzył na tę śliczną, złotowłosą panienkę.

— Ciekawe, czy tam też jest niewolnicą — rzucił opryskliwie i odwrócił się ku mogile, nad którą sędziwy ksiądz DuGois odprawiał ostatnie modły. Inch stał sztywno wyprostowany jak czarna kolumna. Julie patrzyła wielkimi ze zdziwienia oczami.

Miesiąc później Etienne i Paul jechali obwałowaniem, biegnącym na obrzeżach miasta. Był listopad, lecz dzień był słoneczny i ciepły jak wiosną.

— Winszuję powodzenia, Paul — mówił Etienne ze śmiechem. — Durzą się w tobie wszystkie panny z okolicznych parafii — łącznie z Julie!

— Twoja mała siostrzyczka to uroczy szkrab. Czasem żałuję, że nie jest starsza. A jeśli chodzi o inne, to dziękuję nie skorzystam!

— Nie są dość dobre dla ciebie, ty zarozumiały paryżaninie? Chyba nie masz oczu.

— Jeśli chodzi o urodę, to bez trudu zakasują największe francuskie piękności. Rzecz w tym, że te panny nie mają krztyny rozumu. Nigdy w życiu nie prowadziłem tylu głupawych rozmów co tutaj.

Etienne wygiął szelmowsko szeroką, czarną brew.

— Kobiety Luizjany — powiedział z namaszczeniem

- mają inne, poza salonową konwersacją, cele.
- Zdążyłem się o tym przekonać — zaśmiał się Paul.
- Ale potem nader trudno się ich pozbyć. 'Tienne...
- Tak?
- Co to za zbiegowisko?

O sto jardów dalej wrzaskliwa grupa gawiedzi otaczała jakiegoś jeźdźca. Gdy młodzieńcy podjechali bliżej, stwierdzili, że to dziewczyna.

— Ciekawe, co się tu... — zaczął Etienne.

— Mon Dieul 'Tienne, popatrz! — szepnął zdumiony Paul. — Dosiada konia okrakiem, jak mężczyzna!

Podjechali klusem do tego małego zgromadzenia, na ich widok gapie rozstąpili się. Dziewczyna siedziała w siodle wyprostowana jak struna. Amazonkę miała rozciętą aż do pasa, a pod nią miękkie bryczesy, wpuszczone w wąskie cholewy długich butów. Na głowie — mały kapelusik najnowszego fasonu. Jej odzież i obuwie były najwyraźniej bardzo kosztowne.

Paul patrzył na lśniące czarne włosy, zwinięte na karku w ciężki węzeł, w piwnych oczach dziewczyny jarzyła się złośliwa uciecha. Pięknie wykrojone, soczyste jak wiśnie wargi wykrzywił uśmiech drwiący, prawie zuchwały.

Etienne zagadnął niskiego, dziwnie brzydkiego mężczyznę w zniszczonym ubraniu, który prowadził za uzdę konia dziewczyny.

— O co chodzi, panie oficerze?

— Ta panna — odparł obszarpaniec — dopuściła się karygodnego wybryku. Prowadzę ją na posterunek za obrazę moralności publicznej.

Etienne patrzył to na dziewczynę, to na policjanta.

— Ta pani jest... moją daleką krewną — zełgał gładko. Wyciągnął z kieszeni dobrze nabitą sakiewkę. — Może mógłby ją pan puścić wolno, panie oficerze, by... zajęła się nią rodzina?

Policjant zsunął z czoła cylinder, wybałuszając oczy na widok takiego bogactwa. Etienne wyjął banknot dziesięciodolarowy.

— No... sam nie wiem... — bełkotał policjant. Etienne wyciągnął jeszcze jeden banknot.

— Słusznie pan mówi, wielmożny panie! — powiedział stróż prawa, szczerząc zęby w przypochlebnym uśmiechu. — Takie rzeczy należy załatwiać w rodzinie. — Podał wodze Etienne'owi, a ten wręczył mu pieniądze.

— A więc, kuzynko...

— Ceclie — odpowiedziała nieznajomym niskim, dźwięcznym głosem.

— A więc, kuzynko Ceclie, czy pojedzie pani z nami, byśmy mogli wymierzyć jej karę za te zuchwałe zbrodnie?

Oddalili się dziarskim klusem od gapiów, którzy śmiali się i wiwatowali.

— Ma foi — powiedział przejęty Paul — jaka pani jest piękna!

— Może mademoiselle zechciałaby wyjawić swoje nazwisko — podsunął Etienne.

— Cloutier — odparła. — Ceclie Cloutier.

— Ależ ja znam Cloutierów! — powiedział Etienne po francusku bardzo szybko. — Żadne z nich nie jest podobne do pani.

Dziewczyna zmarszczyła gniewnie brwi.

— Niech pan mówi po angielsku. Nie znam francuskiego!

— Jest pani z rodziny Cloutier — powiedział Etienne po angielsku — a nie mówi pani po francusku. Jak to możliwe?

— Mój ojciec zna francuski, nawet mnie uczył, ale nie chciałam. Nie podoba mi się. To język dobry dla bab.

— Ma foi — nie wytrzymał Paul.

— Kto jest pani ojcem? — indagował Etienne.

— Philippe Cloutier. Przyjechaliśmy z Teksasu i bardzo tego żałuję.

— Może za moją sprawą — powiedział Etienne ze znaczącym uśmiechem — zmieni pani zdanie.

— Wykluczone — oświadczyła Ceclie. — Tutejsze kobiety to głupie gęsi, umieją tylko kręcić kuprami, a mężczyźni to nie mężczyźni, tylko ciepłe kluchy. Umieją tylko mówić „doprawdy?” i „ba”, ale żaden by nie okiełznał dzikiego konia, nawet by nie próbował!

— Ale może nieźle się sprawujemy... w innych sprawach.

— Niby w jakich?

Etienne ściągnął wodze tak ostro, że koń pod nim zatańczył i otarł się bokiem o smagłą łydkę Ceclie, obutą w długą cholewę.

— W takich — odparł Etienne obejmując ją wpeł. Dziewczyna trwała w bezruchu, odgrodziwszy się zgiętymi ramionami jak tarczą, patrzyła mu spokojnie w twarz.

— Jeśli mnie pocałujesz, mój ojciec cię ukatrupi — wycedziła.

Etienne zajrzał w jej młodziutką twarz, odcinając się matową bielą od ciemnych włosów, lśniących i gładkich jak woda. Usta miała pełne, karminowe, cienkie nozdrza latały. Dzika z ciebie żrebica, myślał, ale już ja cię ujeżdżę, choćbym miał stracić na to całą zimę.

— Umrę z rozkoszą — powiedział i przycisnąwszy ją do siebie, pocałował brutalnie w usta.

— Krzycz, płacz do diabła! — mruczał, miażdżąc jej usta pocałunkiem.
— Proś, bym cię puścił! Zobaczymy, kto tu jest górą!

Dziewczyna milczała. Etienne wypuścił ją z objęć i cofnąwszy się, pożerał ją wzrokiem. Oczy mu płonęły.

— Mój Boże! — zawołał zgorzony Paul. — Co za barbarzyństwo!

— To bolało — powiedziała Ceclie zupełnie spokojnie. Po chwili uśmiechnęła się. — Był pan kiedy w Teksasie?

— Nie — odparł Etienne szorstko. — Czemu pani pyta?

— Ma pan w sobie coś z Tekskańczyka — nawet wiele!

— Czy to komplement?

— Tak.

— I nie gniewa się pani, że ją pocałowałem? Nie chce mi pani dać w gębę?

— Nie jestem taka jak te wasze damulki, lelum — polelum. Mówię to co myślę, robię to na co mam ochotę. A to mi się całkiem podobało.

Etienne natychmiast ściągnął wodze.

— Nie! — powiedziała Ceclie zdecydowanym głosem.

— Nie tu. Innym razem, kiedy będzie więcej czasu, a mniej... — spojrzała na Paula — ...widzów. Żegnam, panie...

— Fox, Etienne Fox. Proszę poczekać, odprowadzę... odprowadzimy panią do domu.

— Nie, dziękuję, ojciec byłby niekontent. A jest mężczyzną, chociaż wychował się w Luizjanie.

— Więc kiedy się znów zobaczymy? Jak?

— Niech pan zostawi to mnie. Mieszka pan w Harrow?

— Skąd pani wie?

— Mój ojciec mówi o pańskim ojcu z wielką admiracją — prawie z zawiścią. Więc do widzenia... do następnego spotkania! — Ostro cięła szpicrutą po boku mustanga. Dziki koń, niewysoki lecz dzielny i wytrzymały, zniżył kudłaty łeb i ruszył jak burza. Dziewczyna schyliła się nisko niczym dżokej.

— Świeci niebiescy! To prawdziwa amazonka! — powiedział Paul.

Etienne patrzył za dziewczyną aż znikła w oddali.

— Chyba zanosi się na coś poważniejszego niż myślałem — mruknął. — Coś o wiele poważniejszego.

ROZDZIAŁ 23

Pod koniec grudnia Stephen Fox stał z żoną za wielkimi przeszklonymi drzwiami Harrow i patrzył na smętny krajobraz. Padał deszcz — zwyczajny o tej porze deszcz zimowy, gęsty, przejmujący chłodem do szpiku kości. Mimo że w hallu było ciepło, Stephen wstrząsnął się z zimna.

— Czemu drżysz? — spytała Aurore. — Przecież w domu ciepłutko.

— Tak, ale wystarczy, że spojrzę na dwór, a robi mi się zimno. 'Tienne musiał całkiem postradać rozum, żeby siadać na koń w taką słotę!

— Ostatnio jest dziwnie nieswój. Może ma jakieś zmartwienie...

— Założę się, że całe jego zmartwienie to jakaś ładna panienka. Ostatecznie jest jeszcze tak młody.

— Spójrz, Stephenie! — zawołała Aurore chwytając męża za ramię. — Czyżby to był 'Tienne?

— Nie, to nie nasz koń, żaden z naszych nie ma tak nierównego chodu.

— Jeździec jest drobny i szczupły — ale może to sprawa odległości...

Stephen wyteżył wzrok.

— Mówiąc ściślej, jest to amazonka.

— Mylisz się, Stephenie, on siedzi po męsku.

— A jednak to kobieta. Spójrz teraz, jest już blisko.

— Och, jak można tak nie mieć wstydu!

— Nie przesadzaj, Aurore. Idą nowe czasy, niejedno się zmieni.

— Ależ Stephenie, jak można się tak kompromitować...

Dotarliszy do paradnych schodów, przyjezdna zeskoczyła z konia i rzuciła lejce dygocącemu z zimna służącemu, który wybiegł na dwór słysząc stukot kopyt.

— No, no, niebrzydka ta kompromitacja — powiedział Stephen z uśmiechem.

— Stephen, jesteś niegodziwy! — fuknęła Aurore.

— Gdybym był układnym lalusiem, nie wyszłabyś za mnie. No, chodźmy powitać gościa.

Wyszli na przestronną galerię właśnie gdy dziewczyna dotarła na szczyt schodów.

— Dzień dobry pani — powiedział Stephen patrząc ciekawie na gościa spod siwych brwi.

— Dzień dobry panu... i pani — skłoniła się tamta grzecznie. — Czy mogę mówić z panem Foxem?

— To właśnie ja. Czy zechce pani wejść?

— Chodziło mi o pana Etienne'a Foxa. Chciałabym zamienić z nim parę słów.

Aurorę mierzyła wzrokiem amazonkę: suknia do konnej jazdy rozcięta od dołu aż po pas, wąskie spodnie uwydatniające każdą linię młodego, smukłego ciała.

— Nie ma go w domu — odparła ostro. — Az kim mamy przyjemność?

— Nazywam się Ceclie Cloutier.

— Córka Phillippe'a! — zdumiała się Aurorę. — Ależ pani mówi jak Amerykanka.

— Jestem Amerykanką — odparła dziewczyna z rozdrażnieniem. — Proszę powiedzieć Etienne'owi, że żałuję, iż go nie zastałam.

— Niech pani wejdzie i poczeka chwileczkę — zapraszał Stephen. — 'Tienne'a tylko patrzeć.

— Chyba nie powinnam — odparła, obrzucając Aurorę drwiącym uśmieszkiem. — Zbyt długo jestem poza domem. Ojciec będzie się gniewał.

Stephen chciał nalegać, lecz żona spiorunowała go wzrokiem, ustąpił więc, mrużąc coś pod nosem. Ceclie, rzuciwszy przez ramię „do widzenia!”, zbiegła na dół ze śmiechem.

— Co za bezczelność! — zaczęła Aurorę. — Cóż za niesłychana zuchwałość i bezwstyd...

Stephen spojrzął na żonę spod nasepionych brwi.

— Najbardziej podobało mi się w tobie — powiedział powoli — że nie rwałaś się osądzać innych. Proszę cię, Aurorę, nie zmieniaj się teraz.

— Przepraszam cię, Stephenie, ale ta dziewczyna wyprowadziła mnie z równowagi. Po prostu chcę dla 'Tienne'a jak najlepiej.

— Sam potrafi o siebie zadbać — uciał Stephen.

Nie minęło pięć minut, gdy zjawił się Etienne z twarzą jak chmura gradowa.

— Skąd ta ponura mina, synku? — śmiał się Stephen. — Masz takie powodzenie, że panny gonią za tobą aż do Harrow!

— Jakie panny? — warknął Etienne. — O czym ty mówisz, ojcze?

— No w każdym razie jedna. Nieduże, ciemnowłose stworzonko, o uroczo rozwlekłym akcencie teksaskim.

— To Ceclie!

— Więc ją znasz, 'Tienne? — spytała Aurore.

— Oczywiście! Gdzie jest teraz? Kiedy wyszła?

— Nie ma i pięciu minut. Powinniście się byli spotkać na trakcie. Ale, 'Tienne...

— Nie jechałem traktem. Porozmawiamy później. Teraz zmykam!

— 'Tienne, poczekaj! — krzyknęła Aurore. Etienne odwrócił się do niej, marszcząc brwi.

— Tak, mamó?

— Niezbyt mi się to wszystko podoba. Ta panna... przyjeżdża samotnie i bez zaproszenia do domu młodego mężczyzny...

Oczy Etienne'a zaskrzyły się jak dwa kawałki błękitnego lodu.

— A ty, zacna matko-ciotko — wycedził. — Czy nie składałaś licznych wizyt w Harrow, zanim poślubiłaś mego ojca? I czy przyjeżdżałaś tu tylko po to, by odwiedzić moją nieszczęsną matkę?

— 'Tienne — ryknął Stephen. — Masz natychmiast przeprosić!

— Nie, 'Tienne, nie musisz mnie przeproszać — powiedziała Aurore. — Rzeczywiście przyjeżdżałam tu, żeby zobaczyć się z twoim ojcem. Ale nie w taki sposób. Twój ojciec o niczym nie wiedział, a ja nie miałam żadnej nadziei. No, jedź za swoją panną, bo jej nie dogonisz.

Etienne popędził w dół jak wichur, lecz zanim odjechał, raz jeszcze spojrzął na macochę — bacznie, lecz bez wrogości. Po chwili palomino Etienne'a ruszył podjazdem jak strzała.

Jeździec, niemal stojąc w strzemionach, siekł pejcem gdzie popadło.

— Jeszcze się tego nie wyzbył — mruknął Stephen — tej odrobiny okrucieństwa. Chodź, moja jedyna, nie przejmuj się zanadto wybuchami niedowarzonych młokosów.

Hen w dali, na trakcie nadrzecznym poruszała się maleńka postać, Ceclie coraz bardziej oddalała się od ścigającego ją Etienne'a. Chłostał konia bez litości, bez chwili przerwy. Palomino rzeził, a piana znaczyła ich szlak wielkimi płatami. Wreszcie zaczął ją doganiać, powoli lecz stale. Gdy dzieliło ich najwyżej ćwierć mili, Ceclie osadziła konia w miejscu i czekała w lodowatym deszczu nieruchomo jak posąg.

— Ceclie! — krzyknął Etienne i ściągnął konia tak ostro, że płaty piany zabarwiły się przy wędzidle na czerwono. Zwierzę potoczyło dziko oczyma, odtańczyło jakiś szalony taniec, wreszcie się uspokoiło.

— Biedne stworzenie — powiedziała Ceclie łagodnie.

— A ty jeździsz jak meksykański pętak! Etienne zachnął się niecierpliwie.

— Chciałaś się ze mną widzieć. W jakiej sprawie?

— Ale mi się odechciało. Człowiek, który w ten sposób obchodzi się z koniem...

Etienne, mocno wzburzony, zaklął po francusku.

— Teraz żałuję, że nie uczyłam się tego zniewieściałego języka. Co mówiłeś, Etienne?

— Nic — burknął. — Jedziesz z Rosemont do Harrow w ulewnym deszczu, a kiedy cię dopędzam, mówisz o jakichś głupich koniach!

— Koniecznie chcesz wiedzieć, czemu przyjechałam?

— Tak!

— Ojciec nie pozwala mi przyjmować żadnych wizyt w Rosemont, a ja musiałam cię zobaczyć — i tyle!

— No więc zobaczyłaś mnie i...

Cecile przyglądała mu się bez skrępowania.

— Wiesz, dziwny z ciebie typ — cera ciemna jak u Murzyna, a oczy... jakbyś je komuś zabrał. Wcale do ciebie nie pasują. Kiedy się zamyślasz, patrzę prawie łagodnie. Ale ty wolisz być zły jak sam diabeł. Dlaczego?

— Czy przyjechałaś po to, żeby...

— Nie. Chciałam się przekonać, czy twoje pocałunki wciąż mi smakują.

Etienne schylił się nad piękną dziewczyną. Gładziła jego plecy, błdziła palcami w jego nasiąkniętych deszczem kędziorach, długo to trwało.

— No i?

— Owszem, smakują mi bardzo. Z nikim się dotąd nie całowałam. Myślałam, że to nic przyjemnego. Nigdy bym nie przypuszczała, że spodoba mi się ktoś taki jak ty. Wyglądasz na niedojdę, na eleganckiego, dobrze wyedukowanego gamonia — a w rzeczywistości jesteś zupełnie inny — jak zimna stal. Przyjemnie kochać się w tobie, Tienne.

— Mój Boże!

— Żałujesz, że cię pokochałam?

— No nie... ale co my z tym teraz zrobimy?

— A co ludzie robią w takich wypadkach?

— Biorą ślub. Ale ty jesteś zbyt młoda. Twój ojciec nie pozwala, by u ciebie bywano, a z drugiej strony...

— Tak?

— Nie możesz więcej przyjeżdżać do Harrow. To byłby nieopisany skandal.

— Rozumiem. Bardzo przejmujesz się tymi sprawami — etykieta, pozory, całe to życie na pokaz... Ja, żeby być z tobą, rzuciłabym wszystko w diabły. Ale może się pomyliłam. Może tak naprawdę wcale o mnie nie dbasz.

Etienne pociemniał na twarzy. Zeskoczył z konia i ująwszy dziewczynę w talię zdjął z konia i powolutku opuścił na ziemię, czy raczej pozwolił, by ześliznęła się po nim. Objął ją ściśle, uniósł jej twarz i pocałował. Całował brutalnie, rozgniatając jej czerwone wargi o zęby, wbijając w jej ciało palce stwardniałe od szermierki i forsownych sportów. Gdy rozluźnił

uścisk i cofnął się, uwieszona na jego szyi dziewczyna kołysała się, osłabła i bezwolna.

— Widzisz, do czego mnie doprowadziłeś? — szepnęła.

— Nie mogę utrzymać się na nogach.

Etienne, który stał dotąd nieruchomy jak skała, zadrżał nagle.

— Teraz się przekonałeś? — warknął.

— Tak, ale nie całuj mnie więcej. Chyba nie mogłabym tego znieść.

Etienne spojrział jej w twarz, obramowaną śliskimi od deszczu czarnymi włosami.

— To nie zmienia sprawy — powiedział. — Przeciwnie, nawet ją pogarsza.

— Wiem. Za dwa lata będę pełnoletnia, wtedy możesz się oświadczyć o moją rękę. Wyjdę za ciebie, nawet jeśli ojciec się nie zgodzi.

— Dwa lata! Rany boskie!

Cecile patrzyła nań, ściągając wysokie, łukowate brwi.

— Nie musimy czekać — szepnęła. — Dzięki księżym formułkom i zapisom w księdze parafialnej nie będę bardziej twoja niż teraz.

— Cecile!

— Zgorszyłam cię? Przepraszam. Nie umiem ładnie się wyrażać, nie potrafię ukryć tego co czuję. Mam braki w wykształceniu — umiem to, czego nauczył mnie ojciec. Umiejętności, bardzo cenione w Teksasie — jazda na złamanie karku, odstrzelenie kojotowi uszu w pełnym galopie — tu są niewiele warte. Zresztą może wcale nie chcesz się ze mną żenić. Z taką żoną tylko byś się najadł wstydu — co by powiedzieli twoi znajomi?

— W takim razie na pohybel moim znajomym! — zawołał Etienne. — Dwa tygodnie temu nawet cię nie znałem. Teraz nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Ale wiem jedno — nie będziesz moją kochanką.

— Ale dlaczego? Ja nie mam nic przeciw temu.

— Cecile, jesteś niemożliwa! Nie potrafię ci tego wyjaśnić, ale... chcę patrzeć na ciebie tak, jak ojciec patrzy na moją macochę — z czcią i uwielbieniem. Nie chcę cię hańbić, lecz kochać, i chcę, by świat odnosił się do ciebie z szacunkiem.

— Cóż, Tienne, jeśli ci na tym zależy...

— Zależy.

— A teraz co?

— Teraz cierpię.

— CIERPIMY — uściśliła Cecile. — Ale właściwie jestem zadowolona. Bardzo bym chciała zostać prawdziwą damą. Ojciec wyłaził ze skóry, żeby mnie wyszkolić na damę, ale wszystko na nic.

— Ależ jesteś damą — zaprotestował Etienne. — Wielką damą. Tylko wielka dama może być panią Harrow. To godność prawie królewska, Ceclie.

Ceclie spojrzała za siebie, w stronę dębowej alei, zasłoniętej szarą ścianą deszczu. Trakt i pola były jednym błotnistym bajorem.

— Wiem — powiedziała. — Ten dom... przeraża mnie. Przy nim wszyscy — oprócz twego ojca — wydają się tacy maleńcy. Wydaje się, jakby żył własnym życiem. On mnie chyba nie chce, Tienne.

— Co za szalone pomysły! Musi cię przyjąć tak czy owak, i kropka. Czas wracać, kochanie, bo przeziębisz się na śmierć. Pojadę z tobą do bramy.

— Naprawdę?! Właściwie nie powinieneś — i ja nie powinnam ci na to pozwolić. Ale kiedy odjedziesz, każda minuta bez ciebie będzie na zawsze stracona. Więc jedź ze mną, Tienne, i nie pozwól mi jechać zbyt szybko — tak mało zostało nam czasu!

Etienne posadził ją na konia i pojechali stępą w strugach ulewnego deszczu.

Przez resztę zimy spotykali się prawie codziennie. Obmierzłe słoty ani myślały ustępować. Etienne mocno wychudł i zmizerniał. Prawie się nie odzywał, był wiecznie rozdrażniony. Codzienne eskapady — czy to mżawka czy ulewa, unikanie spotkań Ceclie w pogodne dni z obawy przed niepoważanymi oczami, świadomość że nigdy nie może być z nią naprawdę razem, ciągle pasowanie się ze sobą, walka w swoim i jej imieniu — wszystko to złamałoby o wiele silniejszego ducha, a Etienne'owi brakowało hartu dojrzałych męskich lat. Stephen patrzył ze współczuciem, jak syn zмага się z życiem, lecz doświadczenie pięćdziesięciu czterech lat życia nauczyło go, kiedy zachować dobre rady dla siebie. Milczał więc.

Aurorę zaproponowała, by jechać z wizytą do Phillippe'a, lecz Stephen zbyt dobrze znał pychę i zadawnione urazy tego człowieka. Całe Harrow przycichło, zmarkotniało, wszyscy czekali, co będzie dalej.

— Jeśli odjedziesz — mówiła Ceclie — pobiegnę na górę do mojego pokoju, rzucę się na łóżko i przeplacę całą noc. To już mi nie pierwszyzna. Ciągle wypłakuję za tobą oczy, jak... któraś z tych waszych ciapowatych piękności. Przedtem nie wiedziałam co to łzy. Podejdz do mnie, mój miły, mój jedyny...

— Nie — warczał Etienne głucho. — Przestań, proszę cię.

— Nienawidzę cię! — krzyczała. — Jesteś wstrętny, wstrętny! Nie, to nieprawda. Kocham cię. Kocham cię tak bardzo, że to aż boli. Cierpię, szaleję, a tylko ty możesz mnie uleczyć z szaleństwa. Obejmij mnie,

Tienne, i całuj, całuj aż całkiem oszaleję. Wolę to niż te wieczne rozterki i wdreki.

Zarzuciła mu ręce na szyję i zamknawszy oczy przywarła doń całym ciałem, dyszała szybko, jak po długim biegu. Etienne rozerwał jej splecione palce, skoczył na konia i popędził przez błoto, przez deszcz jak potępieniec.

Przybywszy do Harrow, poszedł prosto do pracowni Paula, znacząc swój szlak pecynami błota na kosztownych dywanach i lustrzanych parkietach. Młody malarz podniósł oczy znad rozpoczętego obrazu i uśmiechnął się porozumiewawczo.

— Widzę, staruszkule, że sprawy stoją kiepsko.

— Gorzej być nie może — jęknął Etienne. — Muszę coś z tym zrobić i to natychmiast! Dłużej tego nie zniosę — szlag mnie trafi, oszaleję!

— Udzielę ci prostej rady — prześpij się z nią.

— Paul, ja nie jestem paryżaninem!

— W takim razie musisz upuścić trochę pary — no wiesz, odkręć zawór bezpieczeństwa, jak na parowcu. Chyba mam coś dla ciebie. Podejdź z tej strony.

Etienne przemierzył pokój krokiem znużonego starca i nagle stanął jak wryty.

— Święci anielscy i wszyscy aniołowie! — wyszeptał modlitewnie.

— Podoba ci się?

— Jeszcze pytasz! Ale ta kobieta nie istnieje, to niemożliwe. Taka bajeczna piękność może być tylko produktem twojego niezrównoważonego umysłu.

Paul wzruszył ramionami.

— Istnieje, istnieje. Można mi zarzucić tylko jedno — ten obraz nie oddaje w pełni jej uroku.

— Mów zaraz: kto to jest? Co o niej wiesz? Ma w sobie coś obcego, egzotycznego... nie wiem, jak to określić...

— Jest kwarteronką. Twierdzi, że ma trzydzieści jeden lat, a wygląda jak młoda dziewczyna. Zgadza się — jak widać — bym malował jej akt, lecz nie pozwala się tknąć nawet palcem.

— To chyba źle rokuje, jeśli chodzi o zawór bezpieczeństwa...

— Tienne, nie zapominaj, że jesteś nieodrodnym synem Stephena Foxa. Masz podejść do kobiet. Może wybrałbyś się jutro ze mną do miasta?

— Dobrze — powiedział Etienne nie odrywając oczu od płótna. — Tak, jedźmy.

Wczesnym popołudniem obydwa młodzieńcy wjeżdżali na ulicę Dauphine. Etienne uniósł szerokie, czarne brwi.

— Mieszka w tej dzielnicy? Czy nie mówiłeś, że jest kwarteronką?

— Zgadza się, ale ona wcale tu nie mieszka. Ma dom na Podwalu. Wiesz, Tienne, to zadziwiające, jak taka kropelka czarnej krwi może odmienić karnację, nasycić skórę złocistą barwą...

— Ale dokąd właściwie jedziemy?

— Do mnie. Mam pracownię między ulicą Dauphine a Philipsa. Te wasze luizjańskie piękności okazują mi tyle przychylności, że postanowiłem tu zostać. Mam tu o wiele więcej bodźców twórczych niż we Francji.

— Świetnie, Paul, bardzo się cieszę. Ale sądziłem, że prowadzisz mnie do swojej nadobnej kwarteronki...

— Ona nie jest moja. Prowadzi niezależny tryb życia. Zresztą sam się przekonasz. Przychodzi pozować do mojego studia. Żaden biały nie ma wstępu do jej domu. Oczywiście szczerze ją oplacam.

— Nie wpuszcza białych! Mon Dieu, Paul, ta Murzynka ma o sobie niepospolicie wysokie mniemanie.

Paul zmierzył go wzrokiem.

— Posłuchaj mnie, Tienne. Nadzwyczaj sobie cenię tę modelkę i nie widzę powodu, by traktować ją jak osobę niższego rzędu. W życiu nie spotkałem piękniejszej istoty. Jest niezależna finansowo — dawny opiekun wyznaczył jej jakąś rentę. Ponadto prowadzi pensjonat dla dobrze sytuowanych kawalerów, który jest wzorem dobrego smaku i przyzwoitości. Nie czuje się w niczym gorsza od innych, więc jeśli chciałbyś teraz utrzej jej nosa... — wzruszył wymownie ramionami.

— Rozumiem. Ale jeśli tak dobrze jej się powodzi, to czemu ci pozuje?

— Ma syna, który pobiera nauki w Nowej Anglii. Przyda jej się każdy grosz.

— Więc ten opiekun nie zadbał o przyszłość swego potomka?

— Pytałem ją o to. Otóż rozstali się, kiedy była w błogosławionym stanie, i zataiła przed nim ten fakt. Przemawia przez nią duma i urażona ambicja. Kobiety to dziwne stworzenia.

— Co to, to prawda — westchnął Etienne. Zatrzymali się przed jednym z typowych domków starej dzielnicy. Paul zaczął szukać klucza po kieszeniach, a towarzysz przyglądał mu się w ponurym milczeniu.

— Otwarte, monsieur — dobiegł z galerii niski, melodyjny głos. — Bardzo pan roztargniony.

Etienne cofnął się w błotnistą ulicę i zadarł głowę. Przez balustradę przechylała się ta kobieta. Włosy o niezwykłej barwie: miodowo-bursztynowe przemieszane z brązem, miała zwinięte na karku w puszysty węzeł. Rysie oko młodzieńca wypatrzyło w nich przebliski złota.

— Mafoi — szepnął — mówileś szczerą prawdę, Paul.

— Nigdy nie kłamię — oznajmił Paul, napierając na drzwi, ustąpiły z jęklwym zgrzytem. Weszli do mrocznej sieni a potem na górę, do pracowni Paula. Gdy wchodzili na podest, znów usłyszeli ten dźwięczny kontralt:

— Proszę wejść, panowie. — Etienne'owi zdawało się, że jej głos trwał przez chwilę w powietrzu, pieszcząc ucho złocistym pogłosem, nim przebrzmiał na dobre.

Spojrzał na Paula, w półmroku jego jasne oczy błysnęły jak oczy dzikiego zwierzęcia. Paul odpowiedział uśmiechem, i weszli ramię w ramię do pokoju.

Stała pośrodku pracowni. Aksamitna amazonka bordowa podkreślała wdzięczne linie jej smukłej, wysokiej postaci. Na widok Etienne'a uniosła brwi, spojrzała wielkimi oczami, lecz zaraz ukryła je pod niewiarygodnie długimi rzęsami. Oczy ma zielone, stwierdził młodzieniec, ale jeszcze nie widziałem podobnego odcienia.

— Désirée — powiedział Paul Dumaine — pozwoli pani, że przedstawię mojego przyjaciela Etienne'a Foga.

— Fog? — powtórzyła głosem jeszcze niższym niż uprzednio. — Ależ oczywiście, Fog — te oczy...

— Co z moimi oczami? — zapytał Etienne.

— Są tak błękitne — powiedziała cicho. — Niewielu mężczyzn ma takie oczy. Ale poza tym nie jest pan podobny — karnacja zupełnie inna — ale jednak ta postawa, sposób trzymania głowy i ta sama arogancja...

Etienne, zbity z tropu, spojrzał na przyjaciela, jakby szukając pomocy.

— Niech pani mówi jaśniej, Désirée. Jest podobny, czy też niepodobny, do kogo? I w ogóle o co chodzi?

— Przypomina mi kogoś, kogo znałam kiedyś, dawno temu. Ale ponieważ nie jest pan sam, chyba lepiej sobie pójdę.

— Chce pani odejść?! A co z pozowaniem, przecież się umawialiśmy...

— W obecności pana Foga? To nie wchodzi w grę.

— Nie zgadzam się. Jakie znaczenie ma jeszcze jedna para oczu?

— Pan jest malarzem, monsieur, widzi we mnie tylko modela, natomiast pan Fog jest...

— Kim jestem? — warknął Etienne.

— Powiedzmy, że jednym z Fogów. Żegnam panów.

— Nie — wstrzymał ją Etienne — proszę zostać i zjeść z nami kolację. Na ten wieczór zapomnijmy o portrecie. Chyba nie odmówi nam pani swego towarzystwa?

Désirée spojrzała nań przeciągle, w ciemnozielonej toni zatańczyły złote iskierki.

— Dobrze, zostaję — powiedziała cicho.

— A co, nie mówiłem? — zasyczał Paul w uchu przyjaciela.

Przysiadłszy na niskiej kanapie, Désirée utkwiała oczy w Etienne'a, który przysunął blisko fotel, by widzieć ją dokładnie.

— Nie będę oryginalny, jeśli powiem, że jest pani bardzo piękna — powiedział ściszym głosem.

Na koralowych ustach Désirée ukazał się lekki uśmiech i zaraz przepadł.

— Pani też mi kogoś przypomina — ciągnął Etienne — kogoś, kogo znałem — ale kto to był? Za żadne skarby nie mogę sobie przypomnieć.

— Monsieur był w Paryżu... całkiem niedawno, sądząc po akcencie. Być może znał pan mojego brata.

— Pani brata?

— Aupre Hippolyte'a.

Czarne brwi Etienne'a złączyły się w groźną linię.

— Owszem, znam go... dobrze. Gdzie teraz jest?

— Wrócił do Francji. Nie odpowiadał mu... tutejszy klimat

— Klimat?

— Powiem prawdę, monsieur. Napadła go banda zbirów. Skatowali go tak nieludzko, że ledwie uszedł z życiem. Ale wstrząs, jakiego doznał, był jeszcze gorszy niż obrażenia cielesne. Pielęgnowałam go, aż wrócił do zdrowia, a potem odesłałam go do Francji. Mam nadzieję, że jest tam bardziej szczęśliwy niż tu.

— A... ci, co go napadli? Désirée wzruszyła ramionami.

— Bóg ich skarże — powiedziała.

— Ale czy... czy nie rozpoznał żadnego z nich?

— Nie chciał nic mówić na ten temat, a ja go nie ponaglałam, monsieur.

— Doskonale — oświadczył Etienne. — Bardzo rozsądnie z pani strony.

Désirée siedziała nieruchomo jak piękny posąg, patrzyła na rozmówcę spokojnie, bez skępowania i kokieterii. Gdy patrzyła w bok, dostrzegł złote drobiny zatopione w głębinie jej przepastnych oczu.

Paul zakrzątał się koło wieczerzy, żył po kawalersku, obywając się bez pomocy służących. Désirée natychmiast wstała, by zaoferować swoje usługi.

— Nie, nie! — zaprotestował. — Dziś jest pani moim gościem.

— I to wybitnie urodziwym — zawtórował Etienne.

— Dziękuję, monsieur — odparła Désirée, która jednak uparła się pomagać gospodarzowi. W kilka minut na stole zjawily się talerze z serami,

brioche i dzban z gorącą cafe au lait. Etienne patrzył, jak nalewała kawę do filiżanek, jej ruchy miały wdzięk i powagę królowej. Nagle ogarnęły go wyrzuty sumienia — kochana maleńka Ceclie, nie ujarzmiona jak żrebica z prerii, o równie żywiołowym temperamencie. Powolne ruchy tej kobiety były dziwnie kojące. Gdyby przyłożyła smukłe, miękkie dłonie do rozpalonego gorączką czoła, chory uczułby miły chłód. I głos ma łagodny, głęboki, i tak uroczym przeciąga sylaby. Taki głos nigdy nie rozdarłby ciszy jazgotliwym wrzaskiem, ta kobieta nie zna gniewu, nieopanowania, hysterii. A jednak tli się w niej tajemny płomień, który nigdy nie zgaśnie. Etienne wyczuwał instynktownie, że ten ciemny płomień potrafi niepostrzeżenie wtargnąć w żyły mężczyzny, osmalić mu zmysły i wypalić serce. Uważaj, mówił do siebie, ta odtrutka jest bardziej niebezpieczna niż jad...

— Desiree...

— Tak?

— Chciałbym odprowadzić panią do domu. A potem chciałbym u pani bywać.

Szmaragdowe oczy przysłoniła czarna firanka.

— Przykro mi — odparła cichym głosem — ale to nie wchodzi w rachubę.

— Dlaczego?

— Pan jest biały, dzieli nas krew, dzieli nasz wszystko.

— W Luizjanie to nie jest istotna przeszkoda.

— Wiem, ale czasy kwarterońskich balów odeszły w przeszłość. Od sześciu już lat nie odbył się ani jeden taki bal — i tak jest lepiej.

— Nie zgadzam się — tamte związki miały w sobie godność i przyzwoitość. Teraz życie stało się niepotrzebnie plugawe.

— Być może. Aleja mam już za sobą wszelkie związki. Od czasu, gdy zerwałam z tamtą przeszłością, zaznałam goryczy samotności, ale także jej pociechy. — Wstała. — Żegnam, panowie.

Etienne sposepniał, wstał ociągając się.

— To prawda, jestem biały — powiedział z namysłem.

— Jednak o jednym pani zapomniała: jestem białym, który urodził się i wychował w Luizjanie. Nigdy nie pozwoliłem, by ktoś z pani rasy — nawet jeśli prawie do niej nie należał — sprzeciwił się moim życzeniom. Teraz też na to nie pozwolę. To pani peleryna?

Désirée, zaskoczona, zatrzepotała rękami, zielone oczy zogromniały, pociemniały.

— Tak, moja — zaszemrał głęboki melodyjny głos tak cicho, że Etienne i Paul nie byli pewni, czy w ogóle coś słyszeli.

Etienne podał jej pelerynę i ujął pod ramię władcym gestem, wyszli razem.

RS

ROZDZIAŁ 24

Stephen Fox złamał pieczęć listu, który przywiózł orleański pocztylion. Pochylił nad lekturą ściągłą, pobrużdżoną twarz.

— Święci pańscy, ależ ten Mike kaleczy angielską mowę! — zawołał. — I skrobie jak kura pazurem.

Aurore podniosła oczy znad robótki.

— Co się stało, Stephenie? — w jej ustach imię męża brzmiało jak pieszczota.

— List od Mike'a Farrela. O ile dobrze wnioskuje z jego bazgraniny, zamierza ścigać się na „Creole Belle” z „Thomasem Moore” — w dół rzeki, od St. Louis do Nowego Orleanu.

— W jego wieku! A mówiłeś, że rzucił pływanie.

— Tak, ale znasz Mike'a. Zawsze czupurny, zawsze gotów podjąć wyzwanie. Stawki urosły już do stu tysięcy dolarów. Wyniki pójną kablogramem do Europy, ludzie porobili ogromne zakłady. Zarzeka się, że to będzie jego ostatni rejs.

— Kiedy zaczyna się wyścig?

Stephen ponownie zagłębił się w lekturze.

— Powiada, że dwudziestego siódmego. Ale to przecie było wczoraj! Jeśli dobrze się spisze, to jutro rano będzie płynął obok Harrow. Julie!

Czyste dźwięki pianina umilkły w jednej chwili.

— Tak, papo?

— Jutro rano „Creole Belle” minie naszą przystań. Nie zaśpij, śpiochu, bo przegapisz nie lada jakie widowisko. Będzie na co popatrzeć, ręczę!

Julie wpadła do saloniku. Czarne oczy zaiskrzyły się, policzki poróżwiały bardziej niż zwykle.

— Będziemy patrzeć z belwederu, tatku? Mike wygra, jestem pewna!

— Jasne! — śmiał się Stephen. — „Belle” nie da się zakasać żadnemu statkowi z tej rzeki! Dlaczego ten stary pirat nie dał mi wcześniej znać! Sam mógłbym postawić jakąś ładną sumkę...

— Stephenie, Stephenie — pokiwała głową Aurore.

— Czy już nigdy nie wyzbędziesz się tej skłonności do hazardu?

— Nie, całe życie jest hazardem, pasjonującą loterią. Dotąd wygrywałem najcenniejsze fanty: ten dom, ziemie, ciebie...

Aurore zarumieniła się jak młoda dziewczyna.

— Musisz wyjść za Irlandczyka, córeczko — powiedziała do Julie. — Zawsze znajdują jakieś szalenie miłe słówko.

— O ile znajdę kogoś takiego jak papa. To najmilszy, najukochańszy staruszek pod słońcem, prawda, mamó?

— Dziękuję wam, moje kochane. Czy mam wezwać służących, by wymietli te naręczą wonnego kwiecica, którym mnie obrzuciłyście?

— Och, tatku! — piszczała Julie rozbawiona. Stephen pogładził słoneczne loki swojej jedynaczki.

— Marsz do pianina, córko! — rozkazał ze śmiechem.

— Zdaje się, że trochę fałszowałaś.

— Oj, tatku, teraz nie mogę grać — opierała się — jestem taka podekscytowana.

— Niech zostanie — poprosiła Aurorę.

— Widzicie? — nasrożył się na niby. — We własnym domu nie mam posłuchu.

We drzwi wtoczyła się opasła figura Jean-Jacquesa, majordomusa. Zakasłał z szacunkiem, by zwrócić na siebie uwagę państwa.

— O co chodzi, Jean? — spytała Aurorę.

— Jakaś panienska chce się widzieć z maitresse.

— Wprowadź ją tutaj. Czy ją znam?

— Chyba tak, maitresse, ale...

— Proś ją, Jean.

Majordomus rozłożył ręce w wymownym geście galijskim i wywrócił oczami.

— Dobrze, już dobrze — burknął czarny sługa. — Ale to przecież jakaś dzikuska. Człowiek słowa nie może powiedzieć w tym domu — i potoczył się gniewnie przez hall.

Aurorę popatrzyła na męża unosząc brwi. W hallu zadzwoniły ostrogi i w drzwiach stanęła Ceclie Cloutier, w jej twarzy nie było kropli krwi.

— Gdzie on jest? — zawołała i łzy jak groch potoczyły się po białych policzkach.

— Ale kto? — zapytał Stephen.

Ominawszy Stephena wzrokiem, jakby go wcale nie było, Ceclie wbiła brązowe źrenice w twarz Aurorę.

— Pani chowa go przede mną! — zawołała z wściekłością. — Dobrze wiem, że to pani sprawka!

Aurorę odwróciła się do Julie, dziewczynka stała z otwartą buzią, wybałuszając czarne oczy do granic możliwości.

— Wyjdź stąd — rzuciła szorstko. — Idź do siebie.

— Ale mamó...

— Rób, co każe ci mama — powiedział spokojnie Stephen. Dziewczynka natychmiast wybiegła z pokoju. Gdy umilkł stukot jej bucików na schodach, Stephen zwrócił się do przybyłej:

— A teraz, młoda damo, zechce nam pani wytłumaczyć, o co jej chodzi.

— OTienne'a — szepnęła cichutko. — Nie widziałam go już od trzech tygodni. Najpierw myślałam, że może chory, ale to trwa zbyt długo, dłużej tego nie zniosę...

Aurorę przyglądała się zmizerowanej twarzyczce.

— Proszę, niech pani usiądzie — powiedziała łagodnie. Stephen wstał i przysunął dla Ceclie fotel. Siadła jak

lunaticzka, w głębi przepastnego fotela wydawała się maleńka i zagubiona.

— A teraz zacznij od początku, Ceclie. — Mówił miękko, jak do dziecka lub osoby chorej.

— Wychowałam się w Teksasie. Nie znam się na dobrych manierach i takich tam fidrygalkach — powiedziała Ceclie.

— Aurorę zauważyła, że Stephen skrzywił się przy fidrygalkach. — Chciałam widywać się z Tienne'em, ale ojciec powiada, że jestem za młoda, by przyjmować wizyty kawalerów, więc przyjechałam tutaj. Potem zrozumiałam, że tak się nie robi, nawet Tienne miał o to pretensję. Zaczęliśmy się spotykać, gdzie popadło i kiedy się dało. Przeważnie siedzieliśmy na koniach i gadaliśmy do upadłego...

Aurorę spojrzała bystro na dziewczynę.

— Tak, całowałam się z nim! — zawołała Ceclie hardo.

— Każda by się z nim całowała, może nie?

— Nie wątpię — odparła Aurorę z uśmiechem. Ceclie zapadła głębiej w fotel. Po chwili wyprostowała się, spojrzała Stephenowi prosto w oczy.

— Ale to było wszystko — oświadczyła. — 'Tienne to prawdziwy dżentelmen.

— Spodziewam się — odparł Stephen.

— Nigdy przedtem się nie całowałam. Ani mi to było w głowie. Ale jeśli zaraz go nie zobaczę, to umrę. Pragnę go tak mocno, że wszystko we mnie boli i krzyczy... — Zakryła twarz rękami i zanosła się głośnym płaczem.

Aurorę podeszła do fotela Ceclie, objęła wstrząsane szlochem ramiona dziewczyny.

— Ceclie — powiedziała łagodnie. — Nigdy ani słowem ani gestem nie zabraniałam mu przestawać z tobą. Musisz mi uwierzyć. Jeszcze dziś mój mąż pojedzie do Rosemont i poprosi twojego ojca o zgodę na wizyty Etienne'a, tak jak to jest przyjęte w świecie.

Cecile podniosła na nią rozjaśnione oczy: — Och, madame — zawołała z płaczem. — Madame,

— Nie musisz mi dziękować, dziecko. Miłość może być ciężarem nad siły. A jeśli chodzi o Etienne'a to naprawdę nie wiem, gdzie teraz jest. Całymi dniami nie ma go w Harrow. Wiem tylko, że zwykle wysiaduje w pracowni Paula Dumaine na ulicy Dauphine. Z Paulem widzimy się często — właściwie częściej niż z własnym synem. Cecile natychmiast wstała z fotela.

— Na twoim miejscu nie jeździłabym tam za nim — wstrzymała ją Aurore łagodnie. — To także nie byłoby właściwe. Zdobać się na odrobinę cierpliwości. W ciągu tygodnia Etienne zjawi się w Rosemont — dopilnujemy tego.

— Dziękuję pani — szepnęła Cecile. — Dziękuję z całego serca!

Postąpiła krok do przodu i zanim któreś z nich zdążyło podbiec, runęła jak długa na podłogę. Aurore przyklękła obok leżącej.

— Przynieś wody, Stephenie — powiedziała. — Zemdlą biedactwo.

Stephen wyszedł pospiesznie i zaraz wrócił ze szklanką wody. Uniósł zemdlonej głowę, a jego żona wlała odrobinę wody w bezkrwiste usta. Cecile otworzyła piwne oczy.

— Przepraszam — szepnęła. — Tak strasznie mi przykro!

Aurore spojrzała na Stephena, lecz on nie odrywał oczu od przezroczyście białej twarzy dziewczyny.

— Kiedy ostatnio jadłaś, dziecko? — zapytał.

— Jakieś cztery dni temu — szepnęła Cecile. — Skąd pan wiedział?

— Znam objawy zagłodzenia. Nieraz go doświadczałem w młodości. Każ ją zanieść do łóżka — powiedział do Aurore. — Daj jej brandy i mleka, a potem odrobinę bulionu — ale żadnych treściwych pokarmów. Jadę zaraz do Rosemont, porozmawiam z Phillippe'em. Muszę załatwić tę sprawę od ręki!

Po jego odejździe w Harrow zapadła głęboka cisza. Cecile, leżąc w łóżku sączyła rozgrzewający napój, wodząc za Aurore spojrzeniem bliskim uwielbienia.

— Szkoda, że nie jestem taka jak pani — powiedziała.

— Ojciec usiłował zrobić ze mnie damę, ale ja stawałam okoniem. Za nic nie chciałam się uczyć. Ale teraz chcę — bardzo. 'Tienne wstydzi się mnie, dlatego przestał do mnie jeździć. Zresztą ojciec także. Mówi, że jestem nieokrzesa, że wyrażam się jak Murzynka. 'Tienne mówi po francusku zupełnie jakby śpiewał. To taki ładny język, ale ja nie rozumiem słowa z

tego co mówi. Nie mam wykształcenia, brak mi ogłady. Wiem, że nie jestem odpowiednią partią dla niego, ale tak strasznie go kocham...

Aurorę błyskawicznie obmyśliła nowy projekt.

— A może przyjeżdżałabyś tu co dzień rano i brała lekcje razem z Julie? — spytała. — Mogłabym cię uczyć francuskiego, gramatyki angielskiej i robótek. Julie uczyłaby cię grać na pianinie, chociaż Bogiem a prawdą, sama niewiele umie...

— Och madame, to byłoby cudowne! — nagle twarz jej zgasła. — Mój ojciec nigdy się na to nie zgodzi — powiedziała zniechęcona.

— To się jeszcze okaże. Prześpij się trochę, zanim ojciec po ciebie przyjedzie. O ile znam Phillippe'a to nie każe długo na siebie czekać.

Kiedy cztery godziny później w Harrow zjawił się Phillippe, Ceclie spała jak zabita. Pochylił się nad drobną figurką córki i jego surowa twarz złagodniała.

— Może byłem zbyt szorstki — powiedział — ale chodziło mi o jej dobro. A ona jest jeszcze taka młoda.

— Właśnie. Tak zajęła pana budowa Rosemont, że zapomniałeś o córce. — oświadczył Stephen. — Trzeba się było ożenić, Phillippe. Dziewczynie źle bez matczynej opieki.

Phillippe uśmiechnął się krzywo.

— Z kim się miałem żenić? Nie zadowolę się byle czym. Miałem iść pana tropem jak szakal i brać to, czym wzgardziłeś? Zabrałeś mi pan sprzed nosa najlepsze kąski.

— Ależ Phillippe, w Luizjanie nigdy nie brakowało ładnych panien — odezwiała się Aurorę.

— Tak, ale żadna nie umywała się do siostr Arceneaux, a on sprzątnął mi je obie sprzed nosa. To woła o pomstę do nieba!

— Ten żart pochlebia mi — dziękuję, Phillippe. Mam do pana prośbę...

— Pani życzenia są dla mnie rozkazem.

— Proszę mnie najpierw wysłuchać. Otóż chciałabym, żeby Ceclie przyjeżdżała tu codziennie ze swoją damą do towarzystwa i uczyła się z Julie. Bo z pana kiepski nauczyciel, Phillippe.

— Ceclie nie chce się uczyć! Wprost stawiałem na głowie...

— I zmuszał ją pan do nauki. Ale teraz zapragnęła się uczyć. Dopilnuję, by miała tu odpowiednią opiekę. Etienne będzie się z nią widywał wyłącznie w pańskim domu i za pańskim przyzwoleniem.

Phillippe nasepił brwi.

— Dobrze, zgoda — ustąpił niechętnie. — Nie chodzi o to, że temu chłopcu ufam mniej... niż jakimkolwiek innemu w jego wieku. Po prostu

pamiętam siebie z tamtych lat. A i pan, Stephenie, použíwał sobie życia co się zowie.

— Ciszej, Phillippe! — przerwał mu Stephen z uśmiechem. — Moja żona i tak zbyt wiele wie o mojej przeszłości. Po co jej przypominać o starych sprawach.

Aurorę popatrzyła na Ceclię, śpiącą w wielkim łózu z baldachimem spokojnie jak dziecko.

— Niech jej pan nie budzi, Phillippe — poprosiła.

— To biedactwo jest u kresu sił. Niech zostanie na noc. Rano odeślemy ją panu.

— Nie, sam po nią przyjadę, chociaż wściekle daleko do tego waszego wygwizdowa.

— Więc niech i pan przenocuje u nas — zaproponował Stephen. — Rano będzie tędy przepływała „La Belle” — ściga się z „Tomem Moore”. To będzie pasjonujące wydarzenie.

Phillippe uśmiechnął się szelmowsko.

— Dla takiego widowiska zostałbym na noc choćby w piekle. Stawiam tysiąc na „Thomasa Moore” i tyle samo płacę w razie przegranej, Zgoda, Stephenie?

— Zgoda! Ja ze swej strony podwoję stawkę. Żaden statek kursujący po Missisipi nie pokona „Belle”.

— No i co pan narobił, Phillippe — biadała Aurorę.

— Prosiłam Stephena, żeby tu pana przywiózł, a pan znów wciąga go do gry!

— Proszę wybaczyć, Aurorę, ale sposobność oskubania Stephena Foxa nie trafia się co dzień. A teraz, gdyby mi ktoś wskazał pokój, gdzie będę się mógł przespać...

— Proszę za mną — powiedział Stephen — i niech pan trzyma sakiewkę na podorędziu.

Nazajutrz o brzasku Julie i Ceclie wyszły na belweder, wieńczący wysoki dach Harrow. W dali widziały rzekę, połyskującą srebrzyście nawet o tej szarej godzinie. Ani śladu statku — gładkiej tafli Missisipi nie mąciło nawet czółno.

— To już niedługo — szepnęła Julie — a te śpiochy jeszcze nie wstały! Może my pierwsze wypatrzymy „Belle”?

— Mam nadzieję — powiedziała Ceclie. — Wiesz, podoba mi się w Harrow. Masz szczęście, że tu mieszkasz.

— Ale ty też tu zamieszkaś — kiedy pobierzecie się z Tienne'em. Strasznie się cieszę, że będę miała siostrę. Za całe rodzeństwo mam Tienne'a, a jego prawie nigdy nie ma w domu.

Śliczna twarz Ceclie sposepniała.

— Może to się nigdy nie stanie — powiedziała. — Może on już przestał mnie kochać.

— Ależ kocha, kocha! Jakby mógł cię nie kochać? Jesteś taka ładna!

— Dziękuję ci, Julie, ale nie widziałam go od tak dawna. Lecz nie mówmy o tym. Mam nadzieję, że zwycięży „Belle”, chociaż ojciec obstawił ten drugi statek — po prostu dlatego, że „Belle” należy do ciebie... i Tienne'a.

Czekały w zupełnej ciszy, w szarzącym mroku, wyteżając oczy aż zaczęły łzawić.

— Ojej! — zajęczała Julie. — Czy oni nigdy nie przyplyną?

Jak na zawołanie z góry rzeki dobiegł przeciągły grzmot, a pola odpowiedziały echem.

— Co to było? — spytała Ceclie.

— Działo! Dali znać, że jada! Papo! Mamo! — krzyczała dziewczynka, zbiegając w dół na złamanie karku. Za zakrętem schodów wpadła na rodziców i Phillippe'a Cloutiera, którzy właśnie szli na górę. Ujawszy ich pod ramię, prawie wlokła ich za sobą po schodach.

— Żywiej, guzdrały — popędzała. — Odplyną, zanim wejdziecie na belweder.

— Opamiętaj się, córko — śmiał się Stephen. — Strzelali z odległości pięciu mil. Mamy mnóstwo czasu.

— Żeby zobaczyć „Belle” — wtrącił Phillippe. — Ale jeśli się nie pospieszycie, nie zobaczycie „Thomasa Moore”.

— Jeszcze jeden tysiąc! — huknął Stephen.

— Stoi! — oświadczył Phillippe.

— Stephen, wtrącisz nas w nędzę — zajęczała Aurorę. Gdy weszli na belweder, rozległ się drugi grzmot, bliższy i wyraźniejszy. Na szczupłej twarzy Phillippe'a ukazał się sardoniczny uśmiezek.

— Drugi sygnał — powiedział. — „Moore” idzie pierwszy, Stephenie.

— Tak, ale „Belle” wyprzedzi go jeszcze przed zakrętem rzeki, spokojna głowa.

Niebo szarzało powoli. Nagle zza zakrętu rzeki wystrzelił w górę czerwony język ognia, kłęby czarnego dymu wzbily się w niebo.

— Co to było? — spytała Ceclie, odwracając się do ojca, Phillippe spojrział na Stephena.

— Ognisko, na znak, że wpływają na moje wody. Są tuż—tuż.

Czekali w napięciu.

Tuż przed zakrętem rzeki „Creole Belle” zmagala się z białą kipiela, którą wzbijały koła łopatkowe „Thomasa Moore”. Stojąc w oszklonej kabinie pilota, Mike Farrel wpatrywał się w rzekę swym jedynym okiem.

— Niech to piekło pochłonie! — ryknął. — Co oni tam robią pod pokładem? Wszystkie czarnuchy posnęły czy pomarły? Chryste, a tamci wciąż prują do przodu! Coraz dalej! Słuchaj no! — zawołał do pilota — siądź tamtych na ogon, nie popuszczaj! Dodam jej pary! Nie pozwolę, żeby Stevie patrzył jak przegrywam — prędzej rozwalę wszystkie kotły!

Pobiegł żwawo na dół, jakby nie miał siedemdziesiątki na karku.

— Rozum go całkiem odszedł! — mruknął pilot. — Nie dziwota, w tym wieku... — pochylił się czujnie, wypatrując ławic piachu.

— Juniper! — zaryczał Mike. — Co z tobą, czarny draniu?! Nie możesz z niej wydusić krztyny pary?

Palacz wskazał drżącym palcem na ciśnieniomierz. Wskazówka podrygiwała nerwowo na granicy czerwonej linii.

— Do diabła z tym! Niech czarnuchy biorą się do roboty!

— Dodać pary! — zawołał Juniper, przekrzykując ogłuszający huk maszynowni. — Kapitan Mike każe dodać pary!

Czarni palacze spojrzeli bojaźliwie na starego szypra. Po chwili zaczęli dorzucać drewno do paleniska, lecz w tempie iście ślimaczym. Mike rzucił się na nich jak rozwścieczony niedźwiedź. Kilka celnych kopniaków, kilka lewych i prawych wymierzonych wielkimi kułakami — i statek wyraźnie przyspieszył.

— Już ja was nauczę, śmierdzące lenie — pokrzykiwał zdyszany. — Albo się ruszycie do roboty, albo wrzucę któregoś do pieca, wytopię trochę łożu, żeby lepiej buzowało!

Przerażeni Murzyni błyskali w półmroku białkami oczu. Zza podwójnych drzwi komory ogniowej wymykały się czerwonożółte płomienie. Mike nie ruszał się od ciśnieniomierza. Wskazówka pięła się powoli do czerwonej linii.

— Zablokować! — krzyknął Mike, wskazując włochatym paluchem zawór bezpieczeństwa.

— Ale, panie kapitanie... — zajęczał Juniper.

— Zablokuj go, albo — jak tu stoję — zedrę z ciebie po kawałeczku skórę, zrobię z ciebie czerwoną małpę! No, do roboty!

Juniper podszedł posłusznie do zaworu, lecz ręce mu tak latały, że lina wypadła mu na podłogę. Po chwili na podłogę poszybował sam Juniper —

Mike wymierzył mu tęgiego kopniaka podkutym buciorem, po czym z całym spokojem obwiązał zawór liną.

— A teraz dorzucić smołowanej podpałki i sześć beczek łożu! — huknął.

— Na rany Chrystusa, panie kapitanie, wszystkich nas pan pozabija — mówił Juniper łamiącym się głosem.

— Wylecimy aż do nieba ani chybi! Niech się pan zlituje!

— Wylecicie do piekła, nie do nieba, łożuzy, bo tam wasze miejsce! Jazda, ładować do pieca!

Juniper wyszedł, pędząc przed sobą niewolników, jego grube afrykańskie wargi poruszały się w bezgłośnej modlitwie. Zaraz wrócili, tocząc beczki z łożem, obładowani żywicznymi bierwionami, które palą się tak łatwo jak hubka.

— Ładować! — rozkazał Mike. — Wszystko naraz!

— Wszystko naraz? — powtórzył Juniper szeptem.

— Głuchy jesteś?!

Gdy otworzyli drzwiczki komory ogniowej, ogień buchnął na dwa jardy. Spoceni Murzyni zaczęli ciskać w to piekło ognia beczki łożu i suche jak pieprz polana. Mike stał w milczeniu nad ciśnieniomierzem. Wskazówka nieustannie sunęła w górę, przekroczyła czerwoną linię i pięła się wyżej i wyżej. Mike zadowolony wyszedł z kotłowni i pospieszył do sterówki.

Przywarłszy kurczowo do koła sterowego, pilot na przemian modlił się i przeklinał. Potężne koła łopatkowe młóciły wodę na białą kapiel, która wzbijała się w górę jak wysoki gejzer, ogromne fale biegnęły szeroko po rzece. „Creole Belle”, dygocąc jak oszalała bestia, powoli doganiała „Thomasa Moore”.

Na Foxowej grobli Murzyni krzyczeli co sił w płucach. Sucho trzaskały wystrzały na wiwat. Wzdłuż całego nasypu huczały ogniska, podsycane łożem i chrustem.

Na szczycie Harrow, w belwederze, Ceclie i Julie, oniemiały z przejęcia, stały objawszy się wpół. Stephen nie odrywał od rzeki roziskrzonych oczu, szrama na skroni jarzyła się czerwono. Phillippe wsparty niedbale o mur, ćmił długie cygaro.

Po chwili, ostro dysząc czarnym dymem, wypadły zza zakrętu oba statki. Oba zagwizdały jednocześnie, po rzece poniósł się głęboki, przeciągły głos, budząc w sercach nieokreślony smutek i tęsknotę.

— Matko Boska... — szepnęła Stephen.

„Creole Belle” wysforowała się do przodu, dzieląca oba statki przestrzeń białej wody rosła w oczach.

— No i co pan na to? — zawołał Stephen, zachłystując się z radości.

Phillippe pochylił się do przodu, wbił w ramię Stephena żelazne palce. Poruszył ustami, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Stephen zmarszczył brwi, znów odwrócił się w stronę rzeki.

Nagle z „Creole Belle” wysunął się długi język ognia i liznął tafłę wody daleko przed statkiem. W następnej chwili rozległ się ogłuszający huk eksplozji. W chłodne poranne niebo buchnęły jasne płomienie, unosząc wysoko w górę drzazgi drewnianego kadłuba i kawałki wszelakiego żelastwa. Szczątki te obróciły się powoli w płonącym powietrzu i prawie bezgłośnie spadły do wody. Sokole oczy Stephena wypatrzyły martwego pilota „Belle” — leżał przewieszony przez stłuczone okno kabiny, wśród płomieni — oraz gigantyczną postać Mike'a, napierającego z całych sił na ster: kierował statek w stronę brzegu.

— Mój Boże, Boże miłosierny — płakała Aurorę. „Belle” była teraz jedną wielką żagwią — płonęła od dziobu po rufę — lecz stary szyper Mike zmagał się z żywiołami ognia i wody, zdecydowany doprowadzić ją do przystani. „Thomas Moore”, który już ją wyprzedził, na próżno próbował wyhamować, by zawróciwszy, spieszyć z pomocą nieszczęsnej rywalce. Siła rozpędu niosła go dalej i dalej.

Stephen rzucił się w dół po schodach, nawołując po drodze niewolników.

— Przynieście mąki! — krzyczał. — Jak najwięcej, ile znajdziecie!

Phillippe i dziewczęta biegli tuż za nim, nieco dalej spieszyła Aurorę.

Gdy przybiegli nad rzekę, „Creole Belle” dobiła już dziobem do nasypu, Mike utrzymywał ją w tej pozycji resztką sił. Pasażerowie — ci, których oszczędził wybuch — skakali z dziobu na drewnianą przystań, która także zaczynała się tlić. Biegli jak żywe pochodnie — ich odzież, włosy płonęły jasno. Rzucali się na błotnistą ziemię, tarzali krzycząc i wyjąc.

Niewolnicy biegali wśród nieszczęsnych, dławiąc płomienie szmatami, zdzierając płonącą odzież z mężczyzn i niewiast, by następnie taczać te ogłupiałe, poparzone kukły w stosach mąki, którą na wyścigi zwoziły dworskie furmanki. Pasażerowie, których wybuch zaskoczył dalej na rufie, nie mogli już dobiec na dziób w szalejącej powodzi ognia. Płonąc, skakali za burtę, wpadali z sykiem we wzburzoną wodę, by po chwili zginąć w zdradliwych przybrzeżnych wirach.

Stephen i Phillippe uwijali się jak w ukropie, tłumiąc ogień, szarpiąc płonące szmaty, parzyli sobie ręce do żywego ciała. Aurorę i dziewczęta zwilżały chłodną wodą wargi konających. A na górnym pokładzie Mike Farrel umarł tak jak żył — we wspaniałym stylu!

Po godzinie z rozbitków żyło już tylko pięcioro. Zaniesiono ich do dworu i złożono jak najdelikatniej na wielkich łożach Harrow. Julie nie

odstępowała Incha i JeanJacquesa, którzy nieśli gibkie ciało młodzieńca lat może siedemnastu. Dziwnym trafem twarz i włosy miał nietknięte przez żywioł, chociaż reszta ciała była jedną wielką oparzeliną. Twarz ta, o regularnych, niemal dziewczęcych rysach, miała wdzięk greckiego efeba. Obfite jasne loki przylgnęły do wilgotnego czoła, pot spływał strumyczkami po skroniach i policzkach. Znosił swą mękę w milczeniu, nie odrywał od Julie szafirowych, szeroko rozstawionych oczu.

Opodal Ceclie usiłowała dźwignąć z ziemi jakąś młodą kobietę, pomagała jej czarna dziewczyna — szlochając gwałtownie, uniosła głowę tej kobiety i rozszłochała się jeszcze silniej.

— Cicho, głupia! — besztła ją Ceclie. — Beczenie nic tu nie pomoże.

— Zanieście go do mojego pokoju — szepnęła Julie do Incha. — Sama się nim zajmę.

Zgodnie z jej życzeniem, Inch i gruby majordomus zanieśli poparzonego do pokoju panienki. Gdy położyli go na łóżku, odprawiła ich i powoli, delikatnie zmyła mękę i błoto z pokrytego pęcherzami ciała, po czym namaściła kojącą oliwą. Choć opatrywała go nieskończenie delikatnie, co jakiś czas chłopiec wdrygał się boleśnie i jęczał cicho przez zaciśnięte zęby.

Julie nie przerywała jednak pracy, choć policzki miała mokre od łez i drżały jej usta. Skończywszy, wyprostowała się, obrzuciła leżącego wzrokiem i nagle spłonęła jaskrawym rumieńcem. Pospiesznie sięgnęła po prześcieradło i okryła chłopca. Jęknął głucho i skrzywił się z bólu.

— Zabierz to! — szepnął. — Już nie mogę, nie wytrzymam...

Natychmiast zdjęła prześcieradło i siadła przy łóżku.

— Jesteś aniołem — wymówił z trudem — ale ja... przecież nie umarłem?

— Nie, i nie umrzesz — powiedziała Julie płacząc. — Nie możesz umrzeć! Ja nie pozwolę!

Na urodziwej chłopięcej twarzy pojawił się grymas, który miał oznaczać uśmiech.

— Mieszkasz... tutaj?

— Tak — odparła cicho Julie. Spochmurniał, przymknął oczy.

— Jesteś taka dobra... nie mogę... tego zrozumieć.

— Czego nie możesz zrozumieć.

— Jak ktoś szlachetny... może żyć z krwawicy... innych ludzi. — Podciągnął się wyżej na pościeli. — Mój ojciec mówi...

— Twój ojciec?...

— Thomas Meredith... jest abolicjonistą. Jesteśmy z Bostonu. Mówi, że nie ma niegodziwszego stroju niż taki, który... — opadł na poduszki bez sił.

— Nic już nie mów, błagam cię — prosiła Julie. — To ci szkodzi.

— ...który wysługuje się ludźmi jak zwierzętami — dokończył, jakby jej nie słysząc. Patrzył na Julie szeroko rozstawionymi niebieskimi oczyma, nieruchome, o osmalonych przez ogień rzęsach, dziwnie przypominały oczy sowy.

— Jak... ci na imię?

— Julie — płakała dziewczynka.

— Jesteś śliczna, Julie... i masz piękne imię... Julie... Chcę umrzeć, powtarzając to imię. Powiedz mojemu ojcu i bratu — ma na imię Tom — że Daniel mówił... — Głowa chłopca opadła bezsilnie na poduszkę, stracił przytomność.

Julie nie opuszczała jego wezglowia przez cały dzień. Rzucił się w malignie, wciąż mówił — pospiesznie, bezładnie. Czasem zwracał się do jakichś nieobecnych osób, czasem jakby przemawiał do tłumów.

— Powiadam wam — deklamował mocnym głosem — są dziećmi Bożymi tak samo jak my, a czern ich skóry nie wymazuje ich podobieństwa do Pana! To nasi bracia, a my pozwalamy, by handlowano nimi jak bydłem, pędzono bykowcem do pracy nad siły, by odrywano ich od najbliższych i wywożono w odległe okolice...

Pod wieczór ocknął się. Spojrzał przytomnie.

— Zapal świece — szepnął — już ciemno.

— Przecież już się pałą, Danielu — tak ci na imię, prawda? W pokoju jest bardzo jasno.

Uśmiechnął się.

— Rzeczywiście, jest jasno. Tam gdzie ty jesteś, zawsze jest jasno. Ale... przysuń świecę bliżej... Julie... chcę zobaczyć twoją twarz.

Julie pobiegła do stołu po największy lichtarz i trzymając go tuż przy twarzy, przysunęła się do leżącego.

— Popatrz, Danielu! — zawołała, lecz nic nie odpowiedział. Spojrzała mu w twarz i powoli odstawiła lichtarz na podłogę.

Zakryła twarz rękami i zanosła się od płaczu.

Po godzinie, poważna, już opanowana, poszła szukać ojca. Znalazła go w gabinecie, twarz miał poszarzałą, zmęczoną. Patrzył w pustkę.

— Wszyscy umarli — powiedział. — A ten chłopiec? Julie skinęła w milczeniu głową.

— Szkoda — szepnął. — Był za młody, by umierać.

- Ojciec...
- Tak, córeczko?
- Chcę jechać do szkoły, na Północ. Stephen popatrzył na nią, nie kryjąc zdumienia.
- Ale dlaczego? Mamy tu równie dobre szkoły i nauczycieli...
- Zgadzasz się, ojciec?
- Milczał, zachmurzony. Po chwili rozjaśnił się.
- Zgoda, możesz jechać, gdy ukończysz szesnaście lat. — Wstał. — Chodź, mama na pewno nas potrzebuje. Wzięli się za ręce i poszli przez wielki hall.

RS

ROZDZIAŁ 25

Z samego rana, tuż po odjeździe Cloutierów, przyjechał Etienne Fox.

Włókł się noga za nogą, zgarbiony, przygnębiony.

Do czarta z tą kwarteronką! Nawet wyrafinowane kokietki paryskie nie znały tylu perfidnych sposobów zwodzenia mężczyzny! Pewne spojrzenie — gest — nagły ostry śmiech przecinający gęstniejącą atmosferę i wiele innych sztuczek miała na zawołanie ta zwodnica, podczas gdy Etienne złościł się, boczył, zżymał i zyskiwał tyle co nic. Najbardziej gniewały go ustawiczne aluzje do dzielącej ich różnicy wieku: — Byłam tu i tam... robiłam to i owo... gdy pana jeszcze nie było na świecie!

— Niech to jasny piorun spali — wściekał się młodzieniec. — Wiesz doskonale, że między nami jest tylko osiem lat różnicy!

— Tak niewiele? — odpowiadała spokojnie. — Wydawałoby się, że o wiele więcej...

Przecież musi, musi być jakiś sposób poskromienia tej kobiety. Zatrzymał nagle konia, wciągnął powietrze w nozdrza. Co to za swąd? Czy coś się pali? Harrow? Serce ścisnęło mu się boleśnie. Z całym okrucieństwem wbił ostrogi w boki palomino. Kiedy wypadł z za zakrętu stwierdził, że dwór stoi jak stał w całej swej białej chwale, na tle ciemnego starodrzewu.

A jednak swąd nie zniknął. Etienne odwrócił się w stronę przystani, patrzył Wstrząśnięty.

Z przystani zostało czarne, dymiące rumowisko. W rzece tkwił nieruchomo jakiś szerniały kadłub — do niedawna szybki statek pocztowy. Etienne podjechał bliżej i długo wpatrywał się we wrak, o jakby znajomej sylwecie. Trudno było jednak rozpoznać statek w tym strzaskanym, wypalonym wraku. Na wodzie unosił się jakiś barwny szczątek. Etienne pochylał się. Był to kawałek deski pociągniętej zielonym lakierem, na której ozdobnymi literami wypisano: „CREOLE BE” — złote litery urywały się nagle, dalej było tylko strzaskane, zwęglone drewno.

— „Creole Belle” — szepnął. — Boże miłosierny... Jadąc dębową aleją, ujrzał dużą gromadę Murzynów, krzątających się na niezagospodarowanym jeszcze spłachetku ziemi, przylegającym do prywatnego cmentarza Harrow. Łopatami i kilofami wykopywali długi rów głębokości co najmniej sześciu stóp a długości ponad pięćdziesięciu. Opodal, w równych rządkach leżały jakieś dziwaczne białe tłumoki. Etienne przypatrywał im się bezmyślnie. Gdy zrozumiał czym były, zaczął je powolutku liczyć. Doliczył do stu i przestał.

— MonDieul — szepnął. — Czy nikt się nie uratował? Spojrzał w stronę matczynego mauzoleum. Tuż obok drewniany krzyż znaczył świeżą mogiłę. Etienne'owi nagle zabrakło tchu. Ktoś z rodziny! Czyżby ojciec?... Etienne zeskoczył z konia i pobiegł przez błoto jak oszalały. Stał, przebiegł wzrokiem wyryte w krzyżu litery:

„Michael Farrel. Urodzony — puste miejsce — Zmarł: 3 czerwca 1854 roku. Niech spoczywa w spokoju.”

— Stary Mike — powiedział cicho Etienne. — Cóż to był za typ! Chłop na schwał! Więc zginął razem ze swym statkiem. Pewnie o takiej właśnie śmierci myślał... A jednak — umrzeć w ten sposób... Boże miłosierny, ci ludzie umierali w straszliwych męczarniach!

Wsiadł na konia i ruszył powoli, ze spuszczoną głową. W hallu czekał Stephen. Ojciec jest taki zmizerowany, zgaszony, pomyślał Etienne. Zaczyna się starzec...

— "Tienne.

— Tak, ojciec?

— Czy wymagamy zbyt wiele, oczekując, byś od czasu do czasu zaszczycił nas swoją obecnością? Wczoraj bardzo nam ciebie brakowało. „Creole Belle”...

— Wiem — przerwał mu Etienne szorstko.

— Byli także Cloutierowie. Phillippe zgodził się, byś bywał u jego córki.

— To niemożliwe!

— Owszem, możliwe, tylko nie bardzo rozumiem...

— Ojcie, to wspaniałe, cudowne! Koniec z rozmowami w deszczu, chłodzie, gdy woda leje się za kołnierz. Jadę do niej natychmiast!

— Tak, chyba już pora.

Etienne zawrócił raptownie, czarne brwi zsunęły się nisko nad zimno patrzące oczy.

— O co ojcu chodzi?

— Jesteś taki przywiązany do swojej dzikiej róży prerii, a jednak nie bywasz u niej już od trzech tygodni. Nie tak zdobywało się względy panny za czasów mojej młodości. Byliśmy wy trwalszymi zalotnikami.

— To wyłącznie moja sprawa, ojcie. Mam dwadzieścia cztery lata. Nie muszę się przed nikim tłumaczyć z moich poczynań i na litość boską...

— Nie unoś się, synu. Faktycznie nie potrzebujesz się z niczego tłumaczyć. Sprawa między tobą a Ceclie dotyczy wyłącznie was obojga. Ale uważam, że jeśli młody człowiek nie bywa we własnym domu całymi tygodniami, to zwykła przyzwoitość wymaga, by dał znak życia rodzicom.

Czy masz lat dwadzieścia cztery czy sto, nie masz prawa tak denerwować matki.

Na usta Etienne'a wypełził paskudny, krzywy uśmiezek.

— Przekaż mojej kochanej ciotkomatce moje najpokorniejsze przeprosiny — burknął — i powiedz jej, że trzyma mnie z dala od domu pewien ważny wzgląd. Mianowicie uganiam się — jak dotąd nadaremnie — za pewną kwarteronką imieniem Désirée, która — jak na Murzynkę — jest nieprzyzwoicie wprost urodziwa.

— Tienne! — ryknął Stephen.

— Czy ojciec wołałby, żebym kłamał?

— Nie, ale nie będę tolerować podobnych wybryków! Masz z nią natychmiast zerwać! To jakieś szaleństwo!

— Szaleństwo? Być może, ale jakże miłe. Chyba mam prawo się wyszumieć — jestem młody.

— Zamilcz, Etienne!

— Doprawdy, bardzo mnie ojciec rozczarował. W końcu jestem twoim nieodrodnym synem. Nie pomyślałeś, że mógłbym odziedziczyć po tobie pewne ciekawe skłonności?

Stephen wygładził czoło, spojrzał zimno na syna.

— W porządku, Tienne — powiedział opanowanym głosem. — Jak widzę, w Paryżu dobrze cię wyszkolili. Jestem zbyt stary, by z tobą wojować. Ale powiem ci jedno: skończysz z tą Murzynką, albo szukaj sobie domu gdzie indziej. To moje ostatnie słowo.

Odwrocił się i zaczął wstępować po schodach. Etienne stał jak wryty, patrzył za ojcem. Nagle oczy mu rozbłysły. Wszystko zrozumiał.

— Ojcze!

Stephen odwrócił się.

— Ta Désirée już nie jest młódką — powiedział powoli Etienne, wpatrując się bacznie w twarz ojca. — Ma trzydzieści jeden lat.

— Cóż z tego?

— Przed szesnastu laty, gdy byłem ośmioletnim dzieckiem, ona miała już lat szesnaście. Była wtedy bardzo piękna, czy tak?

— O co ci chodzi, Tienne? — zapytał Stephen cicho.

— Tak piękna, że zanieczyściłaś Harrow i złamałaś serce mojej matce! Oczywiście to ta sama osoba! Désirée Hippolyte. Bursztyno-wowłosa Désirée o głosie jak złoty gong. Désirée — zielonooka czarodziejka. Rozpoznajesz ten portret, ojcze?

— Tak — odparł Stephen stłumionym głosem. Etienne wybuchnął hałaśliwym śmiechem.

— Człowiek to nader skomplikowany twór! — zawołał. — A już myślałem, że na stare lata obudził się w tobie jakiś zmysł moralny. I co widzisz? — typowe zachowanie psa ogrodnika — nie dam co moje, chociaż sam tego nie potrzebuję. A może wcale z nią nie zerwałeś, ciągniesz to wszystko od lat? Odpowiedz mi — nie, nic nie mów. Twoje słowa już nie mają znaczenia. Wiesz, wyglądałeś wspaniale, miotając gromy sprawiedliwego gniewu. Ale obłuda wychodzi na jaw prędzej czy później, a obłuda to rzecz szkaradna... — Jego urągliwy śmiech urwał się na wysokiej nucie, zabrzmiało to jak zduszony szloch.

Stephen, ominąwszy syna wzrokiem, patrzył na szpaler dębów, schodzący ku rzece łagodnym łukiem.

— Są różne odmiany piekła — powiedział jakby do siebie. — Ja stworzyłem swoje — na mój własny obraz i podobieństwo. Miałem nadzieję, Tienne, że będziesz mądrzejszy od swego ojca, że nie powtórzysz moich błędów. Oczekiwałem zbyt wiele. Rób co chcesz, chłopcze, idź na zatracenie swoją własną drogą.

Odrzucił się z wielką godnością i poszedł w górę po schodach. Stąpił powoli, jak człowiek bardzo znużony i stary.

Etienne powstał chwilę marszcząc brwi i pobiegł do swojego pokoju, wołając na Incha, by mu przyniósł świeżą bieliznę i przygotował kąpiel. Żadnego odzewu.

— Inch! — wrzasnął. — Ogłuchłeś, bęcwale?!

Po dłuższej chwili zjawił się stary JeanJacques, kuląc się strachliwie przed wścikłością panicza.

— Incha nie ma — wykrztusił. — Kazał to papu dać. Etienne złamał pieczęć i przebiegł wzrokiem pięknie kaligrafowane pismo, w miarę czytania twarz purpurowiała mu z pasji.

Mój dobry Panie — przeczytał na głos. — Kiedy wręczą Mu ten list, będę wiele mil stąd — w drodze do wolności. Nie wrócę tu żywy, więc jeśli zachował Pan w sercu choć odrobinę sentymentu — który ja żywię — dla wspomnień naszych dziecinnych lat, nie wyśle za mną pogoni. Trudno mi wyjaśnić, dlaczego tak właśnie postąpiłem, zwłaszcza że wiem, co Pan o tym powie: że dobrze mnie traktował i niczego mi nie brakowało. Tak było w istocie, jeśli nie liczyć szturchnięć i kopniaków, które brały się raczej z nadmiaru wina niż rzeczywistego okrucieństwa z Pańskiej strony, pominię też fakt, iż w rozmowie ze mną szafował Pan obelgami i wyzwiskami — wszystko to miało swe źródło w moim zamiarze porzucenia warstwy społecznej, w której — zdaniem Pana — winienem pozostać do końca moich dni.

Kłopot w tym, jak sędzę, że nie mam umysłowości służącego, a tym bardziej niewolnika. Nie chcę, by obchodzono się ze mną niby z jakimś kosztownym zwierzęciem, chcę, by traktowano mnie jak człowieka. Wszechmocny Bóg, powołując mnie w swej dobroci do życia, dał mi coś, czego nie posiada Pański wierzchowiec — duszę. Jest rodzajem obrazy dla Boga, że chce mnie Pan mieć w swym POSIADANIU, tak samo jak konia. Bóg dał mi wolność woli. Pan, przy całym swym bogactwie i władzy, jest tylko człowiekiem, nie może zabrać mi daru, który mam od Boga. A że kiedyś ja sam muszę zdać przed Bogiem sprawę z moich myśli, słów i uczynków, to nie mogę dłużej pozwalać, by moje myśli, słowa i uczynki zależały od kaprysu innego człowieka.

Proszę mi wybaczyć ten list i ucieczkę. Dłużej nie mogłem już w Harrow wytrzymać. Mając w pamięci matkę, która wolała zginąć niż żyć w poddaństwie, i babkę, całe życie tęskniącą za wolnością, nie mogę postąpić inaczej, tylko podjąć to ryzyko. Człowiek nie żyje samym chlebem, nie zadowoli się zużytym odzieniem, które wyrzuca jego pan. Istnieje inny jeszcze świat — świat ducha, w którym człowiek mojego pokroju zadrecza się na śmierć ciosami, które inni zadają jego dumie. Nie chcę Pańskiej opieki ani dostatniego życia w Harrow. Nie chcę, by cokolwiek czyniono DLA mnie. Ja SAM chcę to wszystko czynić. Krótko mówiąc, pragnę wolności, i z Bożą pomocą zdobędę ją.

List zakończył jedno słowo — Inch.

Etienne nie mógł zapanować nad rozbieganym wzrokiem, ale głosem doskonale opanowanym zwrócił się do Jean-Jacquesa:

— Nanieś mi wody do kąpieli i przynieś coś do pisania. Umiesz chyba pisać?

Stary sługa skinął w milczeniu głową.

— Co za dureń z mojego ojca, że pozwolił czarnym tak się wyedukować!
No, żywo!

Po dwudziestu minutach siedział w ciepłej kąpieli.

— Napisz tak — zwrócił się do Jean—Jacquesa. — Ogłoszenie.

Ogłaszam o ucieczce z mojej plantacji Harrow lokaja imieniem Inch. Barwa skóry całkowicie czarna. Nosi doskonale skrojone ubrania, wzorowane na odzieży białych. Zapewne podaje się za kogoś innego — być może wyzwolénca. Potrafi czytać, ma wyrobiony charakter pisma. Po angielsku mówi z lekkim akcentem gwarowym, francuski opanował biegle. Osoba, która powiadomi mnie o miejscu jego pobytu, lub pojmie go i dostarczy na moją plantację pod Nowym Orleanem otrzyma sowitą zapłatę.

Podpisano Etienne Fox.

JeanJacques skrobał gorliwie piórem po papierze.

— Jak skończysz, zostaw papier na stole — rozkazał panicz. — Dam to ogłoszenie do „Picayune'a”, z zaznaczeniem, by opublikowały je także inne gazety. Teraz przynieś mi ubranie i kawę. Muszę załatwić masę spraw. I przekaz do stajni, żeby mi osiodłali świeżego konia. Ruszam do miasta najdalej za godzinę.

Po upływie trzech kwadransów Etienne kłusował w stronę dębowej alei. Jechał na koniu rasy palomino, które cieszyły się w Nadrzeczu zasłużoną sławą, uważano je nieledwie za godło Foxów. Niejeden plantator patrzył z zawiścią na te piękne zwierzęta, lecz Stephen, głuchy na wszelkie namowy, nie chciał sprzedać ani jednej sztuki, nie pożyczał też ogierów do rozplodu. Tak więc w całym stanie Luizjana jedynie w Harrow można było spotkać te kremowo-srebrzyste rumaki o śnieżnobiałych grzywach i ogonach.

Po drodze Etienne układał plan działania. Najpierw — do redakcji, potem wpadnie na chwilę do pracowni Paula. Na koniec jeszcze raz — być może ostatni — odwiedzi białą willę na Podwalu, gdzie dręczono go ponad wszelką miarę. Teraz zatriumfuje Etienne. Ma w ręku wszystkie atuty. Do diaska, ta cudna, ta wredna zwodnica nareszcie się przed nim ukorzy! Obmyślając konkretne sposoby ukarania jej, młodzieniec o mało nie spadł z konia, postanowił więc myśleć o czym innym.

Cecle... kochana, maleńka Cecle. Dzika róża prerii, jak nazwał ją Stephen. Trzeba przyznać, że staruszkowi zdarza się powiedzieć coś do rzeczy. Kiedy już ją trochę okiełzna — ale tylko odrobinę — nauczy manier i podszkoli w gramatyce... cóż to będzie za żona! Wtedy Etienne obędzie się bez Désirée i wszystkich innych kobiet, Cecle skupi w sobie najwspanialsze cechy żony i kochanki. Od zasznurowanej w ciasny gorset konwenansów, wychowanej w klasztorze kreolskiej żony oczekuje się posłuszeństwa, nie ognia — lecz Cecle... Cecle...

Przejeżdżał właśnie obok dworskiego cmentarza. Przy świeżo usypanej mogiłce, odsuniętej nieco od zbiorowej mogiły, w której pochowano ofiary wybuchu, klęczała Julie. Dziwne, że właśnie tę ofiarę uczczono osobnym pochówkiem, a jeszcze dziwniejsze, że mała modli się akurat nad tym grobem. Po drugiej stronie drogi, przy mogile Mike'a Farrela, stał Stephen, skłoniwszy w zadumie głowę na piersi. Biedny ojciec, pomyślał przelotnie młodzieniec. Los nie szczędzi mu cierpień. Łobuz ze mnie, żem go tak dręczył. Ale co tam, będzie dość czasu i sposobności, by mu to wynagrodzić...

W pracowni malarskiej przy ulicy Dauphine Paul Dumaine stał przed obrazem, do którego pozowała mu Désirée, jeszcze kilka pociągnięć

pędzlem i portret będzie gotowy. Paul pracował z pamięci, posiłkując się szkicami ołówkowymi, gdyż Désirée nie przyszła na seans.

Niech лихо porwie tego Tienne'a! — zżymał się Paul. Zanim na horyzoncie pojawił się Etienne, jego modelka była nadzwyczaj punktualna. Odłożył z westchnieniem pędzel i cofnął się nieco, by lepiej przyjrzeć się swemu dziełu. Désirée pozowała półleżąc na niskiej otomanie, przykrytej skórą pantery. Od obrazu biło dzikie, niepokojące piękno. Jednak Paul nie był kontent. Wpatrywał się uporczywie w malowidło, dociekając, gdzie popełnił błąd. Wyobrażone na płótnie długie, smukłe ciało tchnęło życiem. Łukowate krzywizny piersi, talii, ramion, długie linie ud były oddane tak prawdziwie, że Paul poczuł w łędźwiach tajemny zmysłowy dreszczyk.

Więc o to chodzi! Owszem, Désirée jest pełną kobietą, lecz jej zmysłowość jest dobrze zamaskowana. Czuło się, że pod tą uładzoną powierzchownością tłą się ciemne namiętności, żarzy się ogień, któremu Désirée nie pozwala buchnąć płomieniem, tylko czasem w jej oczach zamigocą niepokojące błyski. No tak... trzeba ją prosić o jeszcze jeden seans i robota skończona.

Podszedł bliżej do sztalug i sięgnął po pędzel, gdy ktoś gromko zakołatał do drzwi.

— Otwarte! — zawołał Paul nie ruszając się z miejsca.

— Chyba jednak każę zamontować rygle — mruknął chociaż jest tu dość bezpiecznie. Orleańczycy chyba nie interesują się malarstwem na tyle, by kraść obrazy.

Skrzypnęły drzwi pracowni. Paul obejrzał się za siebie, w drzwiach — uśmiechnięta i nieco zdyszana — stała Cecile Cloutier.

— Ależ proszę, proszę do środka! — zawołał Paul.

— Jestem niezmiernie zaszczycony...

— Dziękuję — powiedziała dziewczyna. — Przyszłam prosić o pewną przysługę.

— Zrobię wszystko co w mojej mocy, by...

— Chciałam, by namalował pan moją miniaturę... dla Etienne'a. Mógłby zawsze nosić mój portret przy sobie.

— Ale ja nigdy nie malowałem miniatur — powiedział młodzieniec niepewnie. — Jednak dla pani... i Tienne'a zrobię wyjątek.

— Wiedziałam, wiedziałam, że się pan zgodzi! Wyglądał pan zawsze tak pocziwie...

Paul uśmiechnął się.

— Może zechce pani spocząć tam... Cecile ruszyła w głąb pracowni.

— Nie mam zbyt wiele pieniędzy — zaczęła.

— Chce pani, bym się obraził?! Od tak serdecznego przyjaciela jak 'Tienne nie wziąłbym ani grosza. Zresztą portretowanie osoby tak urodziwej jak pani to nie praca, ale przyjemność.

— Jaki pan miły... 'Tienne nigdy mi nie mówi miłych rzeczy. Wydziera się na mnie jak furman! — podeszła do płótna, na które rzucała ukradkowe spojrzenia od chwili, dy weszła do pracowni. Przyjrząwszy mu się, odwróciła się żywo do Paula.

— Pan nie malował tego z wyobraźni — rzuciła oskarżycielskim tonem.

— Rozumie się, że nie! — roześmiał się artysta. — Miałem bardzo ładną modelkę.

— Chyba mi pan nie powie, że jakaś kobieta siedziała tu całkiem goła... i... nic ją nie obchodziło, że pan się jej przygląda?!

— Ależ tak właśnie było! Po prostu maluję rzeczy piękne, czy będzie to zachód słońca, czy kobieta. I na jedno, i na drugie patrzę bez emocji, prawie obojętnie.

Cecle znów spojrzała na obraz.

— Żaden mężczyzna nie pozostanie obojętny wobec takiej kobiety. Chciałabym mieć jej urodę. Ale pan i tak nie miałby ze mnie pożytku. Nie dałabym patrzeć na siebie — to zbyt krępujące! — Popatrzyła na Paula z filuternym uśmiechem.

— Ale mimo wszystko — ciągnęła — chciałabym mieć taki portret. Dałabym go 'Tienne'owi w prezencie.

— A on odstrzeliłby mi głowę? Uprzejmie dziękuję! A teraz, gdyby pani zechciała odwrócić głowę odrobinę w prawo...

Zaczął szkicować jej twarz.

— To nie będzie łatwe — westchnął. — Pani wdzięk to nie tylko piękno cielesne — ma pani niezwykłą osobowość...

Pracował zawzięcie przez pół godziny.

— Czuje się pani zmęczona?

— Troszeczkę. Pewnie przez te farby, pachną tak mocno. Chętnie wyszłabym na galerię, zaczerpnąć powietrza.

Wyszli obydwoje i wsparci o balustradę, patrzyli w dół na cichą uliczkę. Nagle Cecle schwyciła towarzysza za ramię.

— Tam, niech pan spojrzy — zawołała przejęta — czy to nie 'Tienne?

Paul spojrział w głąb ulicy. Wiązka słonecznych promieni wdarła się w ciasną przestrzeń między domami, rozświetlając atlasową sierść palomino.

— To rzeczywiście on — potwierdził.

Czekali w milczeniu. Paul przechylił się przez balustradę, lecz Cecle odciągnęła go za rękaw.

— Nie, niech go pan nie woła — szepnęła — zrobimy mu niespodziankę. Etienne jechał nie podnosząc oczu. Był pogrążony w tak głębokiej zadumie, że patrzył przed siebie, lecz nic prawie nie widział. Wtem ocknął się.

— Przecież to koń Ceclie — szepnął na widok brzydkiego, krótkonogiego wierzchowca. — Mój Boże, nie chcę jej teraz widzieć — przecież będę u niej wieczorem. No tak, do Paula też teraz nie wstąpię., może później. — Zaciął konia i pokłusował dalej.

Ceclie spojrzała na Paula wielkimi piwnymi oczyma.

— Nie zatrzymał się — szepnęła. — Dlaczego?

— Nie wiem — odparł Paul, lecz Ceclie już pędziła przez pracownię, po drodze, nie zwalniając pędu, schyliła się z gracją po kapelusz.

— Ceclie! — krzyknął Paul. — Niech pani zaczeka! Niech pani za nim nie jedzie! Proszę!

Lecz podkute buciki Ceclie już stukwały na dolnym podeście schodów.

— Niech to jasny piorun spali! — zaklął Paul. — Nic dobrego z tego nie wyniknie...

Ceclie wskoczyła na mustanga i popędziła błotnistą uliczką tropem Etienne'a, jednak przed zakretem nagle zwolniła biegu.

— Nie będę go doganiać — szepnęła. — Niech jedzie, gdzie miał jechać... a ja dowiem się, dlaczego zapomniał do mnie drogi...

Ruszyła stępą, powściągając niecierpliwego, twardego w pysku mustanga.

W oddali jechał Etienne, ani razu nie odwrócił głowy. Skręcił w ulicę Dumaine, minął Burgundy. Na następnej przecznicy, przed Podwalem, zatrzymał się na chwilę. Natychmiast stanęła i Ceclie. Lecz Etienne postać tylko chwilę zadumany i skręcił w Podwale. Ceclie czekała dobrą chwilę i powolutku, wstrzymując oddech, wyjrzała zza węgła. Etienne zsiadł już z konia i zmierzał pewnym krokiem do niewielkiej willi, stojącej tuż przy ulicy. Zapukał. Ceclie była tak blisko, że wyraźnie słyszała ten dźwięk.

W drzwiach ukazała się jakaś kobieta, uśmiechnęła się lekko na widok gościa. Ceclie patrzyła jak urzeczona.

To ona! Kobieta z portretu! Całymi dniami pozowała naga — mężczyźnie...

— Nie, 'Tienne — szepnęła dziewczyna. — To niemożliwe...

Etienne śmiało przyciągnął kobietę do siebie.

— Tu, na ulicy? — powiedziała. — Ależ pan porywczy! Ceclie zawróciła mustanga i siekąc z całych sił jego kudłate oki, pognąła jak wichur słonecznymi ulicami.

W parę chwil pokonała kilka przecznic, dzielących ją od pracowni Paula. Pobiegnęła prosto na górę. Paula nie było. Zszedł właśnie do piwniczki po kwartę wina. Lepiej zalać pałę, myślał, niż siedzieć i zamartwiać się. Katastrofie i tak już nie zapobiegnie.

Cecile stanęła pośrodku pracowni i drżąc silnie wpatrzyła się w portret. Nozdrza jej latały, w cichym pokoju jej urywany oddech brzmiał jak oddech udreżonego zwierzęcia. Na podłodze leżał krótki, szeroki nóż, którym malarze zdejmują z płótna nadmiar farby. Podniosła go i znów zapatrzyła się w obraz, trwało to długo. Potem powoli, z rozmysłem wbiła nóż w to miejsce wyobrazonej na płótnie postaci, gdzie biłoby serce, gdyby postać ta żyła. Potem cięła na oślep we wszystkich kierunkach — z góry na dół, w poprzek, na ukos, aż z wielkiego malowidła zostały tylko smętne strzępki.

— Mademoiselle — zabrzmiał za nią cichy głos Paula. Odwróciła się gwałtownie.

— Czy zdaje pani sobie sprawę, że zniszczyła rzecz dla mnie bezcenną? Że utraciłem to na zawsze?

Podszedł do sztalug, musnął jakiś sztywny od farby strzępek, zwisający z blejtramu. W oczach miał łzy. Cecile patrzyła nań z zaciętą miną.

— Tak, zniszczyłam ten obraz! — zawołała. — Ale dam panu w zamian inny. Niech pan stawia na sztalugi nowe płótno. — I już rozpinęła guziki swojej amazonki.

— Niech pani przestanie, na litość boską!

Lecz żakiet już pacnął miękko na podłogę. Cecile przysiadła na taborecie, by ściągnąć długie buty.

— Cecile — mitygował ją Paul — pani sama nie wie co robi!

Po chwili Cecile była zupełnie naga, stanęła dumnie wyprostowana, nie próbując niczym osłonić nagości.

— No i jak? Przecież nie jestem od niej brzydsza, tak czy nie?

Paul sięgnął po jedno z największych zagruntowanych płócien, ustawionych w kącie.

— To prawda — szepnęła.

W domku na podwalu Désirée stała spokojnie naprzeciw Etienne'a.

— Więcej tu nie przyjdę — powiedział Etienne burkliwie. — Nie będę się więcej naprzykrzał.

Désirée uśmiechnęła się, w zielonych oczach zatańczyły kpiące iskierki.

— Szkoda. Miło mi było w pana towarzystwie.

— Tak miło, że mało brakowało, bym oszalał!

— Ogromnie nad tym ubolewam, lecz monsieur żąda rzeczy niemożliwych.

— Dlaczego?

Désirée spojrzała nań z powagą.

— Bo nie Kocham pana. Oczywiście nie jestem niewinną dziewczyną, ale moje ciało to nie jest przedmiot, którym można rozporządzać bez miłości — tylko dlatego, że monsieur sobie tego życzy. Zresztą ciągle nasuwają mi się porównania...

— Między mną a moim ojcem?

— Tak.

— I ja wypadam gorzej?

— Właśnie. Błękitne oczy płonęły niesamowitym blaskiem.

— A jednak będąc cię miał — powiedział cicho. — I to zaraz!

Przyciągnął ją do siebie jednym szarpnięciem, przycisnął tak brutalnie, że straciła na chwilę oddech. Jednak nie opierała mu się, nie wrywała, tylko patrzyła w twarz chłodnymi zielonymi oczami, w których nie było strachu. Etienne pocałował ją, przegiąwszy mocno w tył, całował brutalnie, napastliwie, miażdżąc wargi, wbijając żelazne palce w smukłe, giętkie ciało. Désirée wciąż nie stawiała oporu, jej ciało było jak duża lalka — nieruchome, bez życia.

Etienne odsunął ją od siebie na długość ramienia.

— Nuże — warknął — proś o litość! Wzruszyła ramionami.

— Nie — odparła. — Jeśli brak panu wstydu...

— Wstydu! — powtórzył urągliwie. — Wstydu! — zawołał ponownie, niosąc ją lekko do sypialni. Rzucił ją na szerokie łóżko z baldachimem. Leżała bez ruchu, patrząc na Etienne'a chłodno i bez lęku. Gdy schylił się nad nią, zamknęła powieki, jakby chciała się odciąć od widoku tego mężczyzny, prawą ręką sięgnęła szybko pod poduszkę.

Etienne przygwoździł jej ramiona do posłania, silnie potrząsnął leżącą.

— Niech cię diabli — rzucił z pasją. W parę chwil było po wszystkim. Etienne usiadł. Czuł w sobie pustkę, słabość i jakieś tępe zniechęcenie. Co zostało z jego pięknego zwycięstwa?

— Désirée — szepnął.

Spod półprzymkniętych powiek błysnęły zielone oczy. Désirée wyjęła rękę spod poduszki — błysnął ostry sztylet.

— Désirée!

Usiadła, nie wypuszczając noża i spojrzała Etienne'owi prosto w oczy. Po chwili nóż wysunął się z jej palców, zsunął z posłania i wbił pionowo w podłogę, stał, drżąc leciutko.

— Odejdź — powiedziała niskim, stłumionym głosem.

— Mój Boże... — szepnął Etienne.

— Mam go już od dawna — powiedziała. — Mojemu bratu nie udało się dopłynąć do Francji. Zmarł na statku od obrażeń wewnętrznych, po tym jak skatowali go pańscy parobcy.

— Więc dlaczego... dlaczego...

— Nie mogłam. W pańskiej postaci jakby wrócił do mnie Stephen Fox — ta sama postawa, głos, władcze obejście.

A tyle razy przysięgałam sobie, że gdyby kiedykolwiek mnie pan dotknął... wspomniał imię mojego brata...

— Rozumiem — powiedział Etienne. Wstał i poszedł do drzwi prawie na palcach. W progu obejrzał się. Desiree siedziała w tej samej pozycji, jak posąg z kamienia.

Wyszedł na ulicę. Poruszał się powoli i ociężale jak starzec.

RS

ROZDZIAŁ 26

Statek pocztowy „Thomas Moore” sunął z wysiłkiem w górę Missisipi, walcząc z silnymi wiatrami, które na tym odcinku ciągnęły się przez cztery mile. Z wysokich bliźniaczych kominów buchały krótkie, spieszne kłęby dymu, silniki rzeziły. Rzeka rozlała w tym miejscu tak szeroko, że dalszy brzeg znaczył się na horyzoncie szarą, cienką smugą. Bliższy brzeg umykał szybko w tył. Monotonie bawelnianych pól urozmaicały co jakiś czas groble, przystanie i obskurne nadrzeczne miasteczka. Pola obsadzone trzciną trafiały się z rzadka. Luizjana miała teraz jednego króla — bawełę.

Na dolnym pokładzie, zawalonym belami bawełny, szczelnie zastawionym beczkami sorgo i melasy, stał Inch, patrzył wstecz, w dół rzeki. Był ubrany na modłę białych, dobrana ze smakiem odzież składała się z czarnej peleryny z kosztownego sukna, kamizelki i białej koszuli zdobnej dużą muszką. Stroju dopełniał wysoki cylinder i wyczyszczone do połysku buty o długiej cholewie. Palił cygaro, nad jego głową unosił się obłoczek wonnego dymu.

Stał tyłem do statku, nie widział więc dwóch białych mężczyzn, którzy stojąc nieco dalej, w głębi, przyglądali mu się bacznie.

— Więc o tego czarnucha chodzi?

— Tak, panie kapitanie. Jakoś nie mam do niego przekonania. Niby sprawdzałem jego dokumenty, ale...

Kapitan, człowiek niedźwiedziej postury, zasępił się i ruszył w stronę Incha. By przecisnąć się wąskim przejściem między belami bawełny, musiał iść bokiem. Dotarłszy na rufę, tknął Incha w plecy zrogowaciałym paluchem.

Inch odwrócił się, jego twarz była pozbawiona wyrazu.

— Tak, panie?

— Pokaż no swoje papiery — burknął kapitan.

Inch bez chwili wahania sięgnął w zanadrze. Kapitan przewertował dokumenty i podał je pierwszemu oficerowi.

— Niniejszym oświadczam — przeczytał oficer na głos — że Pierre, mój służący, uzyska wolność po mojej śmierci, o ile w ciągu trzech miesięcy od dnia mojego zgonu wyemigruje do któregoś z wolnych stanów...

— Mój pan zmarł dwa miesiące temu — wtrącił Inch gładko. — Muszę wyjechać, by dopełnić warunków testamentu.

— Twój pan był właścicielem plantacji Stillwater pod Baton Rouge? — indagował kapitan.

— Tak... jasnie panie.

— To dlaczego zaokrętowałaś się w Nowym Orleanie?

— Byłem w odwiedzinach u krewnych. I musiałem sobie kupić nową odzież — znów to króciutkie wahanie — jaśnie panie.

— I to był błąd, czarnuchu — powiedział kapitan przeciągając słowa. — Po coś kupował te szmatki? Gdybyś się tak nie wysztafirował, nikt by nie zwrócił na ciebie uwagi. Dlaczego nie zasięgnął pan o nim języka, kiedyśmy przepływali koło Baton Rouge? — zwrócił się kapitan do oficera.

— Prawdę rzekłszy, jakoś o tym nie pomyślałem, panie ? kapitanie.

— Pan nigdy o niczym nie myśli — warknął przełożony.

— Przymknąć go? — spytał oficer z nadzieją w głosie.

— Nie trzeba, nigdzie stąd nie ucieknie. No a zresztą może mówi prawdę. Słuchaj no — zwrócił się do Incha — chcę cię mieć cały czas na widoku. Żeby cię nie musiał szukać, jakby się okazało, że zełgałeś.

— Tak, jaśnie panie — odparł Inch. Kapitan poszedł w głąb statku, a za nim pierwszy oficer, oglądając się na Incha przez ramię.

Serce Incha waliło jak oszalałe. Co robić, co robić? Była wczesna wiosna 1854 roku, woda była wciąż lodowata. Spojrzał na bliższy brzeg, sunący powoli wstecz, potężne silniki „Thomasa Moore” walczyły ze szczególnie tu silnymi prądami. Na brzegu Inch miał szansę ratunku. Byli tam ludzie — biali ludzie — gotowi mu pomóc. Grandmere* Caleen miała kontakty z działaczami kolei podziemnej**, znała nawet ich hasła.

* Grandmere (franc.) — babcia

** kolej podziemna — nazwa tajemnej akcji pomocy zbiegłym niewolnikom, pomagano im przedostać się do wolnych stanów lub Kanady

Co prawda, tajemna przeprawa na Północ to nie jest triumfalny rejs liniowcem do wolności, jaki sobie wymarzył. Przybyć na Północ otwarcie, na pokładzie eleganckiego statku to byłby wyczyn nie lada. Ale niestety, nic z tego nie będzie.

Spojrzał w górę rzeki. Na polach zieleniły się pierwsze źdźbła bawełny. Chodziła koło nich garstka Murzynów, pracowali daleko jeden od drugiego. Muszę spróbować teraz, zdecydował Inch, następna sposobność może się nie zdarzyć.

Odczekam, aż przepłyniemy jeszcze ćwierć do pół mili, dumął. Wtedy prąd zniesie mnie mniej więcej tutaj. Zamienię się ubraniem z którymś z tych parobków. Chętnie się zgodzi, chociaż wszystko będzie mokre.

Rozejrzał się wokół: nikogo. Cisnął niedopałek cygara w wodę, porwał go bystry prąd i poniósł wstecz. Inch powoli rozwiązał taśmy peleryny i złożył ją pieczołowicie na deskach pokładu, na pelerynie postawił cylinder.

Butów pozbywał się ze szczególną przykrością — te buty z cielejącej skóry o długiej cholewie szły doskonały szewc paryski. Cóż, trudno.

Teraz! Wszedł na poręcz, balansował chwilę patrząc w wodę, szepcząc modlitwę. Skoczył. Nurkował jak najgłębiej — pamiętał o potężnych kołach łopatkowych. Zanurzał się coraz głębiej w lodową otchłań, usiłując sięgnąć mulistego dna. Górą sunął wielki cień „Thomasa Moore”. Inch odczekał jeszcze chwilę i wyskoczył w górę jak z procy. Płuca mu pękały, w głowie dziko dudniła krew.

Wynurzył się na powierzchnię kilka jardów za statkiem, wielka fala, idąca od koła rufowego, porwała go w dół rzeki jak małe drewno, nakryła płachtą wody. Kiedy odzyskał oddech, popłynął w stronę brzegu. Spoglądał co chwila na statek, który malał z każdym uderzeniem jego ramion.

Po przepłynięciu pół mili, wyczuł stopami dno. Dygocząc z zimna od stóp do głów, wypełził ostrożnie na brzeg. Nie dalej niż dwadzieścia jardów od niego pracował stary Murzyn, śpiewając coś półgłosem. Leżąc na brzuchu między niskimi krzewinkami bawełny, Inch przyglądał się staremu. Gdybym zobaczył jego twarz, mówił sobie, wiedziałbym, czy proponować mu zamianę ubrania. Doczekał się wreszcie — stary obrócił się w jego stronę.

Nie, pomyślał Inch z żalem, ryzyko jest zbyt wielkie. Na twarzy starego parobka gościła niezmacona błogość. Inch wiedział, że w dziesięć minut po zamianie, stary podrepcze chyżo w stronę dworu, by donieść na niego. To przez takich czarnych jak ten upadły na Południu prawie wszystkie powstania. Któregoś dnia trzeba będzie rozliczyć się z tymi zdrajcami — ale co teraz, na Boga? Jak się stąd wydostać? W tym ubraniu wypatrzą go od razu.

Nie ma rady. Niedaleko leżał spory kamień. Inch sięgnął po niego powolutku i zamarł, tylko oczy połyskiwały w lśniącej od napięcia czarnej twarzy. Nie wypuszczając kamienia zaczął sunąć na czworakach w stronę starego niewolnika.

Po pięciu minutach maszerował boso przez pola, niosąc na ramieniu motykę. Kapelusz wcisnął głęboko na oczy, spod wystrzępionego ronda prawie nie było widać jego twarzy. Szedł nucąc coś pod nosem, samodziiałowe portki i lichey kaftan szeleściły do wtóru.

Etienne jechał wyciągniętym kłusem w stronę miasta. Ceglie znów nie chciała go widzieć! Za pierwszym razem złożył jej dąsy na karb urażonej dumy niewieściej, lecz odesłała go z niczym już sześć razy.

Nie, to coś poważniejszego niż panieńskie fochy. Do diabła z nią, nie będzie się więcej narzucał. Sama się do niego przyczolga — a jeżeli nie? Jęknąwszy rozpaczliwie, popędził konia tęgim kopniakiem.

Wstąpił najpierw do szeryfa — może są jakieś wieści o Inchu. Nie było, czego się zresztą spodziewał. Wygląda na to, że czarnuchowi udała się ucieczka. Paskudna historia. Bez Incha był jak bez ręki.

Błąkał się bez celu uliczkami starej dzielnicy. Właśnie przejeżdżał obok hotelu St. Louis — wybudowano go na pogorzeliisku gmachu giełdy, który spłonął w 1841 roku. Z drzwi hotelu wysypała się rozbawiona grupka młodych mężczyzn. Etienne znał ich wszystkich. Byli to: Pierre Aucoin, Henri Lascals, Jean Sompayrac, a także Bob Norton, James Duckett i Walter McGarth. Podczas pierwszych lat Stephena Foxa w Nowym Orleanie, podobna mieszanka towarzyska byłaby prawie nie do pomyślenia, lecz dziś mało kogo obchodziło, czy ktoś ma przodków kreolskich czy amerykańskich. Kreolskie piękności uganiały się za amerykańskimi mężczyznami, Amerykanie nie tylko siedzieli na pieniądzach, lecz także podporządkowali sobie życie polityczne miasta. Doszło do tego, że wielu młodych Kreolów w ogóle nie znało francuskiego!

Nadbiegł młody Norton i schwycił Etienne'owego konia za uzdę.

— Zsiadaj, 'Tienne — huknął — dołącz do doborowego towarzystwa!

Etienne zsiadł, uśmiechając się do birbanta.

— A co z koniem? — zapytał.

Henri Lascals przyłożył z namysłem palec do swego cienkiego arystokratycznego nosa.

— Nie wiem, czy jest tu gdzieś fabryka kleju...

— Z tej chabety nie będzie nawet porządnego kleju — wtrącił Duckett, przeciągając słowa na modłę teksaską.

— Po prostu strzel mu w łeb i spokój.

— Koń jest największym przyjacielem człowieka — powiedział Etienne sentencjonalnie. — Nie spija mojego wina i nie dobiera się do moich kobiet. Idzie, gdzie mu każę i...

— Boże kochany — jęknął młody Sompayrac. — Ten człowiek jest trzeźwy! Nieprzyzwoicie, bezczelnie, obrzydliwie trzeźwy!

— Już my temu zaradzimy — powiedział Aucoin uśmiechając się szeroko. — Walter, zawołaj jakiegoś hotelowego czarnucha, niech się zajmie tą spłowiata szkapiną, a my zajmiemy się Tienne'em — musi nas dogonić w picciu.

Norton i Lascals ujęli Etienne'a pod ramiona i całą czeredą — prócz Waltera McGartha, który poszedł po stajennego — zawrócili do restauracji.

Lascals grzmotnął kułakiem o blat baru.

— Kelner! — ryknął. Przyszedł kelner, marszcząc srogo brwi na widok tej hałaśliwej kompanii. — Dla mnie gin, i jakiś likier dla Pierre'a i Henriego. A ty co będziesz pił, Bob?

— To samo.

— Jim?

— Whisky z wodą — powiedział rozwlekłe Teksańczyk. — Żytnią — uściślił. — I, zamów szkocką dla Maca.

Lascals spojrzął na Etienne'a.

— A dla tego rozmarzonego panicza, byłego kompana do wypitki — CZTERY kieliszki sazeraka.

— Cztery?! — zawołał Etienne. — Henri, czyś ty upadł na głowę? Już dwa kieliszki zwał człowieka z nóg!

— To sobie poleżysz i będzie ci przyjemnie. Kelner, tak jak mówiłem: cztery sazeraki.

Pół godziny później wszyscy rozprawiali wrzaskliwie i śpiewali dzikimi głosami. Henri Lascals stanął przed lustrem i podziwiał własne odbicie.

— Wiesz, Tienne — oświadczył — jestem wściekle przystojny. Aż sam się dziwię. Powinienem zamówić sobie portret. A propos — co z Paulem? Nie pokazuje się już od trzech tygodni.

— Ja też go nie widziałem — powiedział Etienne.

— Więc chodźmy do niego — zaproponował Bob Norton. — Podobno ma w pracowni pyszne obrazy — taaakie kobitki.

— A wszystkie są nagie jak je Pan Bóg stworzył — dodał Henri z pożądnym błyskiem w oku.

Na szczupłej, ogorzalej twarzy Jima Ducketta ukazał się krzywy uśmiezek.

— No to na co czekamy? — spytał rozwlekłe.

Na ulicy towarzystwo podzieliło się na dwójki i maszerowało wąską banquette tyleż zamasyście co niepewnie.

— Nie wiem, jak Paul to robi — jęknął MacGarth.

— Kiedy JudyAnn zauważyła, że patrzę na jej nogi — a tylko zerknąłem — nie mogłem jej przebłagać przez dwa tygodnie.

— Bo nie jesteś z Paryża, Mac — oświadczył Etienne.

— Francuzi umieją się zakręcić koło kobiety.

— Przecież sam jesteś Francuzem — wtrącił Bob Norton — przynajmniej w połowie... a jakoś słabo ci idzie w tym względzie. Cecile Cloutier gra ci na nosie przez całą zimę.

— To prawda — przyznał Etienne wdychając ciężko — ale spójrz na naszego Pierre'a, Henri czy Jeana. To takie same czysto galijskie typy jak Paul, a wiedzie im się równie kiepsko jak nam. Rzecz nie we krwi, a w wychowaniu. We Francji, bracie, dumny papa sadza sobie na kolanie dwuletniego brzdąca i mówi: Mon flis*, kobietę całuje się tak i tak.

* **Mon fils (franc.) — mój synu**

Towarzystwo zaśmiewało się do rozpuku. Wtem Etienne poczuł na ramieniu rękę Henriego.

— Spójrz, Tienne, czy to nie Paul jedzie w tamtą stronę? Tak, to on! Co za pech! Nie zobaczymy dziś tych malunków!

— Kto z nim jedzie? — zapytał Walter MacGarth.

— Przysiągłbym, że to kobieta, ale przecież kobiety nie dosiadają konia po męsku...

Mrok zapadał, lecz Bob Norton wiedział, że Etienne'owi raptownie pociemniała twarz.

— Ja wiem, która tak jeździ — zachichotał złośliwie.

— Nie dziwota, że Ceclie wystawiła cię do wiatru. Twój rywal jest znacznie obrotniejszy niż ty.

— Coś ci się przywidziało, Bob — rzekł Etienne spokojnie, choć jego szerokie brwi złączyły się w czarną, ostrzegawczą linię. — To jakiś mężczyzna.

— Mężczyzna, a jakże! Z włosami po pas!

— Powtarzam, Bob, coś ci się przywidziało — powiedział Etienne cicho lecz dobitnie.

— Słuchaj, Etienne, o co ci chodzi? Mam zaprzeczyć świadectwu własnych oczu? — zaperzył się Bob. — Za kogo mnie bierzesz?

— Obydwaj macie dobrze w czubie — oświadczył Jim Duckett — a ja nie pozwolę, by dwóch dobrych kolegów legło trupem w jakimś idiotycznym pojedynku. Jeśli to nawet była Ceclie — a nie masz co do tego pewności, Bob — to jest to sprawa między nią a Tienne'em. Więc się przymknij i wróćmy wszyscy do hotelu, bo i tak nie zobaczymy tych obrazów.

— Chwileczkę — wstrzymał go Etienne — może jednak zobaczymy.

— Niby jak? — zdziwił się Paul Sompayrac. — Przecież wszyscy wiemy, że Paula nie ma w domu.

— Zamek w drzwiach wejściowych jest uszkodzony. Paul już od pół roku myśli, o jego wymianie, ale znacie naszego poczciwego paryżanina — prócz kobiet i obrazów nic dla niego nie istnieje.

— Może się będzie złościł? — bąknął Lascals.

— A kto mu o tym powie? Przecież nie będziemy kraść tych obrazów, no nie?

— Nie wiadomo — uśmiechnął się szeroko MacGarth.

— Kto wie, czy nie zaświerzbi mnie ręka, jeśli te obrazy są tak ciekawe jak mówicie.

Etienne napał całym ciałem na drzwi, ustąpiły z głośnym skrzypem. Całe bractwo wtargnęło natychmiast na schody, śmiejąc się i pokrzykując w ciemności.

W pracowni było ciemno choć oko wykol.

— Niech no który znajdzie jakiś ogarek — odezwał się Pierre Aucoin. — Chcę się upewnić, czy jestem tutaj, czy zostawiliście mnie w hotelu.

Etienne, stały bywalec pracowni, poszedł prosto do kandelabru i zapalił świece. Po pracowni rozszedł się łagodny blask, młodzieńcy ruszyli do obrazów. Były tam pejzaże — rzeka i dęby w Harrow oraz sam dwór, nie dokończone portrety różnych znakomitych obywateli, studia Murzynów i trzy akty — wszystkie przedstawiały Desiree. Paul malował te akty z pamięci, w daremnej próbie odtworzenia obrazu, który zniszczyła Ceclie.

Siedmiu młodzieńców stłoczyło się wokół nich.

— Niech mnie kule biją — wycedził Henri. — Jak on ją podszedł, że dała się malować?

— Nic prostszego — powiedział Aucoin. — Najpierw trochę gimnastyki, a potem już można sobie malować przez resztę wieczoru.

— Coś ty — sprzeciwił się Jean — już po trzech pociągnięciach pędzlem poczułbyś potrzebę ruchu i malowanie poszłoby w kąt.

— Ach wy Kreole! Tylko wam jedno w głowie — odezwał się JimTekszańczyk. — Ale trzeba przyznać, że niczego sobie kobitka. — Chętnie przeznaczyłbym jakiś wieczór na ujeżdżanie takiej źrebicy.

— Albo i miesiąc — uśmiechnął się szeroko Walter. Bob Norton odłączył się od towarzystwa i krążył po pracowni szukając następnych aktów. Pośrodku, na sztalugach stał ogromny obraz, zakryty płótnem. Bob uniósł róg zasłony — w półmroku zajaśniała wysmukła biała noga. Zadarł płótno wyżej.

— Tu jest sam cymes! — wrzasnął. — Tienne, pomóż mi ściągnąć tę głupią szmatę!

W następnej chwili za zasłonę szarpało pół tuzina rąk. Ustąpiła wreszcie, kołysząc sztalugami tak gwałtownie, że Etienne musiał je przytrzymać, by obraz nie runął na podłogę. Po chwili na skroniach Etienne'a wystąpiły grube żyły. Za jego plecami Bob Norton szepnął: — Mój Boże...

Etienne obrócił się gwałtownie.

— Tak, to Ceclie — rzekł ochryple. — Ale wy niczego nie widzieliście! Słyszeliście, co powiedziałem?!

Jim Duckett zmarszczył brwi.

— Hola, mój panie — powiedział. — Za bardzo skory do pogrózek, jak na mój gust. Przecież widziałem ten obraz! A jeśli chcesz, bym dał ci słowo dżentelmena, że nigdy go nie widziałem — to ci je daję. Wszyscy ci je dajemy. Tylko nie próbuj mnie straszyć. Musiałbym cię zabić, a nie chcę tego.

Etienne chwiał się lekko, w jego smagłej twarzy nie było kropli krwi.

— Wiesz, Jim — powiedział powoli — w tej sytuacji byłaby to nieomalże przysługa.

Znów obrócił się do wyobrażonej na płótnie kobiety. W układzie jej ciała, rozleniwionego lecz czujnego, w każdej jego linii czaiła się prowokacja, niemy zew, przyzwolenie, budząc w patrzących lekkie, tajemne dreszcze. Etienne nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak piękna jest Ceclie. Widok tego cielesnego przepychu był jak pieśń, którą słyszał Odys, gdy przywiązany do masztu, usiłował zerwać krepujące powrozy. Było to malarstwo najwyższej próby, lecz Etienne wiedział również, że artysta po prostu oddał sprawiedliwość urodzie modelki.

Z tyłu ktoś się poruszył. Etienne drgnął — zupełnie zapomniał o tamtych ludziach. Wyjął z kieszeni składany nóż, starannie wyciął płótno z ram, zrolował je w ogromny pakunek i odwrócił się do milczącej gromadki.

— Idziemy — powiedział głucho.

Tamci popatrzyli po sobie i zesli gęsiego po skrzypiących schodach. Rozeszli się w milczeniu.

Kiedy Etienne dotarł do Rosemont, było już dobrze po północy. Sam musiał otwierać sobie bramę. O tej porze nie mógł liczyć na usługi stajennych, zostawił więc konia przy schodach i zaczął dobijać się do drzwi.

Trzeba było dwadzieścia minut gromkiego kołatania, by zjawił się majordomus. Stał w progu jak tłusta, nastroszona sowa i przecierał zaspane oczy, powtarzając raz po raz:

— Tak, panie, co się stało, proszę pana?

— Chcę się widzieć z panną Ceclie warknął przybyły.

— Panienska śpi — wybełkotał sługa. — Jest bardzo późno, z przeproszeniem pana.

— To ją obudź!

— Ale, jaśnie panie, dziedzic nie pozwala...

— Masz ją w tej chwili obudzić!

— Dobrze — ustąpił majordomus — powiem jej, ale maitre Phillippe będzie strasznie zły...

Poszedł ku schodom powłócząc nogami, spuściwszy głowę.

— I powiedz jej, że chodzi o obraz! — zawołał za nim Etienne.

Murzyn kiwnął głową i zaczął powolutku wchodzić na górę. Etienne przemierzał hall wzdłuż i wszerz, ani na chwilę nie rozstając się ze swym nieporęcznym pakunkiem.

Po kilku minutach na piętrze zaszumiały czyjeś pospieszne kroki. Etienne podniósł oczy. Ceclie była w nocnej koszuli, luźno związany negliz odślaniał jej szyję i dekolt.

Więc to prawda, pomyślał Etienne. Jesteś dokładnie taka, jak na obrazie. Szkoda, że tak wyborny malarz jak Paul musi zginać...

— O co chodzi, Tienne? — spytała Ceclie.

Etienne bez słowa rozwinął płótno. Rzuciwszy na nie okiem, Ceclie spojrzała na Etienne'a.

— Tak, to ja. Piękne płótno, prawda?

— Pozowałaś nago? Pozwalałaś, by przyglądał ci się jakiś mężczyzna? Czy to możliwe, Ceclie?

— Jak widzisz.

Wbił w dziewczynę bezbarwne oczy.

— I co jeszcze, Ceclie? — zapytał przerażająco spokojnie.

Uśmiechnęła się.

— A co cię to obchodzi, 'Tienne?

— Nie zapominaj, że mieliśmy się pobrać. Obchodzi mnie wszystko, co dotyczy ciebie.

— O co ci właściwie chodzi?

— Pytałem cię o coś!

— Naprawdę chcesz, bym odpowiedziała?

— Tak!

— Twój przyjaciel jest wielkim artystą... w każdej dziedzinie.

— Ceclie!

— Twój przyjaciel jest czuły i delikatny, a przy tym tak silny, że... nawet ból jest rozkoszą.

Nie odrywając od niej znieruchomiałych oczu, Etienne powiedział bardzo cicho:

— Ty dziwko!

Cofnęła się, jakby ją uderzył, lecz zaraz podeszła tak blisko, że jej oddech muskał jego twarz.

— Tak, tym słowem obraża się kobietę! — zawołała. — A jakim słowem można ubliżyć mężczyźnie? Odpowiedz mi! Jakie jest dość plugawe, by pasowało do ciebie? Nie mogłam odwiedzać cię w Harrow, bo to nie uchodzi — ludzie by gadali. Nie mogłam cię całować i być z tobą, tak jak tego pragnęłam. Ale ty mogłeś zostawiać mnie samą, dzień za dniem, i tarzać się z jakąś Murzynką! Paul jest przynajmniej czysty i schludny. Nie muszę się szorować szarym mydłem, by się pozbyć murzyńskiego odoru. No słucham cię! Powiedz, jakie to słowo! Z oczu Etienne'a zostały wąskie szparki.

— Uważaj co mówisz, Ceclie!

— Będę mówić, co mi się spodoba! Kochałam cię bezgranicznie — wiesz o tym. Mój Boże, jak ja cię kochałam! Ale co tam — ty musiałeś łązić do tej czarnej, a ja miałam siedzieć jak trusia i czekać, aż będziesz miał dość... jak jakaś zmokła luizjańska kura! Zapomniałeś, że jestem ćwierćkrwi dzikuską? Nigdy nie pomyślałeś, że w podobnych wyczynach mogę ci dorównać, a nawet cię wyprzedzić? Jaka ona była... ta twoja Murzynka? Nie, nic nie mów! Zachowaj to dla siebie, a jak spotkasz się z Paulem, porównacie notatki!

Etienne cofnął się o krok i z całej siły uderzył ją w twarz. Dziewczyna zdrząła najpierw lekko, potem silniej, a po chwili dygotała jak wierzbowa dziczka, miotana wichrem. Ślad dłoni Etienne'a na jej policzku zbieleł, lecz zaraz napłynął jaskrawą purpurą, odcisk jego palców rysował się bardzo wyraźnie.

— Ma pan przy sobie broń, monsieur! Etienne odwrócił się gwałtownie.

W drzwiach stał Phillippe Cloutier, był w szlafroku. Obrzucił młodzieńca przelotnym spojrzeniem.

— Widzę, że nie — skonstatował. — W takim razie lepiej odłóżmy sprawę do jutra. Moglibyśmy się spotkać pod dębami, o ile to panu odpowiada.

Etienne zwilżył wyschłe wargi.

— W zupełności — wykrztusił.

— Moi sekundanci zjawią się u pana o ósmej. Zechce pan łaskawie poinformować, jaką broń pan wybiera. Spotkam się z panem powiedzmy... o jedenastej. Nie lubię wstawać wcześniej. Ale może pan ma inne propozycje?

Etienne potrząsnął głową.

— Nie, nie mam.

— Doskonale. Idziemy, Ceclie. Żegnam pana. Ceclie nie ruszyła się z miejsca.

— Nie, ojczy! — zawołała. — Tak nie można!

— Nie słyszałaś, co mówiłem?

— Ojczy, nie możesz tego zrobić! Nie możesz zabić 'Tienne'a! Ja na to nie pozwolę!

— Jesteś głupia — wycedził zimno.

— Nie mam do niego urazy! Nie dbam o to jak mnie potraktował, to nie ma znaczenia! Podejdź do stołu, a przekonasz się, jak bardzo zasłużyłam na ten policzek. No idź, ojczy!

Po chwili wahania Phillippe podszedł do rozłożonego na stole płótna. Patrzył na nie długo, najdłużej — na umieszczony w rogu podpis artysty.

— Wszystko jasne — powiedział ze znużeniem. — Czy przyjmie pan moje przeprosiny, monsieur!

— Ja... straciłem panowanie nad sobą — odparł Etienne. — Proszę o wybaczenie pana i mademoiselle. Ciężko to przeżyłem.

— Wie pan, gdzie mieszka ten Dumaine?

— Tak.

— Więc będzie pan moim przewodnikiem. Jules! Stary Murzyn wychynął zza drzwi, stał tam przez cały czas, podsłuchując.

— Tak, maitre — wymamrotał drżącym głosem.

— Każ osiodłać konie dla pana Foxa i dla mnie. Aha, i przynieś nam kawy. O tej porze jest bardzo zimno.

— Ojczy... — szepnęła Ceclie.

— Idź do swojego pokoju, Ceclie. Porozmawiamy później.

— Będziesz... mnie bił?

— Nie — odpowiedział Phillippe lodowatym tonem. — Są lepsze metody. Zechce pan wybaczyć, muszę się przebrać.

Gdy dojeżdżali do Nowego Orleanu, niebo zaczynało się przejaśniać. Wstało słońce, lecz świeciło słabo, panował przenikliwy chłód. Mężczyźni jechali w milczeniu. Wciąż milcząc, zsiadli z koni i zastukali do drzwi pracowni.

— Proszę wejść, messieurs — zawołał Paul z góry, w jego głosie brzmiała prawie ulga. — Czekałem na panów.

Przybyli stali w drzwiach, patrząc ze zdziwieniem na młodego malarza. Twarz miał zmizerowaną, włosy i odzież w nieładzie, lecz mówił zupełnie spokojnie.

— Sądzę, że panowie chcą mi coś zakomunikować. Phillippe rozejrzał się po pracowni.

— Nieźle się panu powodzi — rzekł. — Luizjana hołubiła pana aż za bardzo. Obawiam się, że ponad miarę przejęliśmy się tymi

demokratycznymi bzdurami i obsypaliśmy bogactwem i zaszczytami syna jakiegoś nędznego pacykarza!

— Za życia ojciec był najwybitniejszym malarzem Francji — odparł Paul. — Nie pozwolę, by obrażano jego pamięć.

— A kim była pańska matka? Kelnerką? Tańczyła kankana po lokalach, a może zwyczajnie sprzedawała się za pieniądze?

Paul wzruszył ramionami ze znużeniem.

— Oczekiwałem, że to pan mnie wyzwie, ale skoro woli pan sprowokować mnie do rzucenia mu wyzwania — proszę bardzo. — Uśmiechnął się lekko. — Spotkam się z panem w miejscu i czasie, które pan wyznaczy. Jeśli chodzi o broń, to nie musiał pan zadawać sobie aż tyle trudu, wybór broni i tak pozostawiłbym panu.

— Dziesięć mil od miasta w dół rzeki, na wschodnim brzegu — jeśli chodzi o miejsce...

Paul skinął głową na znak zgody.

— Dziś po południu, około piątej...

— Doskonale. A broń?

Na twarzy Phillippe'a ukazał się drapieżny uśmiezek, który wymazał z niej resztki paryskiej układności, pozostawiając zajadłą mściwość osadnika z teksaskiego pogranicza.

— Noże myśliwskie — powiedział dobitnie — przez chusteczkę, o trzy kroki.

Paul zbladł, milczał długą chwilę. Wreszcie powiedział ochryple:

— Zgadzam się. — A do Tienne'a: — Znajdziesz mi jakichś sekundantów? Naprawdę nie znam tu nikogo na tyle dobrze...

Etienne tylko skinął głową. Nie ufał swemu głosowi. Głos mógłby zdradzić trwogę, która zacisnęła zimne palce na jego sercu. Do diabła z Ceclie! Bodaj przepadła i ona, i Désirée, i cały nędzny ród niewieści!

Milczeli także w powrotnej drodze. Co jakiś czas Etienne patrzył spod oka na towarzysza. Na twarzy Phillippe'a widniał wyraz spokojnego zadowolenia, jakby właśnie zawarł korzystną umowę handlową.

Paul był moim przyjacielem, myślał młodzieniec, a całą awanturę zaczęła Ceclie. Pojedynek na szpady czy rapiery — pokaz wdzięku i zręczności — miałby swój urok, nawet w walce na pistolet jest swoiste piękno. Przy tym pojedynki Kreolów rzadko kończyły się tragicznie. To zimne, bezlitosne nastawienie na życie przeciwnika jest amerykańskim wymysłem, Phillippe zbyt długo przebywał w Teksasie. Dźgać się nożami — Boże miłosierny!

— Jakoś pan zmarkotniał — odezwał się Phillippe niespodziewanie.

Etienne odchrząknął.

— To prawda — powiedział. — Paul dopuścił się wielkiej niegodziwości, ale żeby wyzywać go na noże?! W ten sposób walczą Indianie czy Meksykanie, ale pan jest dżentelmenem, Paul także... W głowie mi się nie mieści, żeby...

Phillippe zaśmiał się sucho.

— Nie zaszlachtuję tego młodzieniaszka. Po prostu pokarbuję mu nos i uszy jak wieprzkowi. Wtedy zobaczymy, jaki z niego uwodziciel!

Etienne nic na to nie odpowiedział. Narastające w nim od pewnego czasu uczucie mdłości stało się bardzo naglące. Bał się ogromnie, że nagle zwymiotuje w obecności Phillippe'a. Wreszcie dojechali do rozwidlenia dróg.

— Au revoir, monsieur — powiedział ledwie dosłyszalnie.

— Au revoir, Etienne, zobaczymy się o piątej!

— O piątej — powtórzył młodzieniec jak echo. Spiał konia ostrogami i pogalopował do Harrow. Po raz pierwszy w swym dorosłym życiu potrzebował czyjejś rady. Korciło go, by zwierzyć się ojcu, ale co mu właściwie powie?

Zajeżdżając łukowatym podjazdem pod dom, ujrzał tuż przed sobą ojca na roslym palomino. Zatrzymał konia w miejscu, zwilżył wyschnięte wargi.

— Tak wczesnie, synu? — zagadnął Stephen z uśmiechem. — Co to za koń? Skąd wziąłeś takie paskudne stworzenie?

— Od Cloutierów, mój był bardzo zmęczony. Ojcze...

— Tak?

— Dziś... dziś odbędzie się pojedynek... Stephen nastroszył białe brwi.

— Ty niewypierzony gołowąsie! — zawołał. — To szaleństwo już dawno zarzucono. Z kim niby chcesz się bić? Pojadę do niego i przeproszę w twoim imieniu.

— Nawet jeśli to on zawinił?

— Tak. Niewiele jest rzeczy wartych tak wysokiej stawki jak ludzkie życie. Kto to jest, synku?

— Przedtem myślałeś inaczej, ojcze. Z tego co wiem, ręka ci nie zdradzała, kiedy strzelałeś do Hugona Waguespacka!

— Zawsze myślałem tak samo. I gdyby ten dureń nie rzucił się w bok, żyłby do dziś. Ale stanowczo zbyt często tłumaczę się przed tobą z mojej przeszłości. Mów zaraz, kto to jest!

— Niech się ojciec tak nie unosi. To nie ja będę się bił, lecz Phillippe Cloutier i Paul.

— Więc Phillippe nie zawahałby się stawać do pojedynku z jakimś chłopcem?

— Tak, ojcze. Powód jest ważki. Otóż Paul... splamił honor Ceclie...

Stephen patrzył zdumiony na syna.

— Kiedy ty uganiałeś się za Désirée, twoja Ceclie znalazła sobie pocieszyciela! Jak ty mało wiesz o kobietach, synu! Czy ta twoja kwarteronka, przy całej swojej urodzie, była tego warta?

— Nie. Ale co mam teraz robić? Monsieur Cloutier miał prawo wyboru broni... i wybrał noże myśliwskie, na trzy kroki!

— Święta Panienko! A kiedy ma się odbyć ta rzeź?

— Dziś po południu... o piątej.

— Dobrze. Zdaje się przyszła pora, żebym wtrącił swoje trzy grosze. Paul to wspaniały chłopak. Nie dam go pod nóż tylko dlatego, że zrobiłeś z siebie durnia, a ta twoja Ceclie jest mściwa jak kotka. Idź teraz do domu i spróbuj się przespać. Jakies wieści o Inchu?

— Nie, wygląda na to że temu niewdzięcznemu łajdakowi naprawdę udało się uciec. Ale biada mu, jeśli go kiedyś dopadnę!

— Ta sprawa też wymaga zastanowienia. Zobaczmy się o drugiej. Powiedz Georgesowi, żeby konie były gotowe. — Ruszył w stronę pól.

Stephen i Etienne byli na umówionym miejscu już o pół do piątej. Etienne zsiadł z konia i spacerował nerwowo wzdłuż podmokłego brzegu.

— Co ojciec właściwie zamierza? — spytał.

— Jeszcze nie wiem. Wszystko będzie zależało od okoliczności. Ale nie pozwolę, żeby temu chłopcu stała się jakaś krzywda. Może wreszcie przestaniesz latać jak kot z pęcherzem?

Kwadrans przed piątą zjawił się Paul Dumaine z dwoma sekundantami. Byli to Henri Lascals i Pierre Aucoin. Paul, choć błądy jak chusta, był zupełnie spokojny. Stephen natychmiast podjechał do niego.

— Przepraszasz go — powiedział bez wstępów. — Nie będziesz ginął przez takie głupstwo!

— Obawiam się, że monsieur Cloutier nie przyjmie moich przeprosin — powiedział Paul cicho. — Zrobię co mogę, ale... — Stephen wziął go na stronę i tłumaczył coś zawzięcie.

Gdy do piątej brakowało dwu minut, przybył Phillippe ze swoimi sekundantami i medykem. Wielkie brzeszczoty noży myśliwskich zaślśniły w słońcu.

— Pan wybiera — powiedział.

— Chwileczkę — odezwał się Stephen — ten młodzieniec chce coś powiedzieć.

— To nie pańska sprawa! — rzucił Phillippe ostrym tonem.

— Być może, ale nie odstąpię. Ten chłopiec nie ma pojęcia o walce na noże, a ja nie pozwolę, by go zamordowano!

— Chce go pan wyręczyć?

— O ile to konieczne. Lecz najpierw niech go pan wysłucha, Phillippe.

Paul spojrział na Stephena, potem na Etienne'a, odchrząknął.

— Panowie — powiedział. — Do obecnego pojedynku doszło przez przypadkowe ujawnienie obrazu, na którym sportretowałem pannę Cloutier. Specyficzne potraktowanie tematu legło cieniem na dobrym imieniu mademoiselle. Chcę jedynie zaznaczyć, że nie można jej niczego zarzucić. Namalowałem jej podobiznę dla żartu, by dokuczyć mojemu przyjacielowi Etienne'owi Fox. Działalem bez jej wiedzy i zgody. Pozowała mi w przekonaniu, że portretuję wyłącznie jej głowę, której miniaturę zamierzała wręczyć Etienne'owi w podarunku. Postaci użyczyła pewna kwarteronka. Mówię to, by oczyścić imię panny Cloutier z wszelkich podejrzeń. Nie próbuję natomiast przeczyć, że ja sam dopuściłem się karygodnego postępku. Jestem do pańskiej dyspozycji.

— Łżesz jak pies! — krzyknął Phillippe.

— Miarkuj się pan, Phillippe. Zarzucając kłamstwo temu chłopcu, wystawiasz na szwank dobre imię własnej córki — powiedział Stephen. — Dżentelmen tak nie postępuje!

Odwrócił się do Paula.

— A teraz, młokosie — powiedział nasrożony — przeprosisz za ten nieobliczalny wybryk, albo złożę ci skórę, jakbyś był moim własnym synem.

Paul uśmiechnął się blado.

— Przepraszam z całą pokorą, z wolnej nieprzymuszonej woli pana Phillippe'a Cloutiera i wszystkich obecnych panów za moje niewłaściwe postępowanie.

— Przyjmuje pan jego przeprosiny, Phillippe? Czy też mamy wszyscy uwierzyć, że nie ufasz własnemu dziecku?

Na twarzy Phillippe'a wystąpiły dziwne plamy, jakby go kto pokąsał.

— A mam jakie inne wyjście? — powiedział zmienionym głosem. — Co mogę odpowiedzieć na twoje perfidne lajdactwo? — odwrócił się i poszedł wielkimi krokami do swojego wierzchowca. Paul spojrział na Stephena.

— Dziękuję panu.

— To głupstwo, chłopcze. Człowiek wciąż wpada w jakieś paskudne tarapaty — to, zdaje się, jest treść życia. Ale — jeśli nie pogardzisz moją radą — zrobiłbyś rozsądnie wyjeżdżając z tych stron, przynajmniej na jakiś czas, dopóki sprawa nie rozejdzie się po kościach. Jedź na Północ. Nie brak

tam znamienitych i zamożnych obywateli, którzy chętnie zamówią portret u tak doskonałego artysty.

Paul spojrzął za Cloutierem i jego towarzyszami, cała grupa niknęła w oddali.

— Nie chciałbym, by myślano, że biorę nogi za pas

— powiedział z namysłem.

— A niech sobie myślą na zdrowie! — zawołał Stephen.

— Ja nigdy nic sobie nie robiłem z ludzkich sądów. Rozumiem twoją dumę, ale nie należy podsycać takiej mściwości i zawziętości.

Etienne patrzył za odjeżdżającymi.

— Będzie cię nienawidził do końca życia, ojczcie.

— I co z tego? Nigdyśmy się z Phillippe'em nie kochali.

— No, jedźmy, chłopcy.

Paul podszedł do Etienne'a z wyciągniętą ręką.

— Tienne...

Etienne ściągnął smoliste brwi.

— Nie mamy sobie nic do powiedzenia — burknął.

— Ani teraz, ani kiedykolwiek w przyszłości.

Stephen obejrzał się na młodzieńców: stali naprzeciw siebie dumnie wyprostowani, sztywni jak tyki.

— Młode głuptasy! — prychnął z pogardą i wsiadł na palomino. Etienne także wskoczył na siodło, lecz Paul stał bez ruchu, nie odrywając oczu od przyjaciela. Stephen obrócił się w siodle i podniósł dłoń w pożegnalnym geście. Młody malarz odwzajemnił gest, lecz patrzył wciąż na Etienne'a, który z wysokości siodła spoglądał na rzekę. Stephen spojrzął na jednego, na drugiego i wzruszył ramionami.

— Jedziemy, synu. — Ruszyli na północ, w stronę Nowego Orleanu.

ROZDZIAŁ 27

Tego roku wiosna spóźniała się. Lód wciąż więził górne odcinki Ohio*.

* Ohio — północny dopływ Missisipi

Marznący deszcz, przemieszany z mokrym śniegiem siekł zaskorupiałe zasy, z rzadka zawirowały puszyste śnieżynki. Na południowym brzegu Ohio, nie dalej niż trzysta jardów od rzeki, stał wiejski dom, tak szczelnie otulony śniegiem, że prawie niewidoczny dla statków pocztowych, przedzierających się w stronę Missisipi między złomami kry.

W domu na kominku huczał wielki ogień, przy kominku, w fotelu na biegunach drzemał farmer. Szpakowata, kwadratowo przycięta broda unosiła się i opadała miarowo na szerokiej piersi. Jego żona, usadowiona w drugim fotelu, pracowicie pobrzękiwała drutami. Odsunawszy okulary w stalowej oprawce wysoko na czoło, śledziła migotliwe końce drutów bystrymi starymi oczami, okolonymi zmarszczkami. Nagle druty znieruchomiały, staruszka pochyliła się do przodu, poruszając cienkimi nozdrzami. W palenisku trzeszczał ogień, lecz na dworze panowała głucha cisza, tylko wiatr zawodził z cicha, niosąc strugi rozmiękłego śniegu.

Kobieta westchnęła i podjęła rozpoczętą robótkę.

Po chwili znów zastygła w bezruchu. Cisza aż dzwoniła w uszach, lecz staruszka nie nasłuchiwała więcej, energicznie potrząsnęła śpiącym mężem.

— Silas! — szepnęła.

Natychmiast się obudził, spojrzał przytomnie. Tę umiejętność — błyskawicznego przejścia z głębokiego snu do pełnej czujności wszystkich zmysłów — wyrobił sobie przez lata praktyki, już nieraz uratowała życie ich obojga.

— O co chodzi, Hope? — spytał.

— Ktoś chodzi koło domu... po śniegu. Nic nie słyszałam, ale wiem, że tam ktoś jest!

Silas dźwignął się z fotela, mimo potężnej postury poruszał się bezszelestnie jak kot. Włożył kubrak podbity baranem i czapkę z szopa, zdjął znad kominka staroświecką strzelbę skałkową — wymienił podsypkę na panewce — i otworzył drzwi wejściowe, usunawszy się przezornie na bok. Niejeden z tych, którzy zaniedbali podobnej ostrożności, gryzł już ziemię lub czarny, więzienny chleb. Do izby wpadł z jękiem poryw wiatru. Silas czekał. Wreszcie wcisnął czapkę głębiej na uszy i wyszedł za próg w zawieruchę.

Gdy przymknął za sobą drzwi, świat widzialny znikł — wokół rozciągała się biała pustka. Silas ostrożnie postąpił krok i drugi. Przeszedł pięćdziesiąt

jardów i niczego nie znalazł. Zawrócił i przemierzył dziedziniec ukosem. Wciąż nic. Za trzecim razem poszedł w przeciwną stronę. Stał chwilę pośrodku milczącego pustkowiecia i wzruszywszy ramionami, zawrócił w stronę domu.

— Hope coś się przywidziało — mruknął. Ale nie uszedł trzech jardów, gdy zauważył, że coś poruszyło się w zaspie, na lewo od jego ścieżki. Musiał to przeoczyć za pierwszym razem.

Pobrnął w tamtą stronę i pochylił się nisko.

Był tam jakiś Murzyn. Dygotał z zimna, nie miał na sobie nic prócz lichej koszuli i spodni. Bose stopy odcinały się od śniegu ciemną plamą. Silas potrzęsnał go za ramię.

Murzyn uniósł zszarzałą od zimna twarz.

— Wolność! — szepnął. Silas uśmiechnął się.

— Leży na Północy — powiedział, uzupełniając hasło. Wziął przybłędę na ręce i zaniósł jak dziecko do domu.

Słyszając jego ciche pukanie, Hope odryglowała drzwi. Spojrzała w czarną, zastygłą twarz.

— Nie żyje? — szepnęła.

— Jeszcze żyje... zajmij się nim.

Staruszka natychmiast zakrzatnęła się koło obcego, rozluźniła mu odzież, otuliła pledem.

— Masz herbatę? — spytał Silas.

— Tak... w tamtym pudełku.

Silas wsypał garść herbaty do glinianego garnuszka, postawił na palenisku rondel z wodą i zaczął nacierać śniegiem szczupłe nadgarstki i purpurowe od zimna ramiona przybysza. Po kilku minutach zabulgotała woda w rondelku. Hope zalała wrzątkiem herbatę i spojrzała pytająco na męża. — Tak, dolej rumu — powiedział.

— To już ostatek.

— Nie szkodzi! — Iz delikatnością niemal kobiecą uniósł potężnymi łapskami głowę Murzyna, a Hope wlała odrobinę ognistego napoju między zaciśnięte zęby. Gdy przełknął, zaraz wlała mu do ust spory haust. Prawie natychmiast w skostniałych kończynach zaczęła krążyć krew. Zszarzałe policzki znów załśniły aksamitną czernią. Silas polewał czarne przemarzniete stopy i dłonie chłodną wodą, a Hope poila przybysza herbatą z rumem.

Wreszcie uniosły się powieki i wielkie brunatne oczy, zadziwiająco jasne w twarzy tak czarnej, spoczęły na twarzach gospodarzy.

— Dziękuję — szepnął — nigdy bym nie pomyślał, że biali mogliby...

— Nic nie mów — mruknął Silas basem. — Oszczędzaj sił.

— Odpoczniesz tutaj, aż nabierzesz sił — powiedziała kobieta miękkiem, życzliwym głosem. — Którejś nocy, kiedy pogoda się poprawi. Już teraz powinno być ciepło, ale zimamacocha nie popuszcza...

— Nie, nie ma mowy! — sprzeciwił się Murzyn z gniewem. — Ścigają mnie. Będziecie mieli kłopoty.

— Bzdura, chłopcze. To nam nie pierwszyczna. Nigdzie teraz nie pójdziesz. Nie dałbyś rady dojść nawet do rzeki. Jak ci na imię?

— Inch — szepnął tamten.

Dwie noce później między pękającymi na Ohio krami przeciskało się niewielkie czółno, zdążając na przeciwległy brzeg. Inch wyskoczył na brzeg. Był ciepło ubrany, a obuty w masywne buciory, najwyraźniej za wielkie o kilka numerów. Klęknął na zmarzniętej ziemi i ucałował ją.

— Wolna ziemia — szepnął. — Jestem na wolnej ziemi, jestem wolny! — odwrócił się do Silasa, który siedział w łódce bez słowa. — Dziękuję — powiedział. — Oby Bóg wynagrodził panu tę dobroć.

— Nie ma o czym mówić — zahuczał Silas. — Robię to dla siebie. Nie mogę patrzeć, gdy handluje się ludźmi jak bydłem. Ale jeszcze daleko ci do wolności, Inch. Musisz się mieć na baczności. Pamiętasz nazwisko następnego łącznika?

— Tak — William Walter z Cincinnati. Będę u niego najpóźniej jutro.

— Rozsądniej byłoby przeprawić się do Kanady, ale ty wolisz Boston. Cóż, tam też jest dosyć bezpiecznie. Milliken pomoże ci zatrudnić się w jakimś biurze prawniczym. A właśnie — dlaczego chcesz być prawnikiem?

— Studiowałem prawo, kiedy byłem w Paryżu z moim panem. Jeśli uzyskałbym w Massachusetts patent adwokacki, mógłbym pomagać swoim.

— Doskonale. Niech ci się szczęści, młodzieńcze.

— Dziękuję. Niech Bóg błogosławi pana i madame.

Miesiąc później Inch wysiadł z pociągu w starym, posępnym mieście. Przeciskając się przez dworcową ciżbę, czuł się tak bezgranicznie samotny, jakby wszystko pozostało za nim, a przed nim nie było już niczego. Wydostawszy się na miasto, ruszył przed siebie. Nie miał pojęcia, dokąd iść, lecz nikogo nie pytał o drogę. Zapyta później, gdy oswoi się z Bostonem, gdy mu się przyjrzy, teraz nie. Chciał posłuchać, jak bije serce miasta, które wybrał, które sobie wymarzył. Żyją tu wolni ludzie — biali pospołu z czarnymi. Musi się żyć z tą myślą, nacieszyć nią w samotności.

W Harrow, na drugi dzień po pojedynku, do którego nie doszło za sprawą Stephena, Etienne Fox pakował się w gorączkowym pośpiechu. Sprawa nie była łatwa, gdyż garderoba pękała od ubrań, które wybrać? Musi

być ubrany dostatnio, lecz nieprzesadnie. Przesada zaszkodziłaby jego projektom. Stojąc w rozterce przed otwartymi szafami, usłyszał za sobą stłumione pokasywanie. Odwrócił się: w drzwiach stał ojciec.

— Więc chcesz nas porzucić, synu?

Etienne zmarszczył z irytacją brwi.

— Dlaczego ojciec nie wyjechał w pole, jak zawsze o tej porze?

Stephen wzruszył ramionami.

— Może jestem jasnowidzem, ale czułem przez skórę, że coś knujesz. No mów, synu, dokąd się wybierasz?

Etienne uśmiechnął się drwiąco.

— Na rzekę... śladem wielce szanownego rodzica. Już się wystarałem o miejsce na statku pocztowym. Kapitan zgodził się wziąć mnie na stałe — za część mojej wygranej.

— Głupiś, synu — powiedział Stephen bez gniewu. — Nie nadajesz się do takiego życia.

— Nie zatrzymasz mnie, ojczy!

— Wiem. Ale rzeczny gracz nie może sobie pozwolić na przegraną. Czujesz się na siłach?

— Gram nie gorzej od ciebie.

— Nic dziwnego. Nauczyłem cię wszystkiego, co sam umiałem. Ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Co byś powiedział na małą partyjkę?

Etienne nastroszył się.

— Jaką partyjkę?

— Och, zagralibyśmy sobie w pokera jak dwaj przyjaciele.

— O co?

— O połowę majątku — o ile odstąpiłbyś od tego szczeniackiego projektu.

Dwie pary błękitnych oczu — ojca i syna — mierzyły się w milczeniu.

— Zgoda! — powiedział młodzieniec. — Nigdy nie odmawiam, gdy proszą mnie do gry.

Stephen uśmiechnął się.

— Chodźmy do gabinetu — powiedział ściszym tonem.

W gabinecie Stephen usunął z niewielkiego stołu zbędne przedmioty, postawił karafkę brandy, pudełko cygar i swoją białą fajkę.

— Będziesz przekładał, Tienne?

— Tak.

Stephen przetasował karty i położył je na stole. Ręka Etienne'a zawisła niezdeterminowanie nad talią, potem szybkim ruchem rozdzielił talię na pół i wyciągnął spodnią kartę: króla karo. Stephen uśmiechnął się. Przełożył talię

prawie na samym dole i wyjął kartę. Pokazał ją, nie zmieniając wyrazu twarzy. Był to as pik.

— Dobra — burknął Etienne. — Ty rozdajesz. Grali przez całą noc, wygrywał to jeden to drugi. Gdy czerń nocy zaczęła przechodzić w szary świt, Stephen spojrzął na syna, młodzieniec był rozczochrany, oczy miał przekrwione i podpuchnięte.

— Czas skończyć — powiedział. — Idziemy równo, prawda?

— Tak — odparł Etienne odkładając niedopałek cygara. Trapiło go niewyraźne podejrzenie, że ojciec bawi się nim jak kot myszką, że nawet, kiedy wygrywał, zawdzięczał to ojcowskiemu sztuczkom.

— Gramy dalej tymi samymi kartami?

— Tak — odparł Etienne stłumionym głosem.

— Ja rozdaję — rzucił Stephen beztrąsko. Błyskawiczne ruchy jego rąk tworzyły białą, migotliwą plamę.

Etienne zabrał swoje karty i przyjrzał im się bacznie. Potem wziął którąś kartę ze stosu, odrzuciwszy inną. Stephen uczynił to samo. Etienne ponownie dobrał kartę i Stephen znów poszedł jego śladem. Jednak za trzecim razem ojciec uznał, że już dość. Etienne popatrzył nań zrezygnowany: trzeba będzie zadowolić się tym, co jest. Miał damy w kolorach: kier, karo i trefl. Całkiem niezły zestaw. Rozłożył karty na stole.

Stephen rzucił na nie okiem i biała brew podjechała aż pod szramę. Uśmiechnął się z życzliwą kpina i powoli odsłonił swoje karty: asa, króla, królową, waleta i dziesiątkę pik.

— Królewski sekwens! — wykrztusił Etienne. — Taki sekwens zdarza się raz na tysiąc lat! Ojciec oszukuje!

Stephen wciąż się uśmiechał.

— Może oszukiwałem — powiedział — a może właśnie jest ten tysięczny rok. Lecz jeśli oszukiwałem, a ty tego nie zauważyłeś, to jak, na Boga, wygrałbyś z takimi twardymi zawodnikami jak Canada Bill czy George Devol? Coś mi się zdaje, że powinienesz rozejrzeć się za innym zajęciem. Tak czy owak przegrałeś. Spodziewam się, że postąpisz jak dżentelmen i dotrzymasz umowy.

— Ani myślę! — rzucił Etienne z wściekłością. Stephen nie zdążył odpowiedzieć, gdy w drzwiach stanął stary służący JeanJacques.

— Jakaś pani chce się widzieć z paniczem — oświadczył i schyliwszy się nad Etienne'em, rozpromieniony, dodał teatralnym szeptem: — To panienka Ceclie!

Etienne spiorunował go wzrokiem.

— Powiedz, że nie chcę jej widzieć! — zawołał.

— Niech się stąd zaraz zabiera!

— Nie zachowuj się jak głuptas, synu — mitygował Stephen. — Mógłbyś jej przynajmniej wysłuchać.

Etienne wstał.

— No dobrze. Wprowadź ją, JeanJacques.

W ogromnym hallu Ceclie wydawała się małą, zagubioną istotką. Etienne wahał się przez chwilę, potem podszedł do niej zdecydowanym krokiem. Patrzył na lśniące pasemka czarnych włosów, wymykające się spod kapelusza, na zieloną amazonkę, opinającą smukłe, młode ciało. Podniosła woskowo bladą twarz i wyciągnęła rękę.

— Przyjechałam się pożegnać, Tienne.

— No więc? — warknął.

— Wracamy do Teksasu. Ojciec sprzedaje posiadłość — z ogromną stratą. Wiesz, dlaczego?

— Nie.

— Bo okryłam go hańbą. Przysięga, że zamknie mnie w jakimś klasztorze w Teksasie!

Etienne patrzył na nią bez słowa. Ceclie podeszła jeszcze bliżej, w jej oczach stały wielkie, błyszczące łzy.

— Czy... rad jesteś, że odjeżdżam?

— Sądzę, że powinnaś spytać o to Paula — odparł sucho. Ceclie cofnęła się o krok.

— Mogłam się tego spodziewać — szepnęła — ale jakoś nie przyszło mi to do głowy. Chyba dlatego, że kocham cię tak bardzo, że inni dla mnie nie istnieją.

— Kochasz mnie! — drwił Etienne — tak bardzo, że zostajesz kochanką Paula Dumaine'a! Że pozujesz mu do plugawych obrazów...

— To był piękny obraz! — przerwała mu Ceclie.

— Chciałam ci go podarować, żebyś odczuł choć odrobinę tej udręki, którą ja znosiłam przez ciebie! Ale to nie był szczęśliwy pomysł... Wszystko popsułam, inni ucierpieli przez mnie...

Urwała i spojrzała mu prosto w oczy.

— Może kiedyś zrozumiesz, co to znaczy powoli umierać z tęsknoty, kiedy w płucach brak już oddechu, serce wyschło z rozpacz i w piersiach została jakaś ssąca pustka. Płakać nie można, bo łez już nie ma, tylko trzeba wciąż nasłuchiwać — że może jednak przyjedzie... Tienne, na miłość boską, pocałuj mnie, żebym mogła wreszcie odejść!

Etienne patrzył na nią w milczeniu. Nagle porwał ją w objęcia, objął tak mocno, że cicho zajęczała, lecz wtuliła usta — miękkie, gorące, ustępliwe

— w jego usta, przebijając pieszczotliwie palcami miękkie kędziorzy na jego karku. Nagle, jak drapieżna kotka, wbiła szponiaste palce w jego ciało, wpiła się w jego usta gwałtowną, napastliwą pieszczotą. Etienne mocniej zwarł ramiona, przegiął ją w tył, rozwarł jej zaciśnięte zęby.

Potem rozluźnił objęcia, zwisała bez życia w jego ramionach. Wydawało się, że cała jej krew zebrała się w nabrzmiątych purpurowych ustach.

— "Tienne — szepnęła — nie pozwól mi odejść... nigdy! Etienne przytulił ją delikatnie.

— Powiedz, że z Paulem to nieprawda — poprosił ochryple. — Powiedz, że to nieprawda, nawet jeśli było inaczej!

Cecile uśmiechnęła się, w jej oczach jaśniała czułość.

— Dobrze — szepnęła. — Ale co to zmieni? I tak nigdy się nie dowiesz, jak było naprawdę. Jeśli mnie kochasz, to tamta sprawa nie będzie miała znaczenia. Jestem twoja — od zawsze, od dnia, gdy się urodziłam. Ale jeśli nie jesteś pewien swoich uczuć, to pozwól mi odejść teraz, kiedy mam dość sił, by odejść.

Etienne nie odrywał od niej oczu.

— Dziś weźmiemy ślub — oświadczył — a potem wyjedziemy z tego przekłętą miejsca. Pojedziemy na jakieś nowe ziemie, na przykład do Kansas. Ale pamiętaj jedno — jeśli kiedyś przez sen nazwiesz mnie Paulem, uduszę cię. Spojrzał w stronę gabinetu, gdzie Stephen pykał fajkę, otoczony chmurą błękitnego dymu.

— Lepiej powiem ojcu. Chodź, Cecile. — Objął dziewczynę w pół i weszli razem do gabinetu.

— Ojczce...

Stephen powolutku odłożył fajkę.

— A więc pogodziliście się? I jesteście pewni, że to słuszna decyzja?

Cecile zalała się jaskrawym rumieńcem.

— Ja... wiem, co pan o mnie myśli — wyjąkała — ale czy już zawsze będzie mi pan wypominał jeden fałszywy krok?

Stephen uśmiechnął się.

— Ja — nie. Żadna ze stron nie jest bez winy — odparł. — Niepokoi mnie jedno: czy będziecie dość wielkoduszni, by wybaczyć sobie nawzajem. To będzie piekło, nie małżeństwo, jeśli będziecie wciąż rozgrzebywać przeszłość i rzucać ją sobie w twarz. Bo wiem, że bez kłótni się nie obejdzie. Nie udało się to żadnemu małżeństwu — prędzej czy później musi dojść do scysji.

— Ale przeszłości już nie ma, ojczce — burknął Etienne. — Umarła pięć minut temu. A ja nigdy jej nie wskrzeszę.

Cecile milczała, nie odrywała od narzeczonego rozkochanych oczu. Stephen wstał.

— Dobrze, w takim razie jedźmy wszyscy do Rosemont, porozmawiamy z Phillippe'em.

Twarz Cecile natychmiast zgasła.

— Nie! — zawołała. — On się nigdy nie zgodzi!

— Nigdy to wielkie słowo, Cecile — powiedział Stephen. — 'Tienne, idź do matki, powiedz jej o wszystkim. I poproś, żeby przyszła do mnie na słówko, kiedy już się przebiorę do drogi.

Gdy Stephen schodził na dół, Aurorę już nań czekała. Miała na sobie strój do konnej jazdy, w ręku — pejcz.

— Jadę z wami — oświadczyła tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Zawsze lepiej niż inni radziłam sobie z Phillippe'em. A sprawa nie jest łatwa.

— Więc popierasz ten projekt? Miałem co do tego wątpliwości.

— Nie, Stephenie — odparła z namysłem. — Wcale go nie popieram. Małżeństwo powinno się opierać na całkowitym zaufaniu, a z tego co widzę, żadne z dwojga młodych nie było stałe w uczuciach. Ale kim jestem, by wydawać sądy? Wysłałam za mąż za człowieka, który nawet mnie nie kochał, reputację miał mocno zszarganą... a jednak się udało. Zaczną nowe życie, na nowej ziemi, gdzie nie dosięgnie ich obmowa... Zresztą, jak długo wstrzymałby ich mój zakaz... albo twój, Stephenie?

— Ani pięciu minut — uśmiechnął się Stephen. — Etienne to moja krew. Cóż, jeśli Phillippe da nam sposobność powiedzenia, tego co chcemy powiedzieć, to może jakoś go przekonamy. W każdym razie spróbować warto.

Phillippe spożywał skromne śniadanie zupełnie sam w ogromnej jadalni Rosemont. Kiedy lokaj zameldował o przybyciu gości, wyszedł do nich z nieruchomą twarzą. Skłoniwszy się posępnie przed Aurorą, spojrzął zimno na Stepheną.

— A więc, Fox, wysługujesz się żoną, kiedy masz jakąś trudną sprawę do załatwienia.

Stephen ściągnął siwe brwi.

— Niech się pan liczy ze słowami, Phillippe... — zaczął Stephen, lecz Aurorę nie dała mu dokończyć.

— Sama tu chciałam przyjechać — powiedziała — bo wiem, że obaj macie nieznośne usposobienia. Proszę mnie wysłuchać, Phillippe. Te nasze krnąbrne, postrzelone dzieciaki postanowiły się pobrać. Przyjechaliśmy

prosić o zgodę na ten związek. To chyba najlepsze rozwiązanie. Tylko ślub zatka usta plotkarzom!

Phillippe patrzył spod oka na dwoje młodych.

— Dobraliście się w korcu maku — powiedział. — Dobry Bóg w swym gniewie nie obmyśliłby gorszej kary niż wspólne życie dwojga takich gagatków. Daję wam moje błogosławieństwo, a nawet będę na ślubie, żeby się upewnić, że to prawda.

— Och, ojcie — zawołała Ceclie z uniesieniem.

— Nie dziękuj mi — warknął odtrącając ją. — Jestem szczerze rad, że wreszcie się ciebie pozbędę!

Twarz Etienne'a pociemniała z gniewu.

— Jest pan zwierzę bez sumienia! — zawołał.

— Nie przeczę. To określenie stosuje się także do pańskiego ojca: obydwaj spłodziliśmy równie udane potomstwo. No wejdźcie, nie zabiorę wam zbyt wiele czasu.

Stephen musiał użyć całego swego daru przekonywania, by ojciec DuGois zgodził się udzielić im ślubu, dopiął swego po długich namowach. Nazajutrz po tej uroczystości na pokładzie jednego ze statków, sunących majestatyczną flotyllą coraz dalej od nabrzeża, stali Etienne i Ceclie. Płynęli w górę rzeki, do Kansas. Etienne wiozł spory zapas gotówki, przeznaczonej na zakup ziemi, a także czek in blanco, wystawiony przez Stephena na bank w Filadelfii, gdzie miał swoje konto.

Na pokładzie innego ze statków Paul Dumaine odpływał z Nowego Orleanu, by nigdy już tu nie powrócić.

ROZDZIAŁ 28

Na początku listopada 1854 roku zebrano z pół całą trzcinę. Pogoda była po wiosennemu ciepła i łagodna. W cukrowni kruszarnie dudniły dzień i noc. Murzyni pracowali żwawo i chętnie — dożynki były już za pasem. Julie jeździła z ojcem po całej plantacji, wciąż wypatrując pocztyliona: może przywiezie list od Etienne'a?

Ostatniego dnia żniw, rankiem, siedziała już na swym spasionym kucyku, gdy Stephen schodził ze schodów. Uśmiechnął się na widok pyzatej buzi, na której malowało się wyczekiwanie i niecierpliwość.

— Czy ty nigdy nie śpisz? — zgañił ją żartobliwie.

— Przecież nie wyjechałbym bez ciebie.

— Tak się guzdrzesz, papo — poskarżył się podłotek.

— Gnuśniejesz jak ten gruby monsieur Le Blanc.

— Boże broń! — uśmiechnął się szeroko i wskoczył na konia. — No, od czego dziś zaczniemy?

— Jedźmy najpierw na pola nad rzeką. Stamtąd widać trakt i...

— ... Tamtędy przejeżdża pocztylion. Nie gryź się, Julie, ten twój brat — ladaco niedługo się odezwie. Popędź no trochę to opasłe zwierzę. Już jesteście spóźnieni.

— Wszystko przez papę — nadała się dziewczynka.

— Nie chciało ci się wstawać!

— Starość nie radość, córeczko. Musisz być bardziej cierpliwa.

Ruszyli wyciągniętym kłusem aleją dębową w kierunku grobli. Nie ujechali połowy drogi, gdy z traktu wytoczył się najemny powóz. Różowa twarz Julie rozpromieniła się.

— Może to 'Tienne! — zawołała głosem przerywanym ze wzruszenia. — Może postanowił wrócić!

— Wątpię — powiedział Stephen — ale zaraz się przekonamy.

Woźnica zatrzymał konie. Stephen podjechał na tańczącym palomino do drzwiczek powozu i uchylił kapelusza.

Usta Julie wygięły się w podkówkę. Wychylony z powozu mężczyzna w niczym nie przypominał jej brata. Twarz miał szczupłą, kościstą a usta szerokie, gotowe do uśmiechu.

— Czy to plantacja pana Stephena Focha? — zapytał głębokim basem.

— Tak, właśnie z nim pan mówi — odparł Stephen.

— Az kim mam przyjemność, jeśli wolno spytać? Nieznajomy uśmiechnął się jeszcze szerzej, w ciemnoszarych oczach zatańczyły iskierki.

— Dworność ludzi z Południa — powiedział. — Prawie już zapomniałem, jak to jest. A co, nie mówiłem? — zapytał kogoś w głębi pojazdu.

— Tak, tato — odparł dźwięczny młodzieńczy baryton.

— Nazywam się Thomas Meredith, a to mój syn i imiennik. Tom, przywitaj się z panem i z panienką.

Chłopiec wysunął głowę przez okno powozu. Miał twarz ojca, o rysach złagodzonych przez wdzięk młodości. Mniej więcej siedemnaście lat, pomyślał Stephen.

— Witam państwa — powiedział chłopiec twardym jankeskim akcentem, zupełnie różnym od śpiewnej mowy swego ojca. Popatrzył na Julie szarymi, szeroko rozstawionymi oczami, zamrugał długimi rzęsami. Odgarnął z wysokiego czoła ciemny pukiel. Kąciki ust drgały mu lekko. Płochliwy jak panienka, pomyślał Stephen.

Julie zarumieniała się pod tym baczny spojrzeniem, lecz nie mogła powstrzymać uśmiechu.

— Mam na imię Julie — powiedziała śmiało.

— Uroczę imię — skomentował starszy mężczyzna — dla pięknej damy. Stephen włożył z powrotem cylinder.

— Będzie nam miło gościć panów w Harrow — powiedział.

— Ale pan właśnie dokądś się wybierał... może miał coś do załatwienia — sumitował się Thomas Meredith.

— Zwyczajny objazd, nie zając nie ucieknie. Nie mamy tu zbyt wielu gości, a to zawsze uciecha, osobliwie dla Julie. Jest towarzyska, jak jej matka.

— Cieszę się, że poznam madame Fox. Już dawno nie miałem sposobności do rozmowy z damą z Południa. My mieszkamy w Bostonie.

— Chłopiec pochodzi z Bostonu, ale pan, sądząc po akcencie, wychował się w Georgii lub Alabamie.

— Zgadza się. Urodziłem się na plantacji pod Tuscaloosą. Ale po raz ostatni byłem na Południu przed dwudziestu laty.

Stephen zawrócił koniem, Julie podjechała na kucu z drugiej strony karety i niewielka kawalkada ruszyła niespiesznie do Harrow.

— Zastanawia się pan zapewne, co jest celem naszej wizyty? — odezwał się Thomas Meredith.

— Szczerze mówiąc — tak — odparł Stephen.

— Na pańskiej ziemi leży mój syn. Przyjechaliśmy, by zabrać jego ciało do Bostonu.

Julie otworzyła szeroko oczy.

— Och, nie! — zawołała.

— Proszę przyjąć wyrazy mojego współczucia — powiedział Stephen z powagą. — Ale mam nadzieję, że zmieni pan zamiar. Dla Julie, mojej córki, ten grób jest niczym świętość. Pielęgnowała chłopca w jego ostatnich godzinach. Zostawił w jej duszy niezatarte wspomnienie.

— Taki właśnie był Daniel — rzekł Meredith cichym głosem. — Jego matka do dziś nie przeboleła tej straty. Ale mnie już teraz lżej na duszy, gdy słyszę, jak czuła miał opiekę.

— Robiliśmy, co w ludzkiej mocy, ale niewiele można było zrobić. Zdaje się, że nie cierpiał zbyt długo.

Resztę drogi przebyli w milczeniu. Młody Meredith przyglądał się Julie spod rzęs. Siedziała na kucyku wyprostowana jak trzcina, policzki jej pały.

Aurorę już czekała na górnej galerii. Czarni służący z daleka wypatrzyli jakiś obcy powóz, więc goście bynajmniej jej nie zaskoczyli. Gdy cała czwórka dotarła na górę, Aurorę z uśmiechem wyciągnęła dłoń.

— Witamy w Harrow — powiedziała.

Thomas Meredith skłonił się ze staroświecką galanterią.

— Dziękuję pani. Zaszczyc dla nas niepośledni.

Gdy Stephen dokonał prezentacji, Aurorę zaprosiła gości na śniadanie. Weszli do ogromnego hallu, chłopiec stanął w drzwiach jak wryty.

— Tom, nie stój tak! — ofuknął go ojciec.

— Tato, przecież to pałac — szepnął Tom — to po prostu bajka...

— Rzeczywiście, w Bostonie takiego nie znajdziesz

— przyznał ojciec. — Teraz już chyba rozumiesz naszych przyjaciół z Południa.

— Tak, tato. Nic dziwnego, że tak zażarcie walczą o...

— urwał, mocno skonfundowany. — Przepraszam, tato

— dodał po chwili.

— Nie szkodzi, synku, ale nie zapomnij się po raz drugi. Stephen słuchał z podniesionymi brwiami.

— Jesteście wśród przyjaciół — powiedział przyjaznym tonem. — Możecie mówić bez obaw.

Aurorę skineła z wdziękiem na drzwi jadalni.

— Proszę do środka. Śniadanie już czeka.

Gdy siedli do stołu, służba zaczęła wnosić dzbanki z café au lait i parujące półmiski. Meredith wziął się rażno do jedzenia, lecz Tom wodził oszołomionym wzrokiem za niewolnikami.

— W Bostonie czarni to rzadkość — zauważył Stephen.

— Rzeczywiście, można ich policzyć na palcach jednej ręki. Wciąż nie mogę się do nich przyzwyczaić.

Julie odstawiła filiżankę.

— A pana brat Daniel mówił, że jesteście abolicjonistami

— wypaliła.

— Julie... — zaczęła Aurorę, lecz Meredith przerwał jej z uśmiechem.

— Dan mówił prawdę — powiedział cichym głosem.

— Ale panienka nie będzie nam miała tego za złe, prawda? Aurorę spojrzęła nań zaskoczona.

— Przecież pan pochodzi z Południa.

— Owszem, madame, urodziłem się w Alabamie. Kiedy miałem dwadzieścia lat, ojciec zmarł, zostawiając mi Pine Hall i trzystu niewolników.

— A pan darował im wszystkim wolność i sprzedał plantację. Dobrze to pamiętam — wtrącił Stephen.

— Podniosła się wtedy niesłychana wrzawa.

— Rzeczywiście — przyznał Meredith z uśmiechem.

— Do tego stopnia, że grunt zaczął mi się palić pod stopami. Wyjechałem więc z Alabamy do Bostonu.

— Ale dlaczego — dziwiła się Aurorę — dlaczego tak pan postąpił?

— Nielatwo mi odpowiedzieć na to pytanie, madame. Ta kwestia wywołuje przeważnie burzliwe emocje...

— Może się pan zdziwi — roześmiał się Stephen — ale my potrafimy trzymać emocje na wodzy. Proszę, niech pan mówi śmiało. Może wtedy moja żona przestanie uważać mnie za wariata.

Na twarzy Mereditha odbiło się zdziwienie.

— Mój mąż nieraz mówił, że chętnie poszedłby pana śladem — wyjaśniła Aurorę. — Ale ja i inni jego przyjaciele odwiedziliśmy go od tego zamiaru. Abolicjonizm zawsze wydawał mi się jakiś... dziwaczny. Można zrozumieć jakiegoś fanatyka z Północy, który na dobrą sprawę nie wie nic o mentalności Murzynów i nie jest zaangażowany finansowo w całą sprawę, ale żeby Południowiec... a przy tym człowiek światowy jak pan...

— Dziękuję pani za łaskawe słowa, ale naprawdę niechętnie mówię o tej sprawie. Wszystkie dyskusje na ten temat zdają się obracać wokół rzekomej przewagi moralnej, jaką przypisuje się przeciwnikom niewolnictwa. Taka postawa tylko im szkodzi. Sam dziwię się wypowiedziom niektórych ludzi z ruchu, do którego należę. Powiem jedno: niezależnie od tego, w jakim stopniu uzasadnione są gwałtowne ataki różnych Garrisonów, Phillipsów i

Thompsonów*, jest faktem, że z moralnego punktu widzenia niewolnictwo jest złem.

* William Lloyd Garrison, Wendel Phillips — znani abolicjoniści, walczyli także o prawa kobiet

— Ja tak tego nie widzę — odparła Aurorę gniewnie.

— Bardzo dobrze traktujemy Murzynów — prawdę powiedziawszy o wiele lepiej niż wy, na Północy, obchodźcie się z waszymi robotnikami.

Meredith uśmiechnęła się.

— Dwa i dwa to cztery, czy tak? Chyba że mamy dwa jabłka i dwie figi. Z dwóch złych rzeczy nie da się sklecić jednej dobrej. A zło jest zawsze na tej samej szali, więc nie da się wyrównać zła dobrem. Poza tym, jak madame wie, są wypadki nadużyć i złego traktowania.

— Niewiele... bardzo niewiele.

— O wiele więcej, niż można przypuszczać, madame. Zdobywanie i transport niewolników to niewiarygodne bestialstwo. Owszem, zabroniono handlu czarnymi, ale pokątny handel wciąż kwitnie. Widziała pani kiedyś statek z niewolnikami... czuła odór?

Aurorę potrzęsnęła przecząco głową.

— Niejednokrotnie aż połowa tych nieszczęśników — ciągnął Thomas Meredith z rosnącym ożywieniem — umiera w czasie rejsu: z głodu, przeludnienia, złych warunków sanitarnych, z powodu złego traktowania. Nawet w handlu między poszczególnymi stanami śmiertelność jest wysoka. Czy siadłaby pani przy jednym stole z handlarzem niewolników?

— Niech Bóg broni! — zawołała Aurorę.

— Na całym Południu są wyrzutkami, którym nikt nie poda ręki. Dlaczego? Bo to nieokrzesañcy i okrutnicy. A dlaczego ten handel jest w rękach takich właśnie ludzi? Nie ma nic moralnie naganego w kupnie niewolnika od któregoś z tych ludzi, naganne jest tylko zarabianie na życie handlem czarnym towarem — a ten sposób zarobkowania potępiają ci sami ludzie, którzy nic przeciw samemu handlowi nie mają — dobrzy, uczciwi chrześcijanie tacy jak pani...

Aurorę siedziała sztywno wyprostowana. Stephen spojrzał na nią z ukosa, uśmiechając się paskudnie.

— Ale sprzeciwiam się temu głównie dlatego — ciągnął Meredith — że demoralizuje białych na Południu i ogranicza ich możliwości zarobkowania. W naszym regionie ponad trzy czwarte białych, a nawet więcej — 85 albo i 90 procent nie posiada niewolników. Niewolnictwo przynosi zyski — nam, bogaczom. Natomiast miliony innych białych z trudem utrzymują się przy życiu na jałowych ziemiach górskich albo wegetują na zabójczych dla

zdrowia, podmokłych nizinach. Widziałem te nędzne chałupy bez podłóg, zarośnięte brudem dzieci, wyniszczone, przedwcześnie postarzałe kobiety... Proszę mi wybaczyć, madame, nie chciałem pani urazić.

— I nie uraził pan. Proszę mówić dalej. Nigdy nie patrzyłam na tę sprawę pod tym kątem.

— Sęk w tym, że jako siła robocza ci biali ustępują Murzynom. Żadne społeczeństwo, wspierające interesy tak małej grupy nie osiągnęło nigdy prawdziwej świetności. Są też inne względy, niezbyt odpowiednie dla uszu dam.

Stephen spojrzał ja Julie.

— Skończyłaś? To może zabrałabyś Toma na przejażdżkę po Harrow? Peter osiodła mu konia.

Julie wstała posłusznie. Tom spojrzał na ojca, widać było, że rwie się do wyjścia, Meredith skinął głową i dwoje młodych wyszło do ogromnego hallu.

— W obecności mojej żony może pan mówić swobodnie — powiedział Stephen. — Przekona się pan, jaka z niej zagorzała feministka — wykształcona bardziej niż to dla niej wskazane!

— Chodziło mi — madame zechce wybaczyć — o szeroko rozpowszechnioną praktykę konkubinatu z niewolnicami. Widzę w Luizjanie Murzynów równie białych jak Skandynawowie. Ci Mulaci, kwarteroni i oktoroni są prawdziwie niebezpieczni. Są drażliwi i o wiele bardziej skorzy do buntów niż Murzyni. Poza tym rozwiązłość młodzieńców z najwyższych sfer nie sprzyja ich zdrowiu fizycznemu ani równowadze moralnej. Aurorę spojrzała na Stephena.

— W zupełności się z panem zgadzam — powiedziała dobitnie.

Stephen poczerwieniał jak burak.

— Oczywiście ma pan słuszność — oświadczył. — Kłopot w tym, że... nie widzę wyjścia z tej sytuacji. Jesteśmy zniewoleni w równym stopniu jak Murzyni. Załóżmy, że uwolnię swoich czarnych. Co dalej? Co ze sobą poczną? Kto się nimi zajmie? Sam pan wie, co się dzieje z wyzwolencami. Weźmy pańskich Murzynów. Jak sobie radzili, kiedy puścił ich pan wolno?

— Niektórzy — kilkoro — doskonale. Wyemigrowali do Bostonu i Nowego Jorku, założyli małe przedsiębiorstwa: pralnie, stolarnie, zostali pucybutami. Niektórzy poszli na służbę do zamożnych nowojorczyków. Większość z nich jakoś sobie radzi, ale reszta...

— Właśnie — wtrącił Stephen — co z resztą?

— Wpadli w tarapaty. Żyją głównie z drobnych kradzieży, a zwłaszcza — madame raczej znów wybaczyć — z prostytucji. Zdarzyło się nawet parę

morderstw. Rzecz w tym, że nie byli przygotowani do samodzielnego życia. I to właśnie jest naszym zadaniem: przysposobić ich do wolnego życia. Bo z pewnością uzyskają wolność — albo już wkrótce, drogą gwałtu, albo, jeśli Bóg pozwoli, za jakiś czas, stopniowo, z naszej nieprzymuszonej woli. Tego właśnie pragnę. Ale chyba czas już skończyć z tym tematem, jak państwo sądzą? Chciałbym, jeśli można, odwiedzić miejsce, gdzie leży Dannie...

Stephen wstał.

— Chodźmy, zaprowadzę pana.

Z wysokości potulnego wałacha, który dlań osiodłano, Tom Meredith rozglądał się w oszołomieniu po okolicy.

— Jakie to Harrow... wielkie! — wykrztusił. Julie roześmiała się.

— Nie widział pan jeszcze połowy!

Przejeżdżali obok pigeonnières*, nad którymi krążyły stada gołębi. Po drugiej stronie drogi stała niewielka, lecz bogato zdobiona budowla.

* pigeonnières (franc.) — gołębniki

— Co to jest? — zainteresował się Tom.

— Właśnie tutaj zamieszka pan z ojcem na czas pobytu w Harrow. Ten domek nazywa się garçonniere. Wybudowano go dla Tienne'a — to mój brat — i jego gości.

— Chciałbym obejrzeć przysiółek niewolników.

— Po co?

— Bez szczególnego powodu... po prostu chętnie bym go zobaczył.

— No dobrze. Ale tam naprawdę nie ma nic ciekawego. Pojedziemy w tamtą stronę...

Po kilku minutach wjechali w kolonię ceglanych, biało malowanych schludnych domków. Na schodkach bawiły się dzieci. Z niektórych domków wychodziły babcie Murzyniątek, machały do Julie, rozpromienione.

Szczupła twarz młodzieńca była skupiona i posępna. Podniósł na Julie wielkie szare oczy.

— A gdzie pręgierz? — zapytał. : — Prę... co?

— Pręgierz. Tam, gdzie chłoscze się Murzynów.

— Czytał pan tę wstrętą książkę! — zawołała z gniewem dziewczynka.

— Niechbym tylko dostała w ręce tę panią Stove**! Przemówiłabym jej do rozumu!

** Stove — autorka „Chaty wuja Toma”

— Ale przecież macie tu gdzieś pręgierz? — spytał Tom prawie z nadzieją.

— Rozumie się, że nie! — krzyknęła rozeźlona. — Nie bijemy naszych Murzynów. Wy Jankesi jesteście strasznymi głuptasami!

— Prze... przepraszam — wykrztusił Tom. — Nie chciałem pani rozgniewać.

Julie natychmiast przeszła złość.

— Nic się nie stało — powiedziała. — Wie pan, papa wysłał mnie do szkoły na Północ, kiedy skończę szesnaście lat.

— Naprawdę? Więc proszę przyjechać do Bostonu. Mamy eleganckie szkoły dla dziewcząt... no i moglibyśmy się widywać... może codziennie.

Trzynastoletnia Julie była już małą kobietką, i to kobietką z Luizjany. Zatrzepotała rękami, spojrzała przeciągle, w jej głosie zabrzmiał niski, prawie uwodzicielski ton.

— Naprawdę chciałby pan... chciałbyś tego, Tom? — spytała półgłosem.

— Czy chciałbym? Czy chciałbym! — zawołał chłopiec i urwał, zmieszany i czerwony jak piwonia.

— Cieszę się — zaszczębiotał podłotek. — Ale jedźmy dalej, mam ci mnóstwo rzeczy do pokazania.

Nim wrócili, Tom zobaczył jeszcze doskonale urządzoną cukrownię, wyposażoną w najnowocześniejsze maszyny, lecznicę, której głównymi pacjentami były murzyńskie niemowlęta — popijały ziołową herbatkę lub zjadały kaszę, podczas gdy ich matki pracowały w polu, przystań dla parostatków, wrak „Creole Belle”, którego jeszcze nie usunięto, i mogiłę brata.

Stał w milczeniu nad tym kopczykiem ziemi, nad którym Stephen kazał wzniesić wielki kamień nagrobny z marmuru. Szerokie, wrażliwe usta chłopca drżały lekko.

— Mój brat był dobry — szepnął. — Kochał wszystkich i wszyscy go kochali. Czasem zastanawiam się, dlaczego Bóg dopuszcza do podobnych rzeczy. Jeśli ktoś musiał umrzeć, to dlaczego zabrał najodważniejszego, najzdolniejszego, najlepszego... dlaczego nie mnie? Za mną nikt by nie tęsknił.

— Co ty mówisz, Tom! Ja bym za tobą tęskniła... Tom spojrzał na Julie poważnie, bez uśmiechu.

— Przecież nawet byś mnie nie знаła — powiedział, odgarniając z czoła niesforny lok.

— To byłoby jeszcze gorsze — powiedziała cichutko.

— Julie...

— Tak?

— Julie... ja... wiesz, lepiej wracajmy do domu. Dziewczynka spojrzała na zmieszanego młodzieńca z filuternym uśmiechem.

— Zgoda, wracajmy. A ty spróbuj się trochę przespać. Dziś późno idziemy spać.

— Dlaczego?

— Dziś wieczór święcimy dożynki. Będzie wesoło, zobaczysz. No, jedziemy! Ścisnąwszy piętami tłuste boki kucyka, ruszyła żwawym kłusem. Z tyłu, na wiekowym podjezdku włókł się Tom.

— Ty głąbie! — szeptał do siebie ze złością. — Ty nogo stołowa!

O wpół do dwunastej w Harrow zgromadzili się wszyscy przyjaciele Julie. Byli tam Victor i Herbert Le Blanc ze swoją siostrą Aurore oraz James Drummond z dwiema siostrami — Helen i Martha. To młodociane grono było mniej więcej w wieku Julie. Dwudziestoczteroletni Stephen Le Blanc, chociaż nie opierał się ojcowskiemu projektowi małżeństwa z Julie, gdy ta dojdzie do pełnoletności, wzgardził towarzystwem — jak się wyraził — tych żółtodziobów, i wyjechał do miasta, by zakosztować dojrzałych uciech razem z przyjaciółmi: Pierre'em Aucoin, Henri Lascalsem, Jeanem Sompayrac, Bobem Nortonom i Jamesem Duckettem. Walter McGarth, członek tej samej paczki, do której niegdyś należał Etienne, przebywał w Harvardzie na studiach prawniczych.

Punktualnie o północy umieszczony na cukrowni buczonek rozdarł ciszę nocy, a któryś z niewolników podpalił ogromny stos wyschłych trzcinowych badyli. Płomienie pobiegły na sam szczyt stosu, buchnął wielki, żółty ogień, przepędzając nocny mrok.

Wokół płonącego przed cukrownią ogniska stali: Stephen, Aurore, Thomas Meredith, André Le Blanc, Amelia oraz państwo Drummond. Śmiejąc się i przekrzykując radośnie zbiegli się Murzyni. Stephen skinął na któregoś parobka, by otworzył drzwi składu. Tłocząc się i przepychając, Murzyni zaczęli wytaczać na dwór beczułki z vin de canne*.

* *vin de canne* (franc.) — *wino z trzciny cukrowej*

W niewolniczym przysiółku już piekły się na roznach grube plastry najlepszej wołowiny. Na tę noc Murzyni czekali przez cały rok.

— Upiją się w sztok — powiedział Stephen do Thomasa Mereditha. — Ale co tam, zasłużyli sobie na odrobinę rozrywki. Dobrze pracowali w tym sezonie.

Meredith patrzył za synem, który wbiegł do cukrowni z czeredą młodzików. Tom niósł migdałowe patyczki, które Kreole zwali batons amandes, niewielkie pain patates, czyli kartoflane placuszki, oraz nanizane na długie sznurki orzeszki pecanowe, dzieci zanurzały je we wrzącej masie

cukrowej, by otrzymać przysmak o nazwie chapelets de pecan. — Mocno się obawiam — szepnął do Stephena — że zepsuje mi pan syna tym wystawnym życiem. Tylko patrzeć jak zażąda, bym mu kupił kilkaset akrów i tyluż niewolników!

— Ten chłopiec z wychowania i postawy jest prawdziwym Południowcem — powiedział Stephen głośno.

— Już po twarzy widać, że jest zbyt wrażliwy, by wyrosnąć na kupca.

— Tu masz rację — poparł go żarliwie André Le Blanc.

— Widać, że chłopak zapowiada się na prawdziwego dżentelmena. Wykierować go na jakiegoś tępego Jankesa — to byłaby zbrodnia!

— Widzę, że jestem w mniejszości — roześmiał się Meredith. — Chyba skosztuję tej pieczeni. Pachnie wybornie.

— Widzę, że przyprawiłeś wołowinę na sposób teksaski — powiedział Jim Drummond. — Niejednego się tam nauczyliśmy, prawda, Stephenie?

— Tak, a głównie tego, jak wiele nieszczęścia, bólu i niewygód można znieść dla sprawy, której się nawet nie rozumie. Poczekaj, André, ja nałożę paniom. Nie chcę patrzeć, jak ci pęka ta szykowna kamizelka.

— Rzeczywiście, jest teraz grubszy niż dłuższy — powiedziała ze śmiechem Amelia. — Pamiętasz, Stephenie, jaki był smukły i strzelisty tego wieczoru, kiedyś mi go przedstawił?

— Pamiętam jak dziś — odparł Stephen — ale chyba nie masz do mnie pretensji?

Amelia uśmiechnęła się łagodnie.

— Jesteśmy bardzo szczęśliwi, Stephenie. Właściwie tobie to zawdzięczam.

Stephen schylił się nad Aurore, by wręczyć jej talerzyk pieczeni, pachnącej dymem z ogniska.

— Ja też jestem szczęśliwy — powiedział cicho — bardzo szczęśliwy. O wiele bardziej, niż sobie zasłużyłem.

— To dlatego, że musiałam tak długo na niego czekać — uśmiechnęła się Aurore. — Miałam dość czasu, by mu się dokładnie przyjrzeć. Więc kiedy wreszcie się nade mną zlitował, wiedziałam już, czym go zadowolić, a raczej czym go nie zezłościć. Stephen to człowiek o gołęmb sercu, chociaż próbuje uchodzić za niegodziwca, i cieszy się, gdy mu się to udaje.

— Dziękuję ci, kochanie, ale jak wiadomo, anioły zawsze ciągnęło do diabłów. Może wina dla pani?

André złożył pulchne dłonie na wydatnym brzuchu.

— Nieźle się nam powiodło w życiu — powiedział w zadumie.

— Lepiej nie można — zawtórowała Amelia.

Od grupy młodzieży oderwał się Tom Meredith i podbiegł do dorosłych.

— Tato! — zawołał. — Czy mogę wyjechać na studia za granicę? Do Paryża, tato?

Meredith patrzył na syna z uśmiechem.

— Zachciało ci się Europy? Skąd ten pomysł?

— Rozmawiali po francusku, i to brzmiało tak pięknie! Szczególnie, gdy mówiła Julie. Ale ja nie rozumiałem ani słowa!

Meredith odgarnął włosy z oczu syna.

— Pomyślimy nad tym, synku. Szczególnie Julie, powiadasz? Tak, trzeba rozważyć tę sprawę.

RS

ROZDZIAŁ 29

Bostończycy zabawili w Harrow ponad dwa tygodnie. Dzień ich odjazdu był jednym z tych rzadkich dni zimowych, kiedy słońce bawi się w chowanego z puszystymi, białoróżowymi obłokami. Słoty zimowe spóźniały się po raz pierwszy od wielu lat. Złotawe słońce kładło się długimi, ukośnymi promieniami na pola i rzekę, wydawało się, że cały świat przycichł i złagodniał. Szczególnie cicho było w zakątku, gdzie spoczywał Daniel Meredith, słońce odbijało się łagodną poświatą od mogiły i marmurowej steli.

Przy grobie stał z ojcem Tom Meredith, zdjął kapelusz i słońce złociło jego brązowe loki. Nieco dalej stali Stephen i Julie.

— Tato — szepnął Tom.

— Tak, synu?

— Niech on tu zostanie. Nigdzie nie będzie mu lepiej. Straszno mi się robi, gdy pomyślę, że mógłby leżeć w zmarzniętej ziemi obok kaplicy królewskiej. A tu jest tyle słońca i przestrzeni... i prawie przez cały rok ma świeże kwiaty. Julie tego dopilnuje. Obiecała mi.

Meredith uśmiechnął się łagodnie do syna.

— Nie zazdrość umarłym, synku — powiedział. — Kto wie co ciebie czeka w życiu...

Tom podniósł oczy.

— Przed tobą nic się nie ukryje, tato... Ale o tym nie śmiem nawet marzyć. No, a co z tą sprawą? Zostawimy go tutaj?

— Tak. A teraz się pożegnajmy. Foxowie to wspaniali ludzie. Nasi przyjaciele abolicjoniści zbyt upraszczają sprawę — sam się przekonałeś, synku.

Podeszli do Foxów. Stephen wyciągnął rękę, Meredith uściskał ją mocno.

— Ta wizyta miała dla nas ogromne znaczenie. Będziemy pisać... i to często. Krajowi potrzebni są ludzie z obydwu ugrupowań. A jeśli państwo kiedykolwiek wybieriecie się do Bostonu...

— ... to nie omieszkamy wpaść z wizytą. To może być szybciej, niż pan sądzi.

Tom nie wypuszczał ze szczupłej dłoni pulchnej rączki podlotka.

— Zostań z Bogiem, Julie — powiedział po prostu.

— Zapomniałeś dodać au revoir*. Chłopiec zaczerwienił się.

* **Au revoir (franc.) — do widzenia**

— Ja... nie wiem, co to znaczy. Nie znam francuskiego — wyjąkał.

— Kiedyś go poznasz — szepnęła. A po chwili:

— Tom, możesz mnie pocałować w rękę. To się zwykle robi przy pożegnaniu.

Chłopiec, czerwony jak piwonia, schylił się niezgrabnie nad małą dłonią z dołeczkami, a potem rzucił się pędem w stronę karety. Nie obejrzał się ani razu.

Thomas Meredith spojrział w górę na belweder, gdzie stała Aurore, i zdjąwszy kapelusz uklonił się zamaszyście. W odpowiedzi pomachała mu białą chusteczką. Meredithowie wsiedli do powozu. Murzyn — stangret cmoknął i konie ruszyły powoli.

— Tato, co to znaczy au revoir! — spytał Tom.

— Mniej więcej „do następnego spotkania”. A czemu pytasz?

— Och... tak... bez szczególnego powodu. — Wysunąwszy głowę przez okno, obejrzał się wstecz, na Julie, zdążył jeszcze zobaczyć, jak przytuliła do ust grzbiet swojej prawej dłoni.

— Do następnego spotkania — szepnął i serce wezbrało mu nagłą radością.

Stephen odwrócił się do córki.

— Julie — zaczął i urwał na widok łez, które rosły w czarnych oczach tak szybko, że nie zdążyła strącić ich rzesami.

— No tak — szepnął — więc to już się zaczyna. Nie płacz po żadnym chłopaku, Julie. Nie są tego warci.

— Ale ten jest wart, papo!

— Być może. Pożyjemy — zobaczymy. Rzeczywiście, pocziwie mu z oczu patrzy. Chodź, pójdziemy do mamy.

Zawracali do domu, gdy Julie schwyciła ojca za ramię.

— Poczytylion! Będzie list od Tienne'a! Jestem tego pewna!

Stephen wziął od poczytylionia dwie przesyłki.

— Rzeczywiście, miałaś rację. Jest list od 'Tienne'a. Ale ten drugi nie jest od niego, ale dla niego. Napisał do niego młody McGarth i zgadnij skąd — z Bostonu.

Julie podskakiwała niecierpliwie jak pulchny różowy szczeniaczek.

— Otwórz je, papo! Otwórz obydwą!

— A kysz, psotnico! Ani mi to w głowie. Otworzę list od Etienne'a, a ten drugi odeślę nie odpieczętowany. Człowiek ma prawo do poufnej korespondencji, nawet jeśli ten człowiek to twój brat.

Złamał pieczęcie pierwszego listu.

Kochani — Matko, Ojczy i Julie — czytał — po koszmarnej podróży przybyliśmy do miasta o nazwie Lawrence. Muszę przyznać, że Ceclie o

wiele lepiej niż ja zniosła trudy tej wyprawy. Mam w niej wspaniałą żonę — zrównoważoną, energiczną a przy tym bardzo mi oddaną. Kansas, a zwłaszcza Lawrence ogromnie mnie rozczarowały. Lawrence to istna wylegarnia abo licjonistów, którzy obnoszą się z zamiarem ogłoszenia tego terytorium wolnym stanem — czego nie daj Boże. ?? Jest ich jednak tak wielu, że nie wątpię, iż urzeczywistnią swe nieczne zamiary, dlatego przeniosę się tuż za granicę stanu, do Missouri, gdzie z pewnością nabędę takie ziemie, o jakie mi chodzi. Przysyłajcie listy na adres poczty głównej w Lawrence, zanim prześlę Wam dokładniejszy adres.

Do tego czasu pozostaję z szacunkiem Wasz oddany syn i brat Etienne

— No nie! — zawołała Julie. — Więc Etienne nie przyjedzie!

— Oczywiście że nie, córeczko. Nie powinnaś była na to liczyć. No chodź, zaniemiemy list mamie.

Kilka tygodni później Etienne Fox podjechał do biura szeryfa miasta Lawrence w Kansas. Szeryf zdjął z biurka nogi obute w długie buty z ostrogami i powitał go uprzejmie. Był zażartym zwolennikiem niewolnictwa i fakt ów zbliżył tych dwóch mężczyzn, których poza tym nic zupełnie nie łączyło. W Kansas było o wiele więcej przeciwników niż zwolenników niewolnictwa, dlatego szeryf uznał tego wysmukłego, chłodnego w obejściu młodzieńca za cenny nabytek dla swego stronnictwa. Oczywiście pan Fox był przesadnie ugrzeczniony i miał cudzoziemskie zwyczaje, ale z pewnością nie był to żaden ciamajda — za to mógł ręczyć.

— Witam, witam — rzekł przeciągając głoski. — Czym mogę służyć tym razem?

Etienne położył przed nim bez słowa list od Waltera McGartha, przesłany przez Stephena. Szeryf podniósł pismo do oczu i czytał, wykrzywiając się niemiłosiernie. Czytanie nie było jego najmocniejszą stroną — każdy wyraz składał po literce.

— O ile dobrze zrozumiałem — powiedział — ten Murzyn, o którym stoi w liście, uciekł od pana?

— Właśnie.

— Do pioruna! Ten niewdzięczny łajdak ucieka od pana, a potem jeszcze zadaje się z abolicjonistami! Spokojna głowa, dostanie pan swojego czarnucha z powrotem. Jeszcze dziś poślę po niego mojego zastępcę.

— Dziękuję.

— To nawet dobrze się składa. Dosolimy tym draniom w Lawrence, niech poczują trochę bojaźni Bożej. Jak się posuwa robota na pańskiej ziemi? — spytał odprowadzając Etienne'a do drzwi.

— Doskonale. Większość już wykarczowana, a jutro spodziewam się jeszcze dwu tuzinów czarnych najwyższej jakości.

— To świetnie. Któregoś dnia zajrzę w tamte okolice.

— Koniecznie — powiedział Etienne uprzejmie, acz bez cienia entuzjazmu. — Będzie pan mile widzianym gościem.

— Zimna ryba — mruknął szeryf pod nosem, gdy gość zamknął za sobą drzwi. — Ale to pan całą gębą, wiem co mówię.

Inch spieszyl ośnieżonym chodnikiem ulicy Stanowej w Bostonie. U jego boku rześkim, młodzieńczym krokiem szedł Frederick Douglass*.

*** Frederick Douglass — Mulat, pisarz — abolicjonista. Urodzony jako niewolnik, doszedł do wysokich godności państwowych**

Inch patrzył na swego siwobrodego towarzysza z niemal zabobonną czcią. Nieraz marzył sobie, że istnieje ktoś taki jak ów czarny starzec, lecz nigdy naprawdę w to nie wierzył. I oto na własne uszy słyszał grzmiącą przemowę tego starca w samym Faneuil Hall. Na równie wielki, jeśli nie większy podziw, zasługiwał fakt, że Frederick Douglass był żywym dowodem na to, iż Murzyn może być uczonym, mężem stanu, nieulekłym obrońcą ciemionych — i dżentelmenem. On, Little Inch, czarny niewolnik pozbawiony nawet nazwiska — chyba że przybrałby nazwisko swego pana, a na to nigdy się nie zgodzi — ma zaszczyt towarzyszyć temu wielkiemu człowiekowi. Ta myśl sprawiała, że zziębnięta twarz Incha płonęła jak w gorączce.

Wszystko zaczęło się w dniu, kiedy Milliken stwierdził, jak bardzo Inch jest wykształcony. Przedstawił swojego czarnego pomocnika, który za dnia sprzątał biuro prawne a wieczorami czytał Blackstone'a, Wendellowi Phillipsowi, Theodorowi Parkerowi i Thomasowi Wentworth Higginsowi. Ludzie ci natychmiast uznali Incha za doskonałe narzędzie propagandy. Spójrzcie — powiedzą zgromadzonym — oto naoczny przykład, na jakie intelektualne wyżyny może się wspiąć czarny człowiek. Oto niezaprzeczalny dowód, że dr Douglass nie jest bynajmniej wyjątkiem, także inni Murzyni mogą w sprzyjających warunkach zdobyć wiedzę równie rozległą. Unoszono się nad doskonałą francuszczyzną Incha, nieliczni władający tym językiem bostończycy chętnie zagadywali doń po francusku. Jednym słowem, abolicjoniści niemalże nosili Incha na rękach, nie przewróciło mu się w głowie tylko dlatego, że z natury był ostrożny i nieufny.

— Kiedy już wszyscy będziemy wolni — zwrócił się do Douglassa (ten zwrot był już w codziennym użyciu) — wybierzemy do kongresu własnego przedstawiciela, a wtedy...

Nie zdążył dokończyć zdania. Wysoki, biały mężczyzna, który od jakiegoś czasu deptał mu po piętach z prawdziwie południową zajadłością, położył mu rękę na ramieniu.

— Masz na imię Inch, czarnuchu? — zapytał a raczej stwierdził ściszym, rozwlekłym głosem.

— Tak, czego pan ode mnie...

— Jesteś aresztowany. Lepiej chodź ze mną po dobroci.

— Niech pan posłucha — zaczął Inch.

— Idź z nim, młodzieńcze — wpadł mu w słowo Fred Douglass. — Nie zostawimy cię bez pomocy — możesz być pewien.

Inch spojrział na czekoladową twarz, okoloną białym zarostem. Przejął go nagły chłód.

Okazało się, że nie zamkną go w miejskim więzieniu jak pospolitego przestępcę, lecz uwiężą w gmachu sądu pod ciężką strażą. Inch patrzył z niedowierzaniem na kilkunastu uzbrojonych po zęby strażników. Więc trzeba aż tylu, by upilnować jednego drobnego Murzyna?

Nie wiedział, że w tym samym czasie Faneuil Hall aż kipiał od wzburzonego tłumy abolicjonistów. Wendell Phillips wygłaszał porywające przemówienie, podburzając obecnych do buntu. Bunt ten miał szczególne cechy bostońskie: przebieg rozruchów dokładnie zaplanowano oraz wyznaczono przywódców, którzy mieli czuwać, by przebiegały zgodnie z planem.

Niewielkie grono z Higginsonem na czele miało udać się prosto pod gmach sądu i czekać tam nadejścia Phillipsa i wiecujących z Faneuil Hall. Wtedy, przy zachowaniu dobrze obmyślonych pozorów, nastąpi wybuch rozruchów. W trakcie ogólnego zamieszania, Inch zostanie uprowadzony i natychmiast wywieziony do Kanady.

Inch przemierzał niewielką poczekalnię, która służyła mu jako cela. Przemieszany z deszczem śnieg szeleścił o szyby i spadał na ziemię, by zmienić się w twardą, śliską skorupę. Słyszając ten szelest Inch kulił się w sobie.

Wielebny Higginson otulił się szczerzej peleryną, wpatrując się usilnie w zawieruchę. Dlaczego Phillipsa wciąż nie ma? Piekielny ziąb i tylko patrzeć, jak z sądu wyjdzie któryś policjant i zauważy spiskowców. Lodowaty deszcz na przemian ze śniegiem zaciął coraz gęściej.

Dwie przecznice dalej Wendell Phillips i Theodore Parker stali na oblodzonej jezdni, patrząc na wrak powozu. Między strzaskanymi dyszlami rzucił się koń, próbując dźwignąć się z ziemi, zadnią nogę miał złamaną w dwóch miejscach. Theodore Parker spojrział na Phillipsa, abolicjonista skinał

w milczeniu głową. Parker podszedł do konia i łagodnie pogładził jego łeb i szyję. Zwierzę uspokoiło się. Parker, przysłoniwszy mu oczy jedną ręką, drugą wyciągnął pistolet i strzelił mu w środek czoła. Z rany buchnęła krew, zalewając dłoń Parkera.

Obydwaj mężczyźni ruszyli w stronę sądu na własnych nogach. Tłum zebrał się tam na długo przed ich przybyciem, ludzie porwali się do ataku. Pozbawieni przywódców, zdezorientowani, ruszyli hurmem na boczne drzwi sądu, lecz policjanci zdążyli je zaryglować.

Mały oddziałek bojowników o prawa Murzynów opuścił plac sądu, by zaraz powrócić z belką, którą chcieli staranować boczne wejście. Dwunastu krzepkich mężczyzn ujęło belkę i wzięło rozbieg, szykując się do natarcia.

Zamknięty w piwnicy Inch przysłuchiwał się dudnieniu tego zaimprovizowanego tarana. Drzwi, choć masywne, musiały wreszcie ustąpić. Rozwarły się z trzaskiem i rozkrzyczany tłum wdarł się do środka.

Policjanci już czekali. Gdy abolicjoniści wpadli do środka, policyjne pałki poszły w ruch. Stróże prawa nie szczędzili sił. Uporali się z buntownikami w parę minut. Inch płakał widząc, jak jego obrońcy, skatowani, cofają się przed zwartym murem policjantów w niebieskich kubrakach, wybiegają na oślep w śnieżną zawieruchę, by rozpierzchnąć się we wszystkich kierunkach.

Potem wszystko ucichło. Wrócili zdyszani policjanci i zaprowadzili Incha do innego pomieszczenia, o grubszych drzwiach.

Wynik rozprawy, która odbyła się w najbliższy poniedziałek, był z góry przesądzony. Cała rozprawa trwała niecałe pół godziny. Richard Henry Dana wygłosił wspaniałą mowę obrońcą, lecz fakt pozostawał faktem: Inch był osobą, za którą rozesłano listy gończe.

Na koniec przewodniczący sądu Loring, patrząc z wysokości sędziowskiej ławy, kiwnął na Incha, by wystąpił na środek sali.

Poprawił okulary i przeczytał co następuje:

— Podaśny, niejaki Inch, czarny w wieku lat dwudziestu czterech, zbiegł z plantacji Harrow, leżącej w Nowym Orleanie w stanie Luizjana. — Odłożył dokument i spojrzał groźnie na Incha.

— Czy to ty jesteś tym osobnikiem? — spytał grzmiącym głosem.

Inch skinął w milczeniu głową.

— I zbiegłeś z plantacji?

— Tak, panie sędzio — szepnął Inch ledwo dostłyszalnie.

— W takim razie, panowie, nie mam innego wyjścia jak tylko zwrócić tego człowieka jego prawnym właścicielom — oświadczył przewodniczący.

— Zdaję sobie sprawę z waszych sympatii, które sam w jakimś stopniu

podzielałam. Lecz prawo jest prawem! Nakazuję więc, by tego człowieka oddano jego panu, niejakiemu Etienne'owi Foxowi zamieszkałemu obecnie w stanie Missouri niedaleko miasta Lawrence. Koniec rozprawy.

Gdy Incha wyprowadzono z sali, do stołu, przy którym zasiadał sąd, podbiegła jakaś młoda kobieta. Z rozmachem położyła na stole zaciśniętą pięść. Gdy rozwarła palce, po stole potoczyły się srebrne trzycentówki. Było ich w sumie trzydzieści. Strażnicy wyprowadzili kobietę z sali pośród grzmiących okrzyków zgromadzonej publiczności.

Następnego dnia w południe wyprowadzono Incha z celi w oślepiającą światłość dnia. Mimo słońca dzień był wietrzny i mroźny, a jednak po obu stronach ulicy Stanowej zgromadziły się tłumy mężczyzn i kobiet. Dwa zwarte szpalery uzbrojonych w bagnety żołnierzy powstrzymywały wzburzonych ludzi. Na chodnikach ustawiono trzy działa, załadowane gotowymi do odpalenia kartaczami. Nie zabrakło też Milicji Hrabstwa Suffolk, jej członkowie, dzierżąc jakieś cudaczne strzelby i pistolety, kulili się pod oskarżycielskimi spojrzeniami sąsiadów.

Inch szedł ze spuszczoną głową. Spoglądając czasem spod oka, widział pozamykane sklepy, których witryny przysłonięto czarną krepą. Nawet flagi opuszczono do połowy masztu i zawieszono na odwrót: gwiazdy na błękitnym polu wisały dołem, zaś do drzewca przytwierdzono kraniec z pasami. Kiedy ta niewielka procesja przechodziła obok Starej Izby Stanowej, Inch dostrzegł jakąś ogromną trumnę, niesioną wysoko w górze, a na niej napis: **POGRZEB WOLNOŚCI**.

Stojące na chodnikach kobiety ocierały oczy, mężczyźni wykrzykiwali coś obelżywie do żołnierzy. Inch podniósł powoli ciemną głowę. Gdy dotarli do Długiego Wybrzeża, gdzie czekał nań kuter celny, wyprostował szczupłe młodzieńcze plecy i szedł dumny i prosty jak trzcina.

ROZDZIAŁ 30

Stephen Fox patrzył przez otwarte okno gabinetu. Dzień był ciepły. Na stole wałały się w nieładzie księgi rachunkowe i dziesiątki starych listów. Przed Stephenem leżał arkusz papieru, widniała na nim data „17 lipca 1858 roku” i słowa „Moja ukochana Julie”. Na tym list się urywał.

Listy, które zawałyły biurko, pochodziły prawie wszystkie od Etienne'a, tylko parę z nich skreśliła drobna dłoń dziewczęca — dłoń Julie. Gdy Stephen błędził wzrokiem po listach od syna, jego uwagę przyciągnął następujący fragment:

Wczoraj urządzono obławę w Lawrence — Bogu niech będą dzięki! Ośmiuset żołnierzy pod dowództwem mojego starego przyjaciela szeryfa oraz szeryfa Stanów Zjednoczonych przeprowadziło tę zbożną akcję szybko i sprawnie. Roztrzaskali maszyny drukarskie tego plugawego szmatławca abolicjonistów (Etienne wykazuje czasem skłonność do niewymyślnych epitetów, pomyślał Stephen) i obróciło w perzynę to siedlisko zarazy, które Towarzystwo Wspomagania Emigrantów z Nowej Anglii nazywa hotelem...

Stephen odszukał datę listu. W ciągu minionych dwu lat atrament nieco spłowiał. Etienne nabazgrał jak kura pazurem, lecz udało mu się odszyfrować datę: maj 1856 roku. Stephen zmarszczył brwi. Te słowa, pisane kanciastym, niewyraźnym pismem niepokoiły, domagały się jego uwagi.

John Brown... ponury, straszny człowiek*... nieraz o nim usłyszysz... Pottowatomie Creek... z zimną krwią zamordowano pięciu mężczyzn... wszyscy oni walczyli o zachowanie niewolnictwa. Ossawatomie... Fredericka Browna, syna tego oprawcy, zabito zeszłej nocy, a jego ojciec, wcielenie wszelkiego zła, musiał uciekać z kraju. Sprawiedliwość i prawo zatriumfowało.

*** John Brown — znany jako John Ossawatomie, abolicjonista, uważał, że Murzynów należy bronić siłą**

Były też lakoniczne wzmianki o narodzinach Stephenowych wnucząt: Victor w 1856, Stephen junior w 1857 oraz Gail, jego jedyna wnuczka — w 1858 roku. Gdzieś wzmianka o kiepskim stanie plantacji, słówko o Ceclie — lecz nade wszystko odgłosy wrzawy bitewnej, gryzący dym wystrzałów i łuny płonącego kansaskiego pogranicza. Walczono o niewolnictwo i przeciw niewolnictwu zbrojną ręką, lała się krew.

Marszcząc się, Stephen sięgnął po krótką fajeczkę. List od Julie... przecież trzeba nań odpowiedzieć. Wrócił do biurka i odczytał jeszcze raz ten liścik.

Kochany Ojczulku,

Wreszcie zaczynam przywykać do tej paskudnej szkoły. Panna Shephard jest naprawdę ogromnie miła a Boston to cudowne miasto. Ale tęsknię za domem tak bardzo, że miejsca sobie znaleźć nie mogę. Jak Mama? Czy "Tienne pisze często?

Wciąż nie widziałam się z Tomem Meredithem. Próbowałam się czegoś dowiedzieć, oczywiście bardzo dyskretnie, zdaje się, że wyjechał z ojcem za granicę, lecz mają wrócić niebawem. Niecierpliwie wyglądam jego powrotu. Ciekawam, czy się zmienił. A może zachowuję się jak głupia pensjonarka? Ostatecznie mam już siedemnaście lat. Napisz, proszę, i opowiedz mi, co u Was słychać — ze wszystkimi szczegółami!

Kochająca Julie

Szkoła Żeńska panny Angeliny Shepard

ul Shirley 30

Boston

30 kwietnia 1858 roku

Stephen wciąż trzymał w ręku ten list, gdy w drzwiach ukazał się starszy JeanJacques, a tuż za nim André.

— Monsieur André — zameldował czarny służący trochę poniewczasie.

— No i mają czego chcieli! — zawołał André bez żadnych wstępów.

Stephen odłożył list, zrobił zdziwioną minę.

— Ale kto? I co mają? Nie wyrażasz się zbyt jasno, André.

— Przykro mi, ale teraz już nic nie jest jasne. Kraj pędzi na oślep ku własnej zgubie! Powiadam ci, Stephenie, z tego będzie wojna... Stephen podniósł rękę usiłując powstrzymać ten potok wymowy. Za późno — André już dosiadł ulubionego konika.

— Dom rozdzielony niezgodą ostać się nie może! Co on chce osiągnąć podobnymi bredniami? Chce wojny? Przyśle tu wojska, żeby wyzwalały czarnuchów? Proszę bardzo, niech przysyła! Pokażemy mu, jak walczą panowie z Południa. W ciągu miesiąca odeprzemy tych plugawych kramarczyków aż pod kanadyjską granicę! Oto kogo ta banda rzezimieszków chciała nominować na prezydenta! Jakiegoś tykowatego niezgrabiasza, kosmatego jak małpa! Widziałeś jego portrety? Ma foi, co za paskudztwo!

— To tylko rysunki piórkiem, André, wykonane przez ludzi, którzy myślą tak jak ty. Nie można na nich polegać. Uważam, że pan Lincoln to nie byle jaka osobistość...

— Dobry Boże!

— Myślę też, że nie ma najmniejszej szansy. Do wyborów bez mała dwa lata, a Douglass* zarzuci mu na szyję postronek o wiele wcześniej. Oto, kim powinienes się interesować — małym Stephenem Douglasssem. Ale dość polityki — co byś powiedział na kieliszek?

— Nareszcie sobie przypomniałeś — powiedział André z pretensją. — Upał jak w piekle! Byłeś ostatnio w mieście?

— Nie. A co tam słysząc? Rozruchy uspokoiły się?

— Prawie. Nic Nie Wiedzący** spuszcza ją lanie tym drugim — o ile ich dopadną. Ale na ogół panuje spokój.

* **Arnold S. Douglass** — główny przeciwnik Lincolna w walce o fotel senatora, zwolennik niewolnictwa, ogromnie wpływowy polityk. Z racji niewielkiego wzrostu zwany Małym Gigantem

** **Partia Nic Nie Wiedzących** — organizacja natywistyczna, zwalczająca napływ imigrantów, początkowo także katolików, organizowała rozruchy i pogromy

Stephen wziął od lokaja wysoki kieliszek z napojem chłodzącym, lecz nie pił, ominąwszy wzrokiem André patrzył w okno.

— Jedenastu zabitych — powiedział cicho. — Uzbrojeni ludzie zdobywają miasto siłą. Demonstracje i antydemonstracje. Nadużycia, przekupstwo, przemoc. Każda elekcja jest taka sama. Kto wie, André, czy nie byłoby lepiej, gdyby władzę przejęli czarni republikanie. Może oni zaprowadziliby jakiś porządek, bo my, Bóg mi świadkiem, tego nie potrafimy.

André prychnął lekceważąco i jednym haustem opróżnił kieliszek. Strużka potu spłynęła z tłustego podbródka na kamizelkę. Wstał.

— Nie chcę się z tobą sprzeczać — powiedział. — Czas pokaże, że to ja miałem słusność. Kiedy będziesz pisał do Julie, przekaz jej ukłony od mojego Stephena — i ode mnie.

Stephen nie próbował go zatrzymać. André, który coraz mocniej angażował się w politykę, był gościem coraz bardziej kłopotliwym. No i trzeba napisać ten nieszczęsny list. Westchnął i siadł do biurka.

Skończył się czerwiec, nastął lipiec, a upał nie popuszczał. Cały kraj czekał. Ludzie czytali „Nadchodzący kryzys” pióra Hintona Helpera oraz „Wszyscy są kanibalami, czyli niewolnicy bez panów” George’a Fitzhuga* i wadzili się z sobą coraz zacieklej.

* **G. Fitzhugh** — prawnik z Południa, propagator niewolnictwa

Tylko 225000 osób posiada niewolników, powtarzał Helper, podczas gdy na porośłych sosną nieużytkach, gliniastych wzgórzach i na moczarach biali ludzie wegetują w beczynności i nędzy. Spójrzcie na tych waszych niby

wolnych wyrobników Północy, wykrzykiwał Fitzhugh — marnie opłacanych, przepracowanych, źle traktowanych, wyrzucanych na bruk gdy się zestarzeją... Cały kraj czekał, niepokój i drażliwość rosły z dnia na dzień.

W połowie lipca, po miesięcznej gościnie u Thornów w Nowym Jorku, do Harrow przyjechała Julie. Już nie towarzyszyła ojcu w objazdach posiadłości, nie wypatrywała pocztyliona, który zwoził od Etienne'a coraz bardziej pękate koperty. Całymi dniami wysiadywała w salonie, wygrywając na pianinie jakieś tęskne melodie, na matczyne indagacje odpowiadała z roztargnieniem lub nie odpowiadała wcale.

Siedemnastoletnia Julie była pięknoscią w klasycznym typie Arceneaux, z domieszką diabolicznego wdzięku Foków. Pulchność jej wczesnych lat dziewczęcych przeszła najpierw w smukłość a teraz w wychudzenie, ponieważ Julie jadła od przypadku do przypadku.

— Co cię gryzie dziewczyno? — dziwił się Stephen. — Jesz tyle co wróbel, i trzeba dobrze huknąć, żebyś usłyszała, co się do ciebie mówi. Nagle odjęło ci rozum... czy może jest jakiś kawaler?

— Nie, papo, nie ma żadnego kawalera — odparła Julie apatycznie. — Tylko czasem życie wydaje się takie bezsensowne...

Stephen uśmiechnął się.

Załóżę się, że w przyszłym roku uznasz je za niezmiernie zajmujące. No, obudź się — co byś powiedziała na kawalek kurczenia i odrobinę wina?

— Och nie, papo, niczego bym nie przełknęła!

— Wiecz co, Julie, chyba nie puszczę cię z powrotem do szkoły. Boston, jak widać, źle na ciebie działa.

— Papo, tego mi nie zrobisz! Proszę cię! Muszę tam wrócić, czy nie rozumiesz? Po prostu muszę!

— A więc ta historia jest wciąż aktualna? Cóż, mam nadzieję, że nie rozczarujesz się, kiedy znów zobaczysz swojego młodego Jankesa.

— O ile go zobaczę... Dlaczego on nie pisze, ojczulku?

— Nie wiem, córucho. Ale jeśli tak ci zależy na tym bladym, chudym dryblasie, to wyciągnę spod łóżka rodową dubeltówkę i...

— Znów sobie ze mnie żartujesz! Jesteś okropny! — Zerwała się jak fryga i uciekła do swojego pokoju.

— Biedactwo — mruknął Stephen. — Cóż, jest z rodu Foxów. Kiedy czegoś pragnie, to pragnie całą swoją istotą. Muszę coś z tym zrobić...

Sięgnął po pióro i ćwiartkę papieru.

„Szanowny Pan Thomas Meredith” — napisał „Meredith i Syn, Spółka kupiecka, ul. Stanowa, Boston. Szanowny Panie...”

Odpowiedź nadeszła pod koniec września. W przesyłce były dwa listy — jeden na nazwisko Julie. Dziewczyna wzięła go ostrożnie niby jakiś cenny i kruchy przedmiot i poszła do swojego pokoju jak we śnie. List miał francuskie pieczęcie, nadany był w Paryżu. Julie otwierała kopertę rozdygotanymi palcami, minęła dłuższa chwila, nim litery przestały tańczyć przed jej oczyma.

Droga Julie — przeczytała na głos, powtarzając te słowa, by nacieszyć się nimi jak pieszczotą. — Droga Julie, od dawna pragnąłem napisać do Ciebie, lecz brakło mi odwagi. Byłaś istotą ze snów, równie niedosiężną jak anioły. Nie potrafiłbym znaleźć słów, by wyrazić moje... obawiam się, że się zagalopowałem. Potem przesłano nam do Paryża szczerą, przyjazną list Twojego Ojca. Pisał, że często mnie wspominasz i wypytyjesz o mnie. Julie — Julie — odczuwam szczęście tak wielkie, że nie ośmieliłbym się wyrazić go słowami.

Zatem kształcisz się w szkole panny Shephard! Znam ją doskonale. Niebawem się zobaczymy. Będę studiował w Harvardzie, nie w Paryżu, jak to sobie przedtem umyśliłem. Ojciec zgodził się na tę zmianę, gdyż na swój sposób przywiązał się do Ciebie niemal równie mocno jak ja. Brak mi słów, by wyrazić moje wzruszenie, radość, niecierpliwość... Au revoir, Julie! Nareszcie wiem, co to naprawdę znaczy.

ROZDZIAŁ 31

Kiedy po wytrwałym pukaniu, nie doczekawszy się zaproszenia, Stephen i Aurorę weszli do pokoju córki, oto co zobaczyli: leżała na łóżku z twarzą wciśniętą w poduszkę i szlochała rozdzierająco.

— Julie! — zawołał zdenerwowany Stephen. — Co ci się stało, dziecko? Jeśli ten jankeski szczeniak...

Lecz Aurorę, patrząc na córkę z łagodnym, nieco melancholijnym uśmiechem, położyła mu rękę na ramieniu.

— Typowa męska tępota — powiedziała. — Zapomniałeś, jak płakałam w dniu naszego ślubu?

— Matko Boska, przecież Julie to jeszcze dzieciak. Nigdy bym nie pomyślał, że ta historia... to dziecinne przywiązanie może przerodzić się w coś tak poważnego.

— Przecież to twoja córka, Stephenie — i moja. Chodź, zostawmy ją na razie.

Stephen szedł po schodach nastroszony.

— Chyba najlepiej będzie, jeśli w tym roku pojedziesz z Julie do Bostonu — powiedział. — Julie to moja krew, a Foxowie mają gorące głowy. Matczyzna opieka...

— Posłuchajcie przemówienia głowy rodziny! Nie bądź taki nadęty, Stephenie. Ani mi w głowie jechać z małą do Bostonu. Julie jest z natury uczciwa i dobra, a ten chłopiec nie wygląda na takiego, który by...

— Owszem, ale tak było dawniej. Od tej pory mógł się zmienić. Nie zapominaj, że mieszkał w Paryżu.

Twój Tom

— No tak, ty z pewnością znasz się na tym. Ale nie sędzę, by ten chłopaczyna przedzierzgnął się nagle w takiego zatwardziałego rozpustnika, jak mój ślubny małżonek. Mieszkał pod jednym dachem z ojcem, i zdaje się, że podobne skłonności są mu obce.

— Żaden mężczyzna nie jest wolny od podobnych skłonności — warknął Stephen. — Co najwyżej brak mu okazji.

— Stephenie, Stephenie — załamała rękę Aurorę. — I ty to mówisz?

Od tego dnia Harrow było jak odmienione. Z salonu dobiegała głośnie muzyka — skoczna i radosna. Julie nabrała apetytu, policzki jej poróżwiały, cała pojaśniała. Po starym wyjeżdżała wraz z ojcem na objazd plantacji, to znów godzinami wysiadywała w buduarze z Aurorę na poufnych z nią rozmowach, gdy w drzwiach stawał Stephen, panie milkły jak zaklęte.

Ponieważ finanse Stephena mocno ucierpiały po tym, jak bank filadelfijski „Hammerschlag i Bracia”, któremu powierzył część swojego kapitału, splajtował na fali krachu 1857 roku, Stephen nie bez trwogi patrzył na niespodziewaną lawinę rachunków. Większość z nich nosiła podpis Olympe, właścicielki zakładu modniarskiego, lecz niewiele mniej wystawiali Pluchę i Ferret — importerzy paryskich sukien. Kilka razy zbierał się, by postawić ostre veto, lecz Julie, widząc co się święci, wołała:

— Ależ papo, chyba nie chcesz, żeby Jankesi wzięli mnie za jakąś prowincjonalną gęś, która nie ma za grosz gustu?

I Stephen ustępował z cichym jękiem. Czy mógłby odmówić czegokolwiek swojej jedynaczce?

Ostatniego dnia tego miesiąca stał wraz z Aurorę na orleańskim nabrzeżu, patrząc na statek, który wiozł Julie na Północ, na drugi semestr nauki. O tej porze flotylla pięciu statków pocztowych wyruszała uroczyście w górę rzeki. Był to moment dziwnie podniosły, gdy jeden statek po drugim odbijał od brzegu, czarny dym bijący z ich wysokich bliźniaczych kominów zakrywał mrocznym całunem popołudniowe słońce.

Tego roku zima wcześniej zawitała do Bostonu. Zima nigdy nie była łaskawa dla zakochanych, lecz Julie i Tom ledwie ją zauważali. Tom wrócił z Francji na początku semestru i zmitrężył cały miesiąc na daremne próby zobaczenia się z Julie. Panna Shephard nie dopuszczała nawet myśli, by któraś z jej studentek mogła utrzymywać kontakty z osobnikiem płci męskiej. Jednak historia nie zna przypadku, by — wyłączając morderstwo — udało się komukolwiek zapobiec spotkaniu dwojga młodych ludzi, którzy postanowili się spotkać, panna Shephard nie stworzyła w tej kwestii precedensu.

Julie widywała więc Toma: w niedzielę, w drodze na poranne nabożeństwo, na które jej i dwu innym studentkomkatoliczkom pozwolono uczęszczać bez przyzwotki, wieczorami, z okna, gdy drząc z zimna wystawał godzinami na zaśnieżonej ulicy, a także podczas popołudniowych przechadzek „dla zdrowia”, na które panna Shephard wysyłała codziennie swoje podopieczne. Wszystkie te spotkania były oczywiście zupełnie przypadkowe, choć ich częstotliwość mogła budzić zdumienie.

Oboje czuli się jak na mękach. Pospieszne szepty, krótki, gorączkowy uścisk dłoni, nieporadne, kradzione pocałunki układały się w ciąg wypadków, który musiał mieć taki czy inny koniec, wiele oznak wskazywało, że to wszystko skończy się źle. Jednak, za sprawą samej panny Shephard, sprawy ułożyły się nadspodziewanie dobrze. Któregoś razu wkroczyła do pokoju Julie o drugiej w nocy — Tom właśnie opuszczał swój

posterunek pod oknem ukochanej — adresatki kilku gorących wyznań i wielu lodowatych dreszczy. Julie odebrało mowę, gdy dyrektorka zarzuciła jej, że wpuszcza młodzieńca do swojego pokoju, zabroniła jej też wychodzić na dwór do czasu, aż pan Fox, którego natychmiast powiadomi o zajściu, przyjedzie by zabrać córkę do domu.

W tej sytuacji można było zrobić tylko jedno. Tom już po sześciu godzinach dostał bilecik od Julie, ona zaś, odmawiając przez cały dzień jedzenia, to oddawała się wybuchom gwałtownej rozpacz, to brała się do pakowania, wtlaczając do waliz suknie i książki — jak popadło.

Dokładnie o północy Julie usłyszała ciche uderzenie żwiru o szyby. Ostrożnie otworzyła okno. Rozległ się głuchy stukot, gdy końce drabiny, owinięte szmatami dla stłumienia hałasu, oparły się o parapet jej okna. Po chwili nad parapetem ukazała się twarz Toma, który trząśnięty ze zdenerwowania, lecz nie zapomniał o uśmiechu.

— Julie — szepnął ochryple.

Julie rzuciła się przez pokój po walizki. Tom zniósł je na dół, po chwili zeszła po drabinie Julie. Gdy była już na ziemi, spojrzała niepewnie na drabinę.

— Niech zostanie — uśmiechnął się Tom łobuzersko. — Może tę jędzę wreszcie trafi szlag. — Pobiegli ciemną ulicą do miejsca, gdzie czekał powóz. Tom rzucił walizy na ziemię i porwał Julie w ramiona by ją całować, całować bez końca. Z głębi powozu dobiegł zduszony chichot.

— To świadkowie — machnął ręką Tom — pomyślałem o wszystkim.

Ślubu udzielił im sędzia pokoju, który zapodział gdzieś okulary i dukał formułę zaślubin z pamięci, myśląc się i sapiąc. Godzinę później wsiedli do pociągu, zdążającego do Nowego Jorku. Stanęli w najlepszym hotelu, Tom dopuścił swego ojca do sekretu i nie narzekał na brak gotówki. Lecz Julie, leżąc w ramionach świeżo poślubionego małżonka, płakała rzewnie myśląc o Harrow.

Tom tulił ją do serca i gładził niezgrabnie jej długie, złote włosy.

ROZDZIAŁ 32

Stojąc na galerii, Aurorę patrzyła jak Stephen ostrym galopem wjeżdża w dębową aleję. Stał w strzemionach i machał do żony ręką, w której białał jakiś przedmiot.

Nie powinien tak szaleć na koniu, myślała Aurorę, to już nie na jego lata. Ale Stephen nigdy nie pamięta, że dobiega do sześćdziesiątki. Ma foi, jak to wszystko zleciało! Jestem babką trójki wnucząt, a przecież dopiero wczoraj jechałam tą aleją, by go zobaczyć...

— Stephen, na litość boską, co ty wyprawiasz!

Lecz Stephen zeskoczył z konia w pełnym biegu i pędził chyżo po schodach.

— Jada! Jada! — krzyczał. Aurorę uśmiechnęła się.

— Czy mógłbyś się uspokoić, mężu, i powiedzieć, kto mianowicie przyjeżdża?

— Julie! Pojutrze! Wezwij służbę, Aurorę, trzeba doprowadzić dom do porządku. Wszystko musi błyszczeć!

— Powoli, Stephenie. Domyślam się, że wraz z nią przyjeżdża jej porywczy Jankes?

— Uhm — burknął Stephen. — To gorzka pigułka, ale chyba trzeba będzie ją przełknąć.

— Nie mów tak, Stephenie. Za jego pierwszej bytności nie mieliśmy okazji poznać go zbyt dobrze, ale wyglądał na poczciwego chłopca. Co się stało, to się nie odstanie... i doprawdy nie możemy oczekiwać flegmy i opanowania od naszych dzieci.

— To prawda. Ale zarzuty, które ta panna Shephard stawia jemu i Julie...

— To stara, złośliwa jędza! Nie wierzę ani jednemu jej słowu!

— Ja też nie, ale chciałbym usłyszeć od Julie, co się naprawdę wydarzyło.

Aurorę podeszła do męża i ujęła go za kłapy żakietu.

— Stephenie, nie żądaj żadnych wyjaśnień — powiedziała łagodnie. — Jeśli Julie będzie milczeć, nie bierz jej milczenia za przyznanie się do winy. W sercu każdej kobiety — a pamiętaj, Stephenie, że Julie jest dorosłą kobietą — jest zakątek, do którego nie dopuści nawet tak pobłażliwych rodziców jak my. Obiecuj mi, że nie będziesz jej wypytywał.

Stephen patrzył w orzechowe oczy, po chwili wygładził czoło.

— Dobrze, obiecuję, ale wciąż mam nadzieję, że sama wszystko mi powie.

— Jestem tego pewna — uśmiechnęła się Aurorę.

Idąc do gabinetu, Stephen słyszał, jak żona każe zwołać wszystkich służących. Mógł być spokojny — zaraz zacznie się wielkie sprzątanie. Siadł przy biurku i otworzył pozostałe listy. Jak się spodziewał, był też list od Etienne'a. Syn okazał się wytrwałym korespondentem. Ten fakt tyleż Stephena dziwił co radował. Dawniej ojciec i syn nie potrafili znaleźć wspólnego języka, teraz z pewnych aluzji i mimowolnych przejęzyczeń mógł Stephen wnioskować o wielkim szacunku i podziwie, jakim darzył go Etienne. Pytał ojca o radę w najróżniejszych sprawach: jak prowadzić plantację, jak radzić sobie z Murzynami a nawet — co Stephena mocno zdumiewało — jak utrzymać w ryzach stanowczo zbyt krewką małżonkę.

U nas wszystko dobrze — pisał — w każdym razie nie najgorzej, jakoś tam zarabiamy na życie. Ostatnio Ceclie podejrzewa mnie, przyznając, że nie bez podstaw, o romans z pewną damą lekkiego autoramentu... Robi mi takie sceny zazdrości, że nic tylko brać nogi za pas. Inch wciąż skwaszony, nie mam z niego żadnej wyręki. Coś mi się zdaje, że mąci Murzynom w głowach hasłami o emancypacji czarnych. Zdziwiłem się pomału wykrywszy, jak wielu z nich potrafi odczytać proste zdania a nawet podpisać się. Kiedy zapytałem Incha o tę sprawę, nawet nie próbował zaprzeczać, że to on ich uczy. Kazałem więc go oćwiczyć...

Zapuściłem brodę. Ogromnie zyskałem przez to na po wadze i dostojności, a nawet mam większy posłuch w domu...

Nie wypuszczając listu z ręki zapatrzył się w okno. Miał teraz lat pięćdziesiąt dziewięć i był jeszcze szczuplejszy niż za młodu. Z jego czupryny znikły resztki płomiennej czerwieni. Pogłębiły się zmarszczki wokół oczu i dwie bruzdy biegnące od cienkich nozdrzy do ust, nawet w spoczynku rysy twarzy miał ostre, jakby wyrzeźbane twardym dłutem. W oczach, bardziej niż dawniej błękitnych i przejrzystych, stała wieczna zaduma, wydawało się, że patrzą w niezmierną dal. Patrzy nie na ludzi, lecz PRZEZ ludzi, mawiali jego przyjaciele.

Przedwieczne słońce złościło omszałe pnie ogromnych dębów. Rzeka toczyła szeroko swe spokojne wody. Pod październikowym niebem pracowali Murzyni, słowa i melodia ich pieśni ginęły w bezmiarze lasów i pól. Znad brunatnej toni Missisipi dobiegł świst parowca, sunącego w łomocie maszyn w górę rzeki, do Natchez. Jaki błogi spokój, myślał Stephen. Ciekawe, jak długo jeszcze...

Wczesnym rankiem następnego dnia Stephen i Aurorę udali się na orleańską przystań, by powitać Julie i jej męża. Nowożeńcy przyłynęli z Nowego Jorku statkiem żeglugi przybrzeżnej, okrążywszy Florydę, by z zatoki płynąć w górę Missisipi. Rejs trwał ponad miesiąc. Gdy młodzi zesłi

na brzeg, Aurorę wybuchnęła nagłym, dla niej samej niezrozumiałym płaczem. Julie patrzyła na matkę wielkimi, spłoszonymi oczyma.

— Mamo, co z tobą?...

Stephen uśmiechnął się do niej łagodnie.

— Doznała wstrząsu widząc, że już nie jesteś dzieckiem. Zmieniłaś się, Julie — w sposobie poruszania się, postawie — we wszystkim... Wyciągnął rękę do zięcia.

— Witaj w domu, chłopcze.

Tom nie był w stanie odpowiedzieć od razu.

— Dzień... dziękuję panu — wykrztusił, miażdżąc dłoń teścia w żelaznym uścisku. — Tak się cieszę... Nigdy bym się nie spodziewał, że...

— Stało się i nie ma o czym mówić — rzekł Stephen.

— Chociaż trzeba sobie powiedzieć, że Julie wystrychnęła matkę na dudka. Aurorę marzył się uroczysty ślub w katedrze — biała suknia, welon, mnóstwo kwiatów, ale młodzież musi wszystko robić po swojemu!

— Przepraszam cię, mameczko — powiedziała Julie, nie wypuszczając Aurorę z objęć — ale wiesz, musieliśmy spieszyć się ze ślubem.

Stephen ściągnął brwi w groźną, białą linię.

— Papo! — zawołała Julie, tupiąc małym pantofelkiem.

— Jeśli myślisz to, co ja myślę, że ty myślisz, to już nigdy się do ciebie nie odezwę!

— Poczekaj, Julie — wtrącił się Tom. — Twój ojciec zna cię zbyt dobrze, by podejrzewać o coś podobnego. A ja mam nadzieję, że potrafię mu dowieść, że na Północy też są dżentelmeni.

— Już tego dowiodłeś. Chodźcie, dzieci, do Harrow szmat drogi.

Natychmiast po przyjeździe do domu, Aurore wysłała Murzynów do Dameronów, Nortonów, McGarthów, Le Blanców, Lascalsów i Sompayraców, prosząc ich na kolację jeszcze tego wieczora. Julie wolałaby cichą kolację w rodzinnym gronie, lecz Aurore uwielbiała przyjmować, a taka sposobność trafiała się raz na kilka lat.

Goście zaczęli się zjeżdżać od szóstej, o siódmej byli już wszyscy zaproszeni i w wielkim salonie rozbrzmiewały śmiechy i toasty. Na pytania pań, które subtelными podchodami usiłowały wybadać stan zamożności i pozycję społeczną pana młodego, Tom odpowiadał z bezpośredniością, która wprawiała je w niezmierne zakłopotanie.

— Mój ojciec jest bardzo majątnym człowiekiem — mówił prosto z mostu. — Posiada jedno z największych przedsiębiorstw handlowych w Bostonie. Mam nadzieję, że mi wybaczycie, ale tak się składa, że w Massachusetts nie chce rosnąć ani bawełna ani trzcina cukrowa!

— Więc co tam rośnie? — zapytała Amelia, gdy przycichły śmiechy.

— Fasola! — odparła Julie, krzywiąc się z najwyższym obrzydzeniem.

— Fasola? — zdziwiła się Amelia. — Ta brunatna fasola, którą żywią się Murzyni?

— Coś w tym rodzaju, tyle że drobniejsza i jaśniejsza. Bostończycy przyrządzają ją w niewielkich kamiennych garnczkach z melasą i plastrami boczku. A potem, zamiast oddać to świniom, sami się tym zajadają!

— Wiesz, młody człowieku — rzekł André Le Blanc jowialnie acz niezręcznie — chapnął mi pan sprzed nosa synową. Byłem pewien, że Julie wejdzie do naszej rodziny.

— Przykro mi, ale naprawdę nic o tym nie wiedziałem.

— A gdyby pan wiedział, czy postąpiłby inaczej?

— Szczerze mówiąc — nie. O Julie walczyłbym z każdym Kreolem w Luizjanie.

— Nie mam panu tego za złe. Julie to wyjątkowo czarująca istota, jak jej matka. Czy mogę wnieść toast, panowie?

Mężczyźni kiwnęli przyzwalająco i André wstał. Światło bijące od wielkiego kryształowego żyrandola iskrzyło się w klarownym winie, otulało miękką mgiełką nagie ramiona pań, podkreślało czerń ubrań panów. Białe obrusy i serwetki odbijały i wzmacniały ten blask, błyszcząco stołowe srebro, płonęły klejnoty u białych szyi, w płatkach uszu, przy mankietach i plastronach. Stephenowi wydało się, że czas nagle stanął, gdy André wznosił kielich, że ciemne chmury nadciągających wydarzeń zatrzymały się na chwilę za horyzontem.

— Za panią i pana Meredith — powiedział André.

— Niech im się szczęści w życiu, a ich szczęśliwe pożycie niech zwiastuje odnowę serdecznych związków między dwiema wielkimi częściami naszej ojczyzny, którą ci młodzi reprezentują.

Zakręcił kielichem eleganckie koło i podniósł go do ust.

— Ojczy! — zabrzmiał od drzwi młody męski głos.

— Nie spełniaj tego toastu!

Wszyscy odwrócili się w tamtą stronę jak jeden mąż. Stał tam jeden z bliźniaków Le Blanc, jasnowłosy Victor, zdrożony, w zakurzonej odzieży, z poczerwieniałą twarzą.

André opuścił powoli kielich.

— Masz się natychmiast wytłumaczyć — powiedział. ??

— Jadę prosto z redakcji „Picayune'a” — odparł chłopiec bynajmniej nie speszony. — Siedzicie tu sobie i ucztujecie z jakimś wrednym Jankesem, kiedy na naszej ziemi dzieje się gwałt! Ledwie przed czterema godzinami

pewien jankeski abolicjonista, John Brown napadł na Harpers Ferry* w Wirginii. Walki nie ustają.

Stephen spojrział na Aurore.

— Boże, zmiłuj się — szepnął.

— Uwalnia niewolników i uzbraja, podburzając do buntu! — perorował chłopiec ochryplym z przejęcia głosem.

*** zajął Arsenał w Harper's Ferry 16.10.1859, poddał się po walce 18.10**

— Córy Południa stanęły w obliczu niebezpieczeństwa gorszego niż śmierć!

— Milczeć! — zagrzemiał André — zabraniam, by mój syn pozwalał sobie na jakieś nie przemyślane wystąpienia!

— Nie przemyślane, ojcze? I mówisz to teraz, kiedy zdobyli arsenał federalny? Kiedy ten człowiek opanował koleje i rozsyła swych ludzi, by pustoszyli kraj? Czy wojna jest przemyślanym działaniem? A grabież, łupiestwa i mord?

Stephen wstał.

— Nie masz racji, młodzieńcze — powiedział spokojnie.

— Chciałbym, żeby tak było — odparł Victor, mało nie płacząc z wściekłości — ale nie jest. Pracuję w tej gazecie już od lata. Na własne oczy widziałem pierwszą depeszę. I wciąż nadchodzą. Sytuacja pogarsza się z godziny na godzinę. — Odwrócił się do ojca. — Więc jeśli spełnisz ten toast, to wobec wszystkich obecnych — nawet pań — powiem: oby Bóg skazał twą duszę na wieczne potępienie!

André odstawił wino.

— Nie tknąłem go, synu — powiedział cicho. Stephen rozejrzał się wokół. Wszystkie kieliszki stały nie tknięte — wszystkie prócz jednego. Julie wstała i w zupełnej ciszy, czując na sobie spojrzenia wszystkich obecnych, wysączyła wino do ostatniej kropli. Tom, mocno pobladły, zerwał się zaraz od stołu, wychylił kieliszek jednym haustem.

Krzesła ze zgrzytem odsunęły się od stołu. Stephen skinął na służących, po krótkiej chwili wrócili z okryciami gości.

— Tak mi przykro — powiedział Stephen. — Może potem, jak się nad tym spokojnie zastanowimy...

— Zastanowimy się? — prychnęła Aurore. — I nad czym się tu teraz zastanawiać, Stephenie?

ROZDZIAŁ 33

Budząc się czasem tej wielkiej mrocznej nocy 1861 roku* (roku, w którym świat się skończył, by później urodzić się na nowo, lecz będzie to już całkiem inny świat), Stephen nie był pewien, która to już noc — o ile to w ogóle była noc, i który rok. Pół śpiąc, pół czuwając leżał bez ruchu obok żony, niemłodej już kobiety, babki trojga wnuków. W takich chwilach na pograniczu jawy i snu, dumął, zacierają się granice czasu i przestrzeni, i czas miniony staje się chwilą bieżącą, a chwila bieżąca sięga daleko w przyszłość.

* 1861 rok — wojna secesyjna 1861 — 1865. Najpierw Karolina (w grudniu 1860 r.), a następnie inne stany południowe dokonały secesji, czyli wystąpiły z Unii i utworzyły Skonfederowane Stany Ameryki, potocznie **Konfederację**

I oto znów stoi na piaszczystej łasze pośrodku Missisipi, czekając na płaskodenkę Mike'a Farrela, a przy tym patrzy bez zdziwienia, jak stary Mike (ten sam, tyle że w innym wieku) ginie w płomieniach, pożerających „Creole Belle'1. Stoi na placu Broni u boku Andre Le Blanca, smukłego, eleganckiego, niemal zbyt urodziwego młodzieńca, wpatrując się w piękną białą twarz Odalie, a jednocześnie klęczy z płaczem przy łożu innej Odalie, już martwej.

W Irlandii cierpiał głód. Musiał tam zebrać, kłamać i kraść. Ale oto mgła gęstnieje, a on jest w Ameryce, gdzie nieboskłon jest wysoki i czysty, deszcze siekają jak bicze, wiatr na prerii zawodzi wilczym głosem. To jego ojczyzna, jego kraj, jedyny, niepodzielny... Przed Harrow szumią niskie, pierzaste palmy, hiszpański mech spada festonami z dębów... i rzeka, ogromna rzeka...

Rzeka, góry, preria, moczary... Równiny Kansas, nieszczęsnej skrwawionej ziemi. Nowa Anglia — śnieżyce i kwiaty. Słońce na teksaskiej wyżynie. Chatki z niewypalanej cegły, Indianie Nawaho, Meksykanie... zwłoki Meksykanów. Leżą wzdęte w upale, wydzielając woń rozkładu, której nie sposób sobie przypomnieć, gdyż nie można jej do niczego porównać, z niczym skojarzyć.

Twarze ludzi, którzy umarli (lecz znów żyją, ponieważ ich wspominamy: Odalie, Pierre Arceneaux, stara Caleen, Achille, La Belle Sauvage, Hugo Waguespack, padający jak bawół trafiony kulą prosto w serce, padający z łomotem jak wielkie drzewo. Są tu wszyscy, i czarni i biali — wspomnienie miesza ich wszystkich, nie bacząc na kolor skóry. Czy dlatego że w śmierci,

że dopiero w śmierci — jedynej, nieodwołalnej formie demokracji — jesteśmy prawie równi?

Były jeszcze kruche jak pajęczyna wspomnienia młodości, odległe lecz wyraźne: kobiety, które kochał i których pragnął oraz inne, których jedynie pragnął — delikatna, lecz istotna różnica. Patrząc bezsennie w wysoki, mroczny sufit łowił minione wonie, kształty i barwy. (Ciało Désirée było długie i chłodne, białawe w mroku nocy, złociste za dnia). Odalie o śnieżnobiałej skórze i zimna jak śnieg, przykrywający ogień, który szaleje w jej wnętrzu, Odalie chowa ten ogień przed innymi i samą sobą. Aurore była taka sama. Prawdziwe damy Południa. Damy — chłodna rezerwa, wyniosła duma, uległe przyzwolenie na odstręczający obowiązek... Cóż, obydwie zrozumiały, że woda kolońska i dwie kąpiele na dzień nie zwalczą zwierzęcego potu, przemożnego pragnienia kobiecego, by dawać i brać, by cierpieć, zatracić się w rozkoszy i ożyć na powrót... gdy krew łagodnieje w skąpanym potem ciele, a rozszalała tygrysyca — kobiecość — mruczy jak domowa kotka. Ale mam już sześćdziesiąt jeden lat, płomień młodości to przygasła głównia, zasypiana popiołem i kurzem.

I znów przed oczyma — Harrow, rzeka, miasto (Nowy Orlean) i kraj... cały kraj — Północ, Południe i Zachód. Kalifornia i Teksas, Karolina Południowa i Massachusetts. Miasta: Nowy Jork, Boston, Filadelfia (miasto miłości braterskiej), Memphis, Vicksburg, Corinth, Natchez, Baton Rouge, Nowy Orlean. Cały kraj, mój kraj — Ameryka. Młody gigant Zachodu... Tu zrodziła się nowa idea... „Że wszyscy ludzie stworzeni są równi... że Stwórca obdarzył ich...”* To jego kraj, cały i niepodzielny — Ameryka.

„Że wszyscy ludzie... — fragment Deklaracji Niepodległości z 4 lipca 1776 r, która przypieczętowała powstanie nowego, niezależnego organizmu państwowego — Stanów Zjednoczonych Ameryki

Dom rozdzielony niezgodą ostać się nie może. Ten kraj to ostatnia nadzieja świata... wiara, że dopóki istnieje, królestwa wyzysku, nędzy i poniżenia chwieją się w posiadach... nie można niszczyć tej nadziei. Na tej ziemi rósł mój syn, a także Inch, Murzyn, biegle władający językiem Racine'a. Murzyni... trzy miliony czarnych ludzi pracuje w pocie czoła pod palącym słońcem... a John Brown wstaje z grobu i przemierza kraj w huraganie ognia. Powiesili go w Wirginii, ale nie umarł, gdyż idei nie można zabić. I przez tę ideę Harrow musi szczeznąć, niewolnicy odeszli, chaty folwarczne zieją pustką, pola porosły chwastami, z domu zostały zgłiszcza.

Zgliszcza? Skąd ta myśl? Przecież to nie jest wspomnienie... to nigdy się nie zdarzyło. — Nie wiem! Sam już nie wiem! — zawołał w ciemność na wpół z płaczem.

— Stephen, co się stało?

— Przepraszam cię, kochanie, coś mi się chyba śniło. Gdy przewróciła się na drugi bok i zasnęła, wstał i podszedł do okna.

Padał ulewny deszcz, noc była bezwietrzna. Z daleka dobiegł stłumiony głos grzmotu. Zupełnie jak działa, które przed kilkoma laty ostrzelały „Star of the West”, który przybył na odsiecz garnizonowi w Fort Sumter** w porcie Charleston.

**** Odsiecz garnizonowi w Fort Sumter — 9 stycznia 1861 roku**

Mój Boże, jęknął Stephen, to był koniec. Tak umarła nowa idea, gigant Zachodu, nowy wspaniały świat. Abe Lincoln nadciąga z Illinois jak dziki wiatr prerii. Ale nie dotarł jeszcze do Białego Domu. Być może nigdy by tam nie dotarł, gdyby nie skłócona opozycja — chociaż przepadł w wyborach powszechnych, zdobył większość w kolegium elektorskim. Jeśli wybiorą Lincolna, my zdecydujemy się na secesję. Lincolna wybrali, a tamci odłączyli się: najpierw Karolina Południowa, potem Missisipi, Alabama, Floryda, Georgia, a teraz przyszedł czas na Luizjanę (podobnego uczucia zapewne doświadcza skazaniec, gdy zbliża się godzina świtu). A Julie... mała, kochana córeczka w tym ponurym Bostonie. Etienne w Missouri, z wnukami, których nigdy nie widział... Jakże to, ma zabijać ludzi takich jak Meredith, z którymi złączyły go nierozzerwalne więzy — spojrzysz w celownik, pociągniesz za spust, poczujesz w dłoni odrzut karabinu...

Deszcz przycichł. Ciemność zbladła nieco i za nasypem słabo zamajaczyła rzeka. Ale to jeszcze nie jest światło dnia. Czy kiedyś w ogóle nastanie światło na tej ziemi, dumiał Stephen. Westchnąwszy, zamierzał udać się z powrotem do łóżka, gdy wreszcie usłyszał — ktoś gromko dobijał się do drzwi wejściowych. Narzuciwszy szlafrok, wyszedł na kręte schody. Gdzie, do diabła, podziali się Murzyni? Przecież któryś z nich musiał słyszeć ten ogłuszający łomot. Dotarł wreszcie do frontowych drzwi i odsunął ciężkie rygle.

W ciemności stał jakiś wysoki mężczyzna, z szerokiego ronda kapelusza (takie kapelusze noszą na Zachodzie) i z peleryny ściekały strumienie deszczu — nieznajomy stał więc w kałuży. Równie mokra była ogromna czarna broda, krople deszczu błyszczały w gęstych kędziorach.

— Nie poznajesz mnie, ojczu?

— Tienne... synku! Matko Najświętsza, skąd ty... jak... no wchodźże, wchodź, jesteś zupełnie mokry!

Etienne poszedł z ojcem przez ogromny hall, zostawiając na cennych dywanach mokre ślady. Rozglądał się jak obcy, nieco oszołomiony ogromem i splendorem Harrow.

— Ojczy...

— Tak, synku? — spytał Stephen, pociągając za dzwonek na służbę.

— Ten dom jest jakiś inny. Pamiętam go właśnie takim, a jednak coś się zmieniło... jest jakby większy — sam nie wiem. Może schamiałem, żyjąc w domu z bali, na prerii w Missouri... Jak mama?

— Ma się doskonale. Zawołam ją, ale najpierw musisz się przebrać w suchą odzież...

Hallem, ledwie powłócząc zniedołężniałymi ze starości nogami, nadchodził JeanJacques.

— Obudź Georgesa — rozkazał Stephen — i każ mu przynieść suche ubranie dla panicza. I niech Suzette zrobi kawy. Jadłeś co, synku?

— Nie, ojczy.

— Więc niech Suzette zrobi śniadanie. — Odwrócił się do Etienne'a. — A co z dziećmi? Ceclie? chyba nie zostawiłeś ich w Missouri?

— Nie, odpoczywają w Saint Luis — ale ja nie mogłem doczekać do rana. Musiałem zobaczyć dom, ciebie, mamę.

— Dziękuję ci, synku, za te słowa. A co z waszym domem? Czyżbyś miał jakieś kłopoty? Jeśli trzeba ci pieniędzy...

— Nie, dziękuję, nic mi nie trzeba, ojczy. Zeszłego roku wyszliśmy na swoje — spłaciłem wszystkie długi, sprzedałem niewolników — wszystkich oprócz Incha, jest teraz z Ceclie i dziećmi w Nowym Orleanie. Przywiozę ich do Harrow, ojczy. Tu będą bezpieczniejsi... o ile nie masz nic przeciwko temu.

— Czy mam coś przeciwko nim?! Czyś ty rozum postradał, synu? Niczym bardziej nie mógłbyś mnie uradować. Ale mówiłeś o ich bezpieczeństwie. Czy coś im groziło?

— Tak. Ta cała secesja... oznacza wojnę. W Missouri już spłonęło kilka obejść. Ci twoi freesoilerzy* mają się niewybrednych metod.

* **Freesoilerzy — Partia Wolnej Ziemi (Free Soil Party) dążyła do zniesienia niewolnictwa**

— A twoi zwolennicy niewolnictwa? Zapewne działają w jedwabnych rękawiczkach?

— Musimy zwalczać ogień ogniem. Poleje się krew. Chciałem tego oszczędzić żonie i dzieciom.

Przyszedł Georges z suchym ubraniem. Jego wełnista czupryna zbieleła jak mleko, z małżeństwa z oporną Suzette doczekał się kilkorga dzieci, już dorosłych, które służyły w Harrow jako czeladź.

— Panicz "Tienne! — zaśmiał się radośnie. — Teraz z panicza prawdziwy mężczyzna. A broda, hoho! Pewnie ludzie mówią do panicza „panie sędzio”?

— Napal w kominku w gabinecie, Georges — polecił Stephen — a potem zawołaj panią. Chodź, Tienne, przebierz się jak najszybciej.

Później siedzieli we trójkę przy kominku pijąc kawę.

— Dostałem list od Julie — powiedział Etienne. — Ten jej mąż zaciągnął się do federalnej marynarki wojennej. Odpisałem powrotną pocztą, proponując by przyjechała tutaj. Wcale mi się nie podoba, że jest sama na obczyźnie, między tymi Jankesami.

— Mnie też to martwi — wtrąciła Aurorę. — Jankesi nigdy tu nie dotrą — gdyby kiedyś do czegoś doszło...

— Dojdzie, dojdzie, możesz być pewna — wszedł jej w słowo Stephen.

— Wszystko się skończy, zanim się obejrzyicie — oświadczył Etienne. — Jakby co, to w trzy tygodnie będziemy w Waszyngtonie. Ale coś mi się zdaje, że oni niezbyt się nadają do wojaczki...

— Przecież w Kansas* dobrze zalali wam sadła za skórę — prychnął Stephen. — I zdaje się, że wygrali. Kansas przystąpił do Unii jako wolny stan. A skąd, według ciebie, mamy wziąć amunicję? Będziemy strzelać bawełną? A gdzie nasze odlewnie armat? Spodziewasz się, że odstąpią nam trochę dział, żebyśmy mieli czym walczyć przeciwko nim?

*** Kansas przystąpił do Unii — w styczniu tego roku (1861). W drugim głosowaniu (pierwsze było sfałszowane) mieszkańcy Kansas opowiedzieli się przeciwko niewolnictwu**

— No, odbiliśmy im kilka arsenałów...

— I zyskaliśmy około 100 tysięcy sztuk broni, z czego najwyżej dziesiąta część odpowiada współczesnym potrzebom. Większość z nich ma niegwintowane lufy, a przy tym to skałkówki, rocznik 1812! Trzeba nam pół miliona sztuk, Etienne, pół miliona!

— Ale my jesteśmy bardziej bitni, bardziej karni... i lepiej walczymy w otwartym polu.

— Mówisz, jakby Jankesi byli jakąś inną rasą. Nie zapominaj, że wszyscy jesteśmy Amerykanami. Uważasz, że parobcy z Ohio, Iowa czy Illinois gorzej walczą niż nasi chłopcy? To będzie krwawa rzeź, Tienne, i nie możemy liczyć na zwycięstwo. Mogą walczyć z nami na wyniszczenie, a kiedy my wykrwawimy się na śmierć, wcióż będą mieli w odwodzie

tysiące żołnierzy. Ile mamy w Orleanie linii kolejowych? Dwie! Ile mamy fabryk, produkujących na potrzeby wojska mundury, buty, siodła, ostrogi, wszelkie niezbędne wyposażenie? Otóż wiedz, że ani jednej! Jeśli dojdzie do wojny, to będzie to wojna długa i straszna, i przegramy ją. Dlatego zrobię wszystko, co w mojej mocy, by do niej nie dopuścić. Może inni też przejrzą na oczy.

— Przedstawiłeś wszystko w czarnych kolorach, ojczu.

— Ale tak właśnie jest. Ale to nie jest jedyny wzgląd, który mną powoduje, nawet nie najważniejszy. Przybyłem do tego kraju jako dojrzały człowiek i szybko zrozumiałem, że drugiego takiego nie ma na całym świecie. To co chcecie zniszczyć, jest mi nieskończenie drogie. Straciłem wiarę w arystokrację, nawet tę własnego chowu, że się tak wyrażę, którą mamy tu na Południu. Taki kraj jak Ameryka przetrwa tylko wtedy, jeśli ludzie — wszyscy jej obywatele — wezmą udział w jej budowie. A na Południu zawsze działa się ludziom krzywda. Doszło do tego, że czarnych traktowaliśmy lepiej niż ludzi naszej rasy. A co z białą biedotą bez ziemi? Co z góralami, ludźmi z moczarów? Mają jeść glinę, żeby nie głodować?

— Ludzie! — szydził Etienne. — To nędzny motłoch!

— Motłoch, powiadasz? Używano tego słowa we Francji i wnet potoczyły się głowy. Albo dacie ludziom wolność, albo sami ją sobie wezmą, a wy wszyscy i wszystko co macie przepadnie w tej zawierusze.

— Nawet czarni?

— Tak. Pamiętasz Nata Turnera? Pamiętasz Haiti? A San Domingo?

— Owszem, ale tu nigdy do tego nie dojdzie!

— Nie? Może i nie, ale uwolnienie czarnych nie zniszczy naszej gospodarki. Trudno o mniej wydajną siłę roboczą niż niewolnicza. Z osobnika pozbawionego własnej tożsamości nie da się wykrzesać zbyt wiele, choćbyś go zakatował na śmierć. W sumie bardziej opłaciłoby się płacenie im za pracę.

— Zaraz przepuściliby cały zarobek — oświadczył Etienne — i na drugi dzień przyszliby do ciebie na garnuszek.

— Czy Inch roztrwoniłby zarobione pieniądze? Mamy obecnie 260000 wyzwoleńców — i na ogół jakoś sobie radzą. Ale skończmy z tym tematem — na pewno padasz na nos. Idź się położyć, a ja pojedę do Orleanu po Cecile i dzieci.

— Tak, ojczu — odparł Etienne gładząc z uśmiechem swą ogromną brodę. — Z pewnością nie rozwikłamy tego problemu, to niemożliwe. Kazaliście przygotować mój dawny pokój?

— Tak — odparła Aurore, obejmując pasierba. — A jak tylko się zbudzisz, pošlę Georgesę, żeby ci zgolił ten przerażający zarost!

— Pozwól mi go zatrzymać — zawołał Etienne ze śmiechem. — Bardzo się do niego przywiązałem.

Kiedy Stephen wrócił z miasta — jechał żółtą rodzinną kareta, trzymając na kolanach dwuletnią wnuczkę Gail, podczas gdy chłopcy: Victor, imiennik syna André, i mały Stephen chodzili po całej karcie a dziadkowi nieomalże po głowie, wyglądali co chwila przez okno, nie mogąc doczekać się Harrow — w salonie już na niego czekali. Była to delegacja ludzi z okolicy, robotników i rzemieślników, onieśmieleni przepychem Harrow, siedzieli zgarbieni w paradnym salonie, zacierali kostropate, spracowane ręce.

Stephen odprowadził Cecile i dzieci na górę i wróciwszy do salonu, kazał podać wszystkim wino i cygara.

— A więc, panowie — rzekł z uśmiechem — czym mogę służyć?

Słyszając słabe echo irlandczyzny w jego wymowie, siedzący na przedzie muskularny mężczyzna odpowiedział uśmiechem i wstał z fotela.

— Pan jest Irlandczykiem? Tak mi mówiono, ale nie mogłem w to uwierzyć — takie panisko, myślę sobie, to niemożliwe. A tak się składa, że wszyscyśmy Irlandzycy — może po trosze dlatego tu jesteśmy.

Stephen czekał cierpliwie.

— Przyszliśmy tu jako delegaci orleańskich cechów i związków zawodowych. Pomyśleliśmy, że przyda nam się przedstawiciel, kiedy ta sprawa secesji pójdzie pod głosowanie. Nas nie będą słuchać ci moi panowie — ale pan jest jednym z nich. A pan nieraz się za nami ujmował, tak czy nie?

— Owszem. Jak widzę, jest tu wielu, którzy bywali u mnie na dożynkach i innych zabawach ludowych. Praca nie jest mi obca — byłem niegdyś uczniem drukarskim i zecerem. Ale najpierw chciałbym wiedzieć, na co chcecie głosować. Nie będę głosował na coś, w co nie wierzę.

— Wcale nie o to nam szło — powiedział rzecznik.

— My jesteśmy przeciw secesji, a pan?

— Ja również. Oderwać się od Unii to szaleństwo, to zbrodnicza głupota. Przybyliście tu z innej części świata i rozumiecie, czym jest ten kraj. Jeśli niewolnictwo zbyt się rozpanoszy, co pocnie wolny robotnik czy rzemieślnik?

— Będzie z nim kiepsko. Ale dziwne, że mówi to pan — ma pan tyle samo niewolników, co każdy inny plantator.

— Tak, ale w testamencie zastrzegłem, że w dniu mojej śmierci mają uzyskać wolność — będą wolni, a nie sprzedani komu innemu. Kiedy przybyłem tu jako młody człowiek, myślałem tylko o jednym: wzbogacić się, wybić, a reszta niech idzie do diabła. Ale teraz, na starość pojąłem, że możemy coś osiągnąć tylko razem, gromadą, a w pojedynkę niczego nie wskóramy. Nie chcę, żeby w naszym kraju działa się krzywda prostym, uczciwym ludziom. I jeśli trzeba pozbyć się w tym celu arystokracji, to ja pierwszy przyłożę do tego rękę. W każdym razie, panowie, chętnie służę pomocą.

Wkrótce potem delegaci odeszli, mocno nadwreżywszy zapas cygar i wina dziedzica Harrow. Po dwóch dniach otrzymał pismo powiadamiające, iż wybrano go na delegata na specjalną konwencję, która miała wypowiedzieć się w sprawie secesji. Wszyscy domownicy nabrali wody w usta — nikt nie pochwalał jego poglądów i zamysłów. Żałował, że nie ma Julie, ona jedna miałaby dlań życzliwe słowo, pisała, że zjedzie do Harrow na czas nieobecności Toma, lecz jeszcze się nie zjawiała. Rodzina pożegnała się z nim półgębkiem, o życzeniach powodzenia nie było mowy.

ROZDZIAŁ 34

Przybył do Baton Rouge* statkiem pocztowym i zajmwszy miejsce na sali, przysłuchiwał się w milczeniu obradom.

* Baton Rouge — stolica Luizjany

Gdy przyszła jego kolej, zacytował dane, dotyczące handlu Luizjany z Północą w zestawieniu z jej handlem zagranicznym, podał wysokość kapitału luizjańskiego, złożonego w bankach Północy, wykazał, że właściwie żaden armator Luizjany nie dysponuje statkami morskimi, nie ma tu żadnych zakładów zbrojeniowych wytwarzających działa ani w ogóle żadnych większych fabryk, brak oprzyrządowania i surowców do produkcji prochu, przedstawił szczegółowy wywód, oparty na osobistej znajomości Anglii i Francji, z którego wynikało, że wszelkie nadzieje, iż te kraje czynnie wesprą Konfederację, nie mają realnych podstaw. Na koniec oświadczył, że przekonanie, jakoby Północ i cała reszta świata były gospodarczo uzależnione od Południa, natomiast Południe jest we wszystkim samowystarczalne — to samobójcze zaślepienie. Twierdzeniu swego przedmówcy, który przyjmując oratorski ton dowodził, że w górnych regionach doliny Missisipi nastąpi załamanie gospodarcze, jeśli odetnie się od zatoki, Stephen przeciwstawił konkretne liczby i dane, dotyczące rozwoju obrotów handlowych w miastach nad kanałem Erie i porównał je ze spadkiem a nawet zanikiem podaży podobnych towarów na rynku orleańskim.

— Faktem jest, panowie — kończył — że górne regiony doliny Missisipi już od lat doskonale radzą sobie bez nas, tyle że my woleliśmy tego nie widzieć. I zanim zdecydujecie się na ten zgubny krok, zechciejcie wymienić choć jeden typ broni czy jakiegokolwiek artykułu o przeznaczeniu wojskowym, wytwarzany na południe od linii MasonaDixona**. Czym chcecie walczyć? Gołymi rękami?

** linia MasonaDixona — linia dzieląca stany wolne (na Północy) od niewolniczych

Nie pozwolono mu dokończyć. Podawał suche fakty, a Południe zawsze lubowało się w kwiecistych przemówieniach.

Gdy podliczono głosy, okazało się że 103 popiera secesję, przeciw jest 17. Stephen i kilku innych delegatów złożyło protest, dobrze wiedzieli, że wśród delegatów było mniej więcej tylu przeciwników ilu zwolenników secesji. Wielu delegatów nagle zmieniło zapatrywania. Ponownie przeliczono głosy wszystkich głoszących i przewodniczący odczytał wyniki:

— Na delegatów Unii oddano głosów 17296, na delegatów opowiadających się za secesją — głosów 20448.

Stephen obliczył, że szalę przeważyła różnica 3152 głosów, a system skrutacyjny pozostawiał wiele do życzenia. Mniej niż jedna osiemnasta część wszystkich wyborców i zdumiewająco mały ułamek procenta całej ludności. Luizjana wystąpiła z Unii. Oby Bóg się nad nią zlitował.

Powróciwszy do Nowego Orleanu, Stephen Fox oddał się następnego dnia na usługi Konfederacyjnej Armii Ameryki.

Kiedy na początku lutego 1861 roku Julie dotarła wreszcie do Harrow, nie zastała już brata — pochłoneła go leśna głusza na północ od miasta. Ojciec — ostatecznie przyjęto go do armii dzięki osobistemu wstawiennictwu pułkownika André Le Bianca i generała brygady Duncana — objął dowództwo regimentu kawalerii i przeszedł pod rozkazy generała Mansfielda Lovella, siły te miały za zadanie bronić Nowego Orleanu.

Nic się nie zmieniło, tyle że w Harrow poza Murzynami nie było mężczyzn. Cecile, w miarę jak mijały dni bez wieści od męża, stawała się coraz bardziej nieznośna, lecz dzieci były urocze. Kiedyś, kiedy skończy się ta niepoważna, niemal bezkrwawa wojna, myślała Julie, przyjdą na świat następne dzieci... z ciemnymi, niesfornymi lokami i szarymi, szeroko rozstawionymi oczyma.

Stephena widywała często, gdyż obecna sytuacja w niczym nie przeszkadzała mu bywać w Harrow. Jej ojciec — wysoki, szczupły — doskonale prezentował się w zgrabnym szarym mundurze majora armii konfederackiej. Lecz mówił niewiele, w oczach miał niepokój. Tylko Julie wiedziała, ile kosztował go ten krok, rozumiała go i czuła przy tym odrobinę smutku.

Mijały tygodnie i nic się nie działo. Pułkownik Walton zajął Baton Rouge bez walki, przy płynąwszy „Natchezem” z siłami artylerii, piechoty i kadetami nowoorleańskimi. Major Paul E. Theard z batalionem artylerii na „Yaniku” zajął Fort Jackson i Fort St. Phillips około 90 mil w dół rzeki. Także Fort Pike w Rigolet i Fort McComb na Chef Mentur znalazły się w rękach konfederatów — a wszystko to bez jednego strzału.

Była to wojna prosto z opery komicznej, nie zabrakło w niej strojnych mundurów, flag, pobrękiwania szabelką i muzyki marszowej. Nowy Orlean nigdy tak dobrze się nie bawił jak w owym czasie. Bez przerwy odbywały się przyjęcia, rauty i bale, barwne mundury dodawały im blasku. Przez długi czas listy z Północy przychodziły bez przeszkód, Julie na bieżąco dowiadywała się o postępach Toma w szkoleniu a nawet co nieco o

nieprzemyślanych posunięciach władz federalnych w pierwszym roku wojny.

Nagle w kwietniu wszystko się zmieniło. Major Anderson wymaszerował z Fort Sumter przy wtórze pięćdziesięciu salw armatnich, unosząc nadpaloną, rozerwaną przez wybuch flagę, w którą później owinięto jego ciało, by złożyć je do grobu, odpłynął na pokładzie jednego ze statków przysłanych na odsiecz przez prezydenta Lincolna i pożeglował do Nowego Jorku w chwale mimo porażki. A Pierre Gustave Toutant Beauregard*, którego armaty, otaczające pierścieniem port Charleston, roztrzaskały w drzazgi drewniane konstrukcje wyspy, przysłał garnizon szaro umundurowanych żołnierzy.

*** Pierre Gustave Toutant Beauregard — jako dowódca wojsk w Charleston kazał strzelać do Fort Sumter 12 kwietnia 1861 r, był to początek wojny secesyjnej**

Teraz naprawdę zaczęła się wojna, lecz w Nowym Orleanie niewiele się tym przejęło. Młodzi poborowi popisywali się eleganckimi uniformami, jeden po drugim bataliony maszerowały na Północ. Niektóre kobiety — jak Julie i Ceclie — płakały, oddzielone od swych mężczyzn murem milczenia. Jednak większość z nich radośnie machała z balkonów jedwabnymi chorągiewkami, pokrzykiwała zachęcająco, nic nie wiedząc — o błoga niewiedzy! — o dyzenterii, błocie, wszach, mózgu wypływającym z przestrzelonych czaszek i przerażającym, tępym chrobocie piłowanych kości.

21 lipca 1861 roku, w niedzielę odbywał się pod Waszyngtonem piknik, nad Buli Run* w Manassas w Wirginii zjeżdżały się powoziki wioząc ciekawych (nie zapomnieli koszyków z majówkowymi przysmakami), którzy chcieli sobie popatrzeć, jak „kuczykowie z Północy zadają bobu rycerzykom z Południa”.

*** Buli Run — pierwsze starcie wojsk Unii i Konfederacji, zakończone zwycięstwem tych ostatnich**

Wszystko z góry było wiadomo: czas i miejsce akcji, przeciwnicy. Jednak tego samego dnia wojska unijne cofały się w popłochu do Waszyngtonu, od ostatecznego rozgromu uratował je pułkownik Sherman, który morderczym ogniem rozbił atak kawalerii konfederackiej. Na trasie długości dwudziestu mil wały się karabiny, koce, kapelusze i plecaki, a w poniedziałek rano na stołecznych skwerach i gazonach leżeli w deszczu żołnierze — przegrani, zrezygnowani, nieludzko zmęczeni.

Jaka wojna jest naprawdę, cywile przekonali się tej upalnej niedzieli. Suchy kurz łaskotał nozdrza, lecz nie zdołał zagłuszyć odoru ciepłej krwi,

trzewi wypływających z rozdartych przez pocisk brzuchów, krzyku koni potykających się o parujące wnętrzności. Takie widoki źle wpływają na apetyty. Pobladli, przerażeni, wstrząsani torsjami wycieczkowicze wracali co prędzej do Waszyngtonu. Ranni żołnierze zachowywali się spokojniej niż konie. Leżeli w błocie z wyschniętej ziemi i własnej młodej krwi, i milczeli. Umierali, wpatrując się w fotografie matki, żony, ukochanej: na fotografiach zostawały ich pocałunki — różowe ślady krwawej piany.

Taka była wojna... a w Nowym Orleanie — tańce, hulanki, swawole.

Całe pogranicze Missouri, które przemierzał Etienne Fox wraz z nieregularnymi oddziałami zwolenników niewolnictwa, stało w ogniu. Monday's Hollow, Underwood's Farm, Big River Bridge, Springfield. Były to drobne potyczki, lecz szarpane przez kruki na polach kukurydzianych ciała żołnierzy były tak samo pogruhotane, porąbane, porozrywane przez szrapnele jak ciała żołnierzy znad Bull Run. A w Harrow Julie Fox Meredith dziękowała świętym, że jej Tom służy w marynarce, a zatem nigdy nie stanie twarzą w twarz z mężczyznami jej rodu. Cecile na zmianę płakała, szalała ze złości, karciła dzieci, przeklinała i modliła się w intencji Etienne'a.

Stephen wpadł do Harrow odwiedzić swoich najbliższych i mówić pośepnie: — Tak, na razie wszystko dobrze, ale jutro...

Jutro była jesień 1861 roku i zima 1862. Był Ulysses S. Grant* w Donelson, żołnierze maszerowali pod niemalże letnim niebem, wyrzucali ciepłe szynele i pledy, gdy nagle zaatakował mróz, skrwawiona ziemia zamarzła na kamień. Był 16 lutego 1862 r. „Żadnych warunków oprócz bezwarunkowej i natychmiastowej kapitulacji. Proponuję, byście bezzwłocznie przystąpili do działań”. Północ znalazła wreszcie odpowiedniego człowieka.

W Nowym Orleanie — w hotelach St. Luis i St. Charles — muzyka i tańce. W Royal i Conti — hazard. Prostytutki notowały w swej branży niebywałe ożywienie. Używano życia co się zowie.

McClellan, rozlazły głównodowodzący Lincolna, zwlekał i mitrężył, domagając się wciąż więcej żołnierzy, skamlać o lepsze zaopatrzenie. („Wysłać żołnierzy do tej armii”, narzekał Abe**, „to jakby sypać łopatami pchły do stodoły”.) Wreszcie McClellan ruszył na Manassas, lecz Johny Reb*** zabrał się już w inne strony, więc McClellan wrócił do Waszyngtonu.

* Ulysses S. Grant — na początku wojny secesyjnej walczył w oddziale ochotników Unii, w 1864 został głównodowodzącym wojsk Unii

** Abe — czyli Abraham Lincoln

*** Johnny Reb (Jasio Rebeliant) — przezwisko nadawane żołnierzom Konfederacji

Uzyskawszy posiłki, znów wymaszerował na południe, zaatakował Yorktown — który, jak się okazało, był opuszczony, podobnie jak Manassas, broniło go działo ładowane drewnianymi kłocami — i zajmwszy go, słał do Waszyngtonu chełpliwe meldunki w napoleońskim stylu.

Czarnobrody Etienne Fox nie schodził z konia, robił wypadki z Missouri do Arkansas, walczył pod Pea Ridge, i znów pędził do Missouri, słuchał jęku szrapneli w Sugar Creek, Leesville, Elkhorn Tavern... a wszystko to nadaremnie, gdyż Missouri pozostało przy Unii.

Młody porucznik, Thomas Meredith junior z Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, stał na pokładzie kanonierki, patrząc jak pociski moździerzowe szybują do fortu Pulaski opodal wybrzeża Georgii... to także zdarzyło się jutro, fort zdobyto, wzięto do niewoli trzystu sześćdziesięciu jeńców. Była jeszcze Island Number Ten na Missisipi, którą zdobył komandor Foote i generał John Pope.

„Tak, na razie wszystko dobrze, ale jutro...”

I znów przyszedł kwiecień. W ogrodach lawenda i mirt kwitły białoróżowo-liliowo. Bielił się oleander, kołysała żółtoróżowa mimoza, strzelały w górę pierzaste liście zielonożółtej akacji tropikalnej. Magnolie zwieszały ciężkie woskowe głowy, juka przeżyła ukwiecony grzbiet.

Na leżącej poniżej Nowego Orleanu plantacji Lascalsów kwiaty rosły równie bujnie jak w Harrow, ogród był równie piękny i wonny. Odłożywszy na chwilę list, który właśnie pisała do brata, Camile Lascals wyszła do ogrodu. Poranne słońce złociło spokojną toń opustoszałej rzeki. Camile szła do pergoli, obrośniętej czerwonymi pnącymi różami. Zetnie jedną piękną różę i spłaszczwszy w specjalnej prasce, pošle bratu, Henri kocha kwiaty, a z pewnością nieczęsto je widuje — bije się na Północy z Szarymi Kurtkami za nią i wszystkie damy z Południa.

Sekator był tępy, róża nie dała się ściąć. Camile schwyciła oporny badyl — ustąpił, lecz zemścił się ostrym kolcem. Camile odruchowo podniosła skaleczony palec do ust i spojrziała na rzekę, w górę rzeki płynął niski szkuner.

Camile puściła się pędem do domu i natychmiast wróciła z teatralną lornetką. Szybko wyregulowała ostrość, teraz widziała wyraźnie nie tylko szkuner, lecz i jego nazwę. S—A—C—H—E—M — przeczytała. Znów pobiegła do domu, zwołując po drodze Murzynów. Nie miała już wątpliwości — była to bandera jankeska. Po dziesięciu minutach, nie

przebrawszy się nawet w szykowną amazonkę, Camile galopowała na północ, do Nowego Orleanu...

Generał Mansfield Lovell przyjął mile tę śliczną Kreolkę i podziękował za informację. Kazał przywołać kompanię reprezentacyjną i piękna panna dokonała przeglądu oddziałów. Do domu eskortowało ją sześciu kawalerzystów — czuła się jak bohaterka.

Kiedy jednak Stephen Fox — był właśnie w sztabie, gdy Camile składała meldunek — zaproponował, by wysłać na zwiad którąś z jego kompanii, generał odparł:

— Wierutne głupstwo, majorze! Nie będę męczył kawalerzystów zwiadami tylko dlatego, że jakiejś pannicy przywidziała się unijna korweta.

Jednak „New Orleans Picayune”, miejscowa gazeta, uznała za wskazane pokrzepienie serc obywatelskich. W nader bojowym tonie opisała ze szczegółami ustawioną o ćwierć mili od fortów zaporę, która zdoła powstrzymać dowolną flotyllę świata na przeciąg co najmniej dwóch godzin, kiedy to obydwie forty skierują na napastnika ciężki ogień krzyżowy ze stu siedemdziesięciu dział największego kalibru.

Stephen podniósł oczy znad artykułu. Jeśli taka zaporą rzeczywiście istnieje, to oddziały inżynieryjne generała Duncana są oddziałami cudotwórców, gdyż jeszcze tydzień temu, kiedy wybrał się do fortów, nie było śladu opisywanej zapory. Dział, jak stwierdził naocznie, było sto dwadzieścia osiem, z czego przynajmniej setka nadawała się na złom. Może jednak reporter „Picayune'a” ma pewniejsze informacje niż on. Zaczął czytać dalej.

„Między Nowym Orleanem a fortami ciągnie się nieprzerwana linia umocnień ziemnych. Na równinie Chalmette, niedaleko posiadłości Janina, znajdują się reduty wyposażone w gwintowane działa o zasięgu do pięciu mil”.

Ktoś tu chyba oszalał! W Chalmette rzeczywiście stały baterie, lecz ustawione tam działa o gładkiej lufie miały zasięg mniejszy niż pół mili. A między Chalmette i Nowym Orleanem nie było nawet rowu ściekowego! Doborowi kanonierzy zdobyliby Chalmette w pół godziny. Podniósł gazetę, coraz bardziej zasepiony.

„W fortach St. Phillips i Jackson przebywa trzy tysiące żołnierzy. Znaczna ich część to doświadczeni artylerzyści, którzy służyli w marynarce wojennej”. No, przynajmniej tu „Picayune” nie mija się z prawdą.

„W Nowym Orleanie znajduje się trzydzieści dwa tysiące żołnierzy piechoty, i tyle samo w najbliższej okolicy. Karnością i wyszkoleniem bojowym znacznie przewyższają Jankesów. Mamy dwóch zdolnych i

rzutkich generałów, którym w zupełności ufamy: generała Mansfielda Lovella i generała Rugglesa."

Stephen gwizdnął przeciągle. Wiedział z całą pewnością, że w Nowym Orleanie stoi na kwaterze tylko trzy tysiące żołnierzy, a pod Orleanem — około siedmiu tysięcy. O ich karności i wyszkoleniu za wcześniej mówić. Może te dane wydrukowano z myślą o zmyleniu wroga, dumał Stephen. Siadł natychmiast na palomino i ruszył z Nowego Orleanu do Harrow. Trzeba ostrzec Aurorę i dzieci — pod terminem „dzieci” rozumiał Julie, Cecile i wnuki. Kiedy puszcza się w obieg takie napuszone bzdury, to znaczy, że Nowy Orlean jest naprawdę w opałach.

Dwadzieścia mil poniżej fortów admirał Farragut zwołał oficerów, by wysłuchali meldunku kapitana Gerdesa z „Sachema”. Na odprawie był także porucznik Thomas Meredith, jako drugi stopniem oficer na kanonierce „Itasca”, którą dowodził kapitan Caldwell. Kapitan Gerdes spisał się doskonale. Zasięg artylerii wyliczono co do jarda, a zatknięte wzdłuż brzegów rzeki flagi wyznaczały dokładną pozycję, którą miały zająć poszczególne okręty. Admirał Farragut wydał surowy zakaz zmiany pozycji statku choćby o stopę. Miały ustawić się rzędem wzdłuż obydwu brzegów.

Słuchając rozkazów, Tom czuł ucisk w gardle. Przecież właśnie o to zabiegał, błagał, przekupywał i przypochlebiał się — by przenieść się pod dowództwo Farraguta. Nawet gdyby — jak się spodziewał — trafił na „Mobile”, jego wysiłki nie pójdą na marne. Ale znaleźć się w samym Orleanie — o tym nie marzył w najśmielszych snach. Wkrótce przedrą się przez linie nieprzyjaciela — a tuż za Orleanem czeka nań Julie, wcale nie wiedząc, że on jest tak blisko. Żadne miasto na świecie nie stanie między nimi, przedostanie się do Julie, choćby miał własnoręcznie podpalić Nowy Orlean! Nie minie tydzień, a on będzie w Harrow. Dalej nie sięgał wyobraźnią — nie śmiał myśleć o szczęściu, które go czekało.

Wróciwszy na masywny dębowy pokład „Itaski”, przeprowadził dokładną inspekcję. Działa wyczyszczone i gotowe do strzału, lonty przycięte, obok schludne stopy pocisków i płócienne mieszki z prochem. Bele bawełny, wzmocnione masywnymi łańcuchami, stanowiły jakiś rodzaj opancerzenia, ale do diabła! — gdyby „Itasce” miało przytrafić się coś złego, on popłynie do Harrow wpław i pod prąd!

Dziewiętnaście szkunerów wyposażonych w moździerz płynęło pod dowództwem komandora Portera, zmagając się z czterowęzłowym prądem. „Itasca” dołączyła do konwoju kanonierek: było ich sześć. Brzeg rzeki odchodził w dal niezmiernie powoli, upłynie prawie półtorej doby, nim dotrą do fortów.

Przed świtem szkunery stały na kotwicy wzdłuż zakrętu rzeki, za którym stały forty. Grupy żołnierzy zeszły na brzeg w gęsty las, Tom słyszał z kanonierki stukot ich siekier. Gdy wzeszło słońce, wszystkie maszty były doskonale zamaskowane gałęziami — z pewnej odległości nie odgadłbyś, gdzie kończył się las a zaczynały szkunery.

Na najbliższym szkunerze zaczęła się gorączkowa krzątanina. Krótkie, pękate działo, prawie tak szerokie jak długie, osadzone na masywnych blokach drewnianych, ustawiono niemal pionowo. Artylerzyści stękając z wysiłku, wepchnęli mu do gardzieli ładunek, dwudziestopięciofuntowy pocisk moździerzowy o średnicy trzynastu cali. Wystrzał nie zaskoczył Toma — widział, jak kanonier pociąga za ciężkiel — jednak huk eksplozji wstrząsnął nim do głębi. Ogłuszający huk potoczył się przez rzekę, budząc mnogie echa. Czarny pocisk poszybował łukiem w niebo, by po chwili opaść w dół leniwą, doskonałą w kształcie parabolą. Lecz zanim spadł na fort, odezwał się drugi moździerz, a potem trzeci i czwarty, aż trzewia rzeki zdrząły od ogłuszającego grzmotu. Z luf szedł ciemny dym, stojący blisko dział kanonierzy byli już teraz czarni jak Murzyni.

Po pewnym czasie odezwały się działa w forcie. Pośrodku rzeki trysnął na trzydzieści stóp w górę żółtawy pióropusz brudnej wody, po chwili drugi, działa forteczne wymacały ukrytą flotyllę. Wreszcie zaczęło się na dobre.

25 kwietnia 1862 roku zaczął się deszczem. Grube krople bębniły o dachy Harrow, siekły ostro taflę rzeki. Stojąc na belwederze, Aurorę patrzyła w dół rzeki, w stronę Nowego Orleanu. Peleryna i szal, który owinęła wokół głowy, doszczętnie przemokły, kosmyk siwych włosów przylgnął do czoła. Przechyliwszy głowę, nasłuchiwała w napięciu, jednak od strony miasta nie dochodził żaden dźwięk. W gruncie rzeczy nie spodziewała się usłyszeć dział — stały w fortach, oddalonych o dziewięćdziesiąt kilka mil od Nowego Orleanu... ponad sto mil stąd. A dopóki rzekę przegradzały potężne łańcuchy, przeciągnięte między fortem Jackson i fortem St. Phillips, żaden jankeski okręt nie popłynie w górę rzeki. Oby te łańcuchy wytrzymały. Ale nie będzie się tym zamartwiać — zwątpienie równałoby się niemal świętokradztwu. Dobry Bóg zachowa tę zaporę... zaporę, forty i Stephens, który właśnie teraz stoi przy kanonierach na obwarowaniach fortu St. Phillips, naprzeciw paszczek jankeskich dział. Ale nie zaszkodzi prosić Jasną Panią o wstawiennictwo. Stojąc w ulewie na szczycie domu Aurorę modliła się żarliwie.

Na odgłos kopyt końskich otworzyła oczy. Przechyliwszy się przez balustradę, ujrzała Ceclie, nadjeżdżającą ciężkim cwałem, kopyta konia mlaskały w rzadkim błocie podjazdu. Oczywiście okrakiem, pomyślała, nie

panując nad odruchem obrzydzenia. Zamknawszy drzwiczki, pospieszyła na dół wąskimi schodami. Mokre spódnice szurały ciężko po stopniach, lecz Aurorę nie traciła czasu na zmianę odzieży — może Ceclie przywiozła jakieś nowiny. Pokonawszy ostatni, największy zakręt kręconych schodów, zatrzymała się na podeście, nieco zdyszana.

Ceclie stała naprzeciw Julie. Na jej twarzy malowała się powaga, niemal zawziętość. Kapelusz cisnęła na najbliższy fotel — krople wody ściekały na poduszki. Julie z trudem trzymała się na nogach. Jej młodzieńcza twarz zszarzała jak gipsowa maska.

Słyszając kroki matki, odwróciła się w jej stronę i zawołała z płaczem, wysokim, łamiącym się głosem:

— Mamo... mamusiu...

Aurorę zeszała powoli na sam dół i objęła córkę, nie odrywając oczu od Ceclie.

— Przerwali łańcuch — wypaliła Ceclie — jak marną nitkę! Ostrzelali forty. Wszystkie okręty, jakie mieliśmy na rzece, poszły na dno albo płoną. W dwadzieścia minut zniszczyli działa w Chalmette — nawet się nie zatrzymali. W Nowym Orleanie szaleją pożary. Płoną magazyny, bawełna, nabrzeże, parowce — dosłownie wszystko. Ludzie zupełnie potracili głowy.

Aurorę poruszyła bezgłośnie wargami. Zwilżyła wyschnięte usta.

— A załoga fortów... — wykrztusiła ochryple — Stephen?...

Ceclie spojrzała jej twardo w oczy.

— Zginęli albo poszli do niewoli — powiedziała i poszła na górę, do swojego pokoju.

ROZDZIAŁ 35

Porucznik Meredith patrzył na miasto z pokładu kanonierki „Pinola”, na którą odkomenderowano go po tym, jak „Itasca” poszła na dno. Cała linia nabrzeża ginęła za ścianą dymu, przetykaną wysokimi płomieniami — płonąła bawelna, podpalona przez pospólstwo, które dopilnowało, by nie wpadła w ręce żołnierzy Unii. Rynsztokami płynęła melasa i wino, brzęk tłuczonego szkła dochodził bardzo wyraźnie do miejsca, gdzie stał porucznik. Nabrzeże było czarne od tłumów, pomstujących na Jankesów, wygrażających im pięściami a nawet bronią. Oto Nowy Orlean w całej krasie — nawet z wojny zrobił operetkową wojenkę.

Z niewielkiej szalupy wysiedli dwaj oficerowie. Tom rozpoznał ich bez trudu, byli to kapitan Theodorus Bailey i porucznik G. H. Perkins. Nie wierzył własnym oczom — idą na miasto bez obstawy? Przecież ta wyjąca tłuszcza rozedrze ich na kawałki! Czy stary nagle zwariował?

A jednak „stary” — admirał Farragut — doskonale wiedział, co robi. Żył w tym mieście za młodu i dobrze poznał temperamenty orleańskie. Ludziska pogardują, poprzeklinają, ale palcem nie tkną posłańców.

Patrząc, jak dwaj oficerowie znikają w tłumie, Tom myślał o Julie. Kiedy ją wreszcie zobaczy? Czy się zmieniła? Może teraz, gdy ziemię Południa zboczyła krew, już nie zechce go więcej widzieć? Młody porucznik czuł na sercu ciężar i smutek, i ani cienia triumfu.

Południowcy ponieśli klęskę, nie było co do tego wątpliwości. Ich ostatnia nadzieja, potężny pancernik „Luizjana”, odpłynął dziś wczesnym rankiem spod St. Phillips i ruszył w dół rzeki, ziejąc ogniem od dzioba po rufę, rycząc ogłuszającą kanonadą. Podpłynął do „Harriet Lane”, na którego pokładzie admirał Farragut omawiał warunki kapitulacji z podpułkownikiem Higginsem, dowódcą Fort Jackson i wybuchnął tak blisko szkunera, że „Lane” o mało się nie wywróciła. Konfederaci niczego już nie zdziałają, choćby nawet chcieli. Tom marszczył brwi, patrząc na oblepione ludźmi nabrzeże. Przecież musi jakoś przedostać się rzeką do Julie!

O godzinie jedenastej, gdy słuchał — czy raczej nie słuchał kazania, które jak zwykle w niedzielę wygłaszał kapelan, powietrze zakotłowało się od nagłej kanonady. Załoga natychmiast stanęła w gotowości bojowej. Meredith kazał wydać żołnierzom krótką broń — mieli się nią posłużyć w razie walki bezpośredniej. Jednak gdy minęła godzina i nic się nie działo, kapitan odwołał alarm. Sprawa wyjaśniła się.

Otóż „Pensacola”, przycumowana w pobliżu Esplande, wysłała na ląd grupę marynarzy, by wywiesili flagę Stanów Zjednoczonych na

odzyskanym budynku mennicy. Rozkaz wykonano, ale zaledwie marynarze wrócili na pokład, gdy jacyś czterej mężczyźni zdarli flagę i wlekli ją w błocie ulicy. Osadzona na grotmarsie haubica otworzyła ogień, lecz w nic, zdaje się, nie trafiła.

Ta operetka zaczyna mi grać na nerwach, zżymał się Tom. Dlaczego wciąż nie ma Butlera?

Oddziały generała Butlera pojawiły się w mieście dopiero po pięciu dniach. Murzyni tłumnie wylegli na ulice — śmiali się, śpiewali, wiwatowali na cześć oddziałów unijnych, maszerujących nasypem do Poydras, St. Charles, a potem ulicą Canal do urzędu celnego. Biali mruźli pod nosem przekleństwa i obrzucali żołnierzy zgniłymi owocami. Był to kolejny akt tej samej operetki, ale przynajmniej Nowy Orlean poznał Benjamina F. Butlera — swego najlepszego, jak również najbardziej znienawidzonego administratora. Potem znajomość miała się pogłębić.

Nazajutrz kiedy żołnierze Butlera aresztowali W. B. Mumforda (był to czterdziestokilkuletni ojciec sporej rodziny, lecz po incydencie z flagą po wsze czasy mówiono o nim jako niedowarzonemu młokosie), „Cayuga” otrzymała rozkaz wypłynięcia w górę rzeki, by zbadać wiarygodność doniesień o jakichś nieregularnych siłach, grasujących na Nadrzeczu na północ od miasta.

Wpatrując się w odbijającą od brzegu „Cayugę”, Tom snuł gorączkowo tysiące projektów. Próbował przenieść się na „Cayugę”, by uczestniczyć w tym wypadku, lecz jego wysiłki spełzyły na niczym. Zastanawiał się nawet, czyby nie odejść po angielsku i najawszy konia, popędzić obwałowaniami do nadrzecznego traktu. Ale kto odstąpiłby mu konia? Na pewno nie Butlerowska kawaleria. Gdyby zwrócił się z podobną prośbą do orleańczyków, widząc jego niebieski mundur z pewnością odesłaliby go z kwitkiem. A gdyby nawet zdobył wierzchowca, to jak przedostanie się przez posterunki? Pozostaje mu tylko czekać.

W Harrow Julie także czekała. Plantacja była odcięta od świata jak samotna wyspa. Ani słowa od Toma. Ani słowa od Stephena. Po Etienne zaginął wszelki śluch. Może wszyscy trzej już nie żyją. Albo zostali kalekami. Oślepli. Dostali się do niewoli. Gdybyż tak dostali się do niewoli, Boże miłosierny! Niechby w Rock Island, Fort Jackson czy Camp Douglass dawano im najpodlejszą strawę, niechby strażnicy znęcali się nad nimi — byle tylko żyli, żyli! Mogliby wrócić do niej — ci trzej najukochańsi. Boże, spraw, by ich pojmano a potem uwolniono!

Dzień był jasny i pogodny, słońce stało wysoko nad Missisipi. Julie siedziała z matką na górnej galerii, patrzyły na rzekę. Widząc po twarzy

matki, że myśli o czymś niewesołym, Julie wyciągnęła rękę w pieśczośliwym geście, lecz jej dłoń zastygła w powietrzu. Aurorę pochyliła się do przodu, nasłuchując bacznie. Nad gajem cyprysowym wykwitły obłoczki dymu, po chwili sucho zatrzeszczała karabinowa palba. Kobiety wstały. Nagle powietrze zadudniło od armatniego wystrzału, w niebo ponad drzewa poszybowały jakieś białawe okruchy — kobiety widziały je wyraźnie mimo znacznego oddalenia.

Po chwili z zagajnika wypadła grupa jeźdźców — nisko schyleni nad końskimi szyjami pędzili podjazdem prosto na Harrow. Julie spojrzała na matkę i obydwie poszły w milczeniu do schodów.

Zeskoczywszy z koni, przybysze rzucili się pędem po schodach, kierując się do wnętrza domu. Byli chudzi, zarośnięci, zaniedbani. Julie wyszła na dolną galerię i podniosła rękę.

— Panowie! — zawołała. — Muszę prosić o wyjaśnienie...

Zatrzymał się przed nią jakiś rostry mężczyzna, w potarganej, skłębionej brodzie tkwiły kawałki gałązek. W zarośniętej brudem twarzy jasne oczy sprawiały niesamowite wrażenie. Ujął Julie pod brodę i uśmiechnął się, ukazując resztki poczerniałych zębów.

— Niebrzydka z ciebie dziewczuszka — powiedział, oddech miał cuchnący. — Zajmę się tobą później, jak się uporam z tymi wrednymi Jankesami. Na razie zmykaj! — obrócił Julie i mocno trzepnął w pośladek. Julie oniemiała.

— Ty... ty... — wykrztusiła po chwili, lecz dragał już biegł dalej po schodach.

Julie spojrzała na rzekę. Tuż naprzeciw przystani sunęła leniwie z prądem jakaś kanonierka. Na maszcie powiewała flaga w pasy i gwiazdy. Załoga kanonierki uwijała się jak w ukropie — stawiała pionowo lufę czarnego, przysadzistego moździerza. Julie spojrzała na matkę wielkimi oczami, gdy nagle w północnym skrzydle zatrzeszczały karabiny. Strzelano do kanonierki.

„Cayuga” odpowiedziała grzmotem moździerza, wstrząsając niebo i ziemię. Kobiety jak skamieniałe patrzyły na wielki czarny pocisk, który wspiął się w górę szybkim łukiem, zawisł w miejscu na kilka chwil nieznośnego napięcia, a potem runął z łomotem w sam środek północnego skrzydła. Mury drugiego piętra wyrzuciły się powoli i rozsypały w gruz. Ponad dach wystrzelił słup ognia. Zapadła cisza.

— Mój Boże... — szepnęła Julie — Boże miłosierny... Lecz oto „Cayuga” przybiła do przystani i oddział marynarzy ruszył biegiem w stronę

Harrow. Biegący na czele dowódca, młody porucznik, zatrzymał się przed paniami.

— Gdzie są wiadra? — zapytał, salutując elegancko.

— Murzyni pana zaprowadzą — odparła Aurorę z wielką godnością i weszła do wnętrza domu, z którego były kłęby dymu. Marynarze popędzili do stajen. Po dziesięciu minutach ustawił się długi szereg marynarzy i Murzynów, którzy podawali sobie wiadra z wodą, natychmiast stłumiono ogień w kilkunastu miejscach, lecz trzeba było czterech godzin, by ugasić cały pożar. Niemal połowa Harrow była doszczętnie zniszczona — parkiety i meble zalane wodą, draperie, obicia i zasłony poćwiartowane bagnetami marynarzy, którzy w ten sposób zapobiegali rozszerzeniu się pożogi na resztę dworu. Julie płacząc cicho, nie opuszczała boku matki. Ceclie, przyciskając do siebie dwoje młodszych dzieci, patrzyła na ogień jak na osobistego wroga, jej twarz zionęła nienawiścią.

Po ugaszeniu pożaru młody porucznik podszedł do pań, na jego młodocianej, osmalonej przez ogień twarzy malowała się powaga.

— Obawiam się, że muszę wszystkich aresztować — powiedział, wyjmując notes i ołówek. — Nazwiska pań?

— Jestem żoną Stephena Foxa — odparła Aurorę — a to moja córka, żona Thomasa Mereditha.

— Mereditha? — powtórzył porucznik. — To dziwne, na „Pinoli” mamy porucznika o tym samym imieniu i nazwisku. To oczywiście nikt z rodziny?

— Och mamo, mamusiu... — zapłakała Julie. Marynarz uniósł brwi.

— To jej mąż — powiedziała Aurorę oschle. — Czy da mu pan znać?

— Rozumie się! Nie dziwię się, że Tom stawał na głowie, by wziąć udział w tym zwiadzie. Więc ożenił się z rebeliantką!

— Z góry dziękujemy — powiedziała Aurorę. — Teraz, jeśli pan pozwoli...

— Nie wolno wam ruszać się z posiadłości oświadczył porucznik. — Zostawię tu kilku na straży — dla waszej obrony i z innych względów. Za pozwoleniem pani, chciałem powiedzieć, że porucznik Meredith to wielki szczęściarz.

Zasalutował i odszedł. Patrzyły z galerii na wymarsz, marynarze nieśli na zaimprovizowanych noszach owinięte kocem tłumoki, które przed kilkoma godzinami były żywymi ludźmi, żołnierzami. Matka i córka płakały, lecz Ceclie nie uroniła ani jednej łzy.

— Niech szczeną, przekłęci — syknęła. — Niech ich wszystkich piekło pochłonie!

Nazajutrz przyjechał Tom Meredith. Zostawił konia u stóp schodów i pobiegł na górę, biorąc po trzy stopnie naraz.

— Julie, Julie! — wołał.

Otworzyły się wielkie drzwi. Stała w nich Ceclie z twarzą jak kamienna maska. Cofnęła się bez słowa w głąb domu.

— Proszę pani — zawołał Tom podchodząc bliżej — czy Julie...

Ceclie wspięła się na czubki palców, plunęła mu prosto w twarz i odeszła. Tom otarł policzek i stał, mrugając bezmyślnie, gdy w hallu zjawiła się Aurore.

— Przyślę Julie — powiedziała spokojnie — o ile zechce przyjść. Ale nie mogę zaprosić pana do środka... w tym mundurze. Gdyby mógł pan poczekać na zewnątrz...

Tom wyszedł za drzwi jak we śnie. Spuściwszy głowę szedł, potykając się w dół schodów. Nagle z tyłu zastukały małe pantofelki i Julie zawołała bez tchu:

— Tom! Tom, mój ukochany! Odwrócił się i rozpostarł ramiona.

Letnie niebo nad obozem jenieckim w Fort Jackson było nagie i płaskie. Rzeka toczyła powoli ciężkie, brązowe wody. Wewnątrz fortu rozpalone powietrze tańczyło i migotało. Upał bił obuchem w głowę. Sypanie łopata piasku do worków, z których powstaną umocnienia na wypadek konfederackiej inwazji, ustawiczne schyłanie się i prostowanie nad hałdą piachu było katorżniczą pracą nawet dla młodego mężczyzny, a Stephen Fox miał sześćdziesiąt dwa lata. Krótka, spiczasta bródka, mocno przetykana siwizną, była zmierzwiona i zaniedbana. Mięśnie ramion i pleców stwardniały mu od pracy na kamień, lecz w tym kamieniu trwał ciągły tępy ból. Krople potu, spływające mu po twarzy i brodzie, spadały na ziemię niemalże z sykiem. Odór zastarzałego potu otaczał go jak gęsta chmura, lecz Stephen tak się z nim żył, że już go nie zauważał. Wiecznie głodny brzuch przysechł mu do grzbietu.

Na wieżach obserwacyjnych przechadzali się potężnie zbudowani strażnicy, pot lśnił na ich czarnych twarzach i obnażonych ramionach. Od czasu do czasu jakiś młody miejski elegant, spojrzawszy żałośnie na swe splekane, pokryte pęcherzami ręce, które niegdyś były białe i miękkie jak dłonie kobiety, podchodził chyłkiem do któregoś ze strażników i szeptał:

— Wujku, dałbyś mi chwilę odsapnąć...

Riposta była prawie zawsze taka sama, gęsty, grzmiący bas odpowiadał:

— To niby czym jestem bratem? Twojej mamusi czy tatusia?

Albo:

— Nie jestem twoim wujkiem! Jazda do roboty, śmierzdzący leniu!

Co jakiś czas w forcie zjawiała się Aurorę, okazując przepustkę wycyganioną od generała Butlera. Małżonkowie mówili ze sobą niewiele. Aurorę zaciskała zęby, lecz widok Stephena — brudnego, zagłodzonego, z krwawymi oparzelinami, wyzierającymi spod długich posiwiałych kłaków, drapiącego się z roztargnieniem pod pachami, gdzie robactwo szczególnie mu dokuczało — był ponad jej siły. Zresztą o czym tu rozmawiać?

— Nie, od Tienne'a nie ma żadnych wieści. Tak, dzieci zdrowe. Julie — na ile to możliwe w jej stanie. Ciężko znosi te upały. A wyżywienie kiepskie. Ceclie — wszystko po staremu — nie powiem mu o niej ani słowa! (Ceclie jeździ do miasta w nowiutkiej amazonce, podczas gdy inne panie muszą się zadowolić starymi łachami. Zostawia dzieci pod opieką Aurorę i Julie, i znika na całe dni. A do Harrow zajeżdżają oficerowie jankescy! A przecież napluła Tomowi w twarz i zaprzysięgła Jankesom wieczną nienawiść. A Tienne może zginął, może stracił nogę albo wzrok... a może oszalał...).

Gdy dni zamieniały się w miesiące, a miesiące w lata, Aurorę zachowywała dla siebie coraz więcej faktów. (Pamiętaj, że za trzy tygodnie będziemy w Waszyngtonie). W Harrow Aurorę i Julie z pomocą garstki Murzynów, którzy nie uciekli do czarnych, buntowniczych obozowisk pod miastem, zbierały szpadlami piach z podłogi wędzarni, a następnie przepłukiwały go wielkorotnie, by zdobyć cenną sól. Zalewały popiół ze spalonych kolb kukurydzianych i odstawiały, by płyn się wyklarował. To, Stephenie jest niezła soda kuchenna, jeśli do jednej części tej cieczy doda się dwie części kwaśnego mleka. A kawa, którą tu pijesz, mój jedyny, chociaż mocno lurowata, jest przynajmniej kawą, a nie pokrojonymi w kostkę batatami, które suszy się na słońcu, miele i zaparza jako namiastkę kawy. Herbatę sporządzamy z liści sasafrasu albo czarnej porzeczki. Za to mleka mamy w bród — chociaż kwarta kosztuje cztery jankeskie dolary

— a to dzięki Ceclie. Julie płacze, kiedy musi je pić, wie, skąd to mleko. Ale Ceclie niczym się nie przejmuje, Stephenie. Ona... chyba nie ma serca ani sumienia.

Ale nie mogę ci tego powiedzieć mój kochany, mój biedny. Nie powiem ci też, co odczuwam patrząc, jak powoli umierasz, żartując na temat tych łachmanów i robactwa. Kiedy skończy się ta straszna wojna... jeśli dożyjesz... zrobię wszystko, by wynagrodzić ci te cierpienia. Będziesz szczęśliwy — po wojnie...

Nie powiem ci, jak wróciłam do Harrow, a tu Julie cała we łzach (teraz często płacze), bo gdzieś zapodziała jej się igła, szczerze mówiąc to rzeczywiście katastrofa, bo zdobycie innej igły jest dziś zupełnym

niepodobieństwem. Idę do kuchni przygotować kolację (kucharka już dawno uciekła z przystojnym Murzynem z kolorowego jankeskiego regimentu) i stwierdzam, że jedyny dobry rondel, który musi obsłużyć trzy plantacje jest teraz w rękach Amelii Le Blanc, w La Place. Ściany i sufity Harrow pokrywa tłusty kopeć — jako lamp używa się misek napelnionych łożem, w który wtyka się skręcone ciasno gałganki — knoty. Przedtem były w domu świece — gotowało się jagody mirtu i po oczyszczeniu wywaru uzyskiwało wonny, półprzezroczysty wosk. Ale Murzyni uciekli i nie ma komu zbierać jagód. Julie nie może, ona sama nie ma czasu, a Ceclie... Skończyły się świece woskowe i łożowe, ciemność nocy rozświetlają teraz oliwne kaganki.

Oto jak wygląda jej dzień. Rano szykuje śniadanie — chleb kukurydziany i kwaśne mleko dla dzieci — sama mełła kukurydzą na mąkę. Całe śniadanie Aurorę i Julie to „kawa” z batatów i pajda chleba (Ceclie nie schodzi na śniadanie — śpi do południa lub dłużej, a potem znika). Potem przycina i szlifuje suszone kolce, które posłużą jej jako szpilki krawieckie przy naprawie i przeróbkach odzieży. Przyszywa guziki z pestek śliwy daktylowej, a jeśli akurat zależy jej na elegancji, wykrawa guziki z tykwy i obszywa kolorową tkaniną. Później wraz z Julie plotą kapturki z łusek kukurydzy, palmy a nawet trawy, i któryś raz z rzędu farbują suknie — kolory puszczały przy każdym praniu. Jest jeszcze gręplowanie, przedzenie, robota na drutach, darcie starych prześcieradeł na szarpie i bandaże. Parkiety w Harrow były teraz zupełnie nagie — wspaniałe perskie dywany powędrowały do walcowni i tkalni zubożałej Konfederacji.

Wreszcie kolacja, złożona z przeróżnych roślin, które udało im się znaleźć — i spać. Niespokojny, ciężki sen był jedyną ucieczką od codziennych udręk, od głodu szarpiącego wnętrzości, od zgryzoty, szarpiącej serce.

Zanim na świat przyszedł syn Julie — było to apatyczne, niedożywione stworzonko, ważące mniej niż sześć funtów — Nowy Orlean wygrał batalię przeciw generałowi Butlerowi. Wyjąwszy jego słynny (lub osławiony — zależnie od punktu widzenia) kobiecy rozkaz*

*** Kobięcy rozkaz — wydany 15 maja 1862 r.**

(„... od tej pory każda kobieta, która słowem, gestem lub czynem okaże pogardę oficerowi lub żołnierzowi Stanów Zjednoczonych, będzie uważana za ulicznicę i traktowana jako taka”) i powieszenie Mumforda przed mennicą za zbezczeszczenie flagi, generał Butler był najlepszym administratorem, jakiego kiedykolwiek miał Nowy Orlean. Za jego rządów w mieście nie było żółtej febry, gdyż zamiast rozprawiać o stanie

sanitarnym miasta, jak to czyniono od wielu lat, kazał oczyścić ulice i udrożnić rynsztoki, ściśle też przestrzegano kwarantanny. Nakarmiono biednych po raz pierwszy i bodaj ostatni raz, choć trzeba przyznać, że jego metody zbierania funduszy na ten cel były dość bolesne. Za jego czasów miasto rozkwitło. Podczas gdy ludzie na wielkich plantacjach cierpieli nędzę, orleańczycy prawie nie wiedzieli, że jest wojna. Z pewnością i Butlerowi powodziło się doskonale a jego bratu jeszcze lepiej, ale miasto nie doznało z tego powodu najmniejszego uszczerbku. Zamknięty w Fort Jackson Stephen, słuchając doniesień o wyczynach generała, czuł niekłamany podziw dla tego starego pirata z Massachusetts.

RS

RS